



CZARNY
CHARAKTER

STACHNIAK

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**ŁUKASZ
STACHNIAK**

**CZARNY
CHARAKTER**

**ZNAK HORYZONT
KRAKÓW 2017**

CZARNY
CHARAKTER

Warszawom

– Zesrałem się – zauważyłem na wpół przytomny. – Ale to nic – obojętnie dodałem.

Pierwsze słowa po przebudzeniu przyszły z olbrzymim trudem. Bełkotałem. Żołądek podszedł mi do po przełyku, a błędnik zupełnie oszalał. Obdrapane, sklezione czarną ropą powieki udało mi się rozerwać, dopiero gdy zaschnięta na nich bryja wreszcie skruszała. Ślepotą śnieżną przypomniawszy sobie od razu. Nic nie sprawiało mi takiego bólu, jak ostre, białe światło.

Bił ode mnie smród gówna i strachu. Kurz w ustach kaleczył podniebienie, trzaskając między niepełnymi szczękami. Na suchym języku nie czułem żadnego smaku. Kończyn nie czułem wcale. Miałem jedynie nadzieję, że zdrętwiałe pozostają w liczbie, jaką pamiętałem. Mniej pazernie myślałem o palcach. Jeden w tę, dwa w tamtą – byle cokolwiek zostało, a na pewno dałbym sobie radę. Na kciukach zależało mi najbardziej.

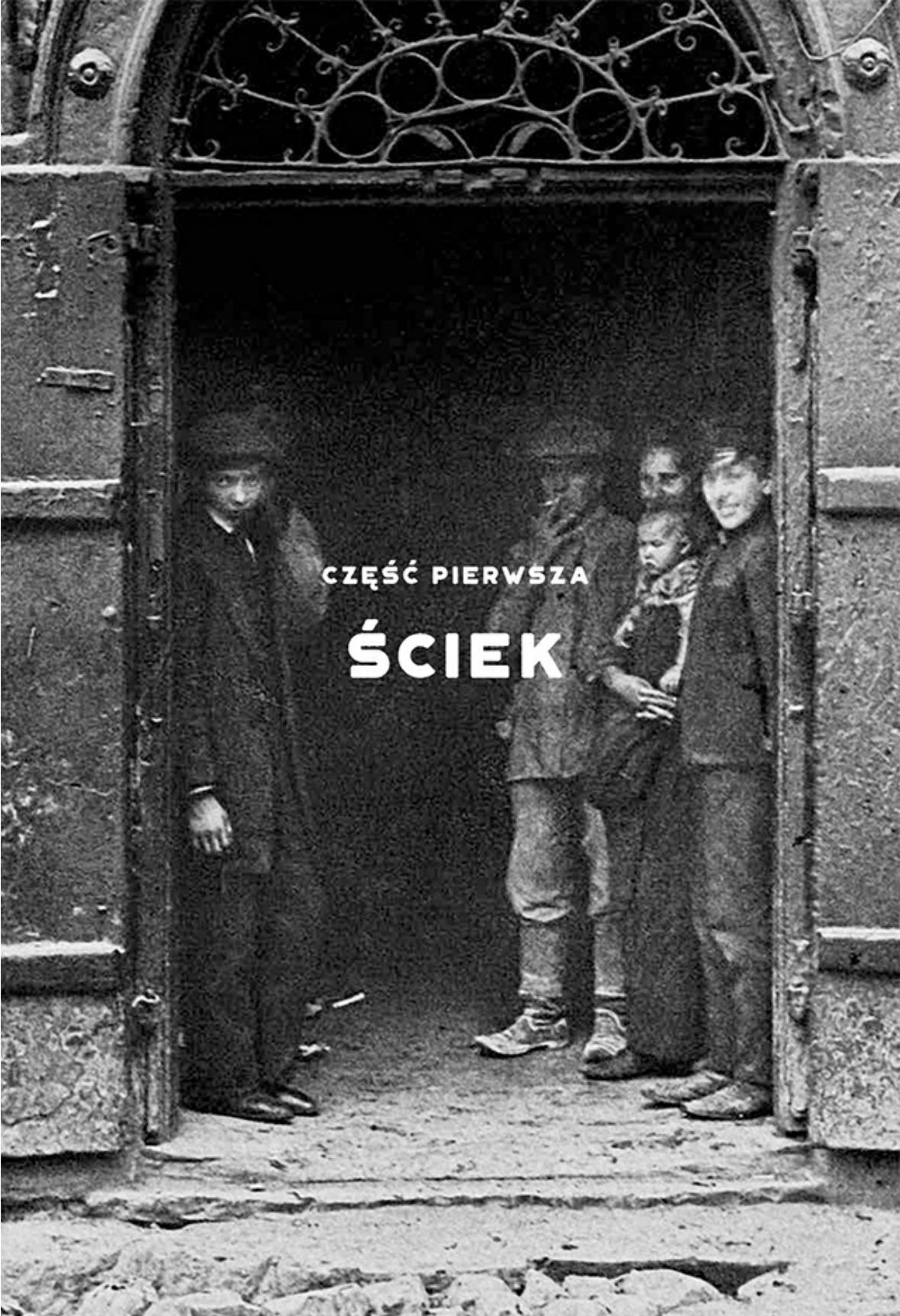
Myśleć o obrzękach, zadrapaniach czy stłuczeniach szkoda było czasu. Żyłem, to było najważniejsze. Może tylko na chwilę, by zaraz zgasnąć, ale zawsze. Donikąd się nie wybierałem.

Szukałem w pamięci krzywdy, jaka mnie spotkała, lecz przed oczami stawał mi jedynie obraz miasta, które zostało mi odebrane. Tylko ruiny i porastające je beztrąsko trawy. Jej już nie było, ona już nie istniała. Tego, co mnie otaczało, nie można już było nazwać Warszawą.

– Gorączkowałeś – usłyszałem po chwili. – Teraz powinno być dobrze. Pół nocy zmuszałem cię do rzygania, aż resztkę żółci wyplułeś. Krwi też upuściłem niemało.

Patrząc pod światło, nie widziałem wyraźnie swojego rozmówcy, a za ledwie monotonna sylwetę odcinającą się od jaskrawej poświaty. Nie miałem jednak

żadnych wątpliwości, kto nade mną siedzi. Jego głos zza grobu bym poznał. Zza grobu, w którym dzięki niemu się nie znalazłem.



CZĘŚĆ PIERWSZA

ŚCIEK

SZKOC I SZAJGEC

Poznaliśmy się zimą dwudziestego dziewiątego, kiedy obaj byliśmy ledwo szczeniakami. Siedziałem wtedy w salonie burdelu na Pańskiej, takiej poczekalni dla kurwiarzy, i wypatrywałem dziadka, czy aby już po mnie nie wraca. Nudziłem się tam strasznie, jak to kilkulatek. Kiedy włączyłem spojrzeniem po tapetach niedoświetlonego pokoju, kolejna sina stuchujnica^[1] wpadła z przeciągiem do lokalu. Ledwo na stołku przybory pracy posadziła, zaraz jedna z koleżanek wrzając lurę pod nos jej podała. Krótka trwała radość. Zanim zdołała wlać w siebie cokolwiek ukropu, Ciocia Kujawska – pani tegoż gościnnego domu – do stygnących obowiązków na ten tydzień ją posłała. Okrągła minuta nie minęła, a do pozostawionej bez opieki szklanki doskoczył chłopiec. Nawet na naszym Mirowie podrost w burdelu to niecodzienny widok był, także od razu zwróciłem na niego uwagę. Wyraźnie płochliwy, kontaktu wzrokowego unikał, co w dobrym tonie nigdy nie stało. W ogóle niczyj się wydawał. Wyglądał na takiego, co dach ma nad głową i resztki gwarantowane, ale wszystko inne musi sobie wystarać. W zakładzie pracy, jak ten przy Pańskiej, nikt nie miał czasu chłopakowi dogadzać, skoro ochoty na więcej nabierał, musiał liczyć, że ktoś inny niedopite zostawi.

Pojawił się znikąd i chwycił w otwartą dłoń rozgrzane naczynie. Niestety, tym razem mu się nie powiodło. Uciekając z upragnioną zdobyczą, niefortunnie wpadł na mojego dziadka, który właśnie w progu pokoju jedną z panien banknotem pozdrawiał. Oczy ze zdziwienia przecierałem. Cała zawartość wylała

się gówniarzowi na brzuch, krocze i uda, mojemu dziadkowi ledwo kilka kropel na buciory poleciało. Widziałem, jak materiał ubrania powoli wtapia się w poparzoną skórę chłopaka, a on nic, ani jęku z siebie nie wypuścił. Stał tylko przez chwilę bez ruchu, trzymając w dłoni pustą już szklankę. Wykrztusił z siebie cichutkie przeprosiny i wyrwał się spłoszony w ciemne korytarze burdelu. Wydawało mi się niemożliwe, że nie zareagował, kiedy mu się taka krzywda stała. Nikt nie może być aż tak wystraszony – pomyślałem. Korzystając z faktu, że dziadek jeszcze jakiegoś kolegę spotkał i postanowili to spotkanie kielichem umilić, podebrałem zgrabnie cudzego dulca^[2] z popielniczki i zaciekawiony ruszyłem w ślad za chłopakiem. Chodząc po lokalu, raz na jakiś czas zaciągałem się, żeby mi ten dulec nie zgasł. Chwilę to trwało, ale wreszcie znalazłem pomieszczenie przerobione na kuczę^[3] chyba z pakamery na szczotki, w którym ukrył się mały uciekinier. Zapуściłem żurawia przez uchylone drzwi i zobaczyłem, jak chłopak jedną ręką zrywa z siebie kimizę^[4] przyklejoną do brzucha. Znowu bezdźwięcznie. Miał jednak problem, w miejscu największego poparzenia cienki materiał nie chciał się oderwać od ciała, wżarł się zbyt mocno. Na palcach, po cichu zaszedłem go od tyłu i rozpalonego papierosa zgasiłem na obnażonej linii kręgosłupa gdzieś między jego łopatkami. Nie zareagował na to, nic a nic.

– Matko jedyna! Z czego ty jesteś zrobiony? – już dłużej nie mogłem ukrywać swojego zdziwienia.

Dopiero ten szucher^[5] zdradził mu moją obecność. Wystraszony upuścił szklankę, którą do tej pory trzymał, wskoczył na niewielkie kolibę^[6] i zaczął się cofać, aż natrafił na ścianę za swoimi plecami. Widok był straszny, obrzydliwy. Przeze mnie nie zdążył do końca oderwać koszuli i ciągnął ją za sobą po starym materacu.

– Nie bój się. Pomóc ci? – zapytałem.

Skinąłem głową z aprobatą, więc owinąłem sobie rękaw tej jego koszuli dookoła

dłoni, zaparłem się butem o metalową ramę łóżka i energicznie szarpnąłem. Ani pisnął, głośniej ja zasapałem przy tym wysiłku, niż on się w ogóle zachowywał. Kiedy zerwaliśmy z poparzonych nóg spodnie, przytaszczyłem wiadro z wodą do mycia podłóg, które stało w rogu pokoju, i mokrą, zimną szmatą obmyłem jego świeże rany. Dulca, co go na nie swojej skórze zgasilem, wybrałem spomiędzy szkieł po stłuczonej szklance, podпалиłem raz jeszcze, puściłem w ruch i usiadłem na skraju poźółkłego materaca. Kłuł w dupę jak dojrzały oset, nie wyobrażałem sobie, jak na czymś takim w ogóle można leżeć, nie mówiąc o spaniu.

Mało powiedzieć, że siedzący obok mnie chłopak nie był skory do rozmowy. Do tych wyrywnych na pewno nie należał. Nie chciałem, by ponownie się spłoszył, nie naciskałem. W milczeniu przyglądałem się pomieszczeniu, które zajmował. Było naprawdę straszne. Odrapane z tynku ściany były chłodem i śmierdziały wilgocią. Żarówka zwisająca z sufitu na gołym, poplątanym kablu, rzucała słabe światło.

Chcąc chłopaka ośmielić, pomyślałem, że może zacznę opowiadać trochę o sobie. A to, że na imię mi Ładysław, Ładeczek czy Ładeczkie albo jakkolwiek będzie wolał. Że może nieczęste to imię, ale kiedy na świat przyszedłem, Mama doszła do wniosku, że skoro Gielniowczyk pasuje na patrona stolicy, nie bez powodu Ściekiem zwanej, to i dla mnie się nada znakomicie. Dziadek na ten przykład wolał, by dała mi Miron, w końcu byliśmy z Mirowa, jednak Mama postawiła na swoim i tak na pierwsze Ładysław dostałem. Ładysław Miron, z domu Lajzer. W przeciwieństwie do imienia nazwisko cieszyło mnie bardzo.

Swoją obecność w burdelu wytłumaczyłem tym, że dziadek dorabiał na starość, zbierając procent od utargu w burdelach, identycznych jak ten właśnie, i do Aleksandrówki lub na Wolską Pod Koguta do samego Taty Tasiemki z nim walił. Moja Mama, wyjątkowo wierząca kobieta, wielki pinkiel^[7] z jego zajęciem miała. Prosiła, by poszukał innego, wtedy on za Tomaszem z Akwinu przekornie bogobojnej córce powtarzał, że prawda to, nierząd rzecz straszna, lecz roli sracza

w domostwie odpowiada. Brzydko pachnie, prawda kolejna, jednak bez niego cały dom by tak pachniał.

Mnie praca dziadka nie przeszkadzała. Od małego cierpiałem na niewyjaśniony światłowstręt, także wiele czasu poza domem nie spędzałem. Najchętniej wychodziłem po zmierzchu, a z pór roku to najbardziej zimę lubiłem. Ma się rozumieć za dzień krótki i zmrok zapadający chwilę po poranku. Kiedy dziadek zabierał mnie do roboty, nic przeciwko temu nie miałem. W przytulnym burdelu mogłem wreszcie zdjąć ciemne okulary. Tamtejsze oświetlenie wyjątkowo mi pasowało, nawet z przyjemnością w podobnych bywałem. Poza tym od małego przepadałem za sterczącymi dydochami^[8], ich widoku nigdy mi nie starczało.

Odniosłem wrażenie, że przykułem wreszcie uwagę chłopaka. Przestał już uciekać spojrzeniem i pozycję jakby przyjął taką bardziej otwartą. Skoro widziałem efekty, wołałem nie przestawać. Raz po raz krztusząc się dymem, wyznałem jeszcze, że na Twardej mieszkam, a wiadomo, im dalej w Twardą, tym twardsze osobniki grasują. Pochwaliłem się jeszcze oczywiście, że ja na samym jej końcu, pod przedostatnim numerem mieszkałem. A niewielu ten przywilej miało.

Spojrzałem raz znowu na pętaka, czy na pewno mnie słucha. Słuchał, słuchał mnie uważnie. Kiedy skończyłem o sobie, zapytałem go wprost i krótko:

– Czemu ty taki tamowaty^[9] po burdelu się skradasz?

Wpierw wstydem go oblało. Minęło trochę czasu, zanim zaczął gadać. Twierdził, że pewnie mu nie uwierzę, ale nie wie, jak i skąd w bajzlu się znalazł. Nic na własny temat nie pamiętał, nic co mu się w życiu działo. Jedną tylko nosił tajemnicę, uważał, że zbyt cenną, aby byle komu, ot tak ją wyjawić. Pięć razy na nieznanie miejsca spoczynku własnego ojca poprzysiągłem ani jej, ani jego nie zdradzić, taki byłem ciekawy. Szybko dał mi wiarę, tym razem długo czekać nie musiałem. Powiedział, że ze chrztu albo i nie chrztu Innocenty ma nadane,

znaczy Ineczek, przynajmniej tak mu się wydaje. W otwartą dłoń po raz szósty naplułem, chciałem, by wiedział, że moje słowo coś znaczy.

– Z kim ci będzie tak źle, jak ze mną? – zapytałem z przekąsem na do widzenia, licząc, iż nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

Wyszedłem z jego pakamery i pobiegłem do salonu, w którym dziadek już czekał na mnie zdenerwowany. Myślałem, że zaraz po uchu od niego oberwę, ten jednak zmienił szybko grymas i zapytał, czy ma którejś z panien za mnie zapłacić. Trochę się zmieszałem, nieco zawstydzilem, mimo wszystko tego wieczora radość przepeliła mnie ogromna, wreszcie i dla mnie jakieś towarzystwo w burdelu się znalazło.

Od tamtej pory jeszcze chętniej w przybytku Cioci Kujawskiej bawiłem, a i Ineczek nabierał odwagi. Zaczął nawet na ulicę ze mną wychodzić, najpierw na Pańską, potem dalej i dalej. Można wręcz powiedzieć, że jak nie ja jego to on mnie odwiedzał, gdziekolwiek o parę groszy się starałem. Pomagał, więc mu odpalałem ze swoich, a jak się w towarzystwie opatrzył, to i jemu do graby dawali. Najczęściej polewaliśmy wódkę frajerom w domach gry Taty Tasiemki. Grumali tam w szory^[10]: w oko, pasek, trzy karty, w blaszkę, cukierki. W ruletkę i drejdl^[11] też grali. W klubie towarzyskim ściekowych włamywaczy Niezapominajka przy Żelaznej, na Krochmalnej w Sztamacji u Kona, w barze Kleszcza i cukierni Eksztajnowej. Nawet w Pijaku przy Nowogrodzkiej – wszędzie gdzie tylko nas wpuszczali. Stawki duże nie były, po dwa, czasem pięć złotych grano, ale że był tam szmalec, to i my pojawialiśmy się na sali.

Po pół roku przesunęli nas do lepszych lokali obsługiwania. Pojawialiśmy się często pod czternastką na Solnej, w lokalu Szlojmela, gdzie szulerka sprawnie działała. Gry hazardowe – wiadomo – były zakazane, zasadą stało się więc, że nie grumano dzień po dniu pod tym samym adresem. Na sygnał, gdzie danego dnia szczęścia szukać, gracze czekali w kawiarni Lourse'a przy Krakowskim

Przedmieściu trzynastce. Przyjeżdżali po nich uwikłani taksówkarze i wieźli na miejsce wskazane. Nas dwóch również stamtąd zabierali. Grano w Klubie Myśliwskim na Kredytowej, w Klubie Wioślarskim na Saskiej Kępie, w Resursie Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu i w Klubie Rzemiosła Kupieckiego na ulicy Rymarskiej. W ośmiopokojowym mieszkaniu znanego kupca Józefa Majznera, przy Marszałkowskiej sto trzydzieści osiem, grumano w ruletkę i bakarata. Na czwartym piętrze Klubu Szachistów, znajdującego się w domu przy Królewskiej dziewiętnastce, jak pragnę zdrowia, grano we wszystko, byle nie w szachy.

W soboty kręciliśmy się to tu, to tam i opychaliśmy furmanom zdjęcia nagich dziewczuch. Sztuka po siedemdziesiąt pięć groszy. Ładne te fotografie były, droższe niż niejedna mamzela^[12]. Odbieraliśmy je na Poznańskiej od takiej jednej wdowy, co po śmierci męża kolejarza, by dorobić, urządziła sobie studio w mieszkaniu. Od sprzedanej kopii dawała nam grosz na głowę. Praca z tych przyjemniejszych.

W ładne dni robiliśmy też za naganiaczy u ulicznego benklarza^[13]. Miał taką skrzynkę do gry, z której nikt nigdy nie wyszedł na swoje, jeśli mu picer^[14] nie pozwolił. Od czasu do czasu jakiś szkrab, na przykład ja, na niby w tej grze czekoladę wygrywał i tak samo nieprawdziwie uradowany biegł za winkiel, po czym oddawał tabliczkę drugiemu, na przykład Ineczkwowi. Kiedy uzbierało ich się tak z pół kilo, Innocenty owijał je niedbale w papier, przewiązał sznurkiem i z abarotem^[15] oszustowi na stanowisko przynosił.

– Dostawa doręczona, pokwitować należy! – meldował do tego nadzwyczaj głośno, siejąc wśród nabieranych nadzieję na dobry los.

Jako że malcy byliśmy, mogliśmy przydać się przy jeszcze sprytniejszym procederze. Położony w samym sercu miasta ogród Saski w dni pogodne stawał się wybiegiem dla najmłodszych mieszkańców stolicy. Bajtle^[16] wyprowadzane były tam przez służbę, opiekunki czy inne bony oraz w zorganizowanych

grupach przedszkolnych, a nawet żłobkowych. My dwaj, nienagannie ubrani, mieliśmy w obowiązku wmieszać się w tłum szkrabów i przeprowadzić wywiad szczegółowy w temacie zamożności ich rodziców. Zazwyczaj chwalipięty na jedno i to samo się nabierały:

– A mój tatko ma ścianę drogim obrazem zasłoniętą – Inek zarzucał przynętę z dala od uszu gorliwych nianiek.

– Tak? A mój ma monety w złocie bite – licytowała się podpuszczona siusiara.

– Sama jesteś bita – wyrachowany jak na swój wiek Innocenty nie dawał wiary.

– Sądzisz, że zmyślam? – podnosiła głos oburzona. – Na własne oczy widziałam.

– Że niby ci je pokazał?

– A gdzie tam. Widziałam, jak je chowa w skrzyni pod pościelą.

Więcej wiedzy nie było nam trzeba. Wystarczyło już tylko wysledzić papłę odprowadzaną przez opiekunkę do domu, poznać adres, pod którym skarb się znajduje, i tego samego wieczora zdać stosowny raport komu trzeba.

Szybko na mieście się opatrzyliśmy i duetowe ksywy się do nas przyplątały, Szkoc i Szajgec za nami wołali. Szkoc oznaczał zdolnego, zaradnego asiora^[17], a Szajgec nicponia, wiercipiętę migdała^[18]. Wśród pomysłowych blatnych^[19] zabrakło jednak zgody, który z nas jest bardziej Szkocem, a który Szajgcem, tak że wedle własnego widzimisię każdy jak chciał, tak się do nas zwracał.

[1] Stuchujnica – prostytutka o najniższym statusie. (Wyrazy wymagające wyjaśnienia są opatrywane przypisem przy pierwszym wystąpieniu. Dodatkowo wszystkie te określenia Czytelnik znajdzie w Słowniku na końcu książki – przyp. red.).

[2] Dulec – papieros.

- [3] Kucza – mały, ciemny pokój.
- [4] Kimiza – koszula.
- [5] Szucher – okrzyk, krzyk.
- [6] Koliba – łóżko.
- [7] Pinkiel – problem.
- [8] Dydochy – piersi.
- [9] Tamowaty – małomówny.
- [10] Grumać w szory – grać w karty.
- [11] *Drejdl* jid. – bączek, gra hazardowa.
- [12] Mamzela – najtańsza prostytutka.
- [13] Benklarz – oszust grający w trzy karty i inne gry.
- [14] Picer – oszust.
- [15] Z abarotem – z powrotem.
- [16] Bajtel – dziecko.
- [17] Asior – zuch.
- [18] Migdał – łobuz.
- [19] Błatni – ludzie marginesu, kryminaliści.

ŁOKIEĆ

Po robocie dla starszych szlajaliśmy się po podwórzach, wymyślając coraz to głupsze zabawy. Wredne z nas były gnoje, pomysłów mieliśmy co niemiara. A to spuściliśmy powietrze z opon, a to psie gówno w skrzynce na listy zostawiliśmy, normalnie ubaw po pachy. Zazwyczaj cudza szkoda cieszyła nas tak samo, jednak z czasem jakby przestała Ineckowi radości dostarczać. Coś go wyraźnie dręczyło, coś poważnego. Pewnego dnia wręcz przyparł mnie do ściany:

– Ładek, tutaj nikt nic nie wie, czy mowę wszystkim odebrało?

– To zależy – odpowiedziałem przytomnie, uznając uliczne zasady. – Kolego – pogroziłem srogim paluchem – o pewne sprawy w Ścieku nie pytamy.

Zły byłem, że zamiast do mnie z niewiedzą uderzyć, po obcych z pytajnikiem latał. Spojrzałem na niego, opuścił wzrok i głowę w dłoniach schował. Raz dwa do mnie dotarło, że niewłaściwie go potraktowałem. Zmieniłem ton z szorstkiego i spytałem przyjaźnie:

– A co ciebie tak ciekawi?

Tego, co odpowiedział, na pewno się nie spodziewałem:

– Nie jest mi źle w burdelu, za kołnierz nie pada, bywa, że i pod mordę mam czasem podane, ale jak dziwek pytam, skąd się wziąłem, wszystkie język w gębie tracą. Kujawską zaczepiłem, też po pysku zebrałem. Z klientami nie pogadasz wcale.

– Kiedy ja nie wiem. Wiesz, że ja nie wiem – broniłem się szczerymi

słowami.

– Ale znasz tego Tasiemkę, wiesz co to za jeden i zaprowadzisz mnie do niego. Wszyscy się boją, a ja się nie boję. On przede mną odpowie – wydarł się prawie, aż mnie замуrowało.

Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby oprzytomnieć, potem ze śmiechu prawie płakałem. Mój rozkoszny małaletni kolega żądał wyjaśnień od kierownictwa bandy, od samego Taty.

– Głowa z dupą miejscami ci się pozmieniały – kpiłem, ledwo dech łąpałem.

Winien mu byłem jednak wyjaśnienia, wyraźnie nie wiedział, na kogo się czai. Wy tłumaczyłem, że choć Tasiemka na pewno doceniłby jego odwagę, to raczej szybko by go odprawił. Mimo iż przezywali go pociesznie, Łukasz Siemiątkowski nie uchodził za przyjaznego, nie był człowiekiem delikatnym. Jako radny Powązek zainteresował się bandyctwem, obserwując zwyczaje panujące na targowisku przy trójkątnym placu Parysowskim. Każdej jesieni zjeżdżały tam furmanki chawornych^[20] chłopów handlujących najsmaczniejszymi kartoflami. Tasiemka zauważył, że skoro najlepsze bulwy pochodzą z gleb piaszczystych znajdujących się po prawej stronie Wisły, to sprzedających je handełesów^[21] musiało być stać na kosztowną przeprawę do śródmieścia. Policyjne przepisy wymagały wówczas, by bałaguły^[22] przejeżdżające przez stołeczne mosty miały koła obite gumą, a konie podkute były gumowymi wkładkami – na taki luksus tylko majątny Żyd mógł sobie pozwolić. Skoro chłopci mieli monety w nadmiarze, Siemiątkowski uznał, że mogą się z nim podzielić.

Na bazar docierał z domu wąską ulicą Parysowską lub prostopadłą do niej Szczęśliwą, zabudowaną kilkoma wielkimi kamienicami. Centralną budowlą targu był murowany barak mieszczący jatki pełne mięsa z uboju rytualnego. Niektórzy nazywali to halą, zwłaszcza ci, co w życiu porządnej hali nie widzieli. W pewnym momencie budynek popadł w takie zaniedbanie, że aż strach było

z niego cokolwiek kupować. Tam właśnie Tasiemka pierwszy grubszy pieniądź uciułał. Właściciele jatek bulili mu za przymuszanie niezdecydowanych klientów do zakupu mięsa z podupadającego baraku.

Potem układało mu się tylko lepiej, domy gry, burdele, bazary. Haracze pobierał gdzie tylko wzrokiem sięgał. Jego banda rosła, a miasto coraz bardziej po nogawach srało.

Koniec końców obiecałem jednak Inkowi dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat. Właściwie to nie mógł z zapytaniem pod lepszy adres niż na Twardą trafić. Mój dziadek, Odolan Lajzer, nadwiślański apasz^[23], jak nikt inny kronikę stołecznej bandytyry nosił w małym palcu. Sam o sobie opowiadał, że przyszedł na świat w rodzinie z długimi tradycjami todresu^[24], gdzieś na kamionkowskiej łąsze, szumnie Wilczą Wyspą zwanej. Właściwej daty tego przyjscia nie znał, ile ciotek, tyle wersji stało. Powstania listopadowego nie miał prawa pamiętać, styczniowe już bardziej. Jako że sędziwego herszta Lajzera był synem, to od małego przyuczkę pobierał we fachu. Widział, jak starsi przenosili na lewy brzeg wódkę, tytoń i tanią herbatę. Po krze, pod osłoną nocnej zawieii, przez komety^[25] żadne nie dybani. Wcześniej zaczął todreśnikom pomagać, twierdził, że dawał radę. Niestety, niedługo po tym, jak dorósł, w Ścieku zmienił się przepis akcyzowy i dziadek Dolek zmuszony był inne zajęcie sobie znaleźć.

Jako szychciarz^[26] bez znajomości pożytecznego zawodu zamieszkał na Kamionku w schronisku Polus, do którego nawet uzbrojeni mundurowi się nie zbliżali. Ma się rozumieć ze strachu. W nowym środowisku szybko dołączył do tak zwanych Kotleciarzy, okolicznych awanturników, co dla przyjemności na bakier z dobrym obyczajem stali. Byli to co prawda chłopcy z zasadami, ale na co komu takie zasady, skoro pożytek z nich marny. Zamiast całymi dniami gwizdać na dziewczyny i wymachiwać bez celu łapskami, dziadek Dolek, jako że młodziak był nawet zaradny, zaczął szukać sobie pracy. Wraz z Krukami, bandą wyjętych spod litery prawa mordobijców i włamywaczy, urządzał wypadki do

miasta, skąd wracali na Kamionek z niemałymi łupami. Podczas jednego z takich wyskoków zaznajomił się z kim trzeba i posady między stołecznymi straganami się dochrapał. Wymuszoną opieką otaczał kupców z Pocijowa, niewielkiego targowiska po parzystej stronie ulicy Bagno.

Niestety, jaki adres, tak się sprawy mają. Bazar był to najgorszy w mieście, bez szans na poprawę. Całoroczne błocko po kostki i smród do zniesienia niemożliwy co przyzwoitszych klientów skutecznie odstraszały. Handel używanymi przedmiotami z drewna i żelaza miał się tam jeszcze w miarę stabilnie, jednak stragany oferujące pościel po zmarłych nie cieszyły się oczekiwanym braniem. Resztkami funduszy stałych bywalców Pocijów jakiś tam dochód przynosił, tak więc w oczach apaszy, jak każdy inny żłób^[27] w Ścieku należytej opieki wymagał. Dziadek do wybrednych nie należał, zajął kwaterę w hardydze^[28] w okolicy żłobu, uznał, że tak będzie dla niego bezpieczniej i taniej. Była w tym szczypta rozumu. Jako czomp^[29] chodzący do niedawna w porucie^[30] nie mógł znaleźć dla siebie lepszego miejsca na stołecznej ziemi. Wiele lat wcześniej, kiedy tutejsze władze zakazały Żydom zamieszkiwania lokali Starego Miasta oraz innych egzymowanych^[31] ulic, powstał hermetyczny rewir, na terenie którego przesiedleńcy ustanowili swoistą enklawę. Okolica wartko się rozrosła i z czasem jej rozwój ograniczały jedynie mury Cytadeli. Teren dzielnicy północnej był niewyobrażalnie przeludniony, ciasnota panowała taka, że niektóre izby zamieszkiwało jednocześnie nawet po dziewiętnaście osób, ale i korytarze czy werandy mieściły niewybrednych lokatorów. Nietrudno było się tam ukryć pospolitemu kryminaliście, nawet bezbożnemu.

To miasto nie kryło przed dziadkiem tajemnic, nie znałem nikogo innego, kto w ściekowym bandyctwie lepiej niż Dolek byłby zorientowany. Obiecałem powierzyć mu dziurę w brzuchu, o ile wieczorem w domu go zastanę.

Tego dnia akurat szczęście mi sprzyjało, nie dość, że przytuliłem monetę nawet sporą, to jeszcze dziadka doczekałem. Wrócił wcześniej niż zazwyczaj, ale

tak samo pijany. Wspaniale się zatem złożyło, gdyż po kielichu bardziej był skłonny do gadania. Matka nigdy tego nie pochwałała, on nie zwracał na nią uwagi. Kiedy wreszcie zapytałem o Inka, powiedział, że wie niewiele, że znajda i o ile można kurwom wierzyć, to żadna z nich go nie znalazła. Nie znalazł go też Tasiemka, lecz jego równiak serdeczny, niejaki Józef Łokietek, co najmniej tak samo szemrany^[32]. Że w innych interesach robił, nie miał dla malca dachu, więc poprosił Siemiątkowskiego, by ten coś dla chłopca znalazł.

Niewiele o tym Łokciu słyszałem, wstyd było przyznać, bo prawie wcale, ale podobne zachowanie w ogóle do bandyty mi nie pasowało. Dziadek mało się nie obraził, jakbym nie dawał mu wiary, a przecież złego zamiaru nie miałem. Na wstępie opowiedział, że Łokietek ma wśród swoich olbrzymie poważanie, przez chłopaków z miasta „Doktorem” albo „Rebe” wołany, bo ponoć niepitrowaty^[33]. Zaczął mi tłumaczyć, co mu się wydaje:

– Widzisz Ładuś, taki mały Judel, prosty syn tomaszowskiego kowala Chajma Joska Łokcia, już w twoim wieku zapadł na socjalizm, a winni temu byli bojownicy partii, którzy przeprowadzili nieudany zamach na rewirowego w Tomaszowie Mazowieckim i podczas ucieczki ukryli się w miejscowym chederze. Kiedy weszli do budynku, gromki rejwach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki umilkł. Wystraszony błądy mełamed z trudem zebrał w sobie wystarczająco odwagi, żeby nieproszonych gości o cel wizyty bez owijania zapytać:

– Pogrom?

Tak postawione pytanie, choć nie bezpodstawne, rozbawiło przybyłych. Jeden z nich odpowiedział kojąco, niby to nauczycielowi, ale w formie do wszystkich:

– Nic nie bójcie, nikomu nic się nie stanie.

Nie minęła dłuższa chwila, a jego kompan, rozglądając się nerwowo po sali, zrewanżował się pytaniem:

– Jest tu jakie insze wyjście?

Cisza. Nie była ona podszyta niechęcią do współpracy, wynikała raczej z nieufności wobec nieznanym.

– Mówcie! – ponaglił podniesionym głosem, poirytowany brakiem odpowiedzi zamachowiec.

– Chodźcie ze mną.

Z rzędu mycatych^[34] główek wyrósł nagle jeden, kojdy^[35] łoszka^[36]. Machnął na bojowników grabiączką^[37], żeby poszli za nim i wyprowadził towarzystwo na tyły posesji. Stamtąd labiryntem krętych podwórek pokierował wycieczkę bezpiecznie pod łoks^[38] za miasto, uklonił się nisko i dumny z popełnionego uczynku oznajmił, że już powinien wracać. Co usłyszał w odpowiedzi, pomyślał, że mu się zdawało:

– Nie możesz! – zareagował stanowczo na próbę samowolnego oddalenia jeden z bojowników i chwycił Judela za dziecięcą chałate^[39]. – Dzięki ci wielkie, że nam pomogłeś, wielką przysługę oddałeś, ale pół miasta nas razem widziało i gdybyś teraz wrócił, to od razu na nasz trop trafią. Musisz iść z nami.

Drugi, widząc zdziwione zerki^[40] chłopca, dodał:

– My jesteśmy chłopaki z PPS-u. Słyszałeś?

Młodzieniec, trzymając rezolutnie wysoko postawione czoło, mrugnął jedynie twierdząco.

– Boisz się?

– Ja niczego się nie boję – odpowiedział, więc go porwali.

– Porwali? – zaciekawiony dalszym ciągiem na poważnie dziadka zapytałem.

– No porwali – wiedziałem, że robi to specjalnie, w ramach nauki się ze mną drażnił.

– I?

– I zadbali. Obiecali, że jak tylko będą bezpieczni, to sprawdzonym sposobem przekażą rodzicom chłopca wieści o jego losie. Wszystko w swoim czasie, byle cali do kryjówek dotarli. Gdy doczłapali łoksami do Łodzi, dla Judela

życie zaczęło się na nowo. W dużym mieście, w zwykłej szkole, wśród ludzi o twardym charakterze i pięściach twardych. Niedługo sam od nich nie odstawał. Jeśli tylko zebrało się komuś na żarty, na przykład z jego kiepskiej znajomości języka polskiego, zaraz dawał pokaz wyborych umiejętności, ma się rozumieć bokserskich. W chwilach wolnych od socjalizmu tudzież transportowania bibuły młody Judel szlajał się to tu, to tam po łódzkich rewirach i poznawał coraz to bardziej interesujące miejscowe przypadki. Bez wątpienia najciekawszym z nich okazał się równolatek Łokcia, lokalny wiatrak zaprawiony w apasnym temacie, Menachem Bornsztajn, syn Benjamina i Maszy, Ślepym Maksem na bałuckiej Wąskiej obwołany. O nim też nie słyszałeś?

Tylko głową na boki pokręciłem. Szybko dziadek sprowadził mnie na ziemię, jak się okazało znałem świata niewiele poza obrębem naszej bramy.

– Menachem karierę na ulicy zaczynał od żebrania pod kościołem. Może dziesięć lat miał, gdy jego ojciec, co na skraju chodnika gnypy^[41] ostrzył, został potrącony bryczką powożoną przez Arona, syna znanego bogacza Abrahama Goldberga. Aron, wściekły, zaczął batem okładać rannego, pałką jeszcze żandarm doprawił i tak ojciec Menachema, o bruk łokciami podparty ducha wyzionął. Matka Maksa szukała sprawiedliwości w gminie żydowskiej, w cyrkule, a nawet u ojca sprawcy, ale nic z tego nie wyszło. Władze wszelakie sprawę uznały za wypadek. Pożyteczną lekcję na przyszłość mały Menachem Bornsztajn wyciągnął z tej tragedii, i ty ją sobie zapamiętaj – ubodzy nie mają żadnych praw – powiedział i ziewnął.

– Zapamiętam – przytaknąłem szybko i posłusznie, nie chciałem, by dziadek kładł się spać.

– Gdziekolwiek Menachem był – dziadek Dolek kontynuował – rozpowiadał, że funkcjonariusz na służbie ojca mu zabił. Dotarło to w końcu do uszu żandarma. Chciał bajtla uciszyć, więc go wysłedził i zaczął lagą okładać. Na miejscu bójkii Staszek Poneta, kolega Maksa z podwórka się pojawił. Pomagając swojemu funflowi^[42], dźgnął żandarma nożem. Ten zachwiał się i upuścił pistolet pod ligary^[43] Bornsztajna. Maks złapał broń, by jednym celnym strzałem

ojca pomścić. Po raz pierwszy zabił.

Dziadek zawiesił głos, jakby chciał podkreślić powagę sytuacji. Nie wiedziałem tylko, czy przed mundurowymi mnie przestrzega, czy też małolatów chwali. Wyciągnął papierosa, powolnie podpalił, zaciągnął się dymem, po czym pół kamienicy obudził swoim głośnym kaszlem. W odpowiedzi na obelgi, które w jego kierunku zewsząd się posypały, podszedł do okna w kuchni, otworzył je na oścież i na całe podwórze zaczął kaszleć. Resztę zrobiło echo. Ludzie zaczęli drzeć na siebie mordy, obwiniając się wzajemnie o prowokowanie zgryźliwego starucha. Mama na jego złośliwości dawno już nie reagowała, a ja właśnie takiego go uwielbiałem. Palił, więc kaszłał. Kaszłał, więc palił. Zamknął okno, dopiero kiedy to jemu hałas zaczął przeszkadzać. Wrócił do pokoju, a ja, żeby przypadkiem satysfakcją przepelniony spać się nie położył, na ten tychmiast czujnie do siebie go zawołałem:

– No i co się działo dalej? – nie zamierzałem dać mu spokoju, nie chciałem.

– Dalej? – zapytał zdziwiony. – A, dalej – zaraz mu się przypomniało. – Dalej, proszę ja ciebie, to się okazało, że w wyniku szarpaniny z mundurowym mały Bornsztajn oko stracił. Ale nic to, nijak się nie użalał. Oko stracił, przyjaciela zyskał. Poneta stał się jego zaufanym, został nawet prawą ręką Maksa. Reszta migdałów z ich ferajny to: Fajwel Bucik, Szaja Magnat i Szmul Rozenberg, z czasem dołączył do nich nowo poznany, przyjezdny Łokieć. Chłopcy zebrali razem pod kościołami, aż przygarnął ich do roboty tajemniczy paser i arcybuchacz^[44] znany jako Galech^[45] Natan. Były mnich klasztoru kamedułów, co habit zrzucił i na drogę występku wstąpił. Świetnie znał jidysz, mimo że nie był Żydem. Na Bałutach, największej wsi Europy, czuł się jak u siebie. Nastoletnich adeptów fachu złodziejskiego wprowadził do zawodu i nauczył skutecznie chobnie^[46] kombinować, na przykład piórem w smole umoczoną wyciągać ofiarę z kościelnych skarboniek. Ulica, a zwłaszcza bałucki rynek targowy okrzyknął młodocianą bandę Dardanelami, gdyż chłopcy doili tamtejszych kupców, jakby ci byli jakimiś osłami dardanelскими. Dardanele poświęcili się złodziejstwu i paskarstwu^[47] bez reszty, ludzie bulili im posłusznie,

wiedząc, że szpital wyższe rachunki wystawia. Bałuccy dusiciele przepadali wręcz marnować wolne chwile w łódzkim szynku Kokolobolo, na który po swojemu Kokolewole mówili. Kokolobolo znaczyło tyle co „Nie wiem”, nazwa w sam raz dla niepozornego drewniaka, w którym niestworzone historie się działy. Tam, na rogu Wschodniej i Pomorskiej, raz na przykład szajka Rudego Rubina zadźgała niejakiego Przytulnika, draba jakich mało. Przyglądali się temu Pejsach Mamyłuk, Szaja Bokser, bogacz o szemranym usposobieniu Mojsio Pojto, wszyscy Dardanele oraz wielu innych bandytów, którzy w cudze sprawy się nie miesza. Kiedy policja w toku dochodzenia każdego z nich pytała, co zaszło, jednym głosem odpowiadali:

– Panie władzo, Kokolobolo.

– Kokolobolo – powtórzyłem, jakby zakłęcie jakie.

Dziadek Dolek pogłaskał mnie po czubku głowy, a że widział przynajmniej dwie takie, dopiero za drugim podejściem we właściwą trafił.

– Dobra, Ładuś, ty nie piłeś, czas się kłaść – próbował postawić na swoim.

Niedoczekanie. Wstałem z łóżka, pobiegłem do kuchni i po chwili wróciłem z butelką jego ulubionego ciepłego, ciemnego piwa. Postanowiłem, że będzie pił dalej. Będzie pił i opowiadał. Uśmiechnął się do mnie i odkapslował butelkę obręczką. Tę niezwykłą umiejętność naprawdę u niego podziwiałem.

– Pewnie nie lada chęwre[48] z łódzkimi gangusami by zmontował, gdyby nie jeden taki incydent, co mu przyszłościowe zbełtał plany – dziadek wziął zbyt głębokiego grzdyla i wzburzoną browarem oblał sobie niemal całe ubranie. – Któregoś dnia rozpoznał go na ulicy tomaszowski melamed, gdy do famuły[49] na dzień przyjechał, więc zaistniało ryzyko, że do policji carskiej doniesie, a ta wznowi dochodzenie i dobierze się bojowcom do skóry. Judel nie zastanawiał się długo i w imię koleżeńskiego dobra czmychnął niepostrzeżenie do Warszawy. W tym czasie biedny stary Chaim Josek rozповідаł po Tomaszowie, że PPS-iaki syna mu ubiły, chociaż może najzwyczajniej wstydział się do prawdy

przyznać. Tego nie wiem.

– I tak wyjechał? Tak zwyczajnie? – nie mogłem uwierzyć, że takie Dardanele można bez żalu zostawić.

– Łódź podobno opuścił bez sentymentu, może tylko za Maksymem tęsknota go brała, ale nie krył, że poza przyjaciółmi nic go tam nie trzymało. Miał dosyć prowincjonalnych partyjniaków i nadmiernie syjonistycznego miasta. U nas, w społeczności żydowskiej z miejsca dostał robotę flaczarza i dostarczał piątą ćwiartkę wołu^[50] do jatek przy Janaszu. Szybko dał się poznać z najlepszej swojej strony. Tuż po przyjeździe do stolicy w jednej z restauracji na Krochmalnej wdał się w pyskówkę z udujdzianym^[51] rewirowym, który pracując tam Żydówkę obrażał. Od słowa do noża i rewirowy przeszedł do historii. W okolicy wybuchła panika, ludzie porzucili handel i rozbiegli się. Po chwili na miejsce przybyły siły policyjne i wojskowe. Hurgotali^[52] do drzwi i okien, wypytywali: Kto? Jak? Nikt nic nie widział, pary z gęby nie puścił. Nikt go nie znał, Judel zniknął. Nie twierdzę, że on to zrobił. Możliwe, że bał się oskarżenia, był acher^[53], nikomu by nie było go...

Zasnął w pół słowa, na siedząco. Zdarzało mu się to już wcześniej, znaczyło, że od rana zmęczył przynajmniej dwie wyższe flaszki. Ja, choć nienasycony, nie miałem sumienia dłużej się nad nim pastwić. Nie starczyło mi też niestety siły, by zdjąć z dziadka, co miał mokre od piwa, więc otuliłem go grubym kocem, ciepłym, chociaż łatanym. Sam wśliznąłem się pod kołdrę i przykryłem po same uszy. Zimno zrobiło się w naszym mieszkaniu od tego sąsiadów wkurwiania.

Kiedy ich kłótnie za oknem przestały mnie rozpraszać, zacząłem sobie wyobrażać, że pewnego dnia z Ineczkiem takie Dardanele mieć będziemy i że też na swojego Galecha Natana trafimy. Takich ściekowych Bucików, Magnatów, Rozenbergów. Kokolobolo własne. Tylko jedna myśl nie dawała mi spokoju, żebym przy tym wszystkim nie musiał oka stracić. Nieważne którego, obydwaj, choć chore, lubiłem tak samo. Może lewe trochę bardziej. Strasznie mnie od tych

marzeń rozbolało.

[20] Chaworny – bogaty.

[21] Handełes – pogardliwie handlarz.

[22] Bałaguly – wozy żydowskie.

[23] Apasz – bandyta, ulicznik.

[24] Todres – przemyt, przemycany towar.

[25] Kometa – strażnik.

[26] Szychciarz – włóczęga.

[27] Żłób – bazar.

[28] Hardyga – stary dom.

[29] Czomp – bandyta.

[30] Chodzący w porucie – człowiek poszukiwany przez wymiar sprawiedliwości.

[31] Egzymowana ulica to taka, na której nie wolno było mieszkać Żydom.

[32] Szemrany – doświadczony.

[33] Niepitrowaty – niegłupi.

[34] Mycata głowa – głowa w mycce, a więc żydowska.

[35] *Kojdym jid.* – odważny.

[36] Łoszka – chłopiec.

[37] Grabiączka – ręka.

[38] Łoks – las.

[39] Chałata – rodzaj płaszcza noszony przez Żydów na wschodzie Europy.

[40] Zerki – oczy.

[41] Gnyp – nóż.

[42] Funfel – kolega.

[43] Ligary – nogi.

[44] Buchacz – złodziej.

[45] *Galech jid.* – pogardliwie ksiądz.

[46] Chobnie – pieniądze.

[47] Paskarstwo – nielegalny handel po zawyżonych cenach towarów, których brakuje na

rynku.

[48] Chewra – banda.

[49] Famuła – rodzina.

[50] Piąta ćwiartka wołu – flaki.

[51] Udziudziany – pijany.

[52] Hurgotać – stukać.

[53] *Acher* hebr. – obcy.

STOWARZYSZENIE TRAGARZY

Następnego dnia rano zdałem sobie sprawę, że nie uzyskałem od dziadka żadnej, choćby wymijającej odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie. Co gorsza, wcale się na to nie zanosilo, na pewno nie zwawo. Nie mogłem się taki nic niewiedzący Inkowi pokazać, nie wypadało. Z samego rana poszedłem więc po sposób do głowy, a właściwie to do pobliskiego browaru na Śliską mnie zaniósł. Zmuszony byłem nabyć tam eliksir, dzięki któremu łatwiej było dziadka w domu zatrzymać. Za własne skrzynkę ciemnego, kapslowanego piwa zakupiłem i cudem na Twardą dotargałem. Nie należałem do silnych siedmiolatków, o ile w ogóle tacy bywają. Obawiałem się bardziej, żeby mnie na ulicy nie okradli. Gdybym był starszy, sam siebie bez skrpułów bym opierdolił.

Obróciłem w tę i z powrotem na tyle zgrabnie, że chrapiącego Dolka jeszcze na krześle zastałem. Mama – a trzeba wiedzieć, że z pierwszym promieniem słońca wstawała – dawno już przebierała włoszczyznę na pobliskim bazarze. Nie jedną sąsiadkę wczesnym na żalnik^[54] przybyciem pewno zawstydziła.

Otworzyłem pierwszą z butelek i podstawiłem dziadkowi pod nos. Wołałem być delikatny, i tak już miałem wobec niego niecne zamiary. Odrobina ulatniającego się gazu podrażniła mu chrapy. Kichnął sobie do flaszki, a po chwili uniósł powieki zaspane.

– Dobrze dziadek spałeś? – rozbawiony zapytałem.

– Ładeczek, paprochu, jak się z nestorem postępuje? – niby niezadowolony odpowiedział pytaniem na pytanie. Rozejrzał się dookoła, po czym zabrał mi z ręki piwsko, gołnął sobie treściwie i sam sobie odpowiedział. – Zgrabnie.

Przez kilkanaście kolejnych godzin, a właściwie przez dzień cały, drażyłem mu dziurę w brzuchu, by dowiedzieć się tego, o co dzień wcześniej pytałem. Na całe moje szczęście dobrze podlany dziadek skory okazał się do gadki. Bywały przecież takie dni, kiedy z nikim nie zamienił słowa. Żadnego dzień dobry, dziękuję, spierdalaj – zamykał się w sobie i tyle go słyszeli. Tego dnia było inaczej, być może pomyślał, że mi na nim zależało. Wystarczyło tylko, że wypomniałem mu brak zakończenia, a rozpruł się jak miękki przesłuchiwany. Odpowiadał barwnie na każde moje pytanie.

Z każdym wybełkotanym przez niego zdaniem dowiadywałem się więcej i więcej. Pytałem coraz rzadziej, samo się napędzało. Z jego opowieści wynikało, że już tydzień po domniemanym ubiciu rewirowego młody jeszcze wtedy Łokieć pojawił się na mieście w towarzystwie ludzi Wewego. A o tym człowieku, ponoć niektórzy nazywali go też Wewcze, nikt nie wiedział nic na pewno. Jak to zwykle bywa, mieszkał tam, gdzie rządził. Z jego okna w kamienicy przy placu Grzybowskiem siedem, rozciągał się widok na kościół Wszystkich Świętych oraz domy modlitewne ortodoksyjnych chasydów. W zasięgu wzroku miał również odchodzące od placu uliczki, słynące z dobrej jakości wyrobów żelaznych, gwoździ, śrub, a nawet artykułów elektrycznych i elementów wyposażenia łazienek. Okolica była wówczas przemysłowa, a mimo wszystko z charakterem. Niegdyś pośrodku placu stał budynek pełniący funkcję ratusza grzybowskiego, ale po likwidacji jurydyk szybko zaadaptowany został pod więzienie. Z czasem zlicytowany mamer^[55] podzielił los poprzedniego urzędu i ustąpił miejsca kolejnemu żłobowi. Dlatego w barłogu^[56], „iść na Grzybów” jako „iść za kraty” się utarło.

Parter kamienicy pod siódemką, jak zresztą wszystkich wokół, zajmowały

haryndy[57]. Kantor spedycyjny Baumberga, Mayzla i Rosena, pracownia haftów angielskich Eleonory Basis, przybytek Felsa i Handtkiego oraz jedyna w okolicy pralnia chemiczna. Wewe lubił wychodzić z domu wprost do labiryntu zaułków i umownych ścieżek Grzybowa. Każdy swój obchód rozpoczynał od niewielkiego żłobu założonego przez Icka Borowskiego w mrocznym i wąskim podwórzu dwupiętrowej kamienicy przy Twardej jeden. Przechodziło się tamtędy z placu Grzybowskiego wprost na Pańską. Nierzadko taka przeprawa kończyła się tragicznie, gdyż zatłoczoną bramę przy Twardej krawcy[58] z całego miasta sobie polecali.

Choć niewielki, bazar ten był świadkiem wielu okrutnych historii. Co najciekawsze, nie miały one nic wspólnego ze złodziejstwem, raczej o przykre w skutkach sprzeczki handełesów chodziło. Na małej przestrzeni ściśnięci, przez cały dzień tyrając, dostawali małego rozumu i skakali sobie do gardeł. Raz na przykład dwie przekupy o byle co się poróżniły, niestety ich awantura wcale nie byle jak się zakończyła. Hadra[59] Rywka Moszkowiczowa Dorę Zajdengartową pchnęła w pierś starym gnypkim do czyszczenia rybich łusek, po czym przez nikogo niepowstrzymywana opuściła stragan i nigdy na Twardą nie wróciła.

Wewe zaglądał tam codziennie, bynajmniej nie po zakupy. Borowski Icek chwalił sobie opiekę Wewego i chętnie dolinę[60] bandyty wypełniał. Przy tym zawsze ucinali sobie przemiłą pogawędkę. Wewe, choć kawaler trzech liter[61], nie ustępował manierami dobrze urodzonym kupcom. Legenda głosiła, że pochodził z żydowskiej arystokracji, lecz związał się z półświatkiem i dzięki swojemu taktowi oraz mądrości został jego przywódcą. Słyszałem, że był wyjątkowo blady, miał czarujące, ciepłe bałuchy[62], delikatne dłonie i trójcę[63] jak jaki aktor. Cichy, grzeczny i opanowany, wielka władza biła z jego postawy. Słyszał z opieki roztaczanej nad miastem, kto tylko potrzebował, mógł u Wewego o pomoc prosić. Nie było dla niego spraw niegodnych uwagi, nawet najmniejszy dług wdzięczności znaczył dla niego więcej niż sowita zapłata. Roztropnie starał

się przysługą posługiwać, nie ufał tylko narkomanom i czerniakom^[64]. Kazał swoim łobuzom sprawdzać każdego, kto miał czelność zawrócić mu głowę.

Pojawiał się rzadko i tylko w ważnych sprawach, ale nigdy sam. Zawsze towarzyszyło mu przynajmniej dwóch najbardziej oddanych: Rafael Dajan^[65] i Szymele Blacharz. Rafael, jak tamowaty Wewe, barłoczył^[66] niewiele, jednak każde wypowiedziane przez niego wysokim głosem słowo było przemyślane i wyważone. Starszy, o czarnorudej zadbanej brodzie, zawsze wsparty na grubej lasce stał na straży zasad grupy jako jej ostoja i autorytet. Blacharz natomiast stanowczo odstawał od kierownictwa szajki. Niewysoki, klawo^[67] zbudowany, przeważnie ubrany w średniej długości płaszcz był postrachem i dumą żydowskich rewirów. Jego bezczelne, roześmiane oczy wciąż^[68] wędrowały niespokojnie, szukając powodu do draki. Chojrak z niego był taki, że nie bał się sam na dwudziestu chłopów wystawić, jeśli tylko zaszła potrzeba, a jak noża nie miał, to i tulipanem nie pogardził. Nikt Wewemu i jego kiczom^[69] przez Blacharza prowadzonym nie śmiał wejść w paradę. Właśnie z Blacharzem zaczął prowadzić się Judel i do roboty flaczarza już nie wrócił.

Choć na Janaszu, jak i całym Grzybowie, było zajęć co nie miara, młody Łokietek nie zapomniał, po co do Warszawy przyjechał. Zapisał się do partyjnej bojówki PPS-u i liczył na rychłą karierę w strukturach organizacji. Mój dziadek opowiadał, że było go wszędzie pełno, że z każdym dniem spędzonym na przyuczeniu u Blacharza rósł w coraz większą pychę. Chodziły słuchy, że przekładało się to na jego opinię w partii. W trakcie zebrań przyjmował pozę bezkompromisowego i silnego człowieka czynu. W przeciwieństwie do przywódców zgromadzenia, którzy starali się zachować umiarkowaną dyskrecję, Judel przekonywał zebranych, że jest człowiekiem zdolnym wykonać każdy surowy wyrok. Gadano, że uczęszczał na zajęcia w szkole chemicznej tylko po to, żeby nauczyć się konstruować niezawodne bomby. Z czasem jego zachowanie przestało być gówniarską demonstracją siły, stał się bezczelny

i dlatego nie był lubiany, chociaż nikt nie miał odwagi mu tego okazać. Pewnego pięknego dnia, kiedy Szymele Blacharz szedł odwiedzić matkę, znalazł się jemu podobny odważny i zostawił gangstera na trotuarze^[70], rozprutego wszere z wypadniętymi flakami.

Młody Judel zajął miejsce po lewej ręce Wewego i choć wielu podejrzewało go o zamach na życie Blacharza, nikt niczego mu nie udowodnił. Przerazał ludzi, na oczach wszystkich bawił się srebrnym naganem. Karpaczyć^[71], choć miał z czego, nie karpaczył – zanadto lubił awantaze na kułaki^[72] rozwiązywać, żeby bronią palną ciężko wypracowaną renomę plamić. Potrzebował zwady jak tlenu. Jeśli żadna chryja nie wisiała w lufcie^[73], on już wiedział, jak się o odpowiednią zatroszczyć. Najłatwiej było na żydowskiej „giełdzie”, tam wszyscy już w nastroju do mordobicia zachodzili. Po południu albo wieczorami chodniki bocznych uliczek dzielnicy północnej wypełniały dziesiątki, a nawet setki robotników i innych partyjnych mandatariuszy. Spotkania były jawne, z wypiekami na churośnych^[74] facjatach dyskutowano o zajściach na łonie poszczególnych partii, a polityczna „giełda” nawet do późnych godzin nocnych trwała.

Łokieć za potrzebą chadzał na Dzielną, gdzie przeciwległe trotuary dwie różne „giełdy” zajmowały. Po jednej stronie syjonistyczny Poalej Cijon urzędował, a po drugiej gościli asymilatorzy z Bundu. Judel jako PPS-iak do Bundu oczywiście nie należał, ale że bliżej mu było w poglądach do tej partii, to zawsze po jej stronie przy wywoływaniu burdy stawał. Wystarczyło mu dwa, może trzy nieuprzejme zdania na drugą stronę ulicy cisnąć, żeby nie byle jaką kopanię sprowokować. Najpierw wszyscy bajnerkami^[75], butelkami i co tam jeszcze pod grabiączką było, w zbijanego grali, a kiedy brakło improwizowanej amunicji, dwie potężne masy nacierały na siebie z wiąchą na ustach. Łokieć zawsze na czele swojej grupy, oba mankiety zakasane, kojma^[76] za paskiem z tyłu sztanów^[77]. Rozróżba w zależności od frekwencji trwała do czasu, aż po

jednej ze stron zostały wyłącznie kobiety do odciągania na bok nieprzytomnych towarzyszy albo przyjechali konni motłoch niekulturalny rozgonić. Wyższe stołki z Bundu osobiście do Łokcia po prośbie się fatygowały, ażeby praktyk swoich zaniechał, bo opinia prowokatora w dobre imię partii godzi. Przyjmował ich na Krochmalnej, w swojej ulubionej kirzanie^[78], „Sztamacji”^[79], otwartej nieopodal browaru Haberbuscha i Schielego, prowadzonej przez sympatycznego Żyda Izraela Kona. W tej samej spelunie, w której niegdyś pijanego rewirowego zgładził.

W ogóle mnie to nie dziwiło. Krochmalna słynęła z byle jakich lokali. Wśród nożowników, paserów i innych bandziorów największą popularnością cieszyły się piwiarnie i bary. Pod Bazarem ze swoją salą bilardową, Pod Piątką, gdzie krupnik z dróbką serwowali, czy speluna U Moszka, zawsze szumowin pełne były. Krochmalna nie uchodziła nigdy za ozdobę stolicy, nietamtejsi raczej szerokim łukiem ją omijali. Brzydka, brudna i zaniedbana. Jej mieszkańcy największy postrach wzbudzali w mieszczanach.

Lokalna prasa ochrzciła Krochmalną „ulicą ludzi podziemnych”, bardzo trafnie, zważywszy na element, jaki ją zamieszkiwał. Najlepszym tego dowodem były andzie^[80]. Po ogłoszeniu każdej liczba mieszkańców w okolicznych kamienicach wzrastała dwukrotnie, ponieważ zwolnieni z więzień lub ukrywający się dotychczas przed wymiarem sprawiedliwości lokatorzy wracali bez strachu pod adres zamieszkania. Krochmalna, choć w większości murowana, była ulicą nędzy w okolicy niespotykanej. Stojące niedaleko hal targowych, kryjące labirynty bram i korytarzy, brudne, okopcone kamienice nawet solidnie uzbrojonych, patrolujących miasto funkcjonariuszy służb mundurowych swoim wyglądem odstraszały. Wyjątkowo złą sławą był tam okrzyknięty niewielki placzyk Peltzem zwany. Peltz był miejscem, od którego nawet co bardziej przezorni miejscowi trzymali się z dala. Spotykali się tam złodzieje z paserami, ich towarzystwa mało kto był ciekawy. Burdeli też tam nie brakowało.

Prowadziła je spasiona Rajcełe pod okiem jednego Icka przez samego Wewcze powołanego. Na Pełtzu odbywały się też hazardy i na solo awantaże.

Wszystko to Judel widział z okien ulubionej kirzany. Przy każdej wizycie obiecywał Bundowcom, że przedostatni raz awanturę rozpętał i żegnał gości do zobaczenia. Aczkolwiek, socjalistyczną myślą przepełniony o dolatorów^[81] dbał, o dolatorach pamiętał. Opiekował się nimi na swój unikatowy sposób. Niejednego medyka zagonił razami do ciężko poobijanego Bundowca. Sam własne rany lizał, ale jak zaszła potrzeba kosztownej hospitalizacji innego bojownika, to hojny nie szczędził grosza. W ogóle na pieniądź raczej nie margał^[82], zahaczył się w końcu u Wewego, a nie na byle etacie. Obnosił się z bogactwem, wśród rówieśników w tych okolicach wręcz niespotykanym. Posyłał go Wewe na Janasza, a z czasem i za Żelazną Bramę. Tam, w Gościnnym Dworze, prawie dwie setki kupców co tydzień Łokcia czekało.

Bulili wszyscy, Polacy, Żydowie i Szułany^[83]. Spróbowałby który ambitnemu apaszowi nie zabulić. Warunki dobre miał tam Łokieć do pracy. Parterowy budynek Gościnnego Dworu był jak uporządkowane targowisko wzniesione na nowo po nieszczęśliwym pożarze.

W przerwach od zajęć na Janaszu czy w Gościnnym kupców z Witkowskiego Judel opieką otoczył. Na własną rękę, rzecz jasna. Targ był tam może niewielki, ale za to hale do najpoważniejszych w mieście należały. Były przyszłością handlu. Mieściły ze sto pięćdziesiąt straganów, pół setki jatek i dodatkowe stoiska z drobiem czy rybami. Piwnice tam były chłodzone, a wznoszące się nad nimi budynki posiadały rozwiniętą wentylację oraz najnowocześniejsze okna, takie zamykane automatycznie. Dzierżawa stanowiska w halach na Witkowskim była droga, ale opłacalna. Ludzie zjeżdżający tam po sery Icka Frajbauma czy worochecką bryndzę Garriela Szejngrossa przy okazji i innych kupców monetą zasilali. Korzystali wszyscy, korzystał też Łokieć.

Na Witkowskim nie poprzestał, zatroszczył się również o starozakonnych

szewców z Wołówki przy Stawkach. Sprzedawali oni na borg^[84] nieżydowskim konkurentom skrawki używanych przez siebie materiałów, pobierając za to sowite raty. Z każdego woreczka wypełnionego resztkami – a były one identyczne – Łokieć przytulał czwartą część należności, w zamian gwarantując moźeszowym sumienne chrześcijan z umowy wywiązanie.

Pamiętał oczywiście, by zaopiekować się również starszą z Wołówek – Wołówką na Wałowej. Było to targowisko wyjątkowe, pełne natrętnych naganiaczy wołających do każdego klienta bez wyjątku: „Kuzynie, kuzynie”. Tylko swojego opiekuna handlarze nazywali tam „Szanownym Panem”. Nie mniejsze honory zbierał Łokieć jeszcze w pobliskiej hali Świątojerskiej. Wyjątkowo długa, sięgająca niemalże ulicy Koźlej, mieściła aż sześćset straganów, siedemdziesiąt cztery haryndy, sześćdziesiąt osiem jatek mięsnych, a nawet pięćdziesiąt sześć basenów rybnych, z czego osiem na same katoliki^[85]. W podziemiach hali znajdowały się chłodnie i fabryka sztucznego lodu. Do Świątojerskiej przeniósł się z czasem handel uliczny z całego Rynku Starego Miasta oraz z Szerokiego Dunaju.

Dziadźki^[86] od zastraszanych przez siebie kupców Łokieć zbierał w pojedynkę i w tajemnicy przed Wewczem, dzięki czemu żywczykiem^[87] ustawił się na życie. I to jakie. Pojawiał się wszędzie w nowych ubraniach albo przynajmniej w nowym szapoklaku^[88]. Wystrojony był bez przerwy, jakby każdego dnia inne święto obchodził. Na rogu ulic Pokornej i Kłopot znalazł dla siebie mieszkanie. Przed laty dla zepsutych moralnie funkcjonował tam cuchthauz, dom poprawy. Na cały Ściek niesławny dla nazw okolicznych ulic stał się wieczną inspiracją. W sam raz dla Łokcia maniery tamże panowały. Na Pokornej mieszkali zarówno Żydowie, jak i chrześcijanie, toteż do różnych potyczek regularnie między nimi dochodziło. Ku uciesze tych pierwszych Łokieć opowiedział się w sąsiedztwie po stronie krwi swojej, niejednokrotnie agresywnych gojów do porządku wracając. Kiedy niejaki Poręba bikorem^[89] od szczotki licznem gwoździem nadziewanem utłukł na poddaszu żydowską

pokojówkę za złe bielizny sortowanie, Judel odwdzieczył mu z nawiązką, tyle że na oczach przechodniów.

Niedługo po zgonie Blacharza ponownie wybuchła panika, kolejny rewirowy padł ofiarą zamachu. Znowu obława, znowu setki pytań i żadnej odpowiedzi. Teraz wszyscy już Judela znali, ale bali się bardzo.

Dziadek opowiadał, że w tamtym czasie nastroje między bandyctwem a partiami wyzwolenческими uległy gwałtownemu pogorszeniu, sympatie przepadły. Nikt nigdzie nie czuł się bezpieczny. Dziadek nie nazwał tego co prawda wojną domową, ale zamieszki szybko przerosły skalę ulicznych awantazy. W ciągu zaledwie tygodnia doszło do wielu zorganizowanych ataków na meliny i odwetów na partyjne lokale. Łoszka od flaków musiał opowiedzieć się po którejś ze stron, nie mógł tak dalej okrakiem stać. Z tego co dziadek barłoczył, właśnie wtedy, ledwo rok po przyjeździe, Łokieć opuścił Ściek na kilka następnych lat.

Wrócił ze Szwajcarii dopiero po pierwszej wojnie światowej, jako komendant pociągu wiozącego dary dla społeczeństwa polskiego od Komitetu Pomocy Polskim Ofiarom Wojny założonego w Vevey przez Paderewskiego i Sienkiewicza. W Szwajcarii, w tym Ścieku Europy, mieściła się wówczas zagraniczna centrala partii. PPS wysyłała Łokcia, czasem legalnie, a czasem przez zieloną granicę, z listami, pieniędzmi, bibułą i bronią do Francji, Belgii, Niemiec, Austrii, Stanów, a nawet i do Polski, ale na stałe wrócił dopiero po wojnie. Atmosfera polityczna w ojczyźnie wreszcie była przyjazna. Władający jako tako angielskim, franiem^[90], niemieckim i włoskim światowiec Łokietek szybko się w niepodległym kraju zaaklimatyzował. Chwilę później, już jako Józef, doktor chemii i obywatel szwajcarski, członek Związku Strzeleckiego w stopniu oficera oraz Centralnej Rady Organizacyjnej, stanął na czele milicji-bojówki piłsudczykowskiej PPS, dawnej Frakcji Rewolucyjnej. Podobno na obczyźnie nabrał tężyzny i rysy mu spoważniały. Tak twierdził dziadek, a niemało przecież

o Łokciu wiedział, wspólnych kolegów mieli z pracy.

Łokietek z lat młodości i czasów bandy na Janaszu pamiętał, ile pieniędzy jest do wyrwania z gardeł bazarowych handełesów. Dysponując partyjną milicją, zaczął wracać na stare śmieci i do starych przyjemności. Cóż, wilka ciągnie do lasu. Mimo że przyjechał wykształcony i obyty w świecie, jedna rzecz w nim się nie zmieniła, wiecznie nienasycony, wciąż było mu mało i szukał sposobu, żeby poszerzyć wpływy. Wiadomo, jak każdy pragnął władzy i pieniędzy.

Usłyszawszy o powrocie starego znajomego, Ślepy Maks zaprosił Łokcia do siebie i zaproponował mu spółę. Propozycja była to nie byle jaka, bo w posagu do interesu miał Borsztajn co wniesć, jak mało który.

Łokieć nie krył wdzięczności wobec Maksa i jego propozycji, ale kulturalnie odmówił. Nigdy nie chciał być drugi. W jego mniemaniu drugi po Bogu był pierwszym nieistotnym, dlatego postanowił osobiście zatroszczyć się o dobrobyt. Ślepy nie żywił urazy, pożyczył koledze wszystkiego najlepszego i obiecał, że zawsze przyjmie go z otwartymi ramionami. Jak się niedługo potem okazało, nie było takiej potrzeby. Można rzec więcej – biorąc pod uwagę majątek, uczeń metera^[91] zostawił w tyle.

Wymarzonym prezentem dla wykształconego chemika okazało się prawo wprowadzone przez organy ustawodawcze z myślą o zdrowiu społeczeństwa polskiego. Może to wydawać się nieprawdopodobne, ale w tamtych czasach o wódę wcale nie było łatwo. Alkohol był niewyobrażalnie drogi, a bimbrownicy, z racji na obronę państwowej sakwy, skutecznie tępieni. Czarę goryczy przelała decyzja sejmu o wprowadzeniu w życie projektu działaczki ruchu kobiecego i prezes Towarzystwa Trzeźwość Marii Moczydłowskiej. Ów niehumaniczny dokument zaostrzał dotychczasowe ograniczenie handlowe o rarytasy powyżej dwóch i pół procent. Co gorsza, zakładał możliwość całkowitego zakazu sprzedaży na obszarze wskazanym przez wójta, podłych mundurowych albo inne kanale. Całkowicie wycofano napoje powyżej czterdziestu pięciu

procent, ograniczono liczbę punktów monopolowych i zakazano ich działalności między sobotnim popołudniem a dziesiątą rano w poniedziałek. Smutek zapanował wielki w radosnym dotąd kraju. Ludzie, co zabory przetrzymali, posmutnieli najbardziej. Co to za wolność, kiedy nie masz czym wznieść za nią toastu.

Brak możliwości napicia się w dniach wolnych od pracy bynajmniej nie spowodował zamierzonego odwyku ludzi dotąd sięgających, wręcz przeciwnie, zaczęli oni poszukiwać innego źródła przyjemności. Pojawiły się oczywiście narkotyki, ale mało który mógł sobie na nie pozwolić. Głównym, królującym pod strzechami zamiennikiem wody stał się bimber. Oczywiście – nielegalny. Łokieć był zbyt spostrzegawczy, żeby przegapić szansę daną przez los. Opatrzność nad nim czuwała i pozwoliła wreszcie wykazać się talentem wyszlifowanym szwajcarską metodą akademicką. Jako doktor nauk osobiście doglądał produkcji bimbrowu w założonym przez siebie pod etykietą fabryczki pasty do zębów laboratorium, a kiedy ta osiągnęła zadowalający poziom, zatroszczył się o dystrybucję. Ten jego eliksir miał w sobie coś z popularnej pejsachówki^[92], dzięki czemu i Żydowie chętnie sięgali po Łokciowe wyroby. Co druga wychylana w stolicy flaszką pochodziła z jego zakładu. Po niedługim czasie całe województwo wychwalało jego imię. Niewiele brakowało, a intronizacji doczekałby za swoje dla rodaków zasługi. Filantropem rzecz jasna nie był, kosił chobnie, pozazdrościć. Jemu natomiast wciąż było mało.

Majstersztykiem zarobkowym okazało się zawiązanie przez Łokcia bandyckiego stowarzyszenia tragarzy. Stolicę opanowali tragarze. Byli oni utrapieniem nie tylko dla kupców, ale i dla zwyczajnych mieszczan. Każdy z barczystych członków bezczelnego syndykatu patrolował przypisany sobie rewir z tak zwanej stacji, a w zamian za ów przywilej bulił Łokciowi nawet do kilkuset dolarów miesięcznie. Kwota to była uczciwa, bo i zajęcie opłacalne, a Łokieć podobno wolał w dolarach. Kiedy do pobliskiego kupca przyjeżdżał

zamówiony towar, choćby jedna, najmniejsza paczka, nikt, nawet właściciel czy subiekt, nie miał prawa wnieść jej do haryndy. Podobnie było z prywatnymi przeprowadzkami, tylko rewirowy tragarz, za godziwą opłatą rzecz jasna, mógł ciężar ćwiknąć^[93]. Elita korpulentnych chamów, mimo przypisanej sobie profesji, wcale a wcale do pracowitych nie należała. Często, zasłaniając się zajętością w chwili obecnej, symbolicznie dotykali bagażu, zezwalając tym samym, żeby ktoś inny się z nim napocił. Naturalnie za godziwą opłatą. Biedni ściekowi handlarze obiecywali obniżyć ceny sprzedawanych towarów o jedną trzecią, jeśli tylko znajdzie się śmiałek, który spod tragarzowego skarania ich oswobodzi. Cóż, nie znalazł się taki oczywiście. Wszyscy obawiali się Łokciowych tragarzy, którzy uchodzili za równie nierozgarniętych co brutalnych.

Chemik z wykształcenia, z natury alchemik, byle główna się dotknął, od razu w blit^[94] zamieniał. Wypisz wymaluj Hermes Trismegistos nadwiślański. Ekipę, poza matołami, miał nie od parady i choć mógł do emerytury za biurkiem pieniądź liczyć, lubił od wielkiego dzwonu wyjść do pracy w teren i rekreacyjnie mordę opornemu pokiereszować. Zwykły był haman^[95], choć nie wyjątkowy jak na tamten czas. Co raz to po mieście rozchodziły się historie opisujące jego rękodzieło. Miało miejsce na przykład, że stanowiska tragarzkie przy Franciszkańskiej napadnięte zostały. Pod batutą Łokcia, wielka bojowa, uzbrojona w bikory, kastety i rewolwery tam wjechała. Rozegrała się wojenka, w wyniku której pobitych i postrzelonych nie sposób było zliczyć. Innym razem trzy samochody o piątej rano na Rynkową zajechały. Wysypało się z nich paru silnorękich z Łokciem na czele i z miejsca ruszyli w poszukiwaniu opornych tragarzy. O tak wczesnej porze tylko dwóch się napatoczyło, Jasek Mildebrand i Gedal Milsztajn. Ledwo Łokciowe zbiry skończyły kujawiaka na pechowych grzbietach odprawiać, a już reszta nieposłusznych tragarzy przy końcu ulicy zebrać się zdążyła i za krzywdę kolegów z nawiązką napastnikom oddała. Dopiero policja wyratowała Łokcia z opresji, odprowadzając go wraz z ferajną do

Urzędu Śledczego. Tak był porażką rozwścieczony, że zaraz po zwolnieniu, jeszcze tego samego dnia około piętnastej, kolejną awanturę, tym razem na Starówce, wywołał. Nie było przebaczenia dla nikogo, trupem padli oporni, kilku wywiadowców policji i nawet jeden komisarz. Kiedy cała hałaburda^[96] wreszcie ucichła, Łokieć spokojnie, bez wyrzutów sumienia spacerował po Ścieku, załatwiając swoje sprawy.

Podobno Łokieć z Tasiemką lubili się bardzo, wywodzili się przecież z jednej partii. W parady sobie nie wchodzili, a wręcz wymieniali robotą, ot przysługa za przysługę, aby żadnego z nich nie łączono z brudnymi sprawami. Na ten przykład, kiedy do Łokietka zgłosił się niejaki Avi Epstein, ten poprosił o pomoc Tasiemkę, żeby nie być kojarzonym z zajściem. Epstein postanowił zrobić wielki interes w Otwocku, szło o wydzierżawienie mykwy, co bardzo duże zyski dawała. Wyprawiono się tam i rozbito posiedzenie decyzyjnej lokalnie gminy żydowskiej. Chłopcami Taty Tasiemki Epstein wymusił wydzierżawienie mykwy bezpłatnie, a procent z kusz^[97] za przysługę Łokietkowi co miesiąc wypłacał. W drugą stronę tak samo to działało, kiedy Tasiemka postanowił jakiś interes ubić, prosił o to werychów^[98] Łokietka.

Długo i niekoniecznie wyraźnie dziadek wymieniał, skąd Łokieć czerpał siano. Podobno nielegalne zapasy kontrolował, a nawet w jakąś loteryjną aferę był zamieszany. Ponadto wprosił się do rady głównej związków zawodowych tworzonych właśnie pod plakietką macierzystej jemu partii. Został prezesem Centralnego Związku Zawodowego Pracowników Transportu Rzecznego w całym kraju. Wszyscy robotnicy musieli bulić mu za dopuszczenie do pracy. Haracze za ochronę od Związku Żydowskich Administratorów czy ze Związku Wiślanego.

Kiedy skrzynka piw ciemnych opustoszała, a nestor Lajzer miał się bardziej ku dobranoc, raz jeszcze powtórzyłem zadane dzień wcześniej pytanie:

– Dziadek, ale skąd on tego Ineczka?

– Widzisz, Ładuś – nie bez wysiłku wzbił się na trzeźwiejszą nutę – każdy kimś się opiekuje. Uczciwy, harujący w pocie czoła handełes zazwyczaj swoją troską najbliższą famułę otacza. Łoży poza tym blatnym, ażeby mu przypadkiem jaka przykrość życia nie pogmatwała. Blatni są pod opieką co bardziej szemranych, ci biją w dach^[99] przed kolejnymi czompami. Wszystkimi opiekują się kriuki^[100], a gdy zachodzi potrzeba i ich zabiurkowe pryncypały. Maciornicy^[101] opiekują się tuftami^[102], te natomiast rzeczonym handełesem, co odprężenia w tanich udach szukać potrafi. Tak samo Łokciem od małego różni się opiekowali, najpierw Natan z Maksem, potem Wewe, dzisiaj ci, co u władzy. Skoro znalazł chłopaka, nie mógł go bez opieki zostawić. Tak to już jest w naszym Ścieku, nie za co, a mimo czego kochanym.

Tak też dokładnie, słowo w słowo, następnego dnia Inkowi powtórzyłem. Nie miał wyjścia, musiało mu wystarczyć.

[54] Żalnik – cmentarz.

[55] Mamer – więzienie.

[56] Barłóg – gwara warszawska.

[57] Harynda – sklep.

[58] Krawiec – kieszonkowiec.

[59] Hadra – kłótliva baba.

[60] Dolina – kieszeń.

[61] Od łacińskiego słowa *fur* – złodziej.

[62] Bałuchy – oczy.

[63] Trója – twarz.

[64] Czerniak – cygan.

[65] *Dajan* hebr. – sędzia.

[66] Barłóżyć – mówić po warszawsku.

[67] Klawo – dobrze.

- [68] Wciągle – ciągle.
- [69] Kicz – chłopak.
- [70] Trotuar – chodnik.
- [71] Karpaczyć – strzelać.
- [72] Kułak – mocno zaciśnięta pięść.
- [73] Luft – powietrze.
- [74] Churośny – chudy.
- [75] Bajnerek – kamień.
- [76] Kojma – czapka.
- [77] Sztany – spodnie.
- [78] Kirzana – knajpa.
- [79] Sztamacy – doświadczeni bandyci.
- [80] Andzia – amnestia.
- [81] Dolator – uszkodzony.
- [82] Margać – narzekać.
- [83] Szuajnia – Rosja; Szułań – pogardliwie Rosjanin.
- [84] Na borg – na kredyt.
- [85] Katolik – śledź.
- [86] Dziadźki – pieniądze.
- [87] Żywczykiem – szybko.
- [88] Szapoklak – kapelusz.
- [89] Bikor – kij.
- [90] Franio – język francuski.
- [91] Meter – mistrz.
- [92] Pejsachówka – wysokoprocentowa wódka.
- [93] Ćwikać – dźwigać.
- [94] Blit – złoto.
- [95] *Haman* hebr. – brutal.
- [96] Hałaburda – awantura.
- [97] Kusz – interes.
- [98] Werycho – łobuz, chuligan.
- [99] Bić w dach – kłaniać się.

[100] Kriuk – policjant mający powiązania z przestępcami.

[101] Maciornik – sutener.

[102] Tufta – prostytutka.

KRAWCY

Coraz więcej czasu spędzaliśmy z Ineczkiem na żłobach i innych straganach. Plac Muranowski, czasem Janasz lub Piekiełko nieopodal placu Mirowskiego, ale codziennie i niezmiennie Kercelak. Miejsce dla nas fascynujące. Jakby granicę zła i zepsucia wyznaczyć, to Kercelak był czołówka. Na cwaniaka z Kercelaka mocnych nie było. Co prawda fundator żłobu innego obrotu spraw oczekiwał, niestety ściekowym zwyczajem bazar, którego został patronem, do istniejących się upodobił i w wylęgarnię hołoty obrócił.

Józef Kercelli będący właścicielem wielkiej posesji przy Lesznie, kolejnej między Wronią a wałem miejskim oraz rozległego placu podwalnego położonego przy Ogrodowej postanowił podarować miastu ten ostatni. Darowany plac nazwano pierwotnie Wolskim, po czym postawiono tam nawet halę targową. Nieduży budynek, wybudowany tuż przy torach tramwajowych, cieszył oczy kupców ozdobnie ukształtowaną elewacją. Z czasem, poprzez ekspansję zabudowy czynszowej, targ między Lesznem a Ogrodową zaczął tracić na atrakcyjności. Jak grzyby po deszczu wyrastały wokół hali niedbale zbite drewniane stragany, będące zapowiedzią znanego mi żłobu. Kraków miał Tandetę, Ściek Kercelak zyskał.

Ludzie z Ochoty, a nawet z Powiśla dojeżdżali, inne bazyry pomijając, bo jak nie dostałeś czegoś na Kercelaku, to próżno w granicach Warszawy mogłeś szukać. Byli tam biedni kupujący lub sprzedający szmelc za marny grosz i bogaci z biżuterią i futrami. Można było zagrać w bączka i płyty gramofonowej

posłuchać, wtroić^[103] hamantasze^[104] poza okazją, gotowanego bobu, czulenty^[105] i pestek z dyni pojorać^[106]. Na śmietanie klientów rąbali na każdym rogu, podsypywana mąką lub twarogiem i dopełniana chudym wielbnem^[107], że niby ze świeżej dostawy. Drewniane budki i stragany, których było z górką tysiąc, stały na placu wybrukowanym bajnerkiem polnym, a co przecznica, to inny asortyment na handel był wystawiany. Od Okopowej zwierzęta: psy, koty, gołębie, kiedyś nawet papugę widziałem. Piękna była, zupełnie nie nasza. Między Ogrodową a Chłodną żelazne i metalowe wyroby, a przy Lesznie spożywka i odzież. Podobno na Kercelaku nie można było dostać wszystkiego, ale tylko dlatego, że nikt nie próbował.

Kercelak był w mocy Tasiemki i jego koterii^[108] zwanej Zarządem. Siemiątkowski jako radny miejski bywał na żłobie rzadko, ale kuznu doglądał jego pierwszy zaufany, diabeł wcielony Pantaleon Karpiński. Nieobliczalny typ spod najciemniejszej gwiazdy. Karpiński wypełniał swoje obowiązki własnoręcznie, nieraz na oczach świadków, żeby oporny za przykład innym robił. Zdarzało się, że co odważniejsi po spotkaniu z Karpińskim nóżki w galarecie bardziej niż samych siebie przypominali.

Coraz więcej czasu z Ineczkiem na bazarze spędzałem, mógł tam czynić postępy w nowo poznawanym przez siebie fachu. Tak się akurat złożyło, że jednym ze stałych klientów bajzlu Ciości Kujawskiej był niejaki Jasek Flint, doliniarz nad doliniarze, fest krawiec. Znał się facet na rzeczy podobno bardzo. Nigdy za przegub niezłapany, został nawet obwołany godnym następcą Jerzego „Kowola” Kowalskiego, wielkiego mistrza stołecznych kieszonkowców. Kiedy zobaczył, jak w burdelu niczyj malec daje sobie radę, postanowił chłopakowi cokolwiek ze swojej wiedzy przekazać. Co więcej, z własnej monety specjalną kireję^[109] do ćwiczenia kradzieży mu sprawił. Niby zwykła taka, ale od góry do dołu obwieszona dzwoneczkami.

Podziwiał Flint szpicyfindera^[110], że przy zwykłym przywitaniu potrafi

obrączki pozbawić. Chwalił Ineczka, jak chwali się rzadko, barłóżył, że dłonie ma zwinne i w sam raz małe. Przedstawił go nawet Kowolowemu kuzynowi, wybitnemu zdolniasze Ślepemu Mietkowi Kowalskiemu, który swego czasu metodę pracy „na żyłętę” wynalazł. Nikt, jak Mietek, przechodniom kieszeni nie chlastał.

Burdel to dobre było miejsce do nauki. Oczywiście Kujawska zabroniła Ineckowi klientów okradać, ale przymykała oko, jeśli byli agresywni albo mocno pijani. Poza tym pozwoliła Inkowi ze wszelkich bajzłowych mazideł korzystać. W każdej wolnej od zajęć chwili wcierał w dłonie przeróżne kremy i maści. Jak żaden inny szczył w Ścieku ręce miał zadbane i gładkie, nie sposób było go chwycić za nadgarstek.

Inni stołeczni adepci sztuki kieszonkowej nie mieli szczęścia tak dobrze jak Ineczek trafić. Kiedy mój kolega pod okiem Flinta szkolił się na Pańskiej czy Kercelaku, oni zmuszeni byli uczęszczać do gniazd złodziejskich, takich jak przy Krochmalnej jedenaście lub innych wylęgarni. Wiadomo, w Ścieku podobnych nie brakło. Mieściły się głównie w domach pękających w szwach od przesadzonej liczby lokatorów. Najczęściej znajdowały się w piwnicach, do których mieszkańcy bali się schodzić. Jej Magnificencją gniazda przy Krochmalnej była najpojemniejsza w okolicy przechowalnia sadła, dwustukilowa Pesa Goldfarb i jej mikry mąż Szarszyk. Kiedy stał przy wybrance serca, wyglądał jak jej trzecia noga. Do prowadzenia lekcji państwo małżeństwo najęło Idela zwanego „Fisele”, Gica „Cukiernika” i „Bobełę” Rochmana. Podobno niezłe nawet prowadzili wykłady, ale w praktyce Flintowi do pięt nie dorastali.

Dla małoletnich krawców rywalizacja miała nie mniejsze znaczenie niż dla tych dojrzałych. Chcąc zyskać sławę, musieli sprawdzić się w obrębie najgłębiej ukrytej ulicy w Ścieku, a nie pierwszym lepszym bazarze. Wytyczona na wąskiej działce przez ciasne szeregi domów Kupiecka odchodziła od Dzikiej, kończąc swój chaotyczny bieg na budynku przypisanym do Nalewek. Przez dziedziniec

tego domu można było co prawda przejść na sąsiednią, większą drogę, jednak tylko do pewnych godzin wieczornych. Dlatego właśnie Kupiecką oficjalnie uznawano za niecałą. Krawiec przyłapany tam na grzebaniu w cudzych kieszeniach miał kompletnie odciętą drogę ucieczki. Na Kupieckiej pracowali tylko najlepsi, a przecież Innocenty do nich aspirował. Raz kiedy trafiliśmy na Kupiecką, pewien gnój, którego sławie talent Ineczka zagrażał, postanowił narobić konkurencji w papiery. Zadenuncjował Innocentego przy robocie, drąc ryja na całą okolicę. Pożar jak w burdelu tym wywołał, słowo daje. Zwinny Ineczek nie dał się na szczęście za rękę złapać, tylko czmychnął między stragany, próbując zgubić pościg. Większych szkód narobił tą ucieczką, niż gdyby spokojnie z zajumanym^[111] portfelem się oddalił. Biegał to w lewo, to w prawo, przewracał kosze z owocami i klatki z drobiem. Ja w tym czasie podparty pod boki stałem w bezpiecznej odległości i ze śmiechu łzy połykałem. Momentem kulminacyjnym całej pogoni było spłoszenie przez Ineczka bydła w krowiarni. Można tam było, w samym sercu miasta, napić się wielbna prościutko od krowy. Innocenty wpadł do zagrody jak burza, bydłę w zad zdzielił i po raz kolejny uniknął schwytania. Wystraszone zwierzę zdemolowało dyndający obłoczek i sztuczne drzewa imitujące wspólnie wiejską sielankę. Naprawdę, śmiechu było co niemiara. Nawet stare przekupy w zakład poszły, czy szmondak^[112] ujdzie w zdrowiu. Inek przedarł się wreszcie na wschodnią stronę ulicy i już razem uciekliśmy przez częściowo otwarte podwórze domu wychodzącego na Nalewki.

Łajzę, co prowodyrem był całej kalamacji^[113], upolowaliśmy dzień później. Był to kuzyn i zarazem uczeń Szlomy oraz Borucha Kronenbergów, znanych krawców. Kiedy usłyszał, kto my tacy i na czyje polecenia latamy, sam paluchy we framugę wsadził, a Ineczek trzasnął drzwiami.

Niedługo później mój dziadek dostał od opiekunów polecenie zająć się sprawą niejakiego Wacława Bahra. Bahr był wdowcem, zajmował się hazardem, lichwą i szulerką. Jak na hazardzistę życie prowadził wybitnie spokojne.

Codziennie nad ranem wracał do domu, spał do południa, a później zniknął na kilka godzin w sali bilardowej w podziemiach u Lourse'a, gdzie czekał do otwarcia spelun mieszczących nielegalne kasyna. Z czasem obyty w temacie wraz ze współnikami zajął się organizowaniem potajemnych gier na olbrzymią skalę. Jako majątny były już przedsiębiorca budowlany dysponował wiedzą o sieci mieszkań, których właściciele byli skłonni udostępnić je wieczorami graczom. W zamian za okazaną gościnę lokatorzy otrzymywali od Bahra pięćdziesiąt złotych podstawy i możliwość dorobienia na bufecie.

W domach gry pana Waława panowały zasady odmienne od zwyczajowo przyjętych. Wygrywający płacili mu procent od wygranej, jednak przegrani byli zwolnieni ze wszelkich opłat. Taki regulamin działał jak magnes na uzależnionych graczy. Oczywiście co bardziej pechowi goście przybytku mogli liczyć na pożyczkę pod zastaw lub weksel. Interes Bahrowi się kręcił, pozazdrościć.

Niestety, stary szuler był wyjątkowo skąpy i nie chciał zabulić za wielokrotnie proponowaną mu opiekę. Zdenerwowany Tasiemka uznał, że jak każde uparte skąpiradło, tak i Bahr winien stracić dwa razy. Raz – majątek za karę, dwa – życie dla przykładu. Bandyckie szpicle doniosły, że pan Wacek nosi przy sobie, zawieszony na szyi i schowany pod koszulą, woreczek pełen brylantów, które przyjął pod zastaw udzielonej pożyczki. Kamienie pochodziły podobno z kradzieży w magazynie jubilerskim Jagodzińskiego. Z tego, co pamiętam, w jej następstwie szanowany jubiler nawet samobójstwo popełnił.

Na pozór zadanie przydzielone mojemu dziadkowi przez Siemiątkowskiego wydawało się dziecinnie proste. Sześćdziesięcioletni, noszący się galanto Bahr mimo atletycznej postury nie stanowił dla wytrawnych bandytów żadnego zagrożenia. Nie w jego budowie jednak pinkiel leżał. Wszyscy w mieście wiedzieli, że nieufny szuler nie rozstaje się z rewolwerem. W takim razie planowany rabunek nie mógł się powieść bez pomocy zręcznego krawca. Krawca

niezrucającego się w oczy, najlepiej przybyłego spoza miasta albo z miastem nieobytego. Posiadając szereg wyczerpujących informacji na temat swojej przyszłej ofiary, mój dziadek postawił namówić do współpracy Ineczka. Musiał pamiętać go z popisów w bajzlu przy Pańskiej bądź z opinii mistrza Flinta. Innocenty oczywiście bez wahania się zgodził. Dwie noce oka z podniecenia nie zmrużył.

Pewnego chłodnego, październikowego wieczora Bahr zorganizował ruletkę w mieszkaniu przy Mokotowskiej. Co rzadkie, już drugi dzień z rzędu tam grano. Dziadek, podszywając się pod hazardzistę, którym jako zamiłowany dziwkarz faktycznie nie był, rozpoczął prowokację, domagając się pożyczki. Nikt z obecnych graczy nie mógł potwierdzić jego wypłacalności, także krupierzy zmuszeni byli odmówić pomocy. Doszło do kłótni, mogącej zwrócić uwagę patrolu mundurowych. Bahr opuścił więc feralny lokal i udał się organizować przeniesienie gry pod nowy adres. Kiedy na Nowym Świecie pod pięćdziesiątką wszystko miał już dogadane, zawrócił w kierunku Mokotowskiej, by poinformować graczy o przymusowej przeprowadzce.

Przyszedł czas na popis Ineczka, tak długo przez niego wyczekiwany. W okolicach placu Trzech Krzyży, w miejscu, gdzie niegdyś przez dwa lata stała Brama Triumfalna, podbiegł do idącego spokojnie Bahra i z całej siły kropnął mu szmacianką w krocze, po czym, niby skruszony, zaczął błagać o wybaczenie i zwrot piłki. Pomógł nawet obolałemu hazardziście wstać z klęczek na równe nogi. Wściekły Waław zrugął Ineczka cienkim głosem, wytargał za ucho i ukarał nabiciem piłki na grot ozdobnego płotu oddzielającego drewniany bruk od pasa zieleni. Przezorny, na wszelki wypadek, wymacał, czy aby na pewno woreczek z brylantami znajduje się jeszcze pod jego koszulą, dopiero wtedy wypuścił chłopaka z uchwytu, otrzepał kolana i odszedł w swoją stronę. Słusznie podejrzewał, że jest właśnie okradany. Kiedy zniknął gdzieś w wąwozie kamienic Mokotowskiej, przepełniony dumą Ineczek siedział już w pobliskiej bramie,

przykładając do naderwanego ucha zimny rewolwer Bahra.

Gdy trzech apaszy doskoczyło do starego szulera, ten nie miał czym się obronić. Zaprosili go do taksówki i wywieźli na Powiśle, na śmierć pobili, a następnie napęczniałe od sińców ciało fachowo nakłuli i wrzucili do rwącej, czarnej rzeki.

Ileż to ja się nasłuchiwałem zachwyków nad postawą Ineczka. Dziadek nie mógł się nachwalić pomysłu z piłką, który to właśnie od Innocentego wyszedł. Przynajmniej raz dziennie słyszałem, że z takim przyjacielem nigdy nie zginę, a naszą znajomość powinienem pielęgnować i szanować z każdym kolejnym spotkaniem jeszcze bardziej. Już nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy z Ineczkiem widywali się codziennie, czy to na Kercelaku, czy poza nim. Było gdzie w stolicy chodzić, samych kin to było z siedemdziesiąt. Na Marszałkowskiej Apollo i Stylowy w budynku, gdzie Jaks-Ronikier w roku dziesiątym zabił swego szwagra Chrzanowskiego, Sfinks na Senatorskiej, Rialto na Jasnej, ale najbardziej Lido na Chmielnej nam pasowało. Film szliśmy niby obejrzeć albo kronikę jakąś, a że siwo w środku od fajek było, to Innocenty z przyjemnością gmerał ludziom po kieszeniach marynarek.

W tym czasie ja własnej pasji się oddawałem. Moim marzeniem było podrabiać dokumenty, na które zamówienia zbierano w stołecznej kawiarni Brandmana. Kiedy dowiedziałem się, że Tatko Tasiemka wprowadza też fałszywe chobnie do obiegu, wypłacając nimi wygrane w swoich domach karcianych, zrozumiałem, że to właśnie w tym fachu chciałbym meterstwa dosięgnąć. Marzyłem, by robić w podrobach, jak to w waltarskiej mowie^[114] fałszerkę nazywaliśmy. Co prawda, była to dziedzina wymagająca niespotykanej cierpliwości, ale mnie to nie odstraszało. Każdą monetę, każdy trzymany w ręku banknot zawsze jakbym pierwszy raz w życiu widział, oglądałem. Jeśli w moje ręce wpadł falsyfikat, porównywałem go dokładnie z takim samym, tyle że autentycznym nominałem. Wynajdywałem różnice widoczne gołym okiem,

a z czasem i te na pozór niemożliwe do wykrycia. W kajecie, co go trzymałem pod materacem łóżka, odnotowywałem skrupulatnie wszystkie swoje spostrzeżenia. Najłatwiej było mi dostrzec różnice w rysunku, ponieważ w podróbkach linie siatki z reguły były rozmazane. Domyśliłem się, że powodem takiej niedokładności mogła być stosowana przez fałszerzy nieprecyzyjna technika druku. Z tego samego powodu użyta przez nich farba często zmieniała swój odcień i nie posiadała wyczuwalnej grubości. Nauczyłem się również zauważać brak precyzji w odwzorowywaniu znaków wodnych, a tym bardziej ich brak. Najciężej oczywiście przychodziło mi rozróżnianie gatunków papieru.

Z czasem zacząłem się zastanawiać, czy oprócz znaków wodnych banknoty posiadają jakieś dodatkowe zabezpieczenia. Tak odkryłem metalizowanie farby drukarskiej, niemożliwe wręcz do powtórzenia w warunkach domowych. Posługując się szkłem powiększającym, którego Mama używała do czytania gazet, dostrzegłem również barwne włókienka rozmieszczone chaotycznie w masie prasy. Nie układały się w żaden przemyślany wzór, często sama ich obecność autentyk od falsyfikatu różniła. Ich umieszczenie na banknocie stanowiło dla profesjonalnych fałszerzy największe wyzwanie. Dla mnie wyzwaniem było znacznie więcej. Mimo wielkich chęci nie byłem w stanie osiągnąć jakkolwiek zadowalających efektów. Braku wysokiej jakości materiałów i warsztatu nie dało się ot tak chęciami zrównoważyć. Niestety, jedynym profesjonalnym przyrządem, jaki posiadałem, była stara punca służąca do znakowania sreber. Piękna, ciężka, zupełnie nieprzydatna. Stanowiła dla mnie za to wyjątkową wartość sentymentalną. Dostałem ją od dziadka Dolka, pewnie ukradł ją na Pocięjowie.

Z czystym sumieniem mogłem usprawiedliwiać swoje niepowodzenia. Pocieszałem się myślą, że nie jeden fachura zaczynał podobnie i swoją technikę pracy opanowywał latami. Nikt nigdy nie przyszedł na gotowe. Ja też zmuszony byłem szukać rozwiązań na miarę posiadanych możliwości. Najciężej było mi

zdobyć duże ilości odpowiedniego papieru i umieścić w nich kolorowe włókna. Chyba dopiero po kilku miesiącach tego główkowania wpadłem na pomysł, by zamiast czystego papieru używać szmat. Po pierwsze, było o nie łatwiej, mogłem je ukraść byle gdzie na Kercelaku. Po drugie, w co jak w co, ale na pewno łatwiej jest włókno w szmatę wprowadzić niż w papier, którego i tak nie posiadałem. Kolorowe niteczki wypruwałem Mamie ze swetrów, jedna dzielona starczała na dwa potężne arkusze szmacianej bazy. W strukturę materiału wprowadzałem je przy pomocy najcieńszej z domowych igieł oraz wysłużonego szkła powiększającego. Na sam koniec arkusze prasowałem żelazkiem i wieszałem w piwnicy, której nadałem dumną nazwę: Minceria^[115], chociaż monet tam nie biłem. Skoro Anglicy na szmatach funty drukowali, to i ja mogłem drukować swoje pokraki.

Nawiasem mówiąc, uwielbiałem w piwnicy pracować. Ze względu na wrażliwość oczu chętnie przy sztucznym świetle pod ziemią szwicowałem^[116]. Mogłem stamtąd nie wychodzić. Tygodniami prasowałem i wieszałem, wieszałem i prasowałem, aż każdy z arkuszy osiągał grubość banknotu prawdziwego. Kiedy płótno nabrało wreszcie właściwej gramatury, pojawił się kolejny problem, a mianowicie druk. Nie stać mnie było na stosowanie techniki litograficznej, cynkograficznej czy stalorytu. Jedyne, na co mogłem się pokusić, to rysunek ręczny. Ileż ja przez to arkuszy zmarnowałem, zanim wymyśliłem, jak odwzorować wypukłość farby na prawdziwym pieniądzu wyczuwalną. W normalnych mniej eksperymentalnych warunkach zazwyczaj stosowało się metodę wkłęsłodruku przy użyciu hartowanej płyty. Grubość nadrukowanej w ten sposób warstwy wynosiła mniej niż grubość paznokcia, tak na cierpliwe oko. Ja zdecydowałem się wymieszać farby z porządnie rozcieńczonym klejem, dzięki czemu nie wsiąkały całkowicie w szmaciany arkusz, klej tracił żółcieniowy odcień i udało mi się zachować postrzępione brzegi siatki, jakby faktycznie od blachy została odbita. Znaki wodne udawałem farbą tłuszczową. Była po temu

idealna, byle nie pod mocnym światłem oglądana. Swoje banknoty postarzałem, przyciemniając je syropem na kaszel. Niestety, mimo poświęconego czasu nie wyszedł mi ani jeden zadowolający falsyfikat. Kogo ja chciałem oszukać? Mając lat ledwo dziesięć sam siebie okłamywałem.

Niedługo po sprawie Bahra zaszczyt nas kopnął, oczywiście mnie i Ineczka, jakich mało. Zwabiony opowieścią o wyczynie Ineczka Doktor Łokietek osobiście w bajzlu na Pańskiej się objawił. Innocenty po raz pierwszy miał przyjemność go na oczy zobaczyć, zresztą ja tak samo, do tamtej pory zaledwie o nim słyszałem. Dobrze zbudowany, o okrągłej tabeli^[117], mądrych oczach osadzonych poniżej ciemnych łuków brwiowych i z zaczeską znad lewego ucha, na pewno prezentował się imponująco o byle porze dnia i nocy. Każdy, kto miał z nim do czynienia, musiał odnosić identyczne wrażenie. Nosił czekoladowy ancug^[118] zapięty na jeden knepałe^[119], ale bez kamizelki ze względu na potężną posturę ciała. Wszystko z angielskiego materiału, krawat na pewno miał zagraniczny, manówkę^[120] tak samo, skarpety nawet. Adachy^[121] mocne, z cholewami, błyszczące mimo śladów po zębach skopanych. Nie stronił też od dodatków. Spinki przy mankietach strzelił sobie takie, że z trudem chyba gable^[122] podnosił. Do tego gruba, złota bransoleta, nie mniejszy złoty helwecki sikor, złoty sygnet, złote pióro i do ich opieki klasyczna FN siódemka pod klapą.

Łokieć nie mówił dużo, a jak mówił, to cicho, co wskazywało na drzemiący w nim szpas^[123] i opanowanie. Był to szpas człowieka, co zna swoją wartość, człowieka silnego, który nie atakuje, ale trzeba się go bać. Oszczędny w ruchach był, jak w gadaniu. Niespieszny, w pierwszym kontakcie raczej rapaty^[124]. Pochwalił Ineczka za jego wkład w rozwiązanie problemu starszych i sprawne doliniarskie działanie. Dodał też, że dorośliśmy jego zdaniem do poważniejszej pracy niż bieganie oprychom po fajki i do takiej serdecznie nas zapraszał. Uspokoił jeszcze, że żaden konflikt przez to z Tasiemką nie zajdzie. Szanowali się, lubili, bez uprzedniego porozumienia nie wchodzili nigdy w paradę. Łokieć

zapewnił nas, że Siemiątkowski nie ma nic przeciwko, abyśmy nie tylko dla niego latali. Jak połączymy obowiązki, tylko od nas to zależało. Zgodziliśmy się od razu, nie zastanawiając się nawet, co nas będzie czekało. Takim jak Łokieć nikt o zdrowych zmysłach nie odmawiał. Z ciekawości przebieraliśmy nogami.

[103] Troić – jeść.

[104] Hamantasze – „uszy Hamana”, słodkie pierożki nadziewane makiem.

[105] Czulent – zapiekanka z białej fasoli, cebuli, ziemniaków z dodatkiem szpondra lub mostka wołowego.

[106] Pojorać – poskubać.

[107] Wielbno – mleko.

[108] Koteria – banda, chewra.

[109] Kireja – marynarka.

[110] Szpicyfinder – spryciarz.

[111] Zajumany – skradziony.

[112] Szmondak – dupek, kutas.

[113] Kalamacja – zamieszanie.

[114] Mowa waltarska – język złodziejski.

[115] Od słowa „mincerz” – dawny pracownik mennicy.

[116] Szwicować – ciężko pracować.

[117] Tabela – twarz.

[118] Od niem. *Anzug* – garnitur.

[119] Knepałe – guzik.

[120] Manówka – koszula.

[121] Adachy – buty.

[122] Gable – ręce.

[123] Szpas – spokój.

[124] Rapaty – szorstki.

SZCZUJNIA

Szybko stołeczni złodzieje z niewinności nas okradli. Wymyślali nam nowe zajęcia niemal z dnia na dzień, nie nudziliśmy się wcale. W tygodniu opornym handełsom podrzucaliśmy komunistyczną bibułę na stoiska, a później informowaliśmy żandarmów. Wieczorami biegaliśmy z wiktuałem na Kamienne Schodki do babki Matakowej, która od przeszło pół wieku swoją dziupłę prowadziła. W międzyczasie zdążyła ośmiu mężów pochować, na trzy krawaty^[125] zapracować i tyle samo ułaskawień otrzymać. W mieszkaniu tej osiemdziesięcioletniej drypci^[126] ukrywali się apasze chodzący w porucie. Nosiliśmy im leki, alkohol, dulce i papiery. U Matakowej nigdy nie było pusto, wszyscy cenili tę babę.

Często, coraz częściej klawisznikom na amkuk^[127] chodziliśmy. Jak się dorosły pod cudzymi oknami kręcił, od razu było znać, że knuje. Nas po jakimś czasie też przepędzano, ale co zdążyliśmy zaobserwować, to wystarczyło. Dostaliśmy po kredzie na tydzień i pod oknami niedoszłych okradzionych mieliśmy legendę zostawiać. Do dziś niektóre z tych znaków pamiętam: świderk oznaczał niegościnnie dom; gable na trójkącie – broń w domu, jak kota rysowaliśmy, znaczyło, że w domu same kobiety, a dwa zygzaki, jeden pod drugim, to skowyr^[128] zły w środku. Później komendy uliczne nam dołożyli. Jak na elewacji rysunek głowy w czapce otoczonej sztyletami nabazgrałem, znaczyło, że okolicznego nieopłaconego żandarma w razie potrzeby można zgasić. Kółko przekreślone – można żebrać. Wcześniej te hieroglify znałem niż

abecadło pisać i czytać. Do szkoły może bym i chodził, jakby na bazarze postawili jakąś. Jak to mówią, nie pozwoliłem żadnej budzie na drodze mojej edukacji stanąć.

Nie było tak, żeby w ogóle o tym nie myślał. Działała w okolicy taka jedna szkoła na Miedzianej osiem, której budynek bardzo mi się podobał i po dziś dzień stoi. Piękny chawirek^[129] Fryderyka Schulzega, postawiony frontem do hal na Witkowskim swoją urodą często mnie kusił. Po lekcjach mógłbym chodzić na sąsiedni plac i skręcać ciagi, żeby dorobić. Kojfowałbym^[130] gilzy, nabijałbym i sprzedawał na sztuki. To nawet niezły zarobek dawało. Musiało, skoro budek z gancami^[131] wyrosło jak grzybów po deszczu. W całym Ścieku wyrosły ich setki, jeśli nie tysiące. Wszystkie nowe, metr na metr. Tytoniem, drewnem i farbą olejną pachniały. Otwarte do późnych godzin wieczornych, nawet i nocnych przy śródmieściu samym. W niedzielę identycznie nie znały odpoczynku. Na naszym odcinku Twardej, za Żelazną, przed Srebrną, aż kilka takich działało. Wszyscy ciecie z okolicy kupowali tam najtańsze Wandy na sztuki, mi też się zdarzyło. Gdybym na pierwszy rzut oka za bogatszego chciał uchodzić, niż faktycznie byłem, to kupowałbym Grandy, ale nie na pozorach mi zależało.

Nauki na Miedzianej nie podjąłem. W sąsiednim do szkoły budynku mieścił się szósty komisariat, a ja, nie inaczej wychowany, lamorów^[132] unikałem jak zarazy. Ineczka w ogóle w stronę powszechnej edukacji nie ciągnęło. Nie pamiętam, żebyśmy myśleli wtedy o przyszłości. Nie było dla nas nic bardziej nieistotnego. Liczyło się tylko tu i teraz, jeszcze dzień następny wzbudzał w nas jakąś ciekawość.

Z czasem obowiązków nam przybywało. Kolejnym było gaszenie ulicznych lichtarni^[133]. Kiedyś carskie stołeczną ulicę zelektryfikowały, żeby zmniejszyć w ludziach lęk przed czompami, my dwaj mieliśmy się postarać o przywrócenie właściwego rzeczy stanu. I przy tym się spisaliśmy, szybko więc przyszedł czas

na robotę poważną. Zrobili z nas odpowiedzialnych za drażnienie psów wygłodniałych, którymi konkurencję i opornych szczuto. Jeśli się gówniarz przy tym sprawdzał, wiadome było, że jak podrośnie, chewra będzie miała z niego pożytek. Kto przy bestiach nie pękł, tego nic nie pęknie.

Innym razem kazali nam pilnować przetrzymywanych wbrew ich woli. Na nabrzeżu stał barak Towarzystwa Wioślarskiego, niepozorny, zainteresowania niczyjego niewzbudzający, przez gangusów w konkretnym celu utrzymywany. Posiadał dach pokryty ołowianymi płytami, uniemożliwiającymi jakąkolwiek ucieczkę. Poza tym latem tak się nagrzewały, że zwiedzający ów barak od wewnątrz niejednokrotnie jak w piecu się gotowali. Na krótkich balach tuż nad wodą ćwikany w razie przypływu inną, równie śmiertelną pułapkę stanowił. Nieszczelna podłoga puszczała wodę i przetrzymywani topili się na miejscu. Tę znaną na wszystkie dzielnice perłę stołecznej architektury Szczujnią między sobą nazywaliśmy. Wystarczyło komuś na mieście zaproponować, że w Szczujni wyląduje, i od razu zmieniał ton wypowiedzi. Wiele wiedzy pobraliśmy z Ineczkiem w ścianach Szczujni. Raz nawet dostąpiliśmy zaszczytu szczucia jednego oporniaka. Najpierw przypalaliśmy mu powieki papierosem, później miał włożoną w usta żarówkę, a my biliśmy go mokrym kablem od radia. Takim, nawet jak dziecko uderzy, to boli. Straszna to była tortura, a i skuteczna zarazem. Wystarczył niewielki szczękościsk, by wypełniona próżnią szklana bańka eksplodowała, raniąc przełyk i usta. Płuca wypełnione szklanym pyłem krwawiły bez przerwy przez kilka następnych dni. Wystarczająco, by pożegnać się z najbliższymi i podomykać sprawy. Natomiast dorośli używali metod, które większej siły wymagały. Potrafili bić porwanego tylko po brzuchu tak długo, aż mu jelita pękły i własne gówno od wewnątrz go zalewało. Po kolei wszystkie narządy obumierały mu zainfekowane.

Kiedy zachodziła potrzeba kogoś zniknąć, Łokciowi tragarze nie mieli sobie równych. Zabierali takiego na nabrzeże i jeśli dychał, to tłukli do

nieprzytomności, nadgarstki do kostek za plecami wiązali, co by klatkę wypiął, po czym przecinali płuca oraz żołądek, by po wrzuceniu do rzeki wody nabrały. Szurał denat po dnie i nawet napuchnięty nie miał szansy przed Płockiem się wynurzyć.

Na mokrą robotę byliśmy oczywiście za mali, ale wyglądało na to, że opiekunów zadowalało nasze oddanie. Ledwo po dziewięć lat mieliśmy, kiedy dali nam młotek i pierwszą paczkę gwoździ. Rano, kiedy kupiec przychodził otworzyć stragan, zastawał drzwi zabite. Jak chciał gwoździe usunąć, musiał za nie zabulić, ale nie rynkową cenę, powiedzmy parę groszy, tylko według ustalonej przez Karpińskiego taksy. Zanim pozwolenie na to dostał, dla całej bandy wyprawiał w kirzance fundę^[134] pod dintojrę^[135]. To była taka rozprawa, czy wydać mu pozwolenie, czy nie, a prawili przy rosnącym rachunku, jak tylko długo mieli ochotę. Czasem rachunek urastał nawet do tysiąca złotych, z mniejszym niż pięćset się nie spotkałem, a jak kupiec tyle nie miał, to wystawić musiał weksel krótkoterminowy, nad którego niespóźnioną spłatą wiadomo kto czuwał. Cały ten cyrk z drzwiami pieszczotliwie „siupryza”^[136] nazywaliśmy. Z takimi, co chcieli się poskarżyć przed władzami, przy pomocy noża lub brzytwy się gadało. Rany miały być lekkie, bo to tylko ostrzeżenie, za drugim razem obcinano uszy i bito bliskich, a dopiero trzeci oznaczał piach. Jeśli po pierwszym razie handlarz odwoływał oskarżenie, musiał zabulić grzywnę za fałszywy donos. Doili tam wszystkich i przy byle okazji, a nam to cholernie imponowało. Zresztą nie tylko to. Jeśli ktoś na terenie Łokcia lub Tasiemki za bardzo sobie pozwalał, od bandyckiego zysku procentu nie odpalał albo co gorsza bez odgórnej zgody na życie żandarma się targnął, też musiał ponieść stosowną karę.

My, Szkoc i Szajgec, też chcieliśmy budzić lęk oraz szacunek. Pewnego deszczowego ranka ktoś zahurgotał do drzwi mojego domu. Dziadek otworzył, wziął baniak^[137] i wyszedł. Choć nie padło ani jedno słowo, to wiedziałem, że

pod naszymi drzwiami stał Karpiński, który przyszedł dziadka na robotę zabrać. Poszedłem za nimi, po drodze Ineczka z Pańskiej zgarnąłem i jak pod bramę na Ciepłej doszliśmy, wiedziałem już, co się święci. Mieszkał tam kupiec Graj, który kołtunił się^[138] powtórnie i brał niemały posag. Zbuntował się nieszczęśnik i postanowił nie bulić Tasiemce dziesiątej części wartości posagu, jak tam było w zwyczaju. Na odczepne wysłał mu coś koło stu pięćdziesięciu złotych. Tego dnia, gdy byliśmy pod jego oknami, już wyszedł do pracy, a w domu została jego od trzech dni żona. Pięciu uzbrojonych w rewolwery chłopca wtargnęło do mieszkania, zakneblowali pannę młodą, po czym wszyscy, wraz z moim dziadkiem, kolejno zgwałcili ją na oczach schowanego w kufrze siedmioletniego pasierba Hugona, któremu od niedawna matkę zastępowała. Nic osobistego, zwyczajny wymiar kary. Wychodząc, powiedzieli kobiecie, że jak doniesie na policję, mąż zostanie zabity, a ona okaleczona.

Po dłuższym czasie okazało się, że kobieta zarażona została wstydliwą chorobą i powiedziała o wszystkim mężowi. W drodze na komisariat został napadnięty i zakłuty nożami. My z Ineczkiem wywietrzyliśmy w tym szansę budowy swojej reputacji. Tego samego dnia, kiedy nieświadomy tragedii Hugo niósł ojcu denatowi zupę na Kercelak, dorwaliśmy go, pobiliśmy dotkliwie, a Ineczek na pamiątkę odciął mu fragment ucha kawałkiem szkła z potłuczonego słoika, co w nim napadnięty chłopak tę zupę nosił.

Zdrowe drzewo zepsutych owoców nie rodzi, przynajmniej nie powinno. Nigdy nie było tyle przemocy wśród bajtli co wtedy. Głód i chrystera^[139] co leniwszych na drogę występku już od najmłodszych lat pchały. Karą za to nie był byle zakład dla moralnie zaniedbanych, o nie, w pierdlach dla szemranych specjalne oddziały dla szczeniąt ustanowili. Najsłynniejszy był w Lublińcu, kto tam wylosował pobyt, praworządny już nie wyszedł. A kandydatów nie brakowało. Niemal trzy czwarte pensjonariuszy trafiło do Lublińca przed dwudziestym pierwszym rokiem życia, a reszta siedemnastu lat nawet

ukończonych nie miała. Osiem, siedem – i tacy malcy pierwszy wyrok odsiadawali. Gnoje, jak my, były zmorą ulicy. Z podwórza znałem choćby takiego Hirka Pytla, co jak ja z Ineczkiem bez przerwy ze swoim kolegą uwielbianym Abramem się szlajał. Hirek był nieduży, dużą za to miał głowę, przez co wyglądał młodziej. Chłopcy najchętniej stawiali opór nudzie, rzucając bajnerami w tramwaje i wagony średnicówki wjeżdżające akurat do tunelu. Najczęściej jednak zrzucali kamulce z mostu Trzeciego^[140], ot wprost na sunące Powiślem auta. Poróżnili się raz byli niestety o bzdet jakiś, w wyniku czego gniewny Pytel nie tylko nudę feralnego dnia zabił. Trafił Abrama kamieniem, po czym dla pewności przez barierę na jezdnię przewalił. Więcej lat w cieniu za tę zbrodnię dostał, niż się w życiu na wolności szlajał.

Dziewuchy były nie lepsze, jak słowo daję. Krysia Czysta z domu na przeciwko cieszyła się opinią daleką od nazwiska. Jednemu z tragarzy na piętnaste urodziny francę w prezencie zawdzięczyła, z czego zwierzyła się wiernej koleżonkowie^[141] Tekli. Niedługo potem, wstydu pełna, w strachu o powierzoną tajemnicę, łańcuszkiem, na którym od święta wyjściowego Jezusa huśtała, udusiła swoją powierniczkę. W jednym wieku były.

Knyp Gałązka mieszkał piętro pod nami. Może nie kiragi^[142] byliśmy, ale mijając go, za daszek czapki łapałem. Całe sąsiedztwo wiedziało, że jego ojciec najmniej wspólnego ma z wiernością jako taką i z wdzięków Czystej zapewne również korzystał. Strasznie to Knypka drażniło, jak się szczyły na podwórzu pod boki brały, szydząc, że przez dziwkarza jest zrobiony. Jakby ich tatusiowie niby z innej gliny byli. Wieczorem, daty nie pamiętam, kiedy stary Gałązka uciął szlumerka^[143] obok swojej żony rogatej, Knypko podszedł i z całej siły uderzył ojca w głowę obuchem ciężkiego chakala^[144]. Czerwono po ścianach trysło. Przerazona matka z łóżka wyskoczyła, a syn, postawą ojca zdruzgotany, dla pewności jeszcze mu dołożył. Zaledwie dziewięć lat miał z miesiącami, kiedy za pręty na drugie tyle pofrunął.

Fama po gównażerii szybko się niesie, także w zasadniczo niedługim czasie zyskaliśmy rejonową sławę. Niektórzy szerokim łukiem nas omijali, inni wręcz szukali konfrontacji. Im dalej od Twardej czy Pańskiej, tym chętniej szukali. Najchętniej przy Gęsiej i Lubeckiego, gdzie niebezpieczne towarzystwo w bramach wystawało. W ogóle uczciwego człowieka ze świecą było tam szukać. Okolice przeklęta jakaś była, bo gmach koszar Artylerii Koronnej jeszcze przed moim urodzeniem zamieniono w wojskowy mamer. Ulica słyneła z handlu tekstylnego. Zasysała wyroby ośrodków przemysłowych, a następnie rozprawiała je nawet poza granice kraju. Na handlowym odcinku Gęsiej mieszkań prawie nie było. Każdą izbę i piwnicę przemieniono w skład wypchany po sufit krawieckim dobrem. Jeśli miejsca nie starczało, handlowano nawet na schodach prowadzących w budynku z piętra na piętro. Na ulicy Gęsiej zawsze pełno było spedytorów, pośredników i fabrykantów. Wokół przyjezdnych kręcili się kupcy i buchacze próbujący zagadać z każdym w należyтым dialekcie. Powstała nawet odmiana języka z Gęsiej – trochę ruski, trochę jidysz, szczypta polskiego i kapkę słów zrozumiałych tylko przez miejscowych kupców. Coś jak betisz^[145] w poplątaniu. „Genszer jidysz” ten wybryk lingwistyczny nazwano.

Głównym kozakiem na tamtych podwórkach był Mordchele Fleja. Po genszerowemu „Szterker”, czyli „Silny”, na niego wołali. Za szczeniaka na wpół osierocony, dorastał jedynie pod opieką owdowiałej, schuchranej^[146] matki. Nie zaznał nigdy ciepła rodzinnego, dlatego mając lat ledwo szesnaście, jak król podwórka szlajał się po okolicy z młodszymi od siebie przydupasami. Trzeba przyznać, że była ich nawet spora grupa, kicze z ambicjami, że tak powiem. Metod zarobienia na krupnik i pajdę bartka^[147] mieli wiele, a że spora z nich część była sierotami, to żeby przeżyć kolejny dzień, dla pewności w stadzie kombinować musieli. Od watahy dzikich kundli wściekłością nie odstawali. Zawałoki^[148] na Gęsiej z całego miasta się brały. Część z nich uciekła z transportu do domu dziecka, część została porzucona od razu po porodzie, co

było nierzadkim procederem w naszym kraju. W imię stwierdzenia „w kupie siła” stanowili największe i najbardziej zaskakujące zagrożenie w Warszawie. Forikowali^[149] zniecka. Jeden wiązał buta, inny jabłka oglądał, kolejny kopał szmaciankę, a kilkunastu pozostałych, zgrabnie w klipę^[150] wmieszanych, w zasięgu wzroku na sygnał czekało. W mgnieniu oka ich przeciwnik, a raczej ofiara, to jest właściwe słowo, bita i okradana znikła w gęstwinie agresywnych rączek i nówek. Po wszystkim rozbiegali się, każdy w innym kierunku. Więcej zakamarków niż stołeczne szczury znali.

Głównym ich zajęciem do przeżycia na ulicy niezbędnym było tak zwane potokarstwo reformowane. Potokarstwo samo w sobie to po prostu kradzież z wozów była. Proceder uprawiany głównie przez adeptów złodziejstwa, nie wymagał sprytnej głowy, raczej zdrowych i szybkich nóg. Chodziło o to, żeby bałagula^[151] zagapił się na moment, a już z paki ginął mu mieziach^[152] pełen ziemniaków bądź cebuli jakiej. Obrabowany pechowiec był wtedy bezsilny. Gdyby zdecydował się na pogoń za złodziejami, po powrocie zastałby wóz do cna opróżniony. Może inni buchacze konia z łaski by mu zostawili na pociechę. Największą aktywność potokarze wykazywali w okolicy towarowych dworców kolejowych. Codziennie przewijało się tam tysiące wozów, co dawało tyleż samo okazji, żeby się obłowić. Oczywiście ta metoda kradzieży rozwinęła się najbardziej nigdzie indziej jak w okolicach Kercelaka. Towarowa, Srebrna, a głębiej w miasto idąc: Wronia, Sienkiewicza oraz plac Kazimierza Wielkiego, były miejscami podwyższonego ryzyka.

Prym w potokarstwie wiodła w Ścieku famuła Polkowskich, w której skład wchodził ojciec i aż czterech jego synów. Zaradny tata każde ze swoich bajtli już od najmłodszych lat w fachu trenował, żeby przebiegle za odwracacza uwagi robiło. Starsi awansowali w hierarchii na biegających z łupem, a podrostek miał za zadanie biec przed woźnicą i drażnić się z nim, plując mu w twarz lub urągając. Mało kto pod gradem obelg myślał racjonalnie załadunku pilnować.

W tym czasie nestor rodu z resztą synów smytrał^[153] z wozu, co popadło. Cała akcja trwała góra dwie minuty. Takim poważaniem ich rodzina w kręgach się cieszyła, że dumny tata Polkowski ogłoszony został nawet hersztem dzielnicowej szajki. Sprawny mimo podeszłego wieku ostatni raz został przyłapany na kradzieży, licząc ponad siedemdziesiąt wiosen. Reforma w potokarskim zawodzie polegała na okradaniu jeszcze większej liczby wozów. Dotychczas koncentrowano się na pojazdach będących w ruchu, teraz dodatkowo zagrożone były te stojące z towarem pod haryndą lub magazynem. Rozładunek, załadunek, nie było znaczenia, metoda jednak dużo bardziej ryzykiem demaskacji obarczona. Reformatorzy kłębili się głównie na ulicach przemysłowych i klasycznie przy dworcach. Plac Broni z postojem autobusowym, Bonifraterska, Franciszkańska, Nowiniarska i oczywiście Gęsia, gdzie na żer o poranku wychodziły ze swoich kryjówek Flejowe migdały.

Sam Mordek lubił bić innych werychów, co się żydowskich handełesów na Gęsiej czepiali. Renomę sobie chłopak wypracował pierwsza klasa, obcy chuligani śmiertelnie się go bali. Wszyscy, tylko nie my. Kiedy do Flei nowina doszła, że dwóch takich powoli na ulicy w piórka obrasta, postanowił wysiudać konkurencję szybko z interesu i na ziemię sprowadzić. Bezczelny na tyle był, że nie przejmował się naszymi plecami z Kercelaka, zresztą bajtel w tamtych latach musiał dawać sobie radę sam, nikt nie miał czasu na niańczenie, kiedy pieniądz trzeba było kosić. Ktoś mu zagadał, że znaki pod oknami dla złodziei to nasz tandem kredą zostawia. Wysłał swoją hołotę z mokrymi gąbkami i w kredę wyposażoną, co by pozmiała trochę nasze rękodzieło. Do wymierzenia nam kary Pantaleon wyznaczył mojego dziadka, Łokietek na to przystał i jak się z Ineczkiem po tygodniu od omłotu^[154] spotkaliśmy, to on był już w formie, a ja jeszcze lekko sztylałem^[155] i resztki fioletu z tabeli gubiłem. Na nic nasze tłumaczenia się zdały, że dobrej treści znaki zostawiliśmy, że nie nawaliliśmy w parafię. Jeden buchacz został przez psa pogryziony, a drugi dzień później

postrzał w ramię zaliczył. Dowodów, że ktoś nam koło pióra robi, nie mieliśmy żadnych. Jedyne rady, jaką Karpiński nam rzucił, kiedy mu się na ulicy w pas kłanialiśmy, to że powierzonego nam zadania mamy pilnować sami, że za zdrowie włamywacza odpowiadamy swoim, a jak ktoś nam w kaszę dmucha, to o sobiście powinniśmy go do pionu postawić.

Niczego nie pragnęliśmy bardziej, tyle tylko, że zielonego pojęcia nie mieliśmy, kto i dlaczego taki szmonces^[156] nam wyciął. Dwa tygodnie później Fleja pokazał, że jaki silny, taki głupi jest. Szliśmy akurat obok apteki Bałabana, kiedy stojący w bramie naprzeciwko Fleja rzucił w naszą stronę kwestię, że paciuk^[157] lepiej ryjem w błocie bazgroli, niż Szajgec i Szkoc potrafią rękami. Spojrzeliśmy po sobie z Ineczkiem i jasne się stało, kto za nasze krzywdy odpowiedzialność dźwiga. Inek zerwał się w te pędy, przebiegł w poprzek ulicy i choć Flei do pasa sięgał, to rzucił się na niego z łapami. Czterech mnie za dyrki^[158] i gable trzymało, kiedy patrzyłem, jak Silny siedzi na moim przyjacielu i dusi go, tak na poważnie. Ineczek choć zawzięty bardzo, nie miał szans z uścisku się wydostać. Widziałem, jak powoli szarpać przestaje, a jego ręce puszczają uchwyt i bezwiednie opadają na bruk. Leżał uduszony, przynajmniej tak to wyglądało. Przerażony popełnioną przez siebie zbrodnią Fleja odwrócił się i krzyknął do trzymających mnie przydupasów:

– Chodu!

Korzystając z większej swobody ruchu, Ineczek wymacał w jezdni jakąś kostkę luźniejszą, chwycił mocno w garść i jak tylko mógł, celnie w skroń za lewym okiem Flei przypierdolił. Uderzyć to się można niechcący, on mu z całej siły przypierdolił. Drugą ręką wyciągnął z buta zardzewiały gwóźdź do połowy sznurkiem obwiązany i kiedy tamten zamroczony czekał, aż słuch mu wrócić raczy, Innocenty dźgnął go głęboko przy pachwinie. Wrzask ranionego wszystkie gołębie w okolicy spłoszył. Juchy było jak w ubojni, Fleja skręcał się z bólu, cichł i bladł z każdej kropli krwi upływem. Przydupasy puściły mnie

natychmiast, doskoczyłem do Ineczka i za pierwszy lepszy winkiel uciekliśmy. Zatrzymaliśmy się jeszcze, żeby zobaczyć, co tam się za nami dzieje, i widzieliśmy, jak Bałaban aptekarz pierwszej pomocy Silnemu udziela, tamując krwotok swoim fartuchem. Życie chłopakowi ten poczciwy Żyd uratował, bo zdaje się, że Inek w tętnicę udową mu trafił. Kiedy doczłapaliśmy się do bajzlu na Pańskiej, jedyne, co Ineczek powiedział o zajściu, to że będzie musiał nowe narzędzie sklecić, bo stare na Gęsiej porzucił. Potem było już spokojniej. Fleja po wyjściu ze szpitala dalej robił swoje, ale nas się już nie czepiał. Zdarzało się nawet, że przyjacielskie skinienie z jego strony padło, jakbyśmy byli jakimiś sąsiadami.

Po tym wydarzeniu mordobicia wcale nie mieliśmy dosyć, wręcz przeciwnie, mnóstwo czasu poświęcaliśmy piłce i wiadomym atrakcjom, co z nią były związane. Chodziliśmy drzeć ryja na Warszawiankę przy Wawelskiej, jak większość sympatyzujących z tym klubem mieszkańców Woli i pobliskiej Ochoty. Miłością do tej formacji zaraził mnie dziadek, zabierając na ich debiut w najwyższej klasie rozegrany przeciwko paniczom z Legii, skądinąd w stosunku cztery – jeden udany. Inek bakcyła złapał ode mnie i od tej pory stanowiliśmy tandem najbardziej oddanych kibiców biało-czarnych.

Emocje czysto sportowe to jednak było mało. Odwiedzaliśmy trybuny okręgowego klepowiska WKS Głuchoniemych, gdzie prowadzący spotkania sędziowie zamiast gwizdka chorągiewek używali. Można tam było wygwizdać każdego i to bez urazy. Chadzaliśmy jeszcze na zawody Świtu, któremu wiele zdrowia i pieniędzy Tata Tasiemka poświęcał. Z takim zapleczem mogliśmy pozwolić sobie nawet na rzucanie kasztanami w arbitra, jeśli tylko uważaliśmy jego decyzje za nieprawidłowe. Mimo młodego wieku czuliśmy się pewni i silni. Kiedy rezerwy naszej ukochanej Warszawianki szuchrały^[159] derby z żydowską Gwiazdą, po raz kolejny pokazaliśmy jak bardzo. Gwiazda była klubem owianym złą sławą ze względu na brutalny styl gry i nieposzanowanie

przeciwnika. Każde rozgrywane przez nich spotkanie toczyło się w napiętej atmosferze, nie inaczej było i tym razem. Gdy nasi wyszli na zasłużone prowadzenie, pokonany bramkarz Gwiazdy zrewanżował się napastnikowi Warszawianki kopniakiem w dupę. Strzelec bramki nie zdążył nawet porządnie się odwinąć, kiedy od kolejnego przeciwnika dostał na dokładkę po mordzie. Poobijany padł nieprzytomny na murawę, rozpełtała się zadyma, kibice tylko na to czekali. Trzeba nadmienić, że ci, co chodzili na Gwiazdę, uznawani byli dotąd za najniebezpieczniejszych i najbardziej szowinistycznych w całej Warszawie, nie zadzierali tylko z miłośnikami Skry i Marymontu, bo wszystkie te kluby wspólną orientację socjalistyczną przejawiały.

Prawie wszyscy się napieprzali. Takie na przykład derby Makabi Warszawa z endecką Koroną skończone bez awantury to jakby w ogóle sensu nie miały. Często w zamieszkach na tle piłkarskim przodowali właśnie Żydowie, między sobą się tłukli nawet. Syjoniści ze stołecznej Makabi obijali gęby syjonistów Makabi z Krakowa. Bundowcy z Czarnych Warszawa napadali na bundowców z Jutrzenki, a jakże by inaczej, krakowskiej. Jak kilka lat wcześniej wiedeńskie Hakoah pograć z Polonią przyjechało, to się sojusz zawiązał i starozakonni zamiast stołecznemu klubowi, gościom kibicowali. Rozruchy przy tym wydarzeniu zaistniałe pół miasta sparaliżowały.

Kiedy Tarnovia podejmowała podwawelskie Makabi, to porządek na trybunach zaprowadziła dopiero szarża konnych wymachujących szablami. W Tomaszowie na meczu Wojskowych potrzebny był szturm bagneciarzy, żeby towarzystwo przestało się trzaskać. Rywalizacja Kresowiaków z Jehudą Tarnopol skończyła się bitwą na noże, w wyniku której zdemolowano żydowską część miasta. Podobno żydowskie koło parlamentarne interpelowało w tej sprawie w Sejmie, ale jak pamiętam żydowskich kibiców ze stolicy, to nie byłbym taki pewien, kto tę burdę rozpałił.

Do najgroźniejszych w Polsce – oprócz stołeczniaków z Tasiemkowego

Świtu, żydowskiej Gwiazdy oraz Makabi – zaliczano jeszcze lwowiaków, nieustępliwych batiarów z Pogoni. Pewnego razu pobili po meczu trzech piłkarzy stołecznej Polonii. Za co? A za to, że ci zareagowali na dobiegające z trybun obelgi. „Ściekowe mordy!” – ta była przebojem stadionów. We Lwowie oczywiście również mieli swoje derby, które podobnie do stołecznych przeszły do historii. Kibice Pogoni przepadali wręcz za mordobiciem z fanatykami Czarnych i Ukrainy. Choć Ukraina Lwów grała jedynie w lidze okręgowej, to i tak nie uchroniło jej stadionu przed spaleniem.

Chodziło się na mecze, póki monety starczało. Żeby tylko mieć na bilety, Inek posadę pikolaka w mieszczącej się przy Żelaznej kawiarni Pod Bombą jako drugi etat rozważał.

– Będziesz staruchom browar do moczenia wąsa dźwigał? – drwiłem śmiechem poskręcany.

Rozumiałem jeszcze pracę na żłobie, ale kawiarnia? Biedny, wyszydzony, we własnej obronie wymieniał, kto tam w gościach zasiada lub zasiadał: Słoński, Niemojewski, Grubiński, Orlicz-Garlikowska, Stabrowski, Pawliszczak, Kuna, Limanowski, a ja ostentacyjnie ziewałem.

– Czep się, parchu, jeszcze będziesz chciał pożyczać – odgrażał się poruszony dezaprobatą i kpina, ale na szczęście rychło mu przeszło.

W pogodę biegaliśmy nad Wisłę na Poniatówkę popływać albo na plażę braci Kozłowskich na dziewczyny oko wytrzeszczyć. Tak sobie teraz myślę, że przez tę krótką chwilę ostatni raz w życiu byliśmy dziećmi.

[125] Krawat – tu: wyrok śmierci.

[126] Drypcia – stara kobieta.

[127] *Amkuk* hebr. – oględziny.

[128] Skowyr – pies.

- [129] Chawirek – pałacyk.
- [130] Kojfować – kupować.
- [131] Ganc – papieros.
- [132] Lamor – policjant.
- [133] Lichtarnia – latarnia.
- [134] Wyprawiać fundę – ufundować.
- [135] Dintojra – sąd lub krwawa rozprawa w środowisku przestępczym bądź wobec dłużników.
- [136] Siupryza – niespodzianka.
- [137] Baniak – twardy kapelusz.
- [138] Kołtunić się – żenić się.
- [139] Chrystera – bieda.
- [140] Most Trzeci – potocznie most Poniatowskiego.
- [141] Kolegówna – koleżanka.
- [142] Kiraga – przyjaciel.
- [143] Uciąć szlumerka – zasnąć.
- [144] Chakal – siekiera.
- [145] Betisz – mieszanka słów polskich, rosyjskich, angielskich i hebrajskich.
- [146] Schuchrany – spracowany.
- [147] Bartek – chleb.
- [148] Zawałoka – przybłęda.
- [149] Forikować – atakować.
- [150] Klipa – tłum.
- [151] *Bałagula* hebr. – furman najemny.
- [152] Mieziach – worek.
- [153] Smytrać – kraść.
- [154] Omłot – łomot.
- [155] Sztylać – kuleć.
- [156] Szmonces – dowcip, żart.
- [157] Paciuk – świnia.
- [158] Dyrki – nogi.
- [159] Szuchrać – grać.

KRÓL NIEBOSZCZYKÓW

Kusz miał się wyśmienicie. Mundurowi trzymali dystans, więc szpas ferajna miała gwarantowany. Tylko Łokieć, po swojemu, wciąż był nienasycony. Marzył, by osiągnąć w Ścieku takie wpływy, jakimi jego kolega Ślepy Maks cieszył się u siebie. Podobno Łodzią wyjątkowo twardą ręką sterował. Ferował wyroki w sprawach cwaniaków, którzy bładzili na przekór kodeksowi apasznemu. Przekonał się o tym Feliks „Trupia Główka” Światły, co z bronią na duś chadzał^[160], okradał i torturował bogatych mieszczan. Delegacja od Maksa odradzała, tłumaczyła mu, przekonywała go, że takie zachowanie nie przystoi bandycie. Światły śmiał się tylko z przestrogi i dalej bawił się w najlepsze. Szybko ponoć się doigrał i wyrokiem dintojry zniknął.

Bez zgody Maksa nikt nie miał prawa w Łodzi drugiego okradać. Przy Sienkiewicza, gdzie mieszkał, prowadził swoje Biuro Prośb i Podań. Klientelą biura była uboga ludność żydowska z Bałut, cierpiąca z powodu wydrwigroszy, łowców posagów i innej maści kanciarzy. Za opłatą paru złotych można było liczyć na interwencję powołanego w tym celu patrolu. Potężnie zbudowani fachowcy, uzbrojeni w gnypy, kastety i pistolety, na skinienie Maksa wyruszali nieść pomoc wszystkim pokrzywdzonym. Bardzo skuteczni byli. Leon Goldman ożenił się z krawcową i dzień po ślubie dał nogę z posagiem. Ledwo go bałaje^[161] w szpitalu poskładali. Wdzięczni mieszkańcy przyśpiewki o Ślepym popełniali:

Słuchajcie Żydowie, co wam bajka opowie,
kamienicznik Lewkowicz od Maksa dostał po głowie.

Interesy żywczykiem Ślepy rozwinął o stowarzyszenie Ezras Achim, co po polsku znaczy mniej więcej „Bratnia pomoc”. Teoretycznie miało ono na celu niesienie pomocy biednej ludności żydowskiej i jako samozwańczy sąd rozjemczy miało rozstrzygać spory wewnątrz mniejszości. W praktyce stowarzyszenie było postrachem Żydów w całym mieście, siłą wymierzało kary i egzekwowało wygórowane należności za swoje usługi. O członkach Pomocy ludzie „Mocni Bracia” wołali.

Ślepy Maks pozostawał bezkarny. Bezwzględny, brutalny, przez swój spryt autorytetem był dla przestępczej braci. Nikt jego radą nie pogardził, a niejeden za nią chodził. Dla Łokietka był jak zawsze serdecznym kolegą, a nawet wzorem do naśladowania. Co tam Maks, Łokieć w sile chciał przerosnąć legendarnego Miskę Japończyka z Odessy. Michał Winicki, prosty Żyd z Mołdawanki, zanim został królem Odessy i szefem największego w mieście syndykatu, był z zawodu etatowym elektrykiem w zakładach Anatra. Z czasem zebrał bandę, o której głośno było w całym nadmorskim mieście i daleko poza nim. Ich brawura nie miała granic. Kiedy na przykład grupa socjalistów zebranych w odeskim cyrku miejskim postanowiła wykorzystać przerwę we własnym wiecu politycznym i odbić więźniów z pobliskiego mamra, nie wiadomo skąd, nagle dołączyła do nich banda Japończyka w sile około czterystu uzbrojonych po zęby chłopa. Czterystu, ot tak. Bramę wysadzili wiązką granatów. Socjaliści zaczęli uwalniać osadzonych politycznych, a bandziory swoich. Z wyjątkiem naczelnika więzienia wszyscy byli ze współpracy zadowoleni. Wystraszony służbista schował się w komórce, którą chwilę później Japończyk obłożył słomą i podpalił. Żeby zamienić ubrania aresztantów na cywilne, Miska nakazał zatrzymać przejeżdżający ulicą tramwaj pełen ludzi, a jego pasażerów oskubać dosłownie ze wszystkiego. Kiedyś Winickiego bali się wszyscy i wszędzie, taki sam zaszczyt

miał przypaść Łokciowi. Wreszcie nadarzyła się po temu okazja.

Dnia pewnego Tasiemka z kompaniami, a wraz z nimi mój dziadek, aresztowani zostali. Kto tam wie, jaka była prawda, ale na Kercelaku gadali, że donos poszedł na bandę całą za sprawę Waclawa Bahra. Przy obławie na naszych mundurowi chyba z połowy miasta się zjechali. Pod podłogą straganu rzekomej żony Karpińskiego skład broni palnej znaleziono. Naboje, kastety i inne narzędzia pracy. Łącznie siedemnastu chłopa posadzili. Mój dziadek, Tatko Siemiątkowski, Karpiński, Juda „Idel” Sztajnwort, Czesiek Janiak, Ilersz Dusznicki, Chaskiel Kantor, Stasiak Jakubczak, Aaron Perelran, Olo Bocheński, Stach Cieśliński, Adaś Plackowski, Osmański Wacek, Szringiel Szymek, Gabriel Lipszyc i jeszcze dwóch jakichś. Każdy przynajmniej od trzech do pięciu lat oberwał. Tasiemka trzy dostał, ale kiedy wniósł apelację, to Składkowski najlepsze referencje mu zaczął wystawiać, że obywatel porządny, że radny zaradny, że szpas zapewnia na Kercelaku. Może niewiele, ale z trzech do dwóch lat ochłap^[162] mu zmniejszyli, z pozbawieniem praw publicznych i honorowych na okres jednakowy. Dziadek Dolek niestety nawet miesiąca w mamrze nie doczekał. W jakimś szykowanym awantazu urki^[163] pod celą go pocięli. Mając lat ledwo dziesięć, widziałem go po raz ostatni.

Rychło nastąpił dalszy ciąg niespodzianek. Mając na względzie moją przyjaźń z Ineczkiem i nagłe Matki osamotnienie, Łokietek zapytał, czy w ramach odpłatnej przysługi nie przygarnęłaby Inka, gdyby jemu samemu przyszło za niedługo los Tasiemki podzielić. Matka oczywiście się zgodziła, zawsze o Ineczku ciepło myślała. Nie kryła również, że grosz dodatkowy z za belek^[164] dosyłany, skoro dziadka zabrakło, przydałby się do czynszu, i to bardzo.

Zajmowaliśmy wcale nie tani, wygodny lokal w domu z kanalizacją. Nie chcieliśmy się stamtąd wyprowadzać, dobrze się nam na Twardej mieszkało. Na dziedziniec naszego domu wchodziło się wprost od ulicy, przez ciężką, złożoną

z dwóch nierównych skrzydeł, metalową bramę. Mniejsza była przeznaczona dla pieszych, tą większą przeciskały się wszelkie pojazdy. Podwórza też mieliśmy dwa i także różne od siebie. W pierwszym z nich, pośrodku, trwał zwrócony w stronę furty, pociągnięty niedbale błękitną farbą, posążek szpotawej Maryi. Kamienica należała do Żyda, który chcąc przyciągnąć katolickich lokatorów, postawił odlew byle tanio. Matka Boska Ohydna. Ilekroć obok niej przechodziłem, jej uroda raziła moje wrażliwe oczy niczym oślepiające światło. Od maleństwa wstrętny nieprawdzie nie mniej niż szkaradztwu brzydziłem się nią jak każdą inną blagą^[165]. Bywało wręcz, że na jej widok wymiotowałem. Z czasem na nie wszystkie, szpetne i nie tylko, reagowałem podobną odrazą. Strasznie to Matkę denerwowało. Winna mi współczuć, uparcie twierdziła, że się przymuszam. Uciążliwa przypadłość. Moja zresztą tak samo.

Drugie podwórze służyło mieszkańcom. Za plecami gipsowej Maryi robili wszystko, czego na pewno by nie pochwaliła. W leniwe, letnie dni popijali tam ciepłe piwo, a znudzeni do reszty wysyłali nas, znaczy smarkaczy, po tak zwane mieczyki. Chodziło o to, żebyśmy pokręcili się trochę w rejonie i pojechali po rajtach^[166] pierwszym lepszym napotkanym dmowczykom^[167]. Nieświadomi podstęp, zwabieni przez nas do studni, wpadali w uprzednio przyszykowaną zasadzkę. Na ten czas swój chłop, cieć Ambroży, zamykał frontową bramę na kitok^[168], odcinając mordobitym jedyną drogę ucieczki. Po wszystkim dorośli pozwalali nam w nagrodę odcinać kołnierzyki pokonanych, w których ci z dumą nosili wpięte kilkucentymetrowe szczerbce Chrobrego. Sam miałem takich zdobywszy pełną szufladę.

Nasza czynszówka nie należała do najwyższych, składało się na nią sześć zaledwie czteropiętrowych oficyn. Do mieszkań prowadziły ładne, nawet czyste jak na tamtą okolicę klatki schodowe. Na każdym piętrze lampa świeciła. Elektryczna. Na półpiętrach stały proste ławki, z tego samego drewna co schody. W chłodne wieczory starsi charatali tam w sztos, preferensa, wista, lancknechta,

winta zwyczajnego i w odmianie odelskiego^[169]. Szulerki nikt nie uprawiał.

W naszym domu mieszkania duże nie były, za to ich liczba przyprawiała o zawrót głowy. Dość powiedzieć, że całe poddasze i wszystkie piwnice przez najbiedniejszych były zamieszkałe. W Ścieku nikogo to nie dziwiło, sam w niejednej kamienicy podobne rozwiązania widziałem. Jedni do mieszkań po schodach wchodzili, inni pod ziemię, między węgiel, drewno i rupiecie się zapuszczali. Nic nadzwyczajnego w tym temacie. W ciemnych podmurówkach mieszkali pokolenia, dzieci rodziły się tam, starcy umierali. Pomieszczeniom brakowało okien, światło wpadało do nich przez niewielkie lufty, tuż pod sufitem powybijane. Zimą z owych luftów rury piecyków na podwórze wystawały. Tak mieszkańcy podziemi ogrzewali swoje nory. Latem nieszczęsne sutereny bywały zalewane pomyjami, chlustanymi z wyższych pięter wprost na podwórze. Te z nieczystości, które nie spłynęły do zamieszkałych piwnic, zbierały się w duże bajoro po lewej stronie podwórza. Z każdym rokiem było ono coraz głębsze i dalej sięgało. Kiedy podeszło pod śmietnik zabudowany starymi deskami, w upalne dni nawet lokatorom poddasza śmierdziało.

Nie wszyscy mieszkańcy naszego domu dbali o porządek. Zdarzyło się czasem, że kto do sracza nie doniósł, na korytarzu załatwić się potrafił. Potem żaden się nie przyznał, że przez niego na klatce w oczy szczypało. Przyzwyczajeni dawaliśmy radę, raz tylko pamiętam smród był nie do zniesienia, kiedy to naszą sąsiadkę z góry własny pies zjadł w jej mieszkaniu. Zmarła była we śnie na starość i, co zrozumiałe, karmić bydłę przestała. Po trzech tygodniach zwierzęce odchody i zawilgotniałe resztki napoczętego ciała walorem zdradziły, co się stało. Właściciel kamienicy ledwo mieszkanie wywietrzył, raz dwa wystawił pod nowy wynajem. Dobra to była oferta, na własne oczy widziałem, jak dwóch pierwszeństwem zainteresowanych po pyskach się sprąło.

Zajmowaliśmy mieszkanie wprost nad bramą, widne na dwie strony. Był to jeden pokój z kuchnią, przewiewny, co ważne. W miarę duża kuchnia stanowiła

jednocześnie przedpokój, jadalnię i miejsce szykowania posiłków. Dominował w niej rozkładany, dębowy stół z szufladami, w których trzymaliśmy sztuce. Poza tym pomieszczenie było zagracone rupieciami, które dziadek w zastaw zaległych haraczy dostawał i bez przerwy znosił. Pokój był spory i słoneczny. Pełen ciężkich, kremowych, wbudowanych w ścianę mebli sprawiał wrażenie eleganckiego salonu. Obraz dostojności burzyły niestety nocniki stojące pod każdym z dwóch łóżek. Ustęp na naszym piętrze był jeden, na korytarzu.

Oprócz Łokciowego pieniądza, żeby nas utrzymać, Mama dodatkowo załapała się do pracy jako pomoc kuchenna u famuły Bergsonów. Porządna to była posada, bo i pracodawca wypłacalny. Prapraprawnuk królewskiego protegowanego Szmula Zbytkowera, praprawnuk monopolisty solnego Bera Sonnenberga, prawnuk właściciela domów handlowych w Ścieku i Hamburgu Gabriela Bergsona, syn prezesa stołecznej gminy żydowskiej Michała Bergsona, Ludwik Bergson był na sukces zwyczajnie skazany. Jako właściciel firmy węglowej Samuel & Ludwik Bergson oraz prezes Fundacji Tanich Mieszkań imienia Wawelbergów mógł pozwolić sobie na zatrudnienie pomocy domowych, w tym mojej Matki. Znał ją nawet z widzenia, bo jako kurator Domu Schronienia Starców i Sierot przy Wolskiej, często po naszej dzielnicy spacerował.

Za Mamą wstawiła się dodatkowo kolegówna z lat najmłodszych, przechrzta Bożeciecha Peplak. Moja pretensjonalnie wierząca Matka pewnie za imię ją uwielbiała. Pani Cieszka, wraz z synem Cieszkiem, znaczy Ciechosławem, w kamienicy Bergsona mieszkała i służyła od dłuższego już czasu. Śmieszny ten mały Peplak był nie mniej niż jego nazwisko, właśnie Cieszek taki. Młodszy ode mnie i Ineczka o jakieś pięć lat chyba, biegał za nami w każdej wolnej chwili, narzekając na panujące w majątku salonowe rytuały. Mama chodziła tam sześć dni w tygodniu, dzięki temu dodatkowo na jedzeniu mogliśmy zaoszczędzić, bo zawsze do domu przynosiła trzy porcje obiadu przyszykowane w pracy. Tylko niedziele wolne miała. Jeszcze za życia dziadka niedzielny wspólny obiad,

najczęściej karmenadel^[170] jaki, to dla Matki była rzecz święta.

Dbiała o nas bardzo, a i Łokieć pomagał jej niemało. Zorganizował był nam zajęcia z dala od żłobu, żebyśmy fach jakiś z bliska poznali. Inka wysłał na przyuczenie do znanego antykwariatu Dom Antyków przy ulicy Mazowieckiej. Właścicielem antykwariatu był niejaki pan Lejzo^[171], znaczy Eliezer Epstein, brat Aviego, tego samego, co o pomoc przy otwockich mykwach prosił, i potomek po stryjostwie Hermana Epsteina, majątnego prezesa Rady Kolei Wiedeńskiej, co u samych Rotszyldów bankowości naukę pobierał. Cieszył się Ineczek z pierwszej posady, a że mieszkaliśmy wreszcie razem, na brak spędzonego wspólnie czasu margać nie mieliśmy prawa.

Dla mnie inne zajęcie się znalazło. Jako że przejawiałem chętność do zajęć artystycznych, liczyłem na praktykę u jakiego marszanda albo innego artychy. Mama, znając moje zainteresowania, nosiła bardziej przyziemne nadzieje. W głębi serca liczyła, że może jakim zaradnym ochweśnikiem^[172] zostanę. Dłubałbym sobie święte ochweski^[173] w drewnie, odbijał je w niezliczonych kopiach i sprzedawał dewotom po jarmarkach w całym kraju. Nic porywającego, zresztą bez znaczenia, i tak koniec końców Łokieć o wszystkim decydował. Kierując się własnym poglądem, zorganizował mi przyuczkę w domu pogrzebowym znajomego Tasiemki, „króla nieboszczyków” Moryca Pinkerta. Pocieszałem się, że było w tym dużo z malunku przy pielęgnacji nieboszczyków. Po śmierci skóra wysycha i zapada się, trzeba nie lada talentu, by oddać jej równomierny koloryt i odwzorować zanikające rysy twarzy. Mama lubiła, jak od czasu do czasu przynosiłem resztki kosmetyków z zakładu i robiłem jej makijaż. Sama nie umiała choćby oczu pomalować, zbyt skromna była.

W nowej pracy odkryłem też coś z fachu rzeźbiarza szukającego właściwej formy. Kiedy krew nie krąży, ciało sztywnieje, jakby w bajner obrócone. Starsi koledzy łamali kości nieboszczyków własnoręcznie, ja, dziesięciolatek, musiałem je młotem przez deskę traktować, żeby nie stawiały oporu w trakcie

przymierzania do trumien. Niestety do moich obowiązków należało również rycie cmentarnej ziemi. Póki trzymały mrozy, nie jorkałem^[174], wystarczyło miast łopaty kilof dźwignąć i tyle. Nieprzyjemnie natomiast było pogłębiać groby w wiosenne dni deszczowe, kiedy to resztki zwłok spoczywające w drążonej glebie razem z wodą do gumiaków mi się wlewały. Najgorzej jednak było szwicować latem nad purpurowymi zwłokami znalezionymi w późnym etapie rozkładu. Musiałem uważać, by w czasie przekładania na nosze żadna ich część nie odpadła. Wychowany na wolskiej ulicy przywykłem do podobnych widoków na tyle, że nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Co innego smród.

Tyle po mojemu wyszło, że na Powązkach pracowałem przynajmniej otoczony największą galerią rzeźby w kraju. Mogłem napawać się pięknem niezliczonych dowodów talentu wybitnego Bartłomieja Mazurka, licząc przy tym, że może kiedyś dane mi będzie osiągnąć sławę przynajmniej w połowie tak słuszną, jak jego. Poza tym, nie kryję, cieszyłem się z otrzymanej posady, ponieważ cieszyła się z niej Mama. Chwaliła się sąsiadkom, że wreszcie ktoś w rodzinie ma uczciwą i pożyteczną pracę.

Z tą uczciwością to się niestety myliła, bo kopidoły z naszego zakładu kradły wszystko, co tylko skraść się dało. Okradali domy, do których byli proszeni, a nawet zwłoki z ozdobami chowane. Póki ziemia na wieku drewnianej jesionki^[175] trawą nieobsiana, można było przecież w blasku księżyca niepotrzebne zmarłemu dobra dla żywych wydobyć. Nie raz, nie dwa byłem też świadkiem zakopywania kogoś żywcem albo półżywcem, zależy, czym sobie zasłużył i jak bardzo miał cierpieć tam w dole. Innych opornych na płytke nieprzytomnych chowano, w trumnie niezbitej gwoździami. Po ocknięciu wygrzebywali się jak krety na powierzchnię i błędzili Ściekiem z poranionymi dłońmi i zerwanymi paznokciami. Poza tym grabarze od Pinkerta chętnie konkurencję zwalczali, korzystając przy tym z kijów i noży. Mnie kazali tłuc szyby w cudzych domach pogrzebowych. Ogólnie praca dobra jak każda inna,

w mieście takim jak nasze.

[160] Iść na duś – dokonać napadu rabunkowego.

[161] Bałaj – lekarz.

[162] Ochłap – wyrok.

[163] Urka – recydywista, „zawodowy” przestępca.

[164] Belka – krata.

[165] Błaga – kłamstwo, zmyślenie.

[166] Pojechać po rajtach – naubliżyć.

[167] Dmowczyk – zwolennik Romana Dmowskiego.

[168] Kitok – klucz.

[169] Sztos – gra dla dowolnej liczby osób. Używa się 2 talii po 52 karty. Jednej w rozgrywce, drugiej do ustalania stawek. Preferens – gra dla 3 osób talią 32 kart, to znaczy od siódemek. Wist – klasyczna angielska gra dla 4 osób grających w 2 parach. Lancknecht – popularna gra z początku XX w. Wywodzi się z czasów wojny trzydziestoletniej. Wint – gra będąca pierwowzorem, „przodkiem” brydża.

[170] Karmenadel – kotlet.

[171] Lejzo – zdrobnienie od Eliezer.

[172] Ochweśnik – inaczej obraźnik, człowiek wytwarzający i sprzedający po domach obrazy, rysunki, odbitki, zwykle o tematyce religijnej.

[173] Ochwes – obraz.

[174] *Jojkać* ros. – narzekać.

[175] Drewniana jesionka – trumna.

NIE WYCHODŹ Z DOMU BEZ POŻEGNANIA

Jak się jeszcze okazało, moje nowe obowiązki nie kończyły się wcale na cmentarzu. Łokietek nakazał, że pod jego ewentualną nieobecność w codziennej drodze na Powązki mam kusza na Kercelaku pilnować. Oczywiście za młody byłem, żeby kogokolwiek zastraszyć, miałem tylko obserwować, co się na żłobie dzieje i w razie czego reagować donosem u opłaconych mundurowych.

Łokieć słusznie przewidział – i jego dopadli. Dokładnie w grudniu. Oprócz Doktora na ławie zasiedli jeszcze Blakzylber, Traczewski, Anders, Mitrow, Grajman i dwaj Grosmany – ludzie nieistotni, stanowiący jedynie tło dla głównego oskarżonego. Zarzut im postawiony dotyczył pojedynczego zatargu z konkurencyjnymi tragarzami. Akt oskarżenia określał chęć jako inicjatorów zajścia, za co oczywiście w świetle prawa należała się kara. Farsa to, biorąc pod uwagę Łokciowe dokonania. Wystarczyło jednak w zwyczajach orientować się deko, żeby zauważyć, iż sprawy toczą się nienormalnie. Zazwyczaj, kiedy cała grupa za wspólny rozbój szła pod sąd, najbiedniejszy albo samotny na ochotnika się zgłaszał. Brał ofiara zarzut na solo, a reszta po godzinie na wódce albo w bajzlu bawiła. Jak dzieciaty był, famuła coś na kształt ekwiwalentu z obowiązkowych zrzutek co miesiąc dostawała. Zupełnie jakby fundusz zakładowy działał. Jeśli sam jak palec, to na czas odsiadki odkładali mu pensję o procent równy z liczbą kartek osadzenia powiększony. Opłacalna

rekompensata. Tym razem nikt do winy się nie przyznał, każdy jeden wybujale miał alibi i o uniewinnienie wystąpił. Sędzia Chmielarz postulat adwokatury oczywiście odrzucił i posłał wszystkich z ochłapem za belki. Coś tu było na rzeczy, ale jeszcze nie bardzo rozumiałem co.

Pod nieobecność Tasiemki i Łokcia na Kercelaku rozbestwiła się banda Jana Romualda Zubowicza. Już wcześniej Zubowicz ze szlajających się bez celu po ulicach Woli drabów zorganizował, ironicznie nazwane, Kółko Młodzieży. O ile pamięć mnie nie myli, to nawet przez jakiś czas cwaniaki działali pod patronatem któregoś chrześcijańskiego stowarzyszenia. Mentorem dla adeptów działalności rabunkowej w bandzie Zubowicza był niejaki Zygmunt Rączka, oprych pierwszej wody, szemrany od dziecka. Niestety dla niego, został na gorącym uczynku przy próbie zabójstwa przyłapany i na tym skończyła się jego kariera. Od tamtej pory Zubowicz był jedynym głosem w bandzie i nikt nie miał odwagi podważyć jego pozycji. Uzbroił swoją młodzież w olabogi^[176], pręty, a nawet rewolwery i posłał wszystkich na Wenecję – plac zabaw z bujowkami^[177] i karuzelami, mieszczący się tuż za wolską rogatką. Okazało się, że plac pod Wenecję był dzierzawiony od Polskiego Czerwonego Krzyża, od którego Zubowicz zażądał pieniędzy. Nie mając konkurencji w okolicy, bezczelnie każdego dnia po nieswoje sięgał.

Ja doglądałem sytuacji codziennie, jak Łokieć przykazał. Gryfować^[178] matce musiałem, bo jak się dowiedziała, że dziadek już z mamra nie wróci, to zabroniła mi się po Kercelaku włóczyć, żebym przedwcześnie w jego ślady nie poszedł. Jako chrześcijanka od zawsze powtarzała, żebym wystrzegał się szemranej roboty:

– Twoje prawo do szczęścia kończy się tam, gdzie zaczyna cierpienie niewinnych – wbijała mi do głowy, ile jej tylko cierpliwości starczyło. Niestety ze skutkiem raczej marnym. Nie rozumiała, że plany na przyszłość miałem już od dawna precyzyjnie określone i nie w głowie mi było wszystkich świętych

naśladować. Miałem wystarczająco wzorów, nie potrzebowałem nowych. Pamiętam, jak na syrku^[179] po zaocznym pogrzebie dziadka podpity ktoś po cichu zaintonował złodziejską przyśpiewkę żałobną:

Gdybym ja wiedział, kiedy umrę,
Kupiłbym sobie ze złota trumnę.
Ze złota trumnę, ze srebra wieko,
To bym zasłynął bardzo daleko.

Po chwili chór nietrzeźwych przestępców nucił wspólnie, choć każdy na własną melodię:

A na tej trumnie na krzyż dwa kije,
Żeby wiedzieli, że złodziej bije.
A na tej trumnie – majcher i spluwa,
Żeby wiedzieli, że złodziej czuwa.

Matka nie miała w zwyczaju jeremiady^[180] uprawiać. Nie zastanawiając się długo, przepędziła towarzystwo z domu jeszcze przed refrenem. Jestem pewien, że gdyby prawdę знаła, to i ze mną zrobiłaby tak samo. Wracając do domu później niż po pracy, zapewniałem ją, że Ineczka w antyku odwiedzam. On po powrocie przy kolacji całą maskaradę potwierdzał ze szczegółami.

Każdego kolejnego dnia budziłem się z nadzieją, że nie będę musiał w żaden sposób interweniować. Bałem się ludzi Zubowicza bardzo. Widziałem, jak bez mrugnięcia okiem obcinali uszy różnym opornym handełesom. Niby nic nowego, ale od kiedy istniała możliwość, że i mnie to może spotkać, to nagle zaczęło robić na mnie wrażenie. Kiedy zobaczyłem, jak podejrzanego o życzliwość drukarza Walczaka, zadając ciosy w bandzioch^[181], nożami zadźgali, zacząłem poważnie obawiać się o swoje życie. Ineczek mówił, że bym się nie martwił, ale co on tam mógł wiedzieć. Dni spędzał w cieple przy dźwiękach gramofonu i zliwę^[182] wytwornikom podawał.

Oprócz Zubowicza wyszli na ulicę jeszcze komedianci, którzy myśleli, że

w pojedynkę wypełnią lukę po Łokciu i Tasiemce. Najśmieszniejsza wśród nich była Rojza, marmuzela^[183] zwalista, szmondzia^[184] o dreptaka^[185] urodzie. Niespełna rozumu horpyna^[186] ubzduriała sobie, że zardzewiała harmadła^[187] wszystkich Kercelak sterroryzuje. Łaziła między straganami, udając, że klientów napędza i za swoje rzekome usługi opłaty się domagała. Jeśli kto jej odmówił, z miejsca demolowała stragan, zwierzęcą furią owładnięta. Mimo szkód, jakich dokonała, nikt nie traktował jej poważnie, raczej jak okolicznego błazna gwarantującego w nudne robocze dni darmową rozrywkę. Tak się wszyscy do niej przyzwyczaili, że kiedy tylko Rojza wychylała się zza winkła, już każdy jeden kupiec miał dla niej dwa złote we werchu^[188] przyszykowane. Ja też traktowałem ją rozrywkowo, natomiast Zubowicz przerażał mnie na poważnie.

Żyłem w lęku około pół roku. Miałem wrażenie, że każdy człowiek, który przypadkowo spojrzał w moją stronę, wie o mojej konspiracji i chce mi krzywdę zrobić. Pewnego dnia podszedł do mnie jakiś gnes^[189] za Żelazną Bramą, zapytał, czy ja to Ładek, i kiedy już się do ucieczki gotowałem, powiedział, że czas najwyższy we żłobie posprzątać. Teoretycznie moja rola dobiegła końca, ale najgorsze było przede mną. To się może proste wydawać, ale zakapowanie dużej bandy na jej terenie było wyjątkowo trudną sztuką. Nie zgłupiałem na tyle, żeby się nie bać. Wystarczyło, by ktoś zobaczył, jak się do komisariatu zbliżasz albo dłużej niż na „dzień dobry” przy mundurowym przystajesz, a już mogłeś się żegnać z bliskimi. Mogiła. Ja miałem się skontaktować z juganym^[190] przystawem^[191] Józefem Szeryńskim, znaczy z policji inspektorem, przechrztą Szynkmanem. Żydowie nazywali go po swojemu Jurele. Dziwkarz ze spuchlaka^[192] był nałogowy, więc w bajzlu na Pańskiej poznałem, jak wygląda z ryja. Układ był prosty. Szynkman, choć żonaty, wyro w burdelu miał gwarant, a w zamian przymykał oko na wybryki kercelackie. Gdyby się z umowy nie wywiązał, podsunęliby mu trefną pannę i żona po infekcji o jego pacałykach^[193] by się zorientowała.

Strach mnie paraliżował. Nie chciałem Szynkmana w bajzlu doskakiwać, bo na zycher^[194] ktoś od Zubowicza mógł w tym samym lokalu bawić. Nie miałem pomysłu, jak przekazać mu to wszystko, co przez ostatnie pół roku zaobserwowałem. Ale od czego ma się przyjaciół. Wieczorem, kiedy Matka do sąsiadki poszła nalewkę sprawdzać, usiedliśmy z Inkiem w oknie i zapaliliśmy fajkę, której zapomniała ze sobą zabrać. Krztusząc się od dymu, opowiedziałem Ineckowi o tym, co mnie w ciągu dnia spotkało, jakie dyrektywy dostałem i jak bardzo boję się je wypełnić. Pamiętam, że wziął wtedy ode mnie fajkę, zaciągnął się głęboko i zastygł w jednej pozycji, patrząc w górę na zachmurzoną wierzchówkę^[195].

– Słuchaj, Ładek – zaczął nagle – przystaw raz w miesiącu osobiście patrol po okolicy robi, tak? – zapytał retorycznie. Kto jak kto, ale on w tych sprawach z pamięcią problemów nie posiadał. Odpowiedziałem, że tak, że raz na wojtek^[196] zwleka swoje fafulaste^[197] dupsko zza blatu i na obchód człapie. Pojawia się wtedy wśród straganów na tych swoich niby inspekcjach, bez przyczyny Żydów kopie i kosze im wywraca. Zrzuca pałką towary. Uderzy niekiedy klienta jakiego, ale apaszy z daleka omija.

– No, a z tego, co pamiętam, to następna chatrana^[198] skutro^[199] wypada, więc jak ty do niego przyjść nie możesz, to niech się tłuścioch do ciebie, Ładeczku, pofatyguje.

Bajner z serca. Wyściskałem Ineczka serdecznie jak nigdy wcześniej. Od małego łebski był bardziej niż niejeden dorosły, a te jego pomysły wiele dobrego przynosiły.

Matka od urodzenia wpajała mi zasadę: „Nigdy nie wychodź z domu bez pożegnania”, a dziadek przekornie dopowiadał, żeby się nie martwiła, przecież „święty Antoni złodzieja ochroni”. Następnego ranka pożegnałem Mamę, jakbym ostatni raz w życiu żegnał. Wczorajsza, po nalewce, na szczęście nie zauważyła, że jakiś wybitnie wylewny jestem. Uskrzydłony pomysłem Ineczka,

co chwilę przez zdrowy rozsądek na ziemię byłem sprowadzany. Lęk przed demaskacją siedział we mnie głęboko w środku. Poszedłem wpierw Pod Koguta na Wolską, gdzie ferajna Tasiemki przed cienia[200] zwiedzaniem nierzadko przesiadywała, położyłem monetę na kontuarze i o kielicha szynkarza poprosiłem. Znieczulica taka w ludziach panowała, że nad moim zepsuciem na chwilę się nawet nie pochylił, tylko bez mrugnięcia okiem połał mi najtańszej gorzały. Wódka, Królowa Polski. Nikt nie śmiał powiedzieć, że szkodzi.

Kiedy we wszystkich nerwach zagościła mi obojętność, siedem głębokich wdechów powietrza na szczęście wziąłem, po czym na Kercelak spokojnie skręciłem. Sprawa była o tyle skomplikowana, że miałem pozwolić się aresztować, jednocześnie zaufania Matki nie tracąc. Kradzież żadna nie wchodziła w grę, a na bajtlowe magulanki[201] nikt uwagi nie zwracał. Postawiliśmy z Ineczkiem na zatracenie moralne, co gorzyc sytuacji niezmiernie mi osłodziło. Stały takie trzy połączone stragany niedaleko Leszna, gdzie młode panny z połowy miasta za bielizną zjeżdżały. Niby produkt paryski tam był, a cena jak najbardziej lokalna. Jak człowiek się dobrze przez podwórka zakradł, mógł od zaplecza cały ten kompleks oglądać. Z tyłu, pod gołym niebem mieściła się przymierzalnia dla klientek, co z obiecywanym rozmiarem zmierzyć się chciały.

Ponad dwie godziny uśmiechnięty gołe dupy oglądałem, zanim jedna binia[202] moją czuprynę zza sterty starych skrzynek wylipiła[203]. Popłoch był, jakby kto lisa do kurnika wrzucił. Wybiegły wszystkie z piskiem przed stragany. Zasłaniając się czym popadnie, łapały swoje ubrania po drodze, a połowa z nich, uciekając, przymierzany towar bez opłaty zabrała. Na zaplecze w asyście męża wpadła czerwona ze złości właścicielka straganu. Mąż ją pogonił, żeby wracała pilnować, czy przepłoszone klientki albo gapiowie interesu nie rozkradają, a sam, mając w tych sprawach z lat chłopięcych doświadczenie, zaczął winnego szukać. Sapał tak głośno, że ze sto razy mogłem dać nogę, ale pozwoliłem, żeby mnie w tych podchodach zaszedł i za kudły chwycił. Dumny był z siebie, słów

brakuje. Włóczył mnie za sobą bazarową aleją, mundurowego szukając.

– Ty gnoju, ty bezwstydniku – powtarzał – handel mi na tydzień zatrzymałeś.

A jękał się przy tym z nerwów, że ledwo się od śmiechu powstrzymywałem.

Wpadliśmy wreszcie na Szynkmana i mój dzielny pogromca, stróż moralności, koloryzując całą historię, w gable władzy mnie przekazał. Kiedy mnie przystaw za ucho na posterunek prowadził, myślałem, że to nastąpił najszczęśliwszy dzień w moim nastoletnim życiu. Musiałem twarz w grabach schować, żeby nie wyszło na jaw, jak mi się morda szczyrzy. Słyszałem tylko, jak baby ze straganów krzyczały, że na wstyd to za późno, że świnią jestem i inne cholery. Parę minut później okazało się, że gdyby nie pomysł Inka, to bym popadł w niezłe tarapaty. Towarzystwo Zubowicza tak sobie pod nieobecność naszych na ulicy dokazywało, że nawet obok bramy posterunku stali bezczelnie na fajce, obserwując, kto wchodzi do budynku i kto z niego wychodzi. Kiedy spaślak Szynkman rozsiadł się za swoim biurkiem i spojrział na mnie srogo, wykrztusiłem z siebie po cichu: „Na źłobie trza posprzątać”. Jego mina jakby się w zdziwioną zmieniła i powtórzyć mi kazał, myśląc, że się przesłyszał. Przestraszyłem się bardzo, nie wiedziałem, czy przystaw na Zubowicza komendy nie jest teraz posłuszny. Gdyby tak było, nie wyszedłbym już z tego pokoju o własnych siłach. Spiałem się w sobie i powtórzyłem, że czas najwyższy na bazarze posprzątać. Wstał belbas^[204] zza biurka i podszedł do mnie bliżej, na tyle blisko, że po jego oddechu liczbę zepsutych zębów dało się oszacować. Zapytał, czy wiem, gdzie konkretnie jest coś do sprzątania, a ja w detalach najdrobniejszych swoje obserwacje mu opowiedziałem.

Wystraszony czekałem na jego reakcję. Wyszarpnął mi ze spoconych dłoni wygniecioną oprychówkę, wsadził do środka klawego motyla^[205] i na głowę założył. Kiedy powiedział, że czas już, żebym się zbierał, poprosiłem go jeszcze, żeby w bramie przy świadkach na odchodne w dupę mnie kopnął i jakąś

wiązanek puścił dla wiarygodności zajścia. Jak poprosiłem, tak zrobił, a kiedy wróciłem do domu, matka już od przekup o wszystkim wiedziała. Nie była nawet zła jakaś, ale do nocy na dziadka nieboszczyka mięsem rzucała, że mojego zepsucia bajzłowymi odwiedzinami winien. Głupio mi się zrobiło, że tyle nerwów moje wychowanie tak dobrą kobietę kosztuje, więc kiedy zasnęła, Szykmanowy banknot wsunąłem jej do portmonetki, licząc, iż choć raz luźny pieniądz z myślą o sobie, a nie o mnie wyda. Do świtu Ineckowi opowiadałem, połowicznie o wdziękach Ścieku, a w połowie o wizycie u przystawa Szykmana.

Siedzieliśmy długo. Nazajutrz Ineczek do antyka zasnął i bez śniadania pobiegł. Ja koło południa zwlokłem się z łóżka, śrut dałem^[206], że na Powązki trupy ćwikać już jestem spóźniony i w okolice Kerdelaka pobiegłem posłuchać, co ludzie gadają. Trzeba juganemu Szykmanowi oddać, że jak na spuchlaka czas reakcji miał imponujący. Cały złób szył już na kolanie legendy o porannej obławie policji na kryjówki bandy Zubowicza. Herszta i dwudziestu pięciu jego ludzi złapali o świcie i po różnych stołecznych furdygarniach^[207] porozwozili, żeby w razie kłopotów ewentualnych siły w grupie nie mieli. Co najciekawsze, Zubowicz za swoje występki dostał pięć lat po natychmiastowym procesie, ale oczywiście do żadnego mamra nie dotarł, bo przed transportem szamotanina jakaś się wywiązała i postrzelony w głowę przez przystawa wziął i zszedł na miejscu pod kwaczem^[208].

Tego samego dnia na bazarze przy placu Trzech Krzyży skilniki^[209] rozbiły szajkę niejakiego Józka Gładkiego. Kiedy na targowisku pojawili się żandarmi, bandzior próbował uciekać, ale przekupnie go pochwycili i oddali w ręce funkcjonariuszy.

Zygmunt Pachowski zwany Chińczykiem, co grasował w rejonie Złotej i Marszałkowskiej, sam się mundurom w łapy oddał. Wpierw czuł się mocny, gnębienie mieszkańców długo uchodziło mu na sucho. Zachłysnął się jednak cymbał złą sławą i zorganizował napad na attaché wojskowego Finlandii. To za

wysokie progi, żeby awanturę mimo uszu puszczać, także się stołeczne mundury spięły i szajkę Chińczyka rozbiły.

Stasiek Maron, kolejny wszechmocny niedoszły. Obłożył podatkiem chłopców, co na Siekierkowskich polach golfowych piłki podawali dyplomatom i arystokracji. Zastraszeni mieli akurat komu się pożalić i tak Maron przed sądem stanął. Po usłyszeniu trzyletniego wyroku, zamiast skulić się pokornie, doskoczył do stołu sędziowskiego, złapał krucyfiks i ruszył okładać nim prokuratora. Cztery lata na dokładkę za swój wybryk przytulił, ale po apelacji całość na dwa w ciężkim zakładzie wynegocjował.

Kolejny warty wspomnienia pod nieobecność Łokcia grasował na Powiślu. Niejaki Heniek Dziuba ogłosił się wytwornie „Królem Dolnej Dzielnicy”. Wcześniej zwykła szuja, co przy okazji śmierci kompanów z koterii obchodził nadwiślańskie warsztaty i zbierał datki na pogrzeb. Kiedy Łokietek wydał rozkaz zniknięcia Dziuby, nie spodziewał się, że sprawa na tyle się skomplikuje. Heniek okazał się być zbyt wiatrak, bo w pojedynkę odparł atak doświadczonych bandziorów, którzy pod mostem się na niego zaczaili. Słyszałem nawet, że kilku z nich pobił i to ciężko. Ale rozkaz jest rozkaz. Kiedy następnego dnia Dziuba zabrał bogdankę^[210] na przedstawienie w cyrku Staniewskich, jeszcze przed kasami otoczyła go grupa funkcjonariuszy, co przez niedoszłych, poobijanych zamachowców donosem została poinformowana. Rozpętał się awantaż. Otoczony ciasnym kołem Dziuba wdał się z mundurowymi w przepychankę. W ferworze szarpaniny ktoś dźgnął go gnypem w krztykę^[211] i „Król Dolnej Dzielnicy” zimny padł na ziemię. Okazało się, że między służbistów wmieszał się jeden taki przebieraniec z zamiarem innym niż aresztowanie. Nie tam żaden płatny morderca. Na co komu bulić za robotę, którą byle gnój sterczący w bramie gotowy był wykonać.

Dopiero słysząc wszystkie te nowiny, Łokciowy fortel pojąłem. Chcąc przejąć nie tylko interesy Tasiemki, ale całkowitą kontrolę w półświatku,

postanowił za jednym razem wywabić wszystkich apaszów, którzy mieli bezczelną ambicję zagarnąć strefy wpływu w bezpańskim mieście. Łokieć postanowił się poświęcić, odbębnić ochłap błahy, acz prawdziwy, i raz, a dobrze swoje sprawy załatwić.

Wiele z życia na tym nie stracił. Człowiek z jego pozycją miał w mamrze gwarant swobody nie mniejszej niż na wolności. Ciała za ciasna albo z widokiem nie takim – proszę wybaczyć i odpowiednią wskazać. Męskie potrzeby? Już pensjonariuszki z Serbii^[212] spieszą ulżyć szanownemu panu. Naczelnik i klawisze stopnia wszelakiego w dach bili, kiedy tylko podobna osobistość szła do cienia. Tacy jak Łokieć przez mamrową administrację zawsze mile widziani, przydatni byli do utrzymania porządku w przepelnionych niejednokrotnie celach. Tam, gdzie był opiekun, odnotowywano stanowczo mniej pobić, morderstw, a nawet samobójstw. Bez opiekunowego pozwolenia nie można było nikogo uderzyć, obrazić, okraść czy napaść z kindybałem w rękę^[213]. Ilu gości, tyle sprawiedliwości – jednak to opiekun decydował, która z nich stanowi prawo.

Więziennych opiekunów nazywano Prowodyrami. Żeby dochrapać się nominacji do szaczonego tytułu Prowodyra, trzeba było sobie nie lada kartotekę sporządzić albo przynajmniej pół życia w odizolowaniu odczekać. Za każdym razem koronacji dokonywali inni, doświadczeni stażem Prowodyrzy. Jako że sława Łokcia dawno już zdążyła za mury więzienne dotrzeć, toteż tytuł Prowodyra otrzymał zaocznie, za niezliczone zasługi rzecz jasna. Zapewne urząd swój piastował godnie, wdzięczny za zaufanie, którym obdarzyła go penitencjarna starszyzna, z pietyzmem przestrzegał surowego kodeksu przestępczej elity. Oczywiście nie traktował całego tego cyrku na poważnie, ale adaptując się w nowym środowisku, zachowywał wszelkie pozory podtrzymania więziennych tradycji. Jeśli łykał czefir^[214], to tylko z zaufanymi i w ramach utartych rytuałów. Zawsze ze wspólnego naczynia i po dwa łyki w kolejce. Kiedy na dnie zostawała mniej więcej jedna piąta o najwartościowszym stężeniu,

nigdy nie odmawiał. Ta najmocniejsza z mocnych, będąca zamiennikiem alkoholu, czarna jak smoła zliwa, była serwowana tylko i wyłącznie najznamienitszym dostojnikom samozwańczej władzy. Odpowiednio zaparzona nie mogła się równać z niczym innym. Łokieć na pewno sprawiał wrażenie szczerego i zaangażowanego, choć podejrzewam, że jak to miał w zwyczaju, interpretował prowodyrski regulamin po swojemu, pod siebie.

Ostatecznie, spoza krat, wyeliminował wszystkich, dosłownie wszystkich jemu nieprzychylnych. O tych, którzy cudem przeżyli i za kraty poszli, osobiście w więzieniu się zatroszczył. Gdy karczujesz ziemię pod uprawę roli, wszystek chwasty plenisz, bez wyjątku. Nawet głupia Rojza zniknęła bez śladu.

Kiedy pewnego wieczora z Ineczkiem z Poniatówki wróciliśmy, w domu, za jednym stołem, obok Matki ku naszemu zdziwieniu Łokieć we własnej osobie siedział. Uśmiechnął się serdecznie na nasz widok, wyściskał Inka mocno, a mi podał rękę i zaznaczył, że go spacerem odprowadzę, bo musi ze mną parę słów zamienić. Dopił brazylianie^[215] i zanim wstał od stołu, zapytał uprzejmie, czy czegoś nam potrzeba. Matka pokiwała głową przecząco, że nie, że dziękuje bardzo, bo i tak niezłe nam się z jego pomocą przez ostatnie pół roku działo.

Kiedy Łokieć wyraźnie już zbierał się do wyjścia, Ineczek wystrzelił z taką prośbą, że wszystkich zamurowało. Powiedział, żebym usiadł przy stole, ponieważ chce opinie całej naszej trójki poznać. Nerwowo przyklepał zmierzwione kudlacha^[216] i zapytał, czy mógłby zamieszkać z nami na stałe. Zerwałem się z krzesła i podbiegłem do Inka. Stałem z nim w jednym szeregu i powtórzyłem jego pytanie. Im dłużej utrzymywała się cisza, tym bardziej docierało do mnie, że moje zdanie jest bez znaczenia. Pierwszy odezwał się Łokietek, pytając Mamę, czy miałyby coś przeciwko. W ogóle nie zwracał na nas uwagi. Po chwili namysłu, nieśmiało ze spuszczoną głową Mama odpowiedziała, że nie, że jej podejście do Inka przez ostatnie sześć kartek^[217] się nie zmieniło, że pokochała go niczym rodzzonego syna, a przecież liczba mężczyzn w domu

powinna się zgadzać. Łokietek wstał i podszedł do Ineczka, przykucnął przy nim i powiedział, że jeżeli tak bardzo mu na tym zależy, to on nie widzi przeszkód.

W jego mądrych oczach rysowało się zrozumienie. Widział, że Inek przez te wszystkie lata na brak matki cierpiał, na brak kobiety niebędącej dziwką z Pańskiej. Przed wyjściem poprosił Ineczka jeszcze, żeby z każdą sprawą bez oporu zwracał się do niego, a na mnie głową skinął i wyszliśmy na dwór. Odprowadziłem go może pół kilometra, ale to wystarczyło na długą i szczerą rozmowę. Pogratulował mi odwagi, powiedział, że nigdy mi tego nie zapomni. Zapytał jeszcze, czy może coś dla mnie zrobić, ewidentnie nie lubił mieć u nikogo odłożonego długu wdzięczności. Zasugerowałem, że skoro Ineczek u nas zostaje, to większe łóżko dla Mamy by się przydało, bo my we dwóch w dorosłym śpimy, a Mama moje, trochę przykrótkie zajęła. Twarz mu wstydem wyrysowało i w dwa dni później szemrani tragarze nowe graty nam przemienili. Skąd wzięli, nie pytałem. Były wspaniałe, dywan najpiękniejszy.

[176] Olaboga – pałka metalowa owinięta w szmatę.

[177] Bujowka – huśtawka.

[178] Gryfować – kłamać.

[179] Syrek – stypa.

[180] Jeremiada – nużące gadanie.

[181] Bandzioch – duży brzuch.

[182] Zliwa – herbata.

[183] Marmuzela – babsztyl.

[184] Szmondzia – kobieta niechlujna.

[185] Dreptak – koń.

[186] Horpyna – ogromna kobieta.

[187] Harmadla – szpilka do włosów.

[188] Werch – kieszeń.

- [189] Gnes – obcy.
- [190] Jugany – brany, tzn. łapownik.
- [191] Prystaw – policjant.
- [192] Spuchlak – grubas.
- [193] Pacałycha – zabawa.
- [194] Na zycher – na pewno.
- [195] Wierchówka – niebo.
- [196] Wojtek – miesiąc.
- [197] Fafulasty – podtuczony.
- [198] Chatrana – patrol.
- [199] Skutro – jutro.
- [200] Cień – więzienie.
- [201] Magulanka – bójka.
- [202] Binia – dziewczyna.
- [203] Lipić – patrzeć.
- [204] Belbas — grubas.
- [205] Kławy motyl – banknot o dużym nominale.
- [206] Śrut dawać – kłamać.
- [207] Furdygarnia – areszt, więzienie.
- [208] Kwacz – areszt.
- [209] Skilnik – policjant.
- [210] Bogdanka – kochanka.
- [211] Krztyka – gardło.
- [212] Serbia – kobiece więzienie.
- [213] Napad z kindybałem w dłoni – gwałt.
- [214] Czefir – bardzo mocny więzienny napój przygotowywany na bazie herbaty. Pity w celu odurzenia. Dziś określanymi jako „czaj”.
- [215] Brazyliana – kawa.
- [216] Kudluchy – włosy.
- [217] Kartka – miesiąc.

OPIEKA

Kiedy Łokietek powrócił, powrócił na dobre. Każdego dnia szeregi jego bandy zasilano kilkunastu lokalnych urków zegnających mamę po odsiedzeniu zasądzonego wyroku. Ku swojemu zaskoczeniu, wychodzący z cienia przestępcy nie mogli liczyć na ponowne zatrudnienie u opiekunów z dawnych lat. Zmuszeni zostali podporządkować się nowemu, miłościwie panującemu stolicy Łokciowi. W ten oto prosty sposób chęwa Doktora pozyskała zastępy najniebezpieczniejszych oprychów z miasta i okolic. Urkowie w tym kuzsu byli szczególnie pożądani. Charakteryzował ich jedyny w swoim rodzaju solidaryzm, ściśle przestrzegali hierarchii członków bandy i panujących w niej zwyczajów, a polecenia przyjmowali zgodnie z rangą. Zdarzało się nawet, że choć niektórzy z nich nigdy osobiście nie poznali swojego opiekuna, wypełniali otrzymane rozkazy lojalnie. Posłuszne prostaki i tyle.

Imponowali wszystkim pogardą dla tchórzostwa, determinacją w działaniu oraz obojętnością na krzywdę uciśnionych. Łatwo było ich w tłumie rozpoznać dzięki sznytom dumnie na piersiach eksponowanym lub jaskółkom dziaranym nad skroniami. Najstarsi spośród nich jeszcze insze ozdoby nosili. Były to dwie wypalone na skórze litery: zawsze P, jak Polska, i obok druga, zdradzająca, gdzie też ochłap został odsiedziany. Najczęściej W się u nas widywało.

Z każdym dniem na ulicach Ścieku wyraźnie urków przybywało, ferment przez to w półświatku się zrobił, nie tylko stołecznym. Poszła w Polskę fama, że bandyta Łokieć w sile nie ma sobie równych, że ze swoimi pochlastanymi

zakapiorami i tragarzami znaczy więcej niż wszyscy inni, nawet do kupy zebrani. Sygnały docierały z kraju, że w większych miastach lokalni bandyci ekspansji stołeczniaków się obawiają. Mieli zapewne w pamięci, jak to się Łokieć niedługo po powrocie ze Szwajcarii z Wilnem rozprawił.

Wieść o bimbrowym sukcesie, jaki odniósł Łokieć, obiegała wówczas miejscowości w całym kraju. Każdy bandzior życzył sobie takiego kuszku, jaki przyjezdny Doktor posiadał. Zainteresowali się nim nawet ci, dla których był do tej pory nic nieznającym płociem. Sama wileńska Bruderferajna rozważała Łokcia imponujących zysków pozbawić, zawczasu w tym celu życia go pozbawiając.

Zajść za skórę Bruderferajnie oznaczało zawsze to samo. Wilniuki nie byli popularni i lubiani, żaden z nich był autorytet dla kolegów po fachu, ale mimo tego w swoim czasie byli najpotężniejszą apaszną bursą^[218] w kraju. Brutalni, bezkompromisowi, przed nikim nie klękali. Od samego początku istnienia organizacji szrajbowali^[219] jej historię krwią niezliczonych ofiar. Jeszcze pod carskim zaborem Saszka Lichtsohn, zwany również Chana Bobkes, wraz z Aronem Wójcikiem postanowili, siedząc w restauracji byłej krawcowej Sońki Złotej Rączki, zawiązać samopomoc złodziejską mającą na celu przede wszystkim wsparcie miejscowych włamywaczy. Coś na kształt tamtejszego Związku Właścicieli Domów Schadzek, posiadającego nawet własnego skarbnika. Szybko, bo w niespełna trzy lata, szczytna idea upadła.

Bruderferajna zaczęła generować potrzeby, a że jej przełożeni znali tylko jedną metodę zarobkowania, rozbój stał się ich podstawowym zajęciem. Zaczęło się jak zwykle od wymuszania rekietów^[220] i opłat od zastraszonych handlarzy. Później na porządku dziennym były pobicia, pogróżki, porwania, a nawet i zabójstwa. W wolnej Polsce było im jeszcze lepiej. Zrzeszyli pod jedną banderą prawie wszystkich wileńskich oprychów – było tego z tysiąc chłopów. Saszkę Lichtsohna przyjęli za swoją głowę. Rozgłos więcej niż lokalny przyniósł im atak

bombowy, którego się dopuścili na dom jednego z wileńskich kupców. W akcie odwagi mężczyzna odmówił opłacenia haraczu wyliczonego na około dwa kilo fest kruszcu i zgłosił się na policję. Niewiele dni później niezidentyfikowani sprawcy podłożyli ładunek siupryzę pod jego mieszkaniem. Choć celem był zaledwie jeden lokal, to znaczną część kamienicy potężny wybuch w gruz obrócił. W tym i w wielu kolejnych przypadkach policja rozkładała gable w geście bezradności. Zawsze, za każdym razem, dowodów brakowało.

Wszystko co dobre jednak się kończy. Lichtsohn z Wójcikiem skazali na śmierć nieposłusznego buchacza Elkę Gurwicza, który od dłuższego czasu w Wilnie szwicował i nie chciał podporządkować się woli samozwańczej dyktatury. Wyrok wykonano, Gurwicz został zastrzelony, a wieść o tym dotarła do Warszawy. Na nieszczęście Lichtsohna i Wójcika, Gurwicz z Łokietkiem kolegowali się serdecznie w dawnych czasach wspólnej pracy u Wewego na ściekowym Janaszu. Reakcja Łokietka była natychmiastowa. Wykorzystując znajomości zawarte w PPS-ie, zebrał informacje na temat struktury, źródeł dochodów, planów i przywódców Bruderferajny wystarczające, aby zalać wileńską policję falą cennych anonimów. Reszta okazała się formalnością.

Oczywiście nie chodziło Łokciowi o jakąś tam zemstę za kolegę z targowiska, jego zachowanie to jawna fanfaronada była i ochrona bimbrowego imperium, nic ponadto. Przedstawił się środowisku z przytupem, nie ma co. Pokazał dobitnie, że idzie nowe. Pokazał, że choć jest świeży, to nie zamierza chylić czoła przed nikim i nie szanuje szemranego majestatu. Śmierć Gurwicza była jedynie okazją ku temu odpowiednią, właśnie taką, jakiej Łokieć wyczekiwał. Nadarzyła się i tyle. Cel swój osiągnął.

Co ciekawe, nie spotkała go za to żadna kara, choć donos, którym się posłużył, był bez wątpienia grzechem najcięższym. Zadenuncjować znaczyło tyle, co na samego siebie wyrok podpisać. Wszystkich przedstawicieli naszej profesji obowiązywała bezwzględna „cichosza” lub jak kto woli w barłogu:

„morda w kubel”. Mało dyskretną mordę pies dla zasady jebał, tak się do mowy od kryzysu przysięgowego przyjęło. Kiedy zdrajca Zagórski, w obliczu odmowy złożenia przysięgi Wilhelmowi drugiemu wtrącił własnych legionistów do lochu i skazał na głodówkę, a później odesłał ich bosą do internowania, ci odpłacili mu się piękną pieśnią na nutę *Pierwszej Brygady*:

 Nie chcemy już od Was uznania
 Ni Waszych mów, ni waszych łez!
 Skończyły się dni kołatania
 Do waszych serc, jebał was pies!

Składający donos często kończyli notkę słowami „podpisano: Życzliwy” i tak też się w środowisku przyjęło, że na konfidentów „Życzliwi” wołano. Każdy Życzliwy mógł liczyć na brutalną i widowiskową egzekucję będącą klarownym przesłaniem dla wszystkich wokół. Dla Życzliwych nie było litości, jednak Łokciowi odpuszczono dzięki jego przyjaźni ze Ślepym Maksem. Ślepy to już była persona. W czasie kiedy Łokieć podziwiał szwajcarskie pocztówki, on bynajmniej nie próżnował, wręcz przeciwnie, jego przestępcza kariera nabrała rozpędu, a sława bandy, której przewodził, obiegła cały kraj. Ba, nawet w Warszawie jego nazwisko wrazenie robiło. Bajtło, co dużo czasu na ulicach spędzały, wcześniej słyszały o nim niż o Warsie czy Sawie. Być jego bliskim znaczyło wiele. Opiekunowie największych miast obiecali przymknąć oko na wileńską awanturę i nie wyciągać konsekwencji wobec życzliwego stołeczniaka. Tym razem, po latach, było jednak inaczej. Tym razem trzęśli się, srali w gacie. Nie tylko o interesy, ale i o życie się bali.

Każdy jeden pisał do Ślepego z prośbą o wstawiennictwo u Łokcia. Chcąc uniknąć rozlewu krwi i poszerzyć wpływy kolegi, Maks zaproponował rozwiązanie zgodne z dawną błatną tradycją, o której wszyscy najwyraźniej już zapomnieli. Mało kto w ogóle słyszał, a jeszcze mniej pamiętało zasłużonego ponurej robocie, ściekowego bandytę Zusmana zwanego przez ulicę

Dybukiem^[221]. Ja miałem na tyle szczęścia, że wspomnienie o nim jeszcze za życia dziadek Dolek do snu co wieczór mi wykladał. Życzył sobie ponad wszystko, żebym zasłyszany wzorem w nieuniknionej dorosłości częściej na rozumie niż na szczęściu polegał. Nie szczędził mi przy tym szczegółów, ja jemu za to ciemnego piwa i uwagi.

Największe uznanie budziła we mnie swoboda, jaką malowany Zusman cieszył się przez całe swoje życie. Podobno nikt go nigdy za nieprawą rękę nie złapał. Nikt nie widział też, by zajął ofierze szumowiskiem po ligarach^[222] albo kogo w makówkę trafił. Nikt go też w podziemnych lochach „Indii”^[223] nie osadził. Co więcej, Zusman spał wygodnie i spacerował spokojnie. Jako stołeczniak z krwi i kości miewał swoje codzienne przyzwyczajenia i rytuały, nie trudno więc było interesantom w mieście go odnaleźć. Wystarczyło takiemu zapuścić się w okolice Wielopolskiej Targowicy i zajrzeć do pierwszej otwartej w Ścieku kawiarni, gdzie przepadał wręcz wypoczywać, lub zwyczajnie odwiedzić go w domu przy Zatyłkach. Mieszkał tam nieopodal podupadających koszar Mirowskich, przy osadzonym na Placu Miasta Warszawy targowisku słynącym ze świeżego chleba. Nie był wymagający. Zajmował niewielkie pomieszczenie w budynku należącym do Anny Tamieraziew. Ponoć pani Anna obrotnego lokatora wyjątkowo sobie chwaliła. Nigdy z czynszem jej nie zalegał, a ona nie pytała, skąd ma tak regularny zasiłek. Sąsiedzi: szmuklerze^[224] Frejd Gesztenzang i Nuchim Nawita oraz szynkarz Lewek Perelmann, zawsze mogli liczyć na pomocną rękę Zusmana.

Kogo w okolicy by o niego nie zapytać – handelesa śledziem Hilela Kizelszteina, sprzedawcę leguminy Moszka Librosena czy kupca Lewka Rojala – zawsze ciepłym słowem odpowiedział. Mieszkańcy Ścieku w dach przed nim bili pokorniej niż przed biskupem Okęckim. Puścili w zapomnienie, że zaczynał, napadając przechodniów zbłąkanych pomiędzy wiatrakami i gliniankami bliskiej Woli. Forikował wtedy szpadryną, takim sękatym bikorem, na puder^[225] albo na

garotkę, zarzucając upatrzonej ofierze stryczek na szyję i dusząc do utraty nieraz więcej niż tylko przytomności. Ściągał też własnoręcznie haracze od mieszkańców Nowej Jerozolimy w jurydyce Bożydar-Kałęczyn, dopóki, mimo protestów tamtejszych mieszkańców, osiedla nie zburzono. Z czasem nie mniejszą monetę czerpał, żerując na kupcach harujących w pociejowskiej kramnicy, przerobionej na targowisko z okazałego chawiru^[226] szlacheckiego, oraz na haryndziarzach^[227] prowadzących swoje sprawy przy Nowosenatorskiej. Obszar dawnej żupy solnej był dla niego kopalnią blitu.

Nie małą monetę gwarantował Zusmanowi również szantaż rodaków pozbawionych przez szambelana Tomasza Urskiego praw wszelakich w jurydykach Leszno, Tłomackie i Pociejów. Decyzja o wysiedleniu mieszkających w mieście Żydów miała co prawda skutkować wyeliminowaniem konkurencji zarobkowej dla chrześcijan, jednak w praktyce tak zwany przywilej nieakceptowania starozakonnych był przez nich notorycznie łamany. Co biedniejsi mieszczaństwo wynajmowali Żydom swoje lokale na użytek kantorów i harynd, a nawet mieszkania, przenosząc się na ten czas do krewnych z okolicy. Każdy nielegalnie przebywający na terenie miasta mojżeszowy zobowiązany był, pod groźbą denuncjacji, płacić Dybukowi za milczenie. Z czasem Zusman sukcesem przymuszony najął sobie do pomocy zbirów mieszkających wraz z całymi rodzinami w podziemiach pałacu Ostrogskich, wylęgarni męt ściekowych.

Choć pieniądze głównie z ulicy podnosił, Zusman miał zasady, nie parał się hołociarstwem^[228] ani cudzą dupą nie handlował. Brzydził się parac zajęciem przez elity opanowanym. Lullierka Poniatowskich czy łąźnie Jezierskiego szargały opinię miasta nie mniej niż bandyckie rozpasanie, poza tym od rana do nocy pełne były agentów ciekawych^[229]. Dybuk nowoczesnym był bandytą, inne potrzeby mieszczaństwa nauczył się dostrzegać i zaspokajać. Jednym z głównych utrapień współczesnych mu stołeczniaków był pochówek bliskich odchodzących

z tego świata. Mogiły znajdowały się wówczas w świątyniach i najbliższym ich otoczeniu, co wynikało z oczywistej chęci spoczynku w pobliżu relikwii znajdujących się w niemal każdej parafii. Możliwości grzebalne otoczonego murem miasta szybko się przez to wyczerpały. Próbowano niedogodnościom zaradzić poprzez pogłębianie istniejących grobów, chowanie ciał w pozycji pionowej i wprowadzenie zakazu używania trumien. Mimo tego wszystkie dwadzieścia dwa ściekowe cmentarze w zawrotnym tempie pęczniały. Odprawianie nabożeństw w kościołach otoczonych stertami nieboszczyków przykrytych płytką warstwą ziemi stało się wręcz niebezpieczne. Zaduch unoszący się nad miastem był nie do zniesienia nawet dla żebraków.

Wbrew sprzeciwowi bagatelizującej problem tłuszczy zarządcono wyprowadzić nekropole poza miasto. Otwarto nowy cmentarz zwany Świętokrzyskim, jednak utarty przez wieki zwyczaj okazał się silniejszy od wprowadzonego ustawą porządku. Nikt nie chciał grzebać bliskich w polu, nikt nie przyjmował takiej możliwości. Karą za pochówek przeprowadzony w obrębie murów podlegał każdy, sankcje zaostrzały się wraz ze wzrostem liczby podobnych wykroczeń. Ludzie zaczęli obawiać się restrykcji władzy, toteż zmuszeni byli wyręczyć się kimś, komu lęk z natury był obcy. Zusman pobierał opłatę od ciała i miejsca pochówku. Im bliżej relikwii, tym większe ryzyko. Im większe ryzyko, tym większe wynagrodzenie. Inaczej liczył za jednego bajtla, inaczej za famułę. Chował też zwłoki samobójców niegodnych pochówku na przykościelnych cmentarzach.

Najbiedniejszych klientów mamił obietnicą znalezienia czystego skrawka ziemi, po czym powierzone ciało na Gnojną Górę taszczył. Wdzięcznej famule wskazywał potem świeży krzyż na cudzej, dawno zajętej mogile posadzony, więc przez te jego szachrajstwa mało kto w Ścieku nad właściwą łązy ronił. Klientów miał co niemiara. Najwięcej zarabiał na masowych zleceniach z przytułków, gdzie nikogo nie obchodził dalszy los zmarłych. Świadczył również usługi lokalnemu

prosektorium wiślanych topielców. Wiedział, co z napuchniętymi ciałami robić. Przecinał im płuca i Wiśle je zwracał, tyle że obciążone bajnerami dodatkowo.

Traktował zwłoki jak śmieci, którymi również się zajmował. Interes z Gnojną Górą związany przynosił mu nie mniej satysfakcji niż pogrzebowy. Gnojna była skarżą wieńczącą ulicę Celną, jej stok sięgał niemal do samej rzeki. Przez lata nieprzerwanie pełniła funkcję ściekowego wysypiska śmieci, ale jej pojemność, podobnie jak okolicznych cmentarzy, miała swoje granice. W czasach Zusmana nasyp osiągnął krytyczne rozmiary, niemalże zasypując stojące w pobliżu budynki pełniące funkcję spichlerzy. Fetor zgnilizny wydobywający się z wysypiska drażnił chrapy mieszkańców Warszawy bardziej niż odór trupiego jadu, do którego zdążyli się już przyzwyczaić. Cień Gnojnej starościękowie ulice przez większą część dnia ścielił, dzięki czemu stada spasionych szczurów jeszcze przed zmrokiem na żer wybiegały. Atakowały bezdomnych i zwierzęta domowe, roznosiły pchły i choroby wszelakie. Nadwiślańska Hinnom. Tylko ci, którzy wierzyli, że zakopanie tam po szyję z syfilisu leczy, jako jedyni Gnojnej nie unikali.

Wieczorami, jak każdy szanujący się obywatel, lubił Zusman oddać się rozrywce. Kiedy reszta mieszczan bawiła się wśród straganów i karuzel na Kępie Kawczej, zwanej też Oleandorską, on spędzał czas u zbiegu Chmielnej i Brackiej, gdzie większość stołecznych blatnych uciechy szukała. Stał tam na planie koła wielki czteropiętrowy walec. Mieścił otwartą arenę otoczoną kolumnami podtrzymującymi drewniane kondygnacje. Budynek mógł ugościć nawet trzy tysiące widzów, których głowy zasłaniał gontowy dach. Nad głównym wejściem widniał zachęcający, acz zwodniczy napis: „Amfiteatr”. Tak naprawdę była to szczwalnia, przez większość zwana Hecą, miejsce pokazowego szczucia niedźwiedzi zgrajami wilków lub tresowanych brytanów.

Na arenie Hecy krew lała się zawsze. Heca była ulubioną rozrywką ludzi o specyficznych potrzebach, a że takich w mieście nie brakowało, nigdy nie

świeciła pustkami. Kowale, żołnierze, woźnice i wdowcy zdziczali – między nimi wszystkimi Dybuk niczym się nie wyróżniał, czuł się jak wśród swoich. Z reguły po ostatniej walce z udziałem zwierząt następowała w Hecy przerwa porządkowa i licytacja zwłok prowadzona przez obecnych na widowni kryśników^[230]. Nie co dzień przecież szło w mieście dziczyznę uświadczyć. Potem następował mniej oficjalny punkt programu: mordobicie, nazywając rzecz po imieniu. To nie były legalne zapasy, przegrany o własnych siłach areny nie opuszczał. Walki toczyły się zwykle w stosunku jeden na jednego, zdarzały się też po pięciu. Nieliczni szczęściarze trafiali do szpitala św. Ducha, reszty przepelniona Gnojna wyczekiwała. W trakcie bezlitosnych potyczek wrzawa wśród widzów wzmagала się z każdym wyprowadzonym uderzeniem. Zakłady były przyjmowane do ostatnich chwil toczzonego pojedynku. Zusman miał w zwyczaju stawiać sumy wysokie. Gdy przegrywał zakład, uczciwie dług poniesiony spłacał. Nigdy nikomu nie był nic winien, wrogów przez to nie posiadał. Uczciwość, w osobliwym tego słowa pojęciu, zapewniała mu przychyłność braci po fachu daleko poza granicami miasta.

Wszyscy bandyci w potrzebie mogli liczyć na wsparcie Zusmana, a żaden z osobna nie krył wdzięczności wyrazu. Dali temu dowód tuż po zatwierdzeniu przez koronę haniebnego traktatu rozbiorowego. Wtedy to rozważny Zusman zwołał schodkę^[231] na łączkach za Marymontem, a na jego wezwanie stawili się w Ścieku przedstawiciele największych chęwr z całego kraju. Łączki te były wówczas w mocy bandyckiej, żaden mundurowy nie odważyłby się tam chodzić. Co innego zaproszeni goście. Licznie przybyłym i niemniej zaskoczonym delegatom gospodarz zaoferował zawiązanie przestępczego sojuszu posiadającego siłę przeciwstawić się represjom zaborczych organów ścigania.

– W głowach trzeźwi i w ramionach silni, siebie bądźmy warci, sobie bądźmy wsparciem – przekonywał zebranych.

Jak zaproponował, tak też się stało. W wyniku spotkania zawarto przymierze

mające na celu zawiązać parantele^[232] wszystkich famuł szemranych. Uprawnieni po temu uczestnicy schodki obdarzyli Zusmana zaufaniem i na marymonckich łączkach, jak na polach elekcyjnych Woli, ustanowili go głową nowo powstałej gromady. Wszyscy bez wyjątku winni byli mu posłuszeństwo, kto zmienił zdanie, nie mógł więcej liczyć na pomoc układu. Każdy uwikłany poprzysiągł być trzymać mordę na wodzy. Kto podniósł rękę na sprzymierzeńca, przychylność całego środowiska tracił. O ile mu szczęście dopisało.

W czasach dwóch pierwszych rozbiorów nie było bandyty bardziej godnego przywództwa niż sędziwy Dybuk Zusman, inicjator więzi blatnej. Do samej śmierci, przez ponad czterdzieści lat pontyfikatu, zapewniał bezpieczeństwo i dbał o swoich zaufanych. Choćby w dniu wybuchu insurekcji stołecznej, o wpół do czwartej rano, w trakcie ataku gwardii konnej koronnej na baterie rosyjskie, jego zbiry zrabowały z Arsenалу Królewskiego prawie dziewięć tysięcy sztuk broni i amunicji setki kilogramów. Niewielką część ze zdobytych karabinów Zusman podarował wspaniałomyślnie powstańcom Kilińskiego. Wystarczyło im to, by następnego dnia pokonać Rosjan zmuszonych strzelać guzikami i drobnymi, miedzianymi monetami. Reszta zagrabionej broni zasilila przestępczy syndykat, tworząc zeń dyskretną potęgę zdolną odeprzeć każdy atak.

Z czasem prości ludzie zaczęli nazywać organizację Opieką, a bandytów swoimi opiekunami. Mieszkańcy miast i wsi coraz częściej zgłaszali się do blatnych, prosząc o pomoc w niemal każdej dziedzinie życia. Pożyczka pod zastaw własnego zdrowia, przepędzenie nieakceptowanego kandydata na zięcia czy inszej maści problematy. Nie było spraw nazbyt błahych lub wstydlivych, by się z nimi do Opieki fatygować. Wszyscy bez wyjątku przy tym obiecywali, że o zaciągniętym długu nigdy nie zapomną. Mimo uiszczonej opłaty.

Ślepy Maks nie widział innej możliwości niż namaszczenie Łokcia sukcesorem Dybuka Zusmana. Jego zdaniem każdy z proszących o wsparcie bandytów, nie chcąc podzielić losu krnąbrnych Wilniuków z Bruderferajny,

powinien przystać na takie rozwiązanie.

– Nie ma co trwać w niepewności o pomyślność – przekonywał wszystkich racjonalnie. – Nie od dziś wiadomo, co niepoohamowany apetyt Ścieku zaspokoi. Pod opiekę stolicy nam trzeba. Inaczej nie damy jej rady.

[218] Bursa – grupa.

[219] Szrajbować – pisać, niem. *schreiben*.

[220] Rekiety – okup.

[221] Dybuk – według Żydów zły duch wcielony w żywą osobę.

[222] Zająć komuś szumowiskiem po ligarach – uderzyć kogoś pałą po nogach.

[223] Najcięższe ówczesne więzienie, zwane przez bandyctwo Indiami, znajdowało się w Kamieńcu Podolskim.

[224] Szmuklerz – rzemieślnik zajmujący się wyrobem pasów, frędzli i taśm do obszywania ubrań.

[225] Puder – forma ataku polegająca na sypnięciu ofierze czymś żrącym w oczy, twarz.

[226] Chawir – pałac.

[227] Haryndziarz – sklepikarz.

[228] Hołociarstwo – kradzież koni.

[229] Ciekawy – śledczy.

[230] Kryśnik – rzeźnik.

[231] Schodka – zgromadzenie.

[232] Parantele – koligacje.

SZTYLECIARZE

Łokieć od zawsze sycił się strachem. Lękiem, który wzbudzał, żywił się bez reszty, pazernie karmił. Dostąpienie zaszczytu niosło jednak za sobą pewne obowiązki, zmuszony był im sprostać. Wbrew sobie nierzadko. Władza, jakiej pożądał, nie ograniczała się jedynie do trzymania za pysk twardą łapą, o czym niejedynemu Opiekunowi przed nim się przekonał, a i on powinien zdawać sobie sprawę.

Gdy z początkiem dziewiętnastego wieku odszedł pierwszy Hametapel^[233] Zusman, zwołano schodkę, na której spadkobiercą jego pozycji obwołano Dow Nachasza^[234], bandytę nie mniej poważanego od sławnego poprzednika. Ci z mieszkańców Ścieku, którzy uważali członków bandyckiej koalicji jedynie za brutalnych ciemężycieli, zmienili zdanie na wieść o mordach, które nowy Opiekun zlecił osobiście. Jego gniew dosięgnął choćby Henryka Mackrotta, perruquiera^[235] lokalnego, co pod firmowym szyldem inszą dziedziną dodatkowo się parał. Nie było tajemnicą, że oprócz modelowania plerez^[236] nadwiślańskich piękniś i piękniśców Mackrott pośredniczył ponadto w kontaktach filles de joie^[237] z ich klientami. Jak nie jeden plerezarz zresztą. Na to zgody ulicy nie było. Kultuwujący zusmanową kulturę zarobkowania Nachasz odwiedzał liczne zakłady, sugerując ich właścicielom porzucenie maciorniczego zajęcia. Kto miał dostatecznie pokory w naturze i nie chciał na następny dzień interesu w płomieniach zastać, ten brał sobie do serca dobrą radę.

Nowy Hametapel słów na wiatr nie ciskał. Będący policyjnym szpiclem szpiegującym obywateli przy pomocy swoich panien Mackrott nie dość, że za

przestrożę odwdzięczył się śmiechem, to jeszcze, wypraszając go ze swojego salonu, Nachasza znieważył. Reakcja głowy ściekowych blatniaków mogła być tylko jedna. W dniu wybuchu powstania listopadowego nakazał swoim przybocznym odszukać zagubionego w owładniętym niepokojem tłumie Mackrotta i bez zbędnej dyskrecji z zimną krwią na śmierć zachlastać.

Na jednym zdrajcy się nie skończyło. Pewnego sierpniowego poranka, dokładnie w połowie miesiąca, Nachasz podobne zlecenie wydał. Nakazał swoim gangusom wzburzyć rejwach i z jego uwagą wymierzyć sprawiedliwość czekającym na sąd powstańczy delatorom^[238]. Dla większego wrażenia rozkazał ich wieszać, wysoko. Wpierw zawisł Joel Mojżesz Birnbaum, przechrzta, co pod pozorem prowadzenia składu win na Nowym Świecie zajmował się z polecenia policji miejskiej śledzeniem przemytu tabaki i tytoniu. Już samo dochodzenie wścibskiego agenta było Nachaszowi nie na rękę, wszakże przemytniczy proceder hojnie bandycką dolinę zasilał. Poza tym na działalność Birnbauma skarżyli się swoim metapelom żydowscy kupcy, nad którymi bezlitosny śledczy niejednokrotnie znęcał się w celu pozyskania informacji. Biedni, między młotem a kowadłem, bali się donieść na Opiekę, więc problem należało rozwiązać raz na zawsze.

Przetrzymany w prochowni przekształconej na więzienie Joel Birnbaum, a wraz z nim kilku innych pojmanych przez powstańców lojalistów, zostali przez nachaszowych podkomendnych wywleczeni na ulicę Długą, po czym powieszani na lichtarniach przed kościołem Pijarów. Następnie mściwy kondukt ruszył za rogatki wolskie, szykując samosąd na osadzonych w tamtejszym Domu Przytułku i Pracy.

Ponadto Nachasz zobowiązał swoich ludzi do szczególnego zainteresowania się osobą Henryka Mackrotta Młodszeo, dojrzałego w denuncjacji nie mniej niż jego ojciec za plugawego życia. Podobno Młodszy donosił, już będąc zaledwie uczniem gimnazjum, nie przestał też na Wydziale Medycyny, gdzie uczęszczał

krótką chwilę. Biuro prowadził w domu swojego ojca, obserwującego z dumą postępy przebrzydłej latorośli. Śmiały w szpiegostwie pobierał fundusze pozwalające mu utrzymać do dziesięciu współpracowników, których osobiście rekrutował spośród starozakonnej biedoty. Wyjątkowym zainteresowaniem jego konfidencji cieszyły się stołeczne szynki i to, czy przyjmują one szemranych klientów poza godzinami wyznaczonymi przez carskie władze. To najbardziej niepokoiło Dowa Nachasza. Jako Opiekun nie mógł pozwolić, by w jego bezpośrednim otoczeniu przebywali dwulicowcy raportujący rzetelnie organom ścigania. Wyłowić przenikających było niezwykle trudno, a i tak na miejsce jednego straconego Młodszy z Mackrottów posyłałby dwóch nowych. Dlatego też Henryka Mackrotta Młodsze los musiał spotkać identyczny co Birnbauma. Z wyroku Opieki zawisnął na wolskiej lichtarni. Następnego ranka stołecznym motłochem poruszyła radosna nowina, że oto Opieka porządek z konfidencją robi.

Kolejnym po Muszkacie Opiekunem został Szwajpolt Knebel. W tym wypadku schodka była jedynie formalnością, ponieważ w ostatnich słowach przed śmiercią Nachasz Knebla na swojego następcę namaścił. O ile drugi z kolei Hametapel traktował założycielskie postanowienia niczym swoje, Knebel rychło odczuł potrzebę zmian na miarę galopujących czasów. Mawiał, że kto wybrzydza, ten nie zarabia. Zdeterminowany głosił, że nie tylko rozbojem czy przemytem tabaki fortuna się toczy. Lokalnym kuplerem, żeby nie powiedzieć lujem^[239], okazał się być bardziej niż zaradnym i w niedługim czasie podporządkował sobie wierne grono ściekowych aksamitek^[240]. Nie ufał nikomu, z kim nie miał wcześniej do czynienia, toteż skrupulatnie dobierał personel zasilający nieprzyzwoite świetlice. Najelegantszy z przybytków, znajdujący się przy Rycerskiej, oddał pod przedsiębiorczą rękę zaprzyjaźnionej pani Sadkowskiej. Wprowadzili tam wspólnie system nagradzania najlepszych ze swoich pracownic. Klienci, po opłaceniu honorarium za usługę, otrzymywali

specjalne żetony, które, jeśli byli zadowoleni, wręczali schuchranym kokotom^[241]. Ta, która zebrała ich przez noc najwięcej, następnego dnia była dodatkowo doceniana.

Dwosia Bluszejnowa odpowiadała za interes przy Hotelu Saskim. Sawicka i Tomasowa pilnowały szczęśliwego utargu w trzynastu zakładach na Freta. Nuta Jeleń doglądała, jak się wiedzie na Podwalu, Krzywym Kole i Trębackiej, a Kühnowa pełniła funkcję makreli^[242] po całej długości Koziej. Tam poziom oferowanych usług był najniższy, dostosowany potrzebom do imentu wulgarnym.

Jak świat stary wiadomo, że kobiecym wdziękiem najpewniej uwagę się odwraca. Hebesem^[243] ten, kto myślał, że władza i mienie zacnego Opiekuna Szwajpolta Knebla jedynie pospolitym nierządem stało. Mający dosyć porubstwa w sąsiedztwie przyzwoici obywatele porzucali zajmowane przez siebie mieszkania i przeprowadzali się na inne ulice. Każde opuszczone przez nich cztery ściany prędko przeistaczały się w użytkowe, a zamtuzy^[244] z czasem zajęły w mieście więcej lokali aniżeli uczciwi obywatele. Dzięki bajzłowej pladze Knebel stał się w Ścieku największym posesjonatem. Nie przejmowały go jedynie przydrożne drewniane komórki, w których robaczywe stuchujnice obsługiwały po kilkudziesięciu klientów na zmianie.

Obrotny Opiekun umiejętnie zenutem^[245] się posługiwał. Nawet lęk przed chorobą potrafił w monetę zamienić, a był to w elitach lęk niemały. W kraju oraz poza jego granicami przypadłości wynikające z rozpusty nie bez przyczyny nazywano chorobą warszawską. W syrenim mieście z powodu chorób wenerycznych więcej wywarów z ziół niż wina pito. Ściekowe szlachectwo należało przez to do najtrzeźwiejszych w kraju. Najznamienitszej klienteli Knebel gwarantował zatem towarzystwo dziewic, o które było niezwykle ciężko w owym czasie. Za ich czystość więcej niż za usługę bulić kazał.

O prowadzone rozległe działalności troszczył się, doprowadzając do licznych

małżeństw pomiędzy upadłymi wyrobnicami a urzędnikami aparatu ścigania. Uwikłane w bezwstydną procedurę połowice skutecznie odciągały uwagę dociekliwych agentów. Jeśli nie dało się ożenkiem, Szwajpolt szantażem dbał o swoje. Wysoko postawionego księdza Stanisława Staszica zobowiązał do protekcji burdeli nie tyle groźbą wyjawienia jego częstej u dziewcząt gościny, lecz osobliwego upodobania duchownego do tych nędznych, tych z Koziej właśnie. Pod przewodnictwem Knebla Hatipul^[246] przestała stanowić jedynie porozumienie życzliwych sobie łotrów. Zaczęła przynosić zyski i osiągać rozmiary, o jakich jego poprzednikom nawet się śniło. Pilnowała swoich spraw, litości nie znając, bez względu na to, kto jej wadził. Z okrutną nie mniej niż kozackie hordy i nad wyraz czujną organizacją musieli liczyć się wszyscy, niezależnie od zajmowanego przez się stanowiska. Nikt w pełni rozumu nie podniósłby nawet głosu bez przyzwolenia blatnego autorytetu. Żadna inna grupa cywili nie stanowiła siły z nimi porównywalnej.

Spiskowcy aranżujący kolejny zryw niepodległościowy, szukając specjalistów od brudnej roboty, nieśmiało więc zwrócili się do Knebla o wsparcie. Proszoną pomoc, jakże by inaczej, w zamian za gwarancję swobody działania ewentualnie uwikłanych, uzyskali. Zasilający ich bandyci zobowiązali się za to w przyjemnym obowiązku mordować, gwałcić i sekować^[247] wszystko co carackie. Jeśli trzeba było postraszyć wysokiej rangi namiestnika, wysyłali mu starannie poćwiartowane zwłoki zatrudnianego przezeń kolaboranta lub pierwszego lepszego przyboczniaka.

Prowokatorzy, poborcy podatkowi i funkcjonariusze najwyższego szczebla administracji jak na zawołanie przestali się w Ścieku wysypiać. Nie tylko nocą winni byli bać się o życie. Szwajpoltowi rutyniarze wiele spośród zamachów przeprowadzali także za dnia i nie unikając świadków, coby mojre^[248] w pospólstwie większą niż duża zaszczepić. Używali do tego ostrzy maczanych w strychninie albo swoim utartym już zwyczajem sznura przewieszzonego przez

miejską lichtarnię. Nazywano ich zatem Sztyletnikami lub Sztyleciarzami. Bywało, że i Wieszającymi, samym zainteresowanym wszystko jedno to było. Najchętniej polowali na współpracowników tajnej policji, co wścibskiego ucha w blatnym towarzystwie nadużywali. Dopadali takiego ni stąd, ni zowąd, po czym na widoku przechodniów zadawali mu trzy rany; w serce, pierś i szyję. Odcinali jeszcze ucho na znak, że ucha^[249] za dużo, i oddalali się, zostawiając niesymetrycznie okaleczonego, konającego w rynsztoku pomyj. Nikt o nich za wiele powiedzieć nie potrafił oprócz tego, że na pierwszy rzut oka szemrani. Tym trudniej było się przed nimi uchować. Sami siebie także przesadnie nie organizowali. Pozbawieni wyraźnej hierarchii wytyczne Opiekuna jeden drugiemu, z ust do ust przekazywali.

Hametapel Szwajpolt Knebel aktywnym był bandytą i długo po śmierci dobre imię zachował. Najwięcej sympatii sobie zaskarbił u starych zakonów, kiedy to ich bajtle przed moskalską branką ochronił. Od tamtej pory chętniej, choć stale pod przymusem, za opiekę mu bulili, gdyż nabrała dla nich rzeczywistego wymiaru. Słuszną też Knebel drogę utorował dla swojego następcy, którym okazał się być mentor nastoletniego Judela Łokcia, Wewe ze stołecznego Grzybowa. Godny nadanych mu przywilejów, w trakcie sprawowanego urzędu wielokrotnie udowodnił zasadność decyzji bandyckiego komitetu. Żydowie ufali w Wewego nie mniej niż w jego antenata. Cieszył się poparciem zarówno hołszy bez grosza przy duszy, jak i tych jeszcze biedniejszych. Hołubił im wszystkim niczym ojciec, chociaż wyjątkowo srogi.

Pewnego świątecznego poranka, podczas mszy odprawianej w stołecznym Świętym Krzyżu, rozległo się paniczne „Gore! Gore!”. Wystraszeni rzekomym pożarem wierni ruszyli w popłochu do wyjścia. Stado spłoszonych owieczek stratowało śmiertelnie dwa tuziny najsłabszych spośród siebie. Okazało się jednak, że okrzyk, który wzbudził zamęt, był celowym dziełem żydowskiego krawca przyłapanego w kościele na kradzieży. Tragedia wzbudziła wśród

ocalających pragnienie gwałtownej zemsty. Wściekły tłum rozbijał szyby żydowskich witryn znajdujących się w pobliżu kościoła, atakowano też przechodniów mojżeszowego pochodzenia. Hałaburda rozprzestrzeniła się w mgnieniu oka, do napastników dołączyli ludzie z innych części miasta. Z czasem zamieszki ogarnęły dzielnice pobliskie, jak i te dalsze. Żydowie w całym Ścieku próbowali formować oddziały reakcyjne, jednak lokalna policja wyłapywała prowokatorów nawołujących do walki z chrześcijanami. Jedynie starozakonni mieszkający na blatnym Grzybowie, niemal wszyscy Wewemu lojalni, czuli się w miarę bezpiecznie. Oddział samoobrony, zawiązany z uzbrojonych przestępców, opiekował się nimi należycie, a brani[250] mundurowi omijali podwórza z daleka. Słyszając wieści z miasta, Opiekun polecił ponadto zorganizować w domu weselnym przy Pańskiej szpital ratunkowy dla najciężej poszkodowanych. Kieszonkowca, który swoim okrzykiem do tragedii doprowadził, kazał odszukać i katońskim zwyczajem Opieki na lichtarni oświetlającej chmurny kościół powiesić. Rozruchy, trwające nieprzerwanie przez dwa dni i dwie noce, ustały. Nieświadome siły, z którą lekkomyślnie zadarło, gniewne pospólstwo postanowiło ustąpić. Syte złożoną przez Wewego ofiarą pochodnie na bruk upuściło.

Rosnące znaczenie Opieki nie było na rękę carskiej władzy. Sprowokowała więc zajście, które na powrót miało ulicę podzielić. Ciepłego majowego wieczora zadziały się rzeczy, o których dzień później wszystkie gazety pisały. Niby jak po tych ulicach krew się lała, to od zawsze strumieniami, jednak takich potoków rozlanej czerwieni nikt jeszcze nie widział. Zaczęło się zwyczajnie, od prowokacji. W jednym z lupanarów przy Zielnej należących do maciornika Dawida Surowicza młody pracownik żydowskiego zakładu rzeźniczego, podpity na pewno, zażądał uwolnienia bini, która wpadła mu w oko. Kilka razy za to po niewyparzonej zarobił i wyproszony został z lokalu. Do domu jednak nie wrócił. Zapewne carski agent robotnicze środowisko penetrujący ostrzem chłopca

zaklął i pospieszył zaraz potem do jego przyjaciół, od progu nieprawdę krzyząc. Koledzy kryśnicy poprzysięgli zemstę blatnym sąsiadom i spuścili im tęgie baty. Zdezorientowany Surowicz pobiegł na ten tychmiast do Wewego, licząc, że ten załatwi sprawę.

Reakcja Opiekuna mogła być tylko jedna, kazał maciornikowi zebrać tylu sutenerów, ilu ten tylko da radę. Następnego dnia pod dowództwem doświadczonego w awantażu Szymele Blacharza zastęp niemal pięciuset maciorników ruszył pokazać robotnikom, do czego zniewaga prowadzi. Uzbrojeni w bikory i gnypy otoczyli szynk Fistenberga przy Krochmalnej, po czym wyciągali zeń kolejnych robotników i do nieprzytomnego bili. Żydowie Żydów. Na kilku rannych tam stanęło i jednym denacie. Mniejsze grupki zbierały się po okolicy na wszelki wypadek.

Kolejny ruch należał do robociarzy. Ci, z rzeźnikami na czele, także na przemocy się znali. Już dwa trupy były po ich stronie, nikt bez równania rachunków by tego nie zostawił. We dwustu wtargnęli do bandyckiego szynku przy Wołyńskiej i jatkę tam urządzili. Wstydliwie im na sumieniu zostało, że niewinnego subiekta stracili. Od Marszałkowskiej do Przyokopowej co chwilę lała się krew, rozjuszeni kryśnicy nie poprzestali na laniu. Na Próżnej dwóch maciorników zadźgano, na Zimnej, Gnojnej i Przechodniej kolejnych paru. Pewien przyjął dwadzieścia jeden ciosów nożem i przeżył, innemu, z przebitym wańtuchem^[251], szczęście nie dopisało. Rzeźnicy najchętniej gardła podrzynali, rannych nie uznając. Mimo to pogotowie ledwo do wezwań nadążało. Złapane przez siebie nęty^[252] gromiciele nie lepiej niż sutenerów traktowali. Podobno binia, która to w oko młodemu kryśnikowi wpadła, tak mocno została pocięta, że tylko gorset trzymał na miejscu jej wnętrzości pochlastane. Zanim zmarła, materiał bielizny przesiąkł krwią i kałem. Przypadkowym przechodniom też się dostawało.

Kolejna noc nie przyniosła spokoju, zamieszki eskalowały. Tłum zaczął

demolować lupanary. Meble, piernoty^[253], czasem ubrania, kanapy, stoły, krzesła i pianina przez okna lokali na bruk wypadały. Na Zgody jeden burdel zrujnowano, tyle samo na ulicy Widok, na Wilczej, Wareckiej, Wróblej, Pięknej i Szpitalnej. Na Żurawiej osiem, na Nowogrodzkiej cztery rozbito. Żeby do nich wejść, rąbano framugi drzwi chakalami lub rwano okna z ramami. Najbardziej gniewało Wewego, że motłoch nawet ich nie okradał. Oczywiście, co lądowało na trotuarze, długo tam nie leżało, ale chobnie znajduwane w bajzłowych kasach inaczej były traktowane. Pieniądze, jak erotyczne fotografie, darte były na strzępy i mieszane z błotem krwi alfonsów i kokotek.

Największym zmartwieniem Opiekuna był brak argumentów w starciu z siłą dotąd w Ścieku niespotykaną. Maciomików bynajmniej nie żałował, na miejsce jednego trzech innych w tydzień by najął. Podobnie z dziewczętami to wyglądało. Gorzej, że autorytet chewry podupadł był niebywale. Musiał Wewe wzburzonej ulicy pokazać, że nie w ilości jego siła leży. Dlatego po naradzie z cwajkiepele^[254] Dajanem Rafaelem czekał cierpliwe, aż sprowokowane zamieszki przebiorą przyzwoitą miarę i opinia publiczna wymusi na władzach interwencję militarną. Wreszcie Oberpolicmajster Ścieku, baron Karl von Nolken, zainteresował się sprawą. Nakazał podzielić miasto na siedem rewirów, a w każdym z nich wysokiej rangi oficera ustawił. Na mieście zapanował spokój, zaledwie kilka godzin od wydania rozkazu. Po ulicach i w podwórzach walały się sterty połamanych mebli, poszarpanych ubrań, zasłon i firanek. Porwanymi szmatami gospodarze domów przykrywali zwłoki, ażeby lokatorów już dłużej nie przejmowały. Ani myśleli jednak pobojuwiska sprzątać, za to handlarze dranciami^[255] z Pocijowa jak najbardziej, chętnie w tym obowiązku cieciców wyręczali. Jedyne, czym zajęła się władza, to powierzchniowe zmiany przepisów dotyczących bajzłowych lokali. Ograniczono dopuszczalną ich liczbę do zaledwie jednego w kamienicy oraz zakazano działalności na ulicach, na których kościoły się znajdowały. Zaistniała też oczywiście potrzeba procesów

pokazowych, w końcu ktoś, byle kto, ktokolwiek musiał za chryję na Grzybów trafić.

Nolken nakazał wypuścić psy na ulice i w natychmiastowym trybie winnych rzezi wyłapać. Nie mogło się tłuszczy utrwalić wrażenie prowokacji. Każdy jeden z robociarzy, którego ocalałe z pogromu kurwy omylnie lub w gniewie z chęcią by wskazały, zaczął czuć strach przed mamrem i, jak to przewidział Hametapel, groteskowo szukać ratunku u szemranych chałaciarzy. Tak się składało, że Wewcze i jego chewra dysponowali wystarczającą liczbą poszwajpoltowych lokali, ażeby wszyscy chodzący w porucie w powietrzu się rozplynęli. Nie tania to była rzecz jasna usługa, słuszny glejt tyle co cyrograf ważył. Kto z robotników zabił maciornika, musiał jego dolę odrobić. Kto dziewczyny krzywdził, jeszcze mocniej zmuszony był o przebaczenie się wystarać. W zamian skruszeni rzeźnicy mogli liczyć na opiekę, a organizacja podwoiła zastępy swoich siepaczy. Zrozumieli oni, że w Ścieku wszyscy są na siebie skazani.

Świadkowie tamtych wydarzeń, bez względu na deklarowane wyznanie, jak miasto długie i szerokie przyjęli osobliwą egidę syndykatu. Socjalistyczni robotnicy czy ich ideowi bakałarze^[256] anonsowali gangusom bojówki przez siebie formowane. Coraz częściej występowali też o aprobatę wywrotowej działalności czy innych szeptem szykowanych zamachów. Chwalił sobie Wewe tę uniżoną postawę, wszakże i on korzystał na rewolucyjnej swarliwości. Eskalacja brutalnych ataków, wymierzonych w carskich lokajczyków, spowodowała upragniony spadek liczby aplikantów łakomych na policyjne wakaty. Owacja apasznego cechu docierała do stolicy ze wszystkich części zajętego kraju.

Wewe kierował się przytomnie wyrachowanym, jak i dalekosiężnym zamysłem. W innych miastach sprawy miały się jednakowo. Tamtejsi opiekunowie, idąc za głosem stołecznego majestatu, nie szczędzili pomocy lokalnym opozycjonistom. Konszachty rebelii z blatniactwem osiągnęły

szczytowy pułap podczas rozległych wydarzeń pewnej wyjątkowo krwawej, sierpniowej środy. W trakcie tylko jednego dnia przeprowadzono niespotykaną dotychczas serię udanych zamachów na życie policjantów, żandarmów oraz agentów na usługach Moskwy. Bomby uderzyły w ściekowe cyrkuły policyjne, urzędy żandarmerii oraz kancelarię naczelnika straży ziemskiej. W Łodzi podobnie. We Włocławku i wielu innych miejscowościach jeden po drugim ginęli przedstawiciele opresyjnego aparatu władzy. Równoległe z uderzeniem fali wyzwolenczego terroru ludzie Wewego dokonali niezliczonej ilości napadów rabunkowych, zostawiając swoim ofiarom pokwitowania, jakoby działali z ramienia partii. Tego akurat było zbyt wiele. Relacje między Opieką a Frakami pogorszyły się znacznie, co zaowocowało licznymi potyczkami skonfliktowanych organizacji. Wtedy to właśnie młody Judel Łokieć opowiedział się po stronie ideowych towarzyszy i opuścił blatne pielesze, emigrując do Szwajcarii. Śmierć Wewego zbiegła się w czasie z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, co ostatecznie doprowadziło do rozpadu przestępczego układu. Zachłyśnięci wolnością bandyci postanowili skupić się na sobie.

Przyjmując rolę opiekuna opiekunów, Łokieć zmuszony był pamiętać, że nie tylko bandyctwa będzie mecenasem. Zaufanie uczciwej biedoty nie mniej niż lojalność ciemnej gwiazdy ważyło. Choć poczucie odpowiedzialności nawet nad znalezionym malcem nie leżało w jego pasożytniczej naturze, rolę życia przyjął z pełnym dobrodziejstwem inwentarza.

[233] *Hametapel* hebr. – Opiekun.

[234] *Nachasz* hebr. – wąż.

[235] *Perruquier* franc. – fryzjer, perukarz.

[236] *Plereza* – fryzura.

- [237] *Filles de joie* franc. – prostytutki.
- [238] Delator – tajny denuncjator.
- [239] Luj – sutener.
- [240] Aksamitki – prostytutki.
- [241] Kokota – dziwka.
- [242] Makrela – kierowniczką domu publicznego.
- [243] *Hebes* jid. – głupiec.
- [244] Zamtuz – dom publiczny.
- [245] Zenut – prostytutka, od zona – prostytutka.
- [246] *Hatipul* hebr. – Opieka.
- [247] Sekować – drażnić, nękać, prześladować.
- [248] Mojra – strach.
- [249] Uchać – słuchać.
- [250] Brany – skorumpowany, przekupny.
- [251] Wańtuch – brzuch.
- [252] Nęta – prostytutka.
- [253] Piernot – pierzyna.
- [254] Cwajkiepełe – mądry człowiek, od *kiepełe* jid. – głowa.
- [255] Drancie – stara odzież.
- [256] Bakalarz – nauczyciel.

SCHODKA

Ci bandyci, którzy zawierzyli intencji Maksa, odpowiedzieli na jego mądrość wyrazami szacunku. Zrozumieli, że poddanie się woli Łokcia, wyniesienie go na autorytet blatnego środowiska będzie jedynym słusznym wyjściem z sytuacji. Byli to bez wątpienia ludzie zapobiegliwi, dbający o fortunę nawet do przesady. Podejmując swoje decyzje, ponad wszystko wystrzegali się ryzyka, nierzadko też błąhym przesądem się kierując. Wierzyli na ten przykład, że w źrenicach zamordowanej ofiary zachowuje się portret jej oprawcy. Niby głupie to przekonanie, ale na wszelki wypadek za każdym razem napadniętym w oczy strzelali, a jeżeli nie posiadali broni, to wydłubywali je gablasztykami^[257], przecinali szkłem tłuczonym lub w głąb czaszki kciukami wgniatali. Osobom, które chciały wystąpić z chewry, kazano strzelać w twarz z bliska, coby famuła zmarłego wstydzila się otwierać trumnę na czuwanie. Życzliwych pozwalali chować jedynie pod drogą cmentarną, aby nieświadomi niczego przechodnie grób garbusa^[258] deptali.

Zgodnie ze zwyczajem Opieki elekcja Łokcia powinna nastąpić w miejscu zaufanym. Na pozór idealnym wydawała się być kirzana u Grubego Joska w podwórzu przy Gnojnej, czyli Rynkowej, której nikt ze ściekowych poza lokalnymi Rynkową nie nazywał. Ponoć oni sami starali się o zmianę nazwy, bo jak tu żarłem handlować, kiedy adres z gównem klientom się kojarzy. Wreszcie urzędowo na Rynkową przechrzczona, jak Gnojną była, tak i została.

Zatłoczona handlarzami wody sodowej, taniego ziarna i świec niedrogich

stanowiła wyjątkową wylęgarnię szumowin. Może nie taką jak Krochmalna, jednak pełna rozgwaru snu nigdy nie znała. Tamtejsze podwórza znane były z wielkich piwnic wypełnionych nie węglem, a smołą, kiszoną kapustą i mętami. Wielu ciekawych osobników na Gnojnej mieszkało – w jednej z bram na przykład wraz z synami złodziejami sędziwy buchacz Jokl. Okradał on z zasady tylko majątnych, a w wolnej chwili odpłacał się endekom, którym zachciało się przyjść na Gojną z byle Żydem zadry szukać. Żadnemu z takich nie odpuszczali.

Oczywiście poza Joklowi podobnym i uczciwi mieszkańcy na ulicy się zdarzali. Choćby taka pani Efrosowa, co praktykę dentystyczną we własnym mieszkaniu prowadziła. Nie tylko zęby futrowała^[259], ale czasem poratowała uboższego jakimś groszem. Tysiące zepsutych kłów miała do naprawy, bo ludzie twarde boms^[260] żuli i najtańsze kości bez grama mięsa z biedy wysysali. Efrosowa była powszechnie szanowana. Miejscowi, przyjezdni, wszyscy bez wyjątku trzonowce u niej rwali.

Często pod jedyneką swojego stryja odwiedzał Zysze Brajbart, idol chłopięcej części miasta. Uważany był za jedynego siłacza, który nie stosował sztuczek. Łamał podkowy, giał okręty^[261], a z jego uścisku nie było ucieczki. W trakcie jednego ze swoich pokazów, oparłszy się na kolanie, gołymi rękami przebił gwoździem pięć na cal grubych desek dębowych. Setki razy ten numer wykonywał, ale przypadkowo zranił się w nogę. Gwóźdź był zardzewiały, wdało się zakażenie, co spowodowało zgorzel. Obie nogi powyżej kolan mu odjęli, ale i to nie powstrzymało postępującego paskudzenia. Po dwóch miesiącach Zysze Breibart zmarł. Padł był ofiarą uczciwości, ta nieczęsto w Ścieku popłacała.

Pod numerem jedenaście mieścił się bazar Adolfa Janasza. W swoim nieustającym ruchu przypominał mrowisko jakby w ukropie skąpane. Jego okolice były zamieszkałe głównie przez mojżeszowych, ale nikt nie miał problemu z nawet szuchernym^[262] niepraktykującym, dopóki ten pod adresem

żydostwa wycieczek sobie nie wyprawiał.

Nie było jednak bardziej znanego obywatela Gnojnej niż Gruby Josek, żaden mieszkaniec ulicy sławą do pięt mu nie dorastał. Swój interes pod numerem siedem prowadził. Takie powiedzmy Kokolewole warszawskie. Josel Beczka, a właściwie Józek Ładowski, był typem wesołym, krępy, z bandziochem wydatnym. Przychylny bandytom skakał uśmiechnięty wokół nich, opowiadając pieprzne dowcipy i obniżone, niewyraźnie zapisane rachunki wręczając.

Lokal Joska rozślawiony był głównie przez stołeczną specjalność i nie o mordobicie tu się rozchodzi. Serwowano tam najlepsze flaczki po warszawsku, które ludzie z całego miasta w czwartki zajadali. Zresztą co tam flaczki, codziennie szpunder, pipki, pieczone gęsie skórki, katoliki, uliki, bajgiele i jawrych^[263] do piwa – wszystko co najlepsze Gruby podawał. Zawsze w półmroku pograżona, z niemożliwym do wywietrzenia zapachem żarcia, otwierana już o drugiej w nocy kirzanka budziła Żydów do codziennych obowiązków. Cieszyła się niezmierną popularnością wśród okolicznych mieszkańców, handełesów z Hali Mirowskiej i Janasza, ale również wśród gości eleganckich nocnych lokali, którzy po ich zamknięciu przenosili się tam nad ranem.

Niestety, u Grubego Joska bywały też mordy z pierwszych stron gazet. Można było wpaść tam na pierwszego kirusa^[264] Rzeczypospolitej, sanackiego ambasadora w Stolicy Apostolskiej, generała Wieniawę-Długoszowskiego. Nie jeden wysoką rangą naznaczony od Joska za pod kolki^[265] był wynoszony. Gościli tam Walery Sławek, przywódca grupy pułkowników, podpułkownik Miedziński i wielu innych prominentów. Tycowano^[266] na mieście, że nieoficjalnie była to filia Ministerstwa do Spraw Wojskowych. Dlatego też lokal Grubego, choć przyjazny i szemrany, trefny był pod schodkę. W tym celu Ślepy Maks wybrał Sztamację na rogu Krochmalnej i Ciepłej. Łokieć z sentymentu tam przesiadywał, chadzał dla piwa i innych przyjemności. Nie było w Ścieku ulicy

lepszego na bandyckie wydarzenie niż właśnie Krochmalna.

W rok po pogrzebie dziadka Dolka mi i Ineckowi przypadł nie lada zaszczyt. Nieufny wobec knajpianego personelu Łokieć wolał oddać nam, jedenastoletnim podrostkom, obsługiwanie bandyckich sław w trakcie ich wizyty w Ścieku. Byliśmy odpowiedzialni za otwieranie drzwi przyjezdnym kawalerom księżycy, każdego bez wyjątku mieliśmy witać z należnymi mu szacunkami. Wyglądaliśmy ich już od Żelaznej.

Na wezwanie Ślepego Maksa w stolicy stawili się opiekunowie słynącej z ubogo zdobionej architektury barakowej, uznawanej za przedsiónek piekła, bydgoskiej Abisynii. Dotarli opiekunowie gdańskiej Orunii oraz poznańskiej Wildy. Z lwowskiego Zamarstynowa przyjechali łabaty^[267] skoliozą Walerko Bałak i Jóźko Majcher – pochodzący z Łyczakowa potomek opryszoków^[268] hajdamackich, silniejszy ponoć od swojego imiennika Marynowskiego, co pięć razy więcej od zwykłego przeciętniaka ćwiknąć potrafił, i dorównujący w sławie legendarnemu Białoniowi. Łabatego i Majchra wszystkie baciary, wszystkie lwowskie kindrusy^[269] czy nawet policjanty słuchały. Wyznaczyli w swoim mieście bramę, w której krawcy mieli porzucać wypatroszone z pieniędzy portfele, aby nie czynić okradzionym dodatkowej szkody i nie zmuszać ich do ponownego wyrabiania dokumentów. W tej bramie żaden z będących pod odznaką nie miał prawa honorowego bandyty za rękę chwycić. Tam blatny kodeks stosowano. Jednak największe łakomce Walerko i Jóźko kosili za opiekę licznych lwowskich browarów: Moisesa Landesa, Jaine Rappaport, Israela Kiczalesa, Mendela Penziasa, Szmeklesa, Osiasa oraz Riegelhaupta. Najczęściej przesiadywali w kirzanach przy placu Solskich, tuż za budynkiem Narodowego Teatru.

Z Lublina przyjechali bracia Józef i Władysław Motyka, co na tamtejszym placu między Lubartowską a Ruską interesy bez strachu w biały dzień załatwiali. Lubelaki^[270] sami trzęśli pełnymi podejrzanymi spelun Cyruliczą, Szeroką,

Krawiecką oraz Jateczną. Rozboje, kradzieże, wymuszenia – musieli być wyjątkowo nieznośni, skoro rodzona matka na nich donosiła. Nie dało się ich pomylić z nikim innym, zwłaszcza Józefa. Pewnego razu na lubelskiej Foksalnej, najniebezpieczniejszej ulicy w mieście, sam padł ofiarą nożownika. Od tamtej pory zaczął kuleć, a na policzku okazałą szramę nosić.

Białostockie Chanajki, dzielnicę walących się ruder i ciemnych zaułków, reprezentował bezwzględny Jankiel Rozengarten, Papą Jankieczkie zwany. Bez jego udziału, a co najmniej wiedzy, nie mogła odbyć się w Białymstoku żadna większa kradzież, afera czy żaden szantaż. Zamieszany był nawet w tak głośne sprawy, jak podpalenie składów towarowych spółki Warrant, czy choćby organizowanie dużych skoków na kupieckie składy z manufakturą. Papa Jankieczkie ze swoimi zbirami opiekował się Chanajkami za pomocą noża i giwery. Podobno za zdradę na Chanajkach groziło chluśnięcie w twarz żrącym kwasem. Papa pojawił się pod kirzaną z najliczniejszą świtą. Wśród jego towarzyszy podróży dało się zauważyć Szmula Gorfinkiela, wołanego Kokoszkie, w życiu prywatnym szwagra, a w zawodowym prawą rękę Rozengartena. Kokoszkie był księciem na białostockim bruku. Doświadczony, z dobrej szkoły carskich włamywaczy, cieszył się szacunkiem młodych adeptów rzemiosła przestępczego. Respekt wzbudzał też jego talent do szachrowania kartami, kośćmi i innym hazardem.

Za Jankieczkie i Kokoszkie powolnym krokiem wszedł do holu jeszcze maciornik znany jako Sztokfic, a wraz z nim jego zaufani Jojne Winograd oraz Szmul Torbiel. Opiekowali się oni najcudowniejszymi w Białymstoku tuftami. Zatrudniane przez nich siostry, Maria i Luba Nesterówny, przyjmowały klientów w domu uciech przy ulicy Brukowej. W swoim haremie posiadali również najbardziej pożądaną prostytutkę w Chanajkach, a być może i w całym mieście. Tauba Wolfson – bo o niej mowa – była jedyną kurwą w kraju, o której czas i względy mężczyźni na pięści się lali.

Obok Sztokfica w chanajkowskim orszaku podróżował też Salomon Janielew, dla przyjaciół Rudy, fałszerz niemający sobie równych w kraju. Specjalista od produkcji pieniądza. Ten to mi dopiero imponował, najbardziej ze wszystkich przybyłych gości moje oczy bawił. Jak nikt inny w budynku podzielałem jego plastyczne zainteresowania. Gdyby tylko zechciał dać mi jakąś wskazówkę, na pewno osiągnąłbym lepsze rezultaty. Może pokazałby, jak uzyskać efekt druku irysowego dającego wielobarwne płynne przejścia, irysy tak zwane. Może poradziłby, żebym dał sobie spokój i na początek spróbował czegoś prostszego, choćby podnoszenia nominałów na autentycznych banknotach. Byłbym mu dozgonnie wdzięczny za byle korepetycję. Tyle że to nie był ani czas, ani miejsce na podobne sprawy.

Podgdyńską Biedę reprezentował opiekun gangu Bunkrarzy, kradnących węgiel jadący do miasta. Bieda miała opinię cuchnącego rynsztoku. Ten niewybrukowany, nieskanalizowany, błotnisty wąwóz, pełen klitek postawionych z blachy falistej, dykty i papy, był przez Bunkrarzy opieką dzień i noc otaczany. Nawet korzystanie z ulicznej pompy wodociągowej odbywało się tam za opłatą, od wiadra. Trzymali za szamot^[271] nie tylko Biedę, ale i Gdynię całą.

Właściwie nie było takiego bandyty w kraju, który nie przyjąłby zaproszenia wysłanego przez Ślepego Maksa. Jedynie z wileńskiej Wilczej Łapy oraz z Zarzecza nie miał kto przyjechać do Warszawy. Wszyscy mieli w dupie Kraków.

Lokalne sprawy reprezentowali oszczędzeni przez Łokcia specjaliści od wymuszeń. Jako pierwszy Aria Leib Nayer, którego banda, posługując się szantażem, uprzykrzała życie właścicielom harynd wędliniarskich na Nalewkach.

Tewel Gromb – haryndy, warsztaty, małe fabryczki. Przemysłowcy z Okopowej, Karmelickiej, Dzikiej, Dzielnej, Nowolipek i Żytnej na sam dźwięk jego imienia portfele opróżniali. Swoją bandę dzielił na pięcioosobowe zespoły,

którym osobiście, na każdej odprawie, przydzielał rejon następnej kolędy.

Ostatnim i najgorszym w szantażystów gronie był niesławny Alfons „Kłopot” Jurkowski. Twarz dupa, fafuły^[272] rumiane, ferniak^[273] truskawa. Chuj nie człowiek – lubił kopać leżącego. Wszystkie jego ofiary były niemal nie do zidentyfikowania na skutek zdeformowania twarzoczaszki obcasami butów, tak zwanego flekowania. Grasował przeważnie na Mariensztacie, zwłaszcza na tamtejszym targu, przeniesionym przed laty z Rynku Starej Warszawy.

Spośród przybyłych rozpoznałem jeszcze dwóch wysokich rangą przedstawicieli maciornictwa lokalnego – Mojżesza Kulasa i Sruła Isera. Starym zwyczajem, jeden jak i drugi, od linii szczęki przez tors po samiuśkie mankiety przyozdobieni byli wytatuowanymi imionami podległych im panien. Podobno kiedy przed laty Kulas dobrał sobie Isera do stręczycielskiej spóły, ulica tycowała, że własnego cielska już mu nie starcza i tak naprawdę czystej skóry pod kolejne zapiski potrzebuje. Gdy któraś tufta umierała, cynkwajs^[274] z jej imieniem był wycinany, a w jego miejscu powstała rozległa blizna, będąca kartą pod nowe inicjały. Tylko mordy szanownych panów atramentu nie znały, ludzie za plecami „Bazgroły” na nich wołali.

Matko jedyna, ileż to oni mieli pracy. Prostytucja jako taka nie była nielegalna, była wręcz nader pospolita. Gdzie znaleźć narzeczoną na kwadrans, wystarczyło przyjeźdnemu zapytać przydworcowych багаżystów. U nas wszyscy się na kurwach znali. Dorożkarze, taryfiarze, boye recepcjowe, a nawet bufetowe czy zwykłe barmany. Ci ostatni, widząc znajomą pracownicę fizyczną przekraczającą próg speluny, lód w szmatę owijali i wręczali, żeby sobie pod obolałym guderem^[275] okład tymczasowy zrobiła. Taki ruch był w tym temacie. Ładne, brzydkie, grube, chude, wysokie, kociurbate^[276], zdrowe, kalekie, młode, stare – co kto lubi, tym stolica zachwyca. Dryzda^[277] mająca dwadzieścia jeden lat mogła się prostytutką zajmować, jeśli tylko chciała. Tak stanowiło oficjalne prawo, tylko kto by z w zawód pójściem do późnego wieku czekał.

Stołeczna tufta z reguły po dwunastym roku życia z niejednego pieca chleba próbowała, a w dwa lata później przechodziła w stan profesjonalny.

Dziwkom nie wolno było nagabywać przechodniów, nie można było wystawać na rogach ulic i w bramach, zwłaszcza po dwudziestej trzeciej. Ale od czego człowiek ma głowę. Wymarzony pod niedzielne spacerowanie ogród Saski był największym ściekowym bajzłem. Po zmroku schodziła się tam liczna młodzież, również ta pracująca. Sprytnie panny nierządne spacerowały wzdłuż murów Europejskiego zamaskowane w berety szkolne. Ich klienci, nie mniej przebiegli, zakładali byli na głowy czapki korporacyjne sugerujące przynależność studencką. Działo się tak nie tylko w tym jednym ogrodzie, ale i w Łazienkach, a nawet w kulturalnym Ujazdowskim. Marszałkowska od dworca Wiedeńskiego aż po Piękną farbowanymi uczennicami całą dobę usiana stała. Obyczajówka ledwo radę dawała szmurne[278] niewiasty legitymować. Skargi niesłuszne o zepsucie autentycznych uczennic napływały do komisarzy niemal codziennie, mimo tego mundurowi nie mogli kontroli zaprzestać, wszakże tufty pracą na ulicy miały zakazaną.

Stołeczne tufty mogły pracować legalnie wyłącznie w prywatnych mieszkaniach i w nie większej liczbie niż dwie jednocześnie. Jeśli stwierdzano obecność trzech dziwek, miejsce uznawano za bajzel, a te były nielegalne. Nie przesadzę, jak podam, że w co drugim ściekowym budynku mieszkalnym podobne interesy się znajdowały. Lupanary rozsiane były po placu Grzybowski, Bagnie, Dzikiej i Granicznej. Nie brakowało ich na Chmielnej czy Piękną. Okolica nie stanowiła znaczenia, przy kościele św. Barbary więcej bajzli niż na całej Woli można było naliczyć, a Złota pod tym względem w ogóle równych sobie nie miała. Prowadziły je makrele, z reguły obeznane, wytyczone drogą awansu, albo maciornicy odgórnie poleceni. Na ulicy Widok Bitnerowa troszczyła się o biznes, poza nią znać było jeszcze w Warszawie Hendlową, Wiśniewską i Żbikowską – same absolwentki przybytku Cioci Kujawskiej.

Była Aleksandra Chodecka, zwana Madame Dubarry, niegdysiejsza przyjaciółka generała-gubernatora Skąłona, której salony odwiedzali stacjonujący w stolicy oficerowie carskiej gwardii. Była również „Złota Pantera”, „Tygrysica Starego Miasta” – Stanisława Borowiecka, prowadząca lokale przy Nowomiejskiej dwanaście i na Krzywym Kole dwadzieścia osiem. W jej zakładach garstka dziewcząt obsługiwała do dwustu klientów dziennie. Nawet niejaki hrabia du Moriez, czując pismo nosem, maciornikiem został i własną kamienicę na Zielnej w bajzel przemianował. Pilnując dobrego imienia, zalecił dogłądanie przybytku zaufanemu dozorczy Franciszkowi Czapce. Tatiana Trepatowa, była tancerka Opery Petersburskiej, prowadziła interes, w którym wyświetlano na przystawkę filmy dla dorosłych. Hrabina Irena Mielżyńska z otwarciem działalności do śmierci męża łaskawie poczekała.

Oficjalnie, z punktu widzenia prawa, nic im wszystkim nie groziło, były tylko i wyłącznie właścicielkami nad wyraz gościnnych metrów kwadratowych. Choć przymuszanie do nierządu było ścigane z urzędu, ciężko było jakkolwiek im winę udowodnić. Zdarzało się oczywiście mundurowym od wielkiego dzwonu postawić przyłapaną cwaną przed trybunałem, ale podobne procesy szybko zmieniały się w farsę. Raz jedną taką Ryfkę de Kij, co interes na zbiegu Pięknej z Koszykową prowadziła, w wyniku obławy nad ranem pochwycili i zapoznali z zarzutem stręczycielstwa. Przed sądem nie kryła oburzenia. Niestety na wsparcie mecenatu liczyć nie mogła. Jej przybytek słynął nie tylko z utytułowanej klienteli, ale również z tego, że poza zawodowymi dziwkami dorabiały tam damy do towarzystwa, amatorki ciułające na ciuchy, a nawet kilkunastoletnie dziewczęta, co wykraczało poza wszelkie dopuszczalne prawem i dobrym obyczajem ramy.

Prawo jako takie określało trzy typy prostytutek. Za nielegalne uważano te niezarejestrowane, pracujące bez nadzoru i potajemnie. Austriackie gadanie, bo w tym mieście nie było dziwki pracującej bez nadzoru, nic w temacie nie działało

się bez wiedzy Łokietka i jego ferajny. Legalne, w sensie zawodowe, podlegały obowiązkowi rejestracji w wojewódzkich komisjach sanitarno-obyczajowych. Były tam wciągane na listę, otrzymywały tak zwaną czarną książeczkę do odnotowywania obowiązkowo dwa razy w tygodniu kontroli zdrowia w ambulatorium. Co z tego, skoro na polecenie maciorników stemple fałszowano i choroby weneryczne powszechne jak wszawica były.

Binie dorabiające na pół etatu, takie jak u Ryfki, nie posiadały czarnej książeczki, ale musiały się poddawać badaniom kontrolnym. W zamian za to otrzymywały zaświadczenie, w które każdy klient przed usługą miał prawo wglądu.

Poza statystyczną klasyfikacją pracowały jeszcze stuchujnice, dla których nierząd był nie raz kwestią życia lub śmierci, najczęściej tej głodowej. Najwięcej z nich koczowało w okolicach Powiśla, gdzie po krzakach wypinały się za pajdę bartka. Często korzystali z ich wdzięków młodzieńcy spodziewający się służby wojskowej. Nie dla przyjemności ostatniego z kobietą obcowania, a dla złapania francy odwlekającej obywatelski obowiązek w czasie. Żołnierze wcieleni również nadwiślańską dzielnicę na przepustce odwiedzali. Zarażeni rzeźcząką handlowali później w koszarach własną ropą, którą ich zmęczeni służbą koledzy wcierali sobie w genitalia, a nawet w oczy. Kiedy wreszcie tępe trepy zorientowały się, że w większości przypadków prowadziło to do nieuleczalnej ślepoty, zaczęły skupować flegmę odkaszlniętą przez chorych na gruźlicę. Tak się ojczyźnie służyło.

Istniała jeszcze w Ścieku – nie sposób o nich nie wspomnieć – elita wśród zon^[279] najelegantsza. Od tak zwanych Kapeluszkowych wystających przed renomowanym lokalem przez przybarowe aż po fordanserki na usługach dyrekcji dancingu. Jak to w stolicy nowoczesnego państwa – po trochu na każdą kieszeń. Było z czego zysk czerpać, dziwek więcej niż Żydów po mieście chodziło. I weź nad tym wszystkim człowieku zapanuj, w ryzach trzymaj,

ogarnij. Wielce sobie Łokieć cenił organizację Bazgrołów, widział w nich partnerów z powołaniem. Ci zaś lojalni, wdzięczni za okazaną łaskę, posłusznie przybyli na jego wezwanie. Jedynym stołecznym, którego z oczywistych względów na schodce brakowało, był Tatko Siemiątkowski, ale i on na pewno z zaistniałym spraw obrotem czuł się komfortowo.

Kiedy lista gości się wypełniła, zostaliśmy z Ineczkiem wezwani do środka kirzany. Pierwszy raz do Sztamacji wszedłem, czułem się wręcz onieśmielony. Ślepy Maks, któremu Łokieć wcześniej nas przedstawił, polecił, żebyśmy stanęli pod ścianą i czekali na wołanie spragnionych papierosów lub kawy. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było podać nikomu wódki, nawet pod groźbą krzywdy, powaga spotkania całkowitej trzeźwości wymagała. Przez krótką jeszcze chwilę można było usłyszeć w apartamencie serdeczne przywitania czy też niezobowiązujące rozmowy o wszystkim i o niczym. Jedna grupa starych przyjaciół na ławie spoczęła, druga przy barze stała, trzecia spotkała się w pokoju na zapleczu umeblowanym pod gabinet. Moją ciekawość wzbudził fakt, że mimo iż wszyscy słodko kurzyli, nikt nie stał przy oknie. „Względy bezpieczeństwa” – pomyślałem.

Maks odczekał kilka minut, nie chcąc burzyć przyjaznej atmosfery, po czym poprosił zebranych o zajęcie miejsc i wyłączenie uwagi. Sam stanął obok siedzącego w fotelu Łokcia, położył mu dłoń na ramieniu i spokojnym tonem zaczął:

– Szczególne sprawy wymagają szczególnej opieki, nasze, jak żadne inne, spokoju pragną. Pytanie brzmi: czy jesteśmy jednomyślni.

– Zależy, co tu zajdzie – wyrwał się wyjątkowo pewny siebie Kokoszkie, za co opanowany Jankiel Rozengarten zhepał^[280] go spojrzeniem. To, że Łokieć nie nakazał swoim urkom przeszukiwać gości przekraczających próg lokalu, mogło budzić ich podejrzliwość, jak i zaufanie.

– Jakby zaproszenie było na fałszywą nutę pisane, już byśmy stygli – Józef

Motyka stanął po stronie Maksa. Trzeba przyznać, dużo prawdy w tych słowach wybrzmiało. Gdyby tylko podobną wolę Łokieć wykazał, w tej chwili wydłubywalibyśmy oczy stercie trupów w podziurawione ancugi odzianej. Nic nie wskazywało jednak na to, żeby ktokolwiek z przybyłych mógł czuć się zagrożonym. Tego dnia każdy za własne zdrowie odpowiadał.

Kiedy emocje spowodowane uwagą Szmula Kokoszkie Gorfinkiela opadły, Ślepy Maks poklepał Łokcia po ramieniu i wtedy zamienili się miejscami. Doktor wstawał powoli. W całym swoim majestacie sprawiał wrażenie człowieka obojętnego na dyskusję toczącą się przed jego obliczem.

– Moim pragnieniem jest otoczyć opieką tylu przyjaciół, ilu tylko zdołam – nic więcej nie powiedział.

Na twarzach zebranych w apartamencie bandziorów widać było grymas niedosytu, zniecierpliwieni czekali na ciąg dalszy. Dopiero po chwili zrozumieli, że Łokieć nie miał, a właściwie nie potrzebował już mieć niczego więcej do dodania. Powściągliwy w mowie sprawiał wrażenie silniejszego niż kiedykolwiek. Nigdy wcześniej tak wielu niebezpiecznych mężczyzn nie robiło wrażenia tak bezbronnych. Nawet Kokoszkie stracił z animuszu i coś jakby na mordzie mu pobladło.

– Co teraz będzie? – Inek zapytał mnie szeptem, nie chcąc zwracać na siebie większej uwagi.

– Milcz i patrz – za to ja zwróciłem jemu uwagę.

Trema, którą dało się zauważyć u szanownych zgromadzonych, pasowała raczej do zgrai wywoływanych wyrywkowo do odpowiedzi uczniaków. Odchyłanie kołnierzyka, luzowanie śledzia, przecieranie kropli potu, a nade wszystko kręcenie wąsa – nerwowych gestów zliczyć się nie dało. Niby wszyscy wiedzieli, czego opiekuńcza etykieta w danej chwili wymaga, ale każdy z osobna czekał, aż sąsiad z miejsca obok wcześniej się wychyli. Pierwszy dźwignął się do góry Ślepy Maks Bornsztajn. Bynajmniej nie po to, by ustąpić miejsca

Łokietkowi. Staął z gospodarzem schodki twarzą w twarz i na oczach zestresowanych oprychów wyciągnął zza parkanu^[281] stary policyjny pistolet.

– Bez kija i noża nie podchodź do Bałuciorza – rzucił żartobliwie przysłowiem.

Broń chwycił jednak za lufę, zwracając porysowaną rękojeść w stronę przyjaciela. Nie zastanawiając się długo, Doktor odebrał podarunek, po czym obydwaj panowie wymienili serdeczny uścisk dłoni. Widząc to, kolejni przebywający w apartamencie bandyci zaczęli wstawać z zajmowanych miejsc i ustawiać się w kolejce do stołecznego herszta. Każdy jeden przygotowany zawczasu, by dopełnić blatnego rytuału. Podchodzili do Łokcia pojedynczo i bez słowa wręczali mu przywiezione ze sobą przedmioty. Na pierwszy rzut oka nie przedstawiały one żadnej wartości materialnej, lecz w rzeczywistości były wyjątkowo cenne. Wedle bandyckiej tradycji każdy, kto darzył Łokcia bezgranicznym zaufaniem, zobowiązany był powierzyć mu pod opiekę rzecz dla siebie najcenniejszą, tak jak Maks powierzył pistolet, którym jako malec pomścił śmierć ojca. Gdyby w przyszłości któryś ze składających hołd Opiekunowi wykazał się nieposłuszeństwem, otrzymałby swoją własność z abarotem. Za drobne przewinienie groziło jedynie wypowiedzenie obiecanej opieki. Przedmiot rozbity w kawałki wieścił wyrok śmierci i rychłe jego wykonanie.

Przeróżne precjoza bandyci na ręce Łokcia składali. Białostocki maciomnik Sztokfic zdjął z serca medalik-puzderko, w którym zdjęcie utraconego syna dźwigał. Kilka lat wcześniej mundurowi jedynego dziedzica zatłukli mu pałkami.

Papa Jankieczkie Rozengarten słynął ze swojej pomyłonej przesądnej pobożności. Nosił pod płaszczem tałes^[282] zwieńczony licznymi cycesami^[283], dbał o to, by zawsze mieć przy sobie czerwone przedmioty. W kieszeni płaszcza zwykł trzymać bajtełe^[284] z ziemią spod domowego progu, w drugiej – taki sam z solą. Do brustaszy^[285] chował wypełnioną rtęcią rurkę poczynioną z gęsiego pióra, a w sztrajmlachu^[286] zanadto ząbków czosnku sobie zaszył. Strasznie od

niego capięło. Wyjął z kieszeni własnoręcznie wykonaną bransoletę, której ogniwa opatrzył koślawymi amuletami. Były to srebrne i cynkowe blaszki z tłoczonymi hebrajskimi literami, grawerowana hamsa^[287], zasuszony lisi pyszczyk i kostka, jakby z kurzego skrzydełka. Skoro zdecydował się powierzyć Łokciowi takie cudo, musiał być o jego wyjątkowości bez cienia wątpliwości przekonany. O Łokcia zresztą też.

Motyki przywieźli bajnerek z lubelskiego bruku. Dla nich, oprócz ulicy, nic nie stanowiło wartości.

Szum Torbiel zsunął z palca sygnety typowo kobiecy, jedyną pamiątkę po matce, którą na świat przychodząc, z tegoż samego świata odprawił. Białostocki komeraż^[288] głosił, że wraz z nim jeszcze brat bliźniak się urodził, ale martwy, bo w nie swoją pępowinę zaplątany. Gadali, że pogrążony w żalu ojciec rodziny w pijackiej agonii wymiotem padł dławiony. Mały Torbiel jedyny w rodzinie z porodu ocalał. Miał wrodzony talent do szemranej roboty.

Trzeba przyznać, że bandyci okazali się wyjątkowo zdyscyplinowani. Choć żaden z nich, co zrozumiałe, nie uczestniczył dziesiąt lat wcześniej w elekcyjnej schodce Wewego, wszyscy zachowywali się, jakby mieli doświadczenie w temacie. Hołd przebiegał, jakby próbami poprzedzony, jak formalność jaka. Szło zgrabniej niż komunie w niejednym stołecznym kościele. Jako ostatni podszedł do Łokcia opiekun zamarstynowskich baciarów Majcher, co kanelowaną urodą się wyróżniał. Wręczył Doktorowi brzytwę, narzędzie z rodzaju niespotykanych. Rękojeść mydlana, jakby z kości słoniowej zrobiona. Ostrze nietypowe, o kształcie jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Jóźko ostrzył ją tak często, że przybrała formę bardziej do noża myśliwskiego niż do klasycznej brzytwy podobną. Teraz można nią było bez wątpienia ciąć i kłuć zarazem. Składając ją na ręce Doktora, jako jedyny z zebranych zabałakał^[289]:

– A kto Lwowa nie szanuji, naj nas w dupę pocałuji – pół żartem, pół serio pogroził Łokciowi paluchem, po czym padli sobie w ramiona. Na twarzy

wyrysowane miał przy tym wiele prócz emocji, pielęgnowana przez lata skorupa blizn nieodwracalnie mimikę mu upośledziła. Nie potrafił oczu domknąć ani warg zacisnąć. Nożownicy ze stolicy łypali na niego z zazdrością, bujny życiorys na tabeli nosił wychlastany. Lubił się Józko na gnypy haratać^[290], czy to w szynku Kizyka, czy u Szalabojdka, czy choćby pod celą w Brygidkach, gdzie równie często bywał. Nie miał kompleksu wobec nikogo, widział, jak jego ojciec na kleparowskiej Górze Stracenia pantofle otrzepał zadyndany^[291].

Kiedy minął ceremoniał, Łabaty Walerko gieltnął się^[292] ponad innych i wyszedł z inicjatywą:

– Panowła^[293]! Józki, Józefy i Joski! Toastu!

Faktycznie, co drugi oprych w kirzanie takie imię nosił. Spojrzeliśmy z Ineczkiem w kierunku Ślepego Maksa, czy wolno już ćmagi^[294] polewać, a on przyzwolił. Wmieszaliśmy się w tłum i każdemu z obecnych ruszyliśmy z pomocą w szkła uzupełnianiu. Jakimś wielkim pijaństwem bym tego nie nazwał, wszyscy goście mocno na nogach się trzymali. Czasem tylko któryś zawołał, żebyśmy mu co innego niż wódkę podali. Ja bym tam balsamem nie gardził, ale jeden lubi jak mu nogi śmierdzą, drugi jak cyganie grają.

– Szuraj maluch zapuścić no żurawiem pod kontuar, czy się w tu bajzli jakiś lwowski łośówko^[295] nie kryi – Walerko Bałak wsunął mi do kieszeni moniaka, żebym prędzej z zamówienia się wywiązał. Kiedy dotargałem mu pół skrzynki butelek, na mój, a raczej ich widok, zaczął podśpiewywać uradowany:

Co zy Lwowa – to spaniały,
Cała Polska to już zna
i dlatego w państwu całym
Lwowski piwu wzieluść ma.

Jak na wstępnie udziudzianego przystało, otworzył dwa piwa z niebywałą gracją i z refrenem na ustach pospieszył częstować Łokcia:

Bu piwu lwowski upędza troski,

A po nim człek je wesół dzień i noc.
Pu szklany piwa człek dupiru żyju,
Ni widzi bidy i tylko radość zna.

Ku zaskoczeniu Bałaka, Majchra i, nie ukrywam, mojemu, Doktor Łokietek podchwycił melodię:

Więc chto ma rozum, ten zawszy piju,
To piwu lwowski co taki urok ma.

Któż by podejrzewał Łokcia o znajomość wschodniej nuty? Któż by się po nim spodziewał spontanicznego przejawu zadowolenia? Oczywiście więcej sobie na to nie pozwolił. Zaledwie ten raz jedyny dał upust ogromnej radości, po tym już głowę chłodną trzymał. Zresztą nie tylko on, wszystkie bandziory niesamowitym opanowaniem się wykazywały. Mimo zakrapianej atmosfery każdy z osobna cichoszy pilnował. Gdyby w towarzystwo jaki psi szpicel się wmieszał, prędzej by pomyślał, że to raczej spotkanie kolegów z wojska aniżeli wskrzeszenie zapomnianej organizacji. Nic o planach, nic o zamiarach nie padło, raczej niezobowiązujące pogawędki wzięły górę. Wielu z przybyłych blatnych miało już ze sobą wcześniej do czynienia, choć podobno nie zawsze w przyjemnych okolicznościach. W Sztamacji było inaczej. Obranie Łokcia Opiekunem stanowiło dla wszystkich zawarcie sojuszu, którego zobowiązani byli przestrzegać. Jediną osobą, która zlekceważyła panującą w apartamencie etykietę, okazał się być Inek.

– Patrz, co mam – zagadał do mnie szeptem, kiedy mijaliśmy się w gąszczu tuzów recydywy. Uchylił rąbek doliny i pokazał misternie grawerowaną zapalniczkę, nie swoją. Wiedziałem, że nie jego, na pewno nie jego. Na taki cud techniki żadnego aganioka nie byłoby stać. Pięknie zdobiony cylinder, gięty z mosiężnej blachy, uzbrojony w platynowy drucik, który w kontakcie ze spirytusem wywoływał ogień, świetnie spisywał się w wersji kieszonkowej. O ile we właściwej kieszeni leżał.

– Komu buchnąłeś^[296], baranie? – zapytałem równie cicho i przez zaciśnięte gniewem zęby.

Ależ on mnie wtedy zeźlił. Trzeba jednak przyznać, że żaden z kieszonkowców rywalizujących na Kupieckiej nie miał szans dokonać równie spektakularnego czynu. Żaden.

– Komu? – powtórzyłem pytanie.

Pół biedy, jak znieważył jakiego wasala podrzędnego, gorzej, jeśli pokierował się ambicjami, na co w ciemno mogłem postawić monetę otrzymaną od Bałaka. Innocenty zwinnie obrócił zapalniczkę w palcach i wtedy zobaczyłem wyryte w niej inicjały prawowitego właściciela. „AJ” – Alfons Jurkowski. Kłopot.

– Na ten, kurwa, tychmiast masz ją odłożyć, skąd zabrałeś – nie kryjąc wściekłości, rozkazałem.

Zorientowałem się, że Ineczek nie podebrał zapalniczki z jurkowskiej doliny, a ze sterty fantów podarowanych Opiekunowi. Ten jeden szczeniacki wybryk mógł wywołać najgorsze z możliwych konsekwencji, podważyć autorytet Łokcia, całą schodkę zaprzepaścić.

– Udało ci się, a teraz odkładaj. Czego ryja cieszy? – zapytałem retorycznie na koniec, po czym odszedłem, żeby swoim oburzeniem nie wzbudzić niczyjego zainteresowania.

Do końca schodki unikałem Innocentego jak zarazy. Liczyłem jedynie, że weźmie sobie do serca moje słowa i zrobi, co zrobić powinien. Ja trzymałem się powierzonego zadania, jak tylko potrafiłem najlepiej. Pilnowałem, by nikomu niczego nie zabrakło, a kiedy dopadało mnie zmęczenie, powtarzałem sobie w duchu, że za wzorowe zachowanie na pewno zostaną doceniony. Okazało się nawet, że spotkanie zaaranżowane przez Ślepego Maksa potrwało krócej, niż się tego spodziewałem. Zakończyło się tuż przed zmrokiem. „Względy bezpieczeństwa” – po raz kolejny pomyślałem. W ogóle tymi względami to

wszystko, co niezrozumiałe, sobie tłumaczyłem. Goście Sztamacji pożegnali się ze sobą bez rzewnych uniesień, jeden drugiemu pomyślności pożyczył i jak do Sztamacji dotarli, tak samo ją opuścili. Jedyne Ślepy Maks na dłużej z Łokciem został, niestety nie wiem, na jak długo, ponieważ zwolnili nas z obowiązku i kazali wracać do domu.

Kiedy tak szliśmy przez miasto, kieszenie brzęczały nam od tryngeldów^[297], które przez cały dzień za wykonywaną pracę dostawaliśmy. Miałem nadzieję, że w Ineckowej dolinie nic innego oprócz monet się nie obija.

– Zrobiłeś to, o co cię poprosiłem? – zapytałem przejęty, gdy kirzanę zostawiliśmy już daleko za plecami.

– Poprosiłeś? – Innocenty zażądał nazwania rzeczy po imieniu.

– Kazałem – poprawiłem niechętny zmianie tematu.

Inek zatrzymał się, rozejrzał po chodniku i podniósł niedokończonego dulca z wyraźnymi śladami po szmince. Po mężczyźnie nie podniósłby nigdy. Przetarł zabrudzenie palcami, wsadził papierosa do ust i podpalił go zapalniczką Jurkowskiego.

– Teraz to już nie ma żadnego znaczenia – powiedział obojętnym tonem i zaproponował mi dymka.

Przez chwilę miałem ochotę mordę mu obić, zmazać lekceważący uśmiech. Tak porządnie, jak na prawdziwego przyjaciela przystało. Niestety, jak zawsze poddałem się bezczelnemu urokowi i szczerze rozbawiony przyjąłem proponowanego ciąga. Dziadek zawsze mi powtarzał, że należy bać się starych ludzi wykonujących zawód, w którym młodo się umiera. Ineczek się ich nie bał. Tego wieczora, w drodze do domu, pierwszy raz dostrzegłem, jak bardzo przypomina mi Łokcia.

-
- [257] Gablasztyk – widelec.
- [258] Garbus – zdrajca.
- [259] Futrować – leczyć.
- [260] Boms – chleb.
- [261] Okręt – naczynie kuchenne.
- [262] Szucherny – awanturniczy.
- [263] Jawrych – groch.
- [264] Kirus – pijak.
- [265] Za pod kolki – pod rękę.
- [266] Tycować – żartować.
- [267] Łabaty – niezgrabny.
- [268] Opryszoki – potoczna nazwa hajdamaków, rozbójników ukraińskich działających na terenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.
- [269] *Kindrus* niem. – łobuziak, urwis.
- [270] Lubelak – lublinianin.
- [271] Szamot – pysk.
- [272] Fafuły – pełne policzki.
- [273] Ferniak – nos.
- [274] Cynkwajs – tatuaż.
- [275] Guder – siedzenie.
- [276] Kociurbaty – małego wzrostu.
- [277] Dryzda – kobieta.
- [278] Szmurny – podejrzany.
- [279] Zona – prostytutka.
- [280] Hepać – karcic.
- [281] Parkan – kłapa marynarki lub płaszcz.
- [282] Tałes – uroczysta szata wierzchnia, używana przez Żydów w czasie porannej modlitwy.
- [283] Cycesy – frędzle przymocowane do spodniej części odzieży.
- [284] Bajtełe – woreczek.
- [285] Brustasza – mała kieszonka zewnętrzna w marynarce, wykorzystywana do noszenia poszetki.

- [286] Sztrajmlach – hasydzki kapelusz obszyty futrem.
- [287] Hamsa – amulet w kształcie dłoni, mający chronić przed złem.
- [288] Komeraż – złośliwa plotka.
- [289] Bałakać – mówić po lwowsku.
- [290] Haratać się – bić się.
- [291] Otrzepać panftofle na dyndówce – zostać powieszonym.
- [292] Gieltnąć się – wznieść się.
- [293] Panowla – panowie.
- [294] Ćmaga – wódka.
- [295] Łołówko – piwko.
- [296] Buchnąć – ukraść.
- [297] Tryngeld – napiwek, od niem. *trinken* – pić i *geld* – pieniądze.

TYLE ZNACZY CO IGNACY, A IGNACY GÓWNO ZNACZY

Sposobów, by zadbać o blatne dobro, Łokieć miał wiele, tak dużo, jak i znajomości, których na najwyższych szczeblach władzy się nabawił. Nie tylko tej szemranej, ale nawet po sam Belweder sięgającej. Tylko nie z Endekami, tych nienawidził jak psów każdej rasy.

W ogóle poglądy miał oryginalne. Nastawienie do tradycji i religii reprezentował mniej więcej identyczne z podejściem Theodora Herzla, to w przeciwieństwie do ojca politycznego syjonizmu był asymilatorem, takim pełnogębnym, z prawdziwego zdarzenia. Recepty na współzycie narodów upatrywał w przeszczęśliwym i dostatnim społeczeństwie socjalistycznym. Czuł się Polakiem z krwi i kości, a za próbę postawy idealnej utrzymywał życie Berka Joselewicza.

Nie ma co kryć, wielki Herzl plasował się daleko w ogonie Judelowych idoli. Na syjonizm nie zdołał go nawrócić nawet późniejszy, głośny na całą Europę proces ukraińskiego Żyda Beilisa. Jako młody, szczery jeszcze socjalista, Judel przedkładał istotę państwa ponad wszelkie religie. Często po Kościuszcze powtarzał: „Kościół winien być oddzielony od państwa, nie wolno mu zajmować się kształceniem młodzieży. Naród powinien być panem własnego losu i jego prawa powinny być nadrzędne wobec praw kościoła. Żadna religia nie może im przeczyć, odwołując się do prawa boskiego, przeciwnie, każda religia powinna

być posłuszna prawom ustanowionym przez naród”.

Przez swoje przekonania, podobnie jak Tuwim, Judel oczami żydowskich nacjonalistów był postrzegany jako renegat, zdrajca. Dla kalwaryjskich biberów^[298] wyjąłowany, do cna wypłukany z żydostwa. Na pytanie, czy żyć tu – dojkajt, czy gdzieś tam – dorkajt, za każdym razem i zawsze po polsku odpowiadał, że tutaj. Po takiej deklaracji miał jeszcze w zwyczaju z pamięci cytować słowa wielebnego Remu, rabina spod Wawela, Mojżesza ben Israela Isserlesa: „Jeśliby Bóg nie dał Żydom Polski jako schronienia, los Izraela byłby rzeczywiście nie do zniesienia”. Rzeczpospolita w szczególności, ale i Europa cała były dla Łokcia *paradisus Judaeorum*. Był zdania, że utworzenie odrębnego państwa żydowskiego nie rozwiąże ostatecznie kwestii żydowskiej na Starym Kontynencie, lecz w odrażający sposób spowoduje, iż dotychczasowi antysemita staną się przyjaciółmi, a kraje antysemita sprzymierzeńcami narodu starozakonnego. „Nie tędy droga – powtarzał – nie w ucieczce poprawa nastrojów leży”. I rację miał poniekąd. Wiele lat później rozłamowi syjonistom rewizjonistom pod dowództwem spadkobiercy idei Herzla, Zeewa Żabotyńskiego, ubrani w piaskowe rubachy^[299] witali swego lidera nie inaczej jak rzymskim pozdrowieniem. Mieli wręcz doskonałe stosunki z niemieckimi narodowymi socjalistami i włoskimi faszystami, a sam Mussolini twierdził, że Żabotyński to zdolny i rozumny faszysta, tylko „Wasz”.

Podobnych Jeske-Choińskiemu Łokietek żałował, jak żałuje się bajtli opóźnionych w rozwoju. Współczuł antysemitom wiary w poznańskie dyrdymały o kradzionej hostii. Najbardziej współczuł im jednak zatargu z nim samym. Przeogromnym współczuciem przepełniony pochylał się wtedy nad pieniaczami, żeby im mordy precyzyjnie chlastać. „Nieważne, co masz w sercu, ważne, co masz w dupie. Jeśli ktoś ma z tobą problemat, niech stanie się to jego problematem” – w zwyczaju powtarzał. Swoje metodą „bij w ryj” rozwiązywał. To dzięki niej stał się ulubieńcem przedstawicieli najwyższych władz ulubionej

partii, a o jego przyjaźń i talenta jej działacze wręcz zabiegali.

Zachowywał się jak człowiek, którego ambicje na ulicy mają stanowczo za ciasno. Ówczesna Warszawa miała większe plany niż za Starynkiewicza i te plany w naturalny sposób stawały się jego planami. Doświadczenie w korupcji miał, wiedzę i znajomość komu oraz jakie przysługi robić – również posiadał. Najjaśniejsze osoby w mieście szantażem, oberchabką^[300] i narkotykami za szamot trzymał. Uzależnienie od morfiny było powszechne, zwłaszcza wśród weteranów pierwszej wojny światowej, a przecież sanacyjne gabinety właśnie takimi bohaterami były wypchane. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby i Piłsudski igły za życia nadużywał. Swoją drogą Łokieć też był morfinista, ale kto by takiemu zabronił?

Mając we władaniu ten segment przyjemności, można było snuć dalekie plany. Zawsze ktoś czegoś potrzebował, uzależnionych nie brakło. Jeśli nie polityk decyzyjny przy kontraktach infrastrukturalnych, to na pewno jego kochanica, trzeciorzędna aktorka skacząca dupą po salonach socjety. Łokietek wszelkie argumenty posiadał, żeby monopol na Ściek trzymać. Jako że transport rzeczny w kraju był całkowicie pod jego kontrolą, nie musiał układać się z żadnymi pośrednikami. Jego ludzie brali w Gdańsku narkotyki od niemieckich marynarzy i przekazywali je dalej na barki wiślane, które po zrzuconiu węgla czy innego cholerstwa przepływały w górę rzeki do stolicy, nie dalej. Jeśli dostał cynk, że ktoś drogą lądową bez jego zgody towar po nocy szmugłował, wysyłał swoich zakapiorów, żeby kabel podłączony do słupa wysokiego napięcia w poprzek drogi rozciągnęli. Ludzie padali jak muchy, a przesyłka bez szwanku zmieniała właściciela. Gram niemieckiej kokainy kosztował Łokietka złoty dwadzieścia, porcjazom^[301] po dwanaście złotych sprzedawał, a ci na mieście od dwudziestu w górę zaczynali rozmowę. Morfina po tyle samo chodziła, heroina zaczynała się od trzydziestu. Dla szaraka z ulicy taka kwota to był majątek, ale przedsiębiorczy Łokietek i na to sposób znalazł. Loterie najbiedniejszym

narkomanom organizował. Zrzucali się oni, kto miał ile, na dzienną porcję narkotyku, później wszyscy losy ciągnęli, jeden wygrywał. Byłem raz świadkiem losowania u Miłczków na Ogrodowej, kiedy wysłali mnie po utarg z loterii. Widok straszny. Szczęśliwiec rzuca się z drżącymi rękami na wygraną, a reszta lipi na niego w nadziei, że po drodze zawału dostanie i będzie można powtórzyć losowanie. Loterie odbywały się w mieście codziennie, skala w takim tempie rosła, że przy Urzędzie Ciekawym^[302] do zwalczania procederu specjalną sekcję powołali.

Na ulicach nikt nie handlował. Unikał Łokietek takiego rozwiązania, każda działalność musiała być pod przykrywką. Najpewniej było z ulicy do apteki albo do cukierni wejść, zależnie od tego, na jaki specyfik zaszła potrzeba. Żona jednego z bardziej znanych nadwiślańskich adwokatów postradała zmysły od nałogu i wyskoczyła z okna przy Senatorskiej. Z tego, co pamiętam, zaopatrywała się właśnie w cukierni Wiśniewskiego na Marszałkowskiej. Wyglądało to tak, że porcjarz siedział przy stoliku, zając bezę, i dopiero po uiszczeniu opłaty w kasie oznajmiał, gdzie trucizna leży. W niby-dulcu leżącym w popielniczce na oznaczonym stoliku albo w bałabuchu^[303] na talerzu przed elegancką damą. Sam nigdy przy sobie dowodu winy nie dźwigał.

W aptekach stawiano raczej na morfinę. Orłowska, która w Ludwik Spiess i Syn, wielkiej firmie przetworów chemicznych pracowała, fałszowała faktury i robiła rezerwy dla uwikłanych farmaceutów. W aptecę Stefana Michelisa na Mokotowskiej był największy ruch, zgrabnie skurczybyk recepty fałszował. Wyższe sfery natomiast inaczej się zaopatrywały, powszechne były domy schadzek specjalnie w tym celu założone. Najsłynniejszy i najbardziej dystyngowany przy Nowym Świecie dwadzieścia trzy na dwadzieścia pięć się znajdował, nad kawiarnio-cukiernią Italia. Klub jako taki był własnością Łokietka, lokal pod interes do Ludomiry Włodarczykowej należał. Schodzili się tam mężczyźni i kobiety, bankietowo-towarzyska śmietana. Arystokraci,

przemysłowcy, urzędnicy, adwokaci i inne dziwki z wysoką taryfą. Na telefon Włodarczykowej zjawiał się porcjarz zaopatrzony w heroinę, kokainę, morfinę i nawet egzotyczne opium, jeśli takie życzenie padło. Po zażyciu rozpoczynały się orgie trwające z reguły do świtu.

W Łokciowych lokalach bywał również, bynajmniej nie w celach spożywczych, najsłynniejszy ściekowy hochsztapler, Stefan Ossowiecki. Nigdy nic nie brał, tylko opowiadał odurzonemu, łatwowiernemu bydłu o swoich talentach paranormalnych, a oni, wytrzeźwiawszy, puszczali ów stek bzdur dalej w miasto. Telepatia, telekineza, eksterioryzacja, postrzeganie aury. Domyślił jeszcze legendę o niejakiem kabaliście Worobieju, co mu rzekomo zdolności rozwinąć dopomógł i biznes rozkręcił, że aż miło. Na jego seanse Paderewski, sam Naczelnik i Sosnkowski przychodzili. Szymanowski i Osterwa nieraz z jego usług korzystali, a jeden taki Wasiutyński to się jeszcze zbłąźnił nieźle w środowisku naukowym, bo monografię o Koperniku na seansach psychometrycznych Ossowieckiego oparł. Banda idiotów. Z drugiej strony, czego od narkomanów oczekiwać? Rozsądku?

Do klubu u Włodarczykowej wstęp miał każdy imbecyl, byle z wypchanym chodakiem^[304]. Wiele dochodowych kontraktów Łokietek tam zawarł. Byłoby ich pewnie więcej, gdyby Pieracki fotelu ministra po Składkowskim nie objął. Uczciwy, nieprzekupny, bez nałogów – w ogóle do miasta nie pasował.

Nowy Minister Spraw Wewnętrznych mniej był przychylny towarzystwu z Kercelaka niż jego poprzednik, to właśnie z jego nakazu Tasiemka ochłap w cieniu odsiadywał. Program skopiował po Dziadku: bić kurwy i złodziei. Na jego nieszczęście te panie i ci panowie, których miał na myśli, do majątku Łokcia znacznie się przyczyniali, więc konflikt wydawał się być nieunikniony. Łokietka nie znosił za zniewagę, jakiej ten wobec majestatu prawa, kić^[305] przedwcześnie opuszczając, się dopuścił. Mając cząstkową wiedzę na temat, skąd Doktor dochody czerpie, postanowił o przesiedleniu juganego Józefa Szynkmana do

kwatery Komendy Głównej Policji Państwowej, a później zdaje się hen do Lublina go odprawił. Za jego biurko szefowi policji Pułkownikowi Januszowi Zygmuntowi Maleszewskiemu kazał posadzić zaufanego przystawa. Kiedy tylko usłyszał, że jakiś kolega interes z Łokietkiem ubija, śpieszył odradzić, ile sił starczyło w nogach. Za każdym razem opowiadał tę samą historię o generale Roli-Żymierskim, który według niego właśnie pod wpływem Łokietka dopuścił się nadużyć finansowych przy dostawach masek przeciwgazowych dla armii. A i jeszcze celowo, w ustawionym przetargu dostawy gaśnic wstrzymał, czym pozbawił budynki wojskowe ochrony przeciwogniowej. Za swoje machloje Żymierski pięć lat paki z degradacją ze stanowiska otrzymał, ale w gruncie rzeczy na dobre mu to wyszło, bo w więzieniu zakochał się w komunie i na stare lata, w następnym ustroju, podniesiono go do rangi Marszałka.

Wiele intratnych biznesów Pieracki Łokciowi zablokował, a krwi jeszcze więcej zaszkodził. Na domiar złego kupcy na żłobach zaczęli prawdziwej ochrony się domagać, twierdząc, że przez licznie do miasta napływających Ukraińców coraz częściej są okradani. Nie lada ból głowy miał przy tym Doktor. Nie był w stanie swojej uwagi między drobnymi handlarzami a wielkimi inwestycjami podzielić. Bardziej niż kiedykolwiek Tasiemki na wolności potrzebował, lecz dopóki Pieracki miał co do powiedzenia, dopóty szans na to nie było.

Nagły przypływ biedoty kresowej Łokietek również Pierackim sobie tłumaczył. W przeciwieństwie do Składkowskiego, który w stosunku do Ukraińców grabież miał twardą, jego następcą bardziej był wyrozumiały. Opowiadał się za porozumieniem z umiarkowanymi grupami ukraińskimi, z pominięciem radykalnych organizacji nacjonalistycznych. Wczesną wiosną trzydziestego czwartego Łokieć postanowił rozwiązać wszystkie swoje problemy raz a dobrze. Zapytał Ineczka, czy ten nie chciałby pojechać z nim na parę dni do Lublina, teoretycznie w interesach, ale też odpocząć od zgiełku stolicy. Dwunastoletni Innocenty, jako że nigdy tak daleko nie był od Ścieku, przystał na

propozycję bez mrugnięcia okiem. Obaj wiedzieliśmy, że o jakąś grubszą sprawę chodziło. Odpoczynek? Doktor Łokietek nie znał takiego słowa. I to na dodatek w Lublinie, gdzie interesy z braćmi Motykami i tak zwanym Tancmużem prowadził. Przecież nawet najznamienitsi tamtejsi złodzieje, jak Mordke Bękart czy Joszke Flak, część zysku za pozwolenie na pracę do Ścieku odprowadzali. Bajzel przy lubelskim Foksalu przez Grubą Chanę prowadzony albo taki na Szambelańskiej Helki Marowicz – wszystko to Łokciowi dziesięcinę buliło. Burdele Lajki Klajn na Olejnej, Grodzkiej i Kowalskiej też ze słyszenia znaliśmy. Innocenty nie mógł przepuścić takiej okazji, zwłaszcza że Łokieć osobiście go prosił. Tak, bez wątpienia lubelska dzielnica żydowska była idealnym miejscem na wycieczkę dla początkującego apasza.

Kiedy wrócili i Ineczek stanął w progu mieszkania, widziałem, że aż go nosi, żeby zdać mi relację z podróży. Wyszliśmy na podwórko. Usiedliśmy za śmietnikiem i zapaliliśmy fajkę, którą podebrałem Mamie. Spodziewałem się przydługiej i nudnawej historii o kolei, dorożkach, manach^[306] i architekturze. Nic bardziej mylnego. Tego, co mi opowiadał, uchałem z wypiekami na twarzy. Drugiego dnia pobytu poszli z Łokietkiem do restauracji Pod Strzechą. Lokal jeden z elegantszych w mieście podobno. Do oficyny przy lubelskim Krakowskim Przedmieściu wchodziło się od podwórka po kamiennych schodach. Z ganku oświetlonego dwiema secesyjnymi, kutymi w żelazie lichtarniami, przez przeszklone drzwi widać było jadalnię. Była wielka, zajmowała cały parter, a jej sufit podpierał stojący na samym środku, czworograniasty filar. Inek twierdził, że prócz marmurów i kryształów lokal ozdabiał też bukiet lokalnych kurew prezentujących swoje wdzięki przed podпитыi kawalerami, których nie brakowało.

Kiedy zjedli wystawny obiad, do ich stolika przysiadł się nieznany Ineckowi mężczyzna. Przedstawił się z zaciągim, musiał więc być tamtejszy lub przynajmniej dawno przyjezdny. Łokietek wyjął parę złotych, dał Inkowi

i powiedział, że niedaleko słynna cukiernia Chmielewskiego jest, idealne miejsce na deser po tak udanym obiedzie. Ineczek schował dziadźki, ukłonił się pięknie i wyszedł z restauracji, ale podwórka już nie opuścił. Nie mógł sobie darować, żeby nie podsłuchać, o czym Łokietek będzie przy stole debatował. Jeszcze przed wyjściem specjalnie w tym celu obok zajmowanego przez nich stolika sprytnie knajpiane okno uchylił, żeby z ruchu warg wyrazów nie zgadywać. Stał tak, żeby nie mogli go zobaczyć, grajbery^[307] rozsypał po ziemi na wszelką wymówkę i udając, że je zbiera albo gudza^[308] supła, trzydzieści minut w przykucu rozmowę starszych podsłuchiwał.

Okazało się, że mężczyzna, który dołączył do nich przy stole, to kresowiak Bolesław Frelek, pseudonim Frelek – tak dla odmiany. Znany niegdyś w całym kraju, ja również co nieco o nim słyszałem. Frelek twierdził, że rodziców swoich nie pamięta i z tego, co od krewnych zasłyszał, wie, że byli uczciwymi koniokradami, pragnącymi wychować swoje bajtle na równie porządnym obywateli. Po ich śmierci, wraz z rodzeństwem, Frelek trafił pod dach brata ojca swojego, aby losu bezdomnych sierot uniknąć i od małości pobierać nauki w rzemiośle stolarskim. Podobno chłopcem był pracowitym. Oprócz pracy u wuja starał się wyświadczać przysługi, być szamesnym^[309] dla wszystkich sąsiadów. Mimo towarzystwa sióstr: Eleonory i Marcjanny, mały Frelek wielką samotność cierpiał. W promieniu kilkuset metrów nie mieszkał żaden jego rówieśnik, jedynie ludzie starzy albo jeszcze starsi. Pewnego razu za wyświadczoną przysługę spotkała go nie lada niespodzianka. Wdzięczna sąsiadka podarowała mu żywego, tresowanego szczygła w klatce, który z miejsca został mianowany przez Frelka najlepszym jego przyjacielem.

Przyjaźń niestety długo nie trwała. Wuj Frelka za chomąt nie wylewał, co gorsza lubił przy tym awantaża poszukać. Chcąc sprowokować bratanka do pyskówy z szarpaniną, postanowił świergoła^[310] na śmierć wystraszyć, a jak postanowił, tak zrobił. Uderzył drewnianą laską w klatkę tak mocno, że

ptaszysko z drążka spadło i na żadne komendy już nie świergotało. Wielkie było zaskoczenie starego stolarza, kiedy chłopak, zamiast rzucić się do rękoczynów, przejęty żalem, na słowne prowokacje głuchy wyszedł z domu i już nigdy nie wrócił. Koniec końców przyszło Frelkowi na ulicy dorastać. Kiedy dorósł na tyle, by przymierzyć kamasze, zaciągnął się do Korpusu Ochrony Pogranicza. Po niedługim czasie szeregowy został oddelegowany do stołecznego sztabu, żeby kontynuować służbę w charakterze woźnego.

W Ścieku szybko zaopiekował się nim Hipolit „Wariat” Rytter, którego banda działała lokalnie i na Lubelszczyźnie. Pojętny woźny Frelek powoli apasnych nawyków nabierał i przesiąkał zwyczajami towarzystwa niedoli. Odbiło się to również na jego wyglądzie, pasjami uwielbiał się tatuować. Najwięcej na swoim ciele posiadał wizerunków kobiet, co oczywiste, jednak poza nimi znalazł na skórze nie mało miejsca na ornitologiczny melanż. Frelek zyskał popularność dzięki swojej metodzie wyciągania od ludzi informacji, nazwał ją nawet: Trzy Razy „O”. Okręcał swoim ofiarom ligary słomą, owijał szmatą i oblewał benzyną. Na koniec, jeśli wyczuwał ciągły brak chęci współpracy, podpalał. Zaprzyjaźniony z zastępcą Hipka Jurdasem rychło poszybował w strukturach szajki. Z czasem, dzięki osobie Frelka, grupa rozszerzyła działalność głęboko na wschód. Napadali na dwory, kupców, młyny, a także sklepy jubilerskie, kasyna i konwoje pieniężne chronione przez mundurowych. Łącznie przypisywano Frelkowi zabójstwo prawie dwudziestu funkcjonariuszy różnego szczebla w samej tylko Moskwie. W Ścieku bandyci zasłynęli, dokonując w krótkim czasie kilku zabójstw miejscowych bankierów na Siennej i Zielnej.

Kiedy mundurowi wpadli na trop bandy, Bolkowi jakimś cudem udało się uniknąć aresztowania i zbiec z miasta. Nawet kontakt z siostrami zerwał. Miał nadzieję, że sprawa morderstwa z czasem ucichnie, że na wschodzie da radę zacząć wszystko od nowa. Teraz nie był już pierwszej młodości i przestał

wyczynowo z rewolwerem biegać, dlatego wszedł w interesy bardziej do Łokietkowych podobne. Głównym jego celem byli Ukraińcy, żerował na nich, ile wlezie. Szmuglował przez granicę tych, którzy chcieli dołączyć do rodziny we Lwowie, Tarnopolu czy Haliczu. Za usługi słono kazał sobie płacić, a dodatkowo regularną „pensję” pobierał za dochowanie tajemnicy przed starymi przyjaciółmi granicznikami. Wyrwani z ubóstwa, dzięki niemu w skrajną nędzę popadali. Ze strachu przed bandziorami Frelka Ukraińcy w głąb Polski uciekali, kradli, by przeżyć, tak w Lublinie, jak i w Warszawie. Frelek nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bracia Motyka i Doktor Łokietek jego interesy mają mu za złe. Nie będąc zaprzysiężonym w opiekuńczym układzie, nieświadomie popadł w tragiczne tarapaty.

Lubelscy bracia aż palili się do rozwiązania problemu, zabić, znaczyło dla nich tyle co splunąć. Jedyne, czego potrzebowali, to zgody Opiekuna, który niejako sam mógł podobną chęć wyrazić. Z racji na ich chwilowe z ogonami^[311] problematy zmuszeni jednak byli przyjąć decyzję, że to Ściek wróci sprawy na właściwy tor. Jak na Opiekuna przystało, Łokieć osobiście turbacją się zajął. Nawiązał kontakt z Frelkiem pod pozorem nakreślenia wspólnej przyszłości. W szczegóły za nadto się nie wdawał, wiedział, że jemu nikt spotkania nie odmówi. Tego, co miał do przekazania, chciwy Frelek słuchał z zaciekawieniem. Wierzył w każde słowo obiecujące dochodową współpracę. Dopiero Pod Strzechą Łokieć przeszedł do konkretów.

Mimo globalnego kryzysu śmiało kreślono plany Stolicy Funkcjonalnej – urbanistycznego programu rozwoju miasta, aby innym europejskim metropoliom dorównywało. Ogólny Plan Zabudowania Miasta Warszawy zatwierdzono już w trzydziestym pierwszym roku. Głównymi założeniami tych planów było stworzenie monumentalnej, reprezentacyjnej dzielnicy rządowej na terenie Pola Mokotowskiego, budowa długo wyczekiwanej Świątyni Opatrzności oraz nowe lotnisko na polach Gocławia. Planowano przedłużenie południowej obwodnicy

miasta przez budowę mostu na Siekierkach, a także budowę mostów na przedłużeniu Krasińskiego, Karowej i na Solcu. Na potrzeby planowanej na rok czterdziesty Wystawy Światowej powstały plany budowy dzielnicy wystawowej w okolicach Saskiej Kępy. Port Praski miał być przerobiony na głębokowodny. Oczkiem w głowie Łokcia były plany organizacji w Ścieku igrzysk olimpijskich w czterdziestym ósmym bądź w pięćdziesiątym drugim roku. W tym celu budowę Stadionu Olimpijskiego na Siekierkach zakładano. Wszystkie te inwestycje miał szansę Łokietek sobie podporządkować. Mógłby czerpać bająnskie sumy z państwowych kontraktów, obniżając do minimum koszty realizacji.

Przynęte na Frelka Łokieć miał prostą, żeby nie powiedzieć prostacką. Tworząc tysiące miejsc pracy, zwabiłby Ukraińców gotowych szwicować za pół ceny, buliłby im jedną czwartą albo jeszcze mniej. Wcześniej od każdego kaucję by pobrał, jak to przedsiębiorcy w latach kryzysu mieli w zwyczaju. Zaczarował kresowiaka, że ten byłby odpowiedzialny za przerzut taniej siły roboczej przez granicę i jego interes zwiększyłby się kilkukrotnie. Mogliby zarobić na tym miliardy, mogliby, gdyby nie Pieracki. Minister Spraw Wewnętrznych skutecznie blokował Łokietka na salonach, a i przy okazji Frelkowi koło pióra nasrał. Dążąc do porozumienia z mniejszością ukraińską, chciał zwiększyć jej swobody do tego stopnia, że usługi przygranicznej bandy nie byłyby już nikomu potrzebne. Łokietek wiedział, że nieobecny podczas schodki w Sztamacji Frelek bez wahania wejdzie w szpanę^[312] mogącą jego interes ocalić, a przy okazji go jeszcze pomnożyć.

Cel był bardziej niż oczywisty – współpraca obu dżentelmenów miała doprowadzić do wyeliminowania Pierackiego. Istotne jak zwykle w takich sprawach było, żeby policja nie wiązała spisku z jego właściwymi organizatorami. Frelek zastanowił się chwilę i oznajmił, że ma nawet zgrabny pomysł. Mniejszość Ukraińska szczerze go nienawidziła, lecz jako gwarant

bezpiecznej przeprawy ich rodaków przez granicę był dosłownie nietykalny. Obracał się w środowisku, zbierał zasłyszane informacje.

Frelek wiedział, że w ramach zemsty za aresztowania, których dokonały polskie władze po nieudanym napadzie na pocztę w Gródku Jagiellońskim, Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów postanowiła przeprowadzić zamach na życie Janusza Jędrzejewicza, ministra ds. wyznań religijnych. OUN była w Polsce organizacją nielegalną, radykalną, dywersyjną, nastawioną na konfrontacyjną politykę wobec rządu. Im również nie pasowało pojednawcze nastawienie Pierackiego. W oczach pospolitych Ukraińców burzyło ono sens istnienia organizacji o charakterze terrorystycznym i antypolonijnym. Zdaniem Frelka bez większych problemów powinni byli Jędrzejewicza na Pierackiego w swoich morderczych planach zamienić. Obiecał Łokietkowi zorganizować spotkanie z liderem nacjonalistów Mykołą Łebedem, aby wspólnie mogli złożyć mu tę ciekawą ofertę. Kiedy rozmowa zesła na lżejsze tematy, Ineczek żywcykiem obrócił do cukierni i z abarotem. Niosąc pudełko pampuchów^[313] w jednej ręce i oblizując paluchy drugiej, wkniął^[314] do restauracji, demonstrując uśmiech umazany powidłami. Panowie kurtuazyjnie posprzeczali się o to, który z nich ma uregulować rachunek, po czym Frelek wyszedł, żegnając się do następnego razu.

W trzeci dzień po wizycie Pod Strzechą do apartamentu, który Inek z Łokietkiem zajmowali w lubelskim hotelu, zawitał Frelek z Łebedem. Łokieć odesłał Ineczka do sypialni, a z gośćmi zasiadł w salonie w celu dalszego knucia. Inek barłoczył, że tak mocno uchem na drzwi oddzielające oba pomieszczenia napierał, że jeszcze po przyjeździe do Ścieku go ćmiło. Siedząc na nasłuchu, zauchał, że Ukrainiec z miejsca zgodził się na wszystko. Jedyłą wątpliwość miał tylko, kiedy Łokieć zaznaczył, że zamach powinien być samobójczy, najlepiej bombowy, bo tylko taki daje pewność powodzenia.

Łebed chwilę milczał, ale zgodził się i na takie rozwiązanie. Powiedział, że najpewniej w poszukiwaniu śmiałka będzie sięgnąć do struktur młodych

w OUN, bo oddani sprawie nie zadają pytań. Umowę zawarli i kilka dni później wraz z Ineczkiem i Łokietkiem Mykoła Łebed w towarzystwie Darii Hnatkiwskiej przyjechał do Ścieku przeprowadzić rozpoznanie.

Plan Łokietka był o wiele bardziej skomplikowany, niż wszystkim wokoło się wydawało. Tylko on jeden z zaangażowanych w sprawę miał wyjść bez uszczerbku na zdrowiu i reputacji. Zrozumiałem to dopiero później, kiedy na spokojnie przemyślałem przebieg zdarzeń. Najwięcej dały mi do myślenia pytania ukraińskiej prasy, zwłaszcza dziennikarze z „Diła”, nieświadomi tego faktu, blisko byli odkrycia prawdy. Zanim OUN jesienią przyznała się do przeprowadzenia zamachu, na łamach gazety pytano ironicznie, jak należy rozumieć, że na wykonawcę wyznaczono Hryhorija Maciejkę, nierozgarniętego półanalfabeta, który w razie niepowodzenia skompromitowałby przed sądem całą organizację i jej niepodległościowe marzenia. Zrozumiałem to na pewno, niepowodzenie zamachu było głównym założeniem w planach Łokcia. Nie zamierzał on wcale wydać wyroku na ministra, chciał go raczej do posłuszeństwa nakłonić. Po nieudanej próbie wysadzenia siebie i Pierackiego w luft, Maciejko miał zdezorientowany uciec do kryjówki, w której pod okiem ludzi Łokcia przygotowywał się do zamachu. Później obwiązany kokardą trafiłby pod budynek ministerstwa z liścikiem zawierającym życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Pieracki, inteligentny człowiek, z pewnością złapałby w lot, kto jest nadawcą przesyłki i co chce tak naprawdę przekazać. Problemy Łokietka z otrzymywaniem kontraktów by się skończyły, a i zniknięcie Frelka by sobie wynegocjował.

Na dzień zamachu wyznaczono piętnasty czerwca z możliwym okładem, gdyby minister nie pojawił się w przewidywanym miejscu. Chodziło o Klub Towarzyski na Foksal pod trójką, gdzie często spotykali się politycy, wojskowi i elita przemysłowa. Maciejka pojawił się tam z samego rana, aby w żadnym razie nie przegapić przyjazdu ministra. Szlajał się trochę po okolicy, żeby w bramie jak

kołek nie stać, ale budynek miał wciąż w zasięgu wzroku. Nie wiedząc, na kiedy fajerwerki są szykowane, chodziliśmy za nim z Ineczkiem już tak od kilku dni, no nie mogliśmy przecież przegapić tego, co się szykowało. Kociurbaty, ubrany na sportowo, w czapce cyklistówce chodził w tę i nazad, trzymając pod pachą kartonowe pudełko z bombą w środku. Skonstruował ją pirotechnik OUN, a przerobił własnoręcznie Łokietek w oparciu o wykształcenie chemiczne. Osobiście dbał o każdy szczegół akcji, nawet o mechanizm bomby. Może w chemicznym fachu nie był z niego talent wybitny jak Czochlarski, ale na bombach się znał, dlatego do wykształcenia dążył.

Najpierw pod budynek podjechał premier Kozłowski, Pieracki pojawił się chwilę po piętnastej. Kiedy wysiadł z samochodu, w jego kierunku podszedł Maciejko i usiłował zdetonować ładunek. Ku zdziwieniu zamachowca, bomba nie wybuchła. Choć materiały w niej zawarte były jak najbardziej w porządku, jej zapalnik został podmieniony tak, żeby zawiódł. Była to szklana rurka, której zgniecenie wywoływało reakcję chemiczną prowadzącą do natychmiastowej eksplozji. Łokietek zamontował szkło na tyle grube, żeby żaden człowiek nie mógł go zgnieść w dłoni. Wtedy sprawy się pogmatwały, a właściwie pogmatwał je Maciejko zdziwiony takim obrotem sytuacji. Wyciągnął rewolwer i oddał trzy strzały, z czego dwa trafiły w głowę ministra. Pamiętam, że sam siebie za usta złapałem, żeby nie krzyzczeć. Inek obserwował przebieg wydarzeń ze spokojem. Podejrzewam, że Maciejko, nie taki pitrowaty, jak o nim mówili, zorientował się we wszystkim i dlatego w obawie przed aresztowaniem szybkim krokiem ruszył w stronę Nowego Świata. Pobiegliśmy za nim. Co tam się działo. Pościg samochodowy, strzelanina... Maciejce udało się zbiec. Podstęp podejrzewając, w kryjówce u Łokietka nigdy więcej się nie pojawił, a ksiuta^[315] chodziła po mieście, że przez Czechosłowację do Argentyny uciekł.

Łokietek nie był szczególnie zainteresowany szukaniem Ukraińca, gdyż w obliczu śmierci ministra stał mu się zupełnie zbędny. Łokietka na oczy nie

widział, więc nie było czuć mojrzy, że wysypie, a wątpliwe jakoby chciał się kiedykolwiek jeszcze w Ścieku pokazać. Rozpoczęło się ogólnopolskie śledztwo pod szczególnym nadzorem ministra sprawiedliwości Czesława Michałowskiego. Jedyne, o co musiał zadbać Łokietek, to ułatwić policji zidentyfikowanie konstruktora feralnej bomby, którą Maciejko porzucił w bramie przy ulicy Okólnik pięć. Nawet o to zadbał zawczasu. Chodziło o studiującego w Krakowie pirotechnika OUN Jarosława Karpyńca. Wystarczyło zdolnego krawca wysłać, żeby mu do kieszeni płaszcza lewą korespondencję z Frelkiem podrzucił. Przy pierwszym kipiszu^[316] Karpyńec został aresztowany, a Frelk zastrzelony, kiedy do ścigających go funkcjonariuszy w obronie własnej ogień otworzył. Łebed został zatrzymany w Niemczech i wydany polskiej policji. Hnatkiwska uciekła do rodzinnego Kosowa, ale i ją zaaresztowano wkrótce. W wyniku śledztwa nawet do Bandery się dorwali.

Następstwa śmierci Pierackiego były ogromne, włącznie z założeniem obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej. Władze osadziły tam bez jakiegokolwiek postępowania sądowego wielu swoich przeciwników. Na szczęście Łokcia dumni oskarżeni Łebed i Hnatkiwska odmówili udzielania wyjaśnień w języku polskim, chcieli odpowiadać po ukraińsku. Sąd nie wyraził zgody, nie uznając ukraińskiego za język urzędowy, i stwierdził, że oskarżeni odmówili złożenia zeznań w ogóle. Po śmierci Frelka nie było już nikogo ani niczego, co by wiązało Łokcia ze zbrodnią na Foksal.

Generalnie bez Pierackiego spokojniej żyło się ferajnie. Sytuacja się ustabilizowała, a Łokietek dokazywał bez ograniczeń. Nawet miasto Łódź wzięło pod swoje skrzydła po tym, jak trzydziestego piątego na trzy i pół roku Ślepego Maksa osadzili. Dla lepszej organizacji pracy w stolicy, w sobie tylko znany sposób, osobiście u prezydenta Mościckiego załatwił ułaskawienie Tasiemki, żeby ten pomógł mu bazarami i burdelami zawiadować. Zmyślnie wszystkie swoje sprawy poprowadził. Dla tego człowieka nie było sfer zbyt wysokich. Jego

możliwości były dosłownie nieograniczone. Zresztą Mościcki przepadał za Łokciem, wspólnych tematów im nie brakowało. Prezydent, z zawodu profesor chemii, na Politechnice stołecznej wykładał, a Łokieć, jak już wspomniałem, doktorem był w tej dziedzinie. W Genewie u profesora Augusta Brethiera dyplom uzyskał. Po śmierci Naczelnika Mościcki chciał wreszcie pokazać, że rola prezydenta nie jest marginalna. Dostyc miał tego, że przez wszystkie lata kadencji przez ludzi za marionetkę wojska był uznawany. Nie miał posłuchu w gabinetach dyktatury i wśród ludzi na ulicy. Lokajem Piłsudskiego przeciwnicy go nazywali. Nawet Bartel gandolił^[317] pod klubą^[318] na ludową nutę: „Tyle znaczy, co Ignacy, a Ignacy gównu znaczy”.

Z drugiej strony – co się dziwić. Jak się dupę wołową za młodu oznaczy, to i na starość oznaczona zostanie. Miłościwie nam panujący raz nawet próbował przejść do historii jako zamachowiec-samobójca, tyle że mu nie wyszło najzwyczajniej. Już nawet żonę biedną zdążył uprzedzić, że w dni kilka wdową zostanie, i nie dotrzymał niesłowny złożonej obietnicy. Spisek na życie stołecznego generała-gubernatora Josifa Hurko natychmiast wykryto i Mościckiemu pozostała ucieczka do Anglii. Na obcej ziemi zrodziła mu się kolejna myśl wyjątkowa: postanowił sprowadzać z Kaukazu grzybki kefirowe. Nawet do głowy mu nie przyszło, że Anglicy kefiru nie znali i poznać nie będą mieli zamiaru. Postradał przez to nieodwracalnie jakąkolwiek pewność siebie i na starość, kiedy w niesamowitych warunkach głową państwa został powołany, dupą wołową, jaką był, taką niezmiennie pozostał.

Socjalista Ciołkosz zwykł mawiać, że polscy prezydenci nie mają szczęścia, ponieważ pierwszego zastrzelono jak psa, drugiego wypędzono jak psa, a trzeci, znaczy Mościcki, posłuszny był jak pies – chociażby Łokciowi. Wyrachowany Doktor jako nieliczny podchodził do Mościckiego z należnym mu honorem, więc przyjaźń Zamku Królewskiego i pozytywne próśb rozpatrywanie miał zapewnione. Dzięki takiemu zapleczu interes kręcił się jak należy i nie było

obawy, że ktoś Łokciowi na odcisk nastąpi. Z czasem Doktor zaczął nawet więcej uwagi Ineczce niż szemranym sprawom poświęcać. Dorósł był chłopak do jego towarzystwa, można by się pomylić nawet, że to prawdziwy ojciec z synem spacerował. Często, ze względu na swoją funkcję w Związku i szerokie kontakty polityczne, bywał Łokietek na bankietach i uroczystościach zorganizowanych ku czci tego czy owego. Zawsze, kiedy łączyły się one z choćby najmniejszą defiladą, zabierał Inka ze sobą. Myślał pewnie, że trzynastoletni łoszka lubił gapić się na żołdaków w odświętnym, a moim zdaniem Ineczek od najmłodszych lat obserwował ludzi władzy. Z uliczną miał na co dzień do czynienia, ta wyfrakowana była dla niego nie mniej ciekawa.

W połowie kwietnia Łokietek został zaproszony na pogrzeb generała Daniela Konarzewskiego przez byłego szefa MSW Składkowskiego. Kiedy Ineczek o tym usłyszał, z miejsca wpadł na szatański pomysł. Postanowił swoje umiejętności i wiedzę pozyskaną u Joska Flinta sprawdzić w nader sprzyjających warunkach. Uroczystości pogrzebowe odbywały się w kościele garnizonowym w naszym Ścieku. Kiedy wojskowi wynosili trumnę na plac przed kościołem, zebrana klipa ruszyła gwałtownie w jej kierunku. Ci, którzy nie szukali taniej sensacji, a między nimi Składkowski, zostali przepchnięci przez bezmyślny motłoch. Właśnie na taki moment, a raczej zamęt, czekał Inek od początku nabożeństwa. Ufny w swoją czujność, ubrany w długi płaszcz Składkowski nawet nie zauważył, kiedy chawernik^[319] wraz ze wszystkimi dokumentami stracił. Kradzież okazała się banalnie prosta, Ineczek był wręcz zawiedziony. Nie trudno sobie wyobrazić, jakie ludzie mieli używanie, okradziono kogoś, kto stał niegdyś na czele resortu odpowiedzialnego między innymi za walkę z krawcami. Zrozpaczony Składkowski, idąc za poradą Łokietka, zwrócił się o pomoc do Tasiemki.

Druga taka okazja na wyświadczenie „przysługi” mogła się nie powtórzyć, cała banda zaczęła przetrząsać miasto z nadzieją odzyskania portfela. Dwa dni po

kradzieży Tasiemka i Łokietek siedzieli z ferajną późnym popołudniem w Sztamacji. Przyszliśmy tam jakoś przed kolacją, dumni jak pawie przedzieraliśmy się przez cielska dorosłych stopkarzy^[320], żeby dojść do stolika na samym końcu sali. Kiedy Tasiemka zapytał się, skąd szczyłe mają coś, czego jego zbiry nie mogą we własnym mieście od czterdziestu ośmiu godzin znaleźć, pełni triumfu przyznaliśmy się, że to nasza sprawka. Za taką fanfaronadę przynajmniej owacji na stojąco oczekiwaliśmy. Tym razem Łokieć karę naszą wymierzył osobiście i nie był to bynajmniej dyscyplinarny klaps w papę. Kiedy, zwijając się z bólu, na wpół przytomny leżałem na podłodze, Ineczek, patrząc na moją krzywdę i krztusząc się własną krwią, obiecywał, że więcej samowolki nie będzie. Głupio mu było, że za jego wybryk wspólnie cierpimy. Pamiętam, że przez łzy błagałem Łokietka, żeby nie bił, choć ten dawno już przestał. Wyciągnął ze skradzionego chodaka wszystkie pieniądze, dał mi, poczochrął po zalepionej skrzepniętą krwią grzywce i z uśmiechem, sprzedając kopa w dupę na odchodne, kazał spadać. Rzucił jeszcze w stronę Ineczka, że debil jest, ale zdolny, i żeby zastanowił się, czy warto było.

Na zewnątrz kirzany w świetle lichtarni podzieliliśmy się pieniędzmi. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że było warto. Noc bezsenna była przed nami, bo ból zasnąć nie daje, jak morda obita sama do siebie się cieszy. Chodak oraz ksywy^[321] wróciły do właściciela, pieniędzy oczywiście nie było, za to znalazła się tam karteczka z dobrą radą na przyszłość: „Panie Ministrze, trza lepij pilnować złodzieji”.

[298] Biber – brodacz.

[299] Rubach – koszula.

[300] Oberchabka – łapówka.

[301] Porcjarz – dzisiejszy diler.

- [302] Urząd Ciekawy – Urząd Śledczy.
- [303] Bałabuch – ciasto drożdżowe.
- [304] Chodak – portfel.
- [305] Kić – więzienie.
- [306] Many – dziewczyny.
- [307] Grajbery – pieniądze.
- [308] Gudz – węzeł sznurowadła.
- [309] Szamesny – metaforycznie pomocnik, od hebr. *Szames* – woźny w bożnicy lub synagodze, sługa świątyni.
- [310] Świergol – ptak.
- [311] Ogon – obserwacja prowadzona przez funkcjonariuszy policji.
- [312] Szpana – spółka.
- [313] Pampuchy – pączki.
- [314] Wknaić – wejść.
- [315] Ksiuta – plotka.
- [316] Kipisz – rewizja.
- [317] Gandolić – mrużyć.
- [318] Kluba – nos.
- [319] Chawernik – portfel.
- [320] Stopkarz – bandyta.
- [321] Ksywy – dokumenty.

GOUDA

Minęły dwa spokojne lata. Doktor na Opiekuna jak nikt inny się nadawał. Mówili o nim, że jest stanowczy, ale też sprawiedliwy się staje. Niezależnie od statusu wszystkim nieposłusznym groziło to samo. Wyroki ferował adekwatne do przewinień, na pozycję karanego nie bacząc. Kiedy dowiedział się, że Jankieczkie część lonu^[322] z Wygody i Antoniuka^[323] utaja, od razu nakazał jego ukaranie.

Wcale nie o głupi pieniądz Łokciowi przy tym chodziło, a o lojalności tamtejszych czompów wypróbowanie. Miast odesłać Papie Rozengartenowi bransoletę zdobną w talmudyczne talizmany, rozerwał ją na kawałki i zaadresował do Kokoszkie, tym samym wykonanie wyroku właśnie jemu zlecając. Szmul Kokoszkie Gorfinkiel znał, co zrobić powinien, i jak wyszło niebawem, po właściwej stronie się postawił. Niełatwo mu jednak przyszło czujnego szwagra zaszlachtować, wyczekać więc musiał okazji.

Nadarzyła się taka, gdy syn Papy, Połtyjer, przesadził, znęcając się nad nętami. Kokoszkie nakazał własnej żonie Małce, ażeby ta poszła złożyć skargę na młodego Rozengartena, a najlepiej tak niedyskretnie, jak tylko potrafi. Ledwo kobieta kilkadziesiąt metrów uszła, wyrósł przed nią Papa Jankieczkie, pytając, czy to prawda, co dookoła gadają. Jak tylko potwierdziła, nożem się na nią zamachnął. Miał wreszcie Kokoszkie swój powód uzasadniony. Sprawniejszy w fechtunku sprężynowcem tak szwagra na ulicy pokroił, że nic do ratowania dla lekarzy ze szpitala św. Rocha nie zostało.

Na pogrzeb Papy Jankieczkie Rozengartena Łokieć łaskawie pozwolił,

jednak zakazał odprawiać modlitwy nad ciałem. Wiedział, że akurat na tym wierzącemu denatowi by zależało. Spełnił natomiast prośbę posłusznego Kokoszkie, który za uбиcie szwagra, chodząc w porucie, zapragnął zobaczyć cieplejsze kraje. Wysłał go zatem Łokieć do Hondurasu. Flepy^[324] na nazwisko Białogórski przez samego Salomona Janielewa zostały na tę potrzebę przyszykowane. Co nikogo nie zdziwiło, Szmul dał drapaka, pozostawiając Małkę na Chanajkach samą. Widać taką higienę pożycia wyznawał. Nie omieszkał skorzystać z tego na wpół osierocony, mściwy Połtykier, który wylipił ciotkę Gorfinkielową snującą się z torbami po Orleańskiej. Zabiegł jej drogę, wyciągnął kopsnik^[325] spod klapy i wypalił do Małki kilkanaście razy. Jak się później okazało, choć za każdym z tych razy trafił, Gorfinkielowa napaść przeżyła, lekarze cudem ją uratowali. Połtykier na najbliższy Grzybów trafił, Małce się polepszało.

Kiedy Jankieczkie i Kokoszkie leżeli po odwrotnych stronach piachu, Łokieć postanowił ich miasto przewietrzyć, do świeżej krwi przyzwyczać. Przetoczył ją sprawnie, przeciwności nie spotykając. Pokoleniowa zmiana warty przebiegła wręcz podręcznikowo. Doświadczony, niemłody już przecież paser Ela Mowszowski przestał nadążać za szpryngowcami^[326]. Sam z siebie za ocean się ulotnił i młodszemu Zundelowi Połterowi interesy na Chanajkach zostawił. Kasiarz Majer „Krynica” Krynicki twarde miał lądowanie za kratami. Arcykrawiec Szmul „Złota Rączka” Zawiński zawinął się z przyczyn naturalnych. Jego rakietę^[327] na Siennym Rynku przejął uczeń legendarnego Jakowa Rubina, Abram Duczyński. Chłopak podziwiany przez wszystkich fachowców, uzdolniony jak mój Ineczek niemalże. Na opiekunów całej białostockiej braci Łokietek mianował rodzinę Edelsztajnow. Od tamtej pory już tylko przed nim odpowiadali. Ulica nazywała ich Brukowcami, choć nie na Brukowej, a na Pieszaj mieszkałi. Wiadomo, Brukowiec bardziej bandycką niż Piechur melodię posiada. Ich wywyższenie okazało się hecą na niespotykaną wówczas skalę.

Znaczyło mniej więcej tyle, że Brocha Edelsztajnowa, której mąż Feliks pokornie się służył, jako pierwsza i jedyna rymunda^[328] w kraju otrzymała podobną władzę. Ich synowie Alter i Zelik oraz kuzyn Chaim byli jedynie bezwzględni nożownikami.

Organizacja urosła w siłę. W pewnym momencie tak się rozrosła, że wzorem społeczeństwa na klasy się podzieliła. Salonowi w gajkach droższych w lokalne polityki wchodził, głową tylko przed Łokietkiem odpowiadając. Ulica szydziła z ich zaangażowania, twierdząc, że realny dochód przynosi jedynie „praca fizyczna”, „prawdziwa praca”. Ineczek zły był bardzo na taki podział, bo choć chłopak na Kerdelaku i po burdelach wychowany, traktowany był przez ferajnę z pogardą, jak protegowany, co ulicznej niedoli nie zaznał. Kiedy tylko ferniak wychylił poza antykwariat, słyszał wymówki, że się nie nadaje, bo za młody albo że krzywdę może sobie zrobić. Nikt nie doceniał jego pomysłowości. Mówili, że dłonie ma białe, a powinien mieć inne. Nie powiedzieli tylko jakie.

Wbrew temu, co o nim myśleli, Inek na bieżąco był z miejskimi tematami. Na Kerdelaku bywał tak często, jak dawniej. Bynajmniej nie na rozbój tam chodził. Binię sobie na jednym ze straganów upatrył, a ona szczerze uczucie odwzajemniła. Trochę się z tym faktem krył, trochę krępował. Jakby było czego. Pewnie myślał, że nikt nie zauważy, jaki to maślany od pewnego czasu chodzi. Ja od razu zauważyłem. Do ostatniej chwili obracał kota ogonem, nawet wtedy, kiedy otwarcie go zapytałem:

– Dziewczyna?

– Dziewczyna – odpowiedział, nie odrywając wzroku od okna. Siedzieliśmy akurat w kuchni, robiąc nic.

– Jak marzenie? – drążyłem wątek.

– Jak pół, ledwo.

– Nie przesadzasz? – zapytałem zdziwiony. – Przecież Polki są najpiękniejsze na świecie.

– Ale tylko te ładne – Ineczek zburzył obiegowe przekonanie.

Wyśmiałem go, jak tylko najlepszy przyjaciel wyśmiać potrafi. Następnie szczerze mu pogratulowałem i powiedziałem, że zazdroścę. Jak się niedługo później przekonałem, było czego. A raczej kogo. Wybranką Ineckowego serca okazała się być Gouda z domu Falk, córka Kelmana Falka, co na kercelackim żłobie gołębiem handlował. Takich panien dzisiaj już nie ma. Żadna tam szikselba^[329] ze żłoba, żadna pierwsza lepsza szmira pospolita. Skóra^[330] pierwsza klasa była. Naturalna w każdym calu – i w urodzie, i w zachowaniu. Tyle bichura^[331], co wesoła. Rumieniec na twarzy miała jak malowany, a warkocz czarny, gruby jak przedramię. Zgrabna łandyga^[332]. Różnąc też umiała na akordeonie. Nic dziwnego, że Ineczek apetyt na nią złapał. Nie tylko wiekiem do siebie pasowali. On także brzydki nie był, zaryzykowałbym stwierdzenie, że wręcz przeciwnie. Szelmowski uśmieszek, trafiona koafiura^[333] i spojrzenie, na które diabeł za dopłatą by się chętnie zamienił. Inne panny często głowy za nim odwracały.

Z Goudą wyglądali razem ładnie, ale z uczuciem starali się nie obnosić. Nie wszystkim ich szczęście pasowało. Choćby Mama uważała uparcie, że chłopcy tacy jak my powinni w chrześcijankach przebierać, a nie marnować czas na Gudłaje^[334]. Z drugiej zaś strony była zdania, że lepiej już za pracowitą Żydówką niż za byle Szlają^[335] się uganiać. Jak kolegowny z kościelnej ławy tak samo i ona całym sercem wierzyła w podanie, że złe czerniaki na Panu Jezusie dziewionę styrały^[336] i dlatego na trzech zamiast na czterech gwoździach cierpiał krzyżowany.

Pewnego razu niezapowiedziana i zapłakana Gouda odwiedziła nas w domu na Twardej. Powiedziała, że jej ojcu na straganie siupryzę zostawili i choć na ochronę łoży regularnie, to i tak spokoju nie zna. Ledwo skończyła szłochać, wściekły Inek chał pal^[337] z krzesła się zerwał i na blank^[338] wybiegł na ulicę. Mimo że zima była sroga, po baję^[339] się nie wrócił. Wpadł do Aleksandrówki,

gdzie towarzystwo na rachunek Falka piło i kalkulowało, po ile mu od gwoźdźcia policzyć. Dogoniłem Ineczka, kiedy już do baru wchodził, stanąłem w drzwiach i lipiłem, jak się sytuacja rozwiąże. Ineczek podszedł do zastraszonego handelesa, powiedział, żeby nic się nie bał i wracał na żłób stragan otworzyć. Początkowo stary Falk nie chciał o tym słyszeć, zastraszony prosił Inka, żeby do konfliktu się nie mieszał. Nie wiedział, jaka relacja łączy mojego manusa z pryncypałem jego prześladowców. Ineczek ustąpić nie zamierzał, przekonał ojca Goudy, że mimo młodego wieku wie, jak sprawę załatwić, i obiecał bez wdawania się w szczegóły, że ostatni raz takie bukiety^[340] go spotykają.

Falk minął mnie w drzwiach knajpy z miną nietęgą, jakby do Inkowych zapewnień ostatecznie nieprzekonany. Widząc, że fundator popijawy kirzanę opuszcza, jeden z dręczycieli chwiejnie podniósł się zza stołu, fafrając^[341] bejcowe^[342] groźby pod nosem. Wtedy go rozpoznałem, był to Sławomir Kania, mówili o nim Młodszy. Skoro on to zorganizował, oczywistym faktem było, że drugi, siedzący do nas plecami to jego brat Mirosław, Starszym zwany. Typowi bliźniacy. Razem mieszkali, jedli, gwałcili i kradli. Jeden był cieniem drugiego. Na starszego Starszy wołali, bo pięć minut wcześniej na świat przyszedł. Na jego brata Młodszy z przyczyn wiadomych albo ironicznie Lalka, bo przed tremo^[343] każdą wolną chwilę spędzał. Włos poprawić, brew poślinić, gorszy był narcyz niż kokota przed sylwestrową popijawą. Z wzajemnością w samym sobie zakochany.

Ineczek podszedł do nich spokojnie, przysiadł się i chwilę zagadał. Rozmowy nie słyszałem, widziałem tylko, jak na odchodne do cna kieszenie sztanów opróżnił i w geście pojednania rachunek z własnych oszczędności za nich uregulował. Wracaliśmy do domu w kompletnej ciszy, jakby nic się tego popołudnia nie zdarzyło, tylko zamrożone bajury pod butami nam trzaskały. Wydawać by się mogło, że sprawa załatwiona, Gouda z ojcem w spokoju swój handel prowadzili. Ineczek donosił jej odgrzaną skorajszą^[344] zupę na bazar,

żeby łatwiej stanie na mrozie znosiła. Jako że dzień na Kercelaku zaczynał się o świcie, odwiedzał ją nawet przed pójściem do antyka. W towarzystwie Goudy każdą wolną chwilę spędzał. Pewnego dnia wrócił do domu z nietkniętą porcją obiadu. Zdziwiony był bardzo, bo sąsiadujący ze straganem handlarze powiedzieli, że tego dnia nikt z rodziny Falków się nie pojawił. Przecież gdyby dziewczynę choroba dopadła, to by w domu z matką została, a ojciec przyjechałby z rodzinnego Głoskowa do Ścieku, jak co dzień interes prowadzić. Następnego i jeszcze kolejnego dnia Ineczek przed pracą szedł na Kercelak w nadziei, że Gouda przywita go sinym od mrozu, ale jakże ciepłym uśmiechem. Okoliczni handlarze codziennie barłżyli to samo, a śnieg coraz szczelniej stragan Falków przykrywał. Po dwóch tygodniach Inek powiedział, że jedzie do Głoskowa Goudy szukać, bo spać z nerwów nie może i prawdę potrzebuje poznać.

Próbowałem go przekonać, że przecież nikt o zdrowych zmysłach pyskatej Goudy by nie skrzywdził. Co prawda handel kobietami miał się w kraju dobrze, ale to Opieka trzymała nad nim kontrolę. Był to proceder powszechny, zainicjowany jeszcze przez Hametapela Wewego, który swoim czujnym okiem dostrzegł w stolicy aksamitną^[345] klęskę urodzaju. Wydał wtedy polecenie, by nadmiar czynnych dziewcząt ucaścić i przemeldować, jakoby towar eksportowy stanowiły. Powołał po temu kilku zaufanych maciomików, a na ich bezpośredniego opiekuna wskazał swojego wieloletniego przyboczniaka Zvi Migdała. Gadano po cichu, że Migdał obnosił się na co dzień ze zbyt wygórowaną ambicją, toteż w trosce o własne życie ostrożny Wewe bez żalu odprawił go z kraju. Za kierunek ekspansji obrano Amerykę Południową. Szybkie połączenie morskie, skorumpowane władze, dziurawe prawo i przede wszystkim tolerancja miejscowych wobec zenutu sprzyjały prowadzeniu rozwiązej działalności na odległym kontynencie. Polki były uważane tam za mniej ekskluzywne niż Francuzki czy Włoszki, ale w sam raz na kieszeń biedoty,

także popyt na nie był największy. W tym właśnie tkwił interes. W szybkim czasie delegaci Wewego poddali swoim wpływom niemal wszystkie domy publiczne w Argentynie, Brazylii i Urugwaju. Z dnia na dzień na tamtejszych ulicach Polka synonimem kurwy się stała. Migdala i jego bandę okrzyknięto Warszawiaki.

Kiedy w ich rodzinnym Ścieku liczba przechodek^[346] ponownie zrównoważyła się z popytem, Wewe nakazał wysyłkę wstrzymać. Szkoda jednak było zamykać dochodowy interes, należało poszukać towaru gdzie indziej, najlepiej za draniem^[347] i niekoniecznie pośród murew^[348]. To zawsze wyglądało tak samo. W drzwiach domu pojawiał się nieznany nikomu galantny^[349] mężczyzna i roztaczał przed łatwowiernymi rodzicami wizję lepszego życia dla ich córki. Barłóżył, że będzie miała jak w bajce. Przekonywał, że jako pomoc kuchenna zarobi tyle, że jeszcze do Polski dziadźki będzie przesyłać. Albo będzie sprzątać u zamożnych państwa i szybko wyjdzie za bogacza tamtejszego. Głód naiwność potęgował. Wszędzie lepiej niż w polskiej bidzie. Lata były ciężkie, jak zawsze.

Żeby wszystko było w zgodzie z tradycją, przed wyjazdem lalka musiała w pośpiechu ze swoim dobroczyńcą na ślubnym kobiercu stanąć. Małżeństwo było rytualne, z prawem cywilnym niezgodne, dlatego nie podlegało kontroli i ochronie prawnej. Jeden taki cwaniak po kilka rytualnych ślubów rocznie w tym samym celu zawierał. Potem, już na statku, faktyczne intencje zdradzał i siłą przymuszał dziewczynę do obsłużenia całej załogi. Na obcy ład schodziła posiniaczona i obolała, nierzadko na czworaka, Warszawiaki swoje ofiary gorzej niż zwierzęta traktowali. Na ładne skóry mówili „sztuki jedwabiu”, na brzydkie „worki kartofli” wołali. Bili wszystkie, niektóre papierosami przypalali. Te oporne zamykali w piwnicy, żeby tam jednocześnie obsługiwały klientów i rozum traciły powoli. Nawet po kilku latach spędzonych pod ziemią, poddane wreszcie maciornikowi, z obłędem w oczach wychodziły pracować na ulicę.

Zmuszane do przyjęcia klientów w liczbie większej niż niekiedy potrafiły doliczyć, nastoletnie dziewczynki przepadały gdzieś w rynsztoku z dala od domu.

U nas w kraju wcale nie lepiej było. W takim Poznaniu szajka wysoko sytuowanych finansistów oraz polityków organizowała orgie z udziałem dwunastolatek i utrzymywała je na kliszach. Odpowiedzialni temu byli sędzia pokoju Feliks Hirschberg oraz jego imiennik, współorganizator powstania wielkopolskiego Piekucki. Zostali nawet przyłapani na swojej obrzydliwej praktyce i coś z tego. Zdaniem sprzedajnej wyroczni wystarczająco w zamian wstydu się najedli, więc darowano im dodatkową karę. Handełesy żywym towarem czuli się bezkarni, robili, co im się podobało. Taka ładna dziewczyna jak Gouda wszędzie mogła paść ich ofiarą, wszędzie, ale nie w Ścieku przecież. Tu nic Falkównie grozić nie mogło. Spozstrzegawczy Łokietek widywał ją często w towarzystwie Inka, więc też na pewno odpowiednią opieką otoczył. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Sugerowałem Innocentemu jeszcze, że może biznes rodzinny szanownym rodzicom nie hulał i za bomsem gdzie indziej się przenieśli ze straganem. On jednak niezmiennie odpowiadał, że coś złego musiało się zdarzyć, bo bez pożegnania Gouda by nie wyjechała.

– Może w Serbii na Dzielnej pobyt dostała? – rzuciłem ostatkiem wyobraźni.

Spojrzał na mnie wzrokiem obojętnym na słowa pocieszenia i symbolicznie palcem w czoło postukał.

– Za handel gołębiami? Nie rozśmieszaj.

W sobotę z samego rana ruszyliśmy w stronę stacji Szopy^[350], gdzie złapaliśmy kolejkę dojazdową w kierunku Chujca^[351] sunącą. Chwilę jechaliśmy: Grabów-Emilin, Pyry, Mysiadło, Piaseczno Przemysłowe, Wąskotorowe, Wiadukt i tym podobne mijaliśmy. Zgodnie z planem wysiedliśmy w Głoskowie, dalej, przez śniegi, w kierunku Tarczyna już

o własnych siłach iść nam było trzeba. Gouda mówiła, że okna jej domu na cegielnię wychodzą, więc nietrudno daliśmy radę liczbę gospodarstw zawęzić. Resztę załatwiły już gołębie kołujące nad konkretnym dachem. Jak gwiazdy żeglarzom wyznaczały nam właściwy kurs. Kiedy weszliśmy na podwórko, nawet skowyr nie zaszczekał, w dupie miał, czy ktoś mu się pod klubą szwenda. Słysząc tylko suchy wiatr obijający się od szyb w oknach domu. Goudzi ani śladu, za to stary Falk się pojawił. Wyszedł z domu w samej koszuli i skarpetach, na tróci czerwony jak rak, nie od zimna bynajmniej. W lewej ręce ścisnął flaszkę do połowy pustą, w prawej toporek jak do mięsa bicia. Łzy na policzkach i smutny katar na wąsach zdążyły mu zamarznąć, zanim się odezwał.

– Won stąd – powiedział. – Za mało nieszczęścia na ten dom sprowadziłeś? Won z ziemi mojej. Jak psa, jak psa ubiję, jeśli na oczy zobaczę.

Najbardziej przerażające w nim było, że mówił powoli jak nigdy. Głosem pełnym gorzkości cedził słowa przez zęby, żeby mu pijanego języka nie poplątały. Gniew i rozpacz w najczystszej postaci. Nikt o zdrowych zmysłach na metr nie odważyłby się do tego starca podejść. Ten napił się gorzkały i powtórzył:

– ...jak psa.

Bezradni zaczęliśmy wycofywać się z posesji Falków. Najpierw langsami, tyłem, potem odwróciliśmy się w kierunku furki i wybiegliśmy na drogę. Przez oblodzoną łąkę dochodził nas wciąż szucher Falka. Skowyt, to był raczej skowyt. Ineczek usiadł w śniegu pod pierwszym lepszym drzewem i pytał mnie przerażony:

– Ładek, o co chodzi? O co chodzi? – szarpał mnie za ścigaję^[352] i próbował wymusić odpowiedź, której nie znałem.

– Nie wiem, kurwa, skąd mam wiedzieć? – odpowiedziałem.

Nie usłyszeliśmy nawet, kiedy od strony drogi podeszła do nas nieznana szalawa^[353]. Przykucnęła przy opartym o drzewo Inku i odwinęła chustę tak, żebyśmy mogli jej twarz zobaczyć. Wyglądała na pięćdziesiąt parę lat na żłobach

przetyranych. Było w niej coś znajomego, w urodzie i zachowaniu.

– Ty jesteś Ineczkie? – zapytała, patrząc mu głęboko w oczy.

– Innocenty – przedstawił się na tyle, na ile mógł dystyngowanie. – Gdzie jest Gouda, proszę pani?

– Musicie wybaczyć mężowi, jestem pewna, że zrozumiecie. Wstań, bo przemokniesz. Wstań, chłopcze. Ja was odprowadzę.

Szliśmy nieznaną nam drogą w kierunku równie nieznanym.

– Jakies dwa tygodnie temu Kelman na zdrowiu podupadł – zaczęła, idąc między nami. – Goudzia nalegała, żeby zdrowie szanował, bo młody już nie jest i lepij, by przez dni kilka bliżej pieca w domu poleżał. Nie chciał o tym słyszeć. Gouduś zarzekła się, że pod twoją opieką, chłopcze, na pewno na żłobie da radę. Sama była do taszczenia towaru, więc wcześniej, jeszcze przed świtem, zebrała się z domu, żeby na targowisko dojechać. Po dniu pracy dłużej została, żeby stragan zamknąć, i wtedy całe nieszczęście się rozpełtało. Musieli ją śledzić, bo już poza Kercelakiem swój plan realizowali. Dwóch ich było, jak w lustrze odbicie podobnych. Po zmroku dawno, a że bramy niedoświetlone, nikt Gouduni nie ratował. Jeden z łotrów trzymał ją z tyłu za gable, żeby uciec nie mogła, drugi wyjął brzytwę z doliny. Próbował złapać Goudę za twarz, więc ugryzła go w dłoń, mocno, coby przez rękawiczek poczuł. Włożył jej nóż w rozchylone usta, między szczęki na jego dłoni zaciśnięte i szarpnął tak, że cały lewy policzek rozciął i połowy ucha Goudzię pozbawił. Z bólu omdlała, wtedy w spokoju ją zostawili. W ciemnej bramie, rozchełstaną w strzępach poszarpanego ubrania, na kolanach w śniegu topniejącym od ciepła upuszczonej krwi i od płaczu.

Przystanęła nagle, jakby zasłabła, jakby jej samej krwi zabrakło. Ineczek oparł ją o własne ramię, ja z drugiej strony pomogłem, by wygodniej jej było powłóczyć nogami.

– Całą noc nie zmrużyliśmy z mężem oka – oprzytomniała po niedługim czasie – dopiero nad ranem do domu weszła, kryjąc pod szmatami twarz

porozrywaną. Od tamtego poranka odezwała się tylko raz, żeby opowiedzieć nam, co się stało. Poza tym milczała. Spała w dzień, w nocy siedziała i patrzyła w okno. W niczym nie przypominała naszej Gouduni. Sześć dni temu, kiedy wstaliśmy, już jej w izbie nie było. Wysłałam przed dom zobaczyć, czy gdzieś tam się nie krząta, chociaż jej buty w sieni stały. Poszłam za klatki z gołębiami i tam ją znalazłam. Musiała się powiesić jeszcze w nocy, bo śnieg poranny, niepodeptany na ziemi leżał. Ja pierwsza po nim szłam. Nie wytrzymało biedactwo krzywdy, która ją spotkała. Pochowaliśmy ją tutaj, dwa dni temu.

Kiedy skończyła mówić, staliśmy już na wiejskim cmentarzu, nad świeżo usypanym, skromnym, nie przystrojonym grobem. Nie żaden tam ohel[354]. Jedyne tymczasowa, drewniana macewa w ziemię wbita ponad śnieg wystawała, a na niej zwięzły ponim nefesz[355]. Okropieństwa zawsze wyraźniej w pamięci pozostają. Pamiętam, że spojrzałem wtedy na Ineczka, choć początkowo bałem się to zrobić. Zerki miał puste, nieruchome, nawet nie mrugał. Stał tak przez moment, po czym, nie odwracając głowy, powiedział:

– Dziękuję pani, że mnie pani tu przyprowadziła.

Odwrócił się i zaczął iść w stronę, skąd przyszliśmy. Mama Goudy odprowadziła nas jeszcze na stację Głoskową. Po drodze wspominała, jak jej córuchna często i dobrze o Inku mówiła. Ucałowała obu na do widzenia, szczęścia w życiu pożyczyła i powolnym krokiem zawróciła w stronę domu. Inczek był blat[356]. Cały czas, aż do momentu kiedy przyjechała kolejka. Wsiadłem żywczykiem, bo już z zimna dygotałem, patrzę, a on na peronie sterczy. Macham ręką, żeby wsiadał, bo zaraz odjedzie, a następna w takie śniegi nie wiadomo kiedy.

– Do zobaczenia w domu – usłyszałem od niego i wtedy kolejka ruszyła. Nawet nie próbowałem do niego krzycheć. Znałem Inka wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że jak coś sobie wymyślił, to dreptakami go od postanowienia nie odwiode. Musiał, chciał pobyć sam. Są w życiu takie chwile, tak intymne, że

nawet najbliżsi są zbyt obcy, żeby je z nimi dzielić. To była jedna z takich chwil.

Po powrocie do domu opowiedziałem wszystko Mamie. Nie zdążyłem skończyć, jak już się za duszę Goudy przez łzy modliła. Zjedliśmy kolację, pościeliliśmy łóżka i usiedliśmy przy stole, czekając na Inka. Wrócił sporo po północy, Mama przysnęła z głową o rękę opartą, więc od razu ją rozbudziłem. Ineczek był siny, niebieski był. Tak jak myślałem, całą drogę ze stacji w Głoskowie pieszo pokonał. Kiedy się roztochał^[357] do ineksprymabli^[358], stopy bardziej niż baszka^[359] mu parowały. Położyliśmy go w łóżku między sobą, znaczy Mama za plecami mu leżała, a ja z przodu, żeby z każdej strony równo był ogrzany. Mama twierdziła, że Innocenty na pewno z wyjątkowo biednej rodziny pochodził i dlatego tak do zimna był przyzwyczajony. On wyszeptał tylko „Dobranoc” i wszyscy poszliśmy spać.

Rano, kiedy otworzyłem oczy, Ineczek już ubrany cybuchy^[360] kończył sznurować. Spojrzał w moją stronę, uśmiechnął się i poprosił, żebym do antykwariatu Epsteina poszedł i powiedział, że z powodu choroby przez trzy dni się nie pojawi. Odpowiedziałem, że pinkiel to żaden, i zapytałem, co w takim razie zamierza robić? Poprawił grzywkę, zanim naciągnął czapkę na głowę, i powiedział, że leci Mongoła poszukać. Mogłem się tylko domyślać, w jakim celu. Mongoł reprezentował najwęszą specjalność spośród znanych mi blatnych. Był emerytowanym ślusarzem pracującym kiedyś w fabryce na Woli. Nie to jednak przydało mu sławy wykraczającej daleko poza nasze podwórza. Nieoficjalnie określany był mianem wynalazcy albo przynajmniej człowieka, który w znacznym stopniu udoskonał działające na zasadzie dźwigni najpopularniejsze narzędzie do prucia pudeł pancernych, tak zwany rak. Był to rodzaj noża do grubego metalu, którym po wywierceniu otworu wyrzynano dziurę w kształcie litery „U”. Wobec raka każda kasa puszkę sardynek oporem przypominała. Zabawki Mongoła cieszyły się światowym wzięciem, odbierał zamówienia nawet od azurów^[361] z Paryża, Berlina i Londynu. W Rzymie,

w Barcelonie, w Moskwie i za oceanem cała złodziejska arystokracja wznosiła jego imię pod niebiosa, dzięki za niezwykle otwieracz składając.

Przez dwa następne dni mało Innocentego widziałem, wstawał o świcie, a wracał, kiedy już z Mamą spaliśmy. Trzeciego dnia zapytał, czy mu pomogę. Zaznaczył, że może być niebezpiecznie. Zgodziłem się, zanim jeszcze zdążyłem spytać, o co konkretnie prosi. Tak naprawdę nie miało to dla mnie większego znaczenia, za Inkiem w ogień bym poszedł. Poinstruował mnie, żebym w takim razie zdrzemnął się po kolacji i obiecał obudzić, kiedy Matka na dobre zaśnie. Jak powiedział, tak zrobiłem, skoro potrzebował mnie wypoczętego, nie zamierzałem dyskutować. Obudził mnie chwilę po dwudziestej trzeciej. Przepłukałem twarz w miednicy i ciepło się ubrałem. Daleko nie szliśmy, od nas z Twardej na róg Krochmalnej i Ciepłej zaledwie parę minut spacerem było. Kiedy stanęliśmy na wprost Sztamacji, Ineczek spojrział w okna dwa piętra do góry. Nic nie musiał barłóżyć, domyśliłem się, co ma w planie.

[322] Lon – dochód, zapłata.

[323] Wygoda, Antoniuk – dzielnice Białegostoku.

[324] Flepy – dokumenty.

[325] Kopsnik – pistolet.

[326] Szpryng – kradzież w biały dzień z jakiegoś mieszkania. Szybka, najlepiej z przedpokoju.

[327] Rakieta – grupka kieszonkowców, składała się zwykle z „rączki”, „konika” i „świec”.

[328] Rymunda – zła kobieta.

[329] *Szikselba* jid. – kurwa lub wulgarnie nieżydowska dziewczyna.

[330] Skóra – dziewczyna.

[331] Bichura – piękna dziewczyna.

[332] Łandyga – wysoka dziewczyna.

[333] Koafiura – fryzura.

- [334] Gudłaj, Gudłajka – Żyd, Żydówka.
- [335] Szlaj, Szlaja – Cygan, Cyganka.
- [336] Styrać na kim dziewczonę – okraść kogoś; od 209 paragrafu dawnego kodeksu prawa karnego.
- [337] Chal pal – w pośpiechu.
- [338] Na blank – bez płaszcza, kurtki.
- [339] Baja – kurtka.
- [340] Bukiet – nieprzyjemność.
- [341] Fafrać – bełkotać.
- [342] Bejc – pijak.
- [343] Tremo – lustro.
- [344] Skoraj – wczoraj.
- [345] Od słowa „aksamitka” – prostytutka.
- [346] Przechodka – prostytutka.
- [347] Za drągiem – za szlabanem, pod miastem.
- [348] Murwa – prostytutka.
- [349] Galantny – elegancki.
- [350] Warszawa Szopy – Warszawa Południe, dziś Dworzec Południowy.
- [351] Pogardliwie o Grójcu.
- [352] Ścigaje – spodnie.
- [353] Szaława – kobieta.
- [354] Ohel – grobowiec w kształcie małego domku.
- [355] Ponim nefesz – „twarz zmarłego”, informacje o zmarłym oraz epitafium.
- [356] Być blat – milczeć.
- [357] Roztochać – rozebrać.
- [358] Ineksprymable – kalesony.
- [359] Baszka – głowa.
- [360] Cybuchy – buty.
- [361] Ażur – kasiarz, złodziej okradający kasy pancerne.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ TRZEBA UWAŻAĆ

Było po północy, więc drewniane schody wśród nocnej ciszy jakby głośniejsz niż za dnia skrzypiały. Na szczęście pacałycha w knajpie była na tyle huczna, że tłumiała wszystkie dźwięki w promieniu kilku domów. Inek przykucnął przy ciężkich drewnianych drzwiach, z worka żeglarskiego wyciągnął ręcznej roboty wytrych i zabrał się do pracy. Trzeba przyznać, że naprawdę pojętny był w złodziejskim fachu, skoro stary Mongoł w dwa dni nauczył go tak zgrabnie do cudzego na pasówkę wchodzić. Zawodowym klawisznikom przygotowanie samego wytrychu pewnie z tydzień by zajęło. Najpierw odcisk dziurki od kitoka w miękkim robili. Kiedy znana już była głębokość zamka, zapuszczano do niego sondę ze specjalnego drutu zakończonego ołowiem. Nazywali to piórkiem. Za każdym razem, gdy ołów stawiał opór, należało zrobić na drucie nacięcie pilnikiem i tak do skutku, aż wytrych był gotowy. Z reguły, dla bezpieczeństwa, na rozpracowanie jednego zamka poświęcano nie więcej niż pięć minut dziennie. Ostrożności nigdy za wiele. Ineczek, przygotowując się w dwa dni, raczej na to nie zważał.

Weszliśmy po chwili do ciemnego mieszkania. Okna wystawały na Krochmalną, więc choć zamknięte, hałas z kirzany na parterze dochodził tam większy niż na klatkę. Pamiętam, że przez moment rozglądałem się po pokoju. Był skromnie umeblowany, kobiecej grabiączki wyczuć się tam nie dało. Uwagę

zwracała tylko wyjątkowo duża liczba luster, niezbędna do zaspokojenia narcyzmu Lalki, znaczy Sławomira Kani. Jak on tego przezwiska nie znosił. Za każdym razem, kiedy ktoś go tak nazwał, odpowiadał naburmuszony, że to nie jego wina, że się przywabliwy^[362] urodził.

Pomieszczenie okazało się być metrażem niespecjalne, ale trema znacznie je powiększały. Jedno łóżko było na lewo od drzwi, drugie po przeciwnej stronie stało. Wgramoliliśmy się z Inkiem pod to pierwsze i czekaliśmy na przybycie lokatorów. Czekaliśmy i czekaliśmy, leżeliśmy tam chyba z godzinę. Chociaż byłem nawet wyspany, dopadło mnie takie znużenie, że Ineczek, niezmiennie czujny, raz na jakiś czas mnie podszczypywał, żebym nie zasnął. Nagle szperak^[363] uderzył kilka razy w futrynę i po dłuższej przerwie trafił w zamek. Drzwi się otworzyły, ktoś wkniął do środka, spod łóżka nie dało rady rozpoznać kto. Widać było tylko, że zalany porządnie, bo dwa kroki w przód robił, potem jeden w tył i przystawał na chwilę. Byliśmy nastawieni, że Sławomir i Mirosław razem przyjdą, ale na nasze szczęście na raty bardziej nam pasowało, niezależnie od kolejności. Ruszył w naszą stronę, a mi ledwo udało się wciągnąć pod kolibę mieziach żeglarski, który Ineczek zostawił nieopatrznie na widoku obok. Pijany podszedł bliżej i pogwizdując tę samą skoczną melodię, która dochodziła z knajpy, uwalił się na wyro, żeby zdjąć zaśnieżone adachy. Płaszcz i szapoklak zdążył już zrzucić na podłogę pośrodku mieszkania. Przygniótł nas całym swoim ciężarem.

Ineczek długo z reakcją nie czekał. Powoli wyciągnął spod mankietu maszynkę do golenia, co ją przy stojącej w rogu pokoju miednicy znalazł. Wszakże bandyckiego honoru słowo niepisane zabraniało mu w planowanym zatargu z noża korzystać. I tak już wystarczająco gniew Łokcia ryzykował. Wyciągnął żyletkę z metalowej obudowy i szybkim ruchem ręki przeciął zimową skarpetę, skórę oraz ścięgno Achillesa jednego z braci Kania. Gwizdana melodia przerodziła się w skowyt. Mężczyzna upadł na podłogę, uwalniając Inka od

swojego ciężaru. Wyskoczyliśmy spod łóżka na równe dyrki, trochę w rytm skocznej melodii, co za oknem grała. Podłoga była stara, więc krew szybko rozeszła się po całym pokoju korytem między luźnymi klepkami. Sławomir, bo to on, jak się okazało, przyszedł pierwszy, wijąc się z bólu i zaciskając gable na zakrwawionej nogawce spodni wykrzyczał w naszą stronę:

– Co do chu...

Skończyć nie zdążył, ogłuszył go potężny kopniak w skroń. Ineczek przysunął pierwsze z brzegu krzesło i jakoś posadziliśmy na nim nieprzytomnego Kanię. Z worka wyjęliśmy parę metrów mocnego sznura, którym tułów i ręce przywiązaliśmy mu do szczebli oparcia. Żeby nie próbował kopać albo wstawać, również łydki do nóg krzesła mu przywiązaliśmy. Cały czas staraliśmy się nasłuchiwać, czy aby drugi z bliźniaków w naszym kierunku po schodach się nie zatacza. Kiedy kończyliśmy ostatni węzeł, Lalka zaczął z siebie wydawać jęki, takie jeszcze ciche.

Przerażone bałuchy otwierał powoli. Chyba cały alkohol Inek mu tym jednym cięciem z krwi upuścił, bo wyglądał i mówił dużo bardziej trzeźwo niż chwilę wcześniej. Najpierw próbował się rzucać na boki, podskakiwać z krzesłem i wróżyć nam przyszłość nieciekawą. Za każdym razem, kiedy próbował się oswobodzić, przecięte ścięgno skutecznie udaremniało podjętą próbę. Nagle ton zmienił i o litość zaczął błagać. Nie pamiętam, co konkretnie mówił, ale pamiętam, że zlał się w ścigaje. Nawet mnie to rozbawiło. Patrzyłem, jak Ineczek spokojnie sięga po największe tremo w pokoju i opiera o stół tak, żeby Lalka widział wszystko, co mój przyjaciel zamierzał z nim zrobić. Ja przez cały ten czas stałem za krzesłem w lepkiej kałuży krwi, więc dopiero w lustrze Kania mnie zauważył. Prosił przez łzy, żebym jakoś wpłynął na Inka, żebym mu do rozsądku przemówił. Obiecał mi przy tym cały blit tego świata, wszystkie kobiety w zamian, lecz niewzruszony na jego oferty stałem cicho i nie odrywałem wzroku od Innocentego. Poprosił mnie, żebym złapał Lalkę za kudłachy

i postarał się unieruchomić jego głowę, a sam ponownie po żyletkę sięgnął. Widząc, co się święci, Kania nawet nie krzyczał, tylko powtarzał: „Proszę, proszę, proszę, proszę...”, jakby mu się płyta zacięła. Im bliżej ostrze jego twarzy było, tym mocniej zamykał oczy i walczył z uchwytem. Próbował uchylić się, powalczyć ostatkiem sił o swoją rzekomą urodę. Miał silny kark, szarpał się naprawdę mocno. Połowa jego włosów w garści mi została.

Inek, jeszcze spokojnie, powtarzał:

– Chcę, żebyś patrzył, co dla ciebie przyszykowałem.

Oczywiście Kania ani myślał do komendy się stosować. Z zamkniętymi oczami wciąż kręcić głową próbował. Poirytowany jego zachowaniem Ineczek odłożył ostrze na stół i odwrócony do nas plecami polecił stanowczo:

– Ładek, odsuń się, proszę.

Jak poprosił, tak zrobiłem. W ostatniej chwili zdążyłem się uchylić. Inek zakasał rękawy, podniósł tremo i robiąc zamach całym ciałem, potężnym uderzeniem roztrzaskał je o głowę Sławomira Kani. Trafił go na tyle mocno, że Kania wraz z krzesłem, do którego był przywiązany, wylądował na plecach w mieszaninie własnej krwi, moczu i kawałków potłuczonego szkła. Leżąc na plecach, pisał z bólu i strachu. W niczym już nie przypominał zadufanego w sobie narcyza. Ani w wyglądzie, ani w zachowaniu. Ineczek podszedł do mnie i powiedział, że Mirosław pewnie jeszcze na dole baluje, więc on sobie na niego poczeka, a ja najlepiej żebym zmykał, żeby mnie ewentualnie nikt z aferą nie kleił. Powiedział, że z udziałzianymi i na raty w pojedynkę da sobie radę, a ja już wystarczająco mu pomogłem. Trzy razy się pytałem, czy na zycher, odpowiadał, że jak flaki w niedzielę^[364]. Kiedy zamykałem za sobą drzwi, widziałem, jak Inek z kałamarzem w ręku siada jak na taborecie na przywiązanych do krzesła pischzelach Lalki. Nie chciałem niczego przegapić, zdawałem sobie jednak sprawę, że dla Ineczka skatowanie tego człowieka było przeżyciem na tyle osobistym, iż powinien delektować się nim w samotności.

Będąc chyba na parterze, stwierdziłem, że zamiast marznąć wejść do Sztamacji na grzańca i przy okazji będę miał Starszego Kanię na oku. Nie było obawy, że mnie rozpozna, byłem dla niego jednym z dziesiątek bajtli szlajających się po Mirowie. Dla takich jak on wszyscy wyglądaliśmy tak samo, identyczni, brudni, niegodni uwagi i zapamiętania. Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka, otrzepałem ramiona ze śniegu, podniosłem wzrok i o mało na zawał nie padłem. Naprzeciwko wejścia największe łotry Warszawy za jednym stołem jak przy ostatniej wieczerzy siedziały. Dwa piętra wyżej Inek kroi lokatora na kawałki, a tu, na dole, w kirzance jego brat w towarzystwie Doktora Łokietka i Taty Tasiemki gorzałą się raczy. Obok nich skurwiel przebrzydły, syn bogatego kupca, co w skórach robił, Lejkin Jakub – adwokat wszystkich łotrów Łokietkowych. Knyp metr dwadzieścia, o ile w baniaku mierzony, a przy tym jak tur silny niewyuczajnie. Ambitny, dobrze wychowany i energiczny. Dwulicowy jakich mało. Na pozór wzorowy mąż i ojciec, lecz oprócz rodziny i przełożonych resztę ludzi jak gówno traktował. Papugą na dorobku, ale ponoć zdolnym był. Niejednego członka bandy przed mamrem uchronił, choć w palestrze byle kauzyperdy miał renomę. Z tego, co wiem, należał do najbardziej zaufanych współpracowników Łokcia i Tasiemki. Drugi w strukturach, a właściwie trzeci po Bogach, od kiedy Karpiński gnił za kratami. Ciekawe, że w tym jednym przypadku Lejkin jakoś nie wrywał się z apelacją, twierdził, że i tak sąd ją odrzuci. Łokieć wołał na niego Kuba, trochę jak na psa, trochę jak na kolegę. Moim zdaniem gorszy był od skowyrą, ze zwierzęciem człowiek może się przynajmniej zaprzyjaźnić.

Przy Kubie Szapsel „Szapsio” Rotholc ledwo nad stół wystawał. Z zawodu zecer, z zamiłowania bokser. Choć w muszej wadze hasał, to jednym z najgorszych zabijaków stołecznej ulicy był bez wątpienia. Meter i wicemeter Polski, szesnastokrotny reprezentant bez ani jednej porażki na koncie i wreszcie brązowy medalista mistrzostw Europy, nie był może talentem równy z Salamo

Arouchem, ale i tak do czołówki żydowskich bokserów z pewnością się zaliczał. Mówił niewiele, tyle potrafił. Jako zawodnik Gwiazdy nie przepadał za nami, wiernymi Warszawianki. Nie powiem, z wzajemnością. Posłuszny najbardziej był Kubie Lejkinowi i jego komendy najchętniej wykonywał. Pies psa.

Dalej na tej samej ławie Aria Leib Nayer, Tewel Gromb, chuj Kłopot Jurkowski, Bazgroły oraz Alfred Kalt, przez niektórych zwany Maciejowskim. Mimo późnej godziny, bo chyba po drugiej już było, nikt nie odstawał, każdy kolejkę gonił. Nawet gdybym chciał się na pięcie odwrócić, to bym nie zdążył, bo mnie Alfred wylipił i, przekrzykując gwar popijawy, zawołał serdecznie do stolika. Na ścianie przy drążku na baje wisiało stare porysowane tremo. Przejrzałem się dla pewności, czy krwią Sławomira jakoś umazany na tabeli nie jestem. Pamiętam, że pobladłem, jakbym w życiu Słońca nie widział. Cała krew z głowy w pięty mi zeszła, a spościłem się bardziej niż przy zbiórce bajnerów w polu. Serce mało z piersi mi nie wyskoczyło, taki nerw mnie dopadł, ale oczywiście zaproszenia nie mogłem odmówić. Mijając kolejne stoliki, szukałem kłamstwa zgrabnego, które moją obecność w Sztamacji o tak późnej porze usprawiedliwi. Jak zawsze w takich sytuacjach, każda wersja wydarzeń przychodząca do głowy była głupsza od poprzedniej. Dając sobie jeszcze parę minut do namysłu, podszedłem do lady i zamówiłem grzańca na rozgrzewkę. Liczyłem, że pomoże mi choć trochę właściwszy kolor skóry odzyskać.

Usiadłem obok Alfreda. Ledwo na pół dupy ławy mi starczyło, Kalt był stanowczo zbyt duży jak na człowieka. Jak nikt inny nadawał się przeto do brudnej roboty i choć walił ćmagę ze zwykłymi bandytami wcześniej był kimś. Kiedyś w tym kraju wyroki śmierci były wykonywane przez plutony wojskowe. Pewnego jednak razu dowódca rzeszowskiego garnizonu, w którego kompetencji leżało wykonanie wyroku, odmówił rozstrzelania skazańca. Weszło wtedy w życie rozporządzenie Prezydenta, w myśl którego egzekucja miała odbywać się na stryczku, a na stanowisko tortora^[365] Ministerstwo

Sprawiedliwości właśnie Alfreda powołało. W niespełna pięć lat swojej pracy założył pętle na szyje ponad stu skazanych. Póki pełnił obowiązki, budził lęk w całym kraju. Tej akuratnej nocy objął mnie ramieniem i przyjaźnie zagadał:

– Co tu się brzdąc po nocy szwędasz?

Ogólnie to dla niego wszyscy byli brzdące, nawet rosły Łokietek przy Alfredzie był chuchro.

Widziałem kątem oka, że w miarę jeszcze trzeźwy, a na pewno najtrzeźwiejszy z całego grona Łokieć, wyczekując odpowiedzi, w moją stronę łytał.

– Chcę pierwszy w kolejce po śmietanę stanąć...

Wszyscy zebrani walnęli śmiechem, Śmietana też, dopiero wtedy go zauważyłem. Łotr Piotr „Śmietana” Śmietański po drugiej stronie Kalta siedział. Niewiele o nim wiedziałem. Chodziły słuchy, że z komunistami długo był związany, ale nie tak naprawdę, tylko ich dla Doktora penetrował. Posiadał przy tym legitymację PPS-u. Poza tym mordował ludzi, tych, których mu wskazano, i nie tylko. Udawał hydraulika, przez próg wpraszał i właściwą sobie robotę wykonywał. Wystarczyło zebrać parę groszy, żeby go nająć. Rzadko spotyka się ludzi, którzy tak swoją pracę uwielbiają.

– ...zanim ją jeszcze z paki zdejmą i chrzcic zaczną. Zimno. Muszę gdzieś handlarzy doczekać – dokończyłem nieśmiało.

Wspomniany Alfred Kalt wyjął z kieszeni parę groszy, położył przede mną, zdzielił lufę i ciągle rozbawiony poprosił:

– To weź smyku i dla mnie, bo ja ich raczej nie doczekam.

Wszyscy w koło jednocześnie parsknęli, włącznie z Łokietkiem, który łyknął bajkę skleconą przeze mnie na poczekaniu. Nie będąc dłużnym, zapytałem Alfreda, jakie święto do tak późna zacnych mężów przy kielichu trzyma.

– Dowiedziałbyś się skutro z miasta, ale że przed gazetami wstajesz, to ci powiem, że honory Tasiemce nadane wszyscy tutaj opijamy. Zacny Tatko

Siemiątkowski Krzyżem Niepodległości za zasługi na jej rzecz został odznaczony. Będzie miał teraz zniżkę na kolei jak żaden inny ściekowy.

Znowu wszyscy się ubawili, a Nayerowi nawet nosem poszło. Alfred potrafił rozśmieszyć każdego i bez przerwy to robił. Zawsze uśmiechnięty, należał do wąskiego grona ludzi, którzy tryskając pozornym humorem, w głębi serca wielki smutek kryją. Nikogo winą za swoje krzywdy nie obarczał, no może jednego czy dwóch, ale wiedział, że do siebie żal największy mieć powinien. Wypić lubił stanowczo zanadto. Nie było niemal dnia, żeby nie urządził jakiejś burdy pijackiej, zwłaszcza po dokonaniu egzekucji. W trakcie jednej z nich odgrażał się interweniującemu żandarmowi swoimi w ministerstwie znajomościami. W efekcie ze stanowiska go odwołano. Po utracie pracy nie mógł nowego zajęcia znaleźć, nikt nie chciał zatrudnić kata. Ciężko mu było o pieniądz. Próbował nawet skarżyć Ministerstwo o odszkodowanie za obrażenia, których doznał z rąk agresywnego skazańca, ale pozew oddalono jako niezasadny. Popadł w nędzę, został eksmitowany, opuściła go dryzda. W dniu nadania Tasiemce honorów mijał rok od momentu, kiedy się poznaliśmy. Spacerowaliśmy z Inkiem po Parku Sieleckim kawał drogi za Belwederem. Poszliśmy tam zdaje się na przepiórki, na Sielcach zawsze dorodne ptactwo się niosło. Włączyliśmy się spokojnie aleją wśród łysych drzew zimowych, a tu nagle cień wielki na nas pada. Zaczęliśmy się rozglądać i zobaczyliśmy Alfreda dyndającego na gałęzi wygiętej do granic wytrzymałości. Po pijaku źle pętlę wykonał i w porę go odcięliśmy. Mimo to zalany łzami, zionąc gorzałą, zapowiedział, iż zamierza próbę powtórzyć:

– Trudno, wyszedłem już z wprawy, bo dawno nie wieszałem, ale za drugim razem zrobię to na sobie lepiej – zadeklarował, masując kark nabrzmiały.

Jakoś dziwnie żal nam było tego sympatycznego pijaczka, który nawet w takiej chwili trysnął humorem. Zaprosiliśmy go do domu, uraczyliśmy ciepłą zupą, jaką na pewno od dawna się nie cieszył, i obiecaliśmy wstawiennictwo

w sprawie posady u Łokcia. Szkoda byłoby takiego fachowca z rąk wypuścić. Uczciwy Alfred nie chciał się jednak bandyterką zajmować, więc cwitniak^[366] Łokietek posadę egzekutora innych, wrogo nastawionych przestępców mu zaproponował. Alfred się zgodził i od tamtej pory dla Doktora w krawatach, znaczy w stryczkach robił. Nie wszystkim to się spodobało, nie zawsze decyzje Łokcia cieszyły się popularnością. Wielu spośród bandytów pamiętało Tortorowi, czym się dumnie latami parął. Zwłaszcza to, że Józka Pachołka wyhuśtał^[367], było mu wypominane. Józek dla młodszych blatniaków był wzorem, choćby dlatego, że terminował za oceanem. Pod przybranym nazwiskiem John Gura zajmował się tam szmugłem spirytusu z Kanady. Wszyscy go szanowali, podobno obieżyświat władał aż sześcioma językami. Na przyszłego następcę Łokcia przez wielu był wskazywany. W kraju nad Wisłą, wraz z młodszym bratem Kazimierzem i przyjacielem Maćkowskim Frankiem, zajął się Józek napadami. Były one coraz to bardziej krwawe. Brat i przyjaciel Józka na koło^[368] zapracowali, on za swoje występki otrzymał surowszy wymiar kary, który przez Alfreda Kalta został wykonany. Zdaniem innych na temat angażu Tortora Łokietek oczywiście się nie przejmował, nie interesowało go ono wcale. Z takim Kaltem, Śmietaną czy Rotholcem za plecami mógł się czuć równie bezpiecznie, jak kiedyś Wewe z nim samym i Blacharzem.

W węższym gronie Tortor został ciepłej przyjęty. Tej nocy jak zwykle bawił zebranych. Śmiech nie ustawał, co chwila ktoś żartem rzucił albo prztyczka dostał. Wstawać trzeba było tylko za potrzebą. Obsługa bez przerwy rarytasy na stole nam uzupełniała. Prawie zapomniałem, czemu tę przyjemność zawdzięczałem. Kiedy Lejkin podniósł się z ławy, żeby pójść na stronę, zachwiał się pijacko i mimo maciupeńskiego wzrostu strącił z półki radioodbiornik włączony. Muzyka ucichła. Staął przy nim zdziwiony i wymamrotał w naszą stronę:

– Nawet się nie roztrzaskał.

Ledwo te słowa do naszych uszu dotarły, a w oknie za jego plecami coś o bruk pieprznięto z taką siłą, jakby z samego nieba spadło. Tumany śniegu wzbily się w powietrze, przysłaniając widok z kierzynu. Wstaliśmy wszyscy od stołu i z różnym skutkiem ruszyliśmy do drzwi. Na oblodzonym chodniku przed knajpą człekokształtna postać, czołgając się, malowała śnieg na czerwono. Domyślałem się, że to młodszy Kania, choć nie dało się go już rozpoznać. Dla pewności spojrzałem po elewacji domu, okno w mieszkaniu bliźniaków było otwarte. Popatrzyłem na Sławomira, ciekawy efektów Ineckowej złości. Gable wciąż miał skrepowane z tyłu przy oparciu krzesła, ale krzesło jako takie, po zderzeniu z ziemią, było już w kawałkach. Siedzisko i nogi leżały we wszystkich możliwych kierunkach roztrzaskane. Lalka czołgał się na samarze^[369], nawet wstać nie próbował. Przecięty Achilles i pogruchotane upadkiem z wysokiego drugiego piętra kolana nie dawały mu szans na wstanie. Na chwilę obrócił się w naszą stronę i wtedy zobaczyłem jego twarz, dzieło Ineczka, jakiego nie znałem. Obraz czystej nienawiści, jaką darzył braci z Krochmalnej. Śnieg wzbity w luft obmył ją trochę z zaschniętej krwi, mróz zamknął jeszcze świeże rany – tak lepiej było je widać. Miał pocięte policzki, czoło i podbródek. Gdzieś w jego twarzy tkwiły jeszcze powbijane kawałki potłuczonego lustra. Najstraszniejsze jednak były jego oczy, mój przyjaciel zrobił wszystko, żeby Kania ich nie zamykał. Krew z odciętych powiek zalepiła je całe, a mróz wysuszył na wiór. Nie wycofałem się, nie chowałem w cieniu, nie miałem wątpliwości, że mnie nie zobaczy. Przestał się krztusić i zareagował dopiero na bliźniaczy głos. Mirosław dołączył do nas przed knajpą jako jeden z ostatnich. Przecisnął się chwiejnie przez zamurowanych, milczących kolegów i zobaczył resztki, znaczy to, co z jego brata zostało.

– Sławek?!

Kłęczał w błocie z krwi i ulicznego śniegu, próbując brata z resztek więzów oswobodzić. Każde szarpnięcie sznura przynosiły jednak więcej cierpienia niż

pożytku. Odwróciłem na chwilę wzrok, żeby rozejrzeć się za Inkiem. Tak jak myślałem, stał trochę na uboczu w mroku schowany i czekał, aż Mirosław wyjdzie ze Sztamacji. Patrzył na krzywdę obu braci i karmił się każdą jej chwilą. Stał tak może ze trzy minuty, patrząc w bezruchu na dramat bliźniaków, po czym wszedł powolnie w łunę światła bijącego z okien i otwartych drzwi kierzany. Zaraz po mnie zauważył go klęczący przy Sławomirze Mirosław. Wstał na obie nogi, dłonią umorusaną w lepkiej jusze przetarł łzy, a drugą osłonił zerki od oślepiającego światła lichtarni. Być może widział tylko zarys człowieka, który z opuszczonymi rękami powolnie zmierzał w jego stronę. Nie pytał, kto idzie, zza pazuchy wyciągnął mojkę^[370] i w kierunku Inka się zamachnął. Za pierwszym razem ostrze na gumce nie dosięgnęło celu, za drugim Inek złapał je w dłoń i szarpnął, zrywając gumę. Przyplącił to paskudnym rozcięciem, a z dziurawej rękawiczki posypały mu się drobne nominały. Przed jej założeniem monet do środka nasypał, ażeby mu lepiej w mordobiciu służyła. Zabieg jak Ściek stary.

Wtedy już wszyscy zebrani widzieli wyraźnie, że to Ineczek odpowiedzialny jest za zamieszanie. Stojący obok mnie Szapsio Rotholc zrobił nawet krok do przodu, żeby wmieszać się w awanturę, ale Łokietek zatrzymał go gestem ręki i, sądząc po dyspozycji Inka, tym samym bokserowi życie uratował. Na mnie pełen gniewu spojrzał i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Śmietana?

Wściekły Mirosław z wrzaskiem na ustach rzucił się na Innocentego i, chcąc uderzyć z barana, chwycił go za klapy. Zamiast zadać cios, puścił jednak uchwyt i osunął się na ziemię, patrząc jak krew tryska mu z pociętych dłoni. Taki niby doświadczony, a dał się złapać na stary uliczny numer z żyłtkami wszytymi w parawany^[371]. Nie mógł już zacisnąć pięści, a tym bardziej nimi fechtować. Ineczek na oślepie nie hrymał^[372]. Wszystkie jego uderzenia i kopnięcia zostawiały po sobie ślad. Starszy Kania próbował zasłaniać się przed ciosami, ale każdy bez wyjątku dochodził celu. Osłaniając twarz, przyjmował uderzenia

spadające na pocięte dłonie, co nie stanowiło skutecznej zasłony. Inek na przemian bił i rzucał w pokaleczzonego Mirosława posolonym śniegiem.

Po kolejnym dewastującym uderzeniu Kania stracił resztki nadziei, że wyjdzie z tej potyczki cało. W ogóle, że wyjdzie. Był skrajnie bezbronny i tak samo wyczerpany. Klęcząc przed swoim oprawcą, opuścił ręce na ziemię, po prostu nie widział już sensu trzymać ich w górze. Ostatkiem sił podniósł głowę i patrząc błagalnie na Inka przez powybijane zęby zaseplenił:

– Końc.

Ulica Kodeks Boziewicza miała za nic, z rozkoszą polegała na swoim. Inek nie zważał na żaden, ani myślał ulżyć Kani, nie spieszył się donikąd. Wyjął ze spodni pasek i kułak nim owinął. Klamrę chwycił w ten sposób, by wystawała nieznacznie u spodu dłoni, po czym pchnął Kanię obcasem, wywracając go na plecy. Usiadł ciężko na jego klatce piersiowej, łamiąc mu do reszty popękane dotąd żebra. Uderzał w bezwładną głowę, jak uderza się w stół. Miarowo, jednostajnie, w rytm wahadła zegara ściennego wiszącego w kirzanie. Bił bez przerwy, nie obejrzał się na nas ani razu, od kiedy wyszedł z mroku. Z czasem musiał przytrzymywać kolanem czoło Mirosława, żeby wydobyć kant klamry wbity głęboko w kość. Przestał dopiero kiedy zauważył, że ubija pięścią śnieg, od którego jeszcze chwile temu oddzielała go czaszka Starszego. Wstał, otrzepał kolana, sprawdził jeszcze, czy aby na pewno Lalka również już nie żyje, i dopiero wtedy, po raz pierwszy spojrział w naszą stronę. Nikt nie wiedział, jak zareagować, wszyscy czekali na Łokietka, czekali aż pierwszy coś powie. Łokieć zmierzył podopiecznego wzrokiem i powiedział szorstko:

– Posprzątaj.

Odwrócił się i wszedł do Sztamacji, a reszta posłusznie za nim. Żadnych krzyków, żadnej reprimendy, najwyraźniej uznał, że Ineczek miał wystarczający powód, żeby obu bliźniaków załuc. Zostaliśmy tylko we trzech: Inek, ja i chętny do pomocy Alfred. Jak Łokieć przykazał, musieliśmy jeszcze pozbyć się zwłok,

ale i to Ineczek miał obmyślone. Kalt musiał nas naprawdę lubić, był dla nas wyjątkowo życzliwy. Pomógł przeciągnąć ciała w okolice wskazanej przez Inka studni kanalizacyjnej. Sam zajął się Lalką, a my we dwóch Mirosława ćwiknęliśmy. Krata studzienki była już poluzowana, Ineczek nie próżnował w trakcie przygotowań. Choć sznit^[373] był zbyt wąski, by dorosły się przez niego precisnął, to połamane szkielety bliźniaków nie stawiały żadnego oporu. Roztochane do naga, poobijane sine ciała były miękkie jak gneciuch^[374] jaki. Resztę musiały zrobić za nas szczury, o tej porze roku wyjątkowo wygłodniałe. Zapewne gdybyśmy zostawili zwłoki na ulicy, to i świtu by nie doczekały. Dachowce, wygłodniałe bezdomne psy, znaleźli by się nawet ludzie obdarci przez biedę z resztek człowieczeństwa, wdzięczni za taki przysmak w środku zimy srogiej. Woleliśmy mieć jednak pewność. Jestem przekonany, że nawet porządnie zacuchnąć nie zdążyły. Cuchnęły za to ubrania, kiedy paliliśmy je ukradkiem. Paliliśmy rzeczy bliźniaków i Ineczka, bo takich plam z krwi i atramentu nic by nie wywabiło. Miał w swoim worku sweter i drugą parę sztanów przygotowaną na zmianę, baję doczyszczzał śniegiem i gorzałą, którą Alfred zabrał z kirzanki. Dłonie rozmrażaliśmy nad ogniskiem, wódka od środka nas grzała. W pewnym momencie Alfred spojrzał na Inka i, podając mu flaszkę, zagadał po raz pierwszy od wyjścia z lokalu:

– Teraz możesz czuć przyjemność. A z przyjemnością... – przerwał, żeby wziąć od Inka butelkę i pociągnąć z niej łyk godny spragnionego alkoholika. – Z przyjemnością, chłopcze, trzeba uważać.

Kiedy wracaliśmy do domu obok porzuconego straganu Falków, słońce nieśmiało wschodziło nad Kercelakiem. Zorientowałem się wtedy, że zapomniałem zwrócić Kaltowi pieniądze, które dał mi na śmietanę.

[362] Przywabliwy – atrakcyjny, przystojny.

[363] Szperak – klucz.

[364] Jak flaki w niedzielę – na pewno.

[365] Tortor – kat.

[366] Cwitniak – mądry.

[367] Wyhuścić – powiesić.

[368] Koło – dożywocie.

[369] Samara – brzuch.

[370] Mojka – ostrze, najczęściej brzytwy, przymocowane do długiej gumy. Służyło do zadawania ran na odległość.

[371] Parawan – poła marynarki z wewnętrzną kieszenią.

[372] Hrymać – mocno uderzać.

[373] Sznit – otwór.

[374] Gnieciuch – ciasto drożdżowe.

DOM ANTYKÓW

Jakże inny, jakże daleki był świat bandycki od tego, z którym Innocenty miał styczność w antykwariacie. I pomyśleć, że na planie miasta dzieliło nas zaledwie kilka ulic. Tak blisko, a jakże daleko. Pan Eliezer Epstein, człowiek bez wątpienia wart poznania, zawsze szykował swoich pomagierów w zawodzie najlepiej, jak tylko potrafił. Nie inaczej do kształcenia Inka się przyłożył. Mimo zauważalnych postępów pozostawał wobec ucznia wymagający, ale też bez wyraźnej przesady. Okazywał mu przy tym niespotykaną wręcz cierpliwość. To na pewno. Był z niego niespieszny, powściągliwy Żyd aszkenazyjski. Żaden tam wrywny syjonista. Najwyżej cenił sobie relacje międzyludzkie, ponad wszystko przyjaźń i rodzinę stawiał.

Małżonkę swoją kochał nad życie. Poznał ją w Berlinie, do którego po naukę ze Ścieku wyjechał. Pani Epsteinowa była kobietą przywabliwą i zarazem inteligentną, lecz wcale nie piękną. Cieszyła się dyplomem uniwersytetu, na którym wspólnie z panem Lejzo studiowali. Po powrocie do ojczyzny młodzi małżonkowie zaprzyjaźnili się z zapalonym bibliofilem, niejakim Michałem Wojniczem herbu Habdank, zanim władze carskie za działalność wywrotową w Cytadeli go osadziły. Owładnięty porównywalną jedynie z gorączką blitu manią poszukiwania przedziwnych manuskryptów Wojnicz zachwalał antykwaryczny biznes jako rozrywkę intelektualną niemący dochód przynoszącą zarazem.

Nie namyślając się długo, państwo Epstein Dom Antyków przy

Mazowieckiej szesnaście otworzyli. Lokalizacja bez zarzutu, destynacja inteligentnej stolicy. Ulica zaciszna, wybierana na zamieszkanie przez artystów muzy wszelakiej, raz tylko hałasu zaznała, kiedy w sześć lat przed wiekiem dwudziestym asfalt na niej kładziono. Budynek pod firmę niczego sobie, sławny architekturą gwarantował towarzystwo renomowanych lokali. Nim oddano go do użytku, działkę zajmowała jednopiętrowa kamieniczka z przyziemiem boniowanym, oknami zakończonymi ciekawymi naczółkami oraz podwójnie wysoką wieżyczką zdobną prostym balkonem. Jej następczyni godnie nawiązała układem. Stiukowym pilastrom, obeliskom i hermom nie sposób było oczyma się opierać. Eklektyczna fasada cieszyła miłośników rozrzutnej dekoracji, a ogromniasty neobarokowy hełm, domykający perspektywę ulicy, budził zachwyt aż po Marszałkowską. Parter budynku przeznaczono, podobnie jak w okolicznych domach, pod handel. Wytworne, bardzo drogie mieszkania stanowiące ozdobę kolejnych kondygnacji, nawet zamożnej kieszeni tak odległe były, że szybko przemianowano je na kolejne lokale gospodarcze.

Najwięcej rozgłosu szesnastka zawdzięczała parterowym salonom. Oprócz prężnie rozwijającego się Domu Antyków szeroką klientelę przyciągał jeden z większych w Warszawie skład forteklap^[375] Hermana i Grossmana. Początkowo zwykły sklep z mandolinami, harfami i innymi cytrami po cichu przy Miodowej się znajdował, ale z czasem, więcej miejsca potrzebując, musiał pokusić się o przeniesienie. Lepiej właściciele trafić nie mogli. Sięgająca poziomu stóp przechodniów witryna wyjawiała, jakie cuda można wewnątrz składu znaleźć. Miejsce to, jakże ekskluzywne, dzieliło się na kilka równych sal przybranych bogatymi, empirowymi sztukateriami. Był pokój organowy, był i z instrumentami, co same grają. Wystawiano na sprzedaż forteklapy Bechstein, Steinway & Sons, wystawiano też takie pod wynajem okolicznościowy. Jeden z właścicieli, zdaje się Grossman, mecenatem się wyróżniał i często wieczorki melodyjne w salonie organizował, nawet jeśli inni kupcy przez ścianę

w nadgodzinach jeszcze harowali. Z tego właśnie powodu Epstein i pan Witold Klitynowicz, właściciel sklepu z dywanami oraz obiciami tapicerskimi, sąsiedztwo składu Hermana i Grossmana najbardziej sobie chwalili.

W ogóle czego to na tej Mazowieckiej nie było, dziw, że wszystko sama jedna pomieściła. Księgarnia Mortkowicza, Czytelnia Powszechna, dwa gimnazja żeńskie, salony sztuki, antykwariaty. Interes miał Epstein bezapelacyjnie atrakcyjnie usytuowany. Nieopodal placu potocznie zwanego Ewangelickim, w dwuszeregu z kamienicami Benedykta Zielonki, Lilpopów czy choćby Adolfa Schmidta na sukces był skazany.

Trzeba zaznaczyć, że eliezerowy antyk nie był bezpodstawnie chwalony. Państwo Epstein na co dzień chodzili wystrojeni. Ona zawsze w kapeluszu z woalką i w rękawiczkach, których nie zdejmowała. On zwykle w jasnym, wyprasowanym ancugu, jakby się na przechadzkę po Krakowskim wyprawiał. Bardziej na dostojnych gości niż na właścicieli lokalu wyglądali, a z klientami bez problemu rozmawiali po polsku, niemiecku oraz w jidysz. To być może była główna przyczyna, że antykwariat stał się miejscem spotkań ludzi różnych, nie tylko zainteresowanych kupnem staroci. Wszyscy bez wyjątku czuli się tam jak u siebie. Była to placówka chętnie przez stołeczną inteligencję odwiedzana: bibliofilów, literatów, artystów, dziennikarzy, ludzi nauki, miłośników sztuki, muzealników i kolekcjonerów. Przyciągał ich Epstein swoją wiedzą i kulturą osobistą.

Z biegiem lat Eliezer Epstein wykazywał coraz to większą zdolność w prowadzeniu antykwarycznego interesu. Od początku działalności starał się urządzać wystawy prac malarskich, między innymi Czachórskiego, Brandta, Fałata, czy Siemiradzkiego, i organizować ich aukcje, co było dotąd praktyką rzadko spotykaną. W poszukiwaniu płócien podróżował po niemal całej Europie, ściągając do ojczyzny znakomite dzieła polskich artystów. Ich prace znajdował w Wiedniu, Rotterdamie i w Paryżu. Interes życia Epstein ubił w trakcie

wyprzedaży zbiorów największego polskiego kolekcjonera, obrzydliwie bogatego hrabiego Ignacego Korwin-Milewskiego. Jaśnie pan Milewski przeszło czterdzieści lat imponujący katalog arcydzieł kompletował, ze szczególnym upodobaniem szkoły monachijskiej. Przed śmiercią planował ufundować gmach muzealny, w którym ofiarowane przez niego obrazy byłyby udostępnione dla zwiedzających, jednak ani władze Krakowa, ani Lwowa nie zdecydowały się ofiarować działki pod tak szlachetną ideę. W ten oto absurdalny sposób jedyny warunek narzucony przez hrabiego nie został spełniony. Kiedy rozczarowany, rozgoryczony postawą gryzpiórków podupał na zdrowiu, dotknięty chorobą postanowił opuścić ojczyznę i osiąść na prywatnej, zakupionej od Habsburgów, eksterytorialnej wyspie Santa Catarina. Bez nadziei na realizację filantropijnego marzenia zdecydował się, za pośrednictwem wiedeńskiego adwokata, wystawić ukochaną kolekcję na licytację, którą Epstein wygrał w cuglach. Durnie z Muzeum Narodowego, zrozumiałwszy, jak wielka okazja im koło kluby przeszła, zaczęły odkupować od zaradnego antykwariusza zbiory hrabiego, płacąc przy tym niejednokrotnie dużo więcej niż wynosiła cena w trakcie wspomnianej wyprzedaży. Interes życia.

Najczulej rozkochał się Epstein w malarstwie szkoły stołecznej, niejednokrotnie biografii autorów nad autentyczną wartość dzieł przekładając. Miał w zwyczaju odwiedzać ich pracownie regularnie, zaopatrzone jedynie w plik klawych motyli i korki od wina pocięte w plastry. Kiedy przy wizycie decydował się nabyć więcej niż jeden obraz, a było to niemal za każdym razem, układał korkowe opłatki na rogach płótna, a na nim kolejne dzieło i tak dalej, na zmianę, żeby jeszcze świeże olejem się nie mieszały. Dopiero tak starannie przygotowaną paczkę w dalszą drogę ze sobą zabierał. Powiększał kolekcję o prace Józefa Lexa, Antoniego Blanka, Pantaleona Szyndlera, Hersza Redlicha, nawet amatora Hipolita Szwarce. Chętnie rozglądał się za rękodzielami Kokulara, współzałożyciela stołecznej Szkoły Sztuk Pięknych, inicjatora restauracji oraz

antykwarycznego handlu obrazem. Największą sympatią antykwariusz z Mazowieckiej darzył jednak owoce pracowni Jana Klemensa Minasowicza, człowieka – delikatnie rzecz ujmując – ekscentrycznego. Podobno artysta w dzień po pogrzebie niespełnionej ukochanej wydobyl z ziemi jej głowę, wraz z zaprzyjaźnionymi studentami medycyny zabalsamował ją i wsadził do słoja, by towarzyszyła mu w licznych podróżach po kontynencie. Miał przedziwny zwyczaj kolekcjonowania klepsydr z murów cmentarnych oraz starych bułek ze stołecznych piekarni. Uznając ceny leków za nazbyt wygórowane, Minasowicz zmarł, nie wykupiwszy przepisanej mu recepty. Choć pieniędzy miał odłożone na kilka lat życia, nie odwiedził farmaceuty.

Wiele z nabywanych skarbów musiał Epstein w prywatnym mieszkaniu przechowywać, aż zwolniło się dla nich miejsce pod szesnastką. Do klęski urodzaju podchodził racjonalnie, bez sentymentów zbytnich. Chcąc płynność interesu zachować, nie przyzwyczajął się zanadto do żadnego z wystawianych płócien. Dodatkowo miał na względzie powierzchnię, jaką w interesie dysponował, wszakże szanujący się antyk nie tylko malarstwem stoi. Ten pod szesnastką akurat na dwie części się dzielił: książki, mapy i starodruki od frontu, a głębiej sztuka malowana. Właśnie to pomieszczenie przed zapleczem stało się wkrótce ulubionym miejscem Inka, stał tam szacny^[376] ciemny Seidler, do którego przyrósł duszą i ciałem.

Innocenty szybko oswoił się z posadą narzuconą mu przez Łokcia. Po krótkiej wymianie zdań z klientem antykwariatu odgadywał jego gust i upodobania tak, że nie musiał korzystać z opasłego katalogu, by coś odpowiedniego dlań znaleźć. Prawie wszyscy goście przywiązali się do Ineczka i na jego wybór zdawali. Potrafił doradzić z zakresu sztuk pięknych, jak i nauk przyrodniczych. Epsteinowie z przyjemnością obserwowali chłopca przy pracy. Jeśli tylko zgłodził lub na chwilę przerwy miał ochotę, dostawał pozwolenie, by po sąsiedzku do baru Pod Wróblem wyskoczyć. Kirzana znajdowała się dwa

numery wcześniej niż Dom Antyków, to jest pod czternastką. Budynek, który ją gościł, w rażący sposób odcinał się od reszty arcydzieł Mazowieckiej. Po części drewniany, jedynie parterowy, wciśnięty pomiędzy gmaszyska, miernotę architektoniczną nadrabiał prowadzoną w nim wyśmienitą kuchnią. Piąta ćwiartka wołu, ale i inne gorące przekąski były wymierną reklamą lokalu. Nie o elegancję tam chodziło, a o niespotykaną nigdzie indziej atmosferę serdeczności panującej wśród najedzonych Polaków.

Żywą wizytówką baru był nie kto inny jak filozof stołecznej ulicy, jedyny w mieście człowiek wroga nieposiadający, pan Franc Fiszer. Kpiarz bez wyjątku przez wszystkich kochany i przeokrutny żarłok. Hulaka. Gargantua i Pantagruel w jednej osobie – jak go Epstein żartobliwie nazywał. Wiecznie bez pieniędzy, a jednak wyglądu pustej michy nieznający. Chcący spędzić w jego towarzystwie chociaż minut kilka, co tylko mogli, pod feniak mu zamawiali. Coś takiego, niecodziennego jak na Ściek, w powietrzu Pod Wróblem wisiało, że klientela bez pospolitego opilstwa czy byle rozróby się tam obchodziła. Obchodził też Ineczek, z reguły na pół bigosu i fasolki, co najtańsze w karcie były. Jednak zawsze, zaraz po odbiciu, z chęcią między antykwaryczne starocie wracał. Nic w tym dziwnego. Pan Lejzo traktował go jak syna, którego nie posiadał. To był człowiek z podejściem należyty, twierdził, że chłopak dryg do roboty posiada i zapewne obrotny antykwariusz z niego wyrośnie. Może by i tak było, gdyby nie druga natura Ineczka, o której stary antykwariusz nie miał bladego pojęcia.

Ineczek kicz był słowny, więc po trzech dniach nieobecności zerwał się do pracy. Do domu również wcześniej wrócił, wcześniej niż zazwyczaj. Snuł się przez przedpokój jak zbity skowyr z podkulonym ogonem. Na początku się bałem, że może Łokietek go zrugął, ale tego nie przeżywałby na smutno. Usiadłem obok niego przy stole i spytałem, co go trapi. Inek powiedział, że kiedy udawał chorobę, Epstein, szukając czegoś na zapleczu, znalazł książki, które on nabył w Uranii przy Brackiej osiemnaście. Urania to było miejsce

niezwykłe, drugiego tak zaopatrzonego sklepu próżno było w Ścieku szukać. Zarządzająca nim Wanda Here dbała, aby atlasy, mapy, globusy oraz każdej dziedziny literatura szkolna i naukowa zadowalały klientów mnogością wyboru. Z tego właśnie Urania na całe miasto słynęła. Ineczek zakupił tam *Źródło zdrowia, siły i zręczności* Kłośnika z tysiąc dziewięćset siódmego roku oraz podręcznik Sikorskiego wydany w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku. Ot, dba o siebie młodzian w wieku dojrzewania – Epstein zapewne pomyślał. Prawdę odkrył, dopiero kiedy zobaczył opatrunek na dłoni Innocentego. Pobladł z przejęcia, doskoczył do skruszonego chłopaka i ruszył odwijać niechlujnie założone bandaże. Podobno ze złości nawet Inka spoliczkował, a ten z szacunku się nie uchylił. Nie mógł stary antykwariusz powstrzymać gniewu, a może raczej rozczarowania zachowaniem podopiecznego. Modlił się i przeklinał we wszystkich znanych sobie językach.

– Od czego ta rana? – spytał skulonego na krześle Innocentego.

– Od mojki, znaczy od brzytwy proszę pana.

– Boże! – wydarł się Epstein, że go pewnie pod bramą Uniwersytetu usłyszeli. – Żebyś miał więcej szczęścia niż rozumu, chłopcze. Co za niewdzięczność! Ja chodzę, doglądam postępów, a ty na wojenkę... Ta rana jest paskudna. Nieprecyzyjnie szyta, o ile się zablizni to przebrzydłe. Jak ty będziesz teraz klientów witał, jak im będziesz usługiwał?

Ineczek wreszcie podniósł wzrok, wyprostował się na krześle i wypalił z pełną powagą:

– Innego wyjścia nie miałem.

– Mam nadzieję, że było warto – odparł Epstein ironicznie, po czym odwrócił się na pięcie i udał na zaplecze w poszukiwaniu trunku kojącego nerwy skołatane.

– Byliśmy z kolegami na mieczykach – Inek skłamał Epsteinowi w żywe oczy, po czym, uprzednio przyszykowany, wysypał z kieszeni garść

dmowczykowych kołnierzyków na tę okazję z mojej kolekcji pożyczonych. Wierzył w siłę okoliczności łagodzących, ufał, że natura antykwariusza weźmie nad gniewem górę.

– My wyszliśmy na nich z pasztetówami^[377], a oni mojkami nas chlastali – zmyślił na koniec.

Faktycznie, tym razem skończyło się wyłącznie na burze, którą pokornie od przełożonego przyjął. Na szczęście nie musiał żegnać się przedwcześnie z antykwariatem, pan Epstein okazał mu wielką wyrozumiałość. Mimo niedyspozycji Innocentego nie wypowiedział mu posady, zżył się z podopiecznym i nie wyobrażał sobie spędzać dni bez niego. Pozostało mu ćwiczenie Ineczka przy szachownicy. Na czym oczywiście Inuś źle nie wyszedł. Zawsze miał wyjątkowe szczęście do ludzi spotykanych na swojej drodze. Przypominali zdaniem Epsteina Leonardo di Bonę i jego ucznia Giulio Poleiro. Antykwariusz, mimo szczeniackich wybryków Innocentego, był niezmiennie skory do przekazywania mu zagadnień królewskiej dyscypliny. Wynikało to być może z faktu, że wraz z małżonką nigdy nie doczekali się syna, a jedynie córki Szoszanki, która od Inka młodsza, wiekiem bardziej na ich wnuczkę wyglądała. Nie trudno było staremu wydze czarno-białą pasją młodzieńca zachłysnąć. Wystarczyło jak zwykle kilka razy gówniarza pochwalić.

O poziom pobieranej nauki Inek martwić się nie musiał, antykwariusz Eliezer Epstein szachistą i trenerem był znakomitym. Gdyby tylko chciał, wszystkich swoich klientów by ogrywał, podkładał się jednak często z obawy, że urażona duma pokonanego gościa zabroniłaby mu ponownie w progach antykwariatu witać. Już jako podrostek pan Lejzo pobierał nauki gry od samego Szymona Winawera, który często interesy z jego ojcem prowadził. Lepszego nauczyciela trudno wtedy było sobie wymarzyć. Winawer pochodzący z zamożnej kupieckiej rodziny, jako jeden z dziesięciu braci miał niezmiernie pokłady cierpliwości, żeby dzielić się wiedzą przez siebie zebraną. Legenda w grającym środowisku

głosiła, że pan Szymon w całym swoim życiu nie przeczytał ani jednej książki szachowej, a mimo tego, jako zupełny amator, już w wieku lat dwudziestu był jednym z najsilniejszych mistrzów w Ścieku. W pierwszym swoim występie na arenie międzynarodowej Winawer odniósł ogromny sukces. Na turnieju w Paryżu podzielił drugie miejsce z samym Wilhelmem Steinitzem – przyszłym bezapelacyjnym mistrzem świata. Z czasem nad Wisłą z Winawerem równać się mógł jedynie Jan Hermann Cukiertort, arcymeter z Lublina.

Co ciekawe, mocno zaangażowany w prowadzenie rodzinnych interesów, nie traktował szachów jako życiowego powołania. Pozostawał niezmiennie amatorem, lecz mimo tej postawy cieszył się zasłużoną estymą. Na międzynarodowe turnieje szachowej elity jeździł rzadko, jednak wracał z nich zawsze z sukcesami.

W wieku około lat czterdziestu Winawer porzucił szachy turniejowe, wtedy właśnie znalazł czas dla młodego, zapalonego do gry Lejzika. Przesiadali razem w stołecznych cukierniach „szachowych” – Górskiego, Farrarego, Pod Dzwonnicą, w kawiarni U Zuzi i w Giełdowej. Zapatrzony w mistrza uczeń wspólnie spędzone godziny nad wszystko inne przekładał.

Dorosły już Epstein kolegował się serdecznie z Olkiem Flambergiem, może nie tej rangi geniuszem co Winawer, ale również ponadprzeciętnym graczem. Panowie poznali się w atmosferze towarzyskiego turnieju w kawiarni szachowej Nowickiego albo Pągowskiego. Najchętniej jednak chadzali do Udziałowej na rogu Jerozolimskich i Nowego Świata. Rozgrywane przez nich partie słynęły ze swojej długości i często kończone były poza kawiarnią – u Epsteina w domu. Flamberg fakt ten często i głośno chwalił, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że przy tym kuchnię żony antykwariusza najbardziej sobie cenił. Pewnego razu Epstein wpadł na pomysł, żeby mocniejszy od niego Flamberg jako pierwszy w Ścieku dał pokaz symultany. Impreza udała się wyśmienicie, dający popis wygrał wszystkie cztery partie, a okazały dochód stołecznemu pogotowiu ratunkowemu

przekazano. Niestety Olek Flamberg zmarł młodo, pół wieku nawet nie dożył, jednak w pamięci antykwariusza pozostał najserdeczniejszym z kolegów.

Przesympatyczny Epstein miał w szachowym środowisku wielu przyjaciół. Dzięki szachom poznał się z Akibą Rubinsteinem, człowiekiem równie utalentowanym i dziwnym jak Winawer. Żydowie w ogóle to chyba w naturze mają, że trzymają się blisko, zwłaszcza ci, których wspólna pasja połączyła. Przyjaźń Epsteina z Rubinsteinem była tego najlepszym przykładem. Akiba cierpiał na ostrą mizantropię, o co w niegdysiejszym Ścieku było nietrudno. Choroba wykluczała u niego chętność do zawierania znajomości, jednak z łagodnie usposobionym, starszym od siebie Epsteinem szybko wspólny język znalazł. Jeszcze w Łodzi, przed przyjazdem do stolicy, pobierał nauki gry u Chaima, brata Dawida Janowskiego, który pod francuską banderą pretendował do tytułu metra globu. Sam Rubinstein, stale borykający się z chorobą umysłową, wdarł się na scenę szachową z przytupem, jednak szansy takiej jak Dawid Janowski nigdy nie otrzymał.

Zasady starć mistrzowskich inaczej wtedy wyglądały. Mistrz świata sam dobierał sobie przeciwników, a głównym kryterium wyboru pozostawała kwota, jaką na organizację meczu i nagrody pretendent dysponował. Przez swoją dolegliwość Rubinstein nie potrafił zawalczyć o należny mu zaszczyt, poprosić kogokolwiek o pomoc w sfinansowaniu tego jednego pojedynku. Może gdyby poprosił o wsparcie Wewego z Grzybowa, mecz do skutku by doszedł, strach jednak pomyśleć, jakie przysługi powinien wyświadczyć Opiekunowi w zamian. Epstein, jak tylko mógł, starał się przyjacielowi dopomóc, niestety jego kampania na niewiele się zdała i Akiba pozostał najwybitniejszym talentem, który do choćby jednej partii o tytuł nie stanął. Marne to jednak było pocieszenie dla arcymistrza, który coraz bardziej na zdrowiu podupadał. Epstein opowiadał, że kiedy odwiedzał Akibę w domu, Rubinsteinowa przypominała, że podczas zbyt długiej wizyty jej mąż jest zdolny opuścić pokój przez okno.

Niesamowite miał Epstein znajomości w świecie szachowym, na najznakomitszych meterów trafił. Nawet w trakcie studiów, kiedy to szachownicę w imię nauki pogrzebał. Miał wówczas szczęście spotkać na swej drodze jednookiego berlińskiego metera Richarda Teichmanna, któremu jedno oko wystarczyło, żeby tłumione uczucie do gry królów u Eliezera dostrzec i na nowo rozpaścić. Teraz, identycznie, pan Lejzo całą wiedzę zdobytą Inkowi postanowił przekazać. Robił to niemal bez przerwy, nawet po godzinach pracy. Inkowi bardzo to odpowiadało, szachy szybko jego młody, chłonny umysł opanowały. Epstein chwalił ucznia, że ten nauczył się grać w ciągu trzech dni, podobnie jak Deschappelles. Jednak to nie jednoręki Francuz, ani poczciwy antykwariusz w królewskiej dziedzinie Ineckowi imponowali.

Idolem Innocentego stał się Aleksander Alechin, mistrz jakże różny od pozostałych. Absolut gry ofensywnej, tyle bezczelny, co niedościgniony, tytan charakteru i pracy. Przy szachownicy nauczył się tego, czego Inek na ulicy. Impulsywność, fantazja, odwaga... Mroczny i drapieżny w stylu, nie znosił porażek. Ineczek opowiedział mi, że kiedyś, zanim Alechin poddał przechuchraną^[378] już partię, naszczał pod stołem przeciwnikowi na nogawkę. Mój przyjaciel marzył, by dnia pewnego sprowokować mistrza do podobnego chamstwa.

Przy desce nikt inny Inkowi tak nie imponował. Mimo iż Alechin był zawistnym, złym człowiekiem, to jego dominacja nie podlegała dyskusji. Dał temu dowód, odbierając Capablance tytuł mistrza świata i odmawiając prawa do rewanżu. Innocenty na pamięć znał przebieg tej potyczki, ach, co tam się działo. Nie brakło dramatu czy licznych kryzysów po obu stronach stołu. W trakcie jednej z rozgrywanych partii Alechina zęby rozboleły. Nie zastanawiając się długo, przekładając istotę potyczki nad własne zdrowie, zdecydował się na natychmiastowe usunięcie aż sześciu z nich, po czym wrócił do grania. W innym starciu niemal dwie godziny zachodził w głowę nad kolejnym posunięciem, ale

jak na geniusza przystało, co trzeba, wymyślił. Dzięki takim popisom siły jego oponent, dotychczasowy meter globu, Kubańczyk Capablanca zaczął przegrywać starcie na płaszczyźnie psychologicznej. Kota ogonem odwracał i przy każdej możliwej okazji swego przeciwnika do przerwania meczu oraz uznania za nierozstrzygnięty namawiał. Oczywiście przy takim rozwiązaniu Capablanca zachowałby tytuł, o czym Alechin nie chciał nawet słyszeć. Przycisnął rywala i zaczął odchodzić Kubańczykowi w punktacji generalnej starcia. Na drugą dogrywkę ostatniej partii Capablanca nie pofatygował się w ogóle, przesłał jedynie liścik, w którym poddał pojedynek, gratulacje dołączając.

Inek starał się z identycznym poświęceniem szachy traktować i kiedy tylko nie miał czegoś wybitnie istotnego do załatwienia, zostawał poćwiczyć ze starym antykwariuszem. Szybko role im się odwróciły. Przy odrobinie szczęścia udawało się jeszcze panu Epsteinowi jakąś partię zremisować, z reguły jednak przegrywał. W ilu posunięciach, to tylko od humoru Inka zależało. Ćwiczyli debiuty, obrony i strategie wszelkie. Lejzo ganił Ineczka za każdym razem, kiedy ten jura strugał^[379], że niby się zapomniał i kolejnego klienta w pięć minut obraził. Najbardziej antykwariusz się gniewał, kiedy Ineczek ośmieszał jego przyjaciół, choćby pana Edmunda, Mundka Mętlewicza, współnika w fabryce wyrobów metalowych Jaruskiewicz i S-ka, zapalonego konesera sztuki. Pan Lejzo grywał z Mętlewiczem w uroczym Hotelu Brülowskim przy Fredry, którego zaradny przedsiębiorca był właścicielem, lub w Domu Antyków przy okazji zawarcia kolejnej z intratnych transakcji.

Również pan Stefan Grudniewski raz po raz ofiarą ineczkowego talentu padał. Był to znany na Ściek cały kwiaciarz, który to przy Marszałkowskiej przy skrzyżowaniu z Jerozolimskimi Alejami prowadził wytworną kwiaciarnię zwaną potocznie Domem Bursiaka. Nazwa po starym właścicielu tak głęboko zakorzeniła się w świadomości tubylców, że pan Stefan był zmuszony dołożyć na szyldzie, obok swojego nazwiska, niewielki dopisek: „Dawniej Bursiak”.

Kwiaciarnia ta była najmodniejsza w Warszawie, gdyż po drugiej stronie ulicy znajdował się dworzec kolejowy, a tam obowiązywał zwyczaj tłumnego eskortowania podróżnych i obdarowywania ich bukietami, wieńcami, nawet koszami pełnymi kwiatów. Dodatkowo w swoim asortymencie firma proponowała żardiniery, przyozdabianie kwiatami strojów balowych oraz dekoracje sal i stołów. Biznes kręcił się Grudniewskiemu prężny bez wątpienia, pan Epstein z przyjemnością do niego wpadał. Po drodze mu zwyczajnie tamtędy było do szachowej kawiarni Leżańskiego, w której przynajmniej raz w tygodniu szachom się oddawał. Paryska Regencja to to nie była. Nie grywali tam nigdy Legal, Philidor, Deschappelles czy choćby Harrwitz ani Czigorin jaki. Mało kto w świecie o niej słyszał, a jednak w godzinach otwarcia stawała się miejscem gry na najwyższym poziomie.

Epstein stawał tam w szranki tylko z jednym graczem z sali i zawsze na jedną tylko partię. Z graczem, którego mimo dziesiątek cotygodniowych podejść i najszczerzych chęci nigdy jeszcze nie udało mu się zwyciężyć. Jerzy Machonbaum, bo o nim mowa, a posługiwał się też pseudonimem „Machon”, szachistą lepszym był od Epsteina, czego pyszny dowód nieraz przedstawiał. Jak na amatora uznany był w środowisku, uczestniczył nawet w symultanach czołowych graczy świata. Pobił w takich okolicznościach Franka Marshalla, zremisował z Emanuelem Laskerem, a nawet Alechinem. W bezpośrednim starciu nie miałby z nimi rzecz jasna większych szans, jednak gra zbiorowa prawem błędu się rzadzi. Machon najchętniej grywał w kawiarni Capris na Nowym Świecie i oczywiście u Leżańskiego, gdzie cierpliwie przy drzwiach wyczekiwał upartego Eliezera Epsteina. Tym bardziej cieszył się z triumfów nad starym antykwariuszem, gdyż na polu zawodowym to on od pana Epsteina odstawał.

Jerzy Machonbaum gromadził wszelakie dzieła sztuki, głównie rzeźby i obrazy, ale również stare monety, medale, księgi, a nawet makaty i dywany, tworząc słynne w stolicy muzeum prywatne. Rywalizacja ambitnych

kolekcjonerów przerodziła się w konflikt, kiedy to starszy z nich wszedł w posiadanie cymesu, na który obaj byli łakomi. Nie poróżnił ich bynajmniej byle wartościowy starość, a fotokopia manuskryptu, pierwszego w historii polszczyzny traktatu szachowego spisanego przez Jana Ostroroga. Z polecenia kierownictwa Biblioteki Krasieńskich wykonano ich zaledwie dziesięć. Jedna, ku uciesze pana Lejzo, trafiła na Mazowiecką. Gdzie pozostałe, tego nie wiem, ale na pewno nie do Muzeum Machona.

Inek, jak cały Ściek zresztą, wiedział o szachowym niespełnieniu Epsteina i jego licznych, nieudanych próbach pokonania Machonbauma. Każda kolejna porażka mieniła się na twarzy antykwariusza jeszcze dzień po zakończeniu partii. Ineczek wpadł na pomysł, że to właśnie Machonem się posłuży, by przeprosić pana Eliezera za swoje zachowanie, odzyskać w pełni jego sympatię i odrestaurować nadwyreżone zaufanie. Kiedy mnie o tym poinformował, przestraszyłem się, że zamierza powtórzyć sytuację z Krochmalnej, zrobić z Machonbaumem to, co zrobił z kmańnymi braćmi. Przecież właśnie przed tym Alfred Kalt go przestrzegał. Na szczęście Innocenty miał inne zamiary.

– Do Leżańskiego wszedłem jak gdyby nigdy nic – rozpoczął swoją relację kilka dni później, kiedy siedzieliśmy wieczorem na klatce schodowej, kurząc faję. – Otrzeptałem buciory i wydarłem się w głąb sali: „Jest tu jaki Machon?”. Żebyś Ładziu te wszystkie sowy zobaczył, co się nagle w moją stronę powykręcały. Nawet jeden kelner, chojrak, podbił z groźbą, że porządku zaraz dopilnuje.

– I co? – ciekaw byłem ciągu dalszego, czy aby na pewno bez awantury się obyło.

– Poradziłem, że nie radzę – Inek uśmiechnął się zawadiacko.

– Machona zastałeś?

– A i owszem. Wstał z krzesła, wyrósł ponad siedzących i powiedział, że zależy kto i po co. „Porównać się chciałem” – rzuciłem ciszej. Nie miałem już

potrzeby nikogo przekrzykiwać. Machon wynalazł z doliny chustkę i cynicznym gestem odkurzył nią wolne krzesło przy swoim stoliku. Ma się rozumieć zaproszenie przyjąłem. „A pan, chłopcze, to kto? Oj, gdzieś pana widziałem” – klekotał coś bez przerwy, ale nie mogłem skupić na nim uwagi. Dookoła zajmowanego przez nas stolika pierścień gapiów coraz bardziej się zacieśniał. Własne partie przerywali, by podpatrzeć, co się będzie działo. A byli tam wszyscy, dosłownie wszyscy. Pochylali się nad nami Dawid Przepiórka, Mojżesz Łowcki, pan Salwe, Paulin Frydman, Najdorf, Flamborg, Szapiro i jeszcze pan Henio Pogorieły. Dosłownie wszyscy, rozumiesz? Nawet Leżański nad stolikiem się nam pochylił. Machon zaprosił mnie do figur jaśniejszych, dając przewagę ruchu na wejściu. Się nie odmawia – pomyślałem i zaproponowałem rozegranie meczu w cyfrze partii nieparzystej.

– Trzy? – zapytał.

– Nie więcej – odpowiedziałem. – Szkoda czasu wszystkich państwa na siedzenie do rana.

Towarzystwo parsknęło gromkim śmiechem, uznając mnie za poległego zawczasu. Niedoczekanie, ja wam pokażę – pomyślałem. Rozsiadłem się wygodnie, ustawiłem figury, czekałem, aż hałaśliwe zamówienia skończą się składać i najważniejszą grę w życiu zacząłem. Najpierw lekko, Machon tak samo. Później uruchomiłem skoczka, na co on kolejnego piona ruszył. Goniec mój, goniec jego. Ja powtórzyłem skocznym, Machonbaum dalej gońca męczy. Przekonany, że związał tym moją narowistą figurę, nie zauważył groźby trzech innych czyhających na mata. Szybka wymiana ciosów i pierwszy przeciwnik deskę opuścił. Machon powinien był pogodzić się ze stratą piona i za wszelką cenę króla bronić. Jego problem polegał jednak na tym, że wciąż nie widział zagrożenia – wpadł w typową pułapkę występującą w wariantach otwarcia. Ruch za ruch. Tempo gry nie spadało. Przyszedł czas na końcową kombinację, więc bez żalu poświęciłem hetmana w zamian za możliwość obdarowania oponenta

matem. Samobójstwo hetmana.

– *Seekadettenmatt?* – mój przeciwnik zapytał retorycznie, nie dowierzając w popełniony przez siebie błąd.

– Mat Legala, zgadza się – odpowiedziałem, choć wcale tego ode mnie nie oczekiwał.

Owładnęło mną dziwne uczucie, na pewno nie była to satysfakcja. Co więcej, czułem się rozczarowany, wytysz^[380] niezaspokojony, wygraną w debiucie zawdzięczałem raczej pomyłce przeciwnika niż własnym umiejętnościom. Nie można tego nawet nazwać partią, co najwyżej, ledwo miniaturą. Popatrzyłem na Machona i ustawiać figury z abarotem na pozycje wyjściowe zacząłem. Przynajmniej jeszcze jedna potyczka nas czekała.

Kulturalna do tej pory zgraja podstarzałych gapiów darła ryja nad naszymi głowami jak przy jakiejś walce psów, ale ja byłem głuchy na ich wrzaski. Wiedziałem, że w pozostałych partiach Machon błędu już nie popełni, zabawa zabawą, ale są pewne granice. Znając jego usposobienie, podejrzewałem, że rzuci się szybko do ataku, że będzie brał wszystko, jak leci, wszystkie figury, których nie otoczę należyłą opieką. Nie żeby tam mnie poniżyć – jest człowiekiem zbyt dużej kultury jak na to – ale w celu rychłego podniesienia oceny gry własnej. Musiałem to wykorzystać. Musiałem.

Kiedy Inek opowiadał o szachach, wdawał się w najdrobniejsze szczegóły, nie zważając, czy ich znaczenie w ogóle rozumiałem. Wyjąłem z doliny garść luźnego tytoniu i ponownie nabiłem fajkę. Wszystko wskazywało na to, że jeszcze na klatce zabawimy. Miałem nadzieję, że nie do rana.

– Postanowiłem go zmylić i zagrać jak Morphy w „Operowej” – Ineczek zaczął tak, jak się niestety po nim spodziewałem. – Nuciłem pod klubą motywy przewodnie *Normy* Belliniego i zbierałem animusz niezbędny do wyprowadzenia podstępny. Morphy toczył bój z dwoma przeciwnikami jednocześnie, z hrabią Isouardem i Karolem, księciem Brunszwiku. Pewni siebie panowie wpadli

w zastawioną na nich pułapkę i zamiast prowadzić własną grę, lecieli wszędzie tam, gdzie Morphy ich podpuszczał. Wiesz, Ładek, nieprzyjęcie podarków uważane jest za niedzenteleńskie, a ludzie z takimi rodowodami winni być dzenteleńcami w każdej okoliczności. Poświęcając prawie wszystkie swoje figury, Morphy przeprowadził kombinację pierwsza klasa i w siedemnastym posunięciu, przy użyciu gońca oraz wieży, dał zaskoczonym przeciwnikom mata. Taki właśnie miałem pomysł na rozstrzygnięcie drugiego starcia. Bez gwałtownych ataków i kontrataków, tylko spokojnie, wszystko w swoim czasie. Rozpocząłem gambitem królewskim, poświęcając piona w imię szybkiego rozwoju pozycyjnego. Ryzykowny to debiut, ale nacisk na środek wywiera i presję na najsłabszy punkt w obozie czarnych. Pamiętasz? Tłumaczyłem ci kiedyś.

Przytaknąłem. Oczywiście, że nie pamiętałem. Innocenty nie zwrócił na to uwagi, kontynuował podekscytowany:

– Machon, jakże by inaczej, dzenteleńsko gambit przyjął. Chwilę później wymusił na mnie ruch, królem blokując przy tym możliwość przeprowadzenia roszady, ale co tam, zarazem osłabił pozycję swojego hetmana. Konsekwentnie postawiłem na posunięcia rozwijające. On nie mógł sobie na ten komfort pozwolić. Kiedy krytyczna część deski była moja, gra wreszcie nabrała rumieńców. Zmusiłem przeciwnika, żeby posunął skoczka na brzeg szachownicy, poświęciłem też wieżę, wyłączając czarnego hetmana na dłużej. Machonbaum zyskał dzięki temu przewagę materialną, ale pozycyjnie podupadł. Otaczający nas cmokali, widząc, jak kolejne moje figury bije. „Jerzy, dałbyś dzieciakowi spokój”. Wtedy przyszedł czas na siupryzę przeze mnie gotowaną. Odpowiedziałem pozornym kontratakiem, czarne znów piona zyskały. Wszyscy wokół szykowali już ironiczne gratulacje dla bardziej doświadczonego gracza, ja spokojnie czekałem. Oddałem drugą wieżę, cementując wizerunek pogubionego. Po chwili Machon połasił się na kolejnego tego wieczora samobójcę hetmana.

Nie mógł nie przyjąć takiej ofiary. Zajęte zbijaniem czarne nie były już w stanie wesprzeć swojego króla. Ich niezaprzeczalna przewaga materialna, jakże widowiskowa i spektakularna, znaczenia zupełnie nie miała. Podrażniony własnym błędem z pierwszej partii Machonbaum zapomniał zupełnie o podstawowych zasadach Damiana Portugalczyka: „Nie wykonuj bezcelowych ruchów, nie graj szybko, unikaj oczywistych przeoczeń, nie próbuj zdobyć piona kosztem własnej pozycji” – tu Machon wybitnie brakiem posłuszeństwa się wykazał. „Poza tym, gdy widzisz dobry ruch, poszukaj lepszego, a gdy masz przewagę materialną, wymieniaj figury”. Niekorzystny dla czarnych układ pozycyjny zadecydował o wyniku partii, nieposłuszeństwo kosztowało Machona wygraną. Udowodniłem, że dwie roztropne figury – zupełnie jak my, Ładziu – znaczą więcej niż tuzin na żer puszcanych.

– Co było dalej? – zapytałem.

Czułem, że zbliża się do końca swojej opowieści, zacząłem nawet słuchać z większym zainteresowaniem.

– Odebrałem gratulacje od wszystkich po kolei, za każdym razem toastem do dna popychane. Potrzęsali moją grabą wszyscy szachmistrze i inni przypadkowi klienci kawiarni. Szybko w głowie mi zaszumiało. Machon poderwał się ostatni. Wstał od stołu, okrążył go i położył rękę na moim ramieniu. Doceniając zaistniałą sytuację, wyjątkowo mnie pochwalił:

– Pan nie ograł tylko mnie jednego, pan orznął wszystkim tu zebranych. Cóż, sam się w pańskie objęcia pchnąłem.

Tego naprawdę byłem ciekawy.

– Co mu odpowiedziałeś? – zadałem Inkowi szczere pytanie.

– Jak tylko szorstko potrafię: „Mam nadzieję, że było warto”.

[375] Forteklapa – fortepian.

[376] Szac jid. – piękny.

[377] Pasztetówa – skarpeta wypełniona piaskiem, kamieniami lub monetami.

[378] Przechuchrać – przegrać.

[379] Strugać jura – udawać głupiego.

[380] Wytysz – jawnie.

ŚLEPETUCHY

Pan Epstein zakazywał podopiecznemu popisów, lecz nie był w mocy poza swoim zakładem chłopaka kontrolować. Sam zresztą przyczynił się do częstszych wizyt Ineczka w Domu Bursiaka, w końcu to w antykwariacie Innocenty znalazł ponadstuletnie wydanie pracy Józefa Markowskiego, *Naukę o truciznach*, której zawartość pochłonęła go na dobre. To z jej treści dowiedział się o istnieniu i sposobach pozyskiwania wielu fascynujących substancji. Gdy tylko miał wolniejszą chwilę, pędził zaraz wiercić dziurę w brzuchu panu Stefanowi, by ten, korzystając ze swoich licznych kontaktów handlowych, sprowadzał dla niego wyszukane rośliny. I tak nieświadomy niczego groźnego kwiaciarz Grudniewski z rozkoszą pielęgnował botaniczne zapędy młodziaka. A to ziarna zabójczej fasoli kalabarskiej mu sprowadził, innym razem podpowiedział, gdzie korzeń wszy wodnej^[381] znaleźć można, to znów pełne strychniny nasiona kulczyby wroniego oka lub bukiet pantofelków Matki Boskiej^[382] Inkowi podarował. Wywołującego śmiertelny paraliż pietrasznika plamistego ze zwykłą pietruszką nie jemu pierwszemu zdarzyło się pomylić. Nie podejrzewał wszakże niczego złego, a i Ineczek takiego nie czynił. Kiedy zapytałem, po jasną cholere baszkę kwiaciarzowi zaprzęta, swoim zwyczajem wyczytaną historię na wierzch wywalił:

– Król Pontu, Mitrydates Szósty, każdego dnia bez wyjątku spożywał niewielkie porcje jadu, licząc, iż uodporni się na jego działanie. Skoro trzy nasiona rącznika pospolitego do grobu kładły, on regularnie przyjmował takiego ziarna ćwierć, z czasem pół, wreszcie całe.

– Spadł ze skały? – zapytałem cynicznie o losy monarchy. Nie wszystko, co mówił Innocenty, brałem na poważnie.

– A wcale nie – manusowy sprzeciw napotkałem. – Obcięli mu banię.

Kiedy pytałem jeszcze, czy to jego dziwactwo bezpieczne jest aby, filozofa przycytował, że w zbyt dużej dawce to wszystko i każdemu zagrożenie stanowi. Pochwalił się poza tym, że kwas pruski z pestek brzoskwini pozyskać potrafi. Powściągliwie podejrzewałem, że szło mu to tak jak mi z falsyfikatami.

Jego zainteresowanie, choć nietypowe, kto by pomyślał, pewnego niespodziewanego razu jednak się przydało. Nie żeby kto chciał Inka uśmiercić, ale niedaleko do nieszczęścia było. Byliśmy z Inkiem już blisko domu, kiedy zauważyliśmy nogi wystające z jednej z mijanych bram. Krwi żadnej, więc podeszliśmy. Kolejny wypląty nie doniósł – pomyślałem. Myliłem się i to bardzo, sztywny zewłok stygł rozpostarty na drewnianym bruku, żadna ćmaga takiej siły nie miała. Nieboszczyk ścisnął w dłoni pustą plecioną siatkę, zakupy, które z niej wypadły, już dawno zostały rozkradzione. Nagle jakaś stara, nieprzychylna andrusom^[383] torba larum podniosła do nieba. Zerwaliśmy się na równe nogi i rzuciliśmy do ucieczki. Ledwo wystawiliśmy nosy poza feralną bramę, zaraz w lamorskie^[384] łapska wpadliśmy. Na posterunku kradzieżówki usłyszeliśmy zarzut okradzenia truchła, a do tego jeszcze o napaść ze skutkiem śmiertelnym zostaliśmy posądzeni. Przyznaję, chcieliśmy zwłoki okraść, ale nikogo nie zabiliśmy.

– Przecież on kilka godzin tam leżał – wtrącałem, póki sił nie brakło. – Na żalniku robię, to wiem. Przechodnie myśleli, że pijany. – Jak grochem o ścianę.

– Nieciekawie skończycie – usłyszeliśmy od pilnującego nas spuchlaka, niekoniecznie w odpowiedzi.

– Na psa urok – Inek obraził go w żywe oczy, za co na ten tychmiast zebrał po mordzie dwa razy.

Wypluł na podłogę krew, którą mu pęknięta warga podeszła, i skorzystał

zgrabnie ze zwróconej na siebie uwagi:

– To nie my – powtórzył nasze wspólne stanowisko. – Niech twój pan do mordy sztywnemu zajrzy, a zobaczy.

Jeszcze jeden raz po pysku i pół godziny czekania po tym, a umundurowany prosiak wrócił do nas w towarzystwie pana Henryka Langego. Kierownik chint^[385] od spraw złodziejskich, wężyciel nad wężycieli, na całą Warszawę był znany. Nie raz i nie dwa sprytem osobistym, pomysłowością nie co dzień spotykaną, wyrzekając się brutalnej przemocy, sam jeden zagadki juchącego^[386] fachu rozwiązywał. Był wielkim orędownikiem pracy wykonywanej przez Laboratorium Policyjne przy ulicy Ciepłej. Z tego, co słyszałem, to Lange nigdy na aresztanta ręki nie podniósł, wołał wywołać przekonanie, że wie o nim wszystko, i czekać, aż nabity w butelkę sam się do czynu przyzna. Mówili o nim, że był ostatnim żyjącym zwolennikiem czystej gry i pewnie dlatego – mimo imponujących wyników w walce ze złodziejstwem – nawet apasznego towarzystwa uznanie i szacunek sobie wypracował. Wszyscy, co do jednego, przestępcy stolicy wiedzieli, że Lange mieszkał w kamienicy na Twardej pięćdziesiąt osiem, kilka numerów przed naszym domem, tuż obok Żelaznej. Dla nikogo nie było tajemnicą, że w łatwym do okradzenia mieszkaniu z jedynym na elewacji balkonem, do tego zaledwie na pierwszym piętrze, posiadał antyczne meble, regały pełne książek i starą forteklapę. Mimo posiadanej wiedzy nikt nie decydował się zrobić skoku na dobra śledczego Henryka, oto najlepszy dowód renomy, jaką się cieszył wśród szemranych.

Jakby urodzony do dedukcji detektywistycznej, już od najmłodszych lat wykazywał talent. Kiedy jako szczył do życiowych ścieżek jeszcze niezdecydowany odbywał praktykę w głównych warsztatach Kolei Wileńskiej przy Chmielnej, dał temu najgłośniejszy wyraz. Było tak, że car Mikołaj Drugi wybierał się pewnego razu na polowanie pociągiem. Przed planowanym odjazdem parowóz dla bezpieczeństwa pod przegład poszedł i wymieniono

w nim kocioł, nadesłany w tym celu z zaborczego zakładu. Robotnicy, co go przetaczali, bez złej intencji uszkodzili rurę krzyżową wpuszczającą parę do cylindrów i termin ekskursji jaśnie panu znacznie się oddalił. Zamówienie nowej części łączyłoby się oczywiście z przełożeniem zachcianki na jeszcze dalej. Wnioskując sabotaż, żandarmy nieszczęsnych odpowiedzialnych pod szperak wzięli, grożąc im pod to surową odpowiedzialnością. Młody Lange zainteresował się sprawą, wszakże wśród zatrzymanych niejednego kolegę z praktyk posiadał. Odnalazł na złomie uszkodzone rursko i zaczął badać przyczyny awarii. Myślał, myślał i wymyślił. Ba, nawet w międzyczasie udało mu się własnoręcznie usterkę nawrócić i w ten oto sposób przyjaciół z za reszotki^[387] oswobodzić. Wypuszczeni na wolność całe zdarzenie cudem okrzyknęli i długo jeszcze potem młodemu Heńkowi ze wzruszeniem dziękowali. On sam już wiedział, że choć sprawne ma gable, to głowę jeszcze lepiej dysponowaną i z wyuczonym zawodem technika bez żalu postanowił się rozstać. Zawsze lubiany i szanowany po obu stronach kodeksu, on jedyny, wybitny analityk, powodował, że razem z Ineczkiem często oglądaliśmy się za siebie. Niestety nie wyszło nam tym razem.

– Który taki mądry? – Lange zapytał podwładnego, choć wnosząc po świeżej opuchliźnie Inka, powinien to zauważyć. Brutalnych metod się brzydził i jawnie to obrzydzenie podkreślał.

– Skąd wiedziałeś o przebarwieniu? – zapytał zaciekawiony.

– Zdarty otok i przyszwa, znaczy nogą powłóczył. Ponadto drżące pismo na liście zakupów – Innocenty podzielił się z panem Henrykiem swoim spostrzeżeniem.

Ten nie wydawał się być przekonany:

– Chromość, infekcja – wymienił, bagatelizując Ineckowe dociekanie.

Innocenty nie miał wyjścia, musiał przeprowadzić grę skojarzeń.

– Drogi kapelusz i tanie buty – odparł wyraźnie poddenerwowany. – Nikt, kogo stać na jedno z dwojga, nakrycia głowy nie wybierze. Dostał je pewnie, jak

i inni pracownicy fabryki filcu, w której wdychał trujące opary.

Niebieski rąb na podniebieniu, choroba kapelusznicza. Lange był pod wrażeniem tego, jak oto prosty chłopak z ulicy objawy zatrucia rtęcią u denata mu wskazał, czym zaznaczył swoją niewinność.

– Pewno miał żonę lub matkę. Ta pewno się martwi – powiedział Lange do podwładnego grubasa, sugerując, że ten powinien nas wypuścić i zająć się szukaniem adresu zmarłego.

Tydzień później spotkaliśmy pana Henryka na Twardej, kiedy z domu wychodził.

– Serwus, Lukusty^[388] – rozpoznał nas od razu.

Okazało się, że mężczyzna, którego ciało przez pół dnia przeleżało w bramie, był nie inaczej jak pracownikiem Fabryki Kapeluszy, Czapek i Filcu Kriegel, Würfel i S-ka, mieszczącej się niedaleko, pod ósemką przy Tarczyńskiej. Miło było nam to słyszeć, znaczy, że mogliśmy pomóc, bo choć pan Lange był chintem, to nie mieliśmy czego się wstydzić, należało mu się powszechne uszanowanie. Od tamtej pory jakbyśmy częściej na siebie wpadali. Za każdym razem pan Henryk był dla nas bardzo serdeczny, ktoś mógłby pomyśleć, że bardziej stryjeczny nawet. Zawsze się pytał, co u nas słyhać, więc i my odwzajemnialiśmy pytanie. Dzielił się wtedy zasłyszczanymi historiami, ale i tymi, których sam był świadkiem. Widząc, że jak na swój wiek jesteśmy aż nadto dojrzały, pytał często, co byśmy w danej sytuacji zrobili, co i jak nam się wydaje. Raz zapytał Inka, co ten by zrobił, gdyby podejrzewał czyjeś otrucie, ale przeprowadzone badania niczego by nie wskazywały.

– Nakarmiłbym kota żołądkiem zmarłego – odpowiedział i poczekał na reakcję.

Zrozumiałem wtedy, jaką metodą Inek swoje mikstury sprawdzał w działaniu, wszakże piwnicznych kociambrów^[389] ci u nas nie brakło. Natomiast pan Henryk pochwalił podobny tok rozumowania, myślał pewnie, że

drugiego siebie trafił. Inek cieszył się bardzo, że to, co wyczytał, wreszcie mu się przydało, więc po nasiona chodził tam, gdzie zawsze.

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, w sumie parę wojtków folgi^[390] w ciszy i spokoju upłynęło. Z czasem Inkowi ręka się zagoiła, rumieńców nabrał, w mieście wiosna nastąpiła i on sam się rozpogodził. Wyglądał, jakby urósł, chodził wreszcie wyprostowany, uśmiechnięty, z wysoko podniesionym czołem. Nosił się fantazyjnie, a włosy skraplał sobie brzoźową Drallego^[391]. Ludzie z bandy na wieść o masakrze pod Sztamacją przestali traktować go jak byle bajtła i nabrali szacunku mocno podszytego strachem. Szachiści, po wyczynie u Leżańskiego, podobnie. Tak mi się wydawało.

Ja również na tym skorzystałem. Nie byłem wcześniej traktowany źle, ale z racji wieku poważnie też nikt do mnie nie podchodził. Teraz to się zmieniło. Mając piętnaście lat, byłem traktowany przez szemranych jak pełnoletni. Nie ukrywam, że bardzo mi się to podobało. Nie miałem zamiaru skończyć jak dziadek i do końca życia na zlecenie Opieki dintojry kercelakowych przekup prowadzić. Chciałem żyć w przeświadczeniu, że czegoś dokonałem, że zbudowałem wszystko w oparciu o spryt i ciężką pracę. Dla Ineczka antyk też miał być zaledwie poczekalnią, sypialnią skrytych dążeń i zamiarów. Lubił to oczywiście, chadzał tam z radością, ale stare bibeloty, szachy i forteklapę traktował raczej jak praktyczny odpowiednik szkoły, do której nigdy nie trafił.

Cel, jaki sobie wyznaczyliśmy, pozostawał niezmiennie w sferze rozważań. Problem z jego realizacją, choć jeden, to jednak niemożliwy był dla nas do przeskoczenia. Doktor Łokietek trzymał w garści wszystko to, czego i nam się chciało. Jego śmierć nie wchodziła w grę, z miejsca na następny dzień pojawiłaby się rzesza niekoniecznie przychylnych nam sukcesorów. Musieliśmy znaleźć sobie niszę, swoją działkę, a w Ścieku nie było to łatwe. Transport, ochrona, prostytutka, narkotyki, wszystko było zaopiekowane. Wiedzieliśmy, że dopóki nie wpadniemy na ten jeden, jedyny pomysł, dopóty pozostanie nam wyłącznie

posłuszeństwo wobec Hametapela.

Jeden dzień okazał się być przełomowym w kontekście naszych planów na przyszłość. Mając chwilę wolnego czasu, postanowiliśmy przespacerować się na róg Marszałkowskiej i Erywańskiej. Wyrastał tam ponad inne zabudowania okazały Dom Mody Bogusława Hersego. Założony ponad pół wieku wcześniej, początkowo ulokowany przy Senatorskiej, pod nowym adresem prezentował się dumnie, zwieńczony czterema spiczastymi wieżyczkami. Był to niezaprzeczalny szczyt myśli postępowej. Własna elektrownia, windy, centralne ogrzewanie – nic dziwnego, że za istotę luksusu uchodził. Wchodziło się do środka przez potężne dwuskrzydłowe drzwi uchylane siłą mięśni portiera eleganckiego zwanego potocznie szwajcarem. W swojej liberii szwajcar bardziej mundurowego przypominał niż pracownika domu dla strojnisiów. W środku same cuda, chociaż na niezbyt wybredną dolinę. Bele drogich tkanin, suknie znad Sekwany, ancugi rodem z Wiednia czy Amsterdamu.

Dom Hersego zatrudniał własnych krawców i krojczynie, u których poczyniony zakup do talii lub długości klienta dopasować można było. Czuli się tam dobrze arystokraci i ziemianie, gwiazdy kina oraz te z desek sceny. Mogli zawsze liczyć na przemiłą, profesjonalną obsługę i towarzystwo właściciela, pana Bogusława, który osobiście na jednym z czterech pięter domu mieszkał. Bogusław Herse dbał bardzo o dobry rozgłos i zachętę do odwiedzin jego salonu. Pilnował, by nawet tańszym dobrem zainteresowani klienci mieli po co zagościć w jego progi. Tym razem urządził tam, w porozumieniu z Elektrownią Powiśle, salonik reklamujący zastosowanie elektryczności.

Zaciągnąłem Ineczka niemal siłą. Piorunujące wrażenie zrobiły na mnie wystawione instalacje, chodziłem z rozdziawioną buzią, jakbym odbył podróż w daleką przyszłość. Inek mojego entuzjazmu nie podzielał. Mocno zamysłony snuł się za mną odruchowo i tylko czasem przytakiwał, kiedy go pytałem: widziałeś, widziałeś? W pewnym momencie chyba się na niego obraziłem

i powiedziałem, że jak tak bardzo mu się nie podoba, to wcale nie musiał przychodzić i nikt go na siłę nie będzie trzymał. Wyuchał spokojnie moich żalów, uśmiechnął się szeroko i powiedział, że jeżeli już skończyłem, to ma mi coś do zakomunikowania. Wyszliśmy z budynku, usiedliśmy na krawężniku i ciekaw kolejnej dawki jego pomysłów w słuch się zamieniłem.

– Ładziu kochany – zaczął spokojnie – gdzie okiem sięgnąć tam Łokieć. Każde koryto w Ścieku za opiekę mu łoży.

Prawdę barłoczył, nie mieliśmy szans, by przejść w Ścieku na swoje. Poza tym żaden szanujący się przemysłowiec nie wzięby na poważnie groźby od dwóch piętnastolatków zasłyszanej. Kwadrans po najściu Doktor wiedziałby o wszystkim. Zamiast zbić majątek, sami byśmy zbici zostali.

– Chcesz kopać się z koniem? – wystraszony zapytałem.

– Nie chcę i nie muszę. Jest, proszę ja ciebie, uważaj, cech jeden taki i na naszą pastwę zostawiony.

– Jaki? – zapytałem zdumiony.

– Cyrkowy.

W mig złapałem, o co Inkowi chodzi. Ten błyskotliwy pomysł był w swojej prostocie wręcz akuratny. Nie chodziło Innocentemu bynajmniej o wirtuozów tresury czy trapezu, a o lokatorów noclegowni miejskich Cyrkowcami zwanych. Taki wymyślny tytuł wizytom na Dzielnej pod sześćdziesiątym drugim sobie zawdzięczali. Stał tam Cyrk, czyli dom noclegowy, w przeciwieństwie do przytuliska z Jagiellońskiej, cały drewniany. Spało się w nim na szlabanach^[392] z pojedynczych desek zbitych i zsuniętych ciasno wzdłuż ściany. Zaduch w środku panował okropny, nie do wywietrzenia, ponieważ okna noclegowni blokowały grube kraty. Czuć tam było brudnym ludzkim ciałem. Przeróżne hece w domu na Dzielnej się działy.

Brak zainteresowania Cyrkowcami ze strony Łokietka czy Tasiemki brał się z obrzydzenia i mylnego przekonania, że pieniądź z żebrania był marny. Nie

wiedzieli, durnie, co tracą. Ineczek natomiast słusznie odmienne zdanie posiadał. Na każdej ulicy, co dziesięć metrów skomlały o grosik łachman wystawał. Mimo iż walka z procederem leżała w społecznym interesie, żebracy nie poddawali się łatwo, sprytnych metod wiele znali. Były na przykład barłogi^[393] z wyboru, żebrzący z zamiłowania. Jeździli tacy od miasta do miasta, nie biorąc życia nazbyt poważnie. Byli też żerujący na ludzkim współczuciu i litości, ukazujący wrzody lub niezagojone, zaropiałe rany. Można było spotkać takich, co ze sfalszowanym zaświadczeniem diecezjalnym na budowę świątyni w swojej rodzinnej miejscowości zbierali. Byli udawani studenci zbierający na dokończenie nauki. Widziałem zbierających jałmużnę na odprawienie pielgrzymki do miejsca świętego. Ślepi, kulawi, powykrzywiani. Ślepetuchy^[394] w ciąży rzekomej albo już z dziećmi, które to kawał drewna w szmaty owinięty udawał. Były też takie matki, które swoje prawdziwe bajtło wódką otepiały w celu uzyskania większej wiarygodności. Szmaty.

Wszędzie w Ścieku było zebrane. Mimo iż dworce miejskie czy ulice pełne były skamlących łachmanów, nadal wszystkim im się to opłacało. Mogło zacząć i nam. Najzdolniejsi z żebrzących zbierali nawet do pięćdziesięciu złotych dziennie, a przecież w samej tylko Warszawie było ich dwadzieścia tysięcy bez mała. Pobierając od każdego po bagatela dziesięć złotych tygodniowo, mogliśmy liczyć na zysk rzędu ośmiuset tysięcy złotych z miesiąca. Ośmiuset. Dla porównania prezydent Polski pięć tysięcy wtedy dostawał, a premier czy uniwersytecki profesor z trzech musiał być zadowolony. Osiemset tysięcy – fura siana na nas czekała. Nawet przy kilku współnikach do równego podziału stać by nas było na wszystko. W każdym znaczeniu tego słowa.

[381] Wsza wodna – cykuta.

[382] Pantofelki Matki Boskiej – tojad.

[383] Andrus – łobuz, niegodziwiec, złoczyńca.

[384] Lamorski – policyjny; od lamor – policjant.

[385] Chinty – policja.

[386] Juchcić – kraść.

[387] Reszotka – krata.

[388] Lukusta – rzymska trucicielka i znawczyni trucizn z czasów cesarza Klaudiusza.

[389] Kociamber – kot.

[390] Folga – odwilż.

[391] Woda brzozowa doktora Drallego. Jak twierdził producent, „zapobiega swędzeniu głowy, łupieżowi i przedwczesnemu osiwieniu. Pod jej wpływem rzadkie, kruche włosy stają się sprężyste, gęste i wonne, podatne do łatwego fryzowania”.

[392] Szlaban – ława do spania.

[393] Barłoga – włóczęga.

[394] Ślepetucha – postać z opowiadania Józefa Symeona Boguckiego *Tajemnice Warszawy*, czyli *wszeteczna żebraczka*.

PARTACZE

Do takiej roboty trzeba nam było znaleźć pomocne ramię. Sami na pewno nie dalibyśmy rady dwudziestu tysiącom żebraków. Inek zapytał, czy ktoś mi przychodzi do głowy, a ja odpowiedziałem, że na Gęsią dymamy. Fleję łatwo było tam znaleźć. Wystarczyło pierwszego lepszego bajtla zapytać i już w szczenięcej eskorcie przez podwórza zatłoczone kupcami byłeś kierowany. Dawno Flei nie widziałem. Przez ten zardzewiały gwóźdź, którym wiele lat wcześniej Inek go poczęstował, Mordechaj przestał biegać cokolwiek i spał się niesłuchanie. Już dla nikogo nie był Mordką, wszyscy Morda za nim wołali. Jego zakład razurski, jako że razurem^[395] postanowił zostać, po właścicielu Mordownią nazywano. Skądinąd słusznie. Łatwiej tam było cios w ryj odebrać niż usługę w witrynie reklamowaną. Choć znał ledwo trzy cięcia i tyleż samo uczesań proponował, Szterker Morda na obroty nie narzekał. Jego skromna praktyka starczała agaciarzom^[396], jak mieszkańców Gęsiej powszechnie obrażano. Pochodzących z okolicy zakładu w innych dzielnicach na pierwszy rzut oka po fryzurze rozpoznawano. Widać wielu to pasowało.

W samym lokalu przepisy higieny traciły uznanie. Umywalnia raz miała bieżącą wodę, raz jej nie miała. Ragózki^[397] w progu brakło i mimo obecności spluwaczki za przyzwoleniem Mordy na podłogę się tam charchało. Podobno jeden taki oficjel, co za kontrolę zakładów odpowiadał, wyraził wobec Mordowni nieprzemyślany zarzut. Wziął go wtedy Morda pod pachę i długi paznokieć, co do wytyczania klienckich przedziałków oraz dłubania we własnych

otworach miał zapuszczony, przycisnął mądrali do oka tak, że mu na zawsze zbielało. Kuratele ustały.

Sam Fleja zbyt wiele do cięcia nie miał. Łysiejący fryzjer był jak szewc, co bez butów chodził. Ponoć lubił powtarzać:

– Pan Bóg nierówno dzielił losy. Jednemu dał nożyce, a drugiemu włosy.

Na pewno nie spodziewał się nas zobaczyć w swoim przytulnym lokalu.

– Kogo moje piękne oczy widzą – jak tylko przekroczyliśmy próg Mordowni, w lustrze obydwu zauważył. Nie przerywając pracy, wskazał ręką wolne krzesło dla jednego, a drugiemu parapet.

Urazy za bójkę sprzed lat nie chował, wiedział, że zasłużył sobie wtedy na karę.

– Mogę w czym pomóc? – splunął, ale zapytał kulturalnie.

Bez owijania w bawełnę Ineczek za to wypalił:

– Sprawa jest.

– Żartujecie sobie? – uśmiechnięty Morda jeszcze raz na podłogę splunął.

– Wolisz się pożegnać?

Przestał wreszcie do odbicia gadać i odwrócił się w naszą stronę zainteresowany.

– Jaka sprawa? – w to samo miejsce splunął ponownie.

– Ktoś musi porządku przypilnować – nie krył szczerości Inek.

Fleja na ten tychmiast strzyżenie powstrzymał i splunął coś bardziej nerwowo.

– Szmondak, spierdalaj – pogonił klienta, którym się dotąd zajmował. Przyjął pełną zapłatę, choć za połowę tego usługę wykonał, i wyprosił biedołacha^[398] z zakładu.

– Ktoś szterker^[399] – dopowiedziałem.

Kiedy Fleja usłyszał propozycję równego podziału, odpowiedział

z uśmiechem na twarzy:

– Kto jeszcze wchodzi? – na kolejne splunięcie śliny mu nie zbrakło.

– Hugo Grajek – ćmiłem^[400] Mordchelemu w żywe oczy. Jeszcze z Grajkim nie gadaliśmy, jednak zakładałem, że się zgodzi w ciemno.

– Przecież to urning^[401] jest – splunął pod nasze nogi, wyrażając do inszości odrazę.

– Ale rachuje jak mało który – wzruszyłem ramionami.

– Chuje rachuje – Morda przeklął prostacko pod nosem, splunął po raz nie wiadomo który i dulca od śpiczki^[402] odpalił.

Na Flei ochocie najbardziej nam zależało, my mieliśmy pomysł, on wspomniane, brakujące ramię. Mordownia stanowiła jedynie zasłonę odrębnej działalności, którą po cichu prowadził. W rzeczywistości nadal kierował coraz to większą sforą zuchów z całego Ścieku starannie wyzbieranych. Wyciągniętych z miejsc ohydnych i odrażających, gdzie wyłącznie wartościowe skicioki^[403] dorastały. Były wśród nich hołodrygi^[404] z żydowskiego domu podrzutków przy Płockiej i uciekinierzy z Domu Wychowawczego galecha Boduena. Były z drewnianych bud Powiśla, takich nędznych ruder porzrzucanych pod mostami. Były też z dalekiego Mokotowa, ze stoku belwederskiej skarpy, gdzie w śmieciowych szałasach czy ziemnych jamach biedoki mieszkali. Były rzecz jasna i kindrusy z biedakolonii, jakich w Ścieku nie brakowało. Ta pod adresem Felińskiego, tuż przy żoliborskim dworcu, do największych w mieście się zaliczała. Jej długie i wąskie baraki rzędami wzdłuż kolejowych torów wyrastały. Bez mała sześćdziesiąt ich kiedyś naliczyłem, z czego większość mieszkalne przypominała. Biedniejsi spośród tamtejszych obywateli zajmowali izby w lepiankach. Mogli w nich liczyć na gliniany piec oraz dach z falowanej blachy.

Żał dupę ścisnął, aż beczeć się chciało. Elektryczności w ogóle tam nie znali. Szczęśliwcom wpadało trochę światła z okolicznych lichtarni. Przynajmniej wodę w tej kolonii mieli, w przeciwieństwie do kanalizacji. Po niebrukowanych

uliczkach, pełnych błota i zalegających odchodów, bajtle na co dzień boso biegały. Szkoda było butów marnować bez większej okazji. Poza tym większość czasu urwisy spędzały na ziemnej wydmie usypanej równoległe do trakcji. Niejeden z nich osunął się lub został zepchnięty pod pociąg akurat obok skarpy przetaczany. Rzadko jednak to były wypadki. W żoliborskiej biedakolonii skorych do bitki nie brakowało, barakowcy z całą dzielnicą jednocześnie zadzierali. Do każdego awantazu podchodzili na poważnie, nie uznając proc czy szpadryn. Tylko żyłki szły w ruch i majchery, najlepiej zardzewiałe.

Nieopodal, przy Powązkowskiej, równie malownicze siedlisko andrusów rozkwitło. Złożone z zaledwie dwóch spichlerzy niewielkim nakładem sił zostało wyszykowane pod zasiedlenie biedotą. Najwięcej mieszkańców zajmowało tam korytarze podzielone zwiewnymi parawanami. Najczęściej z kradzionych plandek, wilgotnego prania tudzież koców na sznurach wieszanych. Nikt nie znał tam komfortu pryczy, wszyscy barakowcy na ziemi spali. Tak samo w Polusie, znaczy identycznym schronisku przy Lubelskiej trzydzieści.

W podściekowym Annopolu warunki panowały nieco lepsze, ale bez przesady. W tamtejszej kolonii baraków aż sto piętnaście wybudowano, z czego zaledwie dwa dla chałciarzy. Niskie, ciemne, bez schodów – tańszych nie dało się postawić. Tamtejsze uliczki po parysku, jak promienie, wszystkie na jednym placu się spotykały. Annopolscy barakowcy Patelnią go nazywali. Stał na niej budynek, lecz zrujnowany, drzwi i okna zabite miał deskami. To samo co i inne szkoły w biedakoloniach go spotkało.

Najchętniej jednak Morda sięgał po kindrusów z domów karnych, tym nie brakowało odwagi. Na Okopowej, pod pięćdziesiątym dziewiątym, najbardziej krewcy chłopcy nocowali. Zarzucano im awanturniczy tryb życia. Słusznie, rzecz jasna.

Do Flejowych zastępów należeli też i pekiniaki, mieszkańcy domów robotniczych potocznie zwanych pekinami. Nieopodal Odolańskiej, tuż przy

gliniankach, które zasypywano wywożonymi z miasta śmieciami, stał najbardziej znany z pekinów. Długi, krzywy, papą kryty obraz nędzy i rozpaczy. Najmniejsze w nim mieszkania po cztery metry miały, wilgoć panowała w nich okropna. Kindrusy i gawroszki^[405] chętnie stamtąd, jak i z wysypisk na Moczydle czy przy Okolskiej, uciekały pod opiekę Mordy. Ten nazywał je Grosikami, tyle ich życie było warte.

Gdyby nie do Flei, dzieci pewnie trafiałyby do rymundy Wandy Szefnerowej, która chętnie od niezadowolonych rodziców je skupowała. Wybierała te najbardziej pokraczne i najmłodsze, żeby skrycichom^[406] za wyższą cenę zaraz opychać. Starsze do prac domowych albo na samodzielne żebry posyłała. Fleja natomiast jak pekiniaków, tak i barakowców, wszystkich traktował tak samo. Nie faworyzował, nie wynosił jednych nad drugimi, w razie zwady bezstronny służył arbitrażem. Kiedy doszło już do przewalanki^[407], pilnował, by uczciwy przebieg miała, zgodny z zasadami. Choć każdy z łobuzów nosił przy sobie gnypa, to w awanturze pod okiem Mordy użycie narzędzia surowo było zakazane. Żadnych szpadryn, gwichtów^[408] czy innych pomocników. Dopuszczalna hałaburda szła na tak zwane sucho^[409], za inną Fleja mógł nieposłusznych od koryta odstawić. A było o co się starać, zgrabnie przecież Szterker Morda paserował młodocianym potokarzom. Wszyscy go za to kochali. Po niedługim namyśle przystał na złożoną przez nas propozycję i zaoferował usługi swojej grosikowej zgrai.

Następnie dołączył do nas wspomniany Hugo Grajek. W pełni nazywał się Hugon Chaim Graj. Niezręcznie było nam proponować mu spółę, zważywszy na to, jak go przed laty skatowaliśmy, Ineczek ucho ukrócił, a mój dziadek z kolegami jego ojca zaszlachtował. Na domiar złego zarażona paskudną chorobą macocha Hugona zmarła niedługo potem w wyniku przewlekłych powikłań. Mały, osierocony, został na szczęście przygarnięty przez okolicznego chasydzkiego sike rabina i zamieszkał w jego domu znajdującym się tuż nad

sztiblem^[410]. Kącik otrzymał w babińcu. Stał się wzorcowym Baal Tszuwa, przywdziewał talit katan, a każdą wolną chwilę spędzał, studiując święte księgi judaizmu.

Kiedy podrósł, coś mu się w głowie poprzestawiało. Został samozwańczym Strażnikiem Soboty, osobiście pilnował, by Żydowie z sąsiedztwa szabatu nie łamali. Stwarzał przy tym wiele problemów, niemal o wszystko wywoływał awantaze. O to, że chłopcy i lalki spędzają czas razem, o grę w bilard, nawet za palenie dulców potrafił na przechodniów napadać. Nad jednym z domów modlitewnych mieszkał stróż chrześcijanin, co w szabat za grosze świece i lampy gasił. Grajkowi przyszła ciekawa myśl do głowy, że goj nie powinien tam mieszkać, gdyż swoją osobą blokuje modlitwom drogę do nieba. Poszedł do budynku, chwycił najdłuższą ławkę i tłukł nią w sufit tak długo, aż wybił dziurę, przez którą stróż z całą rodziną i wyposażeniem mieszkania do modlitewni spadli. Innym razem, kiedy usłyszał, że przy budowie mykwy robotnikami są Polacy i swą pracą szabatu nie przestrzegają, poszedł tam z prętem żelaznym i rozpętał krwawą jatkę.

Mimo iż Grajek był pobożny, chorobliwie pobożny, wychowany w babińcu wzbudzał wśród rówieśników pewne wątpliwości. Choć nie widywano go nigdy w okolicach placu Napoleona, gdzie panowie panom wdzięki za komplement wzajemnie oferowali, panowało podejrzenie, że właśnie tego rodzaju ciągoty przejawia. Sam nie potwierdzał, ale i nie zaprzeczał pomówieniom.

– Jeśli świat jest Boga zamiarem, to ja również. Elochim^[411]! Jestem takim, jakim być miałem, i za to go chwale – wymijająco powtarzał.

Nie uważał jednak, że jest to właściwy powód do żartów. Trzeba przyznać, że drażliwy na tym punkcie był bardzo. Furiat i pieniacz podręcznikowy, byle przytyk wyprowadzał go z równowagi. Strasznie wysoki i przeraźliwie churośny wymianę zdań pomijał i bez słowa ostrzeżenia rzucał się na rozmówcę. Bił trochę jak zwierzę, trochę jak baba. Długimi kończynami ciało żartownisia oplatał,

ostrymi paznokciami tabelę drapał, a wytrzeszczone ze strachu lichtarnie^[412] w głąb czaszki kciukami wpychał. Nie raz i nie dwa zdarzyło mu się komuś wargę odgryźć albo czubek feniaka. Okazji ku temu posiadał wiele. Niejednokrotnie jakiś delikwent nieświadomy zagrożenia dla zgrywy przekręcał jego nazwisko, Chujo Grajek za nim wołając. Hugo nie darował nikomu, podobno za takie docinki okaleczył nawet przyrodniego brata.

Wiedział, jak się przy tym niebezpiecznym narzędziem posługiwać, szykowany na szojcheta^[413] wyjątkowo wprawnie gnypem władał. Aby zostać pełnogębnym funkcjonariuszem gminy, powinien jeszcze po osiągnięciu pełnoletności samodzielnie dokonać trzech rzezi w pełnej zgodzie z traktatami talmudu. Na razie jednak odpowiedzialny był za pielęgnowanie rytualnego noża, dwukrotnie dłuższego niżli krowi gardziel. Dbał, by na ostrzu nie pojawiły się wyszczerbienia uniemożliwiające poderżnięcie zwierzęciu gardła jednym, płynnym ruchem. Zatrzymanie lub ześlizgnięcie się majchra, poszarpanie tkanek i innego rodzaju niechlujności nie były do przyjęcia w trakcie uboju. Jeśli Hugo popełniłby błąd, jeśli praktyki, które pobierał, potoczyłyby się inaczej niż po jego myśli, to jako człowiek w wierze szczery, a i z gnypem obyty, mógł zawsze przyjąć zaszczyty mohela^[414]. Nie wyobrażał sobie jednak wyczynowo napletki odcinać. Ani myślał delikatnej skóry paznokciami rozrywać i wysysać krwi z rany, by sprawnie odpłynęła. Jak sam wielokrotnie podkreślał, choć istotny to rytuał, nie potrafiłby czegoś podobnego innemu mężczyźnie zrobić, a po latach spojrzeć mu w oczy.

Nie dla zdolności machania sztucem potrzebowaliśmy mieć przy sobie Graja. Bez cienia wątpliwości najmocniejszą jego stroną była arytmetyka. Hugon nigdzie nie studiował, bo gardził biurokracją i świeckimi autorytetami. Gdyby tylko dane mu było trafić do szkoły lwowskiej, tam znalazłby się ktoś, kto by go na pewno słusznie wyszlifował. Zdolny był, myślę, nie mniej niż Banach czy Ulam. Gdyby nie był przestępcą, anarchistą i fundamentalistą, zostałby pewnie

patronem połowy szkół w tym kraju. Swój talent wolał jednak wykorzystywać w sposób bardziej praktyczny niż naukowy, chętnie współpracowali z nim liczni ściekowi bochniarze^[415]. Doświadczony w lichwie Majer Abram Ciuk nieraz z pomocy Hugona korzystał. Zaprosił go nawet do swojego biura komisowego przy Marszałkowskiej sto trzysta, by omówić szwindel polegający na przejmowaniu majątków ziemskich. To właśnie za radą Grajka bochniarz Majer cały swój starunek^[416] na żonę i synów przepisał, oficjalnie pozostając bez grosza wartego kontroli. Innym przedsiębiorcą potrzebującym księgowego wsparcia był Hirsch Ćwikler, fundator wypraw złodziejskich. Jego gabinet przy Miłej pęczniał od kradzionych papierów wartościowych. Dopóki Hugo nie zrobił z nimi porządku, wały się wszędzie, nawet po podłodze, niczym wyściółka dla kota.

Najczęściej jednak zdolny arytmetyk miał przyjemność z niejakim Brandysem. Mniejsza o imię, lichwiarz nosił ich zbyt wiele. Hugo Graj prowadził mu księgę czarnej giełdy skrupulatnie, tak samo zresztą, jak i doglądał dokumentów Henia Tannenbauma zajmującego się dyskontem wyłudzonych weksli. Wszyscy paserzy chwalili sobie grajową kminę, a jeszcze bardziej jego podział uwagi. Dzięki temu potrafił obsługiwać wiele interesów jednocześnie, nie myląc się na czyjąś niekorzyść. Hugo z zasady obowiązków nie unikał, niewielu było w mieście ludzi zajętych jak on. W natłoku pracy i wszczynanych awantur potrafił wygospodarować jeszcze wolną chwilę, by przeobrazić się w hienę licytacyjną, żerującą na ludzkim nieszczęściu. Snuł się wówczas po sądowych korytarzach i za komornikami, by ustalić jak najwięcej szczegółów dotyczących planowanych aukcji. Widząc go na licytacji, ćmy nasłane przez Ciuka, Ćwiklera, Brandysa czy Tannenbauma odpuszczały, wiedząc, że i tak wszystko w odpowiednie ręce trafi.

Talent Hugona przydałby się w niejednym przedsiębiorstwie, na szczęście Grajek zgodził się go marnować na naszą korzyść. Zgodził, choć nie bez

warunków. Kiedy naszliśmy go w warsztacie, w którym dbał o narzędzia swojej pracy, postawił tylko jeden, ale jakże nietypowy:

– Niech sobie urznie, co mnie urznął – zaproponował Grajek, wskazując wymownie na Inka.

Innocenty nie zastanawiając się długo, chwycił fachowy nóż, którym przyszyły szojchet juchy upuszczał, i bez oporów spełnił postawione żądanie. Krew spłynęła mu po krawędzi ucha strugą regularną, dalej po szyi, rozlewając się dopiero na białym kołnierzu koszuli. Odcięty szczyt chrząstki Innocenty położył na zakrwawionej prawej dłoni, po czym wyciągnął ją w stronę Hugona, proponując wymianę uścisku pieczętującego sprawę. Hugon Chaim Graj z satysfakcją przyjął jego poświęcenie. Pozostało nam tylko nakłamać Mamie i Epsteinowi, że Innocentemu szyba okienna na głowę spadła przypadkiem, a że ucho czapką niechronione, to najdotkliwiej ucierpiało.

Do naszej szajki dołączył jeszcze Cieszek Peplak. Trymbulka^[417], w ząbek chesany podrostek. Lekko szepetlawy^[418], awanturny chojrak był jakich mało. Nie tylko za maskotkę nam robił, w sferach wyższych był jeszcze nieocenioną wtyką. Mieszkając z matką u Bergsonów, wszystkie plociuchy z życia ściekowej finansjery do naszej wiadomości gromadził. Taka wiedza mogła nam się przydać w każdej, najmniej spodziewanej chwili. Bawiło to Cieszka niezmiernie, gdyż już w tak młodym wieku nienawidził każdego arystokraty w tym mieście i poza nim.

Miał ku temu zresztą powód niemały. Jego matka, Bożeciecha, zaraz po wspólnym z moją Matką ukończeniu gimnazjum, edukację odstawić postanowiła i za sędziwego stołecznego kamerdynera Peplaka się wydała. Chłop podobno do pięciu ran jednocześnie przyłóż, ale równy był w latach z ojcem Bożecieszki, dlatego dziewczyna od rodziców błogosławieństwa nie otrzymała. Wręcz przeciwnie, przepelniona żalem do krewnych namówiła małżonka na przyjęcie oferty ze Lwowa i ze Ścieku za chlebem w miesiąc po ślubie wyjechali. Praca na pozór, że ze świecą szukać. Dom bogaty, kulturalny, w mieście szacnym jak

mało które. Państwo Peplaki mieszkali i służyli w nim lat kilka bez trosk najmniejszych. Później wszystko naraz się posypało. Zawałowa śmierć podeszłego kamerdynera zbiegła się w czasie z problemami zdrowotnymi gospodarza posiadłości. Młodo owdowiała Cieszka, nie mając dokąd wracać, zdecydowała się jednak na posadzie pozostać. W niedalekiej przyszłości okazało się niestety, że choroba gospodarza puściła przerzut z ciała do umysłu. Pracodawca wdowej po Peplaku zaczął balansować na granicy obłądę. Wpierw oddał się studiom talmudycznym i nauce hebrajskiego. Za znaczną monetę ufundował też sobie laboratorium w celu odnalezienia bajnera filozoficznego. Kiedy zaniepokojona takimi praktykami małżonka wyraziła sprzeciw, zamknął ją, uwięził wraz z dziećmi w jednym małym pokoju, w którym kazał im frygać^[419], spać i defekować, jak w celi. W tym samym czasie samcze instynkty zaspokajał ze służbą, niekiedy nawet na płęć nie bacząc.

Nie szparował^[420] również Cieszki Peplakowej. Jako najmłodszą i zapewne najładniejszą w majątku, gwałcił ją wielokrotnie. Bała się uciec w pojedynkę, wariat gotów był posunąć się do nieodwracalnego. Jednak kiedy Bożeciecha zauważyła u siebie pewne zmiany, z opuszczeniem nieprzyjaznego domu dłużej nie czekała. Musiała ratować już nie tylko siebie, ale również bajtelko, co je pod sercem nosiła. Udało jej się w rodzinne strony wrócić, z matką i ojcem po latach pogodzić, ciężę bez powikłań do rozwiązania donosić i zdrowego chłopca na świat wydać. Mały Cieszek, do matki wręcz niezdrowo przywiązany, bajtlem był niesprawiającym zbyt wielu kłopotów. Zawsze przy nodze, bardziej jak czworonóg tresowany niż ludzkie stworzenie, pilnował się matki bez przerwy. Pewnego dnia pani Peplakowa wzięła syna na kolana i całą prawdę o chwili jego poczęcia mu opowiedziała. Chłopak coś ponad pięć lat już miał, z dzielnicy północnej pochodził, więc nie trzeba mu było tłumaczyć, czym jest gwałt. Nie rozumiem tylko, w jakim celu na taką szczeróć kobiecie się zebrało. Mniejsza o to. Koniec końców efekt był taki, że Cieszek Peplak od najmłodszych lat

arystokracją gardził jak ścierwem.

Partacze. Pozostający poza wszelką kontrolą, nienależący do szemranego cechu szturarze, przeszkodniki kolegom w fachu. Niezależni, niepożądani – tacy właśnie chcieliśmy być. Ekipę stanowiliśmy nie od parady, chyba że na paradę dziwadeł ktoś by nas wystawił. Gabinet osobliwości w pełnej krasie, ale w tym szaleństwie była metoda. W gruncie rzeczy mieliśmy najlepsze papiery do zamierzonej roboty.

Plan uknuliśmy prosty jak konstrukcja cepa, a może i prostszy nawet. Najsłynniejszym, bo najbardziej obrotnym stołecznym żebrakiem był wówczas Zajwel Szmakowski. Człowiek spokojny, stateczny, unikający towarzystwa spod ciemnej gwiazdy. Robił w trzech rewirach, głównie na Pawiej, Franciszkańskiej i na jego nieszczęście na Gęsiej. Choć pracował wiele godzin na dobę, żeby liczyć na ponad pięćdziesiąt złotych dziennie, znajdował jeszcze czas, aby w bożnicy na Pawiej za szamesa robić. Domu swojego nie miał, rzecz jasna w Cyrku nocował i cały dobytek tam ukrywał. Deponował go w wielkiej brunatnej szafie stojącej pod ścianą w pokoju zarządcy. Niemale oszczędności to były, jak się niedługo potem okazało. Posłaliśmy do noclegowni paru łebków od Flei, żeby się zwyczajami Szmakowskiego zainteresowali i w przeciągu kilku dni wszystkie jego zaskórniaki wpadły w nasze łapy. Było tego pięć tysięcy i jeszcze trochę groszami.

Zajwel nic się jednak nie załamał i w krótkim czasie spróbował ponownie podobną sumę odłożyć. Czekaliśmy cierpliwie. Kiedy było tego ze dwa tysiące, znowu wyczyściliśmy jego skrytkę. Miarka się przebrała, chłop nie wytrzymał nerwowo. Zdruzgotany zaczął całymi dniami po ulicach chodzić i pytać się przechodniów, kto i dlaczego go prześladuje. Dlaczego on, uczciwy, nikomu niewadzący żebrak pada ofiarą tak obrzydliwej kradzieży. Zgłosiliśmy się do niego pierwsi. Oddaliśmy siedem tysięcy złotych – no, może bez paru groszy, które gdzieś nam się rozeszły w międzyczasie – i powiedzieliśmy, że jeśli nie chce

więcej nieszczęść, powinien nas wśród Cyrkowców polecieć. Dodatkowo miał obowiązek bulić na Partaczy dychę tygodniowo. Pieniądz dla niego nieduży, a moc gwarantowania spokoju posiadał. Fama poszła, że żadnej świętości ni autorytetu nie uznajemy. Jeżeli taki numer Zajwelowi wycięliśmy, każdy żebrak mógł czuć się zagrożony. Jeżeli odkryliśmy skrytkę Szmakowskiego, niczyje oszczędności nie były już bezpieczne. Niczyje.

Można powiedzieć, że zaczęliśmy wydawać zezwolenia na żebranie. Każdy z żebraków dostawał cotygodniowy wpis do rejestru Hugona przy uiszczeniu opłaty równej z tą Szmakowskiego. Kto opłaty nie wniósł, mógł liczyć na przykre konsekwencje w razie próby żebrania. Szans kombinować za naszymi plecami nie mieli, bo jeden na drugiego donosił, licząc na łagodniejsze przez Partaczy traktowanie. My dodatkowo jeszcze nygusów z Flejowego sierocińca wysyłaliśmy w miasto na codzienną chatranę. Chłopcy chodzili w grupach wzorowanych na żydowskich „piątkach” PPS-u, a bywało i po dziesięciu, żeby w razie potrzeby kilku dorosłym dać radę. Opornych zbyt wielu nie było. Zawsze, kiedy nadarzyła się ku temu okazja, dawaliśmy im dowód, że zadzierać z nami nie warto.

Pewnego razu w noclegowniach nasiliły się kradzieże i terror wobec lokatorów. Nic dziwnego, chodzących w porucie bandytów tam nie brakowało. Oni stanowili cyrkową elitę, tam pili i w karty grali. Skargi na tym podobnych z całego miasta do nas napływały. Okazało się, że jakiś przyjezdny prostak wraz ze swoimi kolegami, nie posiadając w mieście meldunku, zrobił z przytułku melinę prywatną. Kazał pod groźbą noża płacić sobie za wszystko, nawet za korzystanie z mydła i przydział ciepłego koca. Partacze nie mieli w zwyczaju wysyłać upomnień, Ineczek postanowił karę wymierzyć osobiście. Z takim jednym dziadem z Krochmalnej zamienił się na ubrania, umorusał twarz ziemią i zarzuciwszy wysłużony mieziach na ramię, poszedł do Cyrku rozwiązać problem raz na zawsze. Kiedy tylko udowodnił chuchnięciem, że jest trzeźwy

i dostał przydział szlabanu, wszedł powolnie na salę, spokojnie oprychów wyglądając. Długo nie czekał. Od razu usłyszał za plecami zachrypnięty głos z akcentem wyraźnym:

– Kolega nowy zasad się musi kilku nauczyć.

Odwrócił się i zobaczył, że pod oknem dwóch zakapiorów dogasza cięgi i zbiera się z łóżka, żeby podejść do niego.

– Pierwsza: kłaniamy się nisko – kontynuował przyjemniaczek z wyraźnymi brakami w uzębieniu. – Druga: nie masz nic, czego nie pozwolę ci mieć. Co mi się przyda, to zmienia właściciela. Inaczej omłot zaliczasz i opinię do kierownictwa Cyrku, żeś kirus. Otwieraj wora, co tam ćwikasz?

Ineczek nachylił się spokojnie, rozwiązał mandzur i zaczął coś w nim gmerać. Kiedy tamci dwaj podeszli bliżej, zacierając gable na nowe fanty, Inek wstał i jednemu z szantażystów po białostocku chlusnął w mordę kwasem. Drugiemu z napastników roztrzaskał słoik po tym kwasie na czole i kiedy obaj klęczeli, trzymając się za roztopione ryje, powiedział, jak umiał, tylko zdecydowanie:

– Tylko ja w Ścieku dziadowe przytulam, od dzisiaj także i wasze.

Jak powiedział, tak się stało. Okaleczeni przez Ineczka na ulicy wylądowali i sami zajęli się żebractwem. Jeden pozbawiony facjaty i wzroku, drugi na wpół ślepy po uderzeniu słojem, obydwaj grzecznie bulili nam dziesięć złotych co niedziela.

Sygnal był dostatecznie czytelny, więcej problemów nikt nam nie sprawiał. Nikt się nie skarżył. Żaden żebrak na komisariat by nie poszedł, bo składając na nas donos, sam do czynu prawem zakazanego musiałby się przyznać, cień przy tym ryzykując. Nikogo dziady nie obchodziły, nikt nie chciał się nad ich losem pochylać. Nie było pewności, czy jeden z drugim naprawdę jakiejś choroby zaraźliwej nie nosi, czy tylko maskaradę dla zysku uprawia. Żywczykiem się do nas przyzwyczaili i zaufali, że cotygodniowe myto dla Partaczy nie idzie jak w błoto ciskane. Każdy przechodzień trzy razy się zastanowił, zanim na ciułacza

warknął, splunął albo puszkę z grosikami kopnął. Porządek musiał być, tylko on gwarantował nam dostatni byt w dziadowskim interesie.

Najpierw kazaliśmy żebrzącym obstawić przystanki autobusowe i tramwajowe, gdzie dawcy zbierali się klipnie^[421]. Prowadziliśmy też kontrole dziadów napływowych, aby ci nie przeszkadzali miejscowym w gromadzeniu zysków. Tych skłóconych ze sobą, rywalizujących o cmentarne datki, podzieliliśmy po równo między Powązki a Bródzieński^[422]. Ludziom odwiedzającym nekropole ich obecność nie przeszkadzała, wręcz przeciwnie, wierzyli, że babki proszalne posiadają przedziwną zdolność wypraszenia łask dla zmarłych. Co głupsi sądzili nawet, że żebrzący są kolejnym wcieleniem pochowanych, więc trzeba im pomagać.

Pod naszą jurysdykcją ich zyski wzrosły, kontrolowaliśmy w pełni przepływ ulicznej barówy^[423]. Jej nurt przyspieszał w zawrotnym tempie, na pewno nie zwalniał. Ponadto Inek niewidomych z kieszonkostwa szkolił. Ależ oni byli zdolni, jak te doliny trzepali. Nikt nie zwrócił przecież uwagi, że go taki w klipie trąca.

Żaden dziad proszalny nie traktował narzuconej przez nas składki jak haraczu. Z czasem ludzie normalną pracą rzucali, licząc na dochód z jałmużny. Pojawiła się nawet potrzeba specjalistów, którzy potrafili na zamówienie bielmo na oku wyhodować albo wrzody ropiejące wywołać. Ruch mieli w gabinetach nie mniejszy niż na Marszałkowskiej, a zyski winni byli dzielić z nami. Najznakomitszy w tym fachu był Ariel Klein nazywany przewrotnie Doktorem, jak Łokieć, ale z innej to przyczyny. Mały, przygarbiony, o cerze żółtej, takich samych zębach i pazurach. Gdyby nie gustowne ancugi, wyglądałby, jakby potrzebował datków. Specjalnością jego zakładu było produkowanie obrządków na twarzy, na widok których pękały serca i chodaki litościwych przechodniów. Równie dobrze radził sobie z ropiejącymi wrzodami, zwłaszcza na klatce piersiowej. Doświadczenie w okaleczaniu ludzi miał nie byle jakie, wiele

lat wcześniej karierę zaczynał, oferując podobne operacje plastyczne poborowym próbującym uniknąć służby w koszarach. Stworzył profesjonalny zespół ludzi, w którego skład wchodził jeszcze zapijaczony stomatolog i pewien fetyszysta wyrzucony za obmacywanie pacjentek z zakładu ortopedycznego. Nie było dla nich zadań niemożliwych, klinika prosperowała nie gorzej niż te szwajcarskie.

Gdy zaczynały się żniwa, znaczy sezon żebraczy, kolejki ustawiały się do nich takie, że aż na ulicę poza budynek wystawały. Produkowali masowo kulawych, beznogich i bezgrabich, wszystko to dzięki zmyślnej charakteryzacji ma się rozumieć. Im lepiej w klinice się działo, tym lepiej prognozy dla Partaczy się przedstawiały. Hugo pilnował, żeby forsa sztytowała^[424], więc nasze saldo trzymało tendencję wzrostu. Jedynym wydatkiem Partaczy był żołąd dla chłopaków Flei, tak więc z czasem zdecydowaliśmy się udzielać pożyczek na procent. Dla tych żebraków, którzy obawiali się o bezpieczeństwo swojego majątku, zorganizowaliśmy też płatny depozyt w piwnicy u Grajka. Przeszkodniki. Partacze.

[395] Razura – fryzjer.

[396] Agaciarz – gęsiarz.

[397] Ragóźka – wycieraczka.

[398] Biedołach – biedak.

[399] Szterker – silny.

[400] Ćmić – kłamać.

[401] Urning – homoseksualista.

[402] Śpiczka – zapałka.

[403] Skiciok – chłopiec.

[404] Hołodryga – oberwaniec.

[405] Gawroszka – dziewczyna ulicznik, łobuz.

[406] Skrycicha – żebraczka.

- [407] Przewalanka – bójka.
- [408] Gwicht – ciężarek na łańcuchu wyjęty z zegara.
- [409] Na sucho – przeciwieństwo „na mokro”, czyli z użyciem ostrzy upuszczających krwi.
- [410] Sztiabl – miejsce modlitwy chasydów.
- [411] *Elochim* hebr. – On jest stwórcą.
- [412] Lichtarnie – tu: oczy.
- [413] Szojchet – wykwalifikowany specjalista dokonujący uboju rytualnego.
- [414] Mohel – wykonujący zabiegi rytualnego obrzezania noworodkom płci męskiej.
- [415] Bochniarz – paser, handlarz kradzionymi rzeczami.
- [416] Starunek – oszczędności.
- [417] Trymbulka – szczypior.
- [418] Szepetlawy – sepleniący.
- [419] Frygać – jeść.
- [420] Szparować – oszczędzać, od niem. *sparen*.
- [421] Klipnie – tłumnie.
- [422] Bródzieński – Cmentarz Bródnowski.
- [423] Barówa – gotówka.
- [424] Sztymować – zgadzać się.

WYSKOK

Daj człowiekowi broń, to okradnie bank. Daj człowiekowi bank, to okradnie wszystkich. My funkcjonowaliśmy lepiej niż niejeden ściekowy bankier. Grajek wiedział, od kogo i za ile długi odkupić, żeby ich odebranie naszej spółce się opłacało. Wyliczał też, na jaki procent prac siano kasaorom^[425]. To, które z sejfów kradli, z reguły posiadało kolejne numery i serie, a my z czasem dysponowaliśmy zbyt dużą ilością żebraczego bilonu do ukrycia, więc pomysł wymiany dla obydwu stron był opłacalny. Dopóki Stasiek Cichocki Szpicem zwany dbał o stołecznych pudlarzy, nie mieli oni problemu z przemieszaniem motyli. Niestety po nieudanym napadzie na Bank Kredytowy czteroletni pobyt na Grzybowie dostał i tak osierocił podopiecznych po fachu. Taki Koroniaty albo Rydel-Rydlewski czy chociażby Kuternoga zmuszeni byli robotę na Kercelaku podjąć, żeby famuły wyżywić. Bez możliwości przeprania pęgi^[426] ich dotychczasowe zajęcie straciło sens. Ile warte jest siano, jaki strach nim obracać? Co tu dużo gadać, dzięki pomysłowi Grajka panowie dalej mogli pudła rozpruwać, a nam dodatkowo zyski wzrastały.

Apetyt rósł nam w miarę jedzenia. Wiadomo, mieliśmy ochotę na więcej. Nie pomijaliśmy w rozważaniach żadnej nadarzającej się okazji, byliśmy przy tym gotowi do wszelkich niezbędnych poświęceń. Kiedy z powodu skrętu jelit Hugo trafił na oddział szpitala starozakonnych przy Dworskiej, zauważył, że klita szamesa tamtejszej synagogi przylega niemalże do magazynu mordowni. Szpitalni trzymali w nim pod kluczem legalne anodyny, skrzynie pełne puszek

eteru wydawanego do znieczulania operowanych pacjentów. Kto jak kto, ale Graj nie byłby sobą, gdyby podobny rarytas umknął jego uwadze. Po wypisie od razu podzielił się z nami swoim spostrzeżeniem, a my, wiedząc, że eter nie leży w kręgu zainteresowań Łokcia czy Tasiemki, bez głosu sprzeciwu zgodziliśmy się położyć na nim swoje chciwe łapy.

Parę lat wcześniej, a i owszem, konkurencja byłaby spora. Legalny handel pochodnymi eteru, choćby kroplami Hoffmana, miał się nad Wisłą wyjątkowo klawo. Ludzie wierzyli lub raczej wmawiali sobie, że jest uniwersalnym lekiem przeciwko wszystkim chorobom. Gdy jednak sejm zakazał sprzedaży w celach konsumpcyjnych i ustanowił dotkliwe kary za ich posiadanie, większość uzależnionych bezzwłocznie przekonała się do łatwiej dostępnych środków. Eterychny płyn zwany potocznie „wyskokiem” stracił co prawda wzięcie, ale na pewno zachował pożądane właściwości. W tym właśnie upatrywaliśmy swojej szansy, mogliśmy wskrzesić zamarty rynek i opanować go na wyłączność. Z przyczyn oczywistych tradycyjna kradzież w przypadku szpitala była wykluczona, nasza konduita wymagała należytej dyskrecji. Czekaliśmy nas robota wyłącznie dla cierpliwych, jak zwykle szwindlować musieliśmy na chłodno. Wpierw pozbyliśmy się urzędującego w wolskiej świątyni szuflaklapera^[427]. Pobiliśmy go na tyle dotkliwie, by jego posada na dłużej się zwolniła. Następnie, zgodnie z planem, Hugo porzucił dotychczasową praktykę szojcheta i wystarał sobie angaż na przygotowanym wakacie. Pewnie nawet obowiązki szafarza^[428] mógłby posiadany talentem przejąć, jednak nie o taki fortel nam chodziło. Z czasem zadomowił się w klicie i nienaganną postawą zdobył zaufanie personelu, zarówno medycznego, jak i sakralnego. Wszyscy, czy to przełożeni, czy pacjenci, wielce chwalili jego posługę, nikt nie odczytał fałszywych intencji. Gdy tylko Hugo mógł, odwiedzał też Ineczka, by ten nauczył go, jak poprawnie wytrych na pasówkę przygotować. Po miesiącu wytężonej pracy dysponowaliśmy wreszcie pękiem kluczy umożliwiających otwarcie drzwi do

szpitalnego magazynu bez śladów włamania.

Najtrudniejsze było jednak przed nami, a właściwie przed Grajem, na którego barkach spoczywał ciężar powodzenia założonej szacherki. Kiedy światła gasły i ze szpitalnej dyżurki żaden szmer już nie dochodził, podstępny szames zakradał się chyłkiem pod drzwi magazynu, otwierał je cichcem i znikał zaraz w labiryncie gęsto zastawionych regałów. Po ciemku żadna sylweta nie była tam do odgadnięcia, Hugo mógł plądrować, ile mu późną porą sił starczało. Co noc tę samą czynność powtarzał. Odkręcał kilka puszek z eterem, połowę zawartości każdej z nich zlewał do wcześniej przygotowanej butelki, a braki uzupełniał wodą. Nigdy nie opróżniał tej samej puszki dwa razy, stężenie wszystkich roztworów musiało sztytować, że niby fabrycznie felerne. Puskę za puszką, skrzynię za skrzynią, wreszcie regał za regałem rozcieńczając, weszliśmy w posiadanie jednej drugiej szpitalnych zapasów. Raz nawet zapytałem Grajka, co uważa, jeśli poddani jałowemu znieczuleniu Żydowie krojeni będą na jawie. Odpowiedział na poważnie, że czas najwyższy, by zaczęli dbać o zdrowie.

Istotą naszego zamysłu był fakt, że eter jest nad wyraz wydajny. Tyle, co Hugo z pojedynczej szpitalnej puszki upuścił, dzieliliśmy na cztery uczciwe porcje. Porcja starczała zaś, by odurzyć postawnego mężczyznę. Pozostało takiemu jedynie znać własne podniebienie. Dosłownie, co kto lubi. Eter może być pity w stanie czystym, można przepijać go wodą. Jednym wyskok podchodził z cynamonem lub goździkami, inni woleli dodatek miodu. Kawa, sok malinowy, na co kto miał ochotę. Byli tacy, co wdychali opary, byli i niecierpliwi wlewający sobie wszystko do ucha. Każdy bez wyjątku mógł liczyć na podobne wrażenia. Najpierw ekscytacja, bigos euforii z podniętą. Potem mniej przyjemne wybuchy szału, aż wreszcie przychodziło zaćmienie nasyczone halucynacjami. Nie raz, nie dwa słyszałem, że na samych majakach się nie kończyło. Osiągający stan wrzenia w niewysokiej temperaturze specyfik niejednemu spożywczy ścianę żołądka na strzepy porozrywał.

Mimo ryzyka nabywców nie brakowało. Wręcz przeciwnie, sięgali po zapomniany narkotyk, a to z sentymentu, a to z racji na konkurencyjną wobec innych używek cenę. Wychodząc frontem do klienta, uruchomiliśmy sieć ulicznej dystrybucji opartą na naszych dziadach proszalnych. Tych, którzy wyrazili chęć pozyskania dodatkowej monety, obdarowaliśmy przylegającymi do ciała, napełnionymi wyskokiem blachanami^[429] po produktach fryzjerskich Mordy i wypuściliśmy w miasto. Dostali od nas tylko jedno przykazanie, mieli prowadzić sprzedaż wyłącznie przy kapliczkach, aby spragniony birbant wiedział, dokąd ma się pod potrzebą udać. Reszta nas nie interesowała, nie nasza sprawa. Najwięcej klientów mieliśmy wśród uczniów szkół powszechnych oraz w środowisku robotniczym.

Wszyscy wracali do nas po więcej. Hugo nie wiedział już, w co ma ręce włożyć. Nie współczułem mu, sam lżej nie miałem. Mnie również ciężko było połączyć partaczne zajęcia z obowiązkowym kieratem u Łokcia. Byłem tak schuchrany, że mając ledwo szesnaście lat, dzieciństwo z rozrzewnieniem wspominałem. Musiałem pilnować się bardzo, żeby jakiejś głupoty nie palnąć, a powoli plątałem się już w gąszczu kłamstw, które wymyślałem. Matce nawijałem z kitem^[430], że jak zwykle na cmentarz chodzę, a tak naprawdę Doktora Łokietka chłopcem na posyłki byłem. Jego też okłamywałem. Przysięgałem mu wierność, a równolegle zasuwałem na Partaczy.

Mimo wszystko dawałem radę kontrolować przebieg zdarzeń tak, żeby samemu się nie pogubić. Dla zachowania pozorów codziennie biegałem po mieście, donosząc usypiające dulce do palarni opium, siejąc ferment na Kercelaku albo zbierając opłatę za opiekę od pracowników stołecznych domów handlowych. Gdzie też Doktor Łokieć mnie nie posyłał. Wszystkie stołeczne domy towarowe chewra pod swoją opieką miała. Jako pierwszy odwiedzałem zawsze Dom Towarowy Braci Jabłkowskich, firmę ze stołecznymi tradycjami, dumną, jednak przyzwyczajoną łożyć na opiekę. Kiedy Aniela Jabłkowska

jeszcze w dziewiętnastym wieku otworzyła swoją haryndę w kamienicy przy Widok sześć, dom towarowy na ten tychmiast zyskał ogromną popularność. Również wśród oprawców.

Jej interes w zawrotnym tempie się rozrastał, z czasem na Hożą osiem, a później na Bracką dwadzieścia i dwadzieścia trzy musiał się przenosić. Wszędzie brakowało mu miejsca, ale nigdy nie brakło pieniędzy. W roku trzynastym podjęto decyzję o zakupie działki przy Brackiej dwadzieścia pięć i rozpoczęto budowę gmachu z przeznaczeniem dla domu towarowego. Piękny to był budynek projektu Jankowskiego i Lilpopa, jedyną jego, acz wystarczającą dekorację stanowiły witraże metera Bartłomiejczaka. W środku każdy klient zeza rozbieżnego dostawał. Na siedmiu piętrach półki i regały ugiwały się pod stertami markowych sukni, futer, blindów czy innych materiałów. Bez końca można wyliczać, tyle tego dobrego mieli. Dom znany na całą stolicę prosperował coraz lepiej, z czasem nawet katalogi tematyczne do klientów rozsyłał. Pudernice Ścieku, zwłaszcza Lilpopówny, przeskakiwały z nogi na nogę w oczekiwaniu na marcowe i wrzesniowe pokazy mody u Jabłkowskich. Zaproszenia były zawsze limitowane.

Jednak to nie Lilpopy były uznawane przez właścicieli najważniejszymi klientami, a ich bajtłe słodkie. Traktowane każdorazowo jak rasowe księżęta, objęte obowiązkowym przywitaniem obiecywały powrót w wieku dojralszym. Nic dziwnego. Ekspedientki uwijały się wokół nich z ciężkimi lustrami, jakby sam kardynał roztrwonić tacowe przyjechał. W tym domu wszystko było przemyślane, pracownicy przechodzili nawet szkolenia z obsługi klientów oraz kursy językowe, obowiązkowo: angielski, franio, niemiecki. Do ich dyspozycji była biblioteka handlowa i beletrystyczna. Reklamacje uwzględniano telefonicznie przez całą dobę, a dostawa do domu nie stanowiła niczego wyjątkowego. Ustanowiono zniżkowe białe tygodnie, co roku w styczniu, by wymęczone Świątami oraz witaniem Nowego Roku portfele kolejnym zakupom

podobały. W spółce Braci Jabłkowskich zatrudnione było coś około sześćset pięćdziesiąt osób. Do pracy przyjmowano tam głównie dziewczęta przyjezdne, bo takie, przytłoczone ogromem miasta, były firmie posłuszne i nade wszystko cenily sobie spokój. Każda z nich, bez wyjątku, wzorem kierownictwa Domu Towarowego rozsądnie nie szczydziła w tym celu monety, którą ja w imieniu Łokcia przyjmowałem.

Później Chowańczaka i jego pracowników nachodziłem. O Chowańczaku jeszcze za życia legendy krążyły, podobno na Podhalu, gdzie się urodził, jego przodkowie samemu Janosikowi pomagali. A zaczynał jak każdy, skromnie. Po przyjeździe do Ścieku pracował jako szwydryga^[431], niedługo po tym w podwórku przy Krakowskim prowadził przechowalnie futer. Licho wie, co jeszcze dla bandytów Wewego tam przechowywał. Z czasem w murach upadłej fabryki papieru Cartonage założył maleńki zakład futrzarski, który z pomocą synów Jana Daniela i Władka rozkręcił, że aż miło. Łby mieli nie od parady. W głównym salonie firmy kazali zamontować zwierciadła wykonane w ten sposób, żeby przeglądające się w nich kobiety wyglądały zgrabniej niż w rzeczywistości. Ceny futer od Chowańczaka przyprawiły o zawrót głowy, zresztą nazwiska klienteli również. Pola Negri, Mościcki, Potocki, nawet sir Kennan, ambasador Zjednoczonego Królestwa w Polsce te cudeńka nabywał. W najlepszych latach firma eksportowała swoje wyroby do Anglii, Kanady, Stanów, ba, nawet do Chin je wysyłała. Rodzina posiadała fabrykę przy Puławskiej, kilka eleganckich salonów, a do tego jeszcze własny bank. Na oko z pięćset osób zatrudniali, z czego większość pracowników fabryki futer zakwaterowana była w zabudowaniach mieszczących się po drugiej stronie mostu Poniatowskiego. Oczywiście właścicielem terenu był nie kto inny jak Arpad Chowańczak. Co by o nim nie barłoczyć, głowę nosił na karku. Wiedział, że Łokciowego poborcy lepiej nie przepędzać.

W identycznej roli odwiedzałem również Pasaż Alberta Simonsa, grzechem

ciężkim byłoby go pominąć. Lokalizację miał pierwszorzędną, nieopodal Arsenалу na działce po zburzonym klasztorze Brygidek. Sześciopiętrowa czynszówka u zbiegu Długiej, Nalewek i Wyjazdu mieściła lokale handlowe, biura, magazyny, a nawet hotel. Było od kogo wyłudzać.

Nie inaczej w uwielbionej przeze mnie Galerii Luksenburga przy Senatorskiej pod numerem dwadzieścia dziewięć. Matko, jak ja uwielbiałem to miejsce nawiedzać. Dalekie było wyglądem od nędzy Kercelaka, aspiracyjne dla takiego prostego chłopaka z Twardej jak ja. Dwa podłużne, równoległe budynki ciągnące się od Senatorskiej do Niecałej wzdłuż klasztoru Reformatów wytyczały wewnętrzną handlową uliczkę przykrytą dachem z barwionego na niebiesko szkła. Mozaiki Jagmina zapierały dech w piersiach. Maksymilian Luksenburg, jak na obrotnego Żyda przystało, wycisnął z działki dosłownie wszystkie możliwości. Na początku w podziemiach Galerii działało wrotkowisko z restauracją i barem amerykańskim, jednak po jakimś czasie powierzchnię tę przejął Żydowski Teatr. Był tam również Grand Hotel siedemset pokoi liczący i największa w Ścieku sala bilardowa. Sławę kompleksu zbudował jednak teatrzyk kabaretowy Qui Pro Quo, z nazwiskami na deskach takimi jak Dymsza, Bodo czy Ordonówna. Kino Splendid, a właściwie już Sfinks, z salą wysoką na osiemnaście metrów, dwoma tysiącami miejsc na parterze i dwoma balkonami należało do największych w Europie. W suficie sali znajdował się sznit przypominający zwieńczenie Panteonu. Pamiętam, że podczas seansów przykrywany był tak zwanym ruchomym niebem z pięknie wymalowanymi gwiazdami. Całość utrzymana w egipskim nurcie była ikoną stylu Warszawy tamtych lat. Wszystkie licznie zgromadzone w budynkach Luksenburga instytucje, żeby sprawnie funkcjonować, zmuszone były zatrudniać rzesze ludzi, a każda z tych osób odpowiedzialnie pilnowała satysfakcji swojego opiekuna.

Raz jedyny przyszło mi się spotkać z odwrotną postawą. Ajzyk Lewin, właściciel garbarni przy placu Parysowskim, skowirem mnie poszczuł, licząc, że

płazem mu to ujdzie. Pamiętam jak skoraj, było to siódmego października trzydziestego siódmego roku. Jeszcze tego samego popołudnia Łokieć polecił mi podłożyć ogień pod interes opornego rzemieślnika, wiedział, że na pewno sobie z tym poradzę. Z powierzonego zadania wywiązałem się celująco. Po zmroku, o godzinie dwudziestej, podpaliłem opierającą się o murowany budynek drewnianą szopę. Jesienny wiatr rozprzestrzenił płomienie po całości zakładu. Ich pastwą padły wyprawione skóry, surowce i wszelkie urządzenie garbarni. Zapalił się również trzymany w piwnicy przez Lewina transformator, przez co pogotowie elektryfikacyjne zmuszone było wyłączyć prąd w całej dzielnicy. Ależ tam się działo. Na wieść o dramatycznych wydarzeniach, ze strachu o własne dobro przybyli zaraz na plac właściciele sąsiedniej garbarni Towarzystwa Akcyjnego Temler i Szwede. Błagali straż ogniową, by ta, zamiast skupiać się na wypalonej ruinie, zapobiegliwie polewała wodą ich sąsiednią nieruchomość. Lewin nie oponował, jemu już wszystko jedno było. Lamentował tylko po psie, którego udało mu się z trudem, własnoręcznie ze zgliszczy wydobyć. Jedyne, co odróżniało konające zwierzę od skór przez jego pana oprawianych, to resztki obroży.

Za swoje uczynki dostawałem od Łokcia sowitą dolę, naprawdę godziwą. Co prawda stanowiła ona kroplę w morzu moich faktycznych dochodów, jednak wobec przyjętej przez Partaczy dyscypliny przydawała się bardzo. Zasada nas wiążąca była żelazna, jednogłośnie się na nią zgodziliśmy: dopóki nie będziemy tak silni, żeby pół miasta na swoją modłę skorumpować, z pieniądzem się nie wychylamy. Nie szastaliśmy i basta. Oczywiście Fleja miał to w głębokim poważaniu, nie nasze postanowienie, ale obnoszenie się z flotą. Większą przyjemność sprawiało mu samo zajęcie niż zysk, na jaki mógł dzięki niemu liczyć. Choć jako jedyny z naszej szpany był już dorosły, lubił swoją codzienność na tyle, że obdrapanej klatki schodowej przy Gęsiej na chawir ze stadniną za dopłatą by nie zamienił. Nie miałem zielonego pojęcia, co robił ze

swoją częścią pieniędzy, podejrzewałem, że chociaż sowicie opłacaliśmy jego przybocznych, dzielił się z nimi dodatkowo. Jego łakomce, jego sprawa. Hugo też nigdy nie mówił o swojej doli. Co do Inka i jego starunku to miałem podejrzenie, że sporą sumę w jarcajt^[432] Goudy do Głoskowa zawiózł. Falkowie nadal nie pojawiali się na Kercelaku, wielce prawdopodobne więc było, że został ich cichym dobrodziejem. Z naszej czwórki mi najtrudniej wstrzeźliwość przychodziła, własne grajbery śniły mi się po nocach. Korciły, wołały, kusily. Gdybym tylko ich posłuchał, gdybym się poddał, zaprzepściłbym ciężką pracę całej grupy. Ryzyko było zbyt duże, postanowiłem więc kupić szafę pancerną Wertheima i ulokować tam swoją dolę. Poleciał mi ją nie kto inny, jak Mongoł, ten sam, co rakami w świecie był sławny i Inkowi pomocą służył.

– Grunt znać markę, jakiej jest kasa – tłumaczył spokojnie – wtedy prostsze prucie. Do Ścieku bierz, Szajgec, szafę przyjezdną z Krakowa, a najlepiej to z zagranicy. Pudła Wertheima niczego sobie pomysł mają. Ściany trzymają się blisko, więc rygla nie rozsuniesz. Droga z niej cholera, sporo wyłożysz.

Zdecydowałem się. Kasę dostarczono i tak z Krakowa, gdzie zagraniczna firma miała swoje przedstawicielstwo. Austriacka precyzja, majstersztyk w swoim segmencie. Uchodziła za niezniszczalną i pozbawiona była licznych wad swoich poprzedniczek. O tych drewnianych nawet nie myślałem, bo w kontakcie z ogniem traciły swoją pancerność, a dziadźki w nich trzymane wilgocią przechodziły. Były też takie ołowiem zbrojone, ale zbyt ciężkie do prywatnego użytku. W lżejszej wersji między warstwy blachy wlewana była woda, ale w trakcie pożaru zamieniała się w parę i rozsadzała szafę od środka. Moja była idealna. Duża, bezpieczna, ledwo zdołałem z nią przetańczyć po schodach do piwnicy. Może to głupie, ale byłem z niej naprawdę dumny. Dumny z wyboru, jakiego dokonałem. Moją szafę, gdyby żył, tylko legendarny Wincenty Brodzki, mentor Cichockiego Szpica, autor włamania do klasztornej skarbcza na Jasnej Górze, dałby radę rozpruć. Poluzowałem cztery belki w podłodze, wykopałem

pod nimi głęboki dół i położoną na plecach szafę złożyłem na jego dnie, jak jesionkę do grobu. Ja i tylko ja wiedziałem o jej istnieniu. Potrafiłem stać i wpatrywać się w nią jak ciele w malowane wrota. Pewnego razu, kiedy tak gapiłem się absurdalnym zachwytem opętany, przyszedł mi do głowy pomysł, z którym na ten tychmiast pospieszyłem do reszty Partaczy.

Pomyślałem, że warto by zrobić skok na podobną szafę znajdującą się na pobliskim komisariacie. Na tym samym, na którym opasłego Szynekmana podstępem niegdyś odwiedziłem. Kryła ona teczki policyjnych konfidentów, tych czynnych i w stanie spoczynku. Wystarczyło nam mebel skrupulatnie wyczyścić i później garbusów co do jednego groźbą kompromitacji sekować. A było kogo doić. Mimo szczególnej uwagi, jaką Łokciowi urkowie poświęcali życzliwym, tych na mieście w ogóle nie ubywało. Jednego garbusa urki dopadli, na jego miejsce dwóch kolejnych wyrastało, a wszystko to za sprawą mundurowych. Wywiad konfidencyjny był podstawowym środkiem walki chint z szemranymi koteriami. Szpicla, gnoja czy innego życzliwego nie trudno było im pozyskać. Najczęściej sięgali po takich imbecyli sfrustrowanych brakiem perspektywy awansu w strukturach syndykatu. Posługiwali się przy tym szantażem. Sprawdzali wszystko: nałogi, upodobania miłosne, karierę z mamra. Wszystko, żeby wymusić współpracę. Nierzadko oferowali za to zapłatę, ale tylko po to, żeby się życzliwy po czasie nie wykpił. Weksle były jak gwoździe do trumny. „Rezygnujesz? Na pewno Opiekun zechce zapoznać się z twoimi poborami” – i już wątpliwości rozwiane. Psie metody zawsze były takie same. Raz na dworcu kolejowym się umawiano, jak w historiach szpiegowskich. Innym razem w spelunie daleko od domu garbusa. Ważne żeby sterować strachem życzliwego w miarę potrzeb, tak żeby oddany był bez reszty i żeby wycisnąć z niego w miarę jak najwięcej informacji do sprawy. Niestety dla mundurowych nawet sądy konfidentów za wiarygodnych świadków nie uznawały. Zdarzało się, że w zamian za „zasługi” odbierał garbus nową

tożsamość i na drugim końcu Polski żywota dokonywał, ale to z rzadka. Z reguły nikt się takim śmieciem nie interesował. Zrobiłeś, co chciałeś, teraz się martw – słyszeli często na odchodne. Słyszałem i o takich desperatach, co zażalenia składali do Komend Wojewódzkich, że im się życiorys pogruchotał przez donoszenie. Wtedy teczka wio do pieca i po temacie, nie znamy pana, poszedł stąd, dziadu, bo psa poluzuję.

Koledzy Partacze przyklasnęli idei wyczyszczenia policyjnej szafy, wstępnie nawet Mongoł zgodził się rozpruć ją dla nas fachowo. Jednak kiedy dowiedzieliśmy się, że dossier każdego garbusa mundurowi przechowują zaledwie przez dwa lata, a potem palą i zakładają nową teczkę, zmuszeni byliśmy zrezygnować. Chcąc czerpać z tego stały dochód, trzeba by włamywać się na komisariat średnio co dwadzieścia cztery miesiące. Bez sensu.

Naszym największym marzeniem była całkowita kontrola handlu sacharyną – propozycja Hugo, a jakże. Na niej można było zyskać krocie, a na pewno wylądować na Grzybowie. Nielegalny był jej wyrób, sprzedaż i używanie, ponieważ pazerny skarb państwa straciłby na tym miliony. Objęty złodziejskim podatkiem akcyzowym sacher^[433] osiągnął wówczas cenę trzykrotnie wyższą od morfiny, natomiast słodzik wytwarzany z sacharyny był od niego o wiele bardziej wydajny. Hugo wyliczył, że aż siedem razy. Dla niego ten rachunek był prosty. Upragniona działalność na szkodę państwa, a nie na szkodę ludzi była na wyciągnięcie ręki. Zapowiadało się obiecująco, przynajmniej do września trzydziestego dziewiątego. Niestety, z oczywistych względów, marzenie musiało poczekać. Niemało.

[425] Kasaory – kasiarze.

[426] Pęga – pieniądze.

[427] Szukłaper – inaczej szames.

[428] Szafarz – gabaj, administrator synagogi.

[429] Blachana – wypukła puszka o wyprofilowanym kształcie.

[430] Nawijać z kitem – kłamać.

[431] Szwydryga – szewc.

[432] Jarcajt – rocznica śmierci.

[433] Sacher – cukier.



CZĘŚĆ DRUGA

BANDITENSTADT

TYMCZASOWI

Z grubsza było tak, że im ktoś miał więcej, nieważne czy władzy, czy pieniędzy, tym więcej stracił. Dotychczasowi opiekunowie Kercelaka znaleźli się pod tym samym obcasem co ich niedawne ofiary. Niewielu z nich miało na tyle oleju w głowie, żeby w latach zawodowej świetności zorganizować sobie legalny interes. Harynda, kawiarnia, zakład razurski, cokolwiek, byle na życie mieć dociułane. Rzecz jasna uczciwi obywatele niechętnie swoich niedawnych mordobijców zatrudniali.

W najgorszej sytuacji znalazł się bez wątpienia Łokieć. Przed wybuchem wojny zainwestował w budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, a w towarzystwie bałżyło się nawet, że pożyczył w tym celu ministrowi Kwiatkowskiemu wszystkie oszczędności. Sam nigdy temu nie zaprzeczył, ale też na głoś nie potwierdził. On, jak to on, swoje sprawy dla siebie zostawiał.

Mimo utraty kontroli nad sytuacją, w zgodzie z własną naturą, rąk nie załamywał. Licząc na szybką normalizację sytuacji w kraju, w patriotycznym duchu, jako komendant Związku Strzeleckiego osobiście stanął w obronie stolicy. Podobno kiedy koledzy z rządu zaproponowali mu miejsce w transporcie przez ziemię rumuńską do ukochanej przez niego Szwajcarii, zwyzywał wszystkich przy tym obecnych i powiedział, że w przeciwieństwie do nich nie jest tchórzem i z tchórzami nie chce mieć do czynienia. W ogóle na wielu znajomych srodze się zawiódł. Ślepy Maks na przykład przy pierwszej okazji dał drapaką do jakiegoś wychujewa, chyba Kazachstanu. Wszyscy byliśmy

rozczarowani jego postawą. Łokieć mimo klęski powtarzał do znudzenia, że opinia światowa na powtórkę wielkiej wojny nie pozwoli i trzeba góra rok poczekać na międzynarodowe wsparcie, a później Niemcom po swojemu odplacić. Przyjęło się nawet do języka ulicy nowe określenie, mówiliśmy o nich „Tymczasowi”. Nie nazywaliśmy ich okupantami, wyższym mianem galechów określaliśmy. W tym mieście od czasów Hametapela Zusmana każdy jeden zgniły jurgieltnik^[434] dostawał to, na co sobie zapracował. Zgodnie ze zwyczajem ulicy. Kiedy taki prymas Poniatowski dojrzał z okna pałacu przyszykowaną dla niego szubienicę i usłyszał gromkie „niesiem sznur u pasa, powiesim prymasa”, na ten tychmiast własne życie jadem zgasił. Jego obrzękłe zwłoki na publiczną wzgardę wystawiono, aby kto chętny, mógł na nie napluć z ochotą. „Książę prymas zwąchał linę, wołał proszek niż drabinę”.

Podobne zasłużone dosięgło biskupa płockiego Szembeka oraz Jego Wątpliwą Ekszelencję Kossakowskiego z Inflant. W kościele Bernardynów zdjęto z nich święcenia i pognano na pobliski stryczek. Tłum w szpaler zebrany bił odartych z dostojęstwa, szarpał i wyzywał od jebanych. Biskupa wileńskiego Massalskiego nie lepsze spotkało. Eleganckiego szafotu nie doczekał, tylko przez niecierpliwe pospólstwo na sparciałych końskich lejcach został wyhuśtany. Gdyby tak jeszcze biskup Rzymu Braschi okazał czelność i odwagę obutą racicę w Ścieku postawić. Nie znosiliśmy kleru z wzajemnością. Konkurencji nikt nie chwali.

A więc Tymczasowi. Nazwa się przyjęła, bo i duch w narodzie nie zgasł i zdanie Łokcia podzielał. Ludzie zaczęli się prześcigać w spekulacjach, kiedy Tymczasowi się wycofają. Jak nie jeden, to drugi nagle znawcą sztuki wojennej i dyplomacji się okazywał. Słusznie swoją drogą, że ludzie rąk nie załamywali, ale absurd napędzany wiarą w oswobodzenie coraz większe kręgi zataczał. Coraz to popularniejsze robiły się przepowiednie, a zainteresowanie nimi było tak wielkie, że wszyscy o nich gadali. Najpierw dwunasty grudnia niósł się z ust do

ust niepodległości spragnionych. Ponoć ktoś zauważył na cudownym obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej pojawienie się liczby dwanaście i tak to już ludzie sobie przeczytali. Później przyszedł czas powoływania się na proroctwa świętego Andrzeja Boboli, który przepowiedział okupację trwającą dni sto i jeden. Prosta to matematyka, więc ludzie obwołali szósty stycznia kolejnym dniem oswobodzenia. Był jeszcze jeden taki rabin w Ścieku, co na piętnasty dzień tego samego miesiąca koniec wojny przewidział. Tymczasowi zaanektowali sobie Nostradamusa, tak więc nie cieszył się wśród naszych popularnością zbyt. Racjonalny Łokieć nie poddał się tej psychozie, był raczej zdania, że gdyby każdy chłop w tym mieście, który miał choćby jedno przestępstwo na sumieniu, dostał od wojska nabity karabin, Niemcy w popłochu uciekaliby, gdzie pieprz rośnie albo i dalej. Zabronił jednak Tasiemce organizować nocne ataki wymierzone w patrole i zaopatrzenie okupanta. Twierdził, że nie warto przy każdej akcji odwet ryzykować, że nie można pochopnie poświęcać życia dwudziestu, a może i pięćdziesięciu polskich oficerów trzymanyh w niewoli.

– Fanfaronada choćby jednego Aresa niechybnie obróci się przeciw niewinnym – powtarzał. – Naszym podstawowym obowiązkiem jest przeżyć!

Nie bardzo wiedzieliśmy, o co mu chodzi. To, co mówił, było wbrew duchowi walki, unikanie konfrontacji nigdy nie było w jego stylu. Wręcz przeciwnie, przecież zawsze dążył do tego, żeby udowodnić, z kim jego oponenti mają do czynienia. Kiedy zapytaliśmy, co dokładnie ma na myśli, przytoczył pewną historię:

– Mieszkał raz w naszej pięknej stolicy typ przebrzydły jak mało który. Wojkow mu było z domu, a Piotr nosił imię. Znałem byłem parcha, bo niemal jednocześnie chemię na genewskim kończyliśmy. Ani ja jemu, ani on mnie, nie ma co kryć, nie przypadliśmy sobie do gustu. Podejrzewam, że z tego powodu, iż był z niego komuch oddany, a mnie od zawsze jakoś ręka świerzbiła, żeby takim ryja kiereszować. Z tej mordy, co się sama o razy prosiła, muszę przyznać,

nawet na artystę, pisarza jakiego pasował, ale sztuka jemu najbliższa była o wiele mniej wyszukana. Wpierw zyskał sławę, gdy regulując odbiór kontyngentów żywnościowych, wywołał klęskę głodu w okolicach Jekaterynburga. Potem umoczył łapy w mordowaniu cara Mikołaja. Osobiście zwłoki wszystkich Romanowów po rzeźniku ćwiartował i kwasem siarkowym niszczył w celu zjednoczenia republik. U nas gnida sowieckim posłem był nadzwyczajnym na wygodnym etacie. Pamiętam, że kiedy ogłosili jego nominację, nasz rząd wahał się jak rzadko nad przyznaniem niezbędnej do tego akredytacji. Sprytem i cynizmem niebywałym wykazał się wówczas Cziczerin, ludowy komisarz spraw zagranicznych. Zręcznie zauważył, że skoro Polaki są naród, co w utworach wieszczów wielokrotnie posyłał cara w cholere, to z otwartymi ramionami powinni przyjąć w poczet dyplomatów człowieka, który przyczynił się do spełnienia ich najskrytszego pragnienia. Drwił, pamiętam:

– A to nie wy, Polaki, niedawno śpiewaliście:

Hura! Zerwijmy z carów korony,
Gdy ludy dotąd chodzą w cierniowej,
I w krwi zatopmy nadgniłe trony,
Spurpurowiałe we krwi ludowej!
Ha! Zemsta straszna dzisiejszym katom,
Co wysysają życie z milionów!
Ha! Zemsta carom i plutokratom!
A przyjdzie żniwo przyszłości plonów!^[435]

– Więc o co się rozchodzi?

Wy dwaj chyba po pięć lat mieliście, kiedy Rosenholz – nie pamiętam niestety, jak mu było na imię, mniejsza o to, przyjmijmy Towarzysz, oni tam wszyscy byli Towarzysz – odwołany ze stanowiska sowieckiego *chargé d'affaires* w Wielkiej Brytanii zatrzymał się na Dworcu Głównym w Ścieku. Powitał go we własnej osobie nie kto inny jak ów łach Wojkow. Udały się świnię na fusy^[436], a potem przechadzały peronem wzdłuż czekającego składu.

Nagle zaszedł im drogę młody elegant, wdał się z Wojkowem w chwilową pogawędkę, po czym pożegnał i odszedł w swoją stronę. Nikt nie słyszał treści debaty, ponoć prowadzona szeptem była. Po wymianie uprzejmości dyplomaci, psia ich mać, ruszyli spokojnie w stronę wagonu, lecz jak się okazało, ich rozmówca sprzed chwili zapragnął sławy Hryniewieckiego. Nieoczekiwanie zawrócił, z rewolwerem w ręku wyprzedził obu i z najbliższej odległości dokonał tego, o czym ja sam nieraz nieśmiało marzyłem. Trafiony cztery razy w okolice serca Wojkow, upadając, chwycił jeszcze broń spod kłapy i próbował, co sił starczyło, odpłacić chłopakowi pięknym za nadobne. Ledwo letni uwalił się na peron jak kłoda, a młody napastnik spokojnie, pozostając na miejscu zbrodni, oddał się pod klucz policji. Po godzinie od zajścia Wojkow skopał kalendarz w szpitalu Bajtelka Jezu, gdzie personele bez entuzjazmu go reanimowali.

W czasie przesłuchania zamachowiec, swoją drogą kropla w kroplę z tobą, Ładku, rozważnie tłumaczył swoje intencje: „Podczas przewrotu bolszewickiego byłem w Samarze. Na moich oczach wrzucono żywcem do rozpalonego pieca lokomotywy maszynistę, a zawiadowcę stacji pobito. Widziałem znęcanie się nad duchownymi prawosławnymi, rozstrzeliwania niewinnych ludzi i plądrowanie”. Sąd doraźny w Ścieku skazał odważnego Borysa Kowerdę na karę dożywotniego osadzenia, przy czym jednocześnie zwrócił się do Mościckiego o złagodzenie wyroku do lat piętnastu. Po moich osobistych namowach, podyktowanych sympatią i podziwem dla czynu chłopaka, Ignacy łaskawie przychylił się do prośby Temidowych. Sowiety, jak nie trudno się domyślić, oceniły wyrok jako nad wyraz pobłażliwy. Pakty wszelakie chwilowo diabli wzięli, a Szulajnia, traktując zabójstwo jako akt wojenny, całą armię w stan pogotowia bojowego postawiła. Widzicie sami, niby nic nadzwyczajnego, jeden czerwony chuj w tę czy we w tę, a stosunki międzypaństwowe szlag trafił. Wiecie, ile Dziadek Józek języka nastrzępił, żeby swołocz odebrała zajście jako incydent? Gównu tam pewno wiecie, ale możecie mi wierzyć, nie warto za

jednego pajaca milionów istnień wojną obarczać. Ja do takiej pomyłki drugi raz ręki nie przyłożę i nikomu na to nie pozwolę.

– Ale wojna już jest! – Ineczek pierwszy podniósł głos. – Zresztą czego my tu o byle kacapie słuchamy, jak Niemce to inna, cywilizowana nacja. Takiego główna się nie dopuszcza.

Tego dla Łokcia było zbyt wiele. Nigdy nie tolerował sprzeciwu, a dodatkowo poirytowany Ineckowym przemądrzalstwem zrugął nas, że aż w pięty poszło:

– Jaka inna? Jakie nie dopuszcza? Nazwisko Grynszpan słyszały cymbały? Tak też myślałem! Herschel, ledwo rok od was starszy, Żyd nasz, stąd, choć w Hanowerze chowany. Mając piętnaście lat, owładnięty syjonistycznymi dyrdymałami, opuścił dom rodzinny i wypuścił się w podróż do Palestyny. Dotarł ledwo do Paryża i tam na dłuższy czas w domu wujowym osiadł. Kiedy okazało się, że prześladowani w trzeciej Rzeszy i na terenach Austrii Żydowie będą uciekać z zamieszkałych przez siebie terenów, nasze władze wprowadziły ustawę pozbawiającą obywatelstwa osoby przebywające poza granicami ojczyzny dłużej niż pięć lat. Chwilę później szwabskie anulowały stałe pozwolenia na zamieszkanie dla cudzoziemców i w ten oto sposób, z dnia na dzień, morze ludzi stało się bezpaństwowcami. W beznadziejnej sytuacji, pozostawieni samym sobie, bez dachu nad głową, deportowani Żydowie trafili do obozu przejściowego w Zbąszyniu. Wielu popadło w skrajny obłęd lub odebrało sobie życie. Wśród nich była również najbliższa famuła Herschela, znaczy jego rodzice oraz brat z żoną Bertą. Dowiedziawszy się o nieszczęściu krewnych i reszty bajtli narodu wybranego, młody ideowiec postanowił dać wyraz swojego sprzeciwu wobec zaistniałej sytuacji. Naszrajbował list pożegnalny, w którym podzielił się z bliskimi podjętą przez siebie decyzją.

Z pomocą Boga. Moi drodzy rodzice, nie mogłem uczynić inaczej, niech Bóg mi przebaczy, serce krwawi, kiedy słyszę o tragedii waszej i dwunastu tysięcy Żydów. Muszę zaprotestować

tak, żeby cały świat się dowiedział o moim proteście, i uczynię to. Przebaczcie mi.

List schował do kieszeni płaszcz, po czym uzbrojony w nowo zakupiony rewolwer pojechał do niemieckiej ambasady w Hotelu Beauarnais. Na ofiarę zamachu obrał ambasadora Rzeszy we Francji hrabiego Joannesa von Welczka, ale że przyjął go niższy rangą sekretarz Ernst vom Rath, Herschel omyłkowo oddał pięć strzałów do niewłaściwego człowieka, raniąc go ciężko w samą głowę.

„Ohydny szkopie, to masz za dwanaście tysięcy Żydów” – wrzasnął, pociągając za spust, i wypełniwszy plan, spokojnie jak Kowerda, oddał się w ręce paryskiej policji.

Sekretarz zmarł parę dni później. Mimo iż był leczony przez Brandta, osobistego balaję Hitlera, nie zdołał się wylizać z poniesionych obrażeń. Pogrzeb szwaba odbył się w Düsseldorfie. Obecny na uroczystościach Ribbentrop na oczach zebranych żałobników, w tym knypa Adolfa, w mowie pogrzebowej określił zamach mianem ataku Żydów na naród wielkiej Rzeszy i dodał: „Rozumiemy wyzwanie i przyjmujemy je”.

Tego samego dnia na terenie całych Niemiec rozpętały się zamieszki – każdy pitrowaty słyszał o nocy od kryształów nazwanej. Macie, gnoje, swoją cywilizowaną nację! Żeż kurwa mać.

Łokieć nie ukrywał, że choć postawa młodego syjonisty mu imponowała, to będąc na miejscu Niemców, postąpiłby jak oni. Wiedział też, ile trzeba, żeby podobna sytuacja powtórzyła się u nas w Ścieku. Wziął sobie za punkt honoru, za obowiązek, chronić stołeczniaków, choćby miał ich chronić przed nimi samymi. W imię zasady „po pierwsze nie szkodzić” całej naszej chęrcze kazał się do tego zalecenia bezwzględnie dostosować. Właśnie z tego powodu byliśmy zmuszeni zawiesić działalność Partaczy do odwołania. Nie wyobrażam sobie, jaka kara spotkałaby nas z ręki Łokietka, gdybyśmy swoimi usługami wywołali choćby najmniejszą reakcję Tymczasowych. Hugo póki co w przyszpitalnej synagodze pozostał. Fleja z bajtlami starali się kraść jak wcześniej, ale ciężko im

było satysfakcjonująco obrabować kogoś, kto już i tak niewiele posiadał. Zdarzały mu się czasem wyrzuty sumienia, że sam od Niemców nie lepszy. Żywczykiem się z nich jednak otrząsał i dalej fanty juchcił, by utrzymać życia sens. Ineczek niezmiennie w antyku panu Lejzo pomagał, a ja, no cóż, bez wyuczonego zawodu, żyjąc w kłamstwie wobec Matki, piwniczne oszczędności przejadałem. Niechętnie wróciliśmy do starych zajęć, ale innego wyjścia nie było.

Łokieć nie należał do ludzi rzucających słowa na wiatr. Swoją opinię wygłaszał raz i biada temu, kto się nie dostosował. Nie pozostawiał miejsca na polemikę, w egzekucji swoich przykazań był bardziej niż konsekwentny. Jeśli ktoś nie miał okazji usłyszeć ich osobiście, to rychło był o tym informowany, niezależnie od tego, czy w ogóle Łokciowi podlegał, czy też nie. Jeżeli Łokieć powiedział, że nie prowokujemy niemieckich odwetów, to nie prowokujemy. Każdy jeden miał się tego pilnować, nic nie uchodziło naszej uwadze. Rozbudowana siatka informatorów miała obowiązek meldować opiekunom każdą nawet najmniej prawdopodobną plotkę.

Również środowisko wojskowe było infiltrowane przez Łokciową szaję. Wielu z jego podkomendnych albo dłużników wywodziło się przecież z grona oficerów. Ci, którzy nie zgłosili się do niewoli wedle niemieckiego rozporządzenia wydanego po upadku Warszawy, mieli w obowiązku donosić o planowanych ruchach wymierzonych w najeźdźcę. Przy Książęcej na kwaterach batalionu majora Niepokólczyckiego także mieliśmy wtyki. Nikt wysoki szczeblem, ale uszy miał zdrowe. Przekazał Łokciowi, że coś większego się szykuje, bo dowództwo postanowiło powierzyć zadanie żołnierzom skazanym na śmierć za rzekomą dezercję. Pierwsze, co przychodziło nam do głowy, to planowana misja samobójcza, a takich Łokieć największym był przeciwnikiem. Podejmując decyzję o jej zablokowaniu, nie był nawet w połowie świadomy, jakie będą tego konsekwencje. Nasz człowiek powiedział, że niejaki porucznik Żelazko, ten niby-dezerterski, miał z magazynu na Burakowskiej pobrać

kilka ton trotylu i przetransportować ładunek do centrum miasta. Jedyne, co wiedzieliśmy, to data akcji, czarny poniedziałek dwudziestego piątego.

Brakowało nam informacji o trasie konwoju, dlatego żeby poznać miejsce, w które ładunek miał ostatecznie trafić, Łokieć osobiście wyznaczył mnie do śledzenia transportu. Ineczek oczywiście w tajemnicy przed wszystkimi poszedł za mną, o czym z nie ukrywaną radością zorientowałem się dopiero w jednej trzeciej drogi. Szliśmy za nimi będzie z pół miasta. Nie było łatwo, tego dnia od bladego świtu trwał bezustannie ostrzał artyleryjski, a na miasto spadło ponad pół tysiąca bomb. Szliśmy, znaczy oni, a my za nimi, Miodową, Krakowskim, Nowym Światem, aż na róg Książęcej i Rozbrat. Mijając liczne kościoły, wszyscy konwojenci na głos *Ojciec nasz*, *Zdrowaś Maryjo* i *Pod Twoją obronę* odmawiali. Dziwny to był widok, bo choć modlitwa ich była wyraźnie pożegnalna, asekuracyjna, to paradoksalnie okazała się być najlepszym możliwym kamuflażem. Cały zastęp wyglądał, jakby trupy mieszczan z ulic Ścieku zbierał i do jakiejś wspólnej mogiły zawoził. Dreptaki w potokach^[437] taborowych to musieli tak mocno za uzdy trzymać, żeby się bidule od tych wybuchów dookoła nie popłoszyły. Kiedy Żelazko szczęśliwie dotarł do celu, ukryci w krzakach usłyszeliśmy pochwałę, jaką odebrał od swojego zdaje się przełożonego:

– Panie poruczniku, udowodnił pan, że nie jest dezerterem, a jeśli uda nam się to, co zamierzamy, bohaterem pan zostanie.

Po przekazaniu transportu Żelazko wsiąkł jak kamfora, a my z Inkiem byliśmy zmuszeni rozdzielić się w tym naszym śledzeniu, jako że kolumna wozów taborowych również się rozdzieliła. „Mój” ładunek został umieszczony obok Politechniki na wysokości Lwowskiej, drugi na oczach Inka dotarł na róg Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Udało mi się podsłuchać, że następnej nocy, z dwudziestego szóstego na dwudziestego siódmego września, zaplanowana została odprawa dotycząca akcji, o której tak naprawdę jeszcze nic

nie wiedzieliśmy. Spotkanie miało się odbyć na zapleczu sklepu mięsnego na rogu ulic Lwowskiej i Koszykowej. I ja, i Ineczek dotarliśmy do Łokcia w mniej więcej tym samym czasie. Pozyskane przez nas informacje z jednej strony były cenne, rozmieszczenie materiałów wybuchowych i takie tam, z drugiej zaś wciąż nie wiedzieliśmy, co się do cholery święci. Łokieć zdecydował, że nie ma innego wyjścia niż się na owo spotkanie wprosić albo lepiej – w ukryciu całej odprawy wysłuchać i dopiero na końcu ujawnić swoją opinię głównodowodzącemu. Wyrazić oczywiście nader przekonująco, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tak jak wspomniałem, Łokietek nie akceptował, nie tolerował, nie życzył sobie na terenie Ścieku żadnych działań partyzanckich, które mogłyby doprowadzić do rzezi ludności miasta lub znajdujących się w niewoli tysięcy polskich żołnierzy.

To, co wydarzyło się następnego dnia, utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że jesteśmy z Inkiem w czepku urodzeni. Po południu udaliśmy się pod znany nam już adres sklepu mięsnego. Ineczek zdążył jeszcze coś nagryfować, jakieś usprawiedliwienie wcześniejszego wyjścia z antykwariatu przedstawić i w ten oto sposób razem stanęliśmy przed witryną sklepu u zbiegu ulic. Zajrzałem przez szybę w drzwiach i własnym oczom nie uwierzyłem. Tylko dumnie jak my mogły tyle szczęścia posiadać. Weszliśmy do sklepu, Grudniewski od razu nas rozpoznał. Przyjaciół pana Lejzo, ten kwiaciarz. Jak nas zobaczył, od razu rozpromieniony wyszedł zza lady i kiedy chciał jednego po drugim serdecznie wyściskać, zreflektował się, że cały fartuch flakami ma umorusany. My również nie kryliśmy swojej radości, no i zdziwienia oczywiście.

– Pan tutaj? – zapytałem. – Co, w badyłkach pan już nie robi?

– A na co komu kwiaty w czasie wojny, chłopcy?

– Na groby – wystrzelił Ineczek murmyło^[438], rozbijając w drzazgi radosną atmosferę.

Na chwilę zapadła cisza, taka niewygodna. Stały nam przed oczami

wszystkie prowizoryczne miejsca pochówku, które na swojej drodze mijaliśmy od rana. Krzyże wyrastały z ziemi na ulicach, w podwórzach i na prawie każdym stołecznym placu. To nie były pojedyncze groby, to były całe cmentarze, prawie czterdzieści ich było. Przed budynkiem Ministerstwa Spraw Wojskowych obok placu Trzech Krzyży, na Marszałkowskiej i w alei Szucha. Przed Dworcem Głównym w Jerozolimskich i przy kościele na Chłodnej. Plac Małachowskiego, plac Napoleona i plac Kazimierza Wielkiego. Nawet skwery przed szpitalem Bajtelka Jezusa i przy ulicy Przeskok usiane były krzyżami z okiennych ram. Jakże miasto w Zaduszki wieczorną porą wyglądało, gdy pod każdym z tych krzyży przynajmniej jeden znicz zapłonął. Byliśmy gotowi zrobić wszystko, żeby ich liczba nie wzrastała. Szybko udało mi się niezręczną ciszę przerwać, ale już do samego końca pozostaliśmy w poważniejszym tonie.

– Co się stało z kwiaciarnią? – zapytałem.

– Zamknąłem. Moja siostra bajtla czeka, a że jej męża do niewoli zabrali, to ktoś się musi o ich sklep zatroszczyć. Wolę już w martwych świniach robić, niżli te żywe swoimi kwiatami na dworcu witać.

– Słusznie. My poniekąd w tej sprawie przyszliśmy. Musimy prosić pana o przysługę.

– Dla was wszystko, słucham panów.

– Wiemy, że dziś wieczorem odbędzie się tu zebranie oficerów. Tylko proszę, niech pan nie zaprzecza. Musimy wiedzieć, co będzie tematem spotkania. Pan musi nam w tym pomóc.

– Chłopcy – Grudniewski odezwał się trzęsącym głosem. W jego oczach można było wyczytać, że kompletnie nie nadąża za naszym tokiem rozumowania. – Po czyjej wy stronie stoicie?

– Pana szwagra – odpowiedziałem kwiaciarzowi.

– Wszystkich szwagrów – dopowiedział Inek, a ja rozwinąłem:

– Cokolwiek tu dziś zostanie umówione, może wywołać strasliwą falę.

Pański szwagier, pojmani oficerowie i niewinni cywile będą padać trupem dzień po dniu. Szwabski odwet nikogo nie ominie, za jednego Tymczasowego po dziesięciu Polaków będą ubijać albo i więcej. Rozumie pan, o czym mówimy? Nie warto!

– Rozumiem i choćbym chciał, nie mogę wam pomóc, chłopcy. Mnie na tym spotkaniu nie będzie, więc rozumiecie sami, nie poznam tematu. Szperaków mam jeden rajster^[439] i umówiony jestem, że po robocie jednemu takiemu przy Koszykach je przekażę, a rano w rynwie^[440] mają mnie czekać oddane. Mógłbym którego z was tu zamknąć, ale widzicie, tu nie ma gdzie się schować, wszystko na wierzchu. Chyba – zawahał się na moment – chyba że w chłodni. Ściany ma niegrube, więc da się co nieco ze sklepu dosłyszeć, ale ja nie wiem, o której oficerowie przyjdą, o której wyjdą, nikt tego nie wytrzyma.

– Ja wytrzymam – powiedział Ineczek. – O której pan zamyka?

Życie zaryzykował, ale na szczęście, kiedy obudziłem się następnego dnia rano w naszym mieszkaniu przy Twardej, Ineczek już po wszystkim siedział przy kuchennym stole i popijał czarną jak ziemia herbatę. Zauważył, jak uśmiechnięty od ucha do ucha zerki przecieram, i powiedział:

– Wskakuj w kominy^[441], do Łokcia dymamy.

Na miejscu Ineczek opowiedział nam, że panowie wojskowi planują na piątego października zamach w trakcie urządzanej przez Tymczasowych parady zwycięstwa. Ładunki rozmieścili przy Politechnice niedaleko Pól Mokotowskich, gdyby w ostatniej chwili ktoś z generalnego dowództwa trzeciej Rzeszy miał tam wylądować i na początku Nowego Świata, będąc w przekonaniu, że którąś defilada by nie szła, to i tak tamtędy przejść będzie musiała. Podobno przy blasku świec i latarek wojskowi decydowali jeszcze, kto w odpowiedzi na niemiecki dekret idzie dobrowolnie do niewoli, a kto w konspiracji zostaje. Jakiś Unterberger, jakiś Brudnicki i Sawicki zadeklarowali pozostanie. Na to samo

zdecydował się ich dowódca major Niepokólczycki, który przy tej okazji śmierć własną sfingował. Po skończonym spotkaniu Incezek doczekał do rana, aż Grudniewski go wypuści, i pędem przybiegł na Twardą. Łokieć, wyjątkowo spokojny po wysłuchaniu Inkowej historii, poprosił obecnego przy tym Lejkina, żeby zdobył dla niego adres majora. Nam podziękował i pozwolił odejść.

Nie miałem pojęcia, co z tą wiedzą zrobił, podejrzewałem, że złożył osobistą wizytę panu majorowi. Jakich argumentów użył, nie próbowałem nawet zgadywać. Zależało mu na tym, by Niepokólczycki zrozumiał i podzielił jego punkt widzenia, nie zastraszonego czy szantażowanego, ale w pełni przekonany co do jego słuszności. Do piątego października nikt nie wiedział, czy mu się udało, czy nie. W dniu defilady godzina policyjna trwała całą dobę. Polacy mieli kategoryczny zakaz wychodzenia z domów, a pojawienie się w okolicach Traktu Królewskiego groziło odstrzeleniem bez uprzedzenia. Ze wszystkich znajomych mi osób tylko Łokieć legitymujący się szwajcarskim papierem wybrał się w Ujazdowskie zobaczyć na własne oczy, czy jego spotkanie z panem majorem przyniosło efekt przez niego pożądanego. Poniekąd tak, ładunków nie zdetonowano. Chciałbym jednak zobaczyć minę Łokietka, kiedy zorientował się, że chroniąc obywateli, tym samym ocalił życie przybyłego do Ścieku Hitlera. Cóż, co miało się stać, to się stało.

Po wszystkich oficerowie Unterberger, Brudnicki i Sawicki, mimo że wcześniej złożyli przysięgę konspiracyjną, z abarotem założyli mundury i dobrowolnie zgłosili się do niewoli. Najbardziej w tej całej sytuacji żał mi było majora. Wdowa po nim, pani Anna, opowiadała po wojnie znajomym, że jej mąż nigdy więcej nie przeszedł odcinka Nowego Świata między placem Trzech Krzyży a Alejami Jerozolimskimi. Czy *per pedes*^[442], czy dorożką, zawsze prosił w Bracką skręcać. Powtarzał przy tym zdziwionej żonie, iż poprzysiągł sobie, że jego noga nigdy tam już nie stanie. Pytany o powody, prosił, by tego nie robić, bo i tak nie odpowie. Trzymał wszystko w głębokiej cichoszy. Cała ta

historia doprowadziła go na skraj depresji, stracił też romantyczny zapał do walki. Zresztą nie tylko on. To samo dotknęło i naszego Opiekuna Józefa Łokietka, co przed laty na własnego ministra śmierć przypadkiem zesłał, a tymczasem przyszło mu, Hametapelowi, agresora ocalić.

[434] Jurgieltnik – człowiek zaprzędany, będący na pensji obcego rządu, na przykład podczas zaborów.

[435] Fragment pieśni *Warszawianka 1905* napisanej przez Wacława Świącickiego.

[436] Fusy – kawa.

[437] Potok – wóz.

[438] Murmyło – ponury.

[439] Rajster – pęk.

[440] Rynwa – rynna.

[441] Kominy – buty.

[442] *Per pedes* – na piechotę.

DEPOZYT

Z czasem wiara w pomoc z zewnątrz opadła i trzeba było skoncentrować swoją energię w innym kierunku. Otwarta walka zbrojna była bez sensu, więc Opieka paradoksalnie zajęła się niesieniem pomocy najbardziej potrzebującym obywatelom. Oczywiście nie do końca uczciwie, a już na pewno nie charytatywnie. Ściągała haracze na wyższe cele i przekazywała ich część przedwojennemu endekowi, profesorowi Witoldowi Staniszkisowi, który kierował schroniskiem dla Żydów pozbawionych majątku. Korzystając z resztek swoich pieniędzy, Łokieć otworzył przy Ogrodowej trzydzieści dziewięć kawiarnię, która zasłynęła doskonałym bimbrem i stała się centrum operacyjnym jego wywrotowej działalności. Legitymując się obywatelstwem szwajcarskim, nie miał większego problemu z uzyskaniem pozwolenia na prowadzenie takiego lokalu. Z tego, co pamiętam, papier wystawiony był oficjalnie na jego żonę Halinę, co ponemieckie panięskie nosiła i z którą stanął na kobiercu parę lat wcześniej dla zachowania pozorów uczciwego mieszczanina.

Z perspektywy małej kawiarni interesy w okupowanym kraju nie wyglądały już tak obiecująco, jak poprzednie, jednak słynący szwicom Łokietek i w takich warunkach z czasem się odnalazł. Jako miłościwie wciąż nam panujący, teraz niejako w defensywie, król podziemia wszystkie swoje talenty wykorzystał, by ponownie stanąć na ligary. Z poczucia obowiązku i potrzeby budowania wizerunku w nowej rzeczywistości niósł ludności żydowskiej niezbędną im do przeżycia pomoc żywnościową. Z tytułu delegata aprowizacyjnego Rady

Główniej Opiekuńczej, prowadzącej Komitet Samopomocy, pieniędzy nie pobierał, za to całkiem dobrze prosperował mu zakład fałszujący dokumenty tożsamości. Za bare^[443] lub przysługę Żydowie biedni i bogaci w kolejkach się do niego po lewe akty ustawiali. Każdy wystawiony papier był dla Doktora obarczony nie lada ryzykiem, tak więc pozwalał sobie szpiczfinder, warunki dyktując, wybrzydzać spośród licznych interesantów.

Dla mnie też przy tym zajęcie się znalazło. Nawet więcej, dzięki wojnie zrealizowało się moje najskrytsze marzenie. Łokieć osobiście mi zaproponował, że skoro dla wszystkich jego ludzi nie starcza roboty na ulicy, mógłbym pomóc w papierów podrabianiu. Z radości prawie podskoczyłem. Misterna, powolna, bardzo precyzyjna praca przynosiła mi wiele satysfakcji, a i pieniądz od czasu do czasu. Szło mi całkiem nieźle, w dzień potrafiłem przyszykować tyle co inni w trzy dni. Nie powiem, że byłem talentem czy kunsztem równy z legendarnym Salomonem Smolianoffem, ale w Ścieku to mi się kłaniali. Falsyfikaty robiłem zgrabne. Ulica barłoczyła, że jak po podroby^[444] to tylko do Ładysława. Szybko Łokieć ustanowił mnie odpowiedzialnym za cały proces produkcyjny. Pozwolił mi nawet przeprowadzić główny warsztat do mojej mincerii na Twardej. Zgadzał się na wszystko, bylebym miał komfort pracy. Gotowe do odbioru papiery trafiały do galecha Franciszka Garncarka, który w kościele św. Augustyna prowadził potocznie zwaną „centralę chrztu”. Wystarczyło przyjść na Nowolipki i powiedzieć: „Przychodzę od Doktora Łokietka”. Garncarek wydawał na to flepy i po butelce wody utlenionej do rozjaśniania włosów. Ani Łokieć, ani ja nie roznosiliśmy przygotowanych dokumentów osobiście, ryzyko było zbyt wielkie, a my, w przeciwieństwie do księdza, do podobnych poświęceń zbyt mali.

Oprócz starania się o dokumenty, Żydowie jeszcze nad swoim wyglądem pracowali, bo co z tego, że papier od Łokcia w porządku był, skoro uroda posiadacza wątpliwości Tymczasowych budziła. Niemcy potrafili poniżyć legitymowanego, zmuszając go do zdjęcia nachów^[445] na oczach tłumu

przechodniów. W razie niezgodności fizjonomii zatrzymanego z przedstawionym przez niego dokumentem zabijali biedaka na miejscu, zanim zdążył portki dla zachowania godności podciągnąć. Bogatsi starozakonni próbowali różnych sztuczek dla zmiany facjaty. Słyszałem raz od Cieszka Peplaka o jednym takim inteligencie, który przechwalał się na salonach, że słono wolskim fachowcom zapłacił, ażeby mu feniak nieodwracalnie w bramie poprzestawiali.

Cieszek w ogóle po wybuchu wojny coraz to ciekawsze historie opowiadał. Popłoch w elitach zasiany był nie mniejszy niż wśród biedoty. Ledwo kilka tygodni od kapitulacji minęło, a wielcy państwo zamiast nad dobrem wspólnym to o zabezpieczeniu własnego majątku debatowali. Ile stracę? Ile mi zburzą? Ile i za jaką cenę będę zmuszony odbudować? Jak się uchronić przed grabieżą mienia? Podobno u Bergsonów przy herbacie nie było innego tematu. Zdaniem Cieszka w obliczu zagrożenia bardziej ich obchodziły drogocenne rzeczy niżli ludzie na Krakowskim mijani.

Poza opasłymi rezydencjami kwestia ta wyglądała inaczej. Ludzie spotykali się częściej i w większych gronach. Wszystko jedno, czy to ku pokrzepieniu serc, gromadnie podtrzymując się na duchu, czy po to, żeby jeden z drugim tym, co miał, się podzielił. Wśród zgliszcz życie, choć ciężkie, toczyło się dalej.

W wyniku bombardowania ucierpiał również antykwariat Epsteina. Bomba burząca zrzucona w trakcie nalotu przecięła niemal wszystkie kondygnacje kamienicy przy Mazowieckiej. Na całe szczęście wbiła się w budynek pod takim kątem, że przebiła jedynie sufit parterowego antykwariatu i wyszła poza stare mury witryną od strony ulicy. Obyło się bez większych zniszczeń i strat w zbiorach zakładu, jedynie za nową szybą Ineczek musiał się sporo nachodzić. Nie było ryzyka, że budynek się zawali, więc interes pozostał pod dotychczasowym adresem.

Reszta Ścieku wyglądała podobnie. Stolica, jaką dotychczas znałem i kochałem, przestała istnieć. To było raczej ponure miejsce skazane na oczywistą,

nieuniknioną zagładę. Obraz ekstremalnej nędzy i rozdzierającej rozpacz. Nawet Tymczasowi wyglądali na przygnębionych. Nawet oni, mimo odniesionego zwycięstwa, mieli problem, żeby cieszyć się życiem, przebywając tutaj. To chyba najlepiej przedstawia kondycję, w jakiej było miasto. Na szczęście ludzie mają to do siebie, że kiedy nie ma już nic do stracenia, postawieni pod ścianą z reguły zaczynają się weselić. Cóż innego poza tym im pozostaje? W ten oto sposób wśród ściekowych rozkwitło specyficzne, wisielcze wręcz poczucie humoru. Tymczasowi temu dopomogli, rozwieszając na każdym słupie obwieszczenia o zakazanych czynnościach karanych śmiercią. Zabraniali nam, co zrozumiałe, posiadać broni, ale identyczna kara czekała za handel sztypurą^[446]. Tak uniwersalna kara szybko przestała być traktowana z należną jej powagą.

Doszło do tego, że każde następne obwieszczenie, każdy następny zakaz był przyjmowany jak wyzwanie, traktowany jak konkurencja zręcznościowa. Powszechnie stały się zakłady o łamanie prawa. Kopciuch^[447], drewniany wózek, szyba – każdy stawiał, co miał w ryzykownej zabawie. Możliwość utraty życia podbijała cenę usług i towarów, ale ci bardziej dowcipni, traktujący śmierć jak przedwojenny mandat, mówili, że boją się wyroków dopiero powyżej tej kary. Groteska, jedna wielka groteska. Drwinom końca nie było, a Tymczasowi na własne życzenie miast strachu śmiech wzbudzali. Wróg wspólny wszystkich potrzebujących zjednoczył i mogli być dla siebie wsparciem w tak niecodziennej sytuacji.

My z Inkiem trochę od tej wspólnoty odstawaliśmy. Nie żebyśmy czuli się lepsi czy coś w tym stylu, ale przez szereg lat nierozłączni zatraciliśmy potrzebę uzewnętrzniania się przed innymi ludźmi. Pielęgowaliśmy swoje własne, choćby te najdrobniejsze rytuały, nie było takiej siły na ziemi czy w niebie, która by nas od siebie odsunęła. Niezmiennie po kolacji pykaliśmy fajkę Matki, relacjonując sobie przy tym dzień miniony. Nawet jeśli nie było o czym gadać, z najlepszym przyjacielem i pomilczeć warto. Zawsze jeden na drugiego czekał

znieczierpliwiony, żeby po dniu w pracy wreszcie faję odpalić. Z reguły to Ineczek się spóźniał, gdyż szachami zaczarowany tracił zupełnie poczucie czasu. Na szczęście starał się pilnować, żeby naszym zwyczajom działa się zadość, i wracał do domu, zanim zdążyłem zasnąć. Pewnego dnia myślałem, że już nie przyjdzie, że nie doczekam naszej pogawędki. Lichtarnie same mi się zamykały i żal było mi strasznie, bo dużo ciekawych rzeczy miałem mu do opowiedzenia. Wpadł nagle do domu zdyszany i już w sieni zapytał:

– Śpisz?

Z trudem rozkleiłem zaspane oczy i odpowiedziałem szeptem:

– Nie, ale cicho, bo Mama zasnęła.

– Zapalimy jeszcze?

– Uchyl okno, włożę szalik.

Owinałem porządnie szyję, przystawiłem dwa krzesła pod rozszczelnione okno, a Inek w tym czasie nabił już fajkę i za zapalkami błędził po mieszkaniu.

Wyjąłem paczkę z kieszeni swoich sztanów i po chwili podałem Inkowi żaru.

– Co w antyku słyhać, po staremu? – dowcip miałem cięższy niż powieki.

– Stary Lejzo poprosił mnie dzisiaj o wstawiennictwo u Łokcia, o metrykę chodzi. Może ty byś mu wystawił?

– Zwariowałeś? Łokieć dyrki z dupy przy samych uszach mi wykarczuje, jak się o samowolce dowie. Czego on się boi osobiście z Doktorem gadać?

– Nauchał się, że Łokieć odmówić potrafi i dla pewności poprosił o pomoc. Pół dnia mu tłumaczyłem, że kto jak kto, ale on ma przyjaźń Łokietka dożywotnio zapewnioną.

– I?

– I na nic to się zdało. Przejdę jutro przez Ogrodową, złożę zamówienie na papier i przy okazji chwilę z Łokciem posiedzę, bo mnie ostatnio bez okazji nie widuje.

– A kto widuje? – zaatakowałem Ineczka uszczypliwie. – Wołami cię od tych twoich figurek odciągać trzeba. O bożym świecie zapominasz, jak dzisiaj. Byłem tyle – zademonstrowałem Innocentemu niewielki odstęp między kciukiem a wskazującym – tyle od zaśnięcia. Inuś, pamiętasz Stanka Tiso?

Dla pewności powtórzyłem zapytanie:

– Słowak z Europejskiego, pamiętasz?

– Recepcjonista, nikt ważny – odpowiedział niewzruszony.

A jednak, pamiętał dobrze człowieka, który niegdyś zgłosił się do nas z prośbą o pomoc. Dziwna to była historia. Niejaki Abram Sycowski, syn szwydrygi spod Radomska, nie bardzo się garnał do nauki dziedzicznego fachu, więc już w młodym wieku podprowadził ojcu sto dwadzieścia rubli oraz parę butów i dał nogę za przygodą. Najpierw Hamburg, a później Nowy Jork go przywitał, lecz nie na tyle serdecznie, na ile chłopak mógłby oczekiwać. Ukradzione grajbery szybko przepuścił i życie mu przyszło z ulicznej żebraniny. Głód pchnął go w szeregi bursy Tammany Hall, który w owym czasie do jednego z najgroźniejszych w Wielkim Jabłku należał. Nastąpił okres prohibicji. Abram zmagazynował w swoim mieszkaniu sporą ilość alkoholu, który udało mu się kupić w ostatniej chwili przed wejściem prawa w życie. W trakcie odwiedzin okolicznego bajzlu poznał będącego w Nowym Jorku w interesach Ala Bliznę. Wiedząc, z kim ma do czynienia, postanowił skorzystać z tej jedynej szansy danej mu przez los i zapytał:

– Może wpadniesz do mnie na kielicha?

Kiedy Blizna zobaczył zapasy Sycowskiego, z miejsca kupił wszystko za tysiąc dolarów i zaproponował mu pracę u siebie w Chicago. Abram przystał na propozycję bez wahania i bez pożegnania towarzyszy z chewry opuścił miasto. W wietrznym mieście, wyposażony w opancerzony samochód, miał za zadanie rozprawiać się z liczną konkurencją. Już jako Kid Tiger mógł się pochwalić kilkudziesięcioma morderstwami na zlecenie Włocha. Jego majątek rósł

w niewyobrażalnym tempie, chodziły legendy, że zafundował sobie nawet łódź podwodną. Jednak, jak to często bywa, jego bogactwo sprowadziło nań nieszczęście. Postawiono mu zarzuty identyczne z tymi Ala, znaczy ukrywanie dochodów na niebagatelną skalę. Udało mu się uciec do Francji. Tam celnicy zarekwirowali mu biżuterię wartą ćwierć miliona. Później była Szwajcaria, a raczej deportacja poza granice Szwajcarii. Praga, no i po wielotygodniowej tułaczce do stolicy trafił. Zameldował się, dureń, w Hotelu Europejskim jako książę Aleksy Romanow. Przyjmujący meldunek recepcjonista Stanek Tiso zapytał:

- Wasza książęca mość pochodzi z dynastii cara Mikołaja?
- A i owszem, łaskawy panie – odpowiedział Sycowski.

Niestety, podejrzliwy Tiso po paru dniach skontaktował się z Urzędem Ciekawym. Powiedział, że w hotelu bawi gość twierdzący, iż jest księciem Romanowem, i choć paszport ma w porządku, a pieniędzmi na prawo i lewo szasta, to urodę ma bardziej żydowską niż książęcą. Hojność przy napiwku, przewijające się stadami przez hotelowy pokój dziwki i bajki o kopalniach złota w Nikaragui jak widać nie przekonały prostego Słowaka. Mundurowi zainteresowali się całą sprawą, doszli prawdziwej tożsamości niby-księcia i bezzwłocznie go aresztowali. Po interwencji jeden z funkcjonariuszy pochwalił przy ludziach ciekawskiego recepcjonistę, że ten przysłużył się w walce z lokalnym światem przestępczym. Stanek przestraszył się, że prędzej czy później któryś z szemranych wytnie mu język za życzliwość, rzucił więc pracę w Europejskim, zajął się żebractwem i znów szlumerka ciął spokojnie.

– Co w związku z nim? – lekko zdziwiony Ineczek zastanawiał się, czemu tak nieważny temat poruszyłem.

– Spacerowałem dziś przy chawirze Bruhla. Patrzę, a tu postać znajoma bocznym wyjściem budynek opuszcza i kurczowo cienia się trzyma. Widać od razu, że przemknąć chce ulicą, byle żywczykiem i nie rzucając się w oczy.

Poszedłem za nim dyskretnie, jak tylko potrafię. Bez przerwy oglądał się za siebie. Cały czas, wyjątkowo nerwowo. Wyczuł chyba, że mu po piętach depczę, bo skręcił gwałtownie w najbliższą studnię i w zatłoczonej kawiarni się schował. Myślał, że jak przy wieszaku płaszcz i kiepe[448] na cudze przebierze i przy barze plecami do wejścia usiądzie to mi trop zmyli, ale że spocił się z nerwów nielitosiennie[449], to i po ciemku szło go znaleźć. Usiadłem obok, zobaczyłem jak łapy o kontuar bezwiednie mu się obijają i zamówiłem dwa grzane, żeby atmosferę poprawić.

– Czego za mną lezie? – nie wytrzymał. Coś mi się wydaje, że resztki odwagi wykrzesał, żeby to jedno pytanie wydukać. Nic nie odpowiedziałem, ciekaw byłem, ile w nim tego męstwa jeszcze pozostało.

– Kłopotów nie szukam – wymamrotał, po czym poczęstował się gorącym piwem. Przez moment jeszcze pojedynkował się z goździkiem, który utknął mu między jedynekami, i dodał, chcąc polubownie wybrnąć z sytuacji:

– Dziękuję, ale w ogóle to musiał mnie z kimś pomylić, więc sam za siebie zapłacę.

– Firma stawia.

I nagle cisza, wróciliśmy do początku. Przez kolejne parę łyków Tiso był blat, jakby mu ktoś jednak przed laty ten język wyciął. Ciekawiło mnie, co robi człowiek taki jak on w siedzibie Tymczasowego gubernatora naszego dystryktu, więc trochę bardziej przyjaznym tonem zagadałem:

– Widzę, że w nowe tarapaty wdeplęś. Znając twoje skłonności, zastanawiam się tylko, kto ma lepszy powód, żeby cię z nich wyciągnąć, ja czy Tymczasowi?

– Boże uchowaj! – wykrzyczał na pół sali. – Tamto było, minęło, w życiu bym na Polaka donosu nie zaniósł. Na zdrowie matki klnę się szczerze, na Boga Wszechmogącego.

Siedziałem i nawet nie patrzyłem w jego stronę. Nie musiałem podtrzymywać rozmowy, sam wiedział, że ma się z czego tłumaczyć.

– Kiedy wybuchła wojna, kiedy Słowacy do niej dołączyli i pod swastyką Bernolák do Nowego Targu doszedł, bałem się, że za samo pochodzenie lincz mnie czeka nieunikniony. Poza tym nazwisko mam bez zbiegu okoliczności, bo z księdzem Josefem z jednej gałęzi jesteśmy. Bałem się, bałem się bardzo, że prędzej czy później za cudze mi się dostanie, albo od Polaka, albo od Niemca. Jak bym się nie obrócił, dupa zawsze z tyłu.

Siedzieliśmy przy barze jeszcze ze trzy godziny. Tiso bezustannie przeklinał siebie za sytuację, w którą się wpakował, i trzeba oddać mu rację, że spora była w tym jego wina. Uznany za Życzliwego, wystraszony perspektywą zemsty z rąk stołeczniaków z racji na samo pochodzenie, podpierając się więzami krwi z jednym z największych kolaborantów, postanowił szukać pomocy u Tymczasowych. Fischer zatrudnił go w roli przynieś-podaj-pozamiataj i choć gwarantowało to byłemu recepcjoniście jakieś tam bezpieczeństwo, to poza pałacem wciążle obsrywa portki ze strachu. Codzienna droga do pracy i z abarotem stała się dla niego przekleństwem, doprowadziła na skraj załamania nerwowego. Postanowiłem wyciągnąć z niego, ile tylko się dało.

Łyk po łyku Tiso topił kolejne smutki, a język rozwiązywał mu się coraz bardziej i bardziej. Opowiedział mi, że pewnego dnia w pracy zauważył na biurku Tymczasowego gubernatora Fischera teczkę opisaną jako ściśle tajną. Zawierała ona dekret Führera i Kanclerza Rzeszy Niemieckiej z dnia dwunastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Choć był świadom tego, jaka czekała go kara, jeśli ktokolwiek nakryłby go na wertowaniu zawartości teczki, postanowił zaryzykować i przyjrzeć się dokładniej poufnym dokumentom. Dekret niepodpisany własnoręcznie, ale wydany na rozkaz Hitlera, nakazywał podział strukturalny Ścieku z racji na pochodzenie jego mieszkańców. Zakładał on strefę zamieszkaną tylko i wyłącznie przez Tymczasowych i zamknięcie, odcięcie od reszty miasta dzielnicy północnej. Tiso zapamiętał z lektury dekretu, że granice terenu odseparowanego były

wyznaczone wzdłuż Wielkiej, Bagno, placu Grzybowskiego, podwórkami z dzieciństwa mojego ojca przy Rynkowej, Zimną, Elektorálną, przez plac Bankowy, Tłomackie, Przejazd, Freta, Sapieżyńską, Konwiktorską, Stawki, Okopową, Towarową, Srebrną i Złotą, z wyłączeniem magazynów browarnych przy Ceglanej i sądów na Lesznie. Kawał miasta, jednym słowem. Inuś, co oni zamierzają nam ze Ściekiem zrobić? – spytałem szczerze zatroskany.

Ineczek przez cały ten czas, kiedy zdawałem swoją relację, siedział bez ruchu w okno zapatrzony. Uchał mnie na zycher, wiedziałem, że uchał. Miał taki śmieszny tik, że jak kogoś uchał w skupieniu, to strzygł uchem, prawie jak dreptak jaki. Minęło kilka minut, zanim odkopał się z myśli i na głos odezwał:

– Podzielić, już na zawsze, Ładziu. Jak Tymczasowy coś robi, to nie tymczasowo.

Wielkie lichtarnie zrobiłem na te słowa Inka. Jedyne, co z siebie wykrztusiłem, to ciche:

– Ale jak?

– Podejrzewam murem – odpowiedział. – Murem podwórka nam podziela, Ładziu. Każdego Żyda, który poza wyznaczonym terenem mieszka, przesiedlą tam z czasem na pewno. Zrobią nam z wesołej Suburry posępne Cannaregio. Wszyscy pojmani starozakonni prędzej czy później do tego rezerwatu trafią, jak w Ramie.

– Gdzie? – musiałem dopytać, nie byłem tak odczytany, w antyku przecież nie przesiadywałem.

– Według Księgi Jeremiasza z Anatot Rama była miastem, do którego Babilończyk Nebuzaradan spędził wszystkich Żydów, po czym zniewolił, a ich domy w gruz obrócił. Tym bardziej muszę Łokcia odwiedzić.

Odpowiedziałem, że z przyjemnością mu potowarzyszę, odstawiliśmy krzesła na miejsca przy stole i położyliśmy się do łóżka.

– Co było dalej? – wyszeptalem jeszcze przed zaśnięciem.

– Z czym?

– Z tym miastem, o którym mówiłeś.

– Nehemiasz podaje, że po skończeniu okupacji babilońskiej miasto zostało odbudowane.

– Marna pociecha – odpowiedziałem.

Na Ogrodową z przyzwyczajenia szliśmy przez Kercelak. Nie było to już to samo miejsce co kiedyś. Teoretycznie zawsze panował tam strach, ale wcześniej ten strach był inny. Przed wojną kwestią sumienia było, czy będziesz ofiarą czy oprawcą, Tymczasowi nikomu takiego wyboru nie dali. Szedłem z Ineczkiem trochę w ciemno, właściwie nie wiedziałem, czemu „tym bardziej” musi z Łokciem się zobaczyć. Doświadczony poprzednimi Ineczka pomysłami wiedziałem jednak, że warto mu tego poranka towarzyszyć.

W progu kawiarni Łokieć przywitał nas serdecznie jak zawsze. Minęliśmy się w drzwiach z Lejkinem, któremu dawał zapewne ostatnie wskazówki. Usiedliśmy przy stoliku, a gospodarz polecił żonie, co ma dla nas przygotować:

– Halina, wyczaruj kawalerom zliwy z wielbnem i miodem, tylko jednego i drugiego nie żałuj. Miło, że zaszliście chłopcy, tylko coś mi podpowiada, że nie tak sami z siebie, nieprawda?

Łokieć uśmiechnął się szeroko, trzeba przyznać, że jak mało kto umiał ludzi czytać. Nic nie dało się przed nim ukryć. Herbaty wjechały na stół, a Inek, korzystając z przerwy, zdradził powód naszej wizyty w kawiarni:

– Nowiny z miasta przynosimy. Złe, ale z perspektywą.

Łokieć rozsiadł się wygodniej w ławie i dopiero po kilku chwilach, gestem ręki, dał Inkowi znać, by ten ze szczegółami zaczął. Innocenty słowo w słowo powtórzył to, co ja mu dzień wcześniej opowiedziałem. Z tą niewielką różnicą, że na koniec dodał kilka przemyśleń, tak od siebie:

– Czy tego chcemy, czy nie, Tymczasowi wszystkich starozakonnych w jedno miejsce nam zbiorą. Odetną im wszelkie luksusy i zadbają, by nikomu

dobrze się tam nie działo. Prohibicja dostatniego życia może być dla nas szansą, jaka trafia się raz. Możemy Żydom pomóc, możemy też zarobić. Na pewno musimy być pierwsi.

Łokieć w milczeniu wstał od stołu, pogonił Halinę na zaplecze, zamknął drzwi frontowe na zamek i przekręcił plakietkę tak, żeby od strony ulicy widoczny był napis „*Geschlossen*”. Nie potrafię nawet określić, co w danym momencie o tym pomyśle sądziłem, siedziałem tylko cicho w roli słuchacza i wyczekiwałem Łokciowej odpowiedzi. Inek wręcz przeciwnie. Powiedział, co uznaje za słuszne i skupił się na herbacie. Ta chwila zawieszenia dłużyła się wręcz nieprzyzwoicie. Łokieć łąził po kawiarnianej sali, jakby szukał dla siebie miejsca, jak tygrys zamknięty w klatce. Tu, mimo wczesnej pory, koniaku sobie nalał, tam papierosa podpalił, nawet zegar ścienny zdążył nastawić. Dzięki okrucieństwu Tymczasowych był w stanie wygrzebać się z kryzysu, odbudować starunek utopiony w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Może nie cały, na pewno nie cały, ale wystarczająco, żeby wrócić na utraconą w trakcie wojny pozycję. Ciężka to była decyzja, nawet dla człowieka o tak nieprzewidywalnej, wyjątkowo elastycznej moralności. Miał na sumieniu zlecenie tysiąca przestępstw, dziesiątek morderstw, wyzysk, czerpanie korzyści z nierządu, a jednak się zastanawiał.

– Jeszcze jedno – Ineczek wątek zmienił. – Epstein poprosił mnie o pomoc w staraniu się o papiery, boi się, że Doktor odmówi.

– Słusznie się boi – Łokieć odpowiedział, nie namyślając się długo – z jego fotografią każdy dokument się nie klei. Przy byle kontroli życie straci, a my w dzień później drukarnie. Wykluczone. Wszystko, tylko nie to.

– Takiej odpowiedzi się spodziewał, dlatego właśnie mnie o wstawiennictwo prosił. Obiecał też przysługę wyświadczyć.

Słyszając te słowa, Łokietek, nie zdejmując wzroku z Inka, szturchnął mnie biodrem, żebym się przesunął, i zaciekawiony usiadł przy stoliku. Ineczek mówił

dalej:

– Mama opowiedziała mi, że kilka dni temu Chowańczak odwiedził jej pracodawcę Bergsona. Niby nic nadzwyczajnego, ale przyszedł z przestrogą, bo jego samego wielkie nieszczęście spotkało. Podobno rano, jak jeszcze w piżamie paradował, Tymczasowi do jego domu prawie z drzwiami weszli rekwirować, co im w łapy wleci. Meble, rzeźby, obrazy, wszystko brali. Wszystko oprócz książek, bo w naszym szrajbowane albo w żydowskim, a tego się brzydzą. Niby jakiś weksel mu przy tym wystawili, ale jęczał, że to papier niegodny psiej dupy podtarcia. Wiadomo, jak Tymczasowy pożyczka, to wcale nie tymczasowo. Kiedy się spytał, jakim prawem jego starunek wywożą, to wpierw w odpowiedzi parę razy na mordę zgarnął, a potem usłyszał, że i tak ma szczęście, bo w kulturalne ręce wszystko trafi. Dowiedział się tyle, że Fischer gniazdo w Falenicy sobie wije i rozkazał tam co lepsze bambetle z miasta nazwozić.

Łokieć nie przerywał, widać miał zaufanie co do intuicji Inka. Kiedy tylko Innocenty wziął łyk herbaty, ponaglił go, by się z opowieścią nie ociągał i przeszedł rychło do sedna. Innocenty mało przetyku nie poparzył, tak się na Łokciowy zarzut pospieszył.

– Po mojemu Tymczasowi, chcąc umilić sobie pobyt w Ścieku, rekwirują co bogatszym mieszkańcom różne dobra, aby wyposażyć w nie własne gabinety – Ineczek dalej barłoczył, co uważał. – Wystawiają przy tym te swoje jałowe weksle, na które nikt z odrobiną oleju w głowie nabrać się nie da. Grabież w biały dzień. Ci, którzy mają taką wizytę jeszcze przed sobą, a zwłaszcza Żydowie, kombinują już pewnie, jak uniknąć straty. Nikt nie jest w stanie im zagwarantować, że swój majątek zachowają. Nikt oprócz Doktora. Wystarczy, że zaoferuje im Doktor bezpieczny depozyt na czas okupacji. Usługa będzie odpłatna, a co się stanie z rzeczami, czas pokaże. Po wojnie tym, którzy przeżyją, może Doktor odsprzedać ich własność za zwielokrotnioną cenę, wedle taksy za poniesione ryzyko. Albo, jeśli uzna to za stosowne, może opowiedzieć też bajkę, że

Tymczasowi układ odkryli i wywieźli wszystko do siebie. Martwi nie będą się upominać, więc spadek po nich w rękach Doktora pozostanie. Tak czy siak kapitał po wojnie ma Doktor jak znalazł. Jedyne, czego trzeba, to pan Lejzo, który namówi kolekcjonerów na proponowaną usługę i oceni, czyje skarby warte są zachodu, a czyje nie.

Łokieć milczał. Myślał i milczał. O tym, co postanowił, dowiedziałem się dopiero po kilku minutach, kiedy spojrział na mnie i nakazał:

– Nie zapomnij o żonie i córce Epsteina. Przejrzyj akty chrztu wykupione po zmarłych. Znajdź wiekiem pasujące. Na ich podstawie wystawimy resztę dokumentów. Przynajmniej po dwa na głowę, żeby były dla siebie podparciem. Na razie niczego nie drukuj, ale bądź przygotowany.

Miałem niezły orzech do zgryzienia. Do tej pory, jeśli kojfowałem akty, brałem wszystko, jak leci, popyt i tak był przeogromny. Rodziny zmarłych chętnie pozbywały się ich za dopłatą, wiedząc, że mogą przy okazji uratować życie komuś innemu. Zdarzali się i tacy dawcy tożsamości, którzy jeszcze za życia puszczali w obrót dowód pierwszego odebranego sakramentu. Tym razem jednak sprawa była wyjątkowo trudna. Jeśli chodzi o Epsteinową, to akurat nazwisko mogło być jakiegokolwiek, byle data urodzin podejrzeń nie budziła. Gorzej z jej mężem i Szoszanką to wyglądało. Potrzebowałem dwóch dokumentów, najlepiej prawdziwego ojca i autentycznej córki. O tym samym nazwisku, wskazujących jak to naprawdę u Epsteinów było, że szanowny tatko bardzo, ale to bardzo późno na dziecko się zdecydował. W dotychczasowych zbiorach nic podobnego nie posiadałem. Kiedy zachodziłem w głowę, jak i od kogo papiery uzyskać, Ineczek dopił herbatę i sugerując, że czas najwyższy, abyśmy już sobie poszli, sprzedał mi prztyczka w ucho. Patrząc na Łokcia, wstał, uśmiechnął się jednym kącikiem ust i powiedział szczerze:

– Dziękuję.

Łokieć siedział bez ruchu, nawet wzrokiem do drzwi nas nie odprowadził.

Kiedy byliśmy już po drugiej ich stronie, usłyszałem ciche, dobiegające z wnętrza kawiarni:

– Wpadnijcie czasem na kawę czy herbatę. Zrobimy jakąś flaszkę.

Dopiero wtedy zrozumiałem. Spadliśmy Łokciowi z nieba, niemal pod same dyrki. Być może kondycja jego interesów nie była tak dobra, jak nam się wydawało. Być może przesiadywał całymi dniami w kawiarni, popadając w coraz to większe tarapaty. Takim jak on, jak my, monotonia dnia codziennego odbierała chęć do jakiegokolwiek aktywności. Brała górę nad wszystkim innym, nawet godzina policyjna, kiedyś niewyobrażalna, najzwyczajniej nam spowszedniała. Nie spowszedniała jedynie lunatykom, którzy ze strachu przed niekontrolowanymi spacerami na noc do łóżek się przywiązywali.

Żeby nie zwariować, najlepiej było tak po prostu lubić swoje zajęcie. I tyle. Nic więcej. Ja etat Łokciowego fałszerza uwielbiałem, mogłem siedzieć przy flepach bez końca, zupełnie jak Ineczek przy szachownicy w antykwariacie. Po każdym kolejnym dniu w dusznej piwnicy zasypiałem wyczerpany, ale szczęśliwy, że prawdopodobnie doczekam następnego w jednym kawałku. Każdy miał swój azyl i swoje sposoby.

Epstein postanowił nie poddawać się marazmowi i zaprosił wszystkich zaufanych przyjaciół na potajemne obchody noworoczne w swoim antykwariacie. Zadbał przy tym oczywiście o wszelkie możliwe względy bezpieczeństwa. Zabawa – nieoficjalna, ponieważ oficjalne były zakazane i zapewne karane śmiercią, odbyła się w głębszej sali lokalu. Towarzystwo składające się głównie z muzyków i szachistów nie mogło oczywiście obyć się bez pięknych melodii, dlatego każdy z przybyłych przyniósł ze sobą koc w celu wyciszenia dźwięków Seidlera. Pan Lejzo wraz z żoną i Szoszanką co chwilę nowych gości witali. Oczywiście my, znaczy ja, Ineczek i Mama, również zostaliśmy zaproszeni. Bawiliśmy się w towarzystwie profesora Lefeldta i Aarona Hekelmana, tego co w parę lat później *Nie masz cwaniaka nad Warszawiaka*

popęłnił. Był też Henryk Warszawski, autor kinowych szlagierów, a z nim Eman Schlechter, tekściarz wyśmienity.

Zaproszone zostały również garsonki^[450] z pobliskiej Fregaty, co na Mazowieckiej pięć numerów wcześniej się mieściła. Nie były to jednak proste skóry spod miasta, choć oczywiście nikomu by to nie przeszkadzało, ale damy ze sfer, do których nie śmieliśmy nawet aspirować. Żona pułkownika Wojska Polskiego, pani Zofia Dziakiewiczowa, otworzyła tę schludną kawiarnio-restaurację zaledwie dwa miesiące wcześniej. Postanowiła zatrudniać w lokalu kobiety z tak zwanego towarzystwa, aby ich budżety domowe w ciężkich czasach nieco podreperować. Wśród zatrudnionych była córka generała Thommée – Wiwa Przysiecka, generałowa Sawicka, „śpiewające” siostry Burskie, a nawet Nina Andrycz we własnej osobie. Było ich oczywiście wiele, wiele więcej, ale nie sposób wszystkie spamiętać. Grono stołecznych szachistów reprezentował szanowny mistrz Pogorieły wraz z nie gorszym od siebie Zygmuntem Marjenstrassem. Kogo tam nie było. Na tym naszym balu to nawet Łokieć się pojawił.

Tego sylwestra obchodziliśmy wyjątkowo skromnie, choć i tak wystawnie, zważywszy na okoliczności. Nastrój był mieszany, ale na pewno nie brakowało nam powodów do wypicia. Piliśmy na przykład za chłopaków z Wawra, coby im ziemia lekka była. Parę dni wcześniej stu siedmiu chłopca Tymczasowi w piach posłali, wbrew międzynarodowej zasadzie zakazu odpowiedzialności zbiorowej. Stu siedmiu, za wybryk dwóch. Lokalne, podściekowe pikierki^[451], Maniek Prasula i Stasiak Dąbek, ukatrupili w karczmie u Bartosza przy Widocznej parę niemieckich podoficerów, czym sprowadzili piekło na całą okolicę. W nocy po drugim dniu świąt szwaby zatrzymały ponad stu mężczyzn, głównie Polaków, ale i paru Żydów, Ruska, a nawet dwóch Amerykańców. Sąd doraźny, parodia prawa, nie potrzebował przesłuchań ani spisu zeznań, żeby wydać wyrok. Antek Bartoszek dla przykładu, jeszcze przed zbiorową egzekucją, został sprany

kolbami i powieszony u wejścia do knajpy.

Na miejsce ostatecznej kaźni wybrano plac pomiędzy Błękitną a Spizową. W świetle reflektorów samochodowych salwa z karabinów maszynowych położyła na zawsze stu siedmiu niewinnych mężów, co było pierwszą masową zbrodnią na cywilach w czasie okupacji. Łokieć mówił, że gdyby jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności Prasulek i Dąbek uniknęli odpowiedzialności za swoją głupotę, to on, osobiście, z przyjemnością by im w starym stylu karę wyprawił. Dopiero słysząc tę wawerską historię, wziąłem sobie do serca jego przestrożę i zrozumiałem w pełni powagę konsekwencji płynących z prowokowania.

Z drugiej strony ile można się zadrećcać, co się stało, to się nie odstanie. Oprócz ewidentnie smutnych wznosiliśmy również liczne toasty za pomyślność. Za olimpijskie srebro Najdorfa przynajmniej trzy razy „hip, hip, hurra” szeptem poleciało, a Epstein z Łokciem, gdzieś na boku, to w ogóle niejednego kielicha za pomyślność zdzielili. Mieli co opijać, szczęście im sprzyjało. Uwinęli się z ukryciem żydowskich dóbr, zanim szesnastego grudnia Hans Frank usankcjonował swój grabieżczy proceder dekretem *O zajęciu przedmiotów sztuki*. „Wszelka ruchoma i nieruchoma własność byłego Państwa Polskiego będzie skonfiskowana w celu ochrony wszystkich bezcennych przedmiotów” – głosił dokument wydany przez Tymczasowych. Sam Epstein do tego stopnia w Łokciowe intencje zawierzył, że bojąc się grabieży tudzież kolejnego bombardowania, liczne eksponaty z własnego antykwariatu pod szemraną opiekę złożył. Rozstał się między innymi i z najbliższą jego sercu fotokopią podręcznika szachowego pióra Ostroroga. W lokalu zostawił tylko małe co nieco, żeby po zhandlowaniu na życie starczyło. Poza tym, oczywiście zgodnie z daną obietnicą, zaferował Łokciowi pomoc przy określaniu wartości dzieł sztuki, choć jak zaznaczył, jego zdaniem Doktor powinien był przyjmować w depozyt wszystko, co właściciele osobiście za cenne uznają.

– Wszakże ponoszą za to opłatę – argumentował.

Łokieć wytłumaczył mu, że im większa kryjówka, tym łatwiej ją odkryć, a wtedy to już wszyscy tracą wszystko, łącznie z życiem. Wojna niestety nie pozostawia miejsca sentymentom, zwłaszcza w interesach. Dobroduszny Żyd, choć nie było mu łatwo, przyjął tłumaczenie za sensowne. Z gruntu mało solidarne, ale sensowne. Uprzedziliśmy go jeszcze, jak wielkim wyzwaniem będzie wyrobienie pliku dokumentów dla całej jego rodziny, i poprosiliśmy, aby uzbroił się w cierpliwość. W tej kwestii również spotkaliśmy się ze zrozumieniem. Tak czy siak jeszcze przed Bożym Narodzeniem Łokietek, przy fachowej pomocy Epsteina, przyjął na przechowanie kilkadziesiąt sztuk obrazów, rzeźb, ksiąg, rękopisów, monet i innych skarbów ówczesnej stolicy. A dokonał tego w typowo bezczelny dla siebie sposób. Znając moje plastyczne zacięcie i wiedzę zdobytą podczas cmentarnej praktyki, nakazał mi przemalować wóz mleczarski na karawan z jakiegoś zmyślonego zakładu pogrzebowego o swojsko brzmiącej nazwie. Wystarczyło mu później tym karawanem zajechać przed żydowską rezydencję razem z gospodarzem albo z kimś ze służby, wnieść trumnę do budynku i swobodnie kosztownościami po brzegi i pod wieko ją wyładować.

Karawany w okupowanym Ścieku nie budziły niczyich podejrzeń. Kiedy Tymczasowi widzieli wóz pogrzebowy przed żydowską posiadłością, z radości nawet bili brawo. Nikt nie sprawdzał zawartości trumny, bo i po co. W ten sprytny sposób mógł Łokieć swoim farbowanym Chewra Kadisza^[452] przewozić stołeczne dzieła głównymi ulicami miasta, wprost do kryśki^[453] uprzednio po temu przyszykowanej. Ciekawi z Ineczkiem byliśmy, ile właściwie tych Łokciowych kryjówek było. Może wiele, a może jedna. Podpytywaliśmy nawet pana Lejzo, gdzie skarby leżą, ale ten nam tłumaczył, że jak go Łokieć mlecznym karawanem zabrał, to kazał mu na łeb mieziach po mące założyć, przez który nawet promień słońca do oczu nie dochodził. Samo miejsce z niczym antykwariuszowi się nie skojarzyło, ot zadbana i osuszona piwnica, choć i tego

nie był pewien. Widać tylko Opiekun znał położenie tajemniczej kryjówki, nie przeszkadzało nam to jednak cieszyć się z powodzenia szaleńczego planu. Humory dopisywały. Podpity Inek przycupnął po północy przy tłumionym Seidlerze i zaciuchrał^[454] kajdaniarską nutę:

Do mazura stań wesoło,
buntownicza wiaro!
Suń wesoło, dalej w koło,
Warszawo i Karo!^[455]

Nucili wszyscy. Kilka osób się wstawiło, ale świtu doczekało. Cudowna to była noc, jakże inna od minionych.

[443] Bara – gotówka.

[444] Podroby – podróby.

[445] Nachy – spodnie.

[446] Sztypura – słonina.

[447] Kopciuch – garnek.

[448] Kiepa – czapka.

[449] Nielitosiernie – niemiłosiernie.

[450] Garsonka – kelnerka.

[451] Pikierek – łobuz.

[452] Chewra Kadisza – święte bractwo, towarzystwo ostatniej posługi.

[453] Kryśka – kryjówka.

[454] Ciuchrać – grać na instrumencie.

[455] *Mazur Kajdaniarski*, słowa: Ludwik Waryński.

DANIŁOWICZOWSKA

Niewielkiego kaca szczęśliwie przespałem, a poza tym wiadomość o samotnej kobiecie z sąsiedztwa, której przyszło niedawno wnuczkę pochować, w dobry humor mnie wprowadziła. Jakie to szczęście – wpierw pomyślałem – pewnie sierotą była. Dopiero drugie z kolei przyszło współczucie. Na moją prośbę kobieta wyciągnęła z trymudki^[456] dwa akty chrztu wydane w pobliskiej parafii. Wielu Polaków tuż po wybuchu wojny, nie chcąc budzić rasowej wątpliwości, wystąpiło o ich wydanie. Niestety te, które mi przedstawiła, do niczego się nie nadawały. Dziewczynka o imieniu Wanda pasowała do Szoszanki w każdym calu, jednak jej nieżyjący ojciec był stanowczo zbyt młody jak na nową tożsamość Epsteina. Mina mi zrzędała i kiedy chciałem już rozczarowany dach bić na pożegnanie, starsza pani zaczęła prosić, żebym jej w tym wyjątkowym dniu chociaż przy herbacie potowarzyszył.

– Jeszcze trochę mam, prawdziwej – kusiała.

Postanowiłem zostać na filiżankę, ale gdzie tam, nie dla herbaty, tylko tak po prostu – żal mi się kobieciny zrobiło. Margala na samotność. Zaczęła opowiadać, że kiedy w carskich czasach za zniewagę urzędnika wysłali jej męża na Sybir, ona była już w zaawansowanej ciąży i po przyjściu dziecka na świat, bez nadziei na powrót ukochanego, postanowiła nadać chłopcu imię ojca. Chłopak dorastał i z czasem sam się wdał w ożenek z ładną panną. Po powrocie z frontu pierwszej wojny światowej zaczął się z żoną radośnie o bajtla starać. Nie szło im w ogóle, przeszło dwanaście lat bez żadnego skutku się starali. Kiedy wreszcie się udało,

na ich rodzinę spadło wielkie nieszczęście. Lekarze odbierający poród zdecydowali się ratować życie dziecka, matkę poświęcając. Biedna nawet nie zdążyła na oczy swojej córeczki zobaczyć.

Szybko po tym wyszedł na jaw nałóg weterana, który przestał się kryć z litrami morfiny w sobie wstrzykiwanej. Ponoć odniósłszy ciężkie obrażenia, już w trakcie wojny nie mógł dnia bez zastrzyku wytrzymać. Najprawdopodobniej to właśnie wyniszczające uzależnienie było przyczyną wieloletniego problemu z powiększeniem rodziny. Zrozpaczony staczał się coraz niżej, aż sięgnął dna, biorąc udział w narkotykowych loteriach u Miłczków, od których swego czasu i ja chętnie utarg odbierałem. Koledzy od igły zeznali mundurowym, że w dniu, kiedy znaleziono jego pokłute zwłoki, pierwszy raz miał szczęście losowanie wygrać, ale inny wygłodniały uczestnik zebrania na śmierć go zatłukł. Po jego stracie gospodyni z Miedzianej sama z kilkuletnią wnuczką Wandzią została, no a teraz to już nikt poza nią w domu nie mieszkał.

Ledwo ze zrozumieniem tej historii uchałem, czekałem tylko aż starsza pani skończy i będę mógł zapytać, czy po mężu jeszcze jakieś pamiątki jej zostały. Los się do mnie uśmiechnął najszerzej jak tylko mógł. Nie kryjąc zdziwienia, gospodyni wyjęła z trymudki akt chrztu swojego męża i podała mi trzęsącą grabką. Zgadzało się wszystko. Wszystko do siebie pasowało. Rzeczywiście dziadek dziewczynki miał imię identyczne z imieniem jej ojca, a jego data urodzenia spokojnie mogła Epsteinową udawać. Zawstydzony tym, że moja przedwojenna praca przyczyniła się niejako do śmierci jej syna, zapłaciłem kobiecie za dwa akty jak za cztery i wybiegłem rozpromieniony na ulicę, jakbym dopiero z noworocznej popijawy wracał. Potrzebowałem już tylko trzech, góra czterech tygodni mozolnej pracy, żeby całą rodzinę Epsteinów w nową tożsamość oprawić. Pewnie dałoby się i szybciej nawet, ale w międzyczasie Łokieć nakazał mi wyrobić jeszcze ksywy dla Inka. Takie na wzór jego, żeby łatwiej się chłopakowi z podwójnym obywatelstwem w napadniętej Polsce

mieszkało. Wykonałem więc flepy na nazwisko, które ledwo w ogóle potrafiłem przeliterować, nie wspominając o jego wymowie. Incezek i tak tylko imieniem się przedstawiał. Twierdził, że to jedyne, co mu pozostało.

Osiemnastego stycznia, rano, przy śniadaniu, dałem Inkowi plik ukończonych podrobów, jego własnych i tych dla Epsteinów. Innocenty rzucił ledwo jedno spojrzenie na dokumenty przygotowane przeze mnie dla antykwariusza i roześmiał się do rozpuku.

– Jesteś okrutny! Szwab? Teodor Szwab? – omal nie zesrał się ze śmiechu.

– Wiesz, jak trudno...

Nie dokończyłem nawet, zarażony śmiechem Inka zalewałem się łzami. W toku żmudnej pracy nie zwróciłem nawet uwagi na to, jakim nazwiskiem pocziwego antykwariusza piętnuję. Kiedy przestaliśmy się wiercić, Incezek schował papiery do kieszeni i rzucił ironicznie:

– Wpadnij wieczorem do kawiarni Kwiecińskiego, myślę, że stary osobiście będzie chciał ci podziękować.

Pomyślałem, że to wcale nie głupi pomysł. Od początku roku bez przerwy siedziałem w piwnicy, wypadało wreszcie zrobić przerwę i przewietrzyć się kapkę. Kawiarnia u Kwiecińskiego na rogu Marszałkowskiej i Hożej była miejscem tematycznym, poświęconym wyznawcom Caissy, bogini szachów. Kiedy decyzją Tymczasowych kluby sportowe i wszystkie inne stowarzyszenia społeczno-kulturalne zostały zamknięte, dostało się również mekkom szachowej elity. Przy Królewskiej, gdzie Polski Związek Szachowy dzielił budynek z Warszawskim Towarzystwem Gry Szachowej, i przy Nowogrodzkiej, gdzie urzędował Warszawski Klub Szachowy, Tymczasowi zorganizowali swoje oddziały administracyjne. Na szczęście z Królewskiej uratowało się w trochę mebli, które trafiły do Jana Kwiecińskiego na Marszałkowską. Kwieciński, swoją drogą również szachista, sporo ryzykował, gdyż zezwolenie otrzymał na prowadzenie w prywatnym mieszkaniu lokalu gastronomicznego, zwykłej

kawiarni, a nie klubu pasjonatów.

Miejsce szybko zyskało na popularności i stało się świetlicą dla starszych panów. Ineczek z panem Lejzo równie często je odwiedzali. Chociaż nigdy mocny w tę grę nie byłem, a właściwie to ledwo zasady liznąłem, nie przeszkadzało mi w ogóle, że o niczym innym u Kwiecińskiego się nie rozmawiało. Miło było raz na jakiś czas wolną chwilę spędzić w otoczeniu innym niż szemrane. Tamta zima, a tego dnia szczególnie, wyjątkowo surowa była. Pryzmy niedbale odgarniętego śniegu przysłaniały większą część ruin. Bajtła rzucające się śnieżkami wracały do domów z porozbijanymi głowami, bo ciężko było ulepić choćby jedną pigułę bez cegły w środku. Nawet najmłodszy stracili chętność do zabawy. Klimat panował ponury, a wieści dobiegające z ulicy dodatkowo podsycaly atmosferę lęku. Doszły mnie słuchy, że podobno Tymczasowi rozpoczęli jakąś akcję wymierzoną w cywili. Podobno aresztowany cztery dni wcześniej przez nich szef wydziału bojowego Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej, Kazik Kott, z mamra przy Alei Szucha uciekł. I rzeczywiście, idąc spacerem w kierunku kawiarni Kwiecińskiego, co chwila plakaty oferujące dwa tysiące złotych nagrody za wydanie zbiega mijalem. Jak się później okazało, był to idealny pretekst do rozpoczęcia represji wymierzonych w przedstawicieli inteligencji stołecznej. Odwet, przed którym tak często Łokieć wszystkich przestrzegał.

Kiedy dotarłem na miejsce, Inek rozgrywał już symultanę z kilkoma znakomitymi graczami. Nie przeszkadzało mu to jednak przywitać mnie serdecznie i wskazać wolne krzesło przy jednym ze stolików. Zamówiłem ciepłą herbatę i rozejrzałem się dookoła. Tego dnia skład gości był istic mistrzowski, reprezentacja olimpijska wraz z głębokimi rezerwami. Pierwszy rzucił mi się w zerkę Dawid Przepiórka, wielki teoretyk i jeszcze większy miłośnik gry królów. Autor niezliczonej ilości zadań szachowych, wiceprezes Związku Polskiego, redaktor miesięcznika poświęconego szachom, złoty i srebrny

medalista olimpiad sprzed prawie dziesięciu lat. Oprócz niego, gdzie okiem sięgnąć, same tuzy grą i koniakiem spod lady się raczyły: Moryc Abkin, Franciszek Damański, Achilles Frydman, Jan Gadaliński, Staszek Kohn, Mojżesz Łowcki, Jakub Rabinowicz, Gienek Zahorski i wielu, wielu innych. Epstein przy sąsiednim stoliku z Zygmuntem Szulce, Skaczkowskim i Sonnenbergiem zasiadał. To bardziej na zorganizowany kongres albo jakieś sympozjum niż na banalny wieczór w kawiarni wyglądało. Niestety zanim zdążyłem z kimkolwiek informacją o nagonce na Kotta się podzielić, moja dobra passa, o której od początku roku byłem przekonany, dobiegła końca.

Może pół herbaty upiłem, kiedy rozległo się paraliżujące wszystkich zebranych charakterystyczne walenie w drzwi. Gestapo choćby po tym dało się rozpoznać. Tymczasowi weszli do lokalu i nakazali wszystkim ksywy przedstawić. Pomyślałem sobie wtedy, że to nawet dobra okazja, ażeby moje arcydzieło przetestować i przy okazji zobaczyć, jak Tymczasowi na nowe nazwisko Epsteina zareagują. Nic takiego jednak miejsca nie miało. Przechodzili od stolika do stolika i wszystkich okazujących papiery, niezależnie czy Żyd, czy Polak, dwójkami pod jedną ścianą stawiali. Mnie też kazali stanąć w parze z takim jednym Kierstem. Zrobił się gwar niemały. Dotychczas spokojni klienci kawiarni pytali w różnych językach, o co chodzi i o co są oskarżeni. Do szarpaniny nie doszło, ale tłok był spory. Próbowałem w gęstwinie ludzi odszukać gdzieś Inka, ponieważ nie został jeszcze w żadną parę dobrany. Zobaczyłem go na drugim końcu sali stojącego na wprost jednego z nieproszonych gości. Tymczasowy przeglądał Ineckowe dokumenty jakby z niedowierzaniem, poprosił do siebie przełożonego, a ten jeszcze jednego z umundurowanych. Usłyszałem tylko niewyraźne „*Schweizerische Eidgenossenschaft?*” i zobaczyłem, jak jeden z drani uderza Ineczka kolbą karabinu w splot słoneczny. Boleć może go i nie bolało, ale na pewno odebrało oddech. Kiedy przykucnął na kolano, dowódca pochylił się nad nim, wycodził

kilka cichych słów i splunął mu na pochyloną głowę. Kiedy nas wyprowadzali, włącznie z właścicielem kawiarni, zdążyłem jeszcze żywczykiem odwrócić głowę w kierunku przyjaciela. Pozostał w bezruchu aż do naszego wyjścia. Sam w opustoszałym lokalu, otoczony niedokończonymi partiami.

Upchnięci jak bydło, wszyscy aresztowani na pace jednej ciężarówce mieliśmy kategoryczny zakaz odzywiania się. Jedyne, co nam pozostało, to próba kontaktu przy pomocy mimiki twarzy. Tym bardziej wszyscy patrzyli na mnie jak na dziwaka. W drodze do cienia przynajmniej kilka razy roześmiałem się pod klubą, myśląc o tym, że choć osiemnaście lat po szemranej stronie miasta aktywnie spędziłem, to dopiero Tymczasowi do dupy mi się dobrali.

Przewieźli nas nie tak daleko, bo do Centralniaka^[457], nieopodal gmachu Tryjratu^[458] Wielkiego. Osadzili nas w jednej sali, nawet sporej, ale zbyt ciasnej dla tak dużej liczby osób. Stałem na palcach, krzyknąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę, i opowiedziałem towarzyszom niedoli o ucieczce Kotta i jej konsekwencjach. Wmawialiśmy sobie, że sprawa szybko się wyjaśni, wszakże żaden z nas nawet nie znał poszukiwanego. Do tego na duchu podtrzymywał nas fakt, że był to kwacz śledczy, a Tymczasowi nie podzielili nas ze względu na pochodzenie.

Próbowali jeszcze podrzucić nam szczura, udającego upojenie alkoholowe typka mającego na celu podsłuchiwać nasze rozmowy. Śmiechu było co niemiara. Szydziliśmy z podrzutka w żywe oczy. Tymczasowi myśleli, że w tak dużej grupie nikt nie zauważy jednego więcej, zapomnieli tylko, że przed wiaćką^[459] wszyscy w szachy grali, więc nietrzeźwy jegomość wyróżniał się na tle pozostałych.

Następnego dnia rano władze więzienne – jeszcze polskie – dały nam do zrozumienia, że pobyt może jeszcze się przedłużyć. Odnosili się do nas nawet z sympatią, dostaliśmy bartka na głowę, fusy dla wszystkich i jedną szachownicę. To były szachy więzienne, ale po prośbie, za nasze chobnie złożone

w więziennym depozycie, uprzejmi klawisze dokupili nam jeszcze pięć kompletów.

Oprócz ciasnoty było całkiem przyjemnie. Jedynym zmartwieniem był podejrzany brak przesłuchań, niczego złego jednak się nie spodziewaliśmy. Korzystając z nadmiaru wolnego czasu i posiadanych zestawów do gry, grupa postanowiła rozegrać turniej błyskawiczny o tytuł szachowego metera Centralniaka. Czasem nawet strażnicy podglądali przez wizjer te nasze rozgrywki elitarnie obsadzone. Sam naczelnik odwiedzał nas na pojedyncze mecze, a i ciekawskich Tymczasowych nie brakowało. Było co śledzić, zespół biorący udział w grze był naprawdę imponujący. Kadra z Daniłowiczowskiej mogła spokojnie stanąć w szranki choćby z reprezentacją USA albo ZSRR. Kwieciński, którego honorowo obraliśmy naszym starostą, zgodził się łączyć powierzoną mu funkcję z obowiązkami sędziego turniejowego. Grało trzydziestu chłopów, każdy mecz po dwie partie. Razem dawało to bez mała osiemset partii na najwyższym poziomie. Ja oczywiście nie mogłem równać się z żadnym z zawodników, dlatego uprzejmie odmówiłem uczestnictwa i z coraz większymi wypiekami śledziłem rozwój turnieju.

W areszcie zmieniłem podejście do tej zacnej gry. Polubiłem ją nawet, choć raczej bez wzajemności. Z całego grona byłem jedynym gapiem, wszyscy traktowali mnie serdecznie i na równi ze sobą. Zaprzyjaźniłem się z każdym bez wyjątku. Z wypiekami na uszach wysłuchiwałem między meczami referatów głoszonych z pamięci przez naszego mentora Dawida Przepiórkę. W jednym z nich nakreślił metodę rozgrywania końcówek, w których uczestniczą jedynie króle i pionki. Obecny na sali Szulce wiele lat później nazwał to linią Przepiórki. Turniej miał się już ku końcowi, właściwie jedna lub dwie partie miały zdecydować o zwycięstwie Mojżesza Łowckiego lub Stanisława Kohna.

Niestety, wręcz symbolicznie, jak i te partie w kawiarni u Kwiecińskiego, pozostał niedokończony. Zaledwie kilka dni po aresztowaniu zostaliśmy

zwolnieni, chociaż nie co do jednego. Ja wyszedłem jako pierwszy i postanowiłem zaczekać na Epsteina, żeby raźniej nam było wrócić do ludzi. Po jakimś czasie odkryłem przerażający fakt. Furdygarnię ze wszystkich zatrzymanych opuszczali tylko Polacy. Mijający mnie żartowali, żebym do domu zmykał, bo grę później dokończą. Pełen nadziei i wiary we własne rzemiosło czekałem na pana Lejzo jeszcze długo po tym, kiedy ostatni kiciarz^[460] z cienia wyszedł. Przed wybicciem godziny policyjnej, zrezygnowany i zły postanowiłem wrócić do domu. Zanim jednak trafiłem w Matczyne ramiona, nadłożyłem jeszcze szmat drogi i pobiegłem do kawiarni Kwiecińskiego. Choć ostatni promyk nadziei ledwo się tlił, liczyłem, że może pan Franciszek będzie wiedział cokolwiek i że te wiadomości okażą się nie najgorsze.

Drzwi kawiarni nie były zamknięte. Spodziewałem się, że zastanę pustą salę, z której pod nieobecność Kwiecińskiego zabiedzeni sąsiedzi wyniosą, co się da, ale nie, ani jedno krzesło czy żarówka nie padło łupem złodziei. Widać ludzie bardzo pana Franciszka szanowali i liczyli, że prędzej czy później opuści dołek. Wszedłem nieśmiało, wołając gospodarza, ale oprócz mnie nikogo w lokalu nie było. Na pozór pomieszczenie wyglądało na nietknięte, z tą drobną różnicą, że wszystkie przerwane przez gestapo partie ktoś jakby do końca dograł. Nie miałem cienia wątpliwości, kto był za to odpowiedzialny. Błądząc po kawiarni i przyglądając się szachownicom, zastanawiałem się raczej, jak Inek poradziłby sobie w turnieju o mistrza Centralniaka. Po paru minutach chodzenia od stolika do stolika zorientowałem się, że pan Kwieciński stoi w progu i przygląda mi się zmęczonymi, podkrążonymi oczami.

– A więc i jakieś dobro z tej naszej przykrej przygody wynikło – powiedział spokojnie i zmusił się do uśmiechu. – Nie przypominam sobie, żebyś przed tygodniem tak grę studiował chłopcze.

– Warto było? – zapytałem lekko rozzłoszczony tym wymuszonym optymizmem, tym jego usilnym doszukiwaniem się pozytywów.

– Nie denerwuj się. Mogę ci jakoś pomóc? Zaznaczam jednak, że niczym świeżym ugościć cię nie mogę.

– Dziękuję, nie trzeba. Wie pan może, co się stało z resztą aresztowanych?

– Cóż, sam widziałeś, kto przez główną bramę wychodził.

– Właśnie widziałem i nie o nich pytam. Co z resztą? Co z Mojżeszowymi, z Przepiórką, z Epsteinem?

– Jeden ze klawiszów, co nasze rozgrywki z wypiekami podglądał, wydając mi rzeczy z depozytu zapytał ironicznie, czy nie chcielibyśmy się na Pawiak przejechać i grę dokończyć, bo żal tak emocjonujący turniej niedokończonym zostawiać.

– Pawiak?

– Pawiak, chłopcze.

Miejsce najgorsze z najgorszych, niezależnie pod jakim adresem się znajdowało. Wpierw była to baszta na dawnym Chwaliszewie. Nazywali ją wtedy Domem Kary i Poprawy dla złodziei i dłużników. W tym marszałkowskim więzieniu dłużnicy mieli się dobrze, wolno im było nawet na przepustki chodzić w celu uzebrania środków na oddanie zaległości, ale złodzieje, ci to mieli piekło na ziemi. Bici, posyłani do najcięższych robót publicznych, gdzie dla uciechy przechodne ludzie rzucały w nich bajnerami. Każdy jeden modlił się, żeby tylko nie tam otrzymać pobyt. Później z inicjatywy hrabiego Fryderyka Skarbka przeniesiono zakład na Pawią, do nowo postawionego budynku. Zmieniły się mury, ale nic poza tym i tak po tamten dzień, kiedy z Kwiecińskim w cztery zerki stałem. Jeśli najprawdziwsze czompy drżały na samą myśl osadzenia za pawiakową belką, to co dopiero delikatny Epstein musiał w takim razie przeżywać – przez myśl mi przeszło od razu.

– Do widzenia panu – rzuciłem Kwiecińskiemu na pożegnanie i wybiegłem na ulicę. Właściwie to całą drogę do domu biegłem, zwalniając tylko przy Tymczasowych chatrach, żeby nie pomyśleli, że przed kimś uciekam i warto

mi w plecy strzelić. Kiedy wszedłem do mieszkania, Matka wybuchła płaczem, a Ineczek przywitał mnie szerokim uśmiechem. Mama, jak to Mama, wyściskała mnie mocno, ile tylko sił w sobie miała, i wybiegła na klatkę sąsiadkom do drzwi atandzić^[461] i wesołą nowinę głosić. Zostaliśmy z Inkiem sami.

Kiedy Mama wróciła do mieszkania, nie mogła zrozumieć, dlaczego zamiast cieszyć się, skakać pod sufit i rozpijać domowy zapas jarzębinowy, siedzimy na podłodze w smutku pogrążeni. Opowiedziałem jej w góra trzech zdaniach, jakie nieszczęście rodzinę antykwariuszy spotkało. Jak zwykle, kiedy złe nowiny słyszała, przeżegnała się milion razy i poleciła, żebyśmy usiedli przy stole do wspólnej kolacji. Kiedy zasnęła, ubraliśmy się z Inkiem ciepło i wyszliśmy popykać jej fajkę na klatce, nie chciałem okna w mieszkaniu otwierać, zima naprawdę była sroga. Pierwszy ja się odezwałem:

– Czemu nie dałeś staremu dokumentów? Miałeś na to cały dzień, nawet w kawiarni mogłeś użyć tych swoich krawieckich sztuczek.

– Byłeś tam, dobrze wiesz, że nie mogłem – Ineczek odpowiedział zdruzgotany. – Czekałem na ciebie. Uznałem, że tobie się wdzięczność należy, że ty powinienes wręczyć mu flepy.

Miałem ochotę powiedzieć Innocentemu, że źle zrobił, że jego opieszałość być może kosztowała życie porządnego człowieka, ale nie potrafiłem tego zrobić. On już i tak to wiedział, wystarczyło na niego popatrzeć.

– Co ci powiedział ten szwab u Kwiecińskiego, zanim cię ocharchał? – zapytałem, temat na mniej przygnębiający zmieniając.

– Że każdy Szwajcar to kundel i tchórz. Tylko pół Niemiec, aż pół Francuz.

Podjęta przeze mnie próba przekierowania rozmowy na inny tor spelzła na niczym. Nawet to, że wyszedłem na wolność, nie stanowiło pocieszenia wobec tragedii, goryczy, która nas przepelniała. Emocje jak zawsze wzięły górę, kolejny już raz tego wieczora poryczeliśmy się jak zbici. Nie pamiętam, na jak długo ugrzeźliśmy w żalu, ale trwać to musiało niekrótko, bo nawet fajka przygasła.

Jeszcze jedno nie dawało mi spokoju. Kiedy się uspokoiłem, musiałem zapytać o to Inka:

– Wiesz już, kto jest Życzliwym?

– Kiedy was zabrali, o niczym innym nie myślałem. Szczęście w nieszczęściu, z piętnaście partii niedokończonych na sali zostało, a mi jakoś tak łatwiej się myśli, kiedy grać zaczynam. Coś jakbym więcej widział. Kończyłem rozgrywkę i zmieniałem stolik. Następny i następny, kolejny i jeszcze jeden. Chyba przy dwunastej desce wszystko zaczęło nabierać kształtów, liczba pytań i odpowiedzi zaczęła się równoważyć.

Ciekawość zżerała mnie od środka. Gdybym dorwał w swoje ręce Życzliwego, z czystym sumieniem gotowy byłbym go zabić. Siedząc na schodach oparty o barierkę, żywiłem nadzieję, że Inczkowi udało się jakieś nazwisko ustalić.

– Noc była jeszcze młoda, tak że postanowiłem nie czekać do dnia następnego – Innocenty zaczął obiecująco. – Poszedłem na drugą stronę Marszałkowskiej pod kawiarnię Leżańskiego zobaczyć, jak kręci się kusz. Przecież zanim Kwieciński lokal w prywatnym mieszkaniu zorganizował, właśnie tam wszyscy się umawiali. Zeskrobałem trochę szronu z szyby i do środka zajrzałem. Na zastany widok żal dupę mi ścisnął. Pamiętam tę kawiarnię jeszcze z zeszłego roku, tętniącą życiem do późnych godzin nocnych niezależnie od pory roku. Teraz pomór, obsługi więcej niż klientów tam chodzi. Patrzyłem jak Leżański, który w sześć kartek chyba o dwanaście lat się postarzał, rozdaje kelnerom jakąś dzienną monetę marną i z rozłożonymi ramionami odsyła ich do domu. Czterech chłopca wyszło frontowymi drzwiami i zatrzymało się jeszcze na moment przed lokalem. Patrzę, a pierwszy z nich wyciąga rękę pełną niedopałków po klientach zebranych i proponuje kolegom. Drugi i trzeci również do kieszeni sięgnęli i pokazali, że swoje mają. Czekam, co ostatni kelner zrobi, a on, wyobraź sobie, popatrzył na nich i nagle śmiać się zaczął. To był ten

sam, co się do mnie w drzwiach kawiarni stawiał, kiedy Machona w szachy biłem. Od razu go rozpoznałem. Pokazał kolegom lekceważącym gestem, żeby schowali te swoje ogryzki, i wyciągnął ze sztanów całą, nieotwartą jeszcze paczkę fajek. Poczęstował wszystkich i zaproponował, że może nie pora się jeszcze rozstawać, tylko lepiej wódką i dziwką wieczór we wspólnym gronie umilić. Nikt nie podchwycił pomysłu. Jeden położył na otwartej dłoni dziadźki otrzymane przed chwilą od Leżańskiego i zapytał: „Za to?”. Pozostali kieszenie w spodniach na lewą stronę wywrócili, żeby jak smutne psie uszy wyglądały. Nikt oprócz inicjatora nie miał środków na taką zabawę. Leżańskiego o donos nie podejrzewałem, na wskroś uczciwy nawet w trudnym czasie nie zostałby Życzliwym, ale ten rozrzutny kelnerzyna zainteresował mnie bardzo.

Swój swojego zawsze poznaje. Skoro wzbudził podejrzenie Ineczka, musiał mieć coś za uszami. W zniecierpliwieniu czekałem, co usłyszę dalej.

– Jak już mówiłem – Inek nawiązał do początku – noc była młoda, postanowiłem pójść za nim. Ledwo dwie przecznice minął i już do takiej jednej na rogu wystającej zagadał. Musiało mu się chcieć naprawdę, bo nie czekał w ogóle i w pierwszej bramie obok wziął ją od tyłu na skrzyni z piachem. Pieniądze rzucił na ziemię, jakby nic dla niego nie były warte. Miał gest, na wydanie reszty nie czekał, tylko poszedł dalej. Nienawidzę takich typów, na Pańskiej przynajmniej kultura była. Doszliśmy na Hożą pod wczesny numer, poczekałem na dole i zobaczyłem, jak światło w jednym z okien się zapala. Jeszcze tylko strudzony ciężkim dniem w pracy przykładowy mąż na dobry wieczór stęsknioną żonę ucałował i ponownie światło zgasło. Tyle na razie było mi trzeba, do Łokcia na Ogrodową doczłapałem się może pół godziny później. Opowiedziałem mu o waszym aresztowaniu i o swoich podejrzeniach. Popatrzył na mnie tym swoim surowym spojrzeniem i powiedział, że jak mam ochotę, to ja już najlepiej wiem, co powinienem z gnojem zrobić. Poprosił tylko, żebym, jeśli mogę, nie sprzątał jak po braciach Kania, tylko dał ludziom powód do

zastanowienia. Znasz mnie, Ładeczkę, na nic innego nie miałem większej ochoty. Na odchodne pozwoliłem sobie pożyczyć od Łokcia kilka butelek wybornego bimbru, po czym do domu wróciłem.

– To o której ty w ogóle Matkę raczyłeś poinformować, że mnie zgarnęli?

– Dzięki temu, że ze złą nowiną w środku nocy przyszedłem, przynajmniej przespała się trochę. Później już do samego rana nie zmrużyła oka. Ja też niewiele spałem. Następnego dnia pod kawiarnię Leżańskiego o tej samej porze poszedłem. Sytuacja się powtórzyła. Koledzy bez grosza przy duszy poszli w swoją stronę, a spragniony wrażeń bogacz w swoją. Dostyc szybko zaszedłem mu drogę i o dulca poprosiłem. Kiedy zauważył, że trzymam pod płaszczem nienapoczętą jeszcze butelkę wódki, serdeczniej mnie poczęstował. Szliśmy tak w kierunku Hożej, kryjąc się po bramach przed Tymczasowymi patrolami i częstowaliśmy się na zmianę. Niby spacer to niedługi, niby niedaleko, ale kiedy byliśmy już na miejscu, ledwo się gość na nogach trzymał. Prawie całą flachę w pojedynkę zmęczył, bo ja wódkę dla pozorów tylko do gęby wlewałem i gwint od ust odrywając, z abarotem do środka ją wpluwałem. Powiedziałem, że jak ma smak, to ja w swoim worku, co go na ramieniu niosłem, jeszcze kilka takich mam i możemy się nad nimi pochylić. Radość szczerą, niczym niezmacona, na jego tróci zawitała. Wyciągnął rajster kluczy i powiedział, że najlepiej w piwnicy przyjdzie nam podjąć to wyzwanie, ponieważ w mieszkaniu na górze żona przy nadziei śpi o tak późnej porze. Przy nadziei! Ty dziwkarzu zawszony – pomyślałem, schodząc pod ziemię. Nie było szans, żeby ktoś nas usłyszał albo zobaczył, jedynie przy świetle lampy naftowej siedzieliśmy. Myślałem, że szybciej się przyzna, byłem przekonany, że jedna butelka i będzie po wszystkim, a on nie, twardo: „Nie wiem, o co chodzi! Nikogo bym nie skrzywdził!” i takie tam. Do wydania was Tymczasowym przyznał się dopiero przy trzeciej flasce.

– Trzeciej?

– Trzeciej. Obwiązałem mu szczelnie mordę szalikiem i zacząłem łać przezeń

bimber wprost do ryja. Krztusił się, rzucał, w suchej piwnicy topił. Jego wypełnione bimbrem, rozpalone płuca ledwo luft łapały. Zanim zgasł ostatecznie, w nadziei, że mu odpuszczę, sam siebie życzliwie zadenuncjował.

– Ale czemu szachowym zaszкодził? – zapytałem.

– Nie uwierzysz – Inek rozłożył ręce, jak tylko szeroko potrafił. – Panowie, przenosząc swoje spotkania do Kwiecińskiego, licznych tryngeldów go pozbawili. Sprzedał ich, żeby rachunek sztykował, żeby wynagrodzić sobie utratę tryngelcin gównianych.

Umówiliśmy się z Inkiem, że dnia następnego pójdzie do Epsteinowej i wręczy jej wreszcie dokumenty, kłamiąc przy tym, że dopiero po wyjściu z siupa^[462] udało mi się je przygotować. O nieszczęsnym losie męża już zapewne wiedziała. Tuż przed samym zaśnięciem szeptem jeszcze Ineczka zapytałem:

– Mówiłeś już komuś o rozbiciu dzielnicowym?

– Chujo Grajek nie uwierzył. Twierdzi, że Niemcy to cywilizowany naród, że nawet jeśli getto to przesada, nie chodzi im pewnie o nic więcej niż zaprowadzenie porządku. Powiedział, że co ma być, to będzie, ale on ludu swojego nie opuści. Fleja natomiast stwierdził, że mogą go w dupę pocałować. Jego nic nie ogranicza, bo i tak poza Gęsią się nie wybiera. Starych drzew się nie przesadza – tycował, kiedy o szczyptę pomysłu bezskutecznie go błagałem. Woli swojskie gówno w polu niż bukiety Neapolu.

– Pięknie – podsumowałem cały przepełniony złymi wiadomościami dzień i zasnąłem.

Najgorsze z możliwych wieści nadeszły około dwa tygodnie po tym, jak wyszedłem na wolność. Wierzyłem w każde słowo, przepływ informacji z Pawiaka był dokładny jak z żadnego innego znanego mi pierdla. Konspiracja była podzielona na dwie grupy – wewnętrzną i zewnętrzną. Łączność opierała się na współpracy z polskimi funkcjonariuszami więziennymi, bałajami z miasta oraz więźniami funkcyjnymi, warsztatowymi, tymi z kolumny sanitarnej

i pracownikami administracji. Zaufani z mamra nadali, że faktycznie kilku takich szachmeterów po celach u nich porozstawiali, ale ostatnio rozkaz przyszedł i gdzieś dalej ich wywieźli. Istniało podejrzenie, że wcale w żadne nowe mury nie trafili, bo nikt stosownych dokumentów nie polecił wypełniać. Nie było co się ludzi i powrotu wyczekiwać, sytuacja była więcej niż przejrzysta. Ineczek postanowił osobiście przykre wieści pani Epsteinowej zanieść.

Śmierć Epsteina, Przepiórki i reszty wielkich mistrzów wzbudziła w nas wątpliwości wobec ciekawostek zasłyszanych od Stanka Tiso. Przecież wszyscy aresztowani mieli być przesiedleni za mur odgradzający północną dzielnicę od reszty miasta. Właśnie tak miało być, a nie jakieś wywózki i egzekucje. Zanim na dobre oprzytomnieliśmy, Tymczasowi wszystkie nasze wątpliwości rozwiali. Jakby nieprzypadkowo mur getta w prima aprilis zaczęli wznosić.

[456] Trymudka – komoda.

[457] Centralniak – Areszt Centralny przy Daniłowiczowskiej.

[458] Tryjatr – teatr.

[459] Zrobić komuś więchę – aresztować kogoś.

[460] Kiciarz – więzień.

[461] Atandzić – pukać, łomotać.

[462] Siup – areszt.

SZWAJCAR

Oszczędności powinny nam starczyć na wiele lat spokojnego życia, w końcu każdy z Partaczy nie lada dobytkiem dysponował. Nigdy nieewidencjonowany dochód pozornie nie podlegał nowym regułom majątkowym narzuconym przez Tymczasowych, nie dotyczyło nas to, co tyczyło się reszty obywatelstwa. Do czasu.

Tego żaden z nas się nie spodziewał. Niemcy uruchomili bank emisyjny, którego decyzją ważność zachowały wszystkie dotychczasowe nominały oprócz tych najwyższych. Pech chciał, że jako Partacze właśnie takie wymienialiśmy pudlarzom na dziadową monetę i stanowiły cały nasz starunek. Stuzłotówki z wizerunkiem księcia Józefa Poniatowskiego nakazano złożyć do depozytu. Czasowo deponowane miały wrócić do obiegu ozdobione czerwonym stemplem „*Generalgouvernement / für die besetzten polnischen Gebiete*”. Oczywiście nie mogliśmy sobie pozwolić na złożenie fortuny w przymusowej kasie, to byłoby zbyt podejrzane. Zresztą Poniatówki były naszym najmniejszym problemem, posiadaliśmy ich niewiele. Pudła prute niegdyś przez kasiarzy z reguły wypełniane były pięćsetkami, także i nasze – naturalna kolej rzeczy – identyczną zawartość posiadały. Te banknoty podlegały już innemu procesowi. Tymczasowi postanowili wymienić je na nowe, okupacyjne, okładając przy tym limitem wypłaty w zależności od statusu właściciela. Ja sam przekraczałem przyznany limit pewnie z tysiąc razy, także na żadną wymianę się nie pisałem, nie było mowy, żebym ujawnił się z dochodami. Podobnie reszta chłopaków. W ciągu

zaledwie kilku dni wszystkie nasze oszczędności stały się gównem, ale od czego mieliśmy Hugona. Kwestię czasu stanowiło, aż znajdzie rozwiązanie kolejnej finansowej pułapki. Zwołał nas do kupy i propozycję przedstawił:

– Limity emisyjne są głodowe, ale i chrystera taka, że wielu Żydów nawet ich nie wypełni. Możemy zaoferować im swoje pińcsety w zamian za posiadane przez nich nominały i problem z głowy. Dla nich bez różnicy, czy motyla pod stempel zdeponują, czy wymienią na nowy.

– Mam dać pińcset za czterysta w innych papierach? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Za czterysta, czterysta pińcdziesiąt – nie krył prawdy Grajek. – Strata niewielka, a innego wyjścia nie mamy. Jeden z drugim chętniej się zamieni, jeśli limitu dochodząc, dodatkowo na tym zarobi, a my się przynajmniej w bidoków nie pozamieniamy.

– Lichwa w biały dzień – nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Szansa zachować cokolwiek, Ładeczkie – poprawił mnie Grajek. – Poświęcimy część, żeby cokolwiek zachować.

– Zapomniałeś o Poniatówkach – wtrącił się Ineczek. – Co nam po wymianie, kiedy papier funta kłaków warty?

– Nie doceniasz nas, złociutki – Hugo i na ten zarzut gotową miał odpowiedź. – Możemy wymieniać się na sety do woli i we własnym zakresie je naznaczyć. Nieprawdaż, Ładku?

Przytaknąłem, nie widząc w tym najmniejszego problemu, i w ten oto sposób zawarliśmy zgodę. Trzeba było nam tylko zamianę z Żydami zgrabnie przeprowadzić i wtórnego obiegu oznakowanych Poniatówek doczekać, ażeby podróbę stempla fachowo przyszykować. Wzór okazał się prosty, nie trudniejszy niż te, którymi dotychczas się zajmowałem. W gruncie rzeczy poszło łatwiej, niż mogłem podejrzewać, wystarczyło jedynie odpowiednią barwę tuszu przymierzyć. Chwilami czułem się jak wspaniała Ignacy Julian Cejzyk albo

wybitny Józef Majnert, o którym Epstein opowiadał niegdyś Ineckowi przy okazji nauki rozróżniania fałszywych numizmatów. Majnert to był fałszerz niedościgniony. Stołeczniak z krwi i kości, za ojca miał medaliera z mennicy miejskiej, więc i sam się tam zatrudnił na rytownika. Otrzymywał za pracę wiele wyróżnień i odznaczeń, a w międzyczasie talary Zygmunta Starego podrabiał. W mennicy, na cwaniaka. Fałszował jeszcze rzadkie monety polskie, a nawet takie fantazyjnie zmyślane, na rynek antykwaryczny je później wpuszczając. Moje zadanie było bez porównania prostsze, rzecz jasna, ale miło też lokalną tradycję podtrzymać. Jak zwykle w tych sprawach cały sukces zawdzięczaliśmy oczywiście Grajkowi, bez którego z niczym byśmy pozostali. Bez wątpienia taki łeb jak jego pomógłby każdej chęwrze w tym kraju.

Choć udało nam się sporą część pieniędzy uratować, Inek obiecał Epsteinowej przejąć obowiązki starego, żeby sama z antykwariatem nie została. Jemu na pewno też to pomogło, więcej czasu w robocie to mniej czasu na myślenie zostaje. Szkoda tylko, że z każdym następnym dniem pracy jakby ubywało. Tak, na pozór irracjonalnie, liczba antykwariatów przy Mazowieckiej, przechrzczonej wówczas na Blumenstrasse, w zawrotnym tempie wzrastała. Co z tego, że przedwojenni antykwariusze jak Franciszek Studziński zakończyli działalność albo jak pan Lejzo czy Jakub Kleinman zniknęli bez śladu – lukę po nich wypełnili nowi. Salonów zrobiło się kilkanaście. Miniatury Zofii z Tyszkiewiczów Potockiej, interesy Czesława Garlińskiego, Chomętowskich, Zofii Leśniewskiej tudzież Stanisława Mycielskiego, jeden po drugim się otwierały. Nigdy przedtem handel w tym temacie nie był równie rozbudowany. Rozwijał się głównie przez brak zaufania wobec nowej waluty, ludzie dla pewności woleli lokować nadwyżki w wartości trwałe. Należały do nich, niezmiennie, dzieła sztuki klasy wyższej, a o dziwo na rynku ich nie brakowało. Wysiedlania majątków, masowe migracje do centrum kraju, a nawet konieczność zamiany większych mieszkań na mniejsze, zmuszały rodziny do wyprzedaży

dobytku po okazyjnych cenach. W ten oto sposób na rynek trafiły kolekcje należące do spadkobierców zmarłych już artystów oraz wyposażenie szlacheckich dworów. Były nowe dzieła czekające na nabywców, byli i nowi nabywcy, tyle że nie pod szesnastką. Nawet Ineczek nie potrafił sprostać licznej konkurencji, na pewno nie tak jak należało. Stary przyjaciel rodziny Epsteinów, pan Mundek Mętlewicz, na prośbę dumnej wdowy sprzedawał obrazy z jej prywatnej kolekcji po innych antykwariatach.

Mnie również dosięgły konsekwencje śmierci pana Lejzo. Inek, straciwszy kompana do gry w szachy, postanowił poszukać, a raczej wyszkolić sobie nowego. Moja opozycja, moje usilne tłumaczenia na nic oczywiście się zdawały.

– Paru grających na pewno jeszcze żyje, im narób wstydu. Dziesięć lat zmarnujesz, żeby mnie przyuczyć, a później i tak w pięć minut rozwalisz.

Zapierałem się, aż odpuścił. Trzeba jednak przyznać, że faktycznie miał problem, by spotkać się z wartościowym rywalem. Ci, którzy opuścili ze mną furdyganię, choć niezli, w ogóle Inkowi nie odpowiadali. Całej satysfakcji płynącej z gry Niemcy pozbawili go tym swoim mordowaniem. Od czasu do czasu rozegrał jakąś partię na mieście, ale bez entuzjazmu. Kiedy dowiedział się od Kwiecińskiego, że przy życiu pozostali jeszcze utalentowani Henryk Pogorieły i Marjenstrass, humor mu się poprawił, jednak nie na długo. Przyszedł raz do domu i od progu wołać mnie zaczął:

– Ładek, jesteś?

– Tutaj.

Stałem przy stole nad okrętem posym^[463] do połowy roztochany. Próbowałem zmyć, a raczej zeskrobać z siebie brud po całodniowej pracy w mincerii. Ineczek od tyłu mnie zaszedł:

– Epsteinowa miała wizytę z samego rana.

Potrącona przeze mnie miska wylądowała na podłodze, a zabarwione farbą drukarską mydliny wsiąkły szybko w drewnianą podłogę.

– Kupili Szwaba? – zapytałem ciekaw efektu swojej pracy.

– Kupili – odpowiedział bez triumfalnej nuty w głosie.

Popatrzyłem na niego zaniepokojony, a on dokończył poważny:

– Zaczęło się.

Niezależnie od przedwojennego stanu posiadania przymusowe przeprowadzki dotknęły większość ściekowych i okolicznych Żydów, również szejne Jidn^[464] czy schutzjuden^[465]. W wyniku przesiedlenia państwa Bergsonów Mama straciła pracę, a jej szubraczka^[466] Cieszka Peplak dodatkowo dach nad głową. Nie zastanawialiśmy się długo i tego samego dnia zaproponowaliśmy pani Bożeciesze, żeby razem z Cieszkim zamieszkała u nas na Twardej. Propozycję przyjęła bez wahania. Może zrobiło się i ciasno, ale co tam, na pewno wesoło.

Nie mogłem uwierzyć w skalę represji, chciałem na własne oczy zobaczyć, czy to, o czym wszystkie sąsiadki ksiutały, pokrywało się z prawdą. Tysiące Żydów ćwikających życia dobytek pod zbrojną eskortą ulice Ścieku przemierzało. Tymczasowi pozwolili im na zabranie z domów jedynie po dwadzieścia pięć kilo ręcznego bagażu, ale mimo to pochód przypominał defiladę smutnych tragarzy. Zebrani na chodnikach gapie co chwilę wynajdywali w smętym kordonie kogoś, kogo pożegnać chcieli. Sąsiada, kolegównę ze szkolnej ławy, kelnera z ulubionej kawiarni – łzom i uściskom końca nie było. Tymczasowi nie reagowali do momentu, w którym Polak nie oferował Żydowi pomocy w targaniu tobołów. Wtedy bili jednego i drugiego, a dobytek po ulicy rozrzucali i kazali iść dalej. Jeśli ktoś nie miał wystarczająco dużo siły, żeby doczłapać się do bramy getta ze swoim bagażem, w mig jego problem rozwiązywali. Wielu było chętnych do przygarnięcia tego, co niczyje, nic się nie marnowało. Rzucona przez żołnierza drogocenna menora, nie więcej niż dwa razy zdążyła się od bruku odbić, a już właściciela zmieniała. Polacy brali wszystko, potrzebne, niepotrzebne – nieważne. Żydowie, zakładając, że

którykolwiek miał jeszcze siłę, żeby po kilkunastokilometrowym marszu dodatkowo się obciążyć, podnosili z ziemi jedynie to, co mogłoby się za szczelnym murem przydać.

Obserwując przemarsz udręczonego korowodu, co chwila dostrzegałem w nim znajome twarze. To byli opiekunowie spoza i z naszej dzielnicy, ci, którym nie udało się uniknąć przesiedlenia. Dopiero wtedy pojąłem w pełni cel przez Tymczasowych obrany. Nie chodziło im wcale o inteligentów, przewodników duchowych czy lokalnych polityków. W swojej definicji warstwę przywódczą rozumieli jako ludzi cieszących się na ulicy poważaniem. Dlatego skoncentrowali się na gangusach. Dlatego nasz Ściek, wzdłuż i w wszerz dobrymi chęciami wybrukowany, po swojemu Banditenstadt^[467] nazywali. W ten prosty sposób wyszczuplili Łokciową koterię przynajmniej o połowę. Dotychczas lojalni, spędzeni do rezerwatu apasze, stali się dla Opieki bezużyteczni. Ich miejsce Tymczasowi wypełnili najbardziej bezwzględną hołotą, znaczy tak zwanymi przyzwoitymi mieszczanami. Chojnie im też dopłacali za żydożerczych nastrojów podsycanie. Cuchnęła wokół żółć i zła krew. Nigdy wcześniej przyjęte barwy bardziej do Ścieku nie pasowały.

Przynajmniej połowa z nich szmalcowała. Byli lepszymi obserwatorami niż Tymczasowi, więc całymi dniami szlajali się po mieście, wypatrując w klipie ludzi o urodzie szmurnej, ale bez obowiązkowej opaski. Nawet własnych sąsiadów sprzedawali. Kiedy tylko udało im się kogoś namierzyć, od razu dawali propozycję nie do odrzucenia: grajbery tu i teraz albo zgłoszenie do mniej wyrozumiałych organów. Łokieć szczerze ścierwa nienawdził. Jego zdaniem te gnidy zagrażały nie tylko niesfornym starozakonnym, ale i interesom starej chewry. Każdy Żyd oddany przez szmalcowników w ręce okupanta, jeśli legitymował się podrobionymi dokumentami, stanowił wielkie ryzyko dla całej naszej fałszerskiej działalności. Swoją opinię na temat szmalcowników Łokieć wyraził bardziej niż jasno w momencie, w którym pozwolił Inkowi ukatrupić

kelnera od Leżańskiego. Dał nam wolną rękę, oczywiście w ramach rozsądku, na reagowanie zawsze i wszędzie przeciw greiferom^[468]. Nie znosiłem drani. Jeden gnój elegant cylindrowy, co wyjątkowo wulgarny w klipie był, tak mnie zeźlił, że zamarzyłem pociągnąć mu z byka w splot słoneczny, a kiedy padnie na trotuar tchu pozbawiony, docisnąć i zapytać, jak to jest choć przez chwilę być tak bezbronnym, jak ci biedni ludzie obok nas idący. Nie mogłem już dłużej tam stać i patrzeć na tę zdruzgotaną karawanę. Widząc przesiedlanych, miałem do siebie żal, że tak niewiele zdołałem zrobić. Gdybym każdego dnia został chociaż godzinę dłużej w drukarni, na pewno udałoby się pomóc jeszcze kilku rodzinom. Na pewno, skoro z Epsteinową się udało.

Niedługo potem Doktor Łokietek wezwał do siebie całą ferajnę pozostającą po chrześcijańskiej stronie wielkiej ściany. Siedziałem na podwórku przed domem, kiedy podszedł do mnie jakiś szczył i z marszu zapytał:

– Ty jesteś Ładek?

– To zależy.

Dopiero po tych słowach podniosłem wzrok i przyjrzałem mu się dokładniej. Miał na oko z siedem lat i przypominał mnie z czasów, kiedy razem z Ineczkiem biegaliśmy bandytom po fajki. Stał strachem usztywniony, starając się za żadne skarby w moje oczy nie spojrzeć. W wyciągniętej ręce trzymał kawałek oberwanego z brzegu gazety papieru i modlił się, żebym jak najszybciej pozwolił mu odejść. Jak pozwoliłem, prysnął niczym wytrawny olimpijczyk, aż miło było patrzeć. Procedurę postępowania znałem bardzo dobrze, informację zapisaną na skrawku papieru przyjąłem do wiadomości, a sam skrawek zeżarłem chwilę po tym. Ucieszyłem się nawet, że Łokieć na schodkę do swojego mieszkania przy Żytnej czterdzieści, a nie do kuszku na Okopową prosił. Żeby nie było, kawiarnię ogólnie lubiłem, ale miała w sobie coś przygnębiającego.

Kiedy dotarłem, Ineczek był już na miejscu i czekał na mnie oparty o drzwi klatki numeru trzydzieści. Mieszkanie państwa Łokciów znajdowało się pod

samym strychem. Drzwi otworzyła nam Halina:

– Siedzą w salonie – wskazała ręką drogę i uciekła w stronę kuchni. Czupiradło nigdy do rozmownych nie należało. Poszliśmy prosto długim korytarzem i po chwili byliśmy w największym, jak miemam, pokoju na piętrze. Łokieć siedział w starym skórzanym fotelu i z kryształowej karafki polewał sobie jakiś nielegalny trunk sprowadzony najprawdopodobniej z irlandzkich wysp torfowych.

– Jesteście wreszcie – rzucił w naszym kierunku jakby zniecierpliwiony. – Na nikogo więcej nie czekamy, ale nie zamykajcie drzwi. Halina i tak zawsze przynosi herbatę minutę po tym, jak rozmowę zaczynamy.

Sprawdziło się. Ledwo wyściskaliśmy się ze wszystkimi serdecznie i posadziliśmy tyłki na krzesłach, a Halina wjechała do pokoju z tacą wypełnioną po brzegi filiżankami. Nie to mnie jednak zadziwiło. Rozejrzałem się po salonie i odniosłem wrażenie, że spotykamy się w gronie wyjątkowo zdziśniętym. Oprócz mnie, Ineczka i Łokietka obecni byli jeszcze Tata Tasiemka we własnej osobie, chuj nie człowiek Jurkowski Kłopot i Tewel Gromb.

– Na pewno na nikogo nie czekamy? – nieśmiało zapytałem.

Doktor Łokietek spojrział na mnie, uśmiechnął się i odpowiedział, trochę jakby mimo uszu puszczając to pytanie:

– Leib Nayera, Alfreda Kalta, Bazgroły, Szapsia oraz Kubę wyznaczyłem do opieki naszych spraw po drugiej stronie ściany. Mamy tam wielu swoich, ktoś musi się nimi opiekować. Ten szeol^[469] za murem jest dla nas szansą, panowie. Ma te same potrzeby i problemy co dawniej, a my będziemy je zaspokajać i rozwiązywać.

– Ale jak? – nie wytrzymał Tasiemka. Znał się na robocie wyśmienicie, a jednak nic mu się w sensowną całość nie układało. – Jak zamierzasz, zamierzamy to zrobić? Tymczasowi nieprzekupni, a na pewno mniej niż nasi. Samą opieką wszystkich za mordę nie utrzymasz.

– Dziś rano Czerniaków dostał od Tymczasowych polecenie utworzenia oficjalnej służby porządkowej na terenie getta. Lejkin złożył mu wizytę i przypomniał, komu tak naprawdę powinien tę służbę powierzyć. Wszyscy wiemy, że Kuba, jeśli zechce, potrafi przekonywać do swoich racji jak mało który. Stało na tym, że otrzymał od Judenratu stanowisko zastępcy komendanta, a nad sobą będzie miał tylko figuranta, oficera inspekcyjnego z Lublina, starego przechrztę Szynkmana. Pamiętacie spuchlaka? Jugany to każdemu się sprzeda, żywczykiem się nim zajmujemy. Szapsio Rotholc również posadę w nowo powstałych strukturach dostanie, zatem cały oddział posłuszny będzie. To nawet zabawne, że chinty będziemy, ale jak się nie ma, co się lubi...

Patrzyłem na Łokcia i widziałem, jak rozkoszuje się tą chwilą. Widziałem, że odzyskał dawny błysk w oku, błysk przypisany ludziom będącym w swoim żywiole. Plan niczego sobie – pomyślałem. Fest formuła. Mogliśmy wycisnąć z getta, ile tylko dusza zapagnie, bez oglądania się na Tymczasowych. Oni przecież nawet dobrze po naszymu nie szprechali.

– Kłopot jako jedyny będzie odpowiedzialny i ma moje przyzwolenie pilnować sprawy po obu stronach. Wy dwaj macie kategoriyczny zakaz przechodzenia do getta.

Rozejrzeliśmy się z Inkiem po pokoju, żeby mieć pewność, że to do nas Łokieć ten zakaz wystosował.

– Słucham? – zapytałem z niedowierzaniem.

Łokieć nie powtórzył, to już nie był jego problemat, czy dobrze usłyszałem. Wstał z fotela, podszedł do nas i gestem ręki dał nam do zrozumienia, żebyśmy się już z resztą chewry żegnali.

– Odprowadzę was do drzwi. Przodem zapraszam.

Nienawidziłem iść przed kimkolwiek. Z reguły taki spacer proponowano biedakom na cios w beret skazanym. Przez chwilę moja wyobraźnia aż nadto się wybujała. Najadłem się strachu. Ineczek wręcz przeciwnie, nieszczególnie słowa

dobierając, wyrzucił Łokciowi, co mu na wątrobie leżało:

– Po jasną cholereę nas tu zaprosiłeś?

Nie zatrzymał się przy tym, nie raczył się nawet w stronę Łokcia odwrócić. Ta pycha, której z każdym dniem swojego życia nabierał, mogła go kiedyś zgubić, ale nie tym razem. Kiedy Łokieć objął nas obu jednocześnie, uspokoiłem się i wiedziałem, że będzie dobrze.

– Nie te hamany, a wy jesteście przyszłością Opieki. To waszym obowiązkiem jest przeżyć, nie ich.

– Dowiemy się, o co chodzi? – Ineczek już pokorniej zapytał.

– Wejść do getta po dziadźki to jak do sadu po ogryzki – nie zarobi człowiek, choćby nie wiem, co wymyślił. Na pewno nie poważną monetę, ale tych tam, to zadowoli. Widzieliście ich. Siedzą jak na kruszonce i – o ile cokolwiek zrozumieli – cieszą tępe ryje, jakby swojego Boga za suchary złapali. Wasze talenta do czego innego mi się przydadzą.

Łokieć przystanął, poczekał, aż odwrócimy się w jego stronę, i spokojnym głosem tajemniczą myśl rozwinął:

– Na Wydziale Chemii w Genewie zostałem asystentem profesora Augusta Berthiera, szybko wdałem się w błędny ożenek z jego córką. Przyjechała za mną nawet łajza do Ścieku, ale że chłodna łączyła nas relacja, to i bez żalu rozstania pozwoliłem jej do ojczyzny wrócić. Nie podobało jej się chyba, że pracę naukową na rzecz prowadzenia fabryczki pasty do zębów i obuwia porzuciłem. Głupia. Wiele lat cisza panowała, nie miałem nawet wiedzy, czy cholera żyje, czy na ten przykład na szkarlatynę nie padła, aż tu nagle list pocztą otrzymałem, w którym własnoręcznie o przysługę mnie prosi. Ponoć jej bliski znajomy Elias Sternbuch, bawiąc przed wojną w Górze Kalwarii na ślubie córki miejscowego Rebe, poznał i pokochał, pochodzącą ze Ścieku koleżankę panny młodej, Gutę Eisenzweig.

Może mi się zdawało, ale odniosłem wrażenie, że pierwszy raz w mojej

obecności Łokcia coś za gardło złapało. Głos mu się zachwiał, robił coraz to dłuższe pauzy. W pewnym momencie w ogóle przestał barłóżyć. Odczekał, dał sobie czas na opanowanie niepożądanych emocji, po chwili kontynuował:

– Kiedy nad Rodan dotarły wieści o utworzeniu przez Tymczasowych zamkniętej dzielnicy żydowskiej, zmartwił się Elias i wszystkich przyjaciół, którzy mają jakiś kontakt w naszej stolicy, zaczął prosić o pomoc w odnalezieniu dziewczyny. Dowiedziałem się, że trafiła do getta, więc czym prędzej odpisałem z niedobrymi nowinami pod zwrotny adres. Długo wymienialiśmy pomysły, jaką metodą pannę Eisenzweig poza mury wydostać i do Genewy dostarczyć. Sternbuch zapytał, czy przetrzymanie w getcie dotyczy tylko naszych obywateli, bo jeżeli istnieje cień szansy na wyjazd z Polski obcokrajowca Żyda, to on chętnie postara się właściwe ksywy zorganizować. Pytał jeszcze, czy mam możliwość bezpiecznie papiery panience adresatce dostarczyć i na tym zakończyliśmy korespondencję. Niedługo potem znów napisał. Chciał wiedzieć, czy można większej liczbie ludzi pomóc, czy mógłby na mnie liczyć. Zapytał, czy i ewentualnie ile podobnych zaświadczeń dałbym radę za mur przerzucić. Odpowiedziałem, że przy zgrabnym szmuglu i w tysiące iść możemy, jeśli tylko znajdzie potrzeba.

– A gdzie w tym kusz? – tym razem ja zapytałem.

– Poczciwy Sternbuch nie wspomniał nic, że nie przystoi za taką pomoc od Żydów opłaty pobierać. Mnie tam wszystko jedno do kogo te dokumenty trafią, najlepiej do tych, co im najbardziej zależy, co im najdroższe są. Najważniejsze, że rachunek wydostanych sztykował będzie. Życie jest życie.

– A jeśli Tymczasowi oczekującego na papier wcześniej ubiją?

– Wtedy ty, Ładek, bierzesz dokument, co trzeba poprawiasz i po raz wtóry na rynek go wpuszczamy.

– A ja? – Inek zapytał o swój udział w procederze.

– A ty popytasz wśród klientów antykwariatu. Na pewno niejedyn majętny

przed Żydożercami trzęsie dupą. O szeol zadbam osobiście, flepy dla tamtejszych klientów będę przesyłał na adres tamtejszej poczty. O ich odpowiednią dystrybucję zatroszczy się Leib Nayer.

Widać już było po Łokciu, że chce jak najszybciej do pozostawionej bez nadzoru szklanki wrócić, choć i on wiedział, i my wiedzieliśmy, że po swojemu przezornie więcej się z niej nie napije. Bardzo był nieufny. Jeśli przyszedłoby mu, o nieszczęście, lepszy kawałek mięsa pod obcą opieką na chwilę zostawić, więcej się nim nie zajął. Z wódką postępował nie inaczej, bał się okrutnie, że otruty zostanie.

Nie dawaliśmy za wygraną, musieliśmy wiedzieć jak najwięcej. Coś jak bajtle dopytujące się o treść prezentów nierozpakowanych. Łokieć uległ i na szybko opowiedział nam ze szczegółami, że w Szwajcarii za pieniądze swoje i Kongresu Żydów Amerykańskich Sternbuch spróbuje przekupić ambasadorów takich państw, jak: Paragwaj, Honduras, Kostaryka, Gwatemala, Haiti, Salwador, Nikaragua, Panama czy Urugwaj. Ogólnie kierunek łaćniński, w wojnie neutralny, obrano. Po mojemu to wcale nie było najmądrzejsze. Często neutralny równa się obojętny. Istniała przecież możliwość, że tamtejsze, już lokalne, nieopłacone przez Sternbucha władze mogą autentyczność dokumentów zakwestionować i zawrócić Żydów z abarotem do naszego kraju.

Na chłopski rozum większą szansę uznania miałyby chociażby certyfikaty palestyńskie spod protektoratu Wielkiej Brytanii, gwarantujące wymianę na pojmanych przez aliantów jeńców niemieckich. Herbaciarze, co by o nich nie barłoczyć, przynajmniej na papierze byli po naszej stronie. A jakby jeszcze wśród klientów na jakiego syjonistę trafiło, toby się ze szczęścia zesrał i dodatkowo Łokietkowi zapłacił. I jeszcze jedno: lon powinien być oczywiście w dolarach, funtach lub złocie, liczyła się tylko twarda waluta. Złoty czy niepewna niemiecka marka kategorycznie nie wchodziły w rachubę.

– Ten Szwajcar, Sternbuch, on w ogóle orientuje się, czym ty się

zajmujesz? – zapytał jeszcze Ineczek, tak dla pewności.

– Oczywiście, jestem doktoryzowanym w jego kraju chemikiem i farmaceutą.

Wszyscy trzej jednocześnie wybuchnęliśmy takim śmiechem, że aż Halina z kuchni się wynurzyła. Łokieć wyściskał nas na pożegnanie, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w powrotną drogę.

Wyszliśmy z Ineczkiem z budynku. Już chciałem się zbierać w kierunku domu, a ten za rękaw mnie łapie i prosi, żebym z nim zaczekał, aż narada się skończy i wszyscy goście opuszczą mieszkanie. Niespecjalnie się spieszyłem, byłem za to ciekaw, co on znowu knuje, więc towarzysztwa mu dotrzymałem. Może po godzinie jako pierwszy Tatko Siemiątkowski wyszedł. Chwilę po nim Tewel Gromb minął nas zamyślony nad Łokciowym planem. Kłopot Jurkowski wyszedł ze spotkania jako ostatni. Stał na skrzyżowaniu ulic z ciągiem w ustach i zaczął nerwowo zapalek po dolinach szukać.

– Jeśli przypadkiem spotkamy się za murem i podpierdolisz mnie Łokciowi, ja podpierdolę ciebie Granatowym – Innocenty złożył mu zaskakującą obietnicę.

Jurkowski zmierzył chłopaka wzrokiem, postukał się w czoło i podniósł kołnierz płaszcza.

– Żarty sobie stroisz, bajtlu? Doktor wyraźnie powiedział...

Inek nie liczył się z tym, co stary bandyta miał do powiedzenia. Wydobył z kieszeni zapalniczkę grawerowaną, którą przed laty ukradł w Sztamacji, i zwrócił ją właścicielowi. Wystarczyło spojrzeć mu w bałuchy, żeby zrozumieć, że żadnego wyboru nie pozostawia, że Jurkowskiego się nie boi, że nigdy się nie bał. Mając wyryte w pamięci, co spotkało przed laty bliźniaków z Krochmalnej, Kłopot wziął sobie do serca Inkową przestrożę. Wściekły jak rzadko, podpalając przygryzionego dulca, odszedł bez pożegnania.

-
- [463] Posy okręt – półmisek, miska.
- [464] Szejne Jidn – uczeni Żydzi.
- [465] Schutjjuden – uprzywilejowani Żydzi.
- [466] Szubraczka – przyjaciółka.
- [467] *Banditenstadt* niem. – miasto bandytów.
- [468] Greifer – szmalcownik.
- [469] Szeol – w Starym Testamencie, a przede wszystkim we wczesnym judaizmie miejsce pobytu zmarłych, pozbawionych wszelkiej radości istnienia i życia.

SZTUKA

Granatowi, którzy ostali się w mieście, to najgorsze mendy były, a takich jak my to podwójnie nienawidzili. Cała formacja składająca się ze skilników będących w czynnej służbie na długo przed wybuchem wojny, skakała teraz ze szczęścia na myśl o wyrównaniu rachunków ze stołeczną Opieką, a raczej z tym, co z niej po wiosennych czystkach pozostało. Oczywiście nie wszyscy z nich kolaborowali. Na samym początku okupacji wśród Granatowych było wielu współpracowników Armii Krajowej, ale że w maju czterdziestego roku Tymczasowi aresztowali i najprawdopodobniej wybili nielicznych przyzwoitych, to na ulicach same mendy się ostały. Nie było wśród nich już nikogo pokroju Mańka Kozińskiego. Najbezpieczniej było po prostu nie wchodzić im w drogę.

Podpierdolka o szmuglu do getta wiadomo jak mogła się skończyć, najprawdopodobniej usadziliby podpierdolonego i podpierdalającego. Jurkowski zdawał sobie sprawę, że Incezek jest zdolny do takich poświęceń, tak więc posłusznie przystał na złożoną mu propozycję, a my spokojnym krokiem udaliśmy się na Mazowiecką, żeby wyprosić u Dziakiewiczowej posady fregatowych garsonków dla Mamy i pani Bożeciechy. Na odzyskanie stanowisk u Bergsonów nawet po zakończeniu wojny niestety nie miały już szans, gdyż szanowny pan Ludwik wraz z małżonką samobójstwo popełnił w chwilę po przesiedleniu.

Ledwo minął kolejny tydzień i getto zostało zamknięte. Nie tracą czasu

skurwysyny – pomyślałem. Co ciekawe, Łokieć i tym razem prognozę trafił, bo mieszkańcy odciętej od świata dzielnicy dosyć ciepło przyjęli funkcjonariuszy legitymujących się gwiazdą króla Dawida zamiast odznaki. Wiadomo było, że taki, jak pałą przyleje, to mniej chętnie, a więc lżej niż Granatowy czy Tymczasowy. Nawet żarty się wśród syjonistów za murem zamkniętych pojawiły, że oto na próbę mają przedsmak miasta tylko i wyłącznie żydowskiego, gdzie do byle mundurowego można swobodnie w jidysz zagadać.

Wiadomo, pozory jakieś przed zwierzchnikami Lejkin musiał od czasu do czasu sprawić, ale jeśli na ulicy porządek panował, to nadgorliwie po pałkę starał się nie sięgać. Tak samo i reszta oddziału, nawet porywczy Szapsio nerwy na wodzy trzymał. Trzeba przyznać, klawo się tam Kuba z resztą towarzystwa ustawił. Jako były papuga miał posłuch w Judenracie, zwłaszcza u ideowego współtwórcy policji mojęszowej Leona Berensona. Stary Berenson jeszcze przed wojną należał do najskynniejszych adwokatów. Występował w roli obrońcy w największych procesach politycznych w kraju. Przez niemal wszystkich mieszkańców getta uważany był za wielki autorytet polityczny i moralny. W głębi serca liczył na to, że żydowskie mundury przymierzą tylko ludzie uczciwi i dzięki temu przesiedleni łatwiej do końca wojny wytrzymają.

Raz na jakiś czas przyszło funkcjonariuszom Żydowskiej Służby Porządkowej wziąć udział w kipiszu, łapance czy aresztowaniach na terenie getta, ale ani oni, ani Łokietek nie mieli z tym większego problemu.

– Jeśli nie my, to kto inny, mniej delikatny to zrobi – powtarzał.

Było w tym dużo prawdy, a przy okazji szopka prawdziwą działalność naszych ludzi Szwabom przysłała. Sami oczywiście towaru na drugą stronę wielkiej ściany nie przerculali. Ich zadaniem było raczej przymykanie oka i oczyszczanie z zarzutów szmuglerów zrzeszonych pod komendą Łokcia. Najbezpieczniej było rozkręcić biznes od przewożenia żywności w Zakładzie Zaopatrywania na Umschlagplatzu. Niestety była tam ograniczona liczba

stanowisk do obsadzenia i szybko kanał transportowy okazał się na potrzeby getta zbyt wąski.

Niezaspokojeni przez Łokcia mieszkańcy na własną rękę starali się zdobyć wszystko, czego tylko im brakowało. W tym celu korzystali głównie z poczty, która na terenie dzielnicy się znajdowała. Istniały aż trzy ważne biura pocztowe: sortownia, gdzie wydawano korespondencję nielicznym bryftrygierom^[470], Biuro Przyjmowania Przesyłek Poczтовых oraz najważniejsza dla mieszkańców Poczтовая Składnica Paczkowa, w której odbywało się wydawanie nadesłanych do getta paczek. Odcięci od świata Żydowie otrzymywali paczki nie tylko od krewnych, ale także od organizacji dobroczynnych z innych krajów – ze Szwecji, Danii, Francji, Jugosławii i Portugalii. Spora część rodzin otrzymywała pomoc również z państw neutralnych. W takim Nowym Jorku na przykład działała ogłaszająca się w „Gazecie Żydowskiej” firma wysyłkowa Continental Resettlement. Oprócz niej skorzystać można było jeszcze z usług Macy’s. Typowa paczka mogła pomieścić nawet po funcie herbaty, kawy lub kakao, kilo tłuszczu do pieczenia, hreczki^[471] i salami oraz po trzy czwarte funta mydła i miodu. Przesyłano też sacher, czekoladę, ryż, marmoladę, sardynki, ale także ser, mąkę, fasolę, jawrych, sztypurę i ziemniaki.

Z czasem wzrosło zapotrzebowanie na koce, leki i inne narkotyki. Te ostatnie zażywali ci, co mieli dosyć brutalnej rzeczywistości, albo tacy, dla których leków już nie starczało. Klient nasz pan, więc by zmonopolizować ten wartościowy rynek, trzeba nam było poszukać bardziej wydajnej metody niż poczta i Zakład Zaopatrywania. Dużo bardziej wydajnej.

Łokieć żywczykiem zareagował, pochylił się nad problematem i nakazał z dnia na dzień wprowadzić w życie nowy plan działania. Kiedy miasto zostawało obstawione przez nowych, zielonych w temacie, nikomu nieznanymi żandarmów, było najłatwiej. Do świeżego podchodził niby szmalcownik i alarmował, że w odległości dwudziestu kroków ktoś przerzuca nad murem

worki do getta. Faktycznie tak było, ale w workach były śmieci. Gdy świeży starał się złapać udawanych szmuglerów, przez bezpieczeństwa posterunek wjeżdżał do getta wóz wypełniony po brzegi prawdziwym towarem. Inny sposób polegał na tym, że do świeżego podchodziło kilku miejscowych, mówiąc, że dostali polecenie naprawić zajmowaną przez niego wachę. Namawiali żandarma na wejście do środka budki, na chwilę go zamykali, dla picu hurgotali młotkami w ściany, a w tym czasie przejeżdżał transport.

Łokieć z cwaniackich metod jednak się wycofał, kiedy jeden z naszych udawanych murkarzy^[472] został przyłapany i zdjęty przez Tymczasowego. Łajdak włożył chłopakowi pistolet w usta i strzelił. Od tego incydentu czujność Tymczasowych wyraźnie się poprawiła i sami również wielokrotnie sprytem się popisali. Przebierając się za szmuglerów, tyle że z workami pełnymi karabinów, spacerowali wzdłuż ściany, szukając podejrzanych. Tym sposobem, zanim zarządzenie Łokcia dotarło do getta, zdążyli przy Ceglanej, Siennej i Twardej wystrzelać znaczną grupę naszych. Nie chcąc rezygnować z kuszu, bezustannie upatrując szansy na jego rozwinięcie, Łokieć po raz kolejny był zmuszony do zmiany taktyki działania. Wbrew opinii Taty Tasiemki postanowił sięgnąć po starą jak świat i przez niego samego na najwyższych szczeblach sprawdzoną płatną protekcję. W efekcie nie takie trudne się to okazało. Mit oddanego sprawie nazistowskiego żołnierza o nieposzlakowanej opinii i sztywnym kręgosłupie moralnym okazał się być mitem naprawdę.

Najtrudniej było posmarować oczywiście Granatowemu. Polak w mundurze, z Polaków najgorszy, zawsze uważał, że Żyd chce go orznąć. Tak samo ze Szwabami nie zawsze szło gładko, bo Granatowych o radę pytali. Jednak zawsze i niezmiennie z sukcesem najlepiej było podejść rozczarowanego życiem, smutnego żołdaka^[473]. Takiego, który był brany, poznać można było po tym, że pozwalał komuś od Lejkina stać koło siebie i luźną pogawędkę prowadzić. Z żołdatami można było pracować, nawet się zaprzyjaźnić, jeśli oczywiście któryś

z chłopaków wystarczająco cierpliwości posiadał. Dzięki branyim żołdatom proceder ruszył aż miło. Każdy żandarm miał wyznaczone zmiany pracy. Od trzynastej do piętnastej, a potem jeszcze między dziewiętnastą i dwudziestą pierwszą, pierwszą i trzecią w nocy, oraz siódmą i dziewiątą rano. Chłopaki z szajki zawsze wiedzieli, na którą wachę idzie przekupiony przez nich strażnik, co więcej, zdarzało się, że sam żandarm zdradzał, na których posterunkach będzie do zastania. Przy każdej wasze w zasięgu wzroku znajdowała się specjalnie zorganizowana kawiarnia z aparatem telefonicznym. Wystarczyło podnieść słuchawkę i zawiadomić szmuglerów po aryjskiej stronie. Każdy punkt przerzutowy miał przypisany numer, więc w trakcie połączenia telefonicznego z polską stroną tylko i wyłącznie ten numer podawano.

Współpraca przebiegała wzorowo. Z czasem Łokciowi stopkarze przekupili tylu żandarmów, że nie nadążali z wwożeniem towaru. Oszukiwali strażników, używając samochodów, które zwiększony załadunek miały. Odbywało się to już na granicy bezpieczeństwa i bezczelności. Wszyscy starali się jak najlepiej wpłynąć na rozwój szmuglowego przedsiębiorstwa. Łokieć zatrudnił tak wielu szoferów i furmanów, że często byli zmuszeni spędzić w getcie nawet po kilka dni, czekając na swoją kolej do wyjazdu. To również się opłacało. Wóz ciągnięty przez dwa konie wjeżdżał na teren getta, a po kilku dniach, kiedy wartownicy tracili rachubę w zaprzęgach, wyjeżdżał już tylko z jednym dreptakiem. Najbardziej ryzykowne było wwiezienie na teren getta człowieka. W razie niepowodzenia kończyło się to śmiercią zarówno transportowanego, jak i szmuglera oraz wyłączeniem feralnego kanału przerzutowego. Właśnie z tego powodu Łokieć stanowczo zabronił nam, znaczy mnie i Inkowi, choćby planować podobne eskapady. Łokieć Łokciem, zakazy zakazami, a Ineczek Ineczkiem. Jedyne, o czym wtedy myślał, to rozegranie choćby partii z Heniem Pogoriełym lub Marjenstrassem, ostańcami wśród stołecznych talenciaków. Tylko oni dwaj, niestety w getcie zamknięci, mogli zaspokoić Inkową potrzebę

rywalizacji. Nikt w całym Ścieku nie pragnął dostać się do getta bardziej niż on.

Kolejna zima nadciągała wielkimi krokami, tak więc Innocenty szukał sposobu na możliwie jak najszybsze przedostawanie się ze strony na stronę. Pewnego wieczora zauważyłem, że jednym okiem śledzia w lustrze mierzy, a drugim jakiś kodeks prawny połyka.

– Rozum ci odebrało już tak do reszty, prawda? – retorycznie zapytałem.

Kiedy Inek robił kilka rzeczy jednocześnie, należało rozumieć, że są to chorego pomysłu początki. Nie inaczej było i tym razem.

– Co jest na Lesznie pod pięćdziesiąt trzy? – rzucił, wzroku nie odwracając.

To w naszym fachu wiedział każdy i jak tylko mógł, szerokim łukiem ten adres omijał.

– Grodzki – odpowiedziałem bez zająknięcia. – Co ty znowu...

Nie zdążyłem nawet dokończyć. Ineczek odwrócił się do mnie odstawiony jak dzwonec w Boże Ciało i na zmianę to przykładał, to zabierał z ramienia przepaskę z gwiazdą Dawida. Przykładał, zabierał i powtarzał:

– Żyd fatygant, Rechtsanwalt^[474], Żyd fatygant, Rechtsanwalt... – i tak kilka razy, jak zawsze z uśmiechem.

Zrozumiałem, co mu do łba strzeliło, i przyznam, że takiej głupoty się po nim nie spodziewałem.

– Zejdź się z głową, imbecyłu. W grodzkim na pewno ktoś cię podpatrzy. Kuba ze sto razy dziennie tam bywa.

– No i co, jak mnie spotka? Z naszej strony do sądu może wejść każdy. Byle zawsze badył przystrojony po tamtej stronie mieć, bo Żyd w wyprasowanym wygląda podejrzenia. Sam jeszcze ze mną pofruniesz, zobaczysz.

Zapytałem go, czy nie boi się demaskacji, czy jest pewien, że żaden dzwonec na niego nie doniesie.

– Jest ryzyko – odpowiedział trzeźwo – ale podwórek uniknę, to i żaden cieć

mnie nie wyłowi.

– A byle szmondak na ulicy? – pytałem dalej.

– Kaniola^[475] nisko na paszczę i wio! – zawołał tryjatralnie^[476]. – Niech tylko który spróbuje na moje bezpieczeństwo dybnać, to go zaraz Fleja swoimi sierotami poszczuje.

– Gorzej jak to Lejkin będzie. Leżysz i kwiczysz wtedy.

– W kulturalne miejsce zmierzam, tam go raczej nie spotkam.

Co prawda to prawda. Ineczek nie zamierzał szachistów w prywatnych mieszkaniach nawiedzać, a w kawiarni Sztuka, gdzie regularnie grywali. Tam chamów pokroju Lejkina podłoga od progu w dyrki parzyła. Poza tym lokal na tej samej ulicy co sąd się znajdował, więc niedaleką drogę Innocenty miał do pokonania. Z okien domu, w którym się mieściła, widać było ścianę zamykającą wylot Rymarskiej i prawie cały plac Bankowy, będący już po aryjskiej stronie. Przed wojną każde z podwórek zamkniętej dzielnicy było naszym placem zabaw, równie dobrze kojarzyłem i ten budynek.

Kawiarnia Sztuka mieściła się w kamienicy wybudowanej dla lokalnego handelesa piwem Karola Martina. Krótsza, dwupiętrowa elewacja wystawała na Przejazd, zaś dłuższa, z trzypiętrowym ryzalitem zachwycała spacerujących ulicą Leszno. W dawnych czasach Anna z Krajewskich, żona prefekta departamentu warszawskiego w Księstwie Warszawskim Franciszka Nakwaskiego, prowadziła na parterze swój salon przyćmiewający elegancją liczne sklepy i kawiarnie. Z czasem pojawiło się jeszcze powtórkowe kino Era. Jako takie funkcjonowało do wybuchu wojny, a później, dzieląc los wielu innych jemu podobnych, straciło rację bytu i zostało zamknięte bez odwołania. Tylko śwynie siedzą w kinie – wiadomo. W kamienicy działała również całkiem spora jadłodajnia należąca do raczkującego restauratora Izaaka Gertnera. Chłop zdaje się z ambicjami był i próbował się lokali własnym nazwiskiem firmować, gdyż kolejny, w centrum ściekowej finansjery, przy Moniuszki jeszcze otworzył. Coś jednak nie tak się

potoczyło i to właśnie Sztuka zajęła pomieszczenie po Gertnerowym niewypale.

Kawiarnia szybko stała się żydowskim odpowiednikiem przedwojennego Stylu z ulicy Przeskok cztery. Bar Styl, po sąsiedzku z jedną z najlepszych wędliniarni w mieście, cieszył się powodzeniem i był wręcz uwielbiany przez artystów wszelkiej maści i wyznania. Było to miejsce więcej niż przytulne. Butelki witały gości po lewej stronie od wejścia, natomiast po prawej mogli oni zasiąść wygodnie w jednej z czterech miękkich łóż. O nastrój dbali wspólnie akompaniujący Brunon Kubik i skrzypek Kamiński Kazimierz. Nie sposób było się tam nudzić. Ostatnimi przedwojennymi właścicielami Stylu byli, będący dokładnymi przeciwieństwami, dwaj weseli panowie: drobny Wacław Bieńkowski i wielki, zawsze w zbyt małym nakryciu głowy, Konopczyński Zygmunt. Żona Zygmunta, kierowniczką sali, pani Lucynka, była prawdziwą duszą baru. Do rany przyłóż, trzeźwemu czy pijanemu. Bar, oprócz artystów, upodobali sobie również członkowie rządu, którzy chętnie wpadali przetrącić tam śniadanie. Grupa bawiąca w Stylu była ponad podziałami. Od lewicy przez centrum po prawicę. Licząc na uzyskanie nieoficjalnych informacji, od świtu polowali na nich dziennikarze pobliskich redakcji. Nieopodal swoje siedziby miały „Gazeta Poranna”, „Wieczór Warszawski”, „Jutro” oraz sanacyjna „Gazeta Polska”.

Gdy rozpętała się wojna, dziennikarze nadal przychodzili, choć tak naprawdę nie bardzo mieli o kim i do czego szrajbować. Artyści również się pojawiali, choć już nie bardzo mieli czym się chwalić. Znaczna część bywalców Stylu odwiedzała lokal niczym garkuchnię dla bezdomnych. Właściciele najmniejszego z tym problemu nie mieli i często na własny rachunek gości zapraszali. Udzielali również kredytów, które nierzadko przez nich samych bywały anulowane. Wraz z wybuchem wojny nie tylko politycy znikli ze Stylu. Ich los podzieliły również przesiedlone do getta żydowskie elity, które nowe centrum rozrywki intelektualnej właśnie na Lesznie sobie urządziły.

Kawiarnia Sztuka od razu przejawiała duże ambicje artystyczne. Taki Władek Szlengel założył tam kabaret prezentujący program pod jakże wymownym tytułem: *Żywy dzienniczek*. Królowały w nim piosenki i satyry na Granatowych oraz Gestapo, nawet epidemia tyfusu stała się dlań tematem do żartów. Jednym słowem, miejsce skrojone w sam raz pod szachową partyjkę. Oczywiście nie była to paryska Regencja jaka. W Sztuce nie przesiadywał nigdy owiany legendą Legall de Kermeur albo jego uczeń François Philidor. Nie bywali mistrzowie pokroju Deschappellesa, Kieseritzkiego, Harrwitza tudzież Morphy’ego. Pietrow lub Czigorin. Grali tam natomiast Pogorieły i Marjenstrass. Inkowi w zupełności to wystarczało. Za każdym razem przechodził do getta przez budynek sądu na Lesznie. Ledwo kilka tygodni od zamknięcia bram minęło, a ten już, mimo wyraźnego zakazu Łokcia, brykał sobie do Sztuki jakby Lejkina i Tymczasowych, i w ogóle żadnego getta w mieście nie było.

Co najgorsze, mnie coraz bardziej korciło, żeby mu towarzyszyć. Wiedział o tym dobrze, znał mnie, skurczybyk, jak nikt. Raz zapytałem go przy śniadaniu, czy w niedalekiej przyszłości jakiś ciekawy recital przewiduje, a on jak siedział spokojnie, tak skoczył nagle, żeby mnie wyściskać z najszczerzej radości. Rzucił się ucieszony jak szkarada na chabala^[477]. Nawet krzesło zawąłu dostało.

– Nie ma na co czekać, dziś nie gramy, dziś będzie balanga prima sort – wykrzyczał z pełną gębą i zanucił radośnie:

W Sztuce kawa, nie namiastka,
Anigsztajna fajne ciastka,
dziwki, śpiwki i „zet – zet”,
aby tylko szmugiel szedł...

Prima sort to będzie, jak się Łokieć dowie – pomyślałem. Z drugiej strony co tam, raz się żyje. Decyzję podjąłem – idę. Okazało się jednak, że jadę. Traf chciał, że tego dnia Polacy, z nieznanym nam przyczyn, zakaz wstępu do budynku sądu mieli i byliśmy z Ineczkiem obok opłaconego soldata szmuglerskim

wozem się przetoczyć. Dla niego nic nowego, już to przerabiał przecież. Ja natomiast pełen obaw byłem, jak za każdym razem zresztą, kiedy coś w planie nie sztykowało. Inek powiedział, żebym położył się na samym dnie wozu, a on położy się na mnie i dopiero później zostaniemy przykryci towarem, tudzież szmatami. Pokornie wyuchałem poleceń bardziej doświadczonego w szmuglu przyjaciela i pierwszy na wóz się wgramoliłem. Nie było strachu, że się uduszę, dno było tak zbutwiałe, że dziury w drewnie wielkości pięści gdzieś się porobiły. Bardziej się obawiałem ciężaru, który przyjdzie mi przyjąć na kręgosłup, ale nie jojkałem.

To na pewno był już grudzień, bo śnieg w ciągu zaledwie kilku dni oblepił wszystkie ulice. Wóz, którym nas transportowano, ciągnęły przemęczone ciężkim dniem pracy konie, zmuszone, by jeszcze raz zmierzyć się z surowymi warunkami panującymi na drodze. Jechaliśmy naprawdę powoli, a w moim odczuciu jeszcze wolniej niż w rzeczywistości. Kiedy zatrzymaliśmy się przy punkcie kontrolnym prowadzącym do getta, leżący na mnie Ineczek zasłonił mi ręką usta, w razie gdybym na przykład kichnąć miał niefortunnie. Zimą nic nadzwyczajnego, a mogło nas życie kosztować. Słyszałem, jak nasz woźnica przez chwilę wymienia uprzejmości z zaprzyjaźnionym wartownikiem, i kiedy już myślałem, że ruszamy w dalszą drogę nagle do ich rozmowy dołączył trzeci głos.

– Stać tam. Co wwozi?

To był na pewno jeden z Granatowych, akcent miał zbyt ściekowy jak na Tymczasowego. Prima sort, nie ma co – tylko tyle przyszło mi do głowy.

– Nic takiego panie wielmożny, yyy, chabaniny trochę i inne takie – zająknął się woźnica.

No żeż, kurwa jego mać, akurat z nami na pace musiał się zawahać.

– Majchra daj, germańcu – polecił soldatowi nowo przybyły.

– Was?

– Bagneta!

Słyszając te słowa, Ineczek jeszcze szczelniej zacisnął rękę na moich ustach. Przez dziury w dnie wozu widziałem, jak polski żandarm wspina się na palcach, żeby pożyczonym ostrzem głębiej w pakę sięgnąć. Dźgnął na oślep może z pięć razy, dokładnie nie pamiętam, nie w głowie mi było liczenie.

– Z czego ta jucha? – zapytał.

– Mówiłem no, że chabaninę wieżę. Prosiaka Żydom, dokładniej rzecz ujmując.

– Prosiaka? Żydom?

– Ano właśnie. Nie bity był, tylko duszony, coby się choćby jedna kropla nie zmarnowała. Z tej nędzy to Żydy już nawet koszeru nie przestrzegają, drogi panie.

Nie wierzyłem własnym uszom, to było zbyt szalone, żeby mogło się udać. Leżałem, czekałem i nie wierzyłem.

– Co ta wojna z ludźmi robi? – wystrugał menda filozofa. – Jechać! – i puścił nas dalej.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wcześniej było mi tak ciepło zimą. Prawdziwy stres potrafi niemal o gorączkę przyprawić. Byłem wykończony, herz klekot^[478] miałem jakby po wtarganiu pianina na ostatnie piętro PAST-y. Sparaliżowany strachem patrzyłem tępo przez dziury w dnie wozu na rozjeżdżone błoto ze śniegu i głodowych żydowskich wymiocin. Z każdym przejechanym metrem mój apetyt na balsam z żyta przybierał na sile. Chciało mi się wody, jak nigdy wcześniej w życiu. Kiedy się wreszcie zatrzymaliśmy i woźnica dał znak, że jesteśmy na miejscu, serce, choć niechętnie, zsunęło mi się z przetyku z abarotem do klatki piersiowej. Zeskoczyliśmy z wozu, skinęliśmy uczynnemu na pożegnanie i ruszyliśmy w kierunku migoczącej nieopodal kawiarni. Inek szedł jako pierwszy, wypatrując przy okazji, czy żaden niepożądany umundurowany nie wychodzi nam przypadkiem zza winkła na

spotkanie. Ja raczej się nie rozglądałem, szedłem za Inkiem jak tresowany i starałem się odzyskać jako taki szpas. Po paru metrach marszu, patrząc jedynie pod nogi, zauważyłem, że idę czerwonym szlakiem wytyczonym na śniegu przez jeszcze ciepłą, parującą krew. Gonilem strugę wzrokiem w nadziei, że moje przypuszczenie minie się z prawdą. Niestety, zbyt długo przyjaźniłem się z Ineczkiem, ażeby łudzić się na miłą niespodziankę.

– Pssst, Inek, twoja noga – zawołałem na tyle cicho, żeby światła w oknach pobliskich kamienic pozostały wyłączone, i na tyle głośno, by doszło do adresata.

Inek zatrzymał się, wygiął w osiem i wsadził palec w pobagnetową dziurę w portkach.

– Ja pierdołę – gmerał tym paluchem, aż patrzeć bolało. – Nowe, kurwa, nachy.

W mniej więcej taki sposób reagował za każdym razem, kiedy coś mu się stało. „Taka, kurwa, zgrabna rubacha była” – a tam kawał mięcha zwisa. Albo: „gdzie ja, do chuja, taki sweter zaceruję” – a tam pół pleców na zeszytce czeka. Dogoniłem Ineczka trójskokiem, zdjąłem swój szalik i związałem mu w ramach opaski uciskowej tuż nad raną. W takich sytuacjach był jak bajtel, gotów lamentować nad garderobą, aż padnie wykrwawiony. Kiedy skończyłem węzeł, spojrzałem na Inka i wyszeptałem:

– Uratowałeś mi życie – a żeby nie słodzić zanadto, na ten tychmiast dodałem. – Napijmy się wódki.

Jak powiedziałem, tak zrobiliśmy. Po trzech minutach otrzepywaliśmy już cybuchy w progu Sztuki. Wszystko, co mi Ineczek o tym miejscu opowiadał, okazało się prawdą, w pełni jego zachwyty zrozumiałem. Kiedy zamawialiśmy pierwszą kolejkę gorzały spod baru, ze sceny wypłyną na salę psalm *Eli lama azavtani*. Inek polecił mi tę melodię, mówiąc, że jest to popisowy numer tamtejszej wokalizy. Faktycznie, nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej

piękniejszy śpiew słyszałem. Choć wszyscy klienci kawiarni znali słowa na pamięć, nikt pod nosem nie nucił. Nie dlatego, żeby nie przeszkadzać śpiewającej pannie, ale żeby samemu sobie, choćby jednym fałszywym wyjcem, tej wyjątkowej chwili nie spaskudzić.

Może to kwestia żytniego ogłupienia, a może otaczających mnie uśmiechniętych twarzy, ale Sztuka robiła na mnie wrażenie miejsca niedoświadczonego okupacją. Tam wojna nie dotarła.

Już porządnie zalany, na długo przed opuszczeniem lokalu obiecałem sobie i Inkowi, barmanowi i chyba jeszcze krzesłu, na którym siedziałem, że nie jest to moja ostatnia wizyta w tym lokalu. Byłem zachwycony, oczywiście do czasu, kiedy Innocenty powiedział, że się zbieramy. Nie chciałem o tym słyszeć, już tak dawno nie urznąłem się na wesoło. Jakimś cudem, bez konieczności zastosowania rękoczynu, Ineczek przekonał mnie, że dłużej zostać nie możemy. Wtedy zrobiło się mniej przyjemnie. W takim stanie nie mogłem ryzykować przeprawy na aryjską stronę miasta – pal licho mnie pijanego, mogłem zaszkodzić przyjacielowi. Poprosiłem o pięć minut na toaletę i poszedłem doprowadzić się do porządku. Najpierw pawie, trzy dla pewności. Żal było patrzeć na każdy z osobna i z zawartością żołądka się rozstawać, ale trudno, po pierwsze bezpieczeństwo. Następnie tabaka doprowadziła mnie do pionu i po chwili, blady jak ściana, z jako taką prezencją, ale przynajmniej z trzeźwym wzrokiem gotowy byłem do drogi.

Mieliśmy szczęście wyjeżdżać z getta tym samym wozem, co nas wcześniej wwoził. Dokładniej rzecz ujmując, to ja miałem szczęście, bo gdyby nie otwory wentylacyjne w jego dnie, to w duchocie i pod ciężarem Ineczka na pewno zrzygałbym się jeszcze kilka razy i na każdym wyboju ubijał to twarzą. Woźnica był na tyle uprzejmy, że podrzucił nas pod sam dom na Twardą. Teraz może być już tylko lepiej – sam siebie pocieszałem. Szło mi nawet niezłe, póki nie otworzyłem drzwi do mieszkania. Przy stole naprzeciwko wejścia siedziały trzy

pretensje wyczekujące naszego powrotu. Mamę i Cieszkę Peplak jeszcze rozumiem, ale co do jasnej cholery robiła u nas Halina Łokciowa? Coś musiało być na rzeczy, bo jakbyśmy mieli za pijaństwo po uszach dostać, to Cieszek od wejścia nie dałby spokoju. Zupełnie nieprzygotowani na to, co nas czeka, zrobiliśmy z Ineczkiem nieśmiały, aczkolwiek synchroniczny krok w ich stronę. Halina wstała z krzesła i wkładając Inkowi w dłoń coś jakby list bez koperty, wymamrotała cicho:

– Łokcia mi zabrali.

[470] Bryftrygier – listonosz.

[471] *Hreczka* ukr. – kasza gryczana.

[472] Murkarze – szmuglerzy przerzucający towary przez mur do getta.

[473] Sołdat – pogardliwie żołnierz.

[474] *Rechtsanwalt* niem. – adwokat.

[475] Kaniola – czapka.

[476] Tryjatralnie – teatralnie.

[477] Chabal – adorator.

[478] Herz klekot – szybsze bicie serca.

VELNIAS

Halina nie miała pojęcia, gdzie i na jak długo jej męża osadzili. Choćby chciała, nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Słone łzy dawno wysuszyły jej oczy i choć pozornie trzymała fason, widać było, jak wiele wysiłku ją to kosztowało. Obiecałem, że jeszcze tej samej nocy wypytam ulicy o penitencjarne nowiny. W ciągu kilku następnych dni ustaliłem, że Łokieć przetrzymywany jest w alei Szucha i nic nie wskazuje na to, żeby miał wyjść na wolność. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to podjąć próbę nawiązania z nim kontaktu i choć szanse powodzenia były znikome, to Ineczek naciskał, żebyśmy się nie poddawali. Kiedy się wreszcie udało i po przeniesieniu Łokcia na Pawiak zaczęliśmy wymieniać grypsy, sytuacja okazała się bardziej dramatyczna, niż mogliśmy podejrzewać. Musieli go tam traktować gorzej niż psa. Byliśmy w szoku, bo chyba już w trzeciej wiadomości błagał o dostarczenie sobie cjanklu:

„Kapustosy^[479] się przydadzą, tłuszcze są mniej potrzebne, a nade wszystko nadeślij mi tą samą drogą cyjankali”.

Nie o anielskie kudluchy, bukfel, pluskę czy inną sznitę^[480], a o trutkę prosił. Kto jak kto, ale domniemany kat Szymele Blacharza, nasz Opiekun, nie mógł być przecież byle torturą złamany. Strach pomyśleć, jakich okrucieństw Tymczasowi się na nim dopuszczali, jeśli poprosił o ostateczne rozwiązanie. Ani myśleliśmy w samobójstwie mu dopomóc, szukaliśmy sposobu wyratowania go z mamra, aż się nam w baszkach gotowało. Z pierwszym pomysłem poleciliśmy do Haliny w drzwi mieszkania walić. Kiedy nam otworzyła, wtargnęliśmy co

najmniej jak do siebie i bez zbędnych tłumaczeń ruszyliśmy wszystkie szuflady do góry dyktą przewracać. Wiedzieliśmy, że Doktor w młodszych latach miał w zwyczaju wycinki prasowe na swój temat zbierać, jaki to on pogromca komunistów i anarchistów przeciwnych zamachowi majowemu. Ogólnie ilu z nich pogonił i tak dalej. Szczęście nam hojnie sprzyjało, nie zdążyliśmy się nawet spocić. Dumny ze swoich dokonań bojówkarz klaser z wyciętymi notami zupełnie na wierzchu trzymał.

– Mało ten dom doświadczył? Ledwo po przeszukaniu posprzątałam! – dobiegła nas kobzanka^[481] zziąjanej gospodyni.

Ineczek zamknął z trzaskiem księgę pełną gazetowych skrawków i przez tuman wzbitego kurzu rzucił ją pod dyrki Halinie.

– Chcesz Łokcia do snu, czy do grobu układać? – zapytał retorycznie. – Niech Tymczasowi poczytają, jaki bohater, w biciu komuny zasłużony, pod ich kluczem siedzi.

Zszokowana szalawa, zszokowana najściem, zszokowana naszym zachowaniem, a najbardziej chyba realną szansą wydobycia męża z niedoli, nie wypowiedziawszy ani słowa, podniosła z podłogi gęsto wyklejone karty i wskazała nam do drzwi drogę. Liczyliśmy z Inkiem, że nasz pomysł się powiedzie, w każdym innym razie winni byliśmy jej przeprosiny. Musieliśmy się jeszcze dowiedzieć, komu Łokieć pobyt zawdzięcza, bo że zawdzięczał, nie było wątpliwości. Wielu mogło skorzystać na jego zniknięciu, niemal wszyscy dotychczas protegowani. Mógł to być Tasiemka, pragnący przejąć władzę nad bandyctwem całym, mogli być Tewel z Kłopotem, szukający korzyści ze szmuglu płynących. Bazgroły, pierwsi luje za ścianą mieli tyle motywów, ile burdeli w getcie stało. Aria Leib Nayer, w lewe papiery uwikłany, również nie lada argument posiadał. Cwany najmimorda^[482] Lejkin tym bardziej. Więcej niż tylko mur nas dzieliło. Każdy z wysoko postawionych członków chewry miał powód i zdolność do zdrady Opiekuna, każdy prócz Alfreda. Ten zanadto był

lojalny, by go podejrzewać. Musieliśmy ostrzec go przed niebezpieczeństwem, o ile jeszcze było kogo ostrzegać.

W tym celu Ineczek postanowił zaryzykować i po raz kolejny na teren zamkniętej dzielnicy się przedostać. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc, baliśmy się zaufać komukolwiek. Na szczęście Alfred jeszcze żył, wychudł, zarósł na mordzie, ale żył. Kiedy tylko usłyszał przykre wieści, od razu się z Inkiem swoją wiedzą podzielili. Powiedział, że kilka dni wcześniej odwiedził go Szapsio Rotholc, ot tak, niezapowiedziany pojawił się z ofertą i flaszką. Nie wytrzymał tempa narzuconego przez starego oliwę^[483] i wygadał, że starozakonny referat Gestapo powołał ściśle zakonspirowaną Żydowską Gwardię Wolności, która ma za zadanie wykonywać najbrudniejszą robotę w getcie. Odpowiedzialnymi za dowodzenie grupą byli niejaki Sternfeld z Gancwajchem, ale w praktyce to Lejkin za sznurki pociągał jako ten bardziej w robocie szemrany. Właśnie dlatego sugerowali Alfredowi przystąpienie do nowo powstałej formacji. Byli zdania, iż jego talenta nie powinny się marnować. Alfred serdecznie podziękował za otrzymaną propozycję, obiecał też w miarę szybko odpowiedzi udzielić. Planował poinformować o wszystkim Łokcia, jednak, jak usłyszał od Inka, za późno już na to było. Wszystko wskazywało, że będziemy mieć wojnę, taką naszą własną, bandycką, tyle że ze światową w tle.

Na pomoc Kłopoty, Tewela i Tasiemki nie mogliśmy, baliśmy się liczyć. Brakowało pewności, czy nie są przypadkiem w garbatej zmowie. Musieliśmy polegać wyłącznie na sobie. Za namową Ineczka Alfred przystał na zaproszenie Rotholca i pozostając w ścisłym kontakcie z nami, szeregi Gwardii jako nasz szpicel zasilił.

- Chłopcy, ja ich mogę zniknąć – przekonywał nas oddany sprawie.
- Wykluczone, to samobójstwo – Ineczek stanowczo się temu sprzeciwił. Znać było, że własnoręcznie chce wymierzyć blatną sprawiedliwość.
- Nic nie szkodzi – nie odpuszczał rozczarowany Alfred – już od dawna

powinienem nie żyć.

Otrzymaliśmy też wsparcie od Bazgrołów, Tortor osobiście za nich poręczył. Ich pomoc okazała się nieoceniona. Niczym innym jak ciepłą dupą nie da się z mężczyzny informacji wyciągnąć, a że żydowscy agenci na usługach Gestapo mieli w getcie więcej przywilejów niż zwykli obywatele, to z usług panien lekkich obyczajów częściej niż przed wojną korzystali. Dzięki uczynnym kurwom nic istotnego nie mogło umknąć naszej uwadze. Poprosiliśmy jeszcze o sukurs zawsze bitnego Hugona oraz Fleję z jego aganiokami^[484]. Mogli nam się przydać, o ile ich bryndza nie ukatrupiła albo Korczak nie przekabacił. Choć nieliczni wcale nie byliśmy bez szans. Skrytobójcze doświadczenie było po naszej stronie. Poza tym w przeciwieństwie do większej części mieszkańców getta, my getto znaliśmy. Byliśmy miejscowi, byliśmy u siebie, oni nie. Przez lata, jak nikt inny, zdążyliśmy każde podwórze północnej dzielnicy poznać, wszystkie zakamarki spenetrować i wyrosnąć wśród obdrapanych domów na cholernie zawziętych gnoi. Byliśmy młodzi i zdolni, zdolni do wszystkiego.

Odwetu ze strony Tymczasowych nie ryzykowaliśmy, nie przejmowali się zanedo śmiercią Żydów czy Polaków, nawet tych służalczych. Na rękę im przecież było, żebyśmy wytlukli się sami. Pierwszego skurwla zdjął Alfred. Jako nasz człowiek w Gwardii wypatroszył kolegę z nocnego patrolu, po czym sam siebie dźgnął w bok i brocząc krwią, dotaszczył świeże zwłoki do gniazda żmij przy Leszno czternaście. Na miejscu opowiedział bajkę o napastnikach, którzy wykrzykując: „Rozumiemy wasze wyzwanie Gwardzisty i przyjmujemy je!”, dokonali obrzydliwej zbrodni i skryli się w mroku. Jego rana była na tyle poważna, że wymagała opatrzenia przez fachowego medyka. Dzięki tak przyszykowanej maskaradzie nikt z obecnych w budynku nie śmiał wątpić w zasłyszaną wersję zdarzenia. Wszyscy łyknęli historię o chęwrze starozakonnych siepaczy. I o to z grubsza chodziło.

Za swoją pracę nie oczekiwaliśmy poklasku czy chwały, nie chcieliśmy też

obarczać winą jawnych ugrupowań w stylu Żydowskiego Związku Wojskowego. Wojaki mieli wystarczająco kłopotów. Że w konsekwencji własnych poczynań, to oczywiste, ale personalnie też Lejkinowi nie podchodzili. Zwłaszcza pan Mietek Ettinger, jeden z założycieli Związku, od dawna był Kubie solą w oku. Jeszcze przed wojną jako utytułowany prawnik, członek Trybunału Stanu, występował w roli obrońcy w tak głośnych procesach jak Ronikiera, Gorgonowej, Bispinga, a nawet Bejlisa. Lejkin miał w dorobku co najwyżej obronę migdałów z chewry i stąd właśnie jego niechęć do Ettingera, grubą warstwą zazdrości podszyta.

Alfred poszedł na chorobowe i otrzymał przeniesienie za przysłowiowe biurko. My natomiast wzięliśmy się ochoczo do pracy. Wszystko szło po naszej myśli, gwardzistów z nocy na noc ubywało. Cegła w łeb, kawał bitego szkła pod żebro, tulipan w krtań, mojki, majchry, w ruch poszło wszystko, co życie odbiera. Mieliśmy też kastety, takie wolskie, ulepszone. Wyglądały jak cztery połączone ze sobą fingiele^[485], każdy z małym ostrzem do cięcia skóry. Inek nawet struny z antykwarycznego Seidlera powyciągał, żeby było czym gnidy dusić po cichu. Im cięższe warunki panowały wokół, tym bardziej byliśmy brutalni. Tamta zima okazała się być wyjątkowo sroga. Kiedy konający u naszych stóp gwardziści życzyli nam najgorszego, my napawali się ich widokiem. Towarzyszyło nam poczucie wypełniania woli niezliczonej ilości ludzi. Po blisko sześciu tygodniach od powstania Żydowskiej Gwardii Wolności przy życiu pozostało tylko i wyłącznie jej dowództwo, na razie dla nas, bywających za murem sporadycznie, nieosiągalne. Mieliśmy pełną świadomość, że ubiliśmy, co w naszej mocy. Okazja musiała się jeszcze nadarzyć.

Łokciowa długo nie dawała znaku życia, co doszczętnie pogrzebało naszą wiarę w uwolnienie Doktora. Ferniak nisko trzymałem spuszczone, gdy przy kolejnej wizycie na Żytnej Halina drzwi nam uchylili. Gdy otworzyła je do końca, omal na ragózkę z Inkiem nie padliśmy. Łokietek wyglądał gorzej niż

dziady uliczne. Ślady ciężkiego pobicia zdradzały przyczynę jego nienaturalnej, pokrzywionej postury. Pochylony, bez możliwości wyprostowania się w pełni, powłóczył opuchniętymi bosymi stopami, a jego pozbawione paznokci, powybijane ze stawów dłonie zwisały głęboko poniżej linii kolan. Oddychał ciężko z irytującym uszy świstem. Wigoru nie przejawiał w ogóle, zbytnio był niedożywiony. Ciężko było choćby patrzeć na ten wrak człowieka, tak niepodobny do obrazu, który w pamięci nosiłem. Zerki same łyły tłoczyły na widok jego krzywdy, a jednak była to najszcześniejsza dla nas chwila od wielu, wielu kartek. Siedzieliśmy w ciszy. Nikt nie wiedział, jak się zachować, czy aby za głośno się nie odezwie albo zranionej dumy nie podrażni. Nie przystoi też się gapić jak ciele w malowane byle co, jednak nie potrafiliśmy się powstrzymać. Pierwszy odezwał się Ineczek, żeby grobową atmosferę rozgonić. Nic mądrego nie rzucił, ale przynajmniej ten pierwszy krok wykonał:

– Bolało? – zapytał, jakby miał o tym pojęcie.

Łokieć podparł się na poręcz fotele, podniósł wbity dotąd w podłogę wzrok i niespiesznie odpowiedział:

– Tylko na początku.

Wydawało mi się nawet, że próbował się uśmiechnąć, nie wiem tylko, czemu mu nie wyszło. Może pozrywane włókna przestały odpowiadać za mimikę jego twarzy, a może nie dojrzałem zbyt drobnego grymasu schowanego pod zgrubiałymi sińcami. Lichtarnie miał jakby weselsze, tylko tyle dało się z niego wyczytać.

– A jak wam ten czas zimowy minął? – zapytał nas szczerze zainteresowany. Cóż, nie mieliśmy przygotowanej żadnej odpowiedzi, pozostała nam więc prawda. Przez krótką chwilę ważyłem słowa, zastanawiając się, jak w strawny sposób Łokciowi ją podać. Niepotrzebnie, Inek nie posiadał podobnego dylematu:

– Mordowaliśmy ludzi Lejkina – pochwalił nas pysznie.

Rzut okiem wystarczył, żeby zauważyć, iż Łokieć nie podziela jego entuzjazmu.

– Co wyście narobili? – zapytał retorycznie. Takiej reakcji to nikt się nie spodziewał. Z doświadczenia naszykowałem ryja na karne klapsy, a Halina czmychnęła do kuchni, chcąc uniknąć rykoszetu. Ineczek żarliwie zaczął się tłumaczyć:

– A co mieliśmy zrobić? Najpierw posadził ciebie, potem przejął Rotholca, wszystkich szmugiel i Arię z papierem szwajcarskim. Mieliśmy podać ci cjankli?

O dziwo Łokieć nikogo nie uderzył, niestety nie był też skory słuchać wyjaśnień.

– Ja nie krytykuję waszej odwagi. Ja krytykuję wszystko poza nią – ćwiknął w dłoni strapione czoło, jakby pochylał się nad partią szachów, i powtórzył cicho, nie czekając odpowiedzi. – Co wyście narobili?

Jego reakcja była jak nie jego. Nie uniósł się, nie krzyczał. Bynajmniej nie z braku sił, po prostu ogarnęła go trwoga zbyt poważna, żeby się wydzierać. Nie był na nas zły, był rozczarowany i przerażony. W więzieniu wyraźnie coś w nim pękło, nigdy wcześniej takim go nie widziałem. Dopiero wtedy dotarła do mnie lekkomyślność naszej samowolki.

– Musicie zniknąć. Jeśli chcecie żyć, musicie zniknąć – powiedział Doktor.

– Ale jak, gdzie? – zapytałem zaskoczony.

– Do babki Matakowej na Kamienne nie pójdziemy. Tam zaraz nas znajdą – zauważyłem.

– Do Ślepego nas nie wyślesz, bo się urwał. Do Łabatego i Majchra? A może do Brukowców na Chanajki? Nie wiesz nawet, czy oni wszyscy, czy ktokolwiek z nich jeszcze żyje. W takim razie gdzie? – zadziukał^[486] Inek.

– Pojedziecie do Wilna.

– Do Wilna? – zapytaliśmy jednocześnie. – Co, tam lepiej nam będzie? Nikogo tam nie znamy, nigdy nie byliśmy. Wolę stołeczną piwnicę niż wileński

apartament. – Ineczek, już sam, nasze wspólne stanowisko przedstawił.

– Bez dyskusji! – ryknął Łokieć, ucinając wszelkie dywagacje. Takiego go pamiętałem i chciałem widzieć już zawsze. Silnego, nieuznającego sprzeciwu. – Ktokolwiek wam źle życzy, nigdy się nie domyśli, że między komunistów was wysłałem. Gdziekolwiek, ale na pewno nie tam. W Wilnie będziecie bezpieczni. Zostając w Ścieku, nam wszystkim nieszczęście sprowadzicie na głowy. Pomyślcie o lokatorach z Twardej.

Mama, pani Cieszka, Cieszek – faktycznie, Lejkin miał się na kim odegrać, jeśli tylko by mu się zachciało. Zrozumiałem, o co chodzi Doktorowi, Innocenty chyba też, bo zmienił ton i bez zbędnych uniesień zapytał:

– Ale co z naszymi obowiązkami? Co z Domem Antyków, co ze szwajcarskimi dokumentami?

– Srał je czort – Łokietek ponownie wprowadził nas w zdumienie. – Epsteinową osobiście o waszym wyjeździe poinformuję, a papiery, które przesłaliśmy do getta, trzeba, chcąc nie chcąc, spisać na straty. Pozostały nam do szczęścia zamówienia Żydów ukrywających się po tej stronie.

– Niewiele tego zebrałem, na czym innym skupiałem uwagę – przyznał z rozbrajającą szczerością Inek.

– Trudno.

– Co z nami będzie, w tym Wilnie? – tym razem ja puściłem wodze ciekawości.

– Odwiedzicie tam Zelika Lewinsona. Gdziekolwiek pójdziecie, róg Kruczej czy Suczej, wystarczy wam pierwszego lepszego szmondaka złapać, a na pewno kierunek do jego domu wskaże.

– Pierwsze słyszę – Inek poskapił wiary.

– Wilniuk ze starego kierownictwa – odkrył karty Łokieć.

– Bruderferajniak? O ile pamiętam, to cała szaja w cieniu zgniła. Mundury żeś im na łeb zesłał. Ze schodki w Sztamacji żadnego Zelika sobie nie

przypominam.

– Bo razem z innymi na Grzybowie^[487] czas wtedy tracił – Doktor uspokoił Innocentego. – Kiedy ukończyli pobyt, Saszka Lichtsohn postanowił do gry na poważnie wrócić. Aron Wójcik na własną rękę poszedł i tak się kobzanka rozpętała. Z tego, co wiem, to już w mamrze oskarżeniem się obrzucali, z czyjej to winy świat im w kratkę oglądać przyszło. Jeden drugiemu poprzysiągł zemstę i na wolności zaczęli się ganiać. Potrafili sobie granaty do popielników piecowych wrzucać, tak im się przyjaźń obróciła. Akurat Zelik przystał po stronie Lichtsohna. Dopóki wojna starych hersztów w moje interesy nie godziła, dopóty nie widziałem przeciwwskazań, żeby się po mordach okładali. Stary Lichtsohn miał jednak ambicje miasto dla siebie odzyskać, podjął więc kroki niezbyt rozważne. Zebrał grupę oprychów i nazwał ją Złoty sztandar.

– Chujowo jakoś – Inek rzucił, pomijając powagę sytuacji.

Łokciowi nie spodobało się, że Innocenty trysnął humorem, przerywając mu zdanie. Mimo wszystko postanowił mówić dalej:

– Dopuszczał się uprowadzenia syna najbogatszego mieszkańca Wilna, właściciela lombardu Kresovia, Lejbowicza. Zażądał okupu niespotykanej dotąd skali, tak że przeciwwskazania się pojawiły. Sprawa wyglądała na poważną. Chinty pozbawione świadków porwania, błędziły po omacku ze skutkiem opłakanym. Bojąc się ośmieszyć przed całym miastem, prędko po naszą pomoc przyleciały. Zgodziliśmy się z Tatkiem, bo węszące psy szkodziły zbytnio naszym interesom. Trzeba było ukrócić samowolkę Lichtsohna. Kazałem rozpuścić po wileńskiej ulicy, że jak kto kryjówkę zdradzi, w nagrodę pozwolę mu przynajmniej życie zachować. Wtedy Zelik sprytem zaimponował. Przenicowany nie do poznaki odwiedził lokalnego przystawa i podszywając się za mojego kuriera, obsypał go wartościowymi wieściami. Urzekł mnie tym, nie ukrywam. Koniec końców młodego Lejbowicza odbito, stary pieniądz odzyskał, mundury podtrzymały pasmo sukcesu, a Lichtsohn, co się należy, kolejne cztery

kalendarze od sądu otrzymał. Wolności już nie zażył, uznałem, że nie warty. Za to Zelik Lewinson zasłużył na stołeczne uznanie. Doceniliśmy jego trybienie^[488] i zamiast wysłać kogoś w delegację, zaproponowaliśmy, żeby trzymał pieczę nad strumieniem wileńskiej monety. Dziś każdy Żyd proszący Zelika o pomoc musi uiścić stosowny lon, takie co łaska, o ile łaska wiele zer posiada. Większość z pieniędzy wędruje do nas, kilka Lewinson zostawia dla siebie. Ciężką pracą na nie zasługuje. Przydacie mu się do pomocy.

– Na pewno można ufać temu Zelikowi? – zapytałem raz jeszcze dla pewności.

– A wam można? Więcej macie na sumieniu. Bardziej się o Wilniuka zdrowie, niż na odwrót boję.

Co racja to racja, słuszność miał. Ile naszych wybryków się naoglądał, ile przez dziewiętnaście lat życia nabroiliśmy, na niejednej ulicy można by to rozdzielić. Łokieć raz jeszcze podparł głowę na dłoni, wytrwał tak chwilę w milczeniu, spojrzał na nas wymownie i powtórzył, co postanowił:

– Musicie zniknąć. Jeśli chcecie żyć, musicie zniknąć – uścisnął nam prawicę i kończąc audiencję, na drzwi wskazał.

Pożegnania nie były wylewne. Mamie opowiedziałem wreszcie o mincerii i podrobach oraz z ciężkim sercem nakłamałem, że w związku z tym muszę ratować się ucieczką za miasto. Wytłumaczyłem jej, że po zwolnieniu Łokcia na pewno całe jego otoczenie będzie przez Tymczasowych obserwowane. Kiedy pytała, na jak długo znikamy, zmyśliłem, że symbolicznie na kilka tygodni. Tak naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, ile nam zejdzie na litewskiej ziemi. Nikomu ani słowa o prawdziwym powodzie, o tym, co zrobiliśmy ludziom Lejkina, nie zdradziłem. Jedyne Alfred o autentycznych powodach naszego wyjazdu został przez Ineczka poinformowany. Życzył szczęścia w podróży i obiecał przekazać pozdrowienia Bazgrołom, Mordzie i Chujograjowi. Żał było się z dotychczasowym trybem życia rozstawać.

Następnego dnia o świcie ze skromnymi bagażami – właściwie tyle co na sobie – byliśmy gotowi do wyjazdu. Pierwszy raz w życiu tak daleko poza dom się wybierałem. Inek przynajmniej Lublin z Łokciem zaliczył, a ja najdalej pojechałem w okolice pochówku Goudy. Podróż zajęła nam tydzień. Lasami na piechotę szliśmy, trochę brankardem na lewo się podjechało, ale najczęściej to uprzejmi niemiastowi furmanką nam służyli. Wilno, miasto jak miasto. Tu ładne, tam brzydkie. W szrankach ze Ściekiem dupy nie urwało. Poszliśmy spacerem na Zarzecze, dużo dobrego Ineczek o tym rejonie wyczytał. Na wskroś żydowskie, trochę przez artychów, trochę przez apaszy zamieszkane.

Nieopodal mostu nad Wilejką Innocenty dojrzał jakiegoś szkraba, co mu się kreda z kieszeni posypała. Od razu wiedzieliśmy, że nie służy mu do rysowania gier chodnikowych, a raczej do pomocy włamywaczom. Swój swojego nawet w klipie wypatrzy. Złapałem szczyła za grzbiet na wszelki wypadek, a Inek o Zelika Lewinsona zapytał. Chojrak języka w gębie rzecz jasna zapomniał. Kiedy jednak pouczyłem go obietnicą, że buty zabiorę, pękł i powiedział, że Velniasa^[489] na Kolejowej piętnaście spotkamy. Ja w jego wieku stopy dałbym sobie odjąć, a starszych bym nie sprzedał – pomyślałem. – Gdzie ta lojalność, co się kiedyś dobrze miała. Z drugiej strony w styczniu na boso latać też niemądrze. Puściliśmy paprocha i udaliśmy się we wskazanym kierunku. Kiedy zastukaliśmy do drzwi pod właściwym adresem, otworzył nam niewysoki mężczyzna. Z samego ryja znać było, że nie od skoraj szemrany.

– Uszanowanie, pana Lewinsona zastaliśmy? – zapytałem.

– A wy to kto? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ładysław i Innocenty – przedstawiłem nas obu. – Może się do czego przydamy?

Słyszając nasze imiona, Lewinson na ten tychmiast się rozchmurzył. W przyjaznym geście obnażył schowane dotąd za plecami dłonie, sugerując, że z jego strony nic nam nie grozi. Nie żebym się przejmował, ale na co to komu od

razu chryję rozpętywać?

– Szkoc i Szajgec! Lepiej trafić nie mogliście.

– Tu będziemy mieszkać? – Inek odezwał się pierwszy raz pod wskazanym adresem.

– Ależ nie, miejsca nie starczy. Kima u mnie, tu interesanty przyjmuję – oznajmił Zelik Velnias, wprowadzając nas do mieszkania.

Tak upłynął nam ponad rok. Miało być kilka tygodni, a kolejny styczeń nastał. Lepiej bym ten okres wspominał, gdyby Tymczasowi Wilna nie zbombardowali. Kolejne dwa dni później odbili je sowietom i zajęli jak nasz Ściek kochany.

Siedząc nad Wilejką, doszliśmy z Inkiem do wniosku, że Łokieć już na pewno wszelkie problemy rozgonił. Postanowiliśmy – trzeba wracać.

[479] Kapustos – najtańszy gatunek papierosów.

[480] Bukfel, pluska, sznita, anielski włos – sprzęt do przecinania krat.

[481] Kobzanka – awantura.

[482] Najmimorda – adwokat.

[483] Oliwa – pijak.

[484] Aganiok – malec.

[485] Fingiel – tu: pierścień.

[486] Dziaukać – pyskować.

[487] Na Grzybowie – w więzieniu.

[488] Trybienie – myślenie.

[489] Velnias – litewskie określenie diabła.

SYKARIUSZE SYRENIEGO GRODU

– Nie wiem, od czego zacząć – usłyszeliśmy w drzwiach zamiast przywitania.

Kto by pomyślał, ile przez rok małolat zmeźnić potrafi, jak go samego w domu z dwiema babami pod opiekę zostawić. Peplak nie był już tym samym chłopcem, którego mieliśmy za natręta. Wyrósł wyższy od nas, w ramionach przybrał, a i w klatce jakoś go wydęło.

Dojrzałszy niż go pamiętałem, głos Cieszka łamał się o każdą sylabę:

– Chodzi o Hugona. Podobno w zaułku, kidusz recytując, jakiegoś dziwkę po swojemu lagą okładał. Zaszedł go wtedy od tyłu Lejkinowy gnój uzbrojony i zapytał, co takiego robi. „Szalom zachar^[490]! Nie przestrzega kawod szabat^[491] frędzel jeden, a mnie, Strażnika Soboty, za to oneg^[492] obowiązuje. Staramy się, rozumiesz, kompromisu dojść”. Chwilę później padły strzały.

Morda tak samo skończył. Niewiele tygodni temu jego brzdące murkarzy strugały, próbując cokolwiek bomsa nad murem przetargać. Na rutynową chatranę natknęły się niecnoty i z miejsca szamotanina zaszła. Fleja chciał dopomóc, więc z łapami rzucił się na ratunek i choć gnojstwo oswobodził, to kulawy sam daleko uciec nie zdołał. Dogonionego po plecach go dźgali, aż ducha wyzionął. Tak słyszałem.

Ani Inek, ani ja, żaden z nas czegoś takiego się nie spodziewał. Pięści w gniewie zacisnąłem tak mocno, że niedocięte paznokcie dotkliwie pokaleczyły

wewnętrzne strony obu moich dłoni. Niczego nie poczułem. Krew wypływająca spomiędzy usztywnionych palców kapała na próg mieszkania, nie robiąc na nikim obecnym najmniejszego wrażenia. Ogarnęła mnie obojętność niemożliwa do opisanego słowami.

– To nie wszystko – Peplak odczekał chwilę, przełknął, co zatoki popuściły i przeprzyskre nowiny kontynuował. – Niedługo po waszym wyjeździe Tymczasowi ponownie do drzwi na Żytniej zahurgotali i bez ceregieli Łokcia na Pawiak raz jeszcze przeprowadzili. Nie ma co się łudzić, za dużo czasu minęło, żeby powrotu Doktora w nadziei czekać. Chodziły ksiuty, że osobiście wziął go pod oko przydzielony w tym celu szef zmiany wachmajstrów, Zugführer Franz Bürkl. Ponoć wśród Tymczasowych podobnego chuja ze świecą szukać. Lubi kata wyręczyć, do więźniów bez powodu karpaczy albo i wilczurem szczuje, jeśli najdzie go ochota. Podobno najbardziej przepada sporty osadzonym prowadzić. Zagania ich na podwórze koło kotłowni, gdzie z każdym dniem hałda żrącego żużlu rośnie, takiego popiołu wymiecionego z pieców. Bürkl każe osadzonym pełzać pod górę i z abarotem, a jeśli który krytykę wystosuje, to czapa bez uprzedzenia. Niektórzy próbują czołgać się na łokciach i kolanach, żeby brzucha czy dłoni nie przysmażyć, ale na niewiele to się zdaje, bo popiół ubranie zapala i resztę skóry parzy. Góra – dół, góra – dół, i tak bez końca, aż się przedstawienie rozbawionej czeredzie Tymczasowych znudzi. Później brudasy gonione są do łaźni higienę podreperować. Bürkl puszcza ukrop na wyczerpane, spieczone głowy, a później dla szoku lodowatą leje i tak na zmianę, wedle uznania. Różnie o nim gadają. Raz, że się dotyka, kiedy krzywdę zleca, innym razem, że ciągle zamroczony chodzi. Jedyne, co udało mi się wywiedzieć, to że za plecami przełożonych bezpośrednio od Lejkina codziennie morfinę pobiera, specjalnie dla niego szmuglowaną. Nie mam też wątpliwości, kto się o to wszystko gównem postarał. – Cieszek przetał bałuchy i poluzował chomąciak^[493] manówki.

– Co z resztą? – zapytałem.

– Alfred w bajzlu u Bazgrołów się uchował. Po Epsteinowej i jej córce słuch zaginął. Resztą się nie interesowałem, jak ostrzegaliście. Nie mogłem wcześniej podać wam tych nieszczęść do wiadomości. Doktor nawet w grepsach podania miejsca waszego wyjazdu odmawiał. Póki je jeszcze posyłał.

Spojrzałem na Inka. Gdyby Lejkin widział to, co ja, porzuciłby przekonanie o słuszności swojej zdrady. Z pewnością nosił w pamięci wydarzenia tamtej nocy, kiedy na Krochmalnej pod Sztamacją gniew Innocentego odnalazł ujście w niecodziennej zbrodni. Od zawsze potwór boi się tylko większego potwora, a z odpowiednio zmotywowanym Ineczkiem nawet on nie mógł się równać.

– Zarżnę gnoja, ze skóry obedrę. Osobiście kurwy syna ścierwo za flak wywieszę – Ineczek wycedził przez zaciśnięte szczęki.

Ale to były tylko słowa. Po chwili osunął się na podłogę, powolnie ułożył głowę na kolanach, oplótł ją szczelnie rękoma i rozkleił się rzewnie. Nieprzyzwyczajeni do podobnego widoku staliśmy z Cieszkim przez moment jak słupy, wpatrzeni w niecodzienny obraz.

– Sami nie dacie mu rady – Peplak nie kończył opowieści. – Pod waszą nieobecność Lejkin ciężko harował, by jego bursa stała się w getcie jedyną realną władzą. Rzecz jasna poza Tymczasowymi. Od aresztowania Doktora krok po kroku przejmował pieczę nad kolejnymi podwórzami. Stał się nietykalny. Ufa jedynie swoim zastępcom, Erlichowi i niejakiemu Marianowi Hendelowi, byłemu akwizytorowi reklam kinowych. Ochroniają go Szapsio Rotholc i rekomendowany przez Szapsia, również bokser, szef Umschlagplatzu Krwawy Szmerling. Poza nimi Kuba ma pod rozkazem starych znajomych adwokatów: Gleichwekslera, Bramersona, Zajdlera, Nowogródzkiego, Palatyńskiego i Ćwiejko-Załęskiego. Usługują mu jeszcze Szpunt, Szajer, Hurwicz, Hcring, Beharier, Gurman, Milek Tine, Estorowicz, Konerstein, Luftig, Chaim Mangel, Gumpłowicz, Markowicz, Supp, Herc, Lutcnberg, Turkas, Włodawski, Weinraub. Będzie tego dwa i pół tysiąca drabów. Ludzie wołają ich pogardliwie

Aplikanty, jako że z lichych papug uzbierani i na równych Tymczasowym aplikują.

Cieszek wyglądał, jakby szukał porównania, które lepiej nam obecną sytuację przedstawi, w samo sedno trafi.

– Niczym od Opieki się nie różnią, rozumiecie? Pomijając odznaki – przekonywał, jak tylko potrafił. – Położyli łapska na wszystkim, na złodziejstwie, na szmuglu, na narkotykach i innych lekach. Na życiu i śmierci całego getta. Dla mieszkańców z drugiej strony muru koszmar stanowią na jawie. Gadają, że Lejkin przykład bierze z Chaima Rumkowskiego, takiego gnidy z Łodzi, co podobno przechadza się od synagogi do synagogi w królewskie szaty przenicowany^[494] i srebrnym łańcuchem z wielką gwiazdą Dawida frywolnie dynda. Słyszałem o nim, był tu. Kiedy mu się nie chce dupska ćwikać, karocą ulice przemierza. Ludzie boją się go bardzo, może nie bardziej niż kiedyś Ślepego Maksa, ale na pewno bardzo. Wolno mu zamykać ich w więzieniu, nawet na śmierć skazywać. Gada ponoć przy tym: „Moi Żydowie, domy moje. Moje fabryki, mój chleb. Dzieci należą do mnie. Starcy należą do mnie. Wszyscy należycie do mnie”. Wprowadził nawet banknoty ze swoją podobizną. Chaimki czy tam Rumki – poza gettem nie przedstawiają żadnej wartości. Szmugiel przez to im leży. Lejkin na pewno spróbuje swoje Lejki wprowadzić. Mówię wam, sami nie dacie mu rady.

– Ktoś nam w takim razie pozostał? – zapytałem zrezygnowany.

– Żydy – zaskoczył nas obu.

– Żartujesz sobie? – Ineczek zabrał głos z niedowierzaniem. Wstał z kolan, podniósł wzrok na Cieszka i zapytał retorycznie. – Jak myślisz, ile osób w getcie życiem to przybuli?

– Oni i tak już są martwi – Peplak obstawał przy swoim.

– Nie nam o tym decydować! – Innocenty wrzasnął, jak tylko wściekle potrafił. Cieszek nawet nie wiedział, czym oberwał. Leżąc bokiem na śliskiej

podłódze, trzymał się za pulsujący z bólu fernaik. Łzy goryczy cisnęły mu się do oczu, a krew kapłała rytmicznie na mankiet błękitnej koszuli.

– Co wy dwaj sobie myślicie? – wytarł twarz w rękaw, nie zważając na galanterię. – Że wyrywny burmyło^[495] z nudów jestem? Oni są już martwi i dobrze o tym wiedzą. Sami z siebie żartują, że jeden z drugim sykariusza struga i wyzbyty złudzeń wtórną Masadę wróży. Prędzej czy później, chciał nie chciał i tak na resztę nieszczęście sprowadzi, choć i nie jemu o tym decydować.

– Niech sobie do Związku Wojskowego wstąpi – odpowiedziałem Cieszkowi i pomogłem mu się podnieść.

– Przecież tam za murem jak zawsze, więcej niezgody niż wspólnego dobra. Rewizjonistyczne sieroty po Żabotyńskim nigdy w swoje szeregi nie przyjmą socjalistycznego pomiotu. Ci natomiast zrzeszają się powoli w jakieś karykaturalne kolektywy bojowe, tyle że bez wsparcia. Mogą co najwyżej bombami z mąki rzucać. Nawet swoi na poważnie ich nie biorą.

– Co nam do tego? – Inek ochłonął zaciekawiony.

– Oni aż rwą się do roboty, o której gównu wiedzą. Każdy jeden przed śmiercią pragnie jak najwięcej świń zaszlachtować i z pocałowaniem ręki krawat w zamian przyjmie. Nikt nie chce umierać na darmo.

Nasz młodszy kolega był przekonany, że z dotarciem do cywilnych śmiałków nie powinniśmy mieć żadnego problemu. Większość z nich wywodziła się z kręgów robotniczych, a nie hermetycznych, oficerskich. Nie izolowali się od towarzystwa szemranego, nie liczyła się dla nich ewentualna powojenna opinia, a jedynie efekt, który byli w stanie osiągnąć. Ineczek spojrział na mnie przekrwionymi oczami i pociągając klubą, wyszeptał:

– Mogłem Mordki w dzieciństwie z gwoździem nie żenić.

Musieliśmy ochłonąć, pozwolić Mamie nacieszyć się naszym powrotem. Jeszcze raz, na chłodno, przemyśleć to, co Cieszek powiedział. Pragnienie zadośćuczynienia Lejkinowi owładnęło nas do tego stopnia, że od lutego

do kwietnia o niczym innym ze sobą nie rozmawialiśmy. Inek zbagatelizował nawet wieści o turnieju szachowym, który Tymczasowi pozwolili Żydom w getcie przeprowadzić. Nawiasem mówiąc, w rozgrywkach zwyciężył jego znajomy, pan Pogorieły Henio. Marjenstrass również wysoko się uplasował. Zamiast śledzić relację z zawodów, Innocenty starał się skontaktować z marzycielami, co nam o nich Cieszek opowiedział. Ze względu na naszą dłuższą nieobecność w mieście i stałe migracje nieszczęśników szeol wypełniających nie mogliśmy obejść się bez pomocy zaprzyjaźnionych sutenerów jako pośredników. Trwało to kilka tygodni. Umówionym pomostem miała być dziewczyna, która czujnym okiem zweryfikuje intencji naszych szczerłość.

– Pitolko^[496]! Mordę trzymaj na wodzy – upomniał mnie asekuracyjnie Ineczek, kiedy poznaliśmy godność łączniczki. – Nie wszyscy twoje sowizdrzalskie błazenady rozumieją.

– Ale że co? – zapytałem zdziwiony. – Noż kurwa, wojująca Żydówka o nazwisku Fuchrer. To aż się prosi!

– Trzymaj na wodzy – powtórzył, nie pozostawiając pola do dyskusji.

Minął prawie tydzień i udaliśmy się w wyznaczone miejsce o wyznaczonej porze. Od czasu naszego powrotu do Warszawy ani razu nie miałem okazji getta odwiedzać, tak że byłem niezmiernie ciekaw obrazu, jaki tam zastanę. Nędza i rozpacz to niewystarczające słowa, żeby w pełni opisać tamtejsze widoki. Warunki życia odizolowanych od reszty miasta ludzi były niegodne nawet gryzoni biegających chmarnie między ich nogami. My dwaj, mimo zdobytych przez Ineczka opasek, wyraźnie wystawaliśmy z klipy wycieńczonych chałaciarzy^[497]. Poruszaliśmy się szybciej niż oni, nie charczeliśmy i w ogóle jacyś tacy mniej zapadnięci na pierwszy rzut oka byliśmy. Tylko tyle wystarczyło, żeby do każdego z nas ustawiła się kolejka „daj panie” i im podobnych. Z ciężkim sercem musieliśmy przeganiać błagających nie o suchary,

wodę czy pieniądze, ale o cokolwiek. Cokolwiek. Gdyby swoim lamentem zwrócili na nas uwagę Lejkinowych Aplikantów moglibyśmy żegnać się z życiem albo przynajmniej zdrowiem jako takim. O ile można było dyskretnie, jak tylko nam na to pozwolili skamlący starozakonni, dotarliśmy pod drzwi zakładu krawieckiego wskazanego przez Kulasa na miejsce spotkania z dziewczyną o niefortunnym nazwisku. Otrząsnąłem się z przerażających wrażeń, byle rumieniec na poblądłej twarzy odzyskać, i uchyliłem drzwi do lokalu.

– Mira Fuchrer? – rzuciłem od progu.

– Kto pyta? – zapytała nieufnie jedna z trzech obecnych w zakładzie dziewcząt.

– Tutejsi – odpowiedziałem odruchowo. – Jeśli musi pytać, widać sama nietutejsza.

Na te słowa przeszła mnie wzrokiem ostrzejszym niż niejeden bagnet. Jeśli tak reagowała na drobną uszczypliwość, to tym bardziej nie puściłaby płazem aluzji co do noszonego nazwiska.

– Tutejsza, tutejsza, tylko z rynsztokiem nieobyta – zripostowała boleśnie. – Szkoc i Szajgec, jak mniemam. W czym mogę pomóc?

– Rozmową – tym razem Inek się odezwał.

Wstała bez słowa i ruszyła w głąb lokalu. Odsłoniła coś na kształt kotary oddzielającej pomieszczenie robocze od gospodarczego i oszczędnym skinieniem głowy zaprosiła. W graciarni nie było gdzie dupy posadzić. Wszędzie wały się rupiecie, skrzynki pełne skrawków różnego rodzaju materiału. Nic nie mogło się zmarnować, nawet knepałe z pętelką przybrał w getcie na wartości. Mira przyglądała nam się w milczeniu, jakby szóstym zmysłem kierowana. Dreptała ósemką slalomem, męcząc pod klubą jakąś irytującą nutę. Brakowało jeszcze, żeby chrapy rozwarła i węszyć zaczęła.

– Maciornik Kulas aż za dobrze o was poświadczył – wymamrotała, samej

sobie przerywając. – Nie pytałam, czym sobie zasłużyliście.

– Może się przekonasz – odgryzłem się po swojemu.

– Może nie – Fuchrer zbiła mnie z tropu.

Zastanawiałem się, czy wobec wszystkich nowo poznanych była równie uprzejma, czy tylko ja na wyjątkowe względy sobie zasłużyłem. Język miała cięty i tym mnie zauroczyła.

– Macie sporo tupetu i tyle samo szczęścia – usłyszeliśmy nagle męski głos, a z cienia wyszło do nas kilku chłopca z ukrytymi w dłoniach brzytwami. – Jestem Malachi, Anielewicz, a to Jasek Kapłan – wskazał na najstarszego w grupie. Reszty nie przedstawił.

– Inek.

– Lajzer Ładek – odwzajemniliśmy kolejno etykietę, choć nie mieliśmy pewności, czy ich imiona nie zostały aby zmyślane.

Ten, co mówił, złożył brzytwę i schował do kieszeni wysłużonej kirei pamiętającej lepsze czasy, gdy nie trzeba było szeptem barłoczyć. Przywitał nas pustą, otwartą dłonią. Mówił, wyglądał i poruszał się, jakby rzeczywiście nie miał nic do ukrycia, a tym bardziej do stracenia.

– Czym my – stąd, możemy pomóc wam – stamtąd? – zapytał szczerze zainteresowany. – Przyznacie, że kierunek waszej wizyty jest wręcz odwrotny od zwyczajowego?

– Jak i cała sytuacja. Wy wolelibyście być tam, my tutaj czujemy się u siebie – podjął temat Ineczek.

– Gdyby tak było, moglibyśmy dyrki za pas zbierać – Anielewicz zasugerował, że o coś więcej mu chodzi. – Moglibyśmy nie myśleć, jak myślimy – dodał przekonany o słuszności swoich racji.

– W takim razie możecie wziąć też słuszny przykład. Patrzcie – powiedział Ineczek i ni z tego, ni z owego wyciągnął spod manówki wymemłany kawałek papieru, po czym puścił go w obieg. Nieduży arkusz przechodził z rąk do rąk,

pozostawiając wyraz podziwu na twarzach kolejnych z jego treścią zapoznanych. Obserwując bacznie reakcje syjonistów, nie mogłem się doczekać, aż przyjdzie moja pora na tajemniczą lekturę. Wziąłem w dłonie kartkę i mamrocząc pod nosem, zacząłem czytać:

„Nas nie poprowadzą, jak baranów, na ubój! Żydowska młodzieży, nie pozwól się oszukać. Z osiemdziesięciu tysięcy Żydów z Wilna, litewskiej Jerozolimy, zostało zaledwie dwadzieścia tysięcy. Na naszych oczach zabrano nam naszych rodziców, naszych braci i nasze siostry.

Gdzie są setki osób, których zabrali litewscy policjanci? Gdzie rozebrane do naga kobiety i dzieci zabrane w czasie strasznej «nocy prowokacji»? Gdzie Żydzi zabrani w dniu Iom Kippur? Gdzie nasi bracia z drugiego getta?

Wszyscy, których wywieziono z getta, już nigdy do nas nie wrócą. Wszystkie drogi Gestapo prowadzą do Ponar. A Ponary – to śmierć! Wątpiący! Odrzućcie iluzje! Wasze dzieci, wasi mężowie i żony zginęli! Ponary – to nie obóz. Ich wszystkich tam zamordowano. Hitler zamierza wykończyć wszystkich Żydów w Europie. I litewskim Żydom sądzone jest stanąć pierwszymi na tej drodze.

Nie bądźmy więc baranami idącymi pokornie na ubój! To prawda – jesteśmy słabi i bezbronni, ale opór powinien być jedyną odpowiedzią wrogowi!

Bracia! Lepiej zginąć jako wolni bojownicy, niż przeżyć dzięki miłosierdziu wroga. Walczcie! Do ostatniego tchu!

Wilno, 1.1.1942”

Wileński kawałek papieru ponownie przebył tę samą drogę z rąk do rąk, jakby wszyscy chcieli upewnić się, czy aby nie falsyfikat. Nawet nie wiedziałem, że Innocenty takie cudo z naszego zniknięcia przywiózł, chyba przez ostatnie pół roku spod koszuli go nie wyciągał. Cierpliwie wyczekał, aż wszyscy się napatrzą i zaczął tłumaczyć:

– Na rzeczoną proklamację powstała ponadtrzytysięcowa Zjednoczona

Organizacja Partyzancka. Utworzyli ją komuniści Wittenberga, ludzie „Uri” Kovnera, Beitar Josefa Glazmana i Bundowcy od Chwojnika.

– Ładnie, pięknie, ale w naszym getcie zgody nie zbudujemy. Za dużo podziałów sprzed wojny panuje, za mało widać porozumienia. Wszędzie się uda, ale nie tu – wzruszył ramionami Anielewicz.

– Jakoś o nich cicho – dodał od siebie najstarszy w grupie Josef Kapłan, wskazując palcem na wileńską bibułę.

– Bo nikt im nie podyktował, jak mają o pomyślność zadbać – wtrąciłem swoje trzy grosze w wymianę.

– My jesteśmy Blok Bojowy, byle szczył nie będzie nas pouczał! – Kapłan zagroził mi prosto w oczy. Bojowo-chujowy – przyszło mi do głowy.

– Winszuję, wielka mi różnica – zignorował go Innocenty. – Bez amunicji gównem jesteście warci. Tylko nie mówcie, że macie, wyszłicie na nas z brzytwami po rodzicach.

– Patrzcie go, jaki czomp szemrany. Co ty sobie myślisz, gangusie? – Malachi przyjął stronę towarzysza broni.

– Szantaż, wymuszenia, porwania – Innocenty odpowiedział jakby od niechcienia rzecz dla siebie oczywistą – Chyba że macie czas i cierpliwość prosić się bogatych o wsparcie? – dołożył jeszcze złośliwie.

Ależ atmosfera zrobiła się gęsta, hałas burda w powietrzu wisiała. Inek jak zwykle sycił się gniewem prowokowanych, lubił drażnić ludzi, jak mało który. Zastanawiałem się, z której strony pierwsza piącha przyfrunie. Nie było wcale powiedziane, że nie dalibyśmy sobie rady, ale tak na zdrowy rozsądek, na co komu takie zachowanie?

– Ale że my? – ku mojemu zdziwieniu zapytał z niedowierzaniem uspokojony Kapłan.

– A czemu nie? – Ineczek wzruszył ramionami.

– To bandyctwo – oburzył się Anielewicz.

– To konieczność – odpowiedziałem.

Inek zauważył, że Anielewicz dosyć ma kpiny i mimowolnie w złości po brzytwę sięga.

– Ty się tak Malachi nie napinaj. Róbcie eksy^[498] jak Rewolucjoniści Mściciele^[499], czy PPS-y albo długo nie wytrzymacie.

Dało to do myślenia, Inek do swojego przekonać potrafił. Zrzedły miny zapaleńcom, kiedy im uświadomił kalekiej nadziei krótkie ligary. Odwrócili się do nas plecami i zaczęli szmerać coś między sobą ukradkiem. Namawiali się tak przez dłuższą chwilę, a my zniecierpliwieni patrzyliśmy to po sobie, to na ich naradę.

– Jaki wy macie w tym geszeft, co? – ciszę przerwało nieufne słowo Anielewicza.

– Od razu tam geszeft – wyskoczyłem przed szereg jak obrażony.

– Chcę Lejkina – uświadomił zebranych Ineczek. – Nic innego w zamian za pomoc nie oczekuję prócz Lejkina.

Dawno w getcie tak wesoło nie było. Wątpię, czy kiedykolwiek tyle osób naraz się śmiało. Najgłośniej zanosił się Malachi. Wreszcie mógł się odwdzięczyć za wszystkie ośmieszenie, którego w rozmowie z Ineczkiem doświadczył.

– Jakuba? – ledwo wykrztusił radością zasapany, opierając się Kapłanowi o ramię.

– Nie innego. Pokażemy wam z Ładkiem, jak w trudnych warunkach chobnie się robi, a w zamian wy nas wesprzecie. Uczciwie sprawę przekładam.

I znowu to samo, znowu odwrócili się plecami. Tym razem jeszcze dłużej to trwało. Gestykulowali, jeden drugiemu w argument wchodził – wszystko szeptem rzecz jasna, ażeby do naszych uszu przedwcześnie nie dotarło. Malachi odwrócił się jako pierwszy.

– Potrzebujemy dowodu – przestał się uśmiechać, nawet w przeciwną stronę mordę skrzywił.

Nowo obrany po samobójstwie Czerniakowa przewodniczący Judenratu Marek Lichtenbaum, nie był bojowcom przyjaźnie nastawiony, dlatego właśnie na jego przykładzie postanowiliśmy Anielewiczowi proszony dowód dostarczyć. Choć wahaliśmy się, czy to aby nie przesada, pierwszy raz w życiu zastosowaliśmy metodę przez Bruderferajnę opracowaną. Tę, o której Łokieć nam opowiadał. Syna przewodniczącego przetrzymywaliśmy przez dwanaście godzin, ale nie w getcie, tylko w mincerii na Twardej. Zawiniętego w nasz szacny dywan, nieprzytomnego chłopaka za mur wydostaliśmy i przenieśliśmy bezpiecznie przez zrujnowane podwórza. Do jego opornego ojca nadaliśmy korespondencję, z której dowiedział się, że bajtel siedzi do krzesła uwiązany ze stopami zanurzonymi w lodowatej wodzie. Każda godzina zwłoki w przekazaniu rekietu przybliżała młodzieńca do choroby w warunkach getta niemal na pewno nieuleczalnej.

Grajbery oczywiście się znalazły. Ten sukces przekonał bojowników do stylu pracy po ściekowemu. Zrozumieli w końcu, że postępując według naszych wytycznych, będą w stanie cokolwiek na swoje potrzeby uciuć. Nabrali ochoty do pracy w imię wyższej idei, a ich moralność cokolwiek elastyczności nabrała. Żydowska grupa syjonistyczna połączyła się z socjalistyczną pod przewodnictwem Anielewicza. Kapłan osobiście nas o tym poinformował. Opuszczając szeol, ryzykował życie, żebyśmy zgodę zawarli. Mimo iż sugerowaliśmy naszym sojusznikom jak największą liczebność, Żydowska Organizacja Bojowa – moim zdaniem Sykariusze Syreniego Grodu bardziej pasowałyby do charakteru planowanej działalności – postanowiła pozostać elitarną. Od samego początku sens jej istnienia wytyczała, jak słusznie przewidział Inek, ilość posiadanej broni. W końcu co to za oddział, co tylko wręcz się bije. Wreszcie nadeszła pora na Szkoca i Szajgca, przyszedł czas wywiązać się z naszej części umowy. Byliśmy ponownie z Inkiem w swoim świecie utęsknionym, który Tymczasowi napaścią na Ściek brutalnie nam

odebrali.

Nie było już odwrotu, nie było zmiłuj. Owładnięci gniewem ochoczo zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się do pracy na terenie przez Lejkina opanowanym. Na początek potrzebny był skok na sporą monetę. Rozpoczęliśmy od rozprucia kasy przedsiębiorstwa aprowizacyjnego, a niedługo później także jej judenratowy odpowiednik za naszą przyczyną o następnych kilkaset tysięcy złotych wyszczupłał. Nadal jednak brakowało. Chodziło się po wszystkich, ale wciąż było mało. Bez regularnych wpłat ze strony mieszkańców ciężko utrzymać organizację w przynajmniej zadowalającej kondycji, musieliśmy wywrzeć na nich stanowczy wpływ, najlepiej w stylu już dawno na Kercelaku wypróbowanym.

Zdarzały się jednak postawy, na które w ogóle nie byliśmy przygotowani, również im trzeba było zaradzić. Najbardziej nas zaskoczyło, że porywanie dzieci niekoniecznie posłuszeństwo wymuszało. Bywali tacy, co woleli rozstać się z dzieckiem niż z pieniędzem i wcale nie spieszyli rekietu wnosić. Do nich żywiliśmy największą odrazę. Postanowiliśmy więc jeszcze co chaworniejszych Żydów, choćby spośród grona Lejkinowych przemytników, podatkiem na rzecz ŻOB-u obarczyć. Niejeden podopieczny Malachiego miał problem z takim rozwiązaniem, wszakże nigdy wcześniej poborem haraczu sumienia sobie nie splamił. Od czego jednak jest dowódca, jak nie od przekonania o słuszności działań. Samego Anielewicza właściwie z nami nie było, gdyż jeździł po Śląsku i w tamtejszych gettach organizował kolejne cywilne boje, ale Kapłan – przychylny starościekowej higienie pracy – sumiennie całym towarzystwem zawiadował.

Ineczek zauważył ponadto, że kiedykolwiek w odwiedzinach po haracz do żydowskiego lokalu wchodzi, wzbudza większy lęk niż reszta koterii. Najpewniej – tak przypuściliśmy – chodziło o jego urodę, bardziej po drugiej stronie muru akceptowaną. Postawiliśmy na to zauważenie i o dziwo podziałało.

Z wiadomych względów Inek i ja nie mogliśmy uczestniczyć w każdym wymuszeniu, na szczęście w szeregach organizacji był Szymek Ratajzer, który, choć Żyd rodzony, wyglądem od innych odstawał. Jeśli oporny nieczuły był na klasyczne środki przymusu, Kapłan groził, że Polaka wezwie, a ci, jak wiadomo, w tańcu z Żydami się nie pierdolą. Ratajzer przykładał upartemu lufę do samary, cedził kilka słów i odbierał oszczędności. Raz ojciec porwanej przez nas lalki, chaworny przedwojenny kupiec, odmówił zapłaty, zakładając, że Żyd Żydowi takiego numeru wywinąć nie da rady. Poniekąd słusznie, ale uzbrojony Szymek świrujący Polaka już dał. Od tej chwili wszyscy nam bulili, kierowana przez nas banda – choć nie liczebnie, a raczej tupetem – zrównoważyła siłę Lejkina.

Problemu dofinansowania organizacji nigdy nie udało nam się rozwiązać w absolutnie zadowalający sposób. Czerpaliśmy z wysychającego źródła i każdy z nas dobrze o tym wiedział. Co mogliśmy wycisnąć, zostało wyciśnięte. ŻOB-y zaufały nam bezgranicznie, a nasza współpraca o umowę ustną oparta bez zakłóceń przebiegała. Nauczyliśmy ich tego, co potrafiliśmy najlepiej, a oni nad wyraz pojętni się okazali. Teraz musieli wywiązać się ze złożonej nam obietnicy, co zresztą wszystkim zaangażowanym było na rękę. Nadeszła pora przycisnąć frajerów od Lejkina. Każdą następną akcją pragnęliśmy gorszyć mu nastrój i nakręcać herz klekot. Żeby przestał spać spokojnie, żeby wiedział, że śmierć Łokcia nic mu nie dała, że nie powinien do swoich celować, ogólnie, żeby zbyt dobrze się nie czuł.

Staraliśmy się siać strach za dnia, kiedy było to najbardziej bezczelne. Za pierwszy nasz cel z Aplikantów obraliśmy szeregowego funkcjonariusza. Był nieistotnym płociem, takim w sam raz na początek – nawet jego nazwiska nie spałem. Przyszliśmy do niego około czwartej po południu. Nie chciał dać, uniósł się odwagą, więc i my poszliśmy o krok dalej. Kiedy Jasek Kapłan wahał się pociągnąć za spust, Ineczek stanął mu przed pistoletem, przykrył lufę spodem dłoni, dając mu do zrozumienia, że na takie gównie każdej amunicji szkoda.

– Pierdolisz się jak matka z łobuzem – pouczył Joska zniecierpliwiony.

Wyciągnął łyżkę z niedopitej przez kolaboranta herbaty, chwycił odwrotnie, niż normalnie się trzyma, i węższym jej końcem przebił Aplikantowi szyję w okolicy krtani.

Nikt z nas – ani my, ani Żobiaki – nie łudził się, że zabijając Aplikantów, czy choćby samego Lejkina, obronimy getto przed zagładą. Bojowcy traktowali to raczej jak połączenie przyjemnego z pożytecznym, gdyż mogli się zaprawić i przy okazji przechwycić kilka sztuk broni. Dla nas, dla Szkoca i Szajgca, krzywda Jakuba była celem samym w sobie, kto tam zająłby po nim schedę, było dla nas nieważne. To była sprawa osobista. Zależało nam, by garbus gryzł piach, a resztą zaopiekowaliby się już chłopcy od Anielewicza.

Bojowcy dzień po dniu rośli w siłę, zrzeszając coraz to więcej marzycieli. Doszło nawet do tego, że organizacji udało się wmieszać kilku swoich sympatyków w szeregi aplikanckie, w celu dezinformacji oraz przeprowadzenia planowanych zamachów. Jeden z nich, Israel Kanał, otrzymał polecenie likwidacji dowódcy żydowskiej policji, branego spuchlaka Szynkmana. Niestety nie wywiązał się kapcan[500] z powierzonego zadania i strzelając dwukrotnie do celu, jedynie niegroźnie go ranił. Niestety oznaczało to, że na czas rekonwalescencji nadkomisarza jego obowiązki przejął Lejkin. Porażka na każdym polu. Zaraz represje się nasiliły. Niestety partyzantom getta nie dopisywało szczęście Szynkmana. Niektórych to nawet śnieżką dałoby radę pogruchotać. Jako jeden z pierwszych odszedł od nas Kapłan. Tymczasowi aresztowali go na początku września i stracili po tygodniu przesłuchań. Zdążyliśmy się niestety zaprzyjaźnić.

Kiedy ŻOB osiągnął dostateczną samodzielność, Ineczek zauważył, że nadeszła pora, by Malachi wywiązał się z obietnicy złożonej nam w rupieciarni. Anielewicz, chłopak słowny, podtrzymał zawartą umowę. Do pomocy w przyszykowaniu zamachu na Lejkina przydzielił nam Emilkę Landau, Israela

Gutmana oraz Eliasza Różańskiego. Różański przystąpił do nas na wyraźną prośbę Anielewicza. Malachi zapytał, czy nie mielibyśmy nic przeciwko, ażeby gloria za zdjęcie Kuby spłynęła na jego organizację. Zależało mu na tym, żeby konsekwentnie budować wizerunek bojowców nieznających strachu, a egzekucja funkcjonariusza Lejkina mogła temu wyłącznie dopomóc. Dla nas w sam raz.

Wspominając zorganizowany przez Łokcia zamach na Pierackiego, doszliśmy do wniosku, że to nawet lepiej mieć Różańskiego jako naszego Maciejkę. Wszystkim to wyjdzie na rękę. Malachi proponował jeszcze dołożyć nieporadnego Kanała, ale podziękowaliśmy serdecznie, tłumacząc pokrętnie, że już wystarczy. Zmuszeni byliśmy pamiętać, w jakich warunkach przyszło nam targnąć się na życie Kuby. Okoliczność organizowania czegokolwiek w getcie nie znosiła nieudolności i nie przewidywała powtórzeń, mieliśmy tylko jedną szansę, żeby wypełnić swoje postanowienie. Emilka z Gutmanem odpowiedzialni byli za przesłedzenie drogi Lejkina, jaką codziennie przemierzał do pracy i z abarotem. Obawialiśmy się, że z racji na nienawiść, jaką był otoczony, chcąc uniknąć zamachu, każdego dnia będzie spacerował innymi ulicami. Pyszny i wierzący we własną nietykalność, na nasze szczęście nie okazał się być aż tak zapobiegliwy. Podwórkowy wywiad wyznaczył na miejsce zamachu okolicę znaną nam wyjątkowo dobrze. Zemsta miała się dokonać przy Gęsiej, na wysokości apteki, której właściciel uratował niegdyś życie Flei ugodzonego tam przez Ineczka. Potraktowaliśmy to za dobry znak.

Plan był prosty; ja przecinam Lejkinowi drogę, Inek zachodzi go od tyłu i przecina mu coś innego. Po wszystkim znikamy, a Eliaz dodaje organizacji rozgłosu, strzelając do osuwającego się na trotuar kolaboranckiego ścierwa. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, że najchętniej Ineczek zaciągnąłby Lejkina do naszej starej Szczujni, powiesił do góry nogami pod ołowianym dachem, wsadził głowę do wiadra i tak długo kaleczył, aż by się Kuba utopił we własnej krwi zebranej w tym wiadrze. Tak się niestety nie dało.

Na dzień sądu Inek obrał siedemdziesiątą rocznicę śmierci Pierre'a Saint-Amanta, francuskiego szachisty, w opinii mojego przyjaciela tchórza i zdrajcy dyscypliny, który nie miał ambicji podjąć rękawicy w pojedynku z przybyłym do Paryża zza oceanu Paulem Morphym. Byliśmy na stanowiskach już parę minut po godzinie siedemnastej, chociaż zdaniem Emilki Lejkina należało się spodziewać około godziny później.

Niestety przez to, że znajdowaliśmy się w samym sercu getta, nie wolno nam było umilić sobie czasu oczekiwania. Choćby dulcem. Każdy przejaw normalności czy nie najgorszego samopoczucia mógłby nas wyróżnić z gąszczy poszarzałych chałciarzy. Mimo krążącej w krwiobiegu adrenaliny męczyłem się okrutnie. Kiedy zacząłem już przestępować z nogi na nogę, żeby mi odcierpły kapkę, wypatrzyłem w klipie nisko zawieszoną czapkę z rondem zbyt obszernym jak na bajtlową główkę. Pojawił się wreszcie kanalia. Było dziesięć po osiemnastej, zegarka nie miałem, ale z nudów liczyłem sekundy od ostatniego bicia dzwonów na Starym Mieście. Naliczyłem sześćset, starałem się być dokładny. Choćbym się zakochał, w życiu by mi tak herz klekot nie postąpił jak w tej jednej chwili, tuż przed wyroku wykonaniem. Ruszyłem wprost na wichrzyciela, mąciciela, sprawcę wszystkich naszych nieszczęść strasznych. Wyrośłem przed nim jak ściana, nie przywykłem do tego, że ktoś zachodzi mu drogę. Człowiek do dobrego zbyt nim żywcykiem się przyzwyczajają. Podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Do końca pewny swego, niepomyślny wydarzeń z Krochmalnej, z uśmiechem na ryju wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Szko...

„C” już zabalgotowało. Cedząc ostatnią literę, opluł mnie krwią. Pod jego pachą powiększała się plama, intensywnie zmieniająca kolor płaszcza z piaskowego na brunatny. Ineczek nie mógł pozwolić, żebym to ja był ostatnią osobą, którą Lejkin zobaczy, dlatego ciągnąc za rękojeść majchra obrócił go do siebie.

– Jebał cię pies – wyszeptał wprost w nieruchome już ślepie. Zabierając

narzędzie czynu, bez gwałtownych ruchów wmieszaliśmy się w tłum przemierzający Gęsią w obydwu kierunkach. Kiedy szedłem byle dalej, nie oglądając się za siebie, usłyszałem wystrzał z Eliaszowej pukawki. Obyło się bez wrzasków, nikt nie krzyczał, nie lamentował. Biedni mieszkańcy getta byli z hukiem armaty obyci bardziej niż z psim ujadaniem. Plama Lejkinowej wykrztusiny na mojej koszuli nie wzbudzała niczyich podejrzeń i na spokojnie mogłem się udać do jednego z licznych murkarskich przejść na drugą stronę ściany.

Z Inkiem spotkaliśmy się dopiero w domu. Satysfakcja rozpierała mnie do tego stopnia, że mało mi guziki nie wystrzeliły. Miałem ochotę skakać i wznosić wódą toasty. Morda mi się cieszyła jak za pierwszym razem, kiedy żeśmy narozrabiali. Innocenty wręcz przeciwnie. Nie przejawiając żadnej emocji, z typowo czwartkowym grymasem twarzy usiadł spokojnie przy stole.

– Pojechało cię tak do reszty? – zapytałem zatroskany. Na co on odpowiedział niespiesznie:

– To nie koniec. Powinniśmy, musimy zaopiekować się tymi, co przy życiu pozostali. Alfred, Bazgroły, tufty. Tylu naraz nie wyprowadzimy, bo i dokąd, ale możemy im pomóc tam za murem. Podobno coraz więcej osób w getcie nietypowe schronienia wynajduje. Najczęściej skrytki klecą naprędce, z reguły na strychach albo w kominach. Nie zawsze na dobre im to wychodzi. Słyszałem o dziewczynie, która siedząc w kryśce pod dachem, dwudniowemu dziecku buzię zasłoniła, ażeby swoim płaczem nie wydało kilku rodzin ukrywających się jednocześnie. O tym, że jest martwe, zorientowała się dopiero, jak jej w rękach wystygło. Są jednak i tacy, którym się udaje. Malachi wspominał mi o jednym fartownym chałaciarzu, co wielką wywózkę w tapczanie przetrwał. Co mądrzejsi i z funduszem piwnice pod bunkry zaczęli przekopywać. Ładek, to ma sens. Łatwiej im będzie w getcie się ukryć niż tutaj między Żydożercami. Damy radę, nikt jak my nie zna tych studni mrocznych. Zbudujmy im krychę za ścianą.

-
- [490] *Szalom zachar* hebr. – witaj, mężczyzno.
- [491] Kawod szabat – prawo szabat.
- [492] Oneg szabat – radość soboty.
- [493] Chomąciak – kołnierzyk.
- [494] Przenicowany – przebrany.
- [495] Burmyło – nieokrzesianiec.
- [496] Pitolko – ktoś mało poważny.
- [497] Chałaciarz – określenie Żyda, od noszonego przez niego ciemnego stroju.
- [498] Eksy – akcje ekspropriacyjne, czyli wywłaszczeniowe celem pozyskania pieniędzy na działalność organizacyjną na przykład partii czy organizacji wyzwoleńczej.
- [499] Rewolucjoniści Mścicieli – konspiracyjna organizacja anarchistyczna o nazwie Grupa Rewolucjonistów Mścicieli.
- [500] Kapcan – człowiek do niczego.

MIŁA

Z budową bunkra ruszyliśmy już na miesiąc przed gwiazdką. O tej porze roku zależało nam na czasie. Koordynacją pracy po tamtej stronie muru zajęły się Bazgroły. W swoim życiu byli już i buchaczami, i wylęgnicami^[501] ogarniali, tak że założyliśmy z Ineczkiem naiwnie, że budowlanice również podołają. Doszliśmy ponadto do wniosku, że przed mieszkańcami kamienic ciężko będzie ukryć naszą pracę, dlatego też Kulas namawiał ich do pomocy w zamian za niezapomniane chwile spędzone z jego panienkami.

Niestety niemal na ten tydzień wystąpiły komplikacje. Powiedzieć, że pierwsze próby były nieudane, to łagodnie potraktować nasze nieudactwo. Brak fachowego przygotowania u wszystkich zaangażowanych – włącznie z nami – przyczyniło się do serii niespodziewanych wypadków. Postęp prac najczęściej wstrzymywały nagłe pożary. Ogień w drażonych tunelach pojawiał się coraz częściej, odbierając tlen, niszcząc narzędzia i niewyobrażalnie drogą, niezbędną do przebywania pod ziemią elektryfikację. Niedokończone korytarze zmieniały się w bezużyteczne jamy, śmiertelne pułapki czyhające na życie pracujących w pocie czoła. Nikt na szczęście przy tym nie ucierpiał, ale rąk do pracy z każdym dniem ubywało. Wielu już wołało z kurewskich wdzięków zrezygnować, niż w nieprzemyślanych szybach życie pod zerwanym stropem zostawić.

Trzeba nam było głowy wykształconej w tym temacie. Kiedy sutenerzy ryli pod ziemią, my z Inkiem po swojej stronie muru rozglądaliśmy się za

intelektualnym wsparciem. Rozważałem dotarcie do resztek politechnicznego towarzystwa inżynierskiego. Powołując się na niedawną znajomość z nieboszczykiem Doktorem, mogłem liczyć przynajmniej na wysłuchanie, niestety na nic innego. Przyjmując kolejne odmowy ze strony pozostających przy życiu inżynierów, wpadłem na pomysł dużo lepszy, jak się wówczas okazało.

Przed trzydziestym dziewiątym w naszym mieście poza politechniczną docenturą nie brakowało innych fachowców, równie wyspecjalizowanych w drażeniu tuneli. Znał ich wszystkich, co do jednego, zawsze pomocny mnie i Inkowi Mongoł. Pofatygowałem się do niego, licząc, że w pełni zdrowia drzwi swoich uchyli i wyściska mnie serdecznie. Nie miałem tylko pewności, czy pod Tymczasowym trepem do tej pory się uchował, ale skoro mieszkaliśmy po sąsiedzku, warto było spróbować. Szczęście mi dopisało. Nie dość, że żywy, to jeszcze w domu obecny po pierwszym zastukaniu otworzył. Od przed wojny się nie widzieliśmy, a on zębem czasu nietknięty, z paszczy nawet o dzień się nie postarzał.

– Szajgec, Szajgecek – zawołał z uśmiechem niewymuszonym. – Zachodź, zachodź – zaprosił życzliwie i ustąpił miejsca w progu.

Buciory wytarłem w szmatę leżącą na korytarzu, dachówkę^[502] w kieszeni upchnąłem i skorzystałem z uprzejmości gospodarza.

– Tędy, tędy – poprowadził przez przedpokój, jakby pierwszy raz mnie gościł. – Proszę, proszę.

Usiedliśmy, wyciągnął pół litry spod blatu, odbezpieczył, rozlał uroczyście do szkła świątecznego i polecił, co powinienem robić:

– No, no.

Choć zbytniej ochoty nie miałem, kurtuazyjnie popełniłem przechył niemal gimnastyczny. Następnie okazałem, że puste, i zagryzłem kiszonym rarytasem. Po drugim żywcykiem dzielonym chęci nabrałem tyle, że mało celu wizyty nie zapomniałem.

– Panie Mongoł, pan wiesz może, czy jakieś Pudlarze w zdrowiu się mają?

Roześmiał się na głos, słysząc pytanie, po czym odwrócił za siebie i krzyknął w głąb mieszkania:

– Staszku, Staszku. Pozwól, pozwól.

Ja patrzę, a tam front szafy odskakuje. Najpierw jedna noga, potem druga i reszta człekokształtna z mebla się gramoli. W pokoju, na równych nogach stanął mężczyzna elegancki ze znajomym rysem z profilu, może jakby o co uboższym kapkę. Podszedł do nas krokiem dystyngowanym, dosiadł się i z kieszeni fruwaka^[503] wyłowił kieliszek do gorzały. Przetarł naczynie filichą^[504] osobistą, a jego tożsamość zdradziły widniejące na niej inicjały. „SC” – Stanisław Cichocki, bez szpic brody nie tak łatwy był do rozpoznania.

– Lepiej trafić nie mogłem – klasnąłem w dłonie. – To dla mnie zaszczyt jak rzadko.

W moich słowach nie było pijackiej przesady. Meter Stanisław nie posiadał był równych. Ledwo siedemnaście lat miał ukończone, kiedy już w Berlinie pruł szafy pancerne tamtejszych banków. Spektakularnie podołał również kasie Banku Azjatyckiego w Rostowie. Sławy mu napędziło ograbienie Państwowych Zakładów Graficznych w Ścieku. Wykonał po temu kilkudziesięciometrowy podkop prowadzący wprost do skarbcza. Właśnie kogoś takiego do pomocy było nam trzeba.

– To jest właśnie aganiok, co pod twoją nieobecność tak zmyślnie kasaorom łakomcami bełtał^[505] – przedstawił mnie Mongoł Cichockiemu.

– Pan tutaj? – zapytałem legendy nieśmiało.

– A czy jest lepsze miejsce na świecie dla rzemieślnika jak ja niż u poczciwego pana Mongoła? – powąchał wódki i spił zaledwie kilka kropel. – Jak mnie przy wybuchu wojny zwolnili z sieradzkiego odosobnienia, postanowiłem szczęścia na wschodzie poszukać. Dotarłem bez większych problemów do miejsca koncentracji sił Andersa, a potem wraz z generałem przez

Iran aż do Afryki mnie zaniósł. W punkcie rozdzielczym za dużo do gadania nie miałem i czasowo w obozie Kaja mnie zameldowali. Warunki, nie powiem, nawet znośne tam panowały, jednak noc w noc Maestro Pawliński jako natrętna mara senna nakazywał mi powrót w rodzinne strony. Przestrzegał mnie przed losem, przed zapomnieniem, którego sam doświadczył – znów powąchał, posączył, przerwał na momencik. – To dawno temu było, gdy na terenie Kongresówki największe triumfy święcił w zawodzie. Ja sam ze Stemplem, Pawełkiem i innymi co zdolniejszymi pierwsze kroki u niego stawiałem. Za życia Maestro Pawliński ponad czterysta kas wyczyścił, skarbców bez liku, a ledwo dwadzieścia dziewięć razy był za to karany i to nie poważnie. W najlepszych latach kariery samego sułtana tureckiego ogołocił, innym razem z zapasów banku w Baku kilka milionów w rublu wyniósł. Łza się w oku kręci, dziś takich artystów jak Maestro Janek nie uświadczysz. Czysta przyjemność było na gable mu patrzeć, talent chodzący na niespotykaną wcześniej skalę. Arystokrata.

Powąchał znowu i ponownie się napił. Odniosłem wrażenie, że należy do tych gawędziarzy, którym morda sama się nie zamknie. Jednakowoż po pomoc przyszedłem, wysłuchać wypadało.

– Przed pierwszą wojną – ciągnął z tematem – na jego starunek wszyscy z zazdrością i poważaniem patrzyliśmy. Wycofał się był nawet z czynnej pracy i jako weteran dobrą radą adeptom lub mecenatelem co bardziej samodzielnym służył. Niestety bolszewiki przejęli jego dobra w całości i Mistrz Jan Pawliński w starszym już wieku jedynie w koszuli nędznej został. Ile mogliśmy, tyle za zasługi opieką był przez cech objęty. Rentę nawet otrzymał z dobrowolnych składek, jednak z czasem, wstyd się przyznać, jako weteran w zapomnienie popadł. Odszedł z tego świata w przytułku, a jego wykręczone zwłoki na stół Instytutu anatomii opisowej trafiły. Żal takiego końca dla każdego człowieka, żal samemu w ten sposób zniknąć. Dlatego wróciłem.

Cichocki pokręcił klubą nad kieliszkiem i w ciszy do dna ze smakiem go

osuszył. Popatrzyli na mnie obydwaj, chcąc się wreszcie dowiedzieć, za jaką potrzebą przyszedłem. Pozwoliłem sobie na jeszcze jeden głębszy dla kurażu i uchyliłem tajemnicy panom:

– Sztolnie pod żydowską krywkę kopie my, ale próby czasu nie wytrzymują. Albo pożary je trawia, albo strop się na głowy osuwa. Wiedzy brakuje, jak to wszystko usprawnić, żeby po pięciu metrach życia nie zagrażało.

– Getto drążycie? – Szpic zapytał zdumiony.

– Nie inaczej – dumnie odpowiedziałem. – Tylko kopać już nie ma komu, bo widmo śmierci chęć do roboty zaangażowanym odbiera.

– Tu nie Śląsk, tu kreciej roboty z wielbniem matki nie wyssiesz, asiorku. Trzeba wam wiedzy w praktyce nabytej. Czym stemplujecie?

– To getto jest, czym popadnie.

– A najlepiej jest szyną – Mistrz Stanisław zadowolony z siebie uśmiechnął się szeroko, po czym zatopił wyjątkowo zdrowe zęby w największym z kiszoniaków.

Skąd ja mu, kurwa, szynę wezmę? – pomyślałem. Belka jaka, słup telegraficzny w plastry pochlastany – jeszcze rozumiem, ale szyna? Wiele szyn? Bambajowe^[506] czy kolejowe? Po chwili zastanowienia wyraziłem na głos swoje wątpliwości w nieco bardziej wyważonych słowach. Popijający wódeczkę uspokoili mnie, że wszystko da się zorganizować przy odrobinie dobrych chęci i z należyтым monetarnym okładem. Szpic zobowiązał się podyktować, jak mamy kopać tunele, by stropy mimo ciężaru znajdującego się nad nimi bruku pozostały nienaruszone. Mongoł obiecał użyczyć palnika acetylenowego do dzielenia żelastwa, a ja zachodziłem w głowę, skąd mam je wyczarować.

– Heryk Lange – zabłysnął Cichocki.

– Henryk, Henryk – powtórzył po nim Mongoł, potakując z uznaniem.

Mało się nie zakrztusiłem. Pan Henryk Lange. Węszyciel nad węszycieli, chint nad chinty, postrach złodziejstwa stołecznego i były praktykant

w warsztatach stołecznej kolei. Nie dość, że w kolejowych tematach wykształcony, to jeszcze od początku okupacji zatrudniony w wydziale drogowym stołecznych tramwajów. Podobno zdecydował się pójść w bambaje, po tym jak odrzucił propozycję przystąpienia do garbatej Polskiej Policji Kryminalnej, zwanej polską Kripo. Funkcjonariusze formacji werbowani byli spośród kadry Urzędu Ciekawego, nie mogło więc zabraknąć w jej szeregach Henryka Langego. Jak się jednak okazało, pan Henryk innego był zdania. Odmówił, ryzykując życie. Miał celne podejrzenia – jak zresztą na mistrza dedukcji przystało, że zapisana w statusie oddziału walka z przestępczością pospolitą w praktyce oznaczać będzie działalność represyjną wobec ukrywających się Żydów. W owym czasie w naszym mieście przestępczość pospolitą każdy rozumiał po swojemu, pojęcie dochodzenia również. Pan Henryk Lange. To może się udać – pomyślałem. Wypiliśmy więc za to, by się udało.

Powstała koalicja bez precedensu, przed wojną nie do pomyślenia. Ależ śledczy Lange zrobił minę, kiedy go w delegacji z Ineczkiem, Mongołem i Szpicbródką w domu nawiedziliśmy. Koniec końców zgodził się do nas dołączyć, gdyż uznał inicjatywę budowy bunkra za szczytną jakich mało. Co więcej, zainspirowany postanowił nakłonić swoich sąsiadów do przebicia murów piwnicznych w celu utworzenia korytarza ewakuacyjnego biegnącego pod ulicą Żelazną aż na Dworzec Pocztowy. To właśnie na tamtejszej rampie, w sobie tylko znany sposób, zorganizował materiał przez Szpica rekomendowany. Żaden z naszych specjalistów nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób przycięte pod wymiar szyny na teren getta przeszmyglować. Tu zaczynała się nasza rola, wreszcie jakaś poza wydawaniem środków niegdyś na Cyrkowcach zebranych.

Wiedzieliśmy, że nie możemy obierać najkrótszej drogi transportu. Kilka kursów dziennie pod tymi samymi oknami niechybnie wzbudziłoby podejrzenia Życzliwych. Na domiar złego takiej szyny nie dało się ot tak, przerzucić nad

murem getta, a podchodzić do punktu kontrolnego z choćby dywanowym kamuflażem jeszcze bardziej podejrzane.

Postanowiliśmy skorzystać z wiedzy nabytej w czasach partaczych. Wówczas, trzymając w garści środowisko żebracze, zdążyliśmy poznać wszystkie zakamarki Ścieku, również i te pod ziemią. Labirynt stołecznej kanalizacji nie stanowił dla nas żadnej niewiadomej, potrafiliśmy przemieszczać się tamtędy zwinnie jak po powierzchni. Uzupełniliśmy zastępy tragarzy o Szymka Ratajzera z ŻOB-iaków i kilku innych starozakonnych, których uroda podejrzeń nie wzbudzała. Podziemne korytarze oznaczyliśmy dla nich kredą, tak jak oznaczaliśmy w dzieciństwie mieszkania pod rabunek typowane. Cały wysiłek związany z zejściem do kanałów dał nam wiele nowych możliwości, bezdyskusyjnie usprawnił realizację planu. Żelastwo nosiliśmy owinięte w szmaty oraz ten sam piękny dywan od Łokcia, w którym nie tak dawno ćwikaliśmy porwanego przez nas syna Marka Lichtenbauma, przewodniczącego Judenratu. Ledwo sił nam starczało, żeby ciężkie ustrojstwo swobodnie tarabanić. Jeden nawrót, jedna szyna – na więcej nie dało rady.

Dostarczaliśmy przesyłki niemalże bezpośrednio pod adres toczonych robót i, co najważniejsze, mogliśmy pracować też w nocy. Pomoc ludzi z powołaniem spowodowała, iż kolejne drażone tunele przestały straszyć, kopacze wrócili z podkulonymi ogonami, a nasz zaskórniakowy budżet ruszył topnieć w zatrważającym tempie. Z każdym następnym przygotowanym planem, z każdą wydrażoną pieczarą, z każdą przebitą piwniczną ścianą i przeszmurowaną szyną zmuszony byłem sięgać po chobnie z mojej pancernejszej szafy coraz to głębiej i głębiej. W warunkach panujących w getcie wszystko miało zwielokrotnioną cenę. Samo dostarczenie na teren odizolowanej dzielnicy materiałów koniecznych do dalszej roboty wiązało się z opłatami nieprawdopodobnego rzędu. Przed wojną za podobne przedsięwzięcie zapłaciłbym z tygodniowego utargu.

Było jednak warto. Bunkier przeznaczony Alfredowi, Bazgrołom oraz ich

dziwkom udał się wyśmienicie, prawdziwy chawir, efekt z tych oszalamiających, jakich mało. Wydrążona nakładem naszych środków pieczara przy Miłej osiemnaście była majstersztykiem. Wpierw wchodziło się na stos gruzu usypany z resztek kamienicy Leona Gibańskiego, leżący między ścianami spalonych domów. Wejściem do bazgrołowej kryśki był wąski, nieoznakowany sznit o ograniczonej przepustowości. Wczołgać się można było tylko kolejno, jeden po drugim. Dalej były schody, tak strome, że bardziej drabinę przypominały. Na oko prowadziły dwa piętra pod ziemię. W oszalowanym pomieszczeniu sterczały tam na straży tufty z przydużymi pukawkami. Cała kryśka składała się z połączonych korytarzami piwnic zaopatrzonych w potrójną sieć wentylacyjną, trzy źródła zasilania elektrycznego, dopływ wodociągów, studzienkę artezyjską, kuchnię, klozety, a nawet prysznice. Niejedna z lokatorek przed wojną w gorszych warunkach bytowała. Dodatkowo udało się wydzielić przestrzeń na liczne magazyny paliwa, spiżarnie, chłodnie pełne wiktuałów oraz zapasy wody. Starczyłoby tego na kilka tygodni bez potrzeby uzupełnień.

Kwestia bezpieczeństwa była przez nas równie dobrze przemyślana. Izby przedzielały drzwi pancerne, a ściany jednego z pokoi zostały zbrojone betonem. Szpicbródka opracował skomplikowany system ewakuacyjny składający się z sześciu wąskich tuneli. Biegły one na powierzchnię poprowadzone pod uczęszczanymi wciąż ulicami, dlatego każdy z osobna wymagał wsparcia wielu szyn od Langego oraz lewarów samochodowych, ażeby strop się nie osunął pod naporem. Ineczek wpadł na pomysł, żeby tunele dodatkowo zaminować. Chcąc udaremnić ewentualny pościg, można by taki ładunek zdetonować i zasypać korytarz na całej jego długości. Gremialnie uznaliśmy to za rozsądne posunięcie, a meter Cichocki zaznaczył, że w takim razie podłogi trzeba wylać cementem, by siłę ewentualnej eksplozji w całości skierować ku górze. Mając świadomość, że na co dzień podziemny kompleks będzie zamieszkiwany głównie przez baby – twarde, ale zawsze baby – sprawy bezpieczeństwa stanowiły dla nas kwestię

priorytetową. Panie zajęły się odrębną dziedziną, dla nich ważne było nazewnictwo przyszykowanych pomieszczeń. Wykazały się przy tym nie lada wisielczym poczuciem humoru, nadając poszczególnym pokojom nazwy obozów Treblinka, Piaski i Poniatowa. Największy nazwały Getto, symbolicznie, żeby nie zapomnieć, co się nad baszkami, na powierzchni wyprawia.

Szybko po getcie wieść się rozniosła, że sprawnie z problemami sobie radzimy. Niestety równie szybko dostaliśmy pierwsze zapytania o sekret naszego transportu. Ze strachu przed denuncjacją nie mogliśmy odmawiać Żydom, którzy budując swoje schrony, po prośbie o materiał budowlany do nas przychodzili. Z każdym z nich zmuszeni byliśmy czymś tam się podzielić. Belka, dwie belki, parę metrów kabla, kilof czy łopata – wszystko im się przydało. Łącznie, z tego co pamiętam, włożyliśmy monetę w czterdzieści siedem bunkrów na terenie całego getta. Przy Franciszkańskiej powstały cztery duże schrony: pierwszy pod dwadzieścia dwa, drugi pięć numerów dalej, trzeci pod trzydziestką, a kolejny pod trzydzieści siedem. Przy Gęsiej pod trójką, sześć na osiem i na zbiegu z Okopową. Nalewki to się mało pod ziemię nie zapadły, na takim podkopie stały. Od czternastki po czterdziestkę piątkę osiem pawilonów wydrążonych było. Na Świętojerskiej pięć, od dwadzieścia osiem do trzydzieści coś tam. Pamiętam, że jeszcze na Wałowej kilka po parzystej stronie i jeden pod jedenastką. Z całego getta tylko Żobiaki o nic nam nie jęczały, także sami z siebie, w imię wiążącej przyjaźni i w zamian za pomoc Szymka przy naszej budowie, podarowaliśmy im kilka szyn od Langego, żeby i swoją krywkę umacniali.

Sukces jak to sukces, postanowiliśmy uczcić. Jako że nie wypada w gości zachodzić z gołymi rękami, przynieśliśmy z Inkiem do bunkra przy Miłej kilka gołębi wolskiemu hodowcy podprowadzonych. Drób w dzielnicy północnej to przysmak był nie lada, rzadkość nad rzadkościami niespotykana. Bazgroły ze względu na spust Alfreda sumiennie zaopatrzyli swoją piwniczkę w bimber i tak

przy suto zastawionym stole, radośnie zakrapianą parapetówkę bez parapetów sobie urządziliśmy. Gotowaliśmy falirczykłych^[507] i piliśmy w nocy, żeby uwagi Tymczasowych nie wzbudzić zapachami. Im więcej było w czubie, tym bardziej wylewne dzięki na nasze ręce wszyscy składali. Naprute zony, jako że niezwykle wdzięczne nam były, co chwila ofiarowały nam miejsce w swoich barłogach. W lęku przed francją, nie chcąc żadnej z panien urazić, opędzaliśmy się od nich, kłamiąc, że awele^[508] jesteśmy. Dawno w getcie takiego święta nie było. Na te kilka godzin weseli, choć pograżeni w ciszy ze względu na wężące wokół psy policyjne i wszechobecne sondy akustyczne, cofnęliśmy się w lepsze czasy.

Straszne są poranki dzień po uczciwym ochlaju. Dziewiętnastego kwietnia ziemia zadrżała nam nad głowami. W popłochu rzuciliśmy się do największego pokoju zliczyć, czy wszyscy są obecni, czy nikogo wśród nas nie brakuje. Zaspane ryje liczył kolejno ktoś z najmniej zalepionymi oczami, chyba Tortorowi Kaltowi to przypadło. Upewnieni, że komplet, zaczęliśmy przekrzykiwać się wzajemnie w poszukiwaniu przyczyny zjawiska. Odrzuciliśmy teorię głoszącą wadliwą konstrukcję bunkru, dotychczas wszystkie inne – co prawda mniejsze i płytsze – na medal się spisywały. Cichocki wielokrotnie ręczył za nie słowem, to nam wystarczało. Nad narastającym harmidrem zapanował Alfred:

– Cisza! – ryknął ponad innymi głosami. – Co by się nie działo, zasady mamy!

Towarzystwo powściągnęło mordy i wuchało w to, co olbrzym miał do przedstawienia.

– Wyjdę sam jeden sprawdzić, jak się sprawy mają. Niech kto czeka na mnie przy otwartym sznicie nie więcej jak godzinę. Po tym czasie spiszcie mnie na straty, nie ryzykujcie wykrycia.

Nikt nie śmiał zaprotestować, skoro sam takie rozwiązanie zaproponował. Obyło się bez ciągnięcia losów dla wytypowania zwiadowcy. W pełni sympatii do osoby Alfreda zgłosiłem się do potrzymania warty w oczekiwaniu na jego

powrót, zdzieliliśmy po maluchu, żeby rozkleić ślepią i juchy obiegi pobudzić, po czym rozpoczęliśmy mozolną wspinaczkę po drabino-schodach około dwa piętra w górę.

Nie padliśmy sobie w ramiona na pożegnanie, nie uściskaliśmy się serdecznie. Woleliśmy zaklinać, co nam pisane, że za sześćdziesiąt minut w tym samym miejscu rozpoczniemy powrotną wędrówkę pod ziemię. Alfred jedynie uśmiechnął się czule, potargał mi zmierzwiłone już kłaki i powoli zaczął znikać w plamie światła przedzierającej się przez maskujące nas gruzowisko. Odgłosy wystrzałów nie milkły ani przez chwilę, na poziomie, na którym się znajdowałem, były wręcz o wiele bardziej wyraźne. Serie z broni automatycznej skutecznie oddziałują na nastawienie. Słyszając je, byłem najgorszej myśli. Że Alfred wróci ni cholery nie wierzyłem. Tym większe było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem nalane cielsko czołgające się w moją stronę. Nie znałem drugiej tak zwalistej postury, to mógł być tylko Kalt.

– Przydadzą się nam zapasy – rzucił półszepem na przywitanie i zaczęliśmy schodzić do reszty.

Na dole nic się nie zmieniło. W oczekiwaniu na wieści wszyscy mieszkańcy bunkra siedzieli w największym pokoju zwanym Gettem.

– Na moje oko, choć daleko nie zaszłem, marzyciele opór stawiają – powiedział do zebranych, otrzepując się równocześnie z pyłu. – Widać Tymczasowych walących na oślep, a ktoś im dziarsko odpowiada.

– Co w takim razie? – rzuciła anonimowa stuchujnica z klipy.

– Wracamy do swoich zajęć, pilnujemy własnego nosa. To nie nasza fanfaronada – odpowiedział jej stanowczo milczący do tej pory Ineczek.

– Że pomoc jak nie mamy, to rozumiem, ale nie lepij kanałami na naszą stronę przeleźć? – chciałem rozpoznać opinię Alfreda, który najlepszy miał obraz sytuacji.

Wkasał kimizę w ścigaję, pocieszki^[509] na ramionach poprawił i twarz,

wciążle w ceglanej mączce umorusaną wykrzywił:

– Nie da rady, to wszystko idzie w głąb, nie daj losie zara przejdzie nad nami. Czekać musimy, aż się utłuką, i potem ze dwa dni jeszcze okładem dla pewności dołożyć. Żaden teraz bezpiecznie do studzienki nie dojdzie, żaden – zaznaczył, spoglądając na nas, a w szczególności na Inka. Cóż, we dwóch nie dalibyśmy Alfredowi rady, poza tym przyjaciołom takim jak on przykrości się nie sprawia. Zapasy były, humory też – stwierdziliśmy „trudno”, przecież to nie może trwać długo. Z całym szacunkiem dla Malachiego i jego kompanii znaleźliśmy ich możliwości. Pomyślałem jeszcze o Matce, jak po raz kolejny ze zniknięcia jej się wytłumaczę.

Miało być na chwilę, a wyszło jak zawsze. Po dwudziestu dniach pod ziemią entuzjazm oklapł i w ogóle jakoś tak ponuro nam było. Jediną rzeczą, która nas cieszyła, były drgania bunkrowego sufitu wskazujące na to, że ŻOB-iaki wciąż klawo się mają. Nagle przybiegła do nas binia, piękna, młoda – na pewno za młoda na zonę – i krzyczy, że z samej warty zeszła, żeby nas obydwu o zdanie zapytać:

– Jakieś babsko mesztami^[510] w szczelinę weszło – wysapała, patrząc na Inka.

– Znaczy? – zapytał zaciekawiony.

– Znaczy wie, że tu krycha i pyta, czy ją z całym inwentarzem pomieści.

– Nazywa się jakoś? – zainteresowałem się, zanim Innocenty zdążył zdziwienie na dobre rozgonić.

– Helena Rufeisen-Schuepper.

Ineczek machnął ręką zapraszająco, a dziewczucha uciekła spieszenie wypełnić przykazanie. Po kilku minutach już jako komitet powitalny czekaliśmy gości. Hela zeszła pierwsza, zaraz po niej pojawił się Anielewicz. Utyłany i wyczerpany, a mimo tego prezentujący godną pozazdroszczenia, niebywale poprawną ortopedyczną postawę. Nie poszczędził nam dziękczynnego uśmiechu.

Przystanął obok i jednego po drugim zaczął przedstawiać kolejnych bojowców dach bijących w progę:

– Chaim Akerman, Małka, Nate Bartmeser, Henio Bartowicz, Frania i Tosia Bermanowe, Melach Błones, Berl Braude, Efraim Fondamiński, Towa Frenkel, Rut Hejman, Emus Frojnd, Szulamit Szuszkowska, Ziutek Fass, Wolf Gold, Jaffa Lewander, Majloch Perelman, Szmuel Sobol, Zeew Wortman, Sara Żagiel, Szyja Szpancer, Lutek Rotblat z mamą Miriam, Sewek Nulman, Salke Kamień, Rywka Pasamonik, Jardena Rozenberg, Hirsz Wroński, Moszek Zylbersztajn, Abram Orwacz, Moniek Sztengel, Mojsze Waksfeld, Arie Wilner, Mirę Fuchrer znacie – Malachi uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył następnych przedstawiać.

Było ich tak wielu, że nie dałem rady nawet połowy z imienia zapamiętać. Co innego Ineczek, który bez zająknięcia był w stanie każdą sylabę po Anielewiczu powtórzyć. Budził tym szacunek należny poważanemu gospodarzowi. Kiedy wszyscy się rozgościli, a nasze tufty zaczęły poić, karmić i opatrywać rannych, my z Innocentym wzięliśmy Anielewicza na stronę, coby nam streścił, jak się od trzech tygodni bawi.

– Tymczasowi weszli do getta w sile dwóch tysięcy – zaczął spokojnie swoją relację. – Razem z nimi znać było też Granatowych, Ukraińców, Litwinów i Łotyszy. Czołgi i pełna artyleria od razu zdradziły ich zamiary. Ulice zastali wymarłe, sprowokowało ich to do podejścia w zasadzkę. Zaatakowaliśmy w trzech wcześniej obranych punktach, od tej pory nie mieli już argumentów, by przebić się dalej. Żeby ich jeszcze wkurwić, przy Muranowskim wywiesiliśmy flagi: polską i z gwiazdą Dawidową. Nie mogli ich nie zauważyć.

– Nikt wam nie przyszedł z pomocą, nie pogonił gnoi? – zapytałem Malachiego o pomoc spoza dzielnicy.

– Z tego, co słyszałem, pierwszego wieczora była próba wysadzenia muru od Bonifraterskiej, na rogu z Sapieżyńską. Sześciu chłopów miny niosło, ale nie

doniosło. Dwaj nawet trupem padli. Trzy dni później od Okopowej tak samo się nie udało. Zaledwie kilka posterunków wzdłuż linii muru poniosło straty – odpowiedział, nie kryjąc rozczarowania. – Wsparcie po tej stronie również niewielkie otrzymaliśmy. Co gorsza, w obliczu zagrożenia konfidenckie powołania znacznie przybrały na ilości. Nie dalej jak dwie noce temu, w naszym bunkrze będąc, na własne uszy szepty w jidysz znad wjazdu dobiegające usłyszałem: „Wejdz pierwszy, myślę, że to tu”.

– Garbusa macie? – Inek zdrwił z lojalności bojowców.

– No wiesz? – obruszył się Malachi. – Zarzucić komu z naszych życliwość, to jakby Korczakowi, że bajtla macał. Wykluczone – postawił sprawę jasno. – Podjąłem decyzję wysłać Helenę na poszukiwanie bezpieczniejszej siedziby dla naszego sztabu. Przypomniała sobie wtedy, że Szymek Ratajzer pomagał wam kanałami jakieś szyny dla lujów pod osiemnastkę nosić. Tylko jednaście numerów wzdłuż Miłej nas dzieliło. Kto by pomyślał, że przyjdzie mi znowu pocieszne mordy Szkoca i Szajgca zobaczyć i za pomoc dziękować.

Nie bardzo było za co. Co miało ich dosięgnąć po numerem dwadzieścia dziewięć i pod osiemnastym dosięgło. Niespełna dobę od naszej rozmowy woń drażniąca zatoki po cichu wypełniła wszystkie zakamarki schronu. System wentylacyjny nie nadązał oczyścić atmosfery. Nie mieliśmy wątpliwości – Tymczasowi sami lub z pomocą odkryli naszą krystynę. Próbowali wywabić nas na powierzchnię gazem.

– Moczyć szmaty, przykładac na tabelę i trzymać się blisko podłogi – Inek z Malachim biegali między spanikowanymi Żydami, starając się zapanować nad ich strachem. Alfred, najstarszy z nas wszystkich, czując odpowiedzialność za grupę, pobiegł sprawdzić drożność ewakuacyjnych korytarzy i szansę na wyjście z opresji. Zanim zdążył wrócić, obłęd rozprzestrzeniający się po bunkrze zebrał tragiczne żniwo, jak dotąd w Ścieku niespotykane. Pierwszy do zbiorowego samobójstwa wezwał Arie Wilner, za co od Inka po pysku zebrał.

– No co?! – krzyczał. – Nie oddawajmy się żywcem, zgińmy razem!

Anielewicz podszedł do towarzysza broni, lecz zanim zdążył pohamować jego zapędy, z innej strony padło:

– Nic nie ma już sensu! Tymczasowi odstrzelą każdego, kto się z bunkra wychyli. Mamy zdechnąć od gazu jak szczury? Nigdy! Wolę w łeb sobie walnąć!

Na krzykach się nie skończyło. Lejb Rotblat bez słowa wyjął pistolet z kabury i wycelował do własnej matki. Nie zdążyła jeszcze dobrze na podłogę się osunąć, kiedy chłopak włożył sobie lufę do ust i podążył tuż za nią. Do ich zwłok podszedł kolejny zdecydowany. Podniósł rewolwer i na sekundę przyłożył do skroni. Tyle mu wystarczyło, by strzelić. Tej lawiny nie dało się już powstrzymać. Ile sił starczyło, Malachi walczył o każde życie bez wyjątku. Kiedy biegł w jeden róg pokoju, z drugiego dochodził odgłos wystrzału. Mąż zabijał żonę, syn zabijał matkę, każdy podejmował ciężar na miarę własnych możliwości. Byli i tacy, którym brakło odwagi albo broń się zacięła. Błagali wtedy innych o odstąpienie pocisku. Berl Braude, ranny w obie dłonie, nie był w stanie nawet broni utrzymać. Prosił, żeby go kto współczuły wyręczył. Znalazł się i taki.

My z Ineczkiem leżeliśmy z twarzami przyciśniętymi do ziemi, w całości owiniętymi na mokro. Czekaliśmy na Alfreda, który obiecał, że wróci. Przerażone tufty popadły w histerię, skoro dzielni bojowi nie widzieli ratunku, to na co one biedne niby miały czekać. Kilka z nich zaczęło wyrywać sobie z rąk sztukę broni pozostawioną bezpiecznie przez kolejnego samobójcę. O pierwszeństwo odebrania sobie życia się szarpały. Bazgroły darły na nie ryja jak pasterze zawracający stado znad urwiska. Niestety na rzecz strachu, po raz pierwszy stracili nad dziwkami panowanie.

Czas wyczekiwania na powrót Kalta dłużył się coraz bardziej. Żołnierze Anielewicza konsekwentnie odstawiali swoje przedstawienie, każdy jeden wiedział, jaka jego rola. Widząc własną klęskę, klęskę próby dotarcia do resztek

zdrowego rozsądku towarzyszy, Malachi zrozumiał, że i jemu nic więcej nie pozostało. Doczołgał się do Miry, ucałował czule. Strzelając jej w głowę, wzroku nie odwrócił. Chciał mieć pewność, że w pełni wywiąże się ze złożonej obietnicy, że ukroci jej męki, a nie przez nieudolność wzmoży. Tym bardziej mu współczułem. Nie było dla niego odwrotu, nie potrzebował, nie chciał ocalenia. Nie potrafiłby budzić się co dzień rano ze świadomością, że zastrzelił Mirkę, a sam się cudem uratował. Nasze spojrzenia spotkały się po raz ostatni w niemym pożegnaniu, po czym uśmiechnięty Malachi Anielewicz, chłopak, jakich w mieście mało, rozstał się z nami na zawsze.

Tak na oko w ściekowej Masadzie, największym podziemnym bajzlu świata, odebrało sobie życie około osiemdziesiąt osób – Sykariusze Syreniego Grobu. Kiedy traciłem już przytomność i myślałem, że zaraz ich dogonię, ogromna siła uniosła mnie do góry i zaczęła wlec po podłodze. Alfred wrócił w ostatniej chwili. Odzyskując powoli świadomość, zauważyłem, że w drugiej ręce podobnie taszczy Ineczka.

– Jednego wyjścia nie odkryli – powiedziały, widząc, że odzyskuję świadomość. Faktycznie, im bliżej niego byliśmy, tym czystsze powietrze się stawało. Na powierzchnię wyszliśmy już o własnych siłach, a za nami Kulas, już bez Isera, oraz kilka dziewcząt, które męczeńskiej powinności porwać się nie dały. Zapadł zmrok. Rzeński luft, choć pełen pyłu, smakował lepiej, niż tego oczekiwałem. Rozejrzałem się po Miłej, rozmasowując przy okazji zdrętwiałe kręgi szyjne. Jeśli wojna była kiedykolwiek czarno-biała, jak to kroniki ukazują, to wtedy właśnie. Popiół spalonych żydowskich książek tańczył z wiatrem na tle nocnego nieba i lądował delikatnie na białych jak tynk, nagich zwłokach mieszkańców getta. Nie było na co dłużej czekać, teraz albo nigdy, trzeba nam było wracać na Twardą. Po kilku pierwszych metrach wypatrzył nas oddział Tymczasowych posłany w ruiny w celu wyczyszczenia dzielnicy z niedobitych. Coś tam krzyknęli w paskudnym języku i kiedy spłoszone tufty zaczęły

uciekać – każda w swoją stronę – jak na froncie walnęli na oślep. Kulas i Alfred padli jednakowo. Na łązy pora przyszła później, już w domu. Ryczeliśmy bez przerwy, jakby kto nam za to zapłacił.

– To wszystko nigdy nie powinno się zdarzyć – Ineczek powtarzał jak zacięty.

Żal po utracie przyjaciół nie sposób opowiedzieć słowami. Nikt się zresztą nie starał, nie silił na wymuszone współczucie, tylko Mama, słysząc naszą historię, kazała poprzysiąc, że więcej już w tarapaty nie wdepniemy. Po pobranej nauce przyszło nam to bez potrzeby kłamstwa, tym razem naprawdę mieliśmy dosyć. Trwaliśmy w bezruchu chyba przez całe lato. Podobno przyszło, podobno minęło – było nam to kompletnie obojętne, w tym mieście nic już nie potrafiło cieszyć. Załamani falą zaistniałych nieszczęść, aby o nich nie myśleć, zaczęliśmy uciekać w zwyczajne sprawy. Ja przeważnie w alkohol, równie zwyczajny. Na domiar złego każdej nocy nawiedzał mnie obraz krzywdy i rozpaczy setek tysięcy ofiar winnych jedynie swojego istnienia. To były prawdziwe koszmary, wszelkie próby przepędzenia miały za nic, a i wódkę polubiły bardziej niż ja. Każda wypita przeze mnie kropla spirytusu boleśnie drążyła świeże jeszcze rany. Kiedy piłem, przepelniający mnie smutek przybierał na sile, zmuszając do płaczu nad losem wymordowanego Ścieku. Pić przestałem szybko. Chcąc dotrzymać słowa danego Mamie, zacząłem też zacierać ślady fałszerskiego warsztatu. Na początku miałem problemy z zejściem do piwnicy, kilka niedziel trwało, aż nabrałem wystarczająco odwagi. Wbrew traumie schodziłem pod ziemię i dokument po dokumencie, metryka po metryce, niszczyłem wszystko jak leciało. Drąc tożsamości na strzępy, beczałem jak zbity. Było w tej mozolnej czynności pewne obrzydliwe skojarzenie z koszmarem przy Miłej rozegranym.

Ineczek po swojemu szachom się poświęcił. Nic innego nie robił, tylko szurał pionami to w przód, to na boki. Sporadycznie tylko wstawał od stołu, żeby zatoczyć koło i wrócić na stygnące krzesło. Kiedy się budziłem, już siedział o blat

podparty, gdy kładłem się spać, różnicy nie było. Z czasem jakby się pozbierał, zaczął nawet wychodzić z mieszkania. Najpierw niedaleko, ledwie na klatkę schodową. Później nabrał sił i pozwalał sobie na krótkie spacerunki, ale tylko w obrębie naszego podwórza, wokół błękitnej figury. Nigdy poza bramę.

Mama robiła, co mogła, by atmosferę w domu poprawić. Widząc, jak uchodzi z nas radość życia, za wszelką cenę starała się ocalić swoich wesołych chłopaków. Walczyła o każdy nasz uśmiech, nawet na siłę. Niestety bezskutecznie. Nie docenialiśmy jej trudu. Kiedy po raz kolejny wystarała się o świeżą chabaninę i spędziła pół dnia przy garach, żeby choć na chwilę cofnąć czas do tego sprzed wojny, nie podziękowaliśmy jej nawet.

– Nie możecie tak się zadreć bez końca. Na miły Bóg, wojna minie. Dopóki wiary starczy, dopóty tli się nadzieja.

Podniosłem wzrok znad mikrego okręta^[511]. Mama stała przy kuchni z rękami zaplecionym na piersiach. Nie była zła. Może poirytowana naszym zachowaniem, ale na pewno nie zła. Zanim zdążyłem otworzyć usta, Ineczek odpowiedział jej, jak tylko szorstko potrafił:

– Jeśli jedyną nadzieją jest wiara, to nie ma żadnej nadziei.

Wiedziałem już, że ta rozmowa potoczy się w kierunku, w którym kategorię toczyć się nie powinna. Mama odsunęła krzesło i usiadła przy stole naprzeciwko Innocentego.

– Chłopcze – upomniała go na tyle stanowczo, na ile tylko umiała – z Bożą pomocą to miasto będzie wolne. Jego przykład z nurtem Wisły popłynie.

– Z nurtem płyną jedynie śmieci i zdechłe ryby – Inek lekceważąco wycedził pod nosem. Wiedział, że Mama jest bezradna wobec takiej postawy. Był wulgarny, choć nie podnosił głosu:

– Przykład – cynicznie powtórzył usłyszane słowo.

Zamilkł, wstał od stołu i podszedł do drzwi szykować się do wyjścia. Nie zwracał na nas uwagi. Byłem przekonany, że na tym się skończy, jednak Mama

nie zamierzała dać łatwo za wygraną. Odwróciła głowę w stronę przedpokoju i zapytała rozżalona:

– Jezusie Maryjo, Innocenty, co ty w ogóle pleciesz?

Ten, niewzruszony, nawet nie machnął ramionami. Zamiast tego przyklęknął i zaczął irytująco niespiesznie supłać sznurowadła.

– Kiedy my, tutejsi, przestaniemy udawać, że reszta tego kraju cokolwiek nas obchodzi? – wypalił jakby do siebie, niczyjej odpowiedzi nie czekając.

– Przecież to nasz obowiązek – Mama wyraźnie opadała już z sił.

– Naszym jedynym obowiązkiem jest przeżyć i ja zmierzam ten obowiązek wypełnić. Lepiej, choć czasem trudniej, jest żyć.

Ostatecznie Mama straciła chęć do rozmowy. Jedyne, na co było ją jeszcze stać, to szczere „Niech Bóg ma cię w swojej opiece” na do widzenia.

– Co ty wiesz o znaczeniu tego słowa? – usłyszała w zamian za błogosławieństwo. Chwilę później Inek spokojnie zamknął za sobą drzwi.

Nie tak sobie planowałem ten dzień spędzić. Mało to gówna wokół, żebyśmy jeszcze we własnym gronie się nim obrzucali? Minuta nie minęła, nim Mama postanowiła przeprowadzić mnie na swoją stronę:

– Ładek, ty też tak myślisz? – zapytała przerażona, z nadzieją na uzyskanie jedynej słusznej odpowiedzi.

– Jak on własnego ojca nie pamięta, ciężko by o ojczyźnie pamiętał – próbowałem bronić przyjaciela.

– Pytam, czy i ty tak myślisz? – strach w oczach Mamy przemienił się w gniew podszyty zniecierpliwieniem. Nie dała mi szans na urwanie wątku.

– Nie wiem, co mam myśleć – przyparty do muru nie kryłem szczerości. – Wszyscy oczekują żebym myślał tak jak oni, a ja to przecież ja, nikt inny. Nie chcę oddawać życia za wolność. Na co mi wolność, jak życia nie będzie?

Nie czekałem na jej reakcję, wyszedłem na klatkę schodową. Liczyłem, że na

półpiętrze, w oparach dymu tytoniowego, będzie siedział wścieknięty Ineczek, wcale go tam nie zastałem. Spojrzałem przez okno wychodzące na podwórze, jednak ono również okazało się puste. Tylko gipsowa pokraka na posterunku czuwała. Zapaliłem dulca, przycupnąłem na parapecie i nie spuszczałem z niej wzroku. Odkąd sięgam pamięcią ta koszmarna figura wraz z dźwigającym ją tandetnym cokołem stanowiła dla lokatorów naszego domu umowny zegar słoneczny. Kiedy słońce zeszło nisko, a studnię spowił czerwonawy cień, zrozumiałem, że Ineczek już nie wróci. Było to co prawda tylko błahe przeczucie, ale więcej nie było mi trzeba. Wróciłem do mieszkania i w pełnym opakowaniu wgramoliłem się pod kołdrę. Tyle go widziałem. Przynajmniej nie wyszedł bez pożegnania.

[501] Wylęgница – prostytutka.

[502] Dachówka – czapka.

[503] Fruwak – marynarka.

[504] Filicha – chusteczka.

[505] Bełtać – mącić, mieszać.

[506] Bambaj – tramwaj.

[507] Falirczykłych – kartoflane babeczki z drobiowymi skwarkami i jajkami, zapiekane w rondelkach.

[508] Awel hebr. – noszący żałobę.

[509] Pociaszki – szelki.

[510] Meszty – półbuty damskie.

[511] Mikry okręt – talerz.

ARES

„Drogi Ineczku”. Skreśliłem. „Gnido, mendo parszywa”. Skreśliłem raz jeszcze i po raz kolejny zacząłem od nowa: „Niechętny temu tradycyjnie, zmuszony jestem przyznać Ci rację – Ściek spotkał los najgorszy z możliwych. Nie mam pewności, ponieważ nie odważyłem się jeszcze wyjść na powierzchnię, ale wydaje mi się, że jedyny z całej okolicy ocalałem.

Z relacji Cieszka wiem, że Tymczasowi zamordowali Mamę i panią Bożeciechę piątego dnia walk, związując je drutem kolczastym i wykorzystując jako żywe tarcze przeciwko amunicji powstańczej. Jedno pocieszenie w tym znajduję – przed śmiercią raczej nie zostały zszargane. Podobno pacyfikująca naszą dzielnicę Dywizja Grenadierów recydywistów dowodzona przez sadystę Dirlewangera gwałciła kobiety przed niemal każdą ich egzekucją. Wierzę, że gdyby tylko miały wybór, wołałyby umrzeć jak Mama, na barykadzie, od zbłąkanej kuli powstańca.

Czy Cieszek nadal żyje, tego nie wiem. Namawiałem go, żeby został, żeby ukrył się razem ze mną w naszej piwnicy, ale on, osierocony, postanowił dołączyć do komunistów na prawym brzegu. Znając jego nastawienie, nie zdziwiłem się za bardzo. Nie ukrywam też, że jego decyzja jest mi nawet na rękę, bo niełatwo byłoby nam podzielić zagospodarowaną przeze mnie norę. Siedząc w mojej pancерnej szafie zakopanej poniżej poziomu gruntu piwnicy, czuję się na razie w miarę bezpiecznie. Nigdzie uciekać nie muszę. Nikt nad moją głową nie nawołuje: „*Rauss! Rauss! Kommen hier!*” Gdzie indziej Tymczasowi zapewne

schodzą do piwnic i nawet jeśli ktoś umarlaka struga, to dla pewności posyłają mu kulę w czoło. Cóż, być może pewni tego, że wymordowali wszystkich z Twardej, ruiny naszego domu szerokim łukiem omijają. Oby.

Doskwiera mi wiele, a najbardziej samotność. Czuję się samotny, jak chyba nigdy w życiu, lecz wiem, że jeśli chcę dożyć następnego dnia, zmuszony jestem tę samotność wbrew sobie pielęgnować. Za jedyne towarzystwo mam niezliczone pchły, wszy, muchy i inne cholery. Nie zacząłem z nimi jeszcze rozmawiać tylko dlatego, że ze strachu o życie od paru tygodni w ogóle się nie odzywam. Nie umiem określić, jak długo już milczę. Dni nie odliczam, to mogłoby tylko pogorszyć moje samopoczucie. Zresztą dzień czy noc – jest mi wszystko jedno. Pod gruzami i tak granica między nimi doszczętnie się zatarła.

Wybacz charakter pisma, ale piszę po ciemku. Gdy tylko zapalam światło, muchy dopadają mnie i gryzą jak wścieknięte. Włazą do uszu, kluby, ust – dosłownie wszędzie. W nieustannej walce z nimi, skazany na porażkę, jedyne, co jestem w stanie zrobić, to obwiązać głowę szmatą z wydartymi otworami na usta i lichtarnie. Najgorzej jest, kiedy siadam do posiłku. Jedną ręką wiosłuję, drugą odganiając suki od jedzenia. Nie zamierzam się z nimi dzielić, moje codzienne racje żywnościowe i tak już są głodowe. Raz nawet ulepiłem sobie z chleba komplet figur szachowych, żeby ćwiczyć, czego dzielnie próbowałeś mnie uczyć. Niestety szybko potem głodem przymuszony zżarłem je ze łzami w oczach. Dziennie pozwalam sobie na kilka łyków wody i kostkę cukru, czasem, przy odrobinie szalonej rozrzutności, na mikry okręt zimnej zupy jęczmiennej mielonej z plewami i kawałek starego racucha z otrębów pszennych. Mimo w miarę racjonalnego dawkowania hreczki, jęczmienia i pszenicy, zapasów starczy mi jeszcze na około dwa tygodnie. Tłuszcz na pewno skończy się wcześniej. Co później? Będę zmuszony wyjść.

Moim podstawowym obowiązkiem jest przeżyć i zamierzam ten obowiązek wypełnić. Lepiej, choć czasem trudniej, jest żyć”.

Przez dwa dni przebijałem się przez stos cegieł zasypujących piwniczne okienko wychodzące na to, co kiedyś nazywałem podwórzem. Gdyby nie fakt, że byłem skrajnie niedożywiony, pewnie poszłoby mi szybciej, ale trudno, ważne, że jakoś dawałem jeszcze radę. Kiedy w trakcie odgarniania gruzu nieoczekiwanie usłyszałem Tymczasowych patrolujących zgliszcza nad moją głową, po krótkiej naradzie z wszami postanowiłem przestać kopać do dnia następnego, a w nocy w ogóle się nie poruszać.

Wreszcie, niczym kret, wygramoliłem się ponad bajnerowe rumowisko. Słońce może nie świeciło intensywniej niż kiedykolwiek o tej porze roku, ale jak dla mnie, nadwrażliwego, za bardzo. Powinienem był to przewidzieć i wyjść o zmierzchu, może wtedy uniknąłbym szoku. Długo nie mogłem zebrać w sobie na tyle siły, żeby wyprostować się w pełni. Wiele, zbyt wiele dni w ciasnej pieczarze przyzwyczało mięśnie do pozycji dla dorosłego człowieka tak nienaturalnej. Łzy cisnęły mi się do oczu, kiedy dyrki w kolanach prostowałem. Cierpiąc, zagryzałem wargi tak mocno, że upuszczona z nich krew zaczęła ściekać mi po brudnej, zlepionej zupą jęczmienną brodzie i kapać na zakurzone, podziurawione cybuchy. Do każdej kropli bez wyjątku od razu zlatywało się stado wygłodniałych much. Jedynie tym mogłem się z nimi podzielić. Zaspłany do tej pory kręgosłup długo szuchtował^[512] opór próbom przywrócenia go do pionu. Na wskroś wycieńczony miałem wyjątkowo niski próg bólu. Nie myślałem o tym, że zza rogu może nagle wyskoczyć ktoś z zamiarem odstrzelenia mi łba, chciałem jedynie się wyprostować, ponownie, może i po raz ostatni zwyczajnego człowieczeństwa zażyć.

Kiedy tylko moje oczy zaczęły czytać poszczególne kształty, zobaczyłem, co z ulic, na których panoszyłem się przez całe swoje życie, pozostało. Ogólnie rzecz ujmując, niewiele. Ja, który każde tutejsze podwórko jak własny werch znałem, miałbym problem, żeby określić, w którą stronę świata stoję zwrócony. Nie udałoby mi się, gdyby nie jeden, majaczący w tumanach wznoszącego się

z wiatrem ceglanego pyłu obiekt. Tak charakterystyczny, że nie do pomylenia nawet z Twardej oglądany. Przetarłem jeszcze raz poranionymi dłońmi bałuchy i spojrzałem na wieżę kościoła św. Augustyna. Poza nią wszędzie tak samo, jednolita panorama ruin. Miasto z ziemią zrównane, a po jego środku ja, coraz to bardziej samotny i przerażony. Sam pośrodku niczego. Patrzyłem na kościelną wieżę jeszcze przez kilka minut, próbując oswoić się z zastanym krajobrazem. Że nie jest to sen, nie miałem najmniejszych wątpliwości – za bardzo mnie wszystko napierdalało, żebym musiał się szczypać. Hipnotyczny stan, w który wszedłem przez bezwzględne skupienie się na jednym punkcie, omal nie przyprawił mnie o zawrót głowy. Gdybym tylko miał w sobie iskierkę wiary, potraktowałbym to, co widzę, jako znak. „Bądź Wola Twoja” – wymamrotałem cynicznie pod nosem. Podciągnąłem portki, przełknąłem sałamaczkę^[513] gęstej śliny i piachu, po czym rozejrzałem się raz jeszcze. „Reszta Ścieku też” – dodałem.

Musiałem znaleźć jedzenie i wodę, najlepiej jak najszybciej. Naturalnie postanowiłem rozpocząć poszukiwania od jedyne go miejsca, które nie wyglądało na doszczętnie zrujnowane. Przeczekałem kilka godzin ukryty w zgłiszczach naszego domu i kiedy nad miastem zapadł dostateczny zmrok, ruszyłem przed siebie, na przemian to idąc, to czołgając się między trupami. Dodając sobie otuchy, nuciłem w myślach za Mellerowiczem:

Kiedy ponura melancholja
Zakrada się do serca mego,
To wtedy zawsze się wybieram
Spacerem na plac Kercelego.
Ten plac, tak sławny w naszym mieście,
Lubię czasami do szaleństwa.
Lubię wsłuchiwać się w wymysły,
W te targi, sprzeczki i przekleństwa.
(...)
I w chwili właśnie sentymentu,
W chwilach humoru ponurego.

Z rozkoszą wielką, niekłamana,
Idę na plac Kercelego.

Trochę pomagało.

Na swojej drodze napotykałem zdziczałe, wychudzone koty wyszarpujące sobie z pysków strzępy skóry. Spłoszyłem niechcący psa czyszczącego jakąś kość, ludzką, udową, sądząc po rozmiarze. Raz wydawało mi się, że spłoszyłem też człowieka w podobnej sytuacji. Licznym nieboszczykom mięsa brakowało. Widziałem też wrony wydziobujące resztki tłuszczu z odkrytych, sinych kobiecych piersi. Co jakiś czas brodziłem w lepkim, czerwonym bajorze, z którego sinymi języczkami chłeptały cudem ocalałe, bezpańskie już zwierzęta. Na moich oczach ziemia odmawiała krwi dzieci swoich. Nawet ona nie była tak zachłanna.

Nie tylko widok był nie do zniesienia, bił ode mnie straszny smród. Najciężej przychodziło mi powstrzymanie odruchu wymiotnego, który groził śmiertelnym skrętem i tak już wysuszonych jelit. Najgorsze były noce. Dla bezpieczeństwa kładłem się spać wśród zwłok, a właściwie to przykrywałem się znajduwanymi truchłami. Jeśli były duże, starczały pojedyncze, jeśli mniejsze, na przykład dziecięce, układałem na sobie z nich stosik. Były zimniejsze od ziemi, coś z nich czasem kapało. Najprzyjemniejszą noc spędziłem wśród ciał osmolonych, takie najwolniej się psuły, mniej ode mnie śmierdziały. Poprzebijane kośćmi innych osób musiały paść ofiarą silnej eksplozji, nie zwyczajnych płomieni. Z pracy w zakładzie króla nieboszczyków Moryca Pinkerta pamiętałem, że kości barkowe uchodziły za najtwardsze, najciężej się je łamało.

Na szczęście obrany przeze mnie cel za każdym razem, kiedy podnosiłem ku niemu wzrok, wydawał się być coraz większy. Pamiętałem, że na samym początku insurekcji Tymczasowi na wieży kościoła ustawili punkt obserwacyjny, czyli tak naprawdę gniazdo broni maszynowej. Nie miałem pojęcia, czy nadal

tam nie wysiadują, musiałem trzymać się na baczności. Cały dzień wyteźonej obserwacji pozwolił mi ustalić, że nie ma tam raczej żadnego żołnierza. Prowokowałem ich reakcję, rzucając bajnerami albo puszczając świetlne zajączki przy użyciu kawałka stłuczonego lusterka znalezione pod gruzami. Nic, ani jednego wystrzału. Wydawało się w miarę bezpiecznie, jak na panujące warunki. Nabrałem wystarczająco odwagi i podjąłem decyzję o wejściu do świątyni. Wieża jako taka wyglądała solidnie, mimo iż na pewno pociskiem oberwała. Reszta nie wiem, jakim cudem jeszcze stała. Wyglądało na to, że w wyniku walk lub zaraz po powstaniu częściowo spłonął dach kościoła, sygnaturka, organy, wszystkie drzwi zewnętrzne, nawet kamienne fragmenty elewacji ucierpiały. Ogniem zajęła się też plebania i dom parafialny.

Niestety w kościele, jak przez całe dotychczasowe życie, niczego dla siebie nie znalazłem. Budynek był wypatroszony ze wszystkiego co użyteczne, ale wieża, wieża wyglądała solidnie. W gorszym stanie były jej schody, a właściwie to, co z nich pozostało. Musiały zająć się ogniem, jak i reszta drewnianych elementów. Gdzieniedzie wystawały ze ścian mocowania pojedynczych stopni, wspinaczka po nich, przy mojej ówczesnej tężyznie, niosła ze sobą nie lada ryzyko. Co tam – pomyślałem – do odważnych świat należy, a może przynajmniej woda, albo stary bartek – i zacząłem się wdrapywać. Widok z góry był przytłaczający.

Kolejny skurcz żołądka wyrwał mnie z rozpacz i przypomniał, że emocjami głodu nie ujarzmię. Jedzenia, jakżeby inaczej, nie znalazłem. Po urzędującym tam do niedawna strzelcu nic nie zostało. Postanowiłem spędzić noc w bezpiecznym miejscu i choć było przenikliwie siewierno^[514], to morda mi się cieszyła na widok chaotycznych gwiazd migoczących na bezchmurnym niebie. Spałem snem płytkim, ale wyraźnym. Pamiętam, że pierwszy raz w życiu, tej właśnie nocy, śniło mi się jedzenie. Piąta ćwiartka po naszymu, taka z pulpetami. Niemalże czułem ich niepowtarzalny smak. Policzki, ogon wołowy, ozorek

w galarecie, grasicą. Wielka tęsknota spowiła moje podniebienie. Jesiotry we Wiśle łowione, z trymbulką pieczone. Niekoniecznie na szampanie i z chamskiej blachy zdjęte wtrąciłbym bez słowa. Największy apetyt przyszedł mi jednak na smażoną minogę, przyszykowaną po kercelacku. Nigdzie takiej jak na Kercelaku nie sprzedawali.

Żeby nymnąć^[515] łaknienie, zacząłem ssać palce. Z każdym następnym dniem ciumkałem je częściej i częściej, aż właściwie bez przerwy to robiłem. Nie miałem innej tak czystej części ciała jak paluchy. Przestałem dopiero pewnego popołudnia, kiedy to wyplułem z ust trzy luźne paznokcie i przestraszyłem się, że z resztą może stać się to samo. Na szczęście niedługo potem los się do mnie uśmiechnął. Na pokryte pleśnią, pyłem i szczurzymi odchodami skóry od chleba w normalnych warunkach raczej bym się nie skusił, ale że znalazłem je piątego dnia od wyjścia na powierzchnię, to nie wybrzydzałem. Znalazłem również beczki z deszczówką posypaną martwymi owadami i ich larwami. Przefiltrowałem ją przez skarpetę z bryłką węgla i usiadłem do uczy. Łącznie mijał już tydzień, od kiedy ostatni raz miałem coś w ustach, tak że higieną posiłku niezbyt się przejmowałem. Ogólnie im więcej czołgałem się po mieście, tym więcej rarytasów wpadało w moje ręce. Owszem, nie było tego wiele, ale jak się trafiła na przykład flaszka Złotej Renety, to sam sobie gratulacje składałem.

Od wielkiego dzwonu spotykałem też innych ukrywających się ludzi. Bywało tak, że odzywała się w nas prymitywna natura nakazująca walczyć o pokarm, na który jednocześnie się natknęliśmy. Wszyscy bez wyjątku umieraliśmy za nasz kraj, wszyscy z głodu.

Pewnego dnia trafiłem na grupę, która nie miała nic poza skrzynką francuskiego szampana. Ani grama bomsa, ani szczypty soli, ale bąble za sto tysięcy. Niebezpiecznie było upijać się w gruzach, to była najcichsza balanga w moim życiu, cichsza niż na Miłej. Dzieliliśmy się również informacjami i spostrzeżeniami z miasta, znaczy z tego, co nim jeszcze do niedawna było.

Z których kanałów czerpać wodę albo gdzie przesuwają się Tymczasowe chatrany polujące na niedobitków jak my. Radom, poradom końca nie było. Mimo ponurej aury zawsze znalazł się temat do rozmowy. Chociaż ocalało nas niewielu, ksiuta również miała się klawo, jedynie obieg wolniejszy. Pewna szczególnie mnie zainteresowała, bardzo chciałem w nią wierzyć. Podobno jeden z nas miał jeszcze na tyle siły, żeby samotnie mścić się na Tymczasowych za łajdactwo, jakiego się dopuścili. Podobno podpisywał się Ares i nieustannie manifestował swoją obecność w zrujnowanym mieście. Podobno po każdym akcie terroru zmieniał kryjówkę. Podobno mordował z zimną krwią. Na pewno Tymczasowi srali po nogawach na sam dźwięk jego imienia. Dawał im po temu niezliczone powody. Raz, kiedy trzech z nich zażywało kąpieli słonecznej, bycząc się na gruzach przy Poznańskiej, ot tak, w przerwie między gwałtami i mordowaniem, spadła na nich brązowa walizka. Niby nic wielkiego, ale eksplozja obróciła ruiny w gruz, gruz w proch, a proch w pył. Tymczasowych również. Pobliski patrol zaczął bezskutecznie szukać sprawcy. Jedyne, co znaleźli, to autograf na parapecie: Ares.

Wybryków Aresa było więcej. Zuchwale pozwolił raz sobie przywlec umundurowanego trupa w okolice miejsca schadzek SS-manów, na którym naszrajbował auf dojcz: „Każdego z Was czeka to samo”. Słyszałem jeszcze, że wybrał się pod koszary i przez specjalną tubę zaczął na alarm wołać. Kiedy zdezorientowane świnię wybiegły w niekompletnym rynsztunku, jak na strzelnicy do nich walił. Jakikolwiek pościg, rzecz jasna, był bezcelowy.

Na krótki czas Ares zawiesił swoją działalność, a o jego wyczynach jakby ucichło. Ktoś słyszał, jak Tymczasowi chwalili się między sobą, że zapędzili Aresa w kozi róg i prawie udało im się go dopaść. Długo ich radość nie trwała. Bohater wszystkich ukrywających się stołeczniaków powrócił z pierwszym śniegiem. Przyszedł grudzień i jeśli moje przypuszczenia miały cokolwiek wspólnego z prawdą, można było się spodziewać, że srogi Ares uderzy jeszcze

bardziej brutalnie.

Tylko jeden znany mi człowiek był na tyle obłąkany, żeby konstruować bomby i rzucać nimi w patrole. Tylko jeden mógł czerpać z tego czystą przyjemność. Mogłem się oczywiście mylić, jednak nigdy wcześniej nie byłem tak przekonany o swojej racji. Kolejny, długo oczekiwany występ Ares dał na Brackiej. Ustawił tam w podwórzu pogruchotany patefon, odtworzył porysowaną płytę i cierpliwie czekał. Prowadzeni melodią wojskowych marszów Tymczasowi zbiegli się we wskazane miejsce szybciej niż bajtla do kataryny. Kiedy dotarli na miejsce, ich oczom ukazała się dyndająca kukła, karykatura Hitlera, opatrzona wymownym tytułem „Kaput”. Huk eksplozji przepłoszył ptactwo żerujące w promieniu kilku kilometrów. Ostatnia wolno stojąca ściana kamienicy osunęła się, grzebiąc pod swym ciężarem widownię tak licznie przybyłą. Niedługo po tym obiegła ruiny wiadomość, jakoby ślaniający się na nogach Ares w trakcie ucieczki przed Tymczasowymi, pojawiwszy jej bezcelowość, odebrał sobie życie. Nie wierzyłem w ani jedno słowo, on przecież nigdy w łeb by sobie nie strzelił. To musiała być propaganda tamująca niemiecki strach przed wyjściem z koszar i zamierzałem to udowodnić, osobiście odnajdując ich oprawcę.

Pierwsze miejsce, które przyszło mi do głowy jako jego ewentualna kryjówka, było oddalone o jakieś dwa kilometry od miejsca mojego ostatniego noclegu. Obliczyłem to na około tydzień powolnego czołgania się i przemykania z jednego leju po bombie w drugi. Jak coś znalazłem, to żarłem, jeśli nie, to zdyscyplinowany pokonywałem kolejne metry do celu. Im bliżej byłem Śródmieścia, tym nawet częściej trafiały mi się jakieś ochłapy. Dzięki temu moja przeprawa nabierała tempa i stopniowo ograniczałem coraz to radsze odpoczynki. Kolejne dwa dni spędziłem w pozycji wyłącznie horyzontalnej, ani razu choćby nie przykucnąłem. Kiedy wreszcie dotarłem na Mazowiecką pod szesnastką i wstałem na równe nogi, krew mi się w żyłach zagotowała i uderzyła

do głowy. Chwilę później tą samą głową przyrznałem o wyrastający obok fragment elewacji budynku. Zrobiło mi się białe przed oczami, a moje i tak już wychudzone ciało w ogóle przestało cokolwiek ważyć. Snem bym tego nie nazwał. Jak człowiek śpi, to jest obecny, ja najzwyczajniej straciłem przytomność. Było mi wszystko jedno. Pierwsza rzecz, jaką pamiętam po ocknięciu, to gładka, zimna powierzchnia, na której leżałem i po której w celu rozpoznania wędrowały moje przemarznięte palce. To mogła być wielka szyba albo drewno lakierowane, dajmy na to wieko forteklapy, na przykład Seidlera.

Na wolskim ja przedmieściu urodziłem się,
Rodziców, przyznam się nie mam wcale,
Macocho do lat pięciu wychowała mnie,
Mój ojciec skończył w kryminale.
Na los swój nie narzekam, nie,
O swych przygodach ciągle śnię.
Ja gwizdzę na frajerski świat
I śpiewam nawet spoza krat.
Życie, życie głupie jest,
To każdy przyzna z was.
Trza talent mieć i zręczny gest,
Wyzyskać umieć czas.
Z frajera łupić, co się da,
Wyczyścić, aż po dach
Zdobędę łup, zdobędę dwa.
To przecież jest mój fach.

Znajomy głos nucił szeptem nad moją głową.

Ćwiknąłem obolały tułów i podparłem się na łokciach. Patrząc pod słońce, nie widziałem wyraźnie swojego rozmówcy, jedynie monotonną sylwetę odcinającą się od tła. Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, tę nutę i zza grobu bym poznał.

– Zesrałem się – zauważyłem. – Ale to nic – dodałem po chwili zastanowienia. Pierwsze słowa po przebudzeniu przysły z olbrzymim trudem.

Bełkotałem. Żołądek podszedł mi do po przelyku, a błędnik zupełnie oszalał.

– Twoje prawo – w odpowiedzi usłyszałem. – Gorączkowałeś i majaczyłeś, teraz powinno być dobrze. Pół nocy zmuszałem cię do rzygania, aż resztkę trucizny z żółcią wyplułeś. Krwi też upuściłem niemało. Musiałeś połasić się na porcje, co ją Tymczasowi dla mnie w gruzach porozkładali.

Co jak co, ale na truciznach to Ineczek się znał i w przeciwieństwie do mnie odporność miał niezwykłą. Za to ja, wycieńczony i znużony tygodniową przeprawą przez ruiny, zatraciłem rozsądne myślenie. Żaden człowiek daleko na deszczówce się nie doczołga, ja na pewno do wyjątków nie należałem. Żyłem, to było najważniejsze. Żyłem, a moje domysły okazały się prawdą. Poza bólem przeszywającym trzewia czułem jednocześnie olbrzymią satysfakcję.

– Ares, wiedziałem – wykończony ponownie runąłem na łopatki. – Jak mnie kichy szarpia.

Zamilkłem, nie miałem siły wydobyć słowa. Czułem się jak wór poskręcanych podrobów, ale zarazem najszczęśliwszy wór na świecie. Chwilę później, tą radością przepełniony, zasnąłem. Tym razem był to najprawdziwszy sen, żadna tam utrata świadomości. Nie wiem, jak długo spałem, nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie śniło mi się nic, co mogłoby zakłócić upragniony odpoczynek, pamiętam tylko uczucie lęku, które towarzyszyło mi zaraz po przebudzeniu. Bałem się, że kiedy otworzę oczy, wszystko dookoła okaże się nieprawdą. Bałem się, że nie będzie ze mną Ineczka, że wcale go nie odnalazłem. A jednak, Inek wciąż przy mnie czuwał. Prawdziwy, na wyciągnięcie ręki. Jakimś niepojętym cudem, mimo wycieńczenia i wbrew działaniu trucizny, trzeźwość umysłu zachowałem.

– Czemu odszedłeś? – zapytałem, jednocześnie przecierając poślinionym palcem zlepione ropą powieki. – Przez kłótnię z Mamą? – nerwy przypłaciłem rozległym bólem w klatce piersiowej.

Ineczek zignorował moje uniesienie. Przez chwilę nawet milczał, widać

potrzebował czasu, by właściwie sformułować odpowiedź.

– Bez przesady – zaczął tłumaczyć. – Kiedy wyszedłem z domu, niczego podobnego nie planowałem. Chciałem tylko odetchnąć, zaczerpnąć świeżego powietrza, nic więcej. Ciągnęło mnie do miasta, bardzo za nim tęskniłem. Spacerowałem spokojnie to tu, to tam, aż po Nowogrodzką. Przez witrynę tamtejszej Gospody dostrzegłem dawno niewidziany profil. To był Aria Leib Nayer, na pewno on. Jakimś cudem przeżył getto, siedział wygodnie w lokalu i pasł się bez umiaru. Nagle weszło do środka czterech na pierwszy rzut oka szemranych. Żaden z nich nie wydał mi się znajomy, ale ich zamiar od razu rozpoznałem. Uzbrojeni w pistolety i granaty kazali zebrany podnieść gable do góry, a Leib Nayera zastrzelił jeden po temu wydelegowany. Karpaczył z bliska – chciał mieć pewność, że zabił. Ustąpiłem uciekającym z drogi i wszedłem do Gospody podsłuchać, co ludzie gadają. Na podłodze, z otwartymi oczami leżał Aria, na pewno on.

– To ktoś ważny? – zapytałem jednego z gapiów, co na obytego w Ścieku wyglądał.

– Z choinki się urwałeś? Lewe dokumenty Żydkom wciskał. Dostał teraz za swoje – odpowiedział. Splunął jeszcze kaszą wydłubaną spomiędzy szarych zębów w kałużę krwi Nayera i na zewnątrz wyszedł. Pobiegłem za nim. Mało żeśmy się nie pobili, tak długo go namawiałem, żeby mi coś jeszcze opowiedział. Skłamałem nawet, że w kurwarze^[516] stołecznym robię, więc lepiej niech gada po dobroci. Wreszcie się ugiął. Jak się okazało, Aria opowiedział się w getcie po stronie Aplikantów, jednak z dokumentami nadsyłanymi przez Łokcia się nie wychylał. Kiedy usłyszał o aresztowaniu Doktora, wszystkie je przywłaszczył. Po upadku getta, wiedząc, jak wielu starozakonnych ukrywa się po naszej stronie, postanowił zrobić z nich wreszcie użytek. Ocalałych Żydów wabił do Hotelu Polskiego szwindelobietnicą o bezpiecznej ucieczce z kraju oraz wymianie na szkopów internowanych. Ci, którzy uwierzyli, że Tymczasowi wypuszczą

z Polski świadków likwidacji getta, na złożoną propozycję przystali. Trafiali potem kormelskim^[517] transportem do obozów przejściowych. Przejściowych na tamten świat. Dowiedziałem się jeszcze, że Aria nie działał sam, podobno ktoś urządził polowanie na jego chewrę całą. Nie udało mi się ustalić kto, ale zrozumiałem jedno: następny mogę być ja. Skoro na prośbę Łokcia szukałem chętnych na dokumenty wśród byłych klientów antykwariatu, skoro Aria robił to samo, następny mogłem być ja. Nie miałem żadnych wątpliwości. Na miejscu morderców Nayera właśnie tak bym postąpił.

– Gdzie się ukrywałeś przez cały ten czas? Chyba nie tutaj?

– W kryśce, na Miłej.

Po tych słowach zastanawiałem się, czy aby na pewno bez żadnej ochyby^[518] wyrzygałem całą zawartość żołądka. Jeśli to były majaki, mogły być wywołane trucizną, co do krwi się przedostała.

– Innego wyboru nie miałem – Innocenty zareagował od razu, kiedy dostrzegł brak choćby krzty wiary w moim otepiałym spojrzeniu. – To było jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy. Jedyne, w którym czy to Żydowie, czy Polacy, czy choćby Tymczasowi, ktokolwiek kto ubił Nayera, nigdy by mnie nie szukał. Postanowiłem zrobić to od razu, zamiast przemykać nocą jak jaki uciekinier podejrzany. Nie zatrzymałem się, przekraczając bramę getta, nie zatrzymywałem się później. Mijałem kolumny Tymczasowych odprowadzające na śmierć więźniów Pawiaka. Kiedy dotarłem w okolice bunkra, napotkałem na pewne trudności, ponieważ Niemcy wysadzili wszystkie wejścia. Na szczęście tylko te, o których wiedzieli. Ostatnim zachowanym korytarzem wczołgałem się za szczurami do środka. Skoro im nie brakło pod ziemią powietrza, to i dla mnie starczyć musiało.

Musiało. Ja sam czułem się, jakbym właśnie w kryśce siedział. Było mi duszno, powietrze stało. Ucisk w klatce piersiowej ograniczał moją zdolność swobodnego oddychania. Starłem się, mocno się starałem oddychać miarowo.

Raz po raz zanosilem się kaszlem. Przerywałem, przeszkadzałem Inkowi, on mimo wszystko kontynuował. Cierpliwy, rozumiejący jak zawsze:

– Dopiero wewnątrz bunkra zrozumiałem, co je tam przyciągało. W świetle zapalki zobaczyłem, że z ciał naszych towarzyszy, z Malachiego i reszty, pozostały jedynie strzępy ubrań. Gryzonie nie wybrzydzą, nawet kości walało się mniej, niż powinno. Tylko dzięki szczurom trupi jad nie zdążył zanieczyścić powietrza, gaz wpuszczony do bunkra przez Tymczasowych również z czasem wywietrzał. Wpierw postanowiłem odszukać beczki z paliwem do agregatów. Stały tam, gdzie je podczas poprzedniej wizyty widziałem. Na moje szczęście niemal wszystkie były pełne. Udało mi się uruchomić jeden agregat zasilający ostatni niezasypany wentylator i dwie lampy. Gorzej sprawa miała się z prowiantem. Obawiałem się szurzych odchodów i jaj złożonych w zbiornikach z wodą przez owady żerujące na zwłokach. Wstrzymywałem się od jedzenia i picia, dopóki nie zacząłem słabnąć. Później, nie bez obaw, jednak się poddałem. Musiałem jeszcze zrobić coś ze zwłokami. Z tym, co z nich pozostało. Ich widok był zbyt przygnębiający, pochować je musiałem. Ułożyłem wszystkie na cementowej podłodze jednego z podminowanych tuneli, zajęło mi to sporo czasu, chciałem być skrupulatny. Skoro Żydowie chowają się bez trumien i kryją groby bajnerami, uznałem, że taki sposób pochówku ich tradycję uszanuje. Z detonacją ładunku musiałem jednak poczekać, nie chciałem zwrócić na siebie zbyt dużej uwagi. Na szczęście Tymczasowi dokonywali w ruinach getta nawet po kilka egzekucji dziennie. Słyszałem płacz matek i ich bajtli, lament mężczyzn w każdym wieku. Rozstrzeliwani byli wśród ruin znajdujących się tuż nad moją głową. Serie z karabinów były na tyle długie, że zdążyłem zdetonować ładunek, nie zdradzając swojej obecności. Bojowców pochowałem.

– Należało im się – pomyślałem na głos.

– Należało – Ineczek przyznał mi rację. – Później stwierdziłem, że ze stertami ciał zalegającymi w opustoszałych podwórzach mógłbym zrobić to samo. Im

również cokolwiek posługi się należało. Kiedy wyczołgałem się w nocy na powierzchnię, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Plutony egzekucyjne harowały w pocie czoła, a tam trupa żadnego. Ani jednego w zasięgu wzroku. Jakby rozpułyły się w powietrzu, dosłownie, z wiatrem. Przypadkiem nakryłem tylko jakiegoś Tymczasowego kaprała, który nie sprostał pokładanej w nim nadziei. Na własne oczy widziałem, jak pól bramy zarzygał, po czym w łeb sobie strzelił. Wtedy zaryzykowałem. Podbiegłem, jak tylko szybko potrafiłem, i pozbawiłem go wszystkiego, co posiadał, do gołego. Tak mijały mi tygodnie, miesiące. Za dnia ukrywałem się pod ziemią, nocami, kiedy szczury wychodziły na zewnątrz, wychodziłem i ja. Niewiele się od nich różniłem, ten sam instynkt nas prowadził. Jedynie kopsankę^[519] niemal w całości przesiedziałem pod gruzami. Po jej upadku, kiedy walki zelżały, postanowiłem zabrać ze sobą pozostałe w kryśce ładunki wybuchowe i w przebraniu tutaj się przedostać. Wiedziałem, że jeżeli żyjesz, to właśnie pod tym adresem prędzej czy później się spotkamy. Nawet do twarzy mi w tym cholerstwie, nieprawdaż?

Dopiero w tym momencie zauważyłem, że faktycznie Innocenty siedział ubrany w zniszczony mundur niemieckiego żołnierza. Na pewno dzięki temu łatwiej mu było podejść Tymczasowych, których tak ochoczo zdejmował.

– Co teraz z nami będzie? Gdzie my się podziejemy? – nieśmiało spytałem, licząc, że Ineczek jest ode mnie bardziej opanowany. – Nawet do Chrzcielnicy nie mamy po co iść. Wiem, co mówię, byłem tam jak przed chwilą. Niby stoi, a pustka niczyja i tyle.

– Pustka? – w odpowiedzi usłyszałem.

– Najpuściejsza, Garncarek to rok już chyba nie żyje. Jak przestał być u nas potrzebny, objął proboszcza w św. Florianie i zaraz go w progu nowej plebanii ubili. Chodziła ksiuta, że to robota Polaków. Albo za pomoc i ukrywanie Żydów na terenie kościoła, albo przez pomyłkę, zamiast kościelnego garbusa.

– Ktoś oprócz ciebie przy życiu pozostał? – Innocenty zapytał z nadzieją

w głosie.

Nie czułem się na siłach, by wydobyć z siebie wyczerpującą odpowiedź. Wręczyłem mu list, który szrajbowałem, ukrywając się pod ruinami naszego domu na Twardej. Po jego przeczytaniu miał już pełny obraz sytuacji. Siedział pochylony nad pogniecioną kartką papieru i w ciszy oswajał się ze świadomością, że już nie mamy gdzie, a tym bardziej do kogo wracać. Łez nie wycierał. Pozwalał im swobodnie spływać korytem zmarszczek, których wychudzony się nabawił. Odwrócił się do mnie, dopiero gdy opanował emocje. Pewnie pomyślał, że jak zacznę beczeć jego smutkiem zarażony, to jeszcze dłużej sił nie pozbieram, nie wydobrzeję. Ale ja już dawno co swoje wypłakałem. Nawet gdybym się postarał, nawet gdyby mi na tym zależało, jednej łzy bym nie wycisnął. Najgorsze było już za mną. Nie wiem, czy Ineczek chciał pocieszyć mnie, czy raczej samego siebie, ale położył się obok na płycie forteklapy i pogodnym głosem zaczął barłoczyć:

– W tej sali pan Lejzo uczył mnie grania – zaczął nostalgicznie. – Największym jego problemem było zapanować nad moją złością i zrezygnowaniem po kolejnych niepowodzeniach. Rozczarowany poziomem własnych umiejętności zrzucąłem winę na wszystko wokół. A to hałas dobiegający z ulicy przeszkadzał mi się skoncentrować, a to klient przybyły analizę mi przerwał. Cokolwiek rozpraszało moją uwagę. Epstein nie krzyczał, nie podnosił głosu, choć jak sobie przypominam, miał po temu święte prawo – Innocenty zaśmiał się na wspomnienie minionych żalosności. – Zamiast przekrzykiwać moje frustracje, opowiedział pewną historię, która pomogła mi przezwyciężyć gorycz bezsilności. Podobno po klęsce pod Połtawą król szwedzki Karol XII za namową Stanisława Poniatowskiego skrył się w Benderach nad Dniestrem. Pobyt w azylu umiłał sobie grą w szachy, której był zapalonym miłośnikiem. Legenda prawi, że w trakcie toczony przez monarchę partii wróg rozpoczął ofensywę na miejsce jego schronienia. Niewzruszony

Szwed, nie chcąc odchodzić od szachownicy bez rozstrzygnięcia, zapowiedział szybkiego mata w trzech ruchach. Nagle przelatująca kula armatnia strąciła z deski królewskiego skoczka. Władca popatrzył na ustawienie i skorygował, co zapowiedział. Wskazał mata w czwartym ruchu. Wtedy kolejna kula zakłóciła porządek w ustawieniu i strąciła królewskiego piona. Opanowany Karol jeszcze raz zachował spokój i jak obiecał wygrać w pięciu ruchach, tak wygrał.

– Wierzysz w ten pic? – zapytałem, wątpiąc jak we wszystko, co niedorzeczne było.

– Nic a nic.

Tak oto Innocenty zrobił coś, czego kategorycznie robić nie powinien, rozbawił mnie jak za starych lat. Niestety zamiast śmiechu wyrzuciłem z siebie palbę kaszlu, a na dłoni, którą zasłoniłem usta, by zachować cokolwiek dyskrecji, dostrzegłem kilka kropli czarnej juchy.

– Dulca masz? – zapytałem, wpatrując się w Inkową skroń.

– Może pół – zaczął od razu grzebać po kieszeniach. – Słuchaj, niezależnie od obrotu spraw trzeba nam szukać nowych rozwiązań – przeszedł wreszcie do sedna. – Że Cieszek żyje, nie możemy wykluczyć. Jednak w twoim stanie przeprawa lodem na prawy brzeg nie wchodzi w rachubę. – Chwycił moją dłoń, po której powolnie spływała gęsta krwawa wykrztusina, i włożył między sztywne palce rozpalonego papierosa. – W swoim liście nie wspomniałeś nic o Halinie. W obecnym położeniu musimy przyjąć, że brak wiedzy o jej śmierci jest wystarczającym dowodem życia. Musimy przedostać się na Żytnią. Inaczej marno to widzę. Zbieraj siły, za tydzień, może dwa, ruszamy.

[512] Szuchtować – zuchwale przeciwstawiać się czemuś.

[513] Sałamacha – mieszanina.

[514] Siewierno – zimno.

[515] Nymknąć – oszukać.

[516] Kurwar – gadzinówka.

[517] Kormel – Niemiec.

[518] Bez ochyby – bez wątpliwości.

[519] Kopsanka – powstanie.



CZĘŚĆ TRZECIA

DZIKI ZACHÓD

NOWE ROZDANIE

Ku naszemu zaskoczeniu, w trakcie swojej podróży nie widzieliśmy ani jednego Tymczasowego, za to coraz więcej przemierzających morze ruin na chwiejnych nogach Polaków. Wygrzebywali się spod gruzu zawszeni, śmierdzący zaschniętą ropą, oblepieni długimi włosami. Pełzające człekokształtne stworzenia zamieszkujące dotąd betonowe pieczary coraz śmieiej wychodziły ku słońcu, aż wreszcie przyjmowały pozycję niemalże wyprostowaną. Wabione urzekającą melodią wszystkie bez wyjątku w tym samym kierunku powłóczyły niczym szczury z Hameln. My zresztą też. Otepiali zboczyliśmy z obranego wcześniej kursu i ruszyliśmy tam, gdzie podążała reszta formującego się stada. Na miejscu ostatkiem sił wdrapaliśmy się na wysoką trybunę usypaną z cegieł, żeliwnych zbrojeń i płyt chodnikowych. Dopiero z jej szczytu ujrzeliśmy, uprzątniętą w miarę prymitywnych możliwości, dawną aleję zwaną Jerozolimską. Muzyka dobiegała spod drewnianego forum ustawionego przez nieokreślonych sprawców na wprost zrujnowanego hotelu Polonia. Zauważyłem, że zajmowali je ludzie ważni, jako jedyni na zmarzniętych nie wyglądali. Płaszczący się pod ich stopami wojskowi cmokierzy, w przeciwieństwie do mnie i Inka, wiedzieli, o czym zabiegają uwagę. Co do jednego nie miałem wątpliwości – maszerowali usłużnie, czekając na pochwałę przენiewierców wyrzniętych pokoleń.

– Bohaterowie, psia ich mać – wymamrotałem.

Głód, zmęczenie, ale przede wszystkim powietrze zanieczyszczone ciężkim pierwiastkiem obłudy przyprawiały mnie o mdłości. Zniesmaczony omierzyłem

widokiem zwymiotowałem. Buta, hucpa, błazenada. Mają tupet kurwie syny – pomyślałem.

Swoim bezceremonialnym zachowaniem wzbudziłem zainteresowanie serwilistów patrolujących okoliczne zawaliny. Wokół aż roiło się od hycli tropiących płochliwych tubylców. Ci z ocalałych mieszczan, którym sił starczyło, by dotrzeć w pobliże defilady, zaraz poddawani byli prowizorycznej opiece medycznej, czy jej sobie życzyli, czy też za nią dziękowali. Sanitariusze golili im głowy, zachowując pozory dbałości o higienę, a ubrania oblewali benzyną i palili, by wytepić robactwo, które zaległo się w materiale. To samo robili ze zwłokami, na które co i rusz natrafiali.

Gdy zauważyli mundur noszony przez Innocentego, kazali nam w te pędy zejść do siebie. Niechętnie zjechaliśmy w dół prowizorycznego masywu, ale dostrzeżliśmy, że kilku z nich jest uzbrojonych. Pozostając na górze, nie bylibyśmy w stanie się bronić. Na nic się zdały nasze tłumaczenia, że styczeń, że siewierno, że to jedyne powody takowego przyodzienia. Kiedy pierwszy z sanitariuszy wyciągnął rękę w kierunku Ineczka, ten podniósł z ziemi połowę zardzewiałych nożyczek do krojenia drobiu, przebił nimi nadgarstek nadgorliwca i poprawił soczystym sierpowym na skroń.

– Jakieś anse[520], garbusy? Jebał was pies! – krzyknął, wyrażając dezaprobatę wobec służby w Armii Ludowej.

Widząc, co się kroi, grupa przerażonych trepów w popłochu starała się odbezpieczyć posiadane karabiny, a pielęgniarze debatowali gorączkowo, czy żądać od nas satysfakcji. Jeden drugiemu miejsca w pierwszym rzędzie ustępował. Staliśmy z Ineczkiem otoczeni przez grupę panicznie wystraszonych szeregowców celujących do nas roztrzęsionymi lufami. Smród panującego wokół strachu wziął górę nad wszechobecną stęchlizną.

– Szkoc, Szajgec? – padło nagle z tłumu. Cieszek Peplak przebił się jak taran przez pierścień białych towarzyszy.

To się nazywa szczęście, nie można tego nazwać inaczej. Wszędzie śnieg, głązy, ogniska palonej odzieży i zewłok, a my, jak gdyby nigdy nic, ot tak, przy akompaniamencie marszowej nuty na siebie wpadamy.

– Ciebie też jebał, gnoju – przywitał go serdecznie Innocenty, brocząc po kostki w przyjemnie ciepłej, parującej kałuży krwi półprzytomnego kacapa. Wszyscy trzej rzuciliśmy się sobie w ramiona.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – zachichotał Peplak, zerkając pod nogi na paradoks sanitariusza wymagającego opieki.

– Pewne nie powinny – odpowiedział Ineczek, wpatrując się z dezaprobatą w jego pagony. Cieszek pozostawił uwagę bez komentarza. Rozejrzał się dookoła i zasugerował, że w związku z zaistniałym biegiem wydarzeń powinniśmy się nieco oddalić. Usiedliśmy pod zerwanymi schodami prowadzącymi niegdyś na piętro nieistniejącego już budynku, by chociaż na chwilę osłonić się od hulającego zimnego wiatru. Dopiero wtedy moich uszu zaczęły dochodzić tłumione okrzyki kolejnych pacjentów poddawanych zabiegom amputacji. W znajdującym się nieopodal doraźnym szpitalu innych nie przeprowadzano. W każdej sali bez wyjątku, w każdym przejściu czy na parapecie, odejmowano ludziom członki zainfekowane gangreną, odmrożone do czarnego lub miażdżone gruzem. Na najbliższą olimpiadę marne mieliśmy prognozy jako naród.

– Ty weź tę kapotę na lewą stronę przekręć, jeśli ci życie miłe – Cieszek upomniał naburmuszonego Inka, pukając się przy tym wymownie w gufrowane^[521] czoło.

– Za nimi biegasz tresowany? – zapytałem go, wskazując na mundurowe łapiduchy.

– A gdzie tam – zaprzeczył. – Przydział w saperskie dostałem i ruiny czyszczyć Szułanom. – Przyganił trwającej bez chwili przerwy defiladzie.

– Ciechuś, chodź ty z nami – zaproponowałem odruchowo.

Uśmiechnął się na to pod niby wąsem, co mu ledwo kielkował był

i odpowiedział mi pytaniem na pytanie:

– Z wami? A dokąd?

– Gdzieś, gdzie min nie będzie. Na razie do Łokciowej się zbieramy – obaj wiedzieliśmy, że na Żytniej, o ile to sensowny kierunek, niczego nie możemy być pewni.

– Gorzej niż było już być nie może. Trzeba się dopasować – mówiąc te słowa, Cieszek patrzył na mnie. – Ja po skończonej służbie na psa pójdę. W gabinecie do spraw złodziejstwa na pewno się przydam. A wam to na pewno – zażartował swobodnie. – Musicie stąd szurać, zanim wam jaki papier do podpisu podsuną – skinął głową w kierunku pielęgniarzy uwijających się nadgorliwie wśród niezliczonych pacjentów. – Chleb jest za darmo tylko w pułapkach.

Kiedy ściszałem go na pożegnanie, wrzucił mi do kieszeni kilka świeżych banknotów wyprodukowanych w moskiewskiej drukarni Gozak.

– Uważajcie na siebie. Będzie dobrze, ja mam nosa – wyszeptał, a następnie padł w objęcia Inkowi.

– Jak rasowy skowyr – rozchmurzony wreszcie Innocenty puścił do Cieszka zaczerwienione ślipie. – Jak się znajdziemy? – zapytał na koniec.

– Jak tylko nam się zachce – mówiąc te słowa, Cieszek poprawił takie coś czapkowate, co miał na głowie. – To miasto nigdy nie było tak małe.

Będąc już daleko od sanitariatu i defilady, wyjąłem z kieszeni podarowane łakomce, żeby przyjrzeć im się z bliska. Pierwszy raz w życiu takie widziałem. Naznaczone były dziwnie sformułowaną klauzulą: „Przyjmowanie we wszystkich wypłatach jest obowiązkowym, fałszowanie będzie karane zgodnie z prawem” – tak to jest, jak się kacapy za cywilizowany język biorą – wytknąłem cichaczem. Na myśl o fałszerce wiele pięknych wspomnień mi wróciło. Nie mniej wzruszyłem się również, kiedy wreszcie stanęliśmy przed kamienicą, którą znaleźliśmy od bajtli. Dom pod czterdziestką jako jeden z nielicznych w okolicy stał

nienaruszony. Choć elewację budynku szpeciły ślady po pociskach kalibru wszelkiego, to liczba ścian nadal się zgadzała. Wytrwałe fundamenty dźwigały niezmiennie tę samą liczbę kondygnacji, nie strach było wejść do środka nawet po schodach na ostatnie piętro. Zastukaliśmy do drzwi. Raz, drugi, po chwili i trzeci. Zanim usłyszeliśmy zgrzyt nieoliwionego od miesiący zamka, ktoś nas podejrział przez wysłużonego judasza. Odruchowo zaczęliśmy przyklepywać potargane wiatrem tłuste włosy i wydłubywać nieczystości z wielotygodniowego zarostu. Po chwili zasłona wizjera opadła, a zza drzwi dobiegło ciche szlochanie.

Mieszkanie Łokciów nie zmieniło się wcale, nikt w trakcie wojennej zawieruchy go nie rozkradł, Halina z doświadczenia umiała radzić sobie z bandytami. Może tylko kilku mniej istotnych mebli jej ubyło, z czegoś żyć musiała. Zamiast wygodnie się rozsiadać, od razu zrzuciliśmy z siebie podarte, śmierdzące łachmany. Największy problem miałem z butami. Opuchnięte, zdarte do krwi stopy na większy rozmiar obuwia zasługiwały. Kiedy rozpiąłem pasek, spodnie spadły same. Z resztą szmat równie szybko dałem sobie radę. W tym czasie Ineczek stał już nad miednicą i zdrętwiałymi palcami poplątane włosy szarpał.

– W Boga wierzycie? – Łokciowa zagadnęła chwilę później, gdy na obdrapanej podłodze szykowała nam pośłania.

Zaskoczony Inek nawet się nie odwrócił, by jej odpowiedzieć. Dopiero gdy spłukał do reszty mydliny ze świeżo ogolonej twarzy i chlusnął nimi przez okno, cokolwiek ciekawości przejawiał:

– Nie brak mi niczego.

– Ogłady – Łokciowa westchnęła rozczarowana.

Ja również wtrąciłem swoje lekceważące trzy grosze:

– Może się na Nim nie poznałeś?

Mówiąc to, przejąłem miednicę z rąk Innocentego, podszedłem do zszarzałego lustra i zacząłem na wpół sucho skrobać żyłką zarost

z wychudzonego podgardla. Kątem oka widziałem, jak Halina skończyła mościć prowizoryczne legowiska i położyła na stole dwie czyste koszule po mężu. Moja odpowiedź bynajmniej jej nie uciszyła.

– Gniew Jego poznałeś – zaprotestowała.

– Że wojna to było skaranie? – Ineczek nie utrzymał powagi i skończył chichotem.

Halina nie po drodze miała z żartami. Nie była zła, raczej zamyślona. Uniosła wzrok znad łąchów i wypaliła z powagą:

– Każdy ściek z czasem opróżnić trzeba.

Wyraźnie dała nam do zrozumienia, kto jej zdaniem nieszczęście na miasto sprowadził. Według niej sami byliśmy sobie winni, według mnie zbyt wiele czasu w samotności spędziła. Nie odzywałem się. Czekałem cierpliwie, aż przejdzie do sedna i skończy, co rozpętała. Długo nie zamierzała się czaić.

– On w was wierzy – zmieniła ton na cieplejszy.

Spojrzeliliśmy z Innocentym po sobie, ni to zdziwieni, ni zakłopotani. Wciąż nie mogliśmy zrozumieć, w jakim kierunku nas prowadzi.

– Pozwala wam zacząć od nowa. Nie trzeba nam więcej tego, co było – wreszcie wytłumaczyła.

– Kiedy my do pożytecznych nie należymy – rozłożyłem grabie, nie widząc innego rozwiązania. – Nikomu potrzebni najbardziej.

– Ręce macie młode, całe, tylko baszki ochłodzić wam trzeba – oceniła nasze możliwości. – Wszystko wam sprzyja.

Innocenty założył czystą koszulę, dopiął starannie guziki i złamał sztywny kołnierz, jak powinien był go złamać. Nie żeby się czepiał czy draki szukał, ale musiał dopytać:

– A co ty, Łokciowa, potrafisz?

Halina uśmiechnęła się na to pod nosem, niczym nie była zaskoczona.

– To, czego wy musicie się jeszcze nauczyć – nie pozostała dłużna, tym razem ona zaniósł się rechetem. – Dbać potrafię.

Dużo było w tym z prawdy. Kiedy za życia Łokieć skupiał się nadto na czerepachach^[522], ona przyjmowała obowiązek prowadzenia kawiarni. Nie była byle kuchcią siłą do garów zagonioną. Robiła to umiejętnie i z niekrytą satysfakcją.

– Chciałabym znowu kafeję otworzyć. Kwitnie potrzeba małych radości w takim łzawym krajobrazie – przekonywała odważnie. Niestety chwila głębszego zastanowienia wystarczyła, by uniesienie w niepokój obrócić. – Tyle że lokal, co go z Łokciem zajmowaliśmy, w niczym już tamtego nie przypomina.

Żał patrzeć, jak płomień gaśnie. Nam, pamiętającym te dni, kiedy mogliśmy wszystko, ciężko było zaakceptować bezsilność. Nie sposób się z nią pogodzić.

Obmyłem posówkę^[523] śniegiem zagarniętym z parapetu, odłożyłem na miejsce przy kuchni i ubrany w darowaną koszulę zająłem miejsce przy stole. Przyszło mi wtedy do głowy spostrzeżenie z minionych dni tułaczki:

– Na Krochmalnej kwatery po Sztamacji mocno stoi – zauważyłem nieśmiało. – Chętni, podejrzewam, się znajdują, ale kto wdowie po Łokciu pierwszeństwa odmówi.

Halina spojrzała na mnie z nieudawanym zaciekawieniem, zresztą Inek nie inaczej.

– Na własne oczy widziałem – uderzyłem się pięścią w zapadniętą klatkę piersiową.

Każde z nas dało się porwać bujnym fantazmatom. Każde w milczeniu odbyło niedaleką podróż w czasie. Pierwsza ciszę przerwała najbardziej zainteresowana:

– Z bliska zaglądałeś?

– Skąd, wiem tyle, co z daleka widać – szczerze jej odpowiedziałem. – Trzeba by na pewno dużo tam wnieść od siebie.

– Walutą nie śmierdzimy, a i za materiałem próżno buty zdzierać. Cholera wie, kiedy jaki handel w ogóle do Ścieku wróci – Innocenty sprowadził rozmowę na ziemię.

Miał rację, na kij takie rachunki ważyć. Kalkulować remonta to można, jak jest co komu młotkiem szturkać^[524]. Teoretycznie wolnego budulca było wokół pod dostatkiem, ale wszystko jakieś takie pogruchothane albo nadpalone. Co bardziej zdolny ledwo by z tego kopiec usypał, jednak Halinie to nie przeszkadzało.

– Nie musi być pięknie, byle by było. Umiem cenić, co mam – kokietowała.

Nie było sensu strzepić języka, argumenty przepychać. Inek zastukał palcem w stół, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Nauczony, że swoje problemy należy rozwiązywać, a innym je sprawiać, jasno sprawę postawił:

– Niech będzie, jak mówisz – zaproponował w naszym wspólnym imieniu. – Tylko ten jeden, ostatni raz – kłamał, na pewno kłamał. – Pozwól nam zatroszczyć się o wszystko po naszymu.

Nie odpowiedziała. Nie musiała.

Wpierw musieliśmy przyjrzeć się Sztamacji, czy aby na pewno jakkolwiek rokuje. Wybraliśmy się tam z przyjemnością, mieliśmy nadzieję, że przywoła to wiele dobrych wspomnień. Nie przeliczyliśmy się wcale a wcale. Drzwi starej kirzany nie postawiły nam oporu żadnego, od razu zrobiło się sentymentalnie. Przyjemnie było łabudać się^[525] w znajomych murach, mimo iż co rusz potykaliśmy się o bliżej nieokreślone, zwęglone kształty. Miejsce spotkań niegdysiejszych blatniaków musiał, raz lub dwa, wypełnić pożar, ale raczej nieduży, bo choć sufit pokryty był warstwą lepkiej sadzy, to na ścianach widać było wyraźne ślady przeprowadzonych tam egzekucji. Szczątek ludzkich nie widziałem. Prawdopodobnie to właśnie one były powodem, dla którego wzniecono ogień wewnątrz lokalu. Być może stanowiły też wiktuały dla wygłodniałych gryzoni z ruin pobliskiego browaru. Najważniejsze, że mogliśmy

oddychać bez obawy o nieczystości.

Co do samego miejsca to wymagało ono ogromnego nakładu pracy. Ściany i podłoga pół bidy, do wyskrobania, jednak chcąc przyjmować gości, musieliśmy zorganizować im coś pod dupy tudzież łokcie, a z czasem i kuchnię jaką. Sprzęty, które tam zastaliśmy, rozpadały się od samego patrzenia na nie, poza tym występowały w ilości na pewno zbyt małej. To był nasz pierwszy problem. Skąd, do licha, należyty mebel wyszperać? „Nie musiał być piękny, byle by był” – marna otucha. Większość mieszkań w Ścieku stała wyposażona mniej więcej jak nasza Sztamacja. Gdybyśmy nawet poszli w gruzy i na szaber^[526] chcieli cokolwiek przytulić, to i tak niczego byśmy nie znaleźli. Wszystko już w trakcie powstania zostało rozkradzione, rabunek uprawiali zarazem ci pod bronią, jak i co odważniejsi cywile. Wysiedlone parcele pustoszały z każdym kolejnym dniem konfliktu. Sklepy, piwnice Polaków, folksdojczów, na chama czy pod pozorem rekwizycji. Każdy powód był dobry i równie bez znaczenia. Żadna dzielnica nie oparła się zuchwałej fali samowoli i gwałtu.

Najgorzej działo się w rejonach odciętych barykadą. Tam, gdzie nie dało się przedostać z zewnątrz, panowało prawo silnych i niekoniecznie sprawiedliwych. Improwizowane żandarmerie nabierały skłonności typowych dla szemranego środowiska. Nad wyraz śmiało i zawsze ze stosownym usprawiedliwieniem. Kiedy zachodziła większa potrzeba, wystarczyło pierwszą lepszą pechową o intymną kolaborację oskarżyć, ażeby w majestacie głoszonego prawa wymierzyć jej zasłużoną karę. Równie intymną, a jeszcze zbiorową, rzecz jasna. Eskalacji podobnych zachowań starały się przeciwstawić powstańcze organy Służby Ochrony, Obywatelskiej Straży czy Korpusu Bezpieczeństwa, ale za każdym razem w miejsce rozstrzelanej szajki wyrastały dwie nowe, mądrzejsze o doświadczenia poprzedników. Wiek czy płeć nie grały roli. Kobiety nie rzadziej niż mężczyźni mordowały i kradły. Gwałciły mniej, co zrozumiałe,

jednak rekompensowały sobie tę niesprawiedliwość w typowy dla siebie sposób. Jedna baba drugą babę potrafiła na pół za bransoletkę podzielić, więc co tu się nad meblami zastanawiać. Dobra wydobyte spod gruzów wywożone były z miasta furmanami. Niejeden podmiejski chłop elegancko przy okazji powstania się urządził. Te gabaryty, którym nie dali rady, wieśniacy podpalali, toteż całe kamienice ogniem się zajmowały. Przez swoje prostackie usposobienie niszczyli wszystko, czego Tymczasowi przez pięć i pół roku zniszczyć nie zdążyli. Nikt nie potrafił powstrzymać złodziejskiego procederu. Jak okiem sięgnąć wszystko było niczyje.

Siedziałem w witrynie i przyglądałem się Inkowi, który niespiesznie błąkał się po spelunie.

– Dźwigniemy tę dziurę? – zapytałem go, choć odpowiedź wydawała się oczywista.

– On w nas wierzy – uśmiechnięty półgębkiem rzucił kpina od niechcienia.

Zmierzchało. Założyliśmy czapki i otrzepaliśmy buty z popiołu. Wychodząc przed budynek, zauważyliśmy, że na osmolonej framudze wiszą kartki przyklejone tam przez powracających do miasta dawnych lokatorów z Krochmalnej. Zapisywali na nich adresy nowego miejsca zamieszkania w nadziei, że pomoże im to odzyskać utracony kontakt z bliskimi. Było ich mnóstwo, mnóstwo wiadomości, aż dziwne, że wcześniej naszej uwadze umknęły. Zerwaliśmy je wszystkie. Nie mogliśmy pozwolić, by ktokolwiek nieproszony podchodził tak blisko meliny, którą sobie upatrzyliśmy. Wyciągnęliśmy też ze zmarzniętej ziemi tabliczkę z napisem „Sprawdzone. Min nie ma” i wbiliśmy ją w gruzy kilka skrzyżowań dalej. Ot tak, żeby ciekawych nie ciągnęło.

Nie było na co czekać. Wracając na Żytnią, pod numer kiedyś czterdzieści, łamaliśmy sobie głowy, jak pozyskać potrzebne środki. Chcąc nabyć towary bezcenne, zmuszeni byliśmy zgromadzić fundusz, o jakim się Ściekowi nie śniło.

Nawet w najśmielszych snach jego ostańców. Z doświadczenia rabunek jakikolwiek wykluczyliśmy, oceniliśmy to jako beznadziejne rozwiązanie. Nie dość, że ryzykowne, to jeszcze z widokiem na zysk zachodu nie warty. Nie mieliśmy złudzeń. Przy natłoku konkurencji we dwóch i to w lichej kondycji stanowiliśmy niewielkie zagrożenie. Żałowaliśmy, że nie ma z nami Hugona. Kochany chałaciarz, jak nikt inny potrafił monetę czarować. Dałbym sobie w mordę napluć, że i te marnie złotówczyń, co je od Cieszka dostaliśmy, w grube by przemienił. My niestety tacy zorientowani nie byliśmy, a na pewno nie na pusty żołądek. Na szczęście Halina obiecała nam kolację, zważywszy na panujące standardy – wytworną. Instyktownie przyspieszyliśmy kroku.

– Szabry to twardsza glina niż babki prozalne – zaćmakałem^[527] i podniosłem wzrok znad mikrusa^[528] pełnego hreczki przykrytej wybornej sztypury grubym plastrem. W życiu znakomitszej nie jadłem. Nawet nie spytałem, gdzie Łokciowa taki poemat zdobyła, wołałem nie psuć sobie smaku.

– Twardsza – wiosłujący Innocenty zgodził się ze mną między kęsami.

Zamyślony sięgnąłem po kostkę starego cukru i zanurzyłem ją powoli w dopiero co zagotowanej wodzie. Trzymana przez mnie słodka bryłka powoli traciła pierwotny kształt. Miękka i lepka zaczęła wymykać się z palców. O herbacie nie było co marzyć, jednak cukru Halina miała pod dostatkiem. Starego, bo starego, ale miała.

– Ale glina – powtórzyłem własne słowa z wyraźnym akcentem.

– Ale glina – Ineczek nie zaprzeczył łaskawie.

Prawda była taka, że nie wiedzieliśmy o nich zbyt wiele. Nic, oprócz tego, czym się zajmowali. Gdziekolwiek przed końcem wojny toczyło się życie, wszędzie tam chciwe myśli ich wiodły. Mieszkania, oficyny i piwnice wszystkich domów bez wyjątku każdej nocy nieproszonych gości witały. Podwórza doświadczone krzywdą najstraszniejszą wciąż nie znały spokoju. Nie tylko one. Poszukujące złotych zębów i koron hordy dopuszczały się profanacji zwłok

zalegających licznie w ruinach. Zwłok, których Tymczasowi nie zdążyli z dymem puścić, jak tych w Sztamacji. Jak ptaszyska pastwiące się nad padliną szabrownicy bezczęścili znajduwane ciała, zwłaszcza te nagromadzone na niewielkiej przestrzeni dzielnicy północnej. Wyglądało to na zajęcie wyjątkowo opłacalne. Teren Pawiaka w pierwszych dniach po wojnie nawiedziło więcej ekspedycji niż Dolinę Nilu na przestrzeni dziejów. Z Gęsiówki watahy szperaczy wiadrami ludzkie prochy wносиły. Z każdym kolejnym dniem szabruchów przybywało. Gdyby tylko udało się nam skłonić ich do posłuszeństwa, podnieśliśmy znacznie więcej niż za ledwie jedną kirzanę. O wiele, wiele więcej.

[520] Anse – pretensje.

[521] Gufrowane – marszczone.

[522] Czerepacha – mętny typ.

[523] Posówka, posy okręt – półmisek, miska.

[524] Szturkać – trącać.

[525] Łabudać się – krzątać się.

[526] Szaber – włam.

[527] Ćmakać – mlaskać.

[528] Mikrus, mikry okręt – talerz.

ZŁOTA CEGŁA

Szabrowów trzeba było podejść dyskretnie, na pewno z większym wyczuciem, niż to mieliśmy w zwyczaju. Nie łudziliśmy się, że nieprzymuszeni tak sami z siebie obdarzą nas zaufaniem. Musieliśmy ich po temu zmiękczyć, najlepiej otumanić jakoś. Niestety, nie tylko nam w tym mieście bimbru brakowało. Znikąd też było czerpać spirytus. Będąc w trudnej sytuacji, postanowiliśmy poszukać czegoś bardziej wydajnego. Szansa, że Mordownia, zakład fryzjerski naszego Mordy, jakkolwiek się uchowała, była co prawda niewielka, jednak nie pozostało nam nic innego, niż osobiście się o tym przekonać.

Wyruszyliśmy następnego dnia, z samego rana. Zapał, który o tak wczesnej porze w sobie obudziliśmy, prysł niemal od razu, gdy tylko doszliśmy w okolice wylotu tętniącej niegdyś życiem ulicy Gęsiej. W niczym już nie przypominała tej, którą chowaliśmy w pamięci. Ani wesołej, pełnej Flejowych antków^[529], ani omierzej, na której położyliśmy Lejkina. Nawet w getcie o niebo lepiej się miała. Ciężko nam było rozróżnić zawalone domy, jeszcze ciężiej nadaną im niegdyś numerację. Budynek obdarte z ozdób i szczególnych elementów konstrukcji stapały się mimowolnie w ciągły, jednolity zwał. Gdzie jeden dom się kończył, a kolejny zaczynał, mogliśmy co najwyżej zgadywać. Mury wyglądały jak rozsądzone od wewnątrz, przewrócone na lewą stronę. Wybebeszone nie stanowiły żadnej wskazówki, z niczym się nam nie kojarzyły. Błądziliśmy ospale grzbietem nieforemnej hałdy w nadziei na wyłuskanie co bardziej charakterystycznego detalu. Wątek szukanej Mordowni musiał się w końcu

pojawić. Wcześniej czy później. Wystarczyło być cierpliwym.

– Tutaj! – zawołałem Inka, gdy tylko rzuciła mi się w oczy wystająca spod gruzu, spowita warstwą porannego szronu sopluch. Wyszczerbiona znacznie podrdzewiała, nosiła wyraźne ślady po kulach, ale bez wątplenia stanowiła własność naszego przyjaciela. Był to okaz osobliwy, nie do pomylenia. Tylko Fleja miał na tyle tupetu, by podobne naczynie okraścić własnoręcznie bitym napisem „Nalewki”. Jak nikt inny wyznawał Gęsią ponad innymi ulicami.

Innocenty doskoczył do mnie w kilku zgrabnych susach. Podniósł blaszaną formę, by dokładnie się jej przyjrzeć i gdy tylko nabrał wystarczającej pewności, zaczął odgarniać zalegające wokół kopczyki cegieł.

– Pomóż no – ponaglił mnie, machając chaotycznie rękami. – No pomóż.

Chwyciłem solidny pręt i podważyłem nim nielichą porcję osuniętej ściany. Jednym ruchem odsłoniłem więcej Mordowni niż Ineczek tymi swoimi wiatrakami. Wewnątrz panowała niemalże całkowita ciemność. Jedynym źródłem światła wpadającego do pomieszczenia był otwór, przez który tam weszliśmy. Wszystkie okna, skierowane na gwarne kiedyś podwórze, zasypane zostały przez lawinę budulca wyższych pięter kamienicy. Poruszaliśmy się prawie po omacku. Stąpaliśmy po kruchej tafli zakurzonych luster pękających pod naszym ciężarem. Dopiero wtedy zauważyłem, że nic tam nie było jak powinno, podłoga z sufitem właściwie zamieniły się rolami. Rupiecie wypełniające mroczną jamę przekładaliśmy delikatnie. W obawie o możliwe niewybuchy nie spieszyliśmy się nadto.

Można powiedzieć, że dobry los nam sprzyjał, po niedługim kipiszu odkryliśmy trzy skrzynki wypełnione niewielkiego rozmiaru blachanami. Były nieco odkształcone, tu i ówdzie powgniatane, ale nadal szczelnie zamknięte. Każda nie większa i nie mniejsza niż piersiówka galantnego pijaczyny. Skrzynki leżały przykryte dziurawym parawanem. Zastanawiałem się, czy to Morda schował kraty w tak naiwny sposób, czy może potężna eksplozja wydobyła je dla

nas z bardziej wymyślnego ukrycia. Innocenty sięgnął po pierwszą z brzegu puszkę, odkręcił i przystawił do nosa. Długo nie trzymał, zbyt byliśmy sobie potrzebni, ażeby jeden z nas nagle trzeźwość stracił. Spojrzałem na Ineczka, a on potwierdził skinieniem, że oto znaleźliśmy właśnie okazały zapas szpitalnego wyskoku.

Więcej nic nas nie obchodziło. Wracając na Żytnią, chcąc nie chcąc, zmuszeni byliśmy przejść obok Gęsiówki, która z każdym dniem gromadziła coraz to więcej i więcej zbrojonych kacapów oraz wręcz przeciwnie uposażonych naszych. Nie mieliśmy pojęcia, co się tam odstawia, ale nie zamierzaliśmy też swojej ciekawości karmić. Nie chcąc tachać przez miasto skrzynek budzących zaciekawienie, spakowaliśmy blachany do leżącego obok nich wora na ścięte kłaki. Stary Mordowy zakład pożegnaliśmy krótkim na niego spojrzeniem i wygrzebaliśmy się na powierzchnię. Inek wrzucił wór na ramię i przemknęliśmy niepostrzeżenie.

Mieliśmy już prawie wszystko, czego było nam trzeba. Zapas eteru oszacowaliśmy jako przyzwoity, taki akurat na trzy, góra cztery miesiące racjonowania. Cukru od Łokciowej również zakładaliśmy, że starczy. Chciała mieć swoją Sztamację, musiała się podzielić. Jedyne, czego nam wciąż do pełni szczęścia brakło, to herbata. Pragnąc wzbudzić zaufanie u rzeszy zalewających miasto złodziei, nie mogliśmy obejść się bez herbaty. Choć warunki panowały co najmniej nieprzychylnie, nie zamierzaliśmy się poddawać. Tak samo niedospani jak niedożywieni, z nocy na noc, z dnia na dzień, penetrowaliśmy rudery w poszukiwaniu brakujących fusów. Niezmiernie trudno było znaleźć takie w ruinach. Oczywiście, że trafialiśmy na pokryte pleśnią i zawilgotniałe, tylko na co komu takie. W zburzonym Ścieku fus to był rarytas, dla nas na wagę złota, Sztamacji wagę.

Po niespełna tygodniu nazbieraliśmy go tyle, ile tylko w kieszeniach nam się mieściło. Kiedy byliśmy wreszcie gotowi, wyszliśmy w miasto z termosem

pełnym świeżo zaparzonego czaju. Szlajaliśmy się tak między stertami nieuporządkowanego gruzu, wypatrując nocnych poszukiwaczy. Minął może kwadrans, nim przepłoszyliśmy pierwszych napotkanych. Kolejni już nam się postawili, wymachując kozikiem i jednocześnie przekonując, że co znalezione to nie kradzione, tylko ich. Było to, jak przypuszczam, przy Nowolipkach. Ciężko o precyzję w tak monotonnym krajobrazie. Podwórze wyglądało mi na takie, w którym Tymczasowi palili zwłoki na stosach żydowskich mebli roztrzaskanych. Zauważyłem, że resztki tamtejszego paleniska do po wojnie przetrwały. Szabrownicy grożący nam śmiesznym majcherkiem w świetle Wielkiej Niedźwiedzicy przesiewali resztki niezdmuchniętych prochów w poszukiwaniu pożydowskich kosztowności.

– Spokojnie – Ineczek podchodził do nich bliżej i bliżej. Zacytował nawet mroczny szlagier kawalerów księżycy oparty na melodii najśłynniejszego mazura Tymulskiego. – „Jeszcze jeden szaber dzisiaj, auto nie nawali. Jeszcze jedno Futro Krysi i pojedziem dalej”.

Na lubianą nutę szperacze zareagowali różnie, chociaż nie na tyle, by się z nami zaraz tam bratać. Co to, to nie. Niezłomny Ineczek nie zamierzał jednak ustąpić w próbach podsycenia ich nadwyreżonego latami okupacji zaufania:

– Nic nie bójcie, co wasze, to wasze, byliście pierwsi. Usiądziemy sobie tylko za wiatrem, żeby ciepłej herbaty podpić i tyleście nas widzieli.

Jego słowa podziały jak zaproszenie. „A to przypadkiem prawdziwa?”, „Nie wióry jakie?” – pytali. W oka mgnieniu scyzoryk spoczął w szabrowej dolinie, a jego dumny posiadacz doskoczył do nas wraz ze spragnionym kompanem.

– No masz, że prawdziwa – zapewniłem. – Raczycie?

I znów nieufność na twarze spragnionych obdartusów powróciła. Nie byli przekonani, czy przypadkiem trutką nie kusimy ich jaką. Ineczek na ten tuchmiast wychylił więc popisowego grzdyla. Ja również się napiłem, po czym

wykrzywiłem mordę w uśmiechniętym grymasie. Rozwiana wątpliwość uleciała bezpowrotnie z mroźnym wiatrem. Zaproszeni do poczęstunku szperacze żłopali wrzątek łąpczywie, mimo że im rury parzyło. Pod sam koniec Inek zdążył zapytać jeszcze, czy gorzkie im aby nie przeszkadza, bo jak co, to mamy czym osłodzić dla smaku. Szabrowniki pokiwali jednocześnie łbami, dając wyraz ochoty na cukier. Innocenty wyjął z kieszeni kostkę nasączoną wyskokiem, rozpuścił w reszcie płynu i pozwolił szperakom dokończyć konsumpcji.

Czas wejścia w przewidywany przez nas stan mieli przyzwoity. Przyglądali się wszystkiemu, jakby pierwszy raz na oczy przejrzeni. Na przemian to wpatrywali się w gwiazdy, to kładli gęby w śniegu. Ogrzewali w dłoniach bajnery podniesione z ziemi i przykładali do uszu jak muszelki.

- Warto to tak noc zarywać? – Ineczek zwrócił się do odurzonych.
- Nie warto – od razu odpowiedział mu ten od majcherka.
- Dużo szkodników się najechało, a najgorsze są szułańskie sapery – drugi się ożywił.

Wyraźnie pomarudzić potrzebowali. Prawie zrobiło mi się ich żal.

- Oj, najgorsze – lamentom końca nie było.

Podeksytowani bez przerwy wchodzili sobie w słowo.

- Jak komunikant stoi, że min nie ma, znaczy, że już niczego nie ma.
- Wszystko rozkradają.
- Złodzieje.

Właśnie po taką wiedzę wyszliśmy z domu. Wystarczyło mi spojrzeć na Inka, żeby się o tym przekonać. Jak zwykle zrozumieliśmy się bez słów. Na sam koniec, korzystając jeszcze z szabrowego ośpienia, Innocenty na oczekaniu skomponował pic o bogactwie wielkim, co to niby nieodkryte do tej pory w ruinach leży. Bujda taka, a żeby ochoty do pracy szperakom dodać. Bajtlował^[530], mało się nie poszczałem. Ćmił jak najęty, a oni słuchali. Że my stąd, że między pejsatymi chowani, że różne tajemnice znamy i prawdę

barłóżymy. W jego powiastce Żydowie na początku okupacji blitną cegłę ulepili, z kruszcu czystego jak żaden inny w Ścieku. Aż pięćdziesiąt kilo ponoć ważyła. Wmurowana w piwniczną ścianę jednego z okolicznych domów, miała przetrwać do po wojnie, zresztą tak jak i jej nieszczęśni fundatorzy. Teraz, kiedy odeszli, była już niczyja – zmyślał. Wystarczyło ją odkopać i cieszyć się na własność.

Owładnięci działaniem medycznego specyfiku naiwni szabrownicy uwierzyli w nedorzeczną opowieść o żydowskim skarbie. Nie tylko oni zresztą, powtarzaliśmy ten numer każdego wieczora. Co noc wychodziliśmy z ukrycia zarażać gorączką złota kolejnych zdesperowanych. Każdej nocy ubywał nam jeden termos herbaty i kostka Halinowego cukru. Każda nasączona wyskokiem, tak do wyczerpania zapasu. Plotka o cegle z ust do ust się poniosła, przyjmując niekiedy zaskakujące kształty. Gadano nawet, że robotnicy znaleźli zmyślane przez nas złoto na zwałce nadwiślańskiej. Niewinna pogłoska przeobraziła się w plagę trawiącą całe miasto. Szabrowe szaleństwo przyjęło niewyobrażalny wcześniej zasięg. Oczywiście złotej cegły ani widu, ani słyhu, toteż każdy jeden łudził się, że to jemu kruszec przypadnie.

Nam w tym czasie udało się Peplaka odszukać i do szalbierstwa^[531] namówić. Jako że w saperach bez przerwy robił, potrzebowaliśmy jego pomocy jak nigdy dotąd. Opowiedzieliśmy mu bez kantu, że szabrom robota aż w rękach się pali, ale gdy widzą tabliczkę o braku min informującą, to nagle tak jakoś przygasa. Jeśliby tylko wcześniej znali, który kwartał będzie czyszczony, na pewno, z rozkoszą, sami by go zaraz wysprzątałi. Nasza w tym miała być rola, żeby to im się przysłużyć. Cieszek przystał na wszystko, wolał już swoim, niż ruskim złodziejom dogadzać. Cynki od niego schodziły regularnie, co miało ruszyć, ruszyło z kopyta. Kiedy rozeszło się, że wiemy co, gdzie i kiedy, szabrownicy sami nas szukać zaczęli w nadziei, że doradzimy. Za swoją usługę pobieraliśmy lon uczciwy, co trzeci kłyk^[532] i co drugą koronę. Może to i dużo, ale gwarantowaliśmy przywilej, no i dzieliliśmy się jeszcze z Peplakiem. Kto nie

chciał bulić, pytać nie musiał. Było miło i przyjemnie, czasem tylko jakiś z naszych reflektantów, postawiwszy nogę o krok za daleko, w powietrze wyleciał. Wiadomo, gdzie nie ma saperów, tam miny występują. Parę razy się zdarzyło, że obiliśmy komuś mordę za bajer. Tych którzy kłamali, że niczego nie znaleźli, biliśmy dotkliwie, a za fatygę cały zakłówek^[533] braliśmy do siebie. Zasady były jasne, my staraliśmy się ich przestrzegać.

Im lepsza szła fama, tym większe rosło zainteresowanie. Cieszkowe instrukcje nie starczały, by zaspokoić wszystkich na łatwe zorientowanych, a pokłady blitu, chcąc nie chcąc, z czasem topniały. Zmuszeni byliśmy rozszerzyć pole działania. W tym celu skorzystaliśmy z doświadczenia nabytego przeze mnie w czasie praktyk odbytych na stołecznych mogiłkach^[534]. Poleciliśmy szabrom, że jak za złotem, to najlepiej na ewangelicko-augsburski żalnik się porwać albo reformowany tak samo. Tam groby majątnych folksdojczów wojną nietknięte czekają i blit na pewno kryją. Bransolety, obrączki, spinki czy broszki – wszystko, co przez grabarzy niezdytę, przykryte płytką warstwą ziemi leżało.

– A na żydkowy tak samo? – pytali o wskazówki niemal wszyscy ciekawi. – Żydki to na pewno w złocie grzebane – błędnie domniemywali.

Pouczyliśmy ich, że starozakonny obyczaj zakazuje chowania z biżuterią, tak że nie mogą liczyć na wiele poza zębami. Zdobnego trumien okucia równie bez sensu tam szukać. Z tego, co pamiętałem, przeważająca część nieboszczyków zaledwie w całunach była grzebana.

I to zaskoczyło. Wszelkie zdemoralizowane męty zaczęły w poszukiwaniu kosztowności przekopywać stołeczne cmentarze. Ledwo o piętnastej zmierzch zapadał, już niebezpiecznie było zachodzić na nekropolię. Hieny rozkopywały mogiły i łupiły grobowce, niekiedy rozbijając je doszczętnie. Wychodzący po zmroku na żer szabrownicy wyciągali trumny na wierzch i patroszyli, nierzadko okaleczając spoczywające w nich zwłoki. Nie dając czasem rady zębom na miejscu, odrąbywali głowy zmarłych szpadlem i ukryte w workach ze sobą

zabierali. Po wszystkim opuszczali zdewastowane miejsce pochówku, nie siląc się na zachowanie jakiegokolwiek porządku. Najwięcej szkody poniosły Ewangelicki i Powązkowski, bez przerwy były rujnowane. Tak samo setki innych powstałych na skwerach i w podwórzach dzikich cmentarzy. W miesiąc bezczeszczonej praktyki można było liczyć aż na kilkanaście złotych kłychów i do kilkudziesięciu koron. Od święta na jakieś spinki mankietowe albo sygnety trafiano.

Z czasem grasanty^[535] zaczęli też płyty nagrobne z czarnego szwedzkiego marmuru sobie przywłaszczać. W rosnącym mieście były one nie mniej wartościowe niż złoto, tak że równie szybko weszły w obieg. Proceder nigdy nie miał się lepiej, nasza taryfa nikogo już nie zniechęcała. Ineczek, licząc cotygodniowy utarg, nucił wesoło pod nosem:

Powstał nowy związek,
Członków ma bez liku.
Powstał nowy związek,
Związek szabrowników.

Przed końcem urodzajnego roku sprawy zaczęły wymykać się nam spod kontroli. Związek, o którym Innocenty piał zachwycony, stawał się coraz to bardziej i bardziej samowystarczalny. Niewiele mogliśmy komukolwiek od siebie zaoferować, a skoro usługi nie ma, to za co prowizję pobierać. Na szczęście zdążyliśmy zareagować na tyle szybko, by nie wypaść z obranego kursu na dobre.

Nasze drogi z Cieszkowymi skrzyżowały się ponownie, zaplątały jeszcze bardziej z korzyścią dla niego, jak i dla nas samych. Kiedy zakończył służbę zasadniczą, jak to sobie wcześniej zaplanował, na lamora poszedł aplikować. Niestety, ktoś na wyższym szczeblu postanowił zdecydować za niego. Przydzielili Cieszka do służby przy karno-śledczym cieniu, potocznie zwanym Toledo. Bardzo był z tego powodu niezadowolony. Żeby obóz jeniecki na starej

Gęsiówie mu chociaż przypadł, a to jak na złość pierdel po drugiej stronie rzeki. Na złe mu to jednak nie wyszło. W czasie wcale nie długiego przebywania za więziennymi murami przypatrzył się obyczajom swoich wyzwolicieli na tyle uważnie, by wreszcie zmienić o nich zdanie.

Warunki do mordowania mieli tam wręcz idealne. Nie dość powiedzieć, że w zakładzie przesłuchania nigdy nie ustawały, w Toledo ludzie ludzi katowali. Bił więźniów spokojny z natury prokurator Landzberg, bili i jego podwładni. Śledczy Poddębski kazał przesłuchiwanym siadać na jednej z nóg stołka postawionego do góry nogami. Knyziak, Frydmanczy Chudy kopali osadzonych po głowach i nerkach. Uderzali obcasami w serce, piszczele i oczywiście krocze. Luna Brystygierowa najchętniej biła oskarżonych batem po twarzy. Kiedy przychodziła do pracy w gorszym nastroju, miażdżyła im jądra przy użyciu szuflady. Naczelnik Kopel Klejman wołał, by go wołać Kazimierz Szymonowicz, a przebiegiem swojej służby zasłużył raczej na Krwawy Kazio. Był niewiele starszy od nas, może trzydziestoletni i pasjami lubił zabijać. Metoda nie robiła mu różnicy, wszystkie doskonalili. Kiedy pod wieszanym łamała się gałąź, wieszal do skutku, aż się udało.

Jeśli tylko Klejman nie mógł dopełnić obowiązku albo czuł się zwyczajnie zmęczony, wysługiwał się chłopakiem niepełnosprawnym umysłowo. Kazał mu mordować, a ten nie zadawał pytań. Po to go przy życiu trzymał. W podwórzu zakładu Klejman kazał wybudować coś na kształt naszej Szczujni nadwiślańskiej, tyle że z wydrążonymi w podłodze kanałami mogącymi odprowadzić spore ilości tak krwi, jak i kału. Nie mniejszy strach wśród stojących nago na apelu więźniów budziła, osadzona wewnątrz okalającego zakład muru, wąska i długa prawie na dwa metry szczelina zwana trafnie trumną. Przypominała pojedynczą komorę katakumb.

Będąc świadkiem tego, w jaki sposób chowano na terenie więzienia zwłoki, składając je do rowu, układając warstwami na zmianę ze śmieciami i posypując

wapnem, Cieszek zrozumiał, że każda władza z zewnątrz nadal jest zbrodnicza. Czym byli dla niego Tymczasowi, tym samym stali się Szułany. Dłużej już nie mógł w Toledo wytrzymać. Nie potrafił. Gdy dowiedział się, że sam Henryk Lange do zawodu po wojnie wrócił i stanowisko szefa sekcji kradzieżowej Komendy Głównej po starciu piastuje, poprosił nas o wstawiennictwo u najznamienitszego stołecznego chinta. Tak też z rozkoszą uczyniliśmy. Wiele było radości, kiedy wreszcie spotkaliśmy się z panem Henrykiem. Nie mniej wzruszeń nas dopadło, sam ze dwa razy z uśmiechem na twarzy się poryczałem. Lange był takim samym człowiekiem, jakiego pamiętaliśmy. Doświadczenie okrucieństwa wojny nie zmieniło go ani o krztynę, jego nienaganna konduita, trzeźwa ocena sytuacji oraz umysł brechnią^[536] niezmacony niezmiennie godne były pozazdroszczenia. Tylko na słuchu trochę był podupadł:

- Cieszek – powtarzałem cierpliwie.
- Czesiek?
- Cieszek, kurwa. Panie Heniu. Ciechosław.

Obiecał wystąpić o przeniesienie Peplaka do kradzieżówki, o ile my w zamian przysięgniemy nie mieszać się w żadne brudne sprawy. Oczywiście, że skłamał. Niedługo potem Cieszek mundur zamienił na skiński^[537] i po godzinach kriukową działalność prowadził. Uzyskując sprzymierzeńca działającego w majestacie prawa, poruszyliśmy bandycką hałastrę na nowo. Wystarczyło jedynie w przeciągu paru tygodni sprezentować funkcjonariuszowi Peplakowi kilku spośród tych szabrow, za którymi i tak byśmy nie zatęsknili. Niemałe poruszenie wśród reszty szperaków to wywołało, dotychczas pewni swego nagle tracili grunt pod nogami. W niedługim czasie, odnoszący sukces za sukcesem Cieszek awansował na dowódcę grupy odpowiedzialnej za tępienie złodziejskiej plagi, a my na opiekunów szperackiej chmary.

Swoją cyniczną grę prowadziliśmy jak umówioną partię szachów. Nikt oprócz naszej trójki nie miał pojęcia, że robiliśmy na dwa fronty, nie było więc

potrzeby tłumaczyć się nikomu. Ciechuś utrzymywał przed dowództwem, że nosa posiada, a my przed złodziejami, że wtyki mamy. Nic więcej. Co jakiś czas tylko podejmowaliśmy z Inkiem decyzję, którego z podopiecznych na Grzybów poświęcić, ażeby oficer Peplak tendencję osiągnąć swojego gabinetu utrzymał. Wskazywaliśmy tych najmniej zaradnych, poza nimi większość się starała. Żaden z rozumniejszych szabrowników nie chciał do nowej Gęsiówki albo na Toledo trafić. Co najpiękniejsze w starym Ścieku kochałem, powoli do nas wracało.

Nie tylko złodzieje pracowali w poczuciu zagrożenia, byliśmy zaskoczeni, jak wiele osób popleczników w nas upatrywało. Najwięcej do czynienia mieliśmy z gruzinkami^[538], a każda jedna żaliła się na to samo. Bywało, że gdy podbiła już serce klienta i zaprowadziła na górkę z gruzu miasta usypaną, spragniona grosza po kieracie, padała ofiarą nieuczciwości strasznej. Innym razem siła kilku chłopca zrywała z niej zalotnika i nie pytając o pozwolenie, jego powinność przejmowała. Ciężki kawał chleba dziewczęta tyrały i bandyci, i polikierzy^[539] w cywilu za Bóg zapłać z ich wdzięków korzystali. Ładne i brzydkie, czyste i dodatnie, nie szukały przyjaciół, opieki szukały. Odżalowaliśmy w takim razie kilku zdolniejszych dryblasów, co by nad ich bezpieczeństwem oko trzymali. Z pocałowaniem ręki się na to zgodzili.

Osobiście mieliśmy oko, zwłaszcza ja je miałem, na liczne sieroty i bajstruki^[540], które na ulicach gromadzić się zaczęły. Z każdym kolejnym dniem w wąwozach ruin naszej dzielnicy samotnych malców przybywało. Wyjątkowo wiele spośród nich wywodziło się z Gibalaka^[541]. Byli wśród nich tacy, co już bez rodzin końca okupacji pod gruzami doczekali, byli też osieroceni całkiem niedawno. Ich matki i ojcowie ginęli gdzieś w piwnicznych katowniach jako domniemani wrogowie narodu. Peplak nam o tym wspominał. Jemu podobni funkcjonariusze całe rodziny nieraz aresztowali. Bajtles pozostawione samym sobie włóczyły się bez celu, zbierając w coraz to liczniejszą zgraję. Co prawda mogły zamiast tego zgłosić się do sierocińca Towarzystwa Przyjaciół

Dzieci przy Rakowieckiej, lecz prawdopodobnie wtedy już do dorosłości pozostałyby za kratami. Walczące jedno z drugim, okradające i gwałcące siebie nawzajem bezpańskie dzieci, często, miast na wolność się urwać, wprost z sierocińca pod mamer trafiały. Żartowaliśmy między sobą, że Rakowiecka to najdłuższa ulica w Ścieku, a może i na świecie całym, bo niektórym i ćwierć wieku może zająć jej pokonanie. Pod naszą opieką natomiast mniejsze zepsucie ich czekało, na pewno nie takie, jak za więziennymi kratami. Czuliśmy się odpowiedzialni za ściekowe sieroty, byliśmy to winni Mordzie, zostaliśmy ich opiekunami.

[529] Antek – małolat.

[530] Bajtlować – gadać głupstwa.

[531] Szalbierstwo – oszustwo.

[532] Kłyk – ząb.

[533] Zakłówek – zarobek.

[534] Mogiłki – cmentarz.

[535] Grasant – rabuś.

[536] Brechnia – brednia.

[537] Skieł – policjant ze służby śledczej.

[538] Gruzinki – prostytutki pracujące na gruzach miasta.

[539] Polikier – policjant.

[540] Bajstruk – bękart.

[541] Gibalak – ulica Gibalskiego na Woli.

SZTAMACJA

Rosły nam wpływy, rosła i Sztamacja. Kwitła, z każdym dniem piękniała. Kiedy okoliczne matki przywiązywały raczkujące pociechy sznurkiem do mebla, ażeby im przez otwór po zburzonej ścianie z mieszkania nie wypadły, my, dysponujący wreszcie koniecznymi środkami, popchnęliśmy do przodu remont kirzany. Kiedy inni zajmowali zrujnowane sutereny, które w każdej chwili mogły się zawalić, my zrywaliśmy wypaloną klepkę i kładliśmy nową podłogę. Usypaliśmy ją z wiórów, ubiliśmy porządnie, po czym lepikiem na żywicy robionym pociągnęliśmy z wierzchu dla trwałości. Wyszło taniej niż ziemi zwozić, równać i drewnem kryć po całości. Taniej i praktycznie zarazem. Dobrze brzmiała pod obcasami. Ściany oskrobaliśmy z osmolonych tapet i tynku, co bardziej liszaj niż zaprawę przypominał. Gołe nawet się nam spodobały, pomalowaliśmy je tylko na biało. Prąd musieliśmy podciągać od nowa, co do wody, to rury nienaruszone wojnę przetrwały.

Sprzęty kompletowaliśmy powoli, nawet nie o ich cenę, a o dostępność chodziło. Nie sposób było znaleźć w Ścieku rząd identycznych krzesel, chyba że w opuszczonym teatrze, a takie do kawiarnianych stolików temperamentem nie stawały. Drzwi wymieniliśmy na nowe, wstawiliśmy też zamek. Szyld szrajbnąłem własnoręcznie, jak go Łokciowa zobaczyła, to aż jej taboret musiałem podstawić. Sama, starym zwyczajem wypaliła znalezioną gromnicą znak krzyża na tragarzu^[542] i tym samym pobłogosławiła kirzanie. Otwarcie przeszło bez pompy, lokal wyszykowaliśmy elegancki, nie tancbudę jaką.

Co do spożywców nie mieliśmy zastrzeżeń, wszystkich witaliśmy tak samo. Badylarzy, aktorki bez sceny czerpiące zyski z podejrzanych źródeł, tajniaków i innych pracowników resortowych. Wszystkich, nie oglądając się na zawód czy wyznanie. Nie potrafiliśmy odmówić nikomu. Sztamacja zasłynęła trunkami na każdy tajster^[543], trzymaliśmy ofertę dla biednych i jeszcze mniej bogatych. Ćmagę mieliśmy besik^[544], nie żadną tam barbeluchę^[545] czy szpachlówę^[546] podejznaną. Kupowaliśmy ją na targu w bramie przy Emilii Plater od kwiaciarek, które trzymały bałąchy^[547] w kubłach z chabaziami^[548]. Tak chowana bania^[549] miała wręcz idealną temperaturę, ale o amatorach ciepłej również staraliśmy się pamiętać. Podawana w musztardówkach w pełni zaspokajała kuriozalne upodobania.

Na popitę proponowaliśmy bełty owocowe przez sadowników spod Chujca wyrabiane. Gielajzy^[550] piwne, choć wyszczerbione, stanowiły większą atrakcję niż ich zawartość. Kto łapał za kufel, ten wracał pamięcią do lat minionych. Chrystera natomiast raczyła się oślepkami^[551], całą ich feerię świadczyliśmy w kirzanie. Dla co wybrednych woda fryzjerska na łupież, dla rutyniarzy politura przez grubą pajdę przelewana. Do tej ostatniej naparstek wielbna na koszt firmy dochodził, co smak naprawiało i koneserom cieszyło podniebienie. Jak kto pić nie mógł, a powinien, zawsze mógł nająć sobie chlacza. Na sztamackiej sali co najmniej tuzin takich co dzień przesiadywał. Chlacz wyręczał pryncypała i na jego rachunek w siebie wlewał, aż ten dochodził do wniosku, że starczy. Różne powody ludzie mieli, żeby samemu nie kirzyć^[552], najczęściej zdrowotne, a przecież trzeba.

Halina dbała o wiktuały, za żadne skarby papendeklem^[553] gościa by nie uraczyła. O ich zdobycie było łatwiej, niż mogłoby się wydawać. Za dnia ulice Ścieku w wielki żłób się zamieniały. Łokciowa postawiła na przekąski z tych lżejszych, takich w sam raz pod zagryzkę ułożonych. Bywał siny inwalida^[554], bywała też meduza^[555], starannie ścięta, z wkładką z kury, bo taniej. Zdarzały się

i katoliki, szary skorupniak^[556] w majonezie, półprzezroczyste plastry marynowanej chabliny^[557], a wszystko to własnymi rękami przyszykowane. Najlepsze kiełbasy i szynki z Prosiakowa^[558] zamawialiśmy. Z czasem pojawiły się u nas i obiady dwudaniowe. Zupa dnia ze smutniakiem^[559] oraz żużel^[560] lub gipsówa^[561] do wyboru. Co jakiś czas gulasz z koniny podawany na kluskach z surowych kartofli. W piątki też kluchy, ale z kwargielem^[562], po Bożemu. A wszystko przystępne, o zeszyt w Sztamacji nikt nie skrytował^[563]. Za darmo tylko w mordę mogliśmy dać.

Miało miejsce kilka sytuacji, kiedy wręcz powinniśmy byli. Tam, gdzie alkoholu starcza, umiaru zazwyczaj brakuje i granda w lufcie dynda. Zapewne nie wszyscy przyjezdni na Dziki Zachód^[564] bejce wiedzieli, z jakim naszą kirzana jest rodowodem. Zbyt krótko niemoty znali nasz Dziki Zachód. Myśląc, że lokal do pospolitej skraby^[565] należy, na zbyt wiele sobie pozwalali, jawiąc przy tym prowincjonalne wychowanie. My z Ineczkiem nigdy nie stawialiśmy za kontuarem, toteż mało kto się nami do czasu przejmował. Dopiero gdy zachodziła potrzeba, zwracaliśmy awanturnym reprimendę, lecz z zasady robiliśmy to tylko po raz. Kto miał w dupie dobrą radę, więcej już do Sztamacji nie zachodził. Bynajmniej nie karaliśmy go żadnym zakazem, taką magulanę od nas dostawał, że na zycher nie miał siły ligarów prostować, a co dopiero na piwo chodzić. Powód różnicy nie robił. Jeden drugiemu w kartach nie przypasował – hałaburda. Ineczek najchętniej obu tacą po mordach trzaskał, a po wszystkim prosił:

– Ładziu, skocz z łaski po chinty proszę.

Jakiś inny, nieproszony podkirzony^[566], w owdowiałej Halinie obiekt westchnień ulokował – kolejna awantura. I znowu:

– Ładek, skoczysz? – skakałem. Co mi szkodziło, trzeba dbać o swoje.

Takie hece na porządku dziennym u nas bywały, nie mniej także poważnych burd się naliczyłem. Sztamacja, coraz bardziej lubiana, stała się celem ataków ze

strony konkurencji. Najczęściej dochodziło do nich po zmroku, dlatego też z Inkiem postanowiliśmy przenieść się do kirzany na stałe. Wiele bambetli z Żytnej do zabrania nie mieliśmy, nocami Innocenty czytał, co mu w ręce wpadło, a ja strugałem dla niego komplet figur szachowych. Zaczęło się nawet niewinnie, jakiś chłystek farbą witryny nam ochlapał, niby nic, ale przy intensywnym skrobaniu szybę popękaliśmy. Innym razem próbował ktoś straszakowy ajnbruch^[567] na lokal upozorować, ale przegoniliśmy go o czasie. Każda kolejna próba przybierała na zuchwalstwie i drapieżności. Pewnego pozornie spokojnego wieczora, gdy siedzieliśmy jak zwykle, oddając się wyciszającym czynnościom, usłyszeliśmy dźwięk tłuczonego szkła. Zerwaliśmy się na równe nogi, myśląc, że przez witrynę wpadła do lokalu cegła albo bajner jaki. Zobaczyliśmy jednak, że był to słoik wypełniony benzyną, dodatkowo w prymitywny lont ze starej szmaty uposażony. Na nasze szczęście pęknięta kilka dni wcześniej szyba okazała się być słabsza od solidnego słoja, a podłoga z wiórów nie wystarczająco twarda, by się o nią roztrzaskał, powodując szkody. Dzięki temu uniknęliśmy oczywistego pożaru. Chwyciłem niewypał i wybiegliśmy na ulicę. Po lewej nikogo, po prawej tak samo. Cisnąłem szklanym pociskiem w gruzy po drugiej stronie drogi i w blasku błękitnego płomienia rozejrzeliśmy się jeszcze raz dokładniej. Niestety na niewiele się to zdało. Po powrocie do kawiarni załataliśmy dziurę blatem postawionego dębem stołu i obiecaliśmy sobie, że po raz ostatni na chamstwo oczy przymykamy. Kto następny chciał się porwać na kirzanę, miał jak w banku, że za przykład innym odważniakom zrobi. Spokój nie trwał długo. Minął może tydzień, jak znaleźliśmy szklarskiego fachurę i wszystko na miejsce wróciło. Halina wdzięczna za naprawienie ubytku najlepszym posiłkiem go ugościła, a my zaprosiliśmy ponadto na jednego. To był dobry człowiek, nawet pieniędzy od nas nie przyjął. W ogóle coraz rzadziej musieliśmy komukolwiek za usługi płacić.

Ineczek wypatrzył w dolinie u szklarza gazetę, w którą ten po skończonej robocie narzędzia zawijał.

– Można? – zapytał. Na ten tychmiast zgodę otrzymał.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co jego uwagę zwróciło. Na pierwszej stronie pisma znajdował się artykuł poświęcony Aleksandrowi Alechinowi, wielkiemu mistrzowi gry szachowej, bożyszczu, faworytowi Inka. Nic dziwnego, że ten ów tekst wypatrzył. Co przeczytał – chwilami na głos – w nie lada osłupienie go wprawiło. Wiele umiał jak dotąd swojemu meterowi wybaczyć, choćby to, że pracował swego czasu jako prawnik przesłuchujący przetrzymywanych w szułajskich cieniach kryminalnych. Wiele nie znaczy jednak tego, o czym tym razem przeczytał w gazecie. Z lektury wynikało, że wojna światowa zastała mistrza tam, gdzie i naszego Najdorfa, znaczy w Buenos. Pełnił w Argentynie najemną funkcję szefa francuskiej reprezentacji szachowej. Ponoć na wieść o agresji zabronił swojej drużynie gry z Niemcami. Co bardziej niesmaczyło, po zakończonym turnieju postanowił wrócić do Francji i na łamach kurwarskiego „Pariser Zeitung” wylać wiadro pomyj na kolegów po fachu. W *Aryjskich i żydowskich szachach* udowadniał, jakoby starozakonni gracze, tacy jak Euwe, świadomie ograniczali rozwój dziedziny. Przypisywał im tchórzostwo, zajęcze serca niegodne ambitnych graczy. Co gorsze, po wojnie zaczął wypierać się autorstwa żenujących tekstów. Twierdził, iż to Niemcy przeredagowali jego techniczne analizy i wykorzystali w ramach obrzydliwej propagandy. Nie przeszkadzało mu to jednak zawczasu pozować z Hansem Frankiem do fotografii. Sprzyjał Niemcom dla pieniędzy, za to został potępiony. Samotny i chory daremnie wyczekiwał po wojnie zaproszeń do turniejów szachowych. Kiedy zgłaszał się do nich osobiście, inni uczestnicy zawody bojkotowali. Nie posiadał już nikogo, żadnych przyjaciół, pomocy znikąd. Środków nie starczało mu nawet na paczkę ciągów tanich. Dosięgnął go ostracyzm, doświadczyła bieda, o jakich jemu podobnym nigdy się nie śniło.

Jednak to nie wszystko, nieoczekiwanie nastąpił zwrot – czytaliśmy. Alechin otrzymał zgodę federacji na rozegranie meczu o mistrzostwo świata przeciwko swojemu rodakowi Botwinnikowi. Ta wiadomość powinna go postawić na nogi, powinna, niestety nie zdążył odebrać telegramu, gdyż następnego dnia już nie żył. Ciało mistrza znaleziono w prowincjonalnym hotelu. Według relacji lekarza sądowego mistrz Alechin kawałkiem mięsa się zadławił.

– Niemożliwe – Ineczek nie dał wiary.

– Że co, że nie? – dopytałem, próbując zrozumieć zasłyszaną wątpliwość.

– Nie może być, że człowiek dławi się jedzeniem i z fotela nie wstaje, nie potrąca stolika z szachownicą, nie upada – zaprzeczał relacji. Miał rację, znał się.

Na zdjęciu dodanym do artykułu Alechin siedział w fotelu spokojnie, jakby zasnął. Figury poustawiane na desce, puste talerze oraz książka otwarta na stronie z cytatem: „Taki jest los tych, co żyją na wygnaniu” dla wprawnego oka aż nadto infantylnie wyglądały. Ponadto martwy siedział w płaszczu, widać to było wyraźnie. Może zmarł poza hotelem, może nieszczęśliwy wypadek zainscenizowano. Gdyby żył, na pewno nie wypuściłby z rąk tytułu mistrzowskiego. Na pewno aż do śmierci.

– Szczęściarz – Ineczek rzucił pod nosem, przyglądając się ciągle fotografii.

– Niby kto? – zapytałem.

– Botwinnikow – odpowiedział, nie odwracając wzroku. Tym razem zrozumiałem.

Widać było po Innocentym, że jest zły. Nie wiedziałem tylko, co bardziej go zeźliło: donos o bydlęcym zachowaniu mistrza czy też jego śmierć tandetnie wręcz upozorowana. Nagle skrzydło frontowych drzwi potrąciło dzwoneczek zamontowany nad framugą. Ktoś wknął do kawiarni, wlokąc za sobą gips^[568] za bardzo przysmażonej cebuli. Już po walorze wiedzieliśmy, że do środka weszli czerniaki, przed wojną cuchnęło tak między ich budami postawionymi w wąwozie na Marymoncie. Było ich trzech, na oko każdy po dwadzieścia lat

miał, czyli kradł przynajmniej tyle samo. Szli kluczem. Ten na czele, olbrzym z toporkiem rzeźnickim w dłoni, podszedł od razu do lady, a jeden z pary idących za nim potrafił Ineczka niespieszącego ustąpić mu drogi.

– Piniendze dawaj – wypalił herszt do Łokciowej, o tyle nieładnie, że z akcentem ruskim.

Halina otworzyła szufladę i zaczęła coś tłumaczyć, że wiele tego nie ma, bo godzina jeszcze wczesna i utarg relatywnie mierny, więc niech się nie krępują i biorą wszystko, byleby klientom krzywdy nie zrobili. Spojrzałem na nią, nie znała mojry. Kobieta z jej doświadczeniem nie takim bandytem się nie kłaniała. Niestety nie wiedział o tym czerniawy. Musiał nie wiedzieć, inaczej na to, co zrobił, nigdy by się nie zdecydował. Uniósł wysoko dłoń zaciśniętą na rękojeści toporka i z potężną siłą upuścił ją w okolice Halinowej skroni. Mruknął, pociągnął nosem jak kaban^[569], a jego koledzy pobiegli na zaplecze szukać czegoś, co warto by było zawłaszczyć.

Nie lada zdziwienie wyrysowało się na jego kostropatej mordzie, kiedy usłyszał za swoimi plecami odgłos zasuwy ryglującej od wewnątrz drzwi kawiarni. To Ineczek przekręcił pokrętko od zamka, dając Romowi do zrozumienia, że ten z własnej woli Sztamacji nie opuści. Nie zamierzał też czekać na reakcje ogromnego wybryku natury i sam do niego doskoczył. Opanowany jak przy egzekucji Mirosława Kani tupnął mu obcasem z tyłu pod kolano, chwycił za nadgarstek powyżej dłoni i jednym uderzeniem o swoje udo rozbroił. Wszystko działo się w tempie zawrotnym. Powalony i zdezorientowany Cygan nie zdążył nawet porządnie balijki odprawić^[570]. Wyjąłem z kieszeni podręczny kozik, którym na co dzień w drewnie dłubałem, i rzuciłem go Ineckowi. Zanim Halina zdążyła przykryć dłonią usta, było już po wszystkim. Inek stał za złodziejem, jedną ręką podduszał go, zaciskając węzeł niezbyt gustownego śledzia, drugą przystawił mu majcher do sonej, niedogolonej krtani.

– Głupi czerniaku, zły dzień wybrałeś – powiedział spokojnie, jakby

właściwie nic się nie stało.

Wypuścił z ręki zmięty krawat i pozwolił pojmanemu wielkoludowi złapać utracony oddech. Zaraz potem, ciągnąc za śliskie, brudne włosy, szarpnął jego głowę do tyłu i pojedynczym ruchem, tak jak przekrawa się obranego ziemniaka, skrócił mu nos o połowę. Czarna krew trysnęła do góry niczym ropa z rozwierconego złoża. Minęła chwila zanim ryk ranionego dotarł na zaplecze i jego wspólnicy wybiegli wprost na nas. Zaskoczeni rzucili worki na podłogę, a ten, który na dzień dobry trącił Ineczka, zaczął macać się pod kłapami.

– Tego szukasz? – zapytał Ineczek, chowając nóż i wyjmując zza paska stary pistolet.

Zrobił czerniaka, jak Bahra przed laty. Jak dziesiątki innych. Ileż to razy mnie tak załatwił. Przez te jego krawieckie sztuczki przynajmniej raz w tygodniu myślałem, że coś zgubiłem. Inek puścił głowę okaleczonego i pozwolił mu osunąć się na podłogę. Jego kompani pobladli ze strachu na samą myśl o tym, co może ich czekać, a Halina już piątą zdrowaśkę klepała pod nosem.

– Skoczysz po chinty? – Ineczek jak zwykle uprzejmie poprosił.

Przez chwilę po wyjściu z kawiarni słyszałem na przemian sześć wystrzałów z rewolweru i sześć przeraźliwych wrzasków. Strzał, krzyk, strzał, krzyk i tak dalej. Sześć naboji, sześć kolan lub dłoni. Rachunek się zgadzał. Kiedy wróciłem w towarzystwie Cieszka i kilku jemu podwładnych, zaufanych mundurowych, zobaczyłem, że Inek wywleka okaleczonych czerniaków z lokalu. Dziurawymi kolanami tarli po gruzie zalegającym wciąż na ulicy, lecz nie starczało im przytomności, by drzeć dłużej ryja. Mieli tak jeszcze posiedzieć chwilę na zewnątrz, ażeby okoliczne moczymordy zobaczyły, jak się poruta^[571] kończy w miejscu po temu nieodpowiednim. Zaraz wszystko na powrót spowolniło. Garstka klientów powróciła do przerwanej hałaburdą konsumpcji, a obita Halina czule cuciała zemdląłego szklarza.

Nie była na nas zła, wiedziała, że zrobiliśmy to, co powinniśmy byli zrobić.

Straciła jednak zapał, by dalej się oszukiwać. Zrozumiała, że oczekuje zbyt wiele. Chcąc dokończyć życia w tym mieście, musiała przystać na warunki, jakie przed nią stawiało, musiała się dostosować. Rok po zakończeniu wojny zrozumiała wreszcie, że tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Od afery z Cyganami więcej problemów nie mieliśmy. Prowadziliśmy miejsce przyjazne, poufne, takie w sam raz dla ludzi mających dużo na sumieniu. U nas nikt nikogo nie oceniał, paluchem nie wytykał. Nawet jeśli na tej samej sali zasiadał śledczy na wprost chodzącego w porucie, dawali sobie wzajemnie tę jedną chwilę wytchnienia. Halina coraz rzadziej rzucała anse, że po godzinach otwarcia pozwalamy klientom w chuchrofki^[572] za monetę chuchrać, zubożniała jej także obecność gruzinek. Chyba nawet im współczuła. Czy sobie tego życzyła, czy nie, Sztamacja stała się w końcu takim samym miejscem jak za najlepszych lat minionych. Nas w ogóle to nie dziwiło, przy panujących warunkach innej możliwości nie było.

Toczyło się nam po staremu, tylko Łokcia brakło. Nie było tygodnia, żeby ktoś o niego nie pytał. Wydawało im się, że skoro Łokciowa w zdrowiu, to i on może cudem się uchował. Pytali starzy znajomi, pytali tragarze. Raz nawet kobieta z bajtlem na rękę pytała, ale Halina ją pogoniła, nie dając pomówieniu wiary. Każda z wizyt wywoływała u niej nawrót wdowiego weltszmercu^[573]. Co nas zaciekało, większość spośród fatygujących się na Krochmalną interesantów cierpiało jednakowe zmartwienie, każdemu doskwierało to samo. Choć żadną winą sobie na to nie zasłużyli, byli przekłeci w obliczu wprowadzonego prawa. Ich zmorą okazało się być wydane zaraz po wojnie rozporządzenie, które zakładało, że wszystkie grunty w obrębie Ścieku przechodzą na własność gminy. Budynki co prawda pozostawały w mocy dotychczasowych właścicieli, jednak w rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Każdy z nich miał obowiązek przeprowadzić renowację posiadanej nieruchomości, a jeśli zwlekał z tym zbyt długo, remont wykonywało państwo, oczywiście na koszt posesora. Dla

przypartego do muru bankruta poniesiony w ten sposób dług był rzecz jasna niemożliwy do spłaty. Jedyne, co takiemu pozostało, to odstąpić mienia władzy i patrzeć, jak się zajęte marnuje w trybie kwaterunkowym, albo poszukać pomocy u ludzi, którzy byle dekret uważali za nic.

Mając na względzie, iż blitna żyła nie ciągnie się pod gruzem w nieskończoność, postanowiliśmy zainwestować nagromadzony starunek. Wszystkim proszącym o wsparcie proponowaliśmy układ, równie niekorzystny co ten państwowy, jednak o wykonalności odwleczonej w czasie. Nie było takiego, który by nie przystał. W dzień po zawarciu z nami umowy uzyskiwał fundusz starczający na reperację budynku, z tym, że otrzymywał go w złocie. Tylko w jego interesie leżało, by opłacałnie je sprzedać, a stanowiło to wówczas zajęcie wyjątkowo niebezpieczne. Nas nie dotyczyło, my cenę blitu określaliśmy wcześniej, według własnych wyliczeń. Nie naszą było sprawą, kto i za ile kruszec przepuli^[574]. Szczęśliwi, że utrzymali nieruchomość w posiadaniu, posesorzy starali się spłacać nas regularnie.

Tym, którzy nie trzymali rytmu, wydłużaliśmy okres pokrycia należności, ale, ma się rozumieć, też nie za frajer. Ponadto informowany przez nas o każdym zawartym cyrografie Peplak dodatkowy zysk do spóły przynosił. Jak na Ciekawego przystało, podążał tropem dokonywanych transakcji, po czym rozbijał szajkę raczkujących, czarnogiełdowych waluciarzy. Wagę przejętego w ten sposób złota obniżał do raportu o połowę, co i tak wystarczało, by utrzymał wydajność służby na nieosiągalnym dla innych chintów poziomie. Drugą część natomiast do Sztamacji posyłał. Nie raz się nawet zdarzyło, że uraczył nas nadwyżką w stosunku do tego, co poza kirzanę wyprowadziliśmy. Dobrze nam się wiodło, naprawdę przyzwoicie.

Mimo tego, że lokal prządlł niczego sobie, a wdzięczni debenci^[575] wywiązywali się ze swoich zobowiązań, żyliśmy skromnie, jak za czasów Partaczy. Niezmiennie kładliśmy się spać i budziliśmy w Sztamacji, gdzie

spędzaliśmy większość dnia na spotkaniach z potrzebującymi wsparcia mieszkańcami. Czasem raczyliśmy się rundą po mieście, by porozmawiać o ich potrzebach. Nie nosiliśmy się wymyślnie, nie szukaliśmy poklasku ni zwady. Trzymaliśmy dyscyplinę, by nie roztrwonić tego, co przez półtora roku w pocie czoła wypracowaliśmy. Wciążle najwięcej przyjemności sprawiało nam towarzystwo jedyne go pozostałego przy życiu przyjaciela, nowych nie było nam trzeba. Siadaliśmy często z Cieszkim w kawiarni i pletliśmy barłogi o niczym. Gdy nastały cieplejsze dni, kazaliśmy przychodnym drzwi do kierzany za sobą zamykać, żeby się do wewnątrz pyłu z ulicy nie naleciało. Ten z Krochmalnej był wyjątkowo nieznośny, wpadał do kieliszków, zalegał na jedzeniu. Zwracaliśmy na to uwagę każdemu, kto zajrzał, każdemu bez wyjątku. Od wojny nie znosiliśmy, jak nam ziemią w zębach trzeszczało. Kiedy pewnego lipcowego popołudnia zawitał do kawiarni chłopiec z wczorajszymi gazetami, jemu także posłaliśmy upomnienie. Posłusznie, pokornie wręcz prośbę wypełnił, po czym bez słowa przywitania, podszedł do naszego stolika i położył na nim czytadło z wiadomościami. Odpaliłem mu okrągłą monetę, a on w powietrzu się rozpląnął. Już z pierwszej strony codziennika bił po oczach dramatyczny komunikat. Zdarzyła się tragedia nie do pomyślenia, po wojnie nikt się takiej nie spodziewał. Zdjąłem przyciemniane okulary, przetałem kciukiem powieki, żeby wzrok wyostrzyć i zabrałem się do czytania.

– Wiedzieliście o tym? – po chwili położyłem gazetę na stole w ten sposób, by i Peplak z Ineczkiem bez trudu ją odczytali. Fragment wiadomości Inek przeczytał na głos:

– „Czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku gdańska Wysoka Góra, przeżyła oblężenie dwustu tysięcy gapiów. Powodem tak liczne go zgromadzenia na placu przy ulicy Pohulanka była nieodparta chęć naocznego uczestnictwa w egzekucji jedenastu oprawców z obozu koncentracyjnego Stutthof. Zebraniu sprzyjała niewątpliwie słoneczna pogoda, ogłoszenie dnia

wolnym od pracy i odgórnie zorganizowany transport. Tłum zgromadził się wokół szubienic, wielu spośród przybyłych nawoływało do linczu. Punktualnie o godzinie siedemnastej nastąpiło stracenie skazańców. Po śmierci ostatniego z nich ludzie rzucili się bić zwłoki, które ostatecznie trafiły do Zakładu Anatomii i Neurobiologii Akademii Medycznej w Gdańsku”.

Inek rozpromieniał na twarzy, prawie w ręce klasnął:

– Wspaniałe widowisko, może i u nas takie wystawią.

Mnie chodziło jednak o inną sprawę. Treść właściwego artykułu wciągała jak bagno, którego się tyczyła. Ponoć niejaki kielecki szwydryga Błaszczyk zaalarmował dzielnicową lamornię^[576] o zaginięciu swojego ośmioletniego syna Henia. Na szczęście po dwóch dniach poszukiwań skut^[577] odnalazł się cały i zdrowy, a właściwie to sam, bez niczyjej pomocy powrócił do domu. Następnego ranka ojciec chłopca ponownie nawiedził posterunek. Tym razem wraz ze zgubą. Winą za porwanie dziecka obarczył miejscowych Żydów, którzy to z ponoć wyjątkowo nikczemnym zamiarem przetrzymywali je w ponurej piwnicy. Według doniesień szwydrygi rezolutny Heniusz zbiegł z lochu, zanim łotry podcięły mu gardziel i użyły jego niewinnej juchy do wyrobu swojej wstrętnej macy. Na miejsce uwięzienia syna szewc wskazał siedzibę Komitetu Żydowskiego przy ulicy Planty, czyli zaledwie kilkaset metrów od komisariatu. Rzekomo miało tam czekać na oswobodzenie jeszcze kilkoro dzieci. Mały Henryk Błaszczyk wszystkiemu przytaknął.

Celem potwierdzenia postawionego zarzutu sześćoosobowa chatrana udała się zaraz pod wskazany adres. Rozpoznanego przez chłopca mężczyznę aresztowano. Kolejny patrol posłano tam z rozkazem przeszukania domu. Wyjątkowo liczebny zastęp kilkunastu funkcjonariuszy wzbudził zainteresowanie okolicznych mieszkańców. Plotka o rytualnym mordzie chrześcijańskich brzdąców rozeszła się po mieście, a rozwścieczony tłum wezbrał w mig przed siedzibą Komitetu. Szybko dołączył do niego nadesłany oddział wojska.

Poniesieni krwiożerczą wolą ulicy żołnierze z zapalonymi oknami budynku ostrzelali. Kilku z nich sforsowało frontowe drzwi taranem i rozbroiło zebranych wewnątrz chałcziarzy. Zaczęli strzelać do osaczonych lokatorów, a pozostałych cudem przy życiu rzucili hołocie na pożarcie. Ci, bici, kamieniowani i nadziewani na bagnety, nie mieli najmniejszych szans na ucieczkę. Końca nie było. Szturm na Plany przypuściła kilkusetosobowa kółtuneria robotników z miejscowych Zakładów Metalowych. Uposażona w rury i bikory dokończyła skwapliwie spontanicznego dzieła spustoszenia. Zginęło wielu, zbyt wielu ludzi. Zmaltretowane zwłoki ofiar linczu zostały z ubrań objorane^[578], a ich majątek, choć niewielki, padł łupem plądrujących budynek zdziczałych cywili.

Z każdą mijającą godziną fala nieuzasadnionej przemocy sięgała dalej i dalej. Do kolejnych morderstw dochodziło na stacjach kolejowych i w pociągach, którymi przerażeni starozakonni starali się wydostać z miasta. Zginęło nawet kilku Polaków broniących Żydów lub też omyłkowo uznanych za Gudłajów. Szpital, w którym żydowskie niedobitki znalazły upragnione schronienie, dzielnie odpierał ataki agresywnej hałustry. Władza została zmuszona wprowadzić w mieście godzinę policyjną, dopiero stanowcza reakcja przyniosła kres bezsensownej rzezi.

Innocenty przebrnął przez referat szybciej, aniżeli ja go pokonałem. Dla odmiany Cieszka do lektury nie ciągnęło wcale. Pracując w resorcie, słyżał zapewne o niejednym zajściu, czasem zanim w ogóle się ono wydarzyło. Podpalił dulca i podzielił się z nami posiadaną wiedzą, co do której wyraźnie nie przykładał większej wagi:

– Dziś przyjeżdża pociąg pełen ocalonych.

Wskazałem palcem na wiórową podłogę kawiarni, jakbym prostym gestem pytał, czy to na pewno tutaj, znaczy do Ścieku, przyjedzie. Cieszek potaknął twierdząco, nie rozumiał mojego zainteresowania.

– Dopiero teraz nam o tym mówisz? – zrugąłem go za opieszałość.

– Nie wiedziałem, że to będzie mieć dla was znaczenie.

Uśmiechnięty Ineczek złożył gazetę na pół, wstał od stołu, przyniósł trzy piwa, po czym stuknął swoim szkłem w nasze. W pełni jego radość podzielałem.

Idąc na dworzec, snuliśmy domysły, ile to jeszcze pociągów z kraju się zjedzie. Pogrom na pewno uświadomił uciekinierom, że nigdzie nie będzie im lepiej niż w domu, nigdzie nie będzie bezpieczniej. Może i zrujnowane miasto oferowało marne nadzieje, może jego oblicze przywoływało najgorsze ze wspomnień, ale niemile widziani gdzie indziej guđłaje wróciliby wreszcie do siebie. Gdyby ich życie ponownie wypełniło ulice, to i nasze sprawy rumieńców by nabrały. Nikomu jak nam Żydowie tak potrzebni nie byli, mieliśmy nadzieję, że z wzajemnością.

Oprócz interwencyjnego, acz niewielkiego kordonu skowyrów, na peronie nie było prawie nikogo. Jedynie my, kilku pracowników stacji i tyleż delegatów starozakonnego Komitetu Centralnego. Żadnej orkiestry powitalnej, żadnej fety nie szykowano. Wszyscy czekaliśmy na pociąg w ciszy i zniecierpliwieniu. Skład przyjechał o czasie, powoli zaczęli wychodzić z niego ludzie. Byli bladzi jak ściany, zapewne wielu z nich boleśnie nieoczekiwaną podróż odchorowało. Z własnej, nieprzymuszonej woli, nigdy nie pomyśleliby o podobnym transporcie. Jeszcze nie tak dawno podróż koleją kojarzyła im się z losem zgoła innym niż obiecywany. Tobałami nie grzeszyli, każdy miał tyle, co na sobie. Ciężko w tak krótkim czasie dorobek życia powtórzyć. Najbardziej byłem ciekaw ich reakcji na krajobraz, w którym po raz pierwszy od wyjazdu witali. Uderzeni przerażającym widokiem stawali w progu wagonu. Każdy dwa razy się zastanowił, zanim znowu stopę w Ścieku postawił. Robił on na nich przytłaczające wrażenie, choć sami nie lepiej wyglądali. Snuli się, nie znając, co ich czeka w prawą, a co w lewą stronę. Mieli przy tym niekontrolowany odruch panicznego reagowania na wszystko co głośne. Byle hałas czy krzyk konduktora wystarczył, by jeszcze przed chwilą rozproszeni, zebrali się do kupy. Były wśród

nich bajtli, byli też i starcy. Wszyscy ubrani nijako, byle nie ujawnić korzeni. Wyszły na peron rodziny, wyszli i samotni. Nikt z nikim nie rozmawiał.

– Złego diabły nie biorą – usłyszałem znajomy głos za plecami.

Odwróciliśmy się z Inkiem jednocześnie, jak na komendę. Nie wiem, co bardziej nas zaskoczyło, to, że daliśmy się podejść w zawstydzający sposób, czy widok uśmiechniętego Graja. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Wyglądał i brzmiał jak Hugo, a jednak różnił się od niego. Był żywy. Nie pytając o pozwolenie, zdjąłem mu z głowy kapelusz. Nie oponował, co więcej – sam zagamnął do tyłu suche pełechy^[579]. Dość niedowierzań, odsłonięte szpetne ucho starczyło mi za świadectwo jego prawdziwości. Odwzajemniłem uśmiech i pochwyliłem Grajka w ramiona. Ineczek zrobił tak samo. Trzymając Hugona w objęciach, wiedziałem już, że nie jest byle urojeniem, lecz istotą w pełni, z krwi i kości, zwłaszcza z kości. Wychudł był nam biedołąch po śmierci.

Zapytałem, czy jest głodny, zażartowałem, że z głodu umiera. Bez chwili zwłoki ruszyliśmy na Krochmalną. Przedstawiliśmy Hugona Halinie i poprosiliśmy, by tak na szybko przygotowała mu zgrabne co nieco. Stało na kilku przylipkach^[580] z wisłem^[581], niestety koszerką Sztamacja nie słynęła. Hugo nie wybrzydzał, ze wszystkiego był zadowolony. Ubogi posiłek zrekompensowaliśmy mu zaraz lepszą flachą. Potem drugą i trzecią, przyrosliśmy do stołu na dłużej. Kiedy wyczerpany podróżą Grajek ululał się do nieprzytomnego, położyliśmy go za kontuarem z workiem pod głową i pozwoliliśmy przespać noc spokojnie w cywilizowanych warunkach. Leżał bez ruchu. Co jakiś czas podchodziłem jeszcze pyrgnąć go czubkiem opucha^[582], by sprawdzić, czy w ogóle dycha.

– Tak to ma teraz wyglądać? – Innocenty zapytał mnie, gdy robiłem to po raz kolejny.

Była już noc, w kirzanie zostaliśmy sami. Nawet ostatni chuchracze^[583] zebrali się już na swoje chawiry^[584].

– Co takiego? – poprosiłem Inka, by doprecyzował swoje wątpliwości.

Odpalił dulca, skupił wzrok na gasnącej śpiczce i nim zapadła niemal całkowita ciemność, zdążył rzucić w moją stronę:

– Opieka – wytłumaczył.

[542] Tragarz – belka stropowa.

[543] Tajster – portfel.

[544] Besik – dobry, dobra.

[545] Barbelucha – tania wódka wątpliwego pochodzenia.

[546] Szpachłowa – wódka najgorszej jakości.

[547] Bałach – butelka.

[548] Chabazie – kwiaty.

[549] Bania – wódka.

[550] Gielajza – kufel.

[551] Ośleпки – alkohole typu denaturat.

[552] Kirzyć – pić alkohol.

[553] Papendekiel – tektura.

[554] Inwalida – tatar.

[555] Meduza – galareta.

[556] Skorupniak – jajko.

[557] Chablina – flaczaste mięso.

[558] Prosiaków – Karczew, podwarszawska miejscowość.

[559] Smutniak – chleb razowy.

[560] Żużel – kaszanka.

[561] Gipsówa – pasztetowa.

[562] Kwargiel – serek wiejski.

[563] Skrytować – żebrać.

[564] Dziki Zachód – powojenna nazwa okolic Mirowa.

[565] Skraba – kobieta, baba, żona.

[566] Podkirzony – podpity.

- [567] Ajnbruch – włamanie, od niem. *Einbruch*.
- [568] Gips – smród.
- [569] Kaban – wieprz.
- [570] Baliżkę odprawiać – kłąć.
- [571] Poruta – awantura.
- [572] Chuchrofki – karty do gry.
- [573] Weltszmerc – uczucie przygnębienia.
- [574] Przepulić – sprzedać.
- [575] Debent – dłużnik.
- [576] Lamornia – policja, posterunek policji.
- [577] Szkut – malec.
- [578] Objorany – obdarty.
- [579] Pełechy – długie włosy.
- [580] Przylipka – kromka chleba.
- [581] Wisło – masło.
- [582] Opuchy – buty.
- [583] Chuchracz – gracz.
- [584] Chawira – dom, mieszkanie.

BOYKO

– Na każdego z nich nie byle kalumnia, a zasadny powód się znajdzie – Ineczek pouczył Peplaka, popijając przy tym słodką kawę.

– Nie ma człowieka bez winy – uspokoił go obyty w śledczym fachu Cieszek. – Nie w tym kraju.

Do zajmowanego przez nas stolika dosiadł się Hugo. Minął już blisko miesiąc, od kiedy zmartwychwstał był nam niespodziewanie. Wymieniliśmy serdeczne trząsanie dłoni, po czym Inek wrócił do sprawy:

– Nie wiem, ilu uszło z życiem, nie wiem, pod jakimi inicjałami. Niektórzy na moich oczach zesłi, resztę domniemam jeszcze zobaczyć – nie bez aluzji łypnął na Graja. – Ściekowych powinieś kojarzyć, ale żeby ci nie umkło przypadkiem.

Cieszek wstał z krzesła, podszedł do kontuaru i zabrał z niego bloczek, w którym Halina zapisywała złożone zamówienia. Wydobył z doliny ołówek, rozchylił kapownik, kiwnął głową na znak, że gotowy.

– Tata Tasiemka, znaczy Siemiątkowski – Innocenty poprawił się na ten tychmiast.

– Łukasz? – dopytał Peplak na wszelki wypadek.

– Łukasz – pozbawiłem go wątpliwości.

– Tewel Gromb – Ineczek dyktował kolejno. – W żaden sposób nieszczególny. O ile mnie pamięć nie zwodzi, powieka mu lewa opadła, po tym

jak okład z drąga przyjął. Następny Kłopot.

– Jurkowski – tego to każdy pamiętał, również Cieszek, jak się okazało.

– Nie inaczej – Ineczek pochwalił młodszego kolegę. – Ryj druga dupa, tyle że na wierzchu. Pachniarz^[585] z pąsem trwałym, podziobany. Nie sposób chama z innym pomylić, jak wielki, tak brukowy. Po mariensztacku gwizda.

– Może Śmietana albo Mongoł? Mongoła pamiętasz? – dorzuciłem jeszcze.

– No masz – Peplak odpowiedział bez chwili zastanowienia. – Zapisać kogo jeszcze?

– Bazgroły, Tortor, Łokieć, Morda – Innocenty wyliczył nekrologi. – Nie, nikogo – wyraźnie przez to posepniał. – Nikogo już nie ma.

– Niewiele tego – Cieszek nie spojrzął nawet w notatki.

– Mogą być Łabaty Bałak i Józko Majcher. Tyle że ci ze Lwowa – Inek rozłożył ręce na znak bezradności.

– Nic nie szkodzi, warto sprawdzić – swoje zdanie wcisnął Grajek. – Czytałem, że pół Zamarstynowa na zachód się przesiedliło.

– W takim razie Bałak ma na imię Walerko, a łabaty jest naprawdę – opisałem Cieszkowi bandytę, którego na oczy nie widział. – Wygląda jak baciur w supeł związany. To trzeba zobaczyć.

– A ten Majcher?

– Posznytany na tróci od ucha do ucha. Bez trudu rozpoznasz.

– Byli też bracia Motyki z Lublina – Innocenty wspomniał niesławne rodzeństwo. – Józek i Władek, dokładniej rzecz biorąc. Starszemu, znaczy Józefowi, szrama szamot szpeci, a jeszcze kuleje na pewno. Młodszy z tłumu nie wystaje, wąsatych obu pamiętam. Z Białegostoku trzy Brukowce; Zelik, Alter i Chaim Edelsztajny. Poza nimi maciomiki; Sztokfic, Winograd i Torbiel oraz fałszujący Janielew warci są uwagi. Ładuś, jak mu było?

– Salomon – pospieszyłem z pomocą.

– Janielew Salomon – Cieszek powtórzył pod nosem. – Dalej?

– Jeszcze jeden, Zelik Lewinson z Wilna. No i rzecz jasna Menachem Bornsztajn z Łodzi. Ślepy Maks. O ile wrócił.

– O ile wrócił – Cieszek powtórzył po raz kolejny, wyrwał z bloczku zapisaną kartkę i wrócił do stolika. – Trochę to zajmie, nim się ustali. Na co wam to?

Nie potrafiłem udzielić odpowiedzi na zadane pytanie, Inek niczego ze mną nie skonsultował. Byłem nie mniej ciekawy od Peplaka, a jeszcze bardziej zdziwiło mnie, co usłyszałem dalej:

– By znać, czy kto nam z czasem w paradę nie wlezie. Hugo, powiedz raz jeszcze, co mnie już mówiłeś – Innocenty zażądał wyjaśnień od Graja. Ten nie oszczędził nam złej wieści:

– Więcej pociągów nie będzie.

Poczułem jakby wadrzycho^[586] lodowatej wody wylał mi na głowę. Nie zamierzałem przyjąć złej nowiny bez oporu.

– Jak to, kurwa, nie będzie? – mój sprzeciw był silny, choć bez większego znaczenia.

Już po chwili zrywałem z kawiarnianych stolików ceraty, aż wreszcie, pod jedną z nich, znalazłem starą gazetę traktującą o kieleckim nieszczęściu.

– A to? – wściekły rzuciłem ją na nasz stolik. – To nieprawda jest? – zapytałem złany zimnym potem.

Hugo spokojnie złapał pismo.

– To zależy – podniósł rozbawiony wzrok znad prasy. – Na Plantach żadnej piwnicy nie było.

Z całej swojej siły uderzyłem w gazetę zasłaniającą resztę jego twarzy. Czuję jak garbaty ferniak Graja kruszeje pod moim kułakiem. Krew z rozciętej skóry trysnęła na druk. Hugo zachwiał się, lecz nie upadł na plecy. Cieszek zerwał się z krzesła i obezwładnił mnie chwytem zapaśniczym. Ineczek nawet

palcem nie kiwnął. Zrugął natomiast Peplaka za mieszanie się w nie swoje sprawy. O dziwo, poszkodowany facką^[587] wcale Grajek nie parł do utarczki. Jakby wiedział, że zasłużył. Wszyscy trzej patrzyli na mnie, miałem prawo głosu.

– Kurwy synu – opanowałem nerwy i prawie szeptem zwyzywałem smarkającego juchą chałciarza. Tylko jedno pytanie na usta mi się cisnęło:

– Dlaczego?

– Miejsce Szerit ha-Pleta^[588] jest w Palestynie – odpowiedział od razu.

Jego twarz nie kryła gniewu, co gorsza, nosiła satysfakcję. Do prowokacji tragicznych zdarzeń nie przyznał się otwarcie. Nie musiał, miałem uzasadnione podstawy, by go podejrzewać. Wszystkie te awantury, których dumnym był niegdyś inicjatorem, wyraźnie zdradzały jego pokrętne usposobienie. Hugon Graj jak nikt inny wierzył, iż cel uświęca środki. Skoro uznał, że tylko w taki sposób zmotywuje współwierców do emigracji, nie miał nic na przeciw przykrej konieczności. Według niego każda ofiara, nawet kilkudziesięciu istnień, warta była poniesienia. Nie mniej zbity klukaszczyk^[589]. Klawisz^[590] Soboty – pomyślałem, po czym splunąłem z obrzydzeniem pod jego nogi.

– Z kogo my żyć będziemy? Ja się z bidą nie godzę – usiadłem na swoim miejscu i podałem Grajkowi czystą bawełniankę, ażeby nie w mankiet pokiereszowaną facjatę wycierał. Zaraz chciał mi ją zwrócić, ale dałem mu znak, żeby poplamioną zatrzymał.

– Domy same się nie wymurują, drzewa nie zasadzą – odpowiedział mi Hugo zmienionym głosem.

Miał rację. Między zwaliskami gruzu wznosiły się pojedyncze konstrukcje wróżące prawdopodobną odbudowę miasta. Niespotykane dotąd przedsięwzięcie wymagało wielkiego nakładu pracy, pracy ludzi, których wciąż brakło. Kwestią czasu wydawało się zatem, kiedy nadejdzie do Ścieku fala napływowych budowlańców. Z tym nie mogłem się nie zgodzić.

– Czego robotnikom będzie trzeba? – Hugo zapytał niby wszystkich, ale

koncentrując się na mojej osobie.

– Opieki – odpowiedziałem przekonany do pierwszego, co mi przyszło na myśl.

– Cegieł – po raz kolejny zaskoczył.

Podziwiałem jego sposób myślenia. Potrafił dostrzec to, co przez innych pozostawało niezauważone, unikał spraw oczywistych. Dzięki wnikliwej obserwacji otaczającego nas świata pochylał się nad kwestiami, obok których niejeden przeszedłby obojętnie. Jak nikt inny rozróżniał potrzeby od pragnień.

– Próżno w Ścieku zdatnych szukać, jak i tej waszej, złotej – Hugo z uśmiechem przypomniał bzdurę, co ją szabrom wcisnęliśmy. Przyjrzałem się jego kłydom, na pewno nie ja je uszkodziłem. – Miasto ich potrzebuje, doprasza się dachówki, domaga progów, płyt posadzkowych wygląda.

– Niby skąd? – zapytałem. – Nie każdy pinkiel da się rozwiązać, rzucając w niego pieniędzmi.

– Śląsk pożogą nie szemrany – wytłumaczył bezzwłocznie – Dojny Śląsk.

Spojrzał po nas, czy aby nadążamy i już zaraz kontynuował:

– Kormelski budulec nietknięty tam stoi. Kamienice, mury obronne, baszty i bramy – wyliczył kolejno. – Na zwolnienie z ofiary niejeden kamienicznik sowity lon pod stołem przyszykuje. Kolportaż trefnej dyspensy, w tym fortuna leży.

Choć pomysł Grajka opierał się głównie na przypuszczeniach, od razu wydał mi się trafiony, wręcz znakomity w swojej prostocie. Pozorne rozwiązanie posesorskiej bolączki powinno nam wiele korzyści przysporzyć. Właściciele tamtejszych domów, co prawda, dwa razy byliby stratni, ale my wręcz przeciwnie.

– Ech, jakbym taki papier trafił – stęskniony mincerii pysznie zadeklarowałem.

Z Inkiem i Hugo, we trzech jednocześnie zwróciliśmy się ku Cieszkowi.

– O nie, na mnie nie patrzcie – wywikłał się natychmiast. – Ineczek nie takie rzeczy juchcił od małego.

– Schlebiasz – Inek kokieteryjnie przyjął chwałbę.

Przerwaliśmy na chwilę, taka pogadanka aż prosiła się o poprawę. Bartek na stole zawitał, a za nim smalczyk i ogór mniej żaloszny^[591]. Wszystko dobro pod kieliszek. Zwłaszcza Grajowi uśmierzenie się przydało.

– Co dobre... – zauważyłem po dłuższym zastanowieniu.

– Wcale nieprawda – zaoponował Hugo. – Kiedy większe miasta zostaną rozebrane do reszty, powetują poniesioną krzywdę kosztem pobliskich miejscowości. Te z kolei pójdą na żer do jeszcze mniejszych.

– W końcu nie będzie komu czerpać z czego – doszukiwał się logiki Cieszek.

Grajek i na to miał odpowiedź:

– Wejdziemy w handel na forszus^[592]. Kto z kormelskiej cegły spragnionych nie uwierzy w rozbiórkę, dajmy na to ratusza, skoro wszystko wokół będzie już rozebrane? – zapytał retorycznie, po czym nawiązał do początku rozmowy. – A opieka – wałnął przechył – to swoją drogą.

Tak też się potoczyło. Z każdym następnym tygodniem, gdzie wzrokiem sięgnąć, wzrastała liczba rozpoczętych prac budowlanych, a z nimi ilość robociarzy goszczących przymusowo w ruinie. Zdarzało się nam podsłuchać takich w kirzanie, kiedy zalani po miernej wypłacie jojkali na trudy dnia powszedniego. Najbardziej denerwowały ich ciemności spowijające miasto, co uniemożliwiała szwic na nocną zmianę, a przy tym zarobek większy. Ciągnąc ich za język, dowiedzieliśmy się, że po zmroku place robót przez nikogo niestrzeżone stały, gdyż zwyczajnie nikt nie uznawał takiej potrzeby. Nie napotkaliśmy więc trudności, włamując się na teren pierwszej budowy ani też żadnej kolejnej. Mieliśmy głowy pełne pomysłów, jakie przykro^[593] tam wyrządzać. Osłabialiśmy konstrukcję rusztowań, demontowaliśmy bariery. Ognia nie podkładaliśmy, zależało nam, by nieszczęście odbyło się na oczach

zgrupowanych. Konsekwentnie, ażeby charakter wypadków sugerował nie złośliwości losu, a umyślne ludzkiej ręki działanie.

Skutkiem tego już po miesiącu pierwsze reakcje odebraliśmy. Wpierw robociarze szli ze skargą do wyżej od siebie przełożonych, ale tamci nie mogli nic, tyle co zbagatelizować sprawę. Potem zwrócili się o pomoc do lamorów Cieszkowi podobnych, jednak i to na niewiele się zdało. Świadomi czyhających niebezpieczeństw zaczęli wreszcie szukać pomocy za pośrednictwem gruzinek, z których to usług, daleko od domu rodzinnego, nierzadko rzecz jasna korzystali. Dziewczęta przekonywały bezradnych klientów, że tylko monetą dadzą radę strachy przepędzić. Zawsze lepiej trochę gaży niżli zdrowia stracić – mądrzyły szemrane. Ci, co mieli wystarczająco oleju w głowie, szli za kurwiszczą radą i celem przepędzenia szalejącej plagi nieszczęść organizowali iepy^[594] po cichu zbierane.

Jako że bandyci z nas byli uczciwi, trzymaliśmy się danego im słowa. Pieniądzy nie odbieraliśmy osobiście. Delegat każdego zakładu przekazywał chobnie wyznaczonej przez nas po temu gruzince, która pod eskortą przynosiła je na Krochmalną. Oczywiście pojawili się i cwaniacy, którzy podszywając się pod nas, próbowali wymusić trzy grosze dla siebie, ale szybko ów proceder ukróciliśmy. Skieł Peplak chwycił wyjawionych samozwańców z ochotą, nawet nie musieliśmy brudzić sobie rąk. Nowa pensja nie dość, że spływała nam regularnie, to jeszcze z każdym dniem rosła. Ruszały kolejne prace na mieście, ruszaliśmy i my z werwą do rujnacji. Nowy porządek rzeczy sprzyjał sianemu przez nas spustoszeniu. Dla warstwy kierowniczej liczyły się wyłącznie rezultaty, siłą roboczą, pozostawioną samej sobie, nikt się nie przejmował. Zdana była na naszą opiekę.

Hugo Grajek wziął na siebie księgowość wszystkich prowadzonych przez nas przedsięwzięć. Zakasał rękawy z radością, my z Ineczkiem szybko przestaliśmy łapać się w obliczeniach, zresztą przyzwyczajeni byliśmy do pracy w terenie. Ku

niezadowoleniu Haliny urządził sobie biuro na zapleczu Sztamacji. Musieliśmy nawet ścianę do sąsiedniego lokalu przebić i dla niepoznaki otworzyć w nim pralnię, taką prawdziwą, krochmalną, jak na Krochmalną przystało. Nie samą pracą jednak człowiek żyje. Powoli i coraz mocniej przytłaczał mnie, doskwierał ciężar spraw niedokończonych, takich jeszcze z czasu wojny. Nie dane mi było pochować Matki, nie pogrzebaliśmy też Bożecieszki Peplakowej, choć obie bez wątpienia na taki ceremoniał zasługiwały. Na nic potrzebna mi była praktyka grabarzna, wszakże ciał kobiet nigdy nie określono. Najprawdopodobniej spłonęły na ulicznym stosie. Jedyne, co znałem, to relacja z ich śmierci, możliwa, tylko tyle. Zmuszony byłem pożegnać je w inny, symboliczny wręcz sposób. Postanowiłem wybrać się na Twardą i spośród zgłiszczy naszego starego domu wygrzebać resztki maskary depczącej koślawą stopą, nie bardziej udanego gada. Posążek, choć nieudolnie odlany, miał dla Mamy znaczenie większe niż spore. Zawsze dbała o to, by okalały go świeże kwiaty, jak nikt inny często zmieniała wodę w stojącym przy cokole wazonie. Jeśli jaka mewa albo inny ptaszor błękitną chustę postaci białym odchodem trafił, pierwsza z całej kamienicy z miską mydlin biegła. Sąsiada, co gołębie w podwórzu hodował, przynajmniej trzy razy w tygodniu ganiła.

Do pomocy w wykopkach poprosiłem Hugona, on jeden z całej naszej koterii był religijny. Co prawda uważał chrześcijan za popłuczyny, jałowy szczep, ale moją potrzebę rozumiał. Budynek wyglądał identycznie jak tego dnia, gdy spod jego gruzów się wydostałem. Ani jedna ściana nie ostała się w pionie, wszystkie cegły na kupie leżały. Zauważyłem od razu, że i tego adresu szabry nie ominęły. Nie było resztek mebli, nie było drzwi, nawet okien potłuczonych. Brakło bramy, rynien, poręczy. Żadnych sprzętów domowych, szmat, firan, choćby złamany sztuciec nie leżał na widoku. Liczyłem jednak, że brzydota sztuki uchroniła ją jedyną przed grabieżą. Po kilkadziesiąt minutach przerzucania rozwaliny i opędzania się od roju wygłodniałych much,

przekonałem się wreszcie, że tak też się stało. Nietrudno było znaleźć maskarę. Na tle wilgotnego, krytego lepkiem ceglany pyłem, monotonnie rdzawego gruzu oraz porastającego każdą wolną przestrzeń bladozielonego chwastu, błękit jej szaty był niemożliwy do przeoczenia. Nic dziwnego, że w takim kolorycie większość mieszkańców Ścieku zapadła na smutek, chorobą ruin nazwaną.

Rzeźba była w kawałkach, wielu. Taka układanka dla cierpliwych. Co udało nam się zebrać, to wrzuciliśmy na taczkę podjuchconą z budowy. Szliśmy z Grajkiem powoli, co chwila podnosząc z ziemi gubione fragmenty ładunku. Od czasu do czasu rozglądałem się dookoła, obserwując ludzi próbujących tchnąć cokolwiek życia w zrujnowaną dzielnicę. Ich głównym zajęciem był handel, w swojej ubogiej formie wręcz żałosny, ale zawsze handel. Sprzedawano płaszcze uszyte ze znalezionych koców i ręcznie plecione kosze, a wszystko to wprost z przedramienia, nie z za żadnej tam lady. Ci, co wcześniej stanęli na nogi, zajęli sobie miejsce w bramie, inni zaanektowali wrak wagonu tramwajowego powalonego gdzieś na środku drogi. Nie przypominało to co prawda Parterowej Marszałkowskiej, z jej wyremontowanymi haryndami, warsztatami czy cukiernią, jednak, mimo oczywistych trudności, tętno obrotnej okolicy imponująco nabierało tempa. Na każdym rogu kłębiły się zgraje wszystkich korobów szukających byle zajęcia albo cwaniaków krzyczących za ludźmi: „Kupa pan cegłę!”. Kto nie reagował, obrywał taką w tył głowy. Było ci ich dostatek.

– Dlaczego zamiast szukać swojej Matki nie swojej szukałeś? – Hugo zapytał, kiedy grzeźliśmy w zgliszczach Kerdelaka.

– Bo wiedziałem, gdzie leży – opowiedziałem mu tak szczerze, jak tylko umiałem.

Mijaliśmy właśnie zwłoki kobiety roztrzaskane o bruk z bajnera polnego. Twarz miała przykrytą chustą, czerwoną zapewne od niedawna. Biedna musiała wypaść z wozu zbyt grubą warstwą słomy dla wygody ściulanego albo z innej ciężarówki, pewnie na zakręcie.

– Jesteś pewien, że nie żyje? – Grajek kontynuował temat Mamy.

– Przez ciebie niczego nie jestem pewien – podniosłem z ziemi kawałek figurki, który podskoczył na wybojach i spadł prosto w bajurę wyłącznie błota. – Jak ty się w ogóle uchowałeś? – aż wstyd, że wcześniej mu tego pytania nie zadałem.

– Aplikant mi pomógł. Dasz wiarę?

– Spróbuj mnie przekonać.

– Słuchaj, jak było – ruszyliśmy z miejsca, pozostawiając ciało nieszczęsnej kobiety daleko za sobą. – Nie wyobrażasz sobie, do czego ludzie są zdolni, kiedy im żołądek z rozumem miejscami zamienić. Co to ja nie próbowałem, by nad zezwierzęciami zapanować. Chaperów^[595] nie tykałem, choć powinienem. Dziwkom od Bazgrołów też dałem spokój, mimo iż na to nie zasługiwały. Staralem się, proszę ja ciebie, wyrozumiałym być, w końcu co getto to getto. Na jeden tylko uczynek nie mogłem oka przymknąć: jak młody skić^[596] staremu kabanowi tyłem kupczył. Żeby nie było, i knur na karę zasługiwał, z obu stron dupy wina leżała. – Hugo aż się zaczerwienił, bynajmniej nie od wysiłku prowadzenia taczki. – Gwizdnął na mnie raz z za winkla jeden taki hebes jebany. Cmoknął, oko puścił. W szabas! Wyobrażasz sobie? Z zaproszenia skorzystałem i gdy wydawałem gnojowi lagą pouczenie, zaszedł nas znienacka Aplikant w kopsnik uzbrojony.

– Pewien jesteś? – to wszystko mało prawdopodobne mi się wydawało.

– Jak gwiazd na niebie – zarzekł się Grajek. – To był Szmerling, komendantowy Umschlagu^[597] we własnej osobie. Bydle barczyste, czarnobrode, nawet po ciemku nie dało się go pomylić. Znałem drania z widzenia, każdy w getcie go znał. Uchodził za łotra i rzeźnika, a patrz, kto by pomyślał, przed wojną sztuczne kwiaty produkował. Mówiłem, zezwierzecenie.

Byliśmy już prawie u celu. Za najlepsze miejsce postawienia pomnika uznałem placzyk tuż przy kamienicy Łokciowej, a ona przyklasnęła temu bez

słowa sprzeciwu. Obiecała dbać o figurę, jak i Mama wcześniej dbała.

– Ale Cieszek dał słowo pod chajrem^[598], że cię zastrzelili – ogromnie chciałem poznać ciąg dalszy.

– Bo zastrzelili, ale nie mnie, tylko tego dziwkę i nie oni, a on jeden, gad Szmerling, osobiście. Mytkowe^[599] ksiuty, Ładziu. Ksiuty! – Hugo zaśmiał się z własnego tłumaczenia. – Zaraz potem wszystko, co z ulicy o komendancie słyszałem, prawdą się okazało. Gadali, że chciwe to nie mniej niż brutalne, od kogo może, wykupne pobiera i w zamian nadzieję daje. Milionów się ponoć dorobił, mnie też nieprzypadkowo zatrzymał.

– Co masz na myśli?

– Wiedział o mnie więcej, niż ja o nim wiedziałem, choćby jak się nazywam i kto z zawodu jestem. Przedłożył mi też ofertę darowania życia za cenę partaczych oszczędności. Skąd posiadał taką mądrość, wolałem nie pytać. Przystałem. Kiedy dostał, czego żądał, zaprowadził mnie na Umschlag i tam rzucił pod opiekę obwodowego Rode-Kucza, a sam z nahajką w Żydy poszedł. Myślałem, że mnie objugał^[600], ale nie, widać taką miał kolejność działania. Kucz zbliżył się do mnie z olabogą w garści i pociągnął mi nią silnie po ligarach. Kiedy leżałem już bólem dotknięty, nachylił się nade mną, po czym wsunął żelastwo za mój parawan. Nakazał też, żebym dołączył do kulisów^[601] wagon towarowy rozładowujących, a kiedy do niego wleżę, bym tam pozostał i odjazdu czekał. Na bocznicę dwa dni spędziłem, bez bomsa i bez wody. Dopiero trzeciego dnia, jak deszcz spadł, cokolwiek się napiłem. Skład wreszcie ruszył. Dokąd? Nie miałem pojęcia, zresztą wszystko jedno mi było. Kiedy przez szparę w ścianie wagonu wypatrzyłem, że wreszcie od Ścieku się oddalam, spod cheretyny^[602] łom sięgnąłem i zacząłem z podłogą szarpanie. Musiałem się spieszyć, póki krzepy starczało. Jak tylko uporałem się z deskami i lokomotywa zwolniła, bezpiecznie czmychnąłem przez dziurę na tory. Poleżałem jeszcze między szynami, aż wszystkie wagony nade mną przejechały, po czym uciekłem

w łoks.

– I tak do Kielc trafiłeś? – zapytałem zdumiony.

– Tak. Nie – Hugo rozkosznie ucieszył ryja. – Ze trzy lata będzie jak się od hory^[603] do hory włóczyłem. Co mogłem, to smytrałem nocami. Gdzie się dało, tam po kątach spałem. Szły Kormele, dałem nogę. Szła Szulajnia, drugą dawałem. Dopiero w Lublinie dowiedziałem się, że wojna minęła. Przyjeżdżali tam wszyscy Szerit ha-Pleta, co Shoah przetrzymali. O kormelskich obozach śmierci właśnie od nich się dowiedziałem. Poszedłem wtedy zobaczyć Majdanek.

Pierwszy raz słyszałem, jak Grajowi głos drży. Na ten tychmiast się pozbierał:

– Szukałem okazji na powrót do Ścieku, tyle że jedyny z całego Lublina.

– Nic w tym dziwnego – wtrąciłem.

– Poznałem za to Witkę Kempner, działaczkę Brichy^[604] pomagającej ocalonym wprost do Palestyny się przedostać.

– I nie wyjechałeś z nią? – zapytałem zdumiony.

– Wyjechałem.

Zapaliłem pogiętego dulca, Grajek tłumaczył dalej:

– Uciekliśmy przez wiosenną zieloną granicę. Poza Kempnerową przerzutem kierował jeszcze jej chabal, Uri Kowner niejaki.

– Słyszałem o nim, nawet dobrze słyszałem – przypomniał mi się podpisany tym nazwiskiem wileński papier, który Ineczek w zakładzie krawieckim Miry Fuchrer niegdyś przedstawił.

– Szedł z nami w klipie też jeden galanciak^[605], co uważał się za członka tych waszych Żobiaków – Hugo mocniej przykuł moją uwagę. – Ratajzer z nazwiska. Pamiętasz? – zapytał ciekawy.

– Matko, jaki ten świat mały – niezmiernie się uradowałem. Znaczyło to, że Kazik jakimś cudem przeżył wyrżnięte w pień powstanie. Oba powstania. Cało.

– Sam wyszedł z getta i wyprowadził wielu innych kanałami – zmyślny

Hugon uprzedził przyszykowane przeze mnie pytanie. – Daj zapalić.

Sięgnąłem po ratunkowego, co go pod kojną nosiłem. Odjarałem od swojego i podałem dalej. Przepeniało mnie zadowolenie, satysfakcja, że nasze podziemne z szynami spaceru okazały się tak pożyteczne. Hugo zaciągnął się głęboko i trzymając gęsty dym w nadętych płucach, barłoczył o tym, co go później spotkało:

– Podczas postojów w Bukareszcie, kiedy jedliśmy nie gorszą kolację, Uri zdradził, nad czym tak naprawdę z Kempnerową pracował, po jasny gwint do Palestyny walił. Od stołu nie wstał, pochylił się nad nim raczej i zaczął: „Kiedy przebrany za zakonnicę ukrywałem się w konwencie sióstr dominikanek na przedmieściach Wilna, niemal o wojnie zapomniałem. Zapomniałbym, gdyby nie przebranie. Pewnego dnia przeorysza Ima^[606] Bertranda Siostrzewitowska przyprowadziła do mnie Witkę, której jeszcze nie znałem. Opowiedziały mi o pewnej dziewczynie, Sarze Menkes, która to wraz z dziesiątkami innych Żydów została wywieziona tydzień wcześniej do lasu w Ponarach. Na polanie oddzielono mężczyzn od kobiet. Gdzieś za drzewami słychać było strzały. Przyszła kolej na Sarę. Wraz z innymi kobietami została zagoniona właśnie tam, gdzie strzelano. Kazali im się rozebrać i zrzucić wszystko na rosnącą stertę odzieży, po czym uklęknąć nad dołem wypełnionym nagimi ciałami. Jedyne, co je kryło, to liczne rany. Niektóre ciągle się ruszały. Kiedy Sara odzyskała przytomność, leżała na stosie wystudzonych zewłok. Paliło ją przestrelone ramię. Przez kolejne dwa dni bała się poruszyć. Bała się zasnąć, ażeby podczas snu samej siebie nie zdradzić. Przywykła do robactwa i widoku dzikich psów szarpiących luźną skórę wychudzonych zmarłych. Wiedziała jednak, że w każdej chwili mógł je przepędzić nadciągający transport. Nagą, okaleczoną i pół przytomną dziewczynę znaleźli szmuglerzy z wileńskiego getta, którzy w okolicznych wsiach cokolwiek pożywienia szukali. Sara wróciła z nimi do miasta, dzięki temu o niej usłyszałem. Słuchając opowiedzianej przez Witkę

historii, zrozumiałem, co się tak naprawdę szykuje, co się z nami stanie. Dlatego postanowiłem porzucić kryjówkę i zorganizować w getcie opór. Liczyłem, iż uda się nam przeciwstawić masakrze. Kiedy doszły mnie słuchy o walczących w stołecznym getcie, zaraz do naszych zawołałem, żeby, co mają pod ręką, brali. Broń, siekiery, noże, pałki. Za mordowanych ojców, za nasze dzieci mordowane. Nikt nie dołączył, sam jak palec stałem”.

– U nas inaczej to wyglądało – niezbyt grzecznie przerwałem Grajkowi, na co on po swojemu rachubę postawił:

– Śmierć jest śmierć. Wszędzie wygląda tak samo.

Podobno podczas kolacji w Bukareszcie Uri zaproponował Hugonowi przystąpienie do potajemnej organizacji Dam Jehudi Nakam^[607], którą pod kirejką^[608] Brichy założył. Jego zdaniem Niemcy nie zasługiwali na to, by wojna się dla nich skończyła. Powinni byli zapłacić krwią za krew, którą obficie przelali. Gromadnej wroźdy^[609] wilniuk zamierzał dokonać poprzez zatrucie wodociągów w wybranych przez siebie miastach. W Monachium za Dachau, w Weimarze za Buchenwald. Berlin, Norymberga, Hamburg. Zagłada za zagładę. Naród za naród.

– Zgodziłem się mu pomóc, zgodził się też Ratajzer – Hugon trzymał się tematu. – Kowner ruszył do Palestyny szukać poparcia, funduszy i trucizny. My ruszyliśmy na zachód. Ja, Józek Harmatz, Lebke Distel i Wilek Schwerzreich trafiliśmy do wsi Fürth pod Norymbergą.

– A Kazik? – zapytałem.

– Kazik do Monachium. Przez pięć kartek strugaliśmy Polaków, co niby na wizy za ocean czekają. W tym czasie Wilek, z zawodu inżynier, zatrudnił się w wodociągach i do akcji szykował. Wiedział, ile wody, którą rurą i dokąd popłynie. Oszacował też, jak dużo trutki trzeba nam do powodzenia planu. Wreszcie dostaliśmy wiadomość, że Kowner zdobył trutkę od właścicieli fabryki tekstylnej i wsiadł w Aleksandrii na statek. Wiózł tę naszą cykutę w puszkach po

mleku upchanych w starym plecaku. Tuż u wybrzeży Francji został zdradzony i aresztowany. Witka uważała, że to Ben Gurion, o którego poparcie Uri zabiegał, wydał go na pastwę brytyjskich żandarmów. Idea Nakam^[610] kolidowała mu z budową żydowskiego kraju.

Wobec nieszczęścia Kownera postanowiliśmy zrealizować prostszą część planu. Kazik w Monachium i my w Norymberdze mieliśmy doprowadzić do śmierci Tymczasowych jeńców w alianckich furdygarniach. Obóz, który nam przypadł, znajdował się w Langwasser, niedaleko miasta. Zaproponowałem zakup arszeniku od grabarzy, którzy używali go do konserwacji skór wystawianych na widok żałobników w zakładzie. Spamiętałem, jak kiedyś o tym opowiadałeś. Obwiązany blachanami, jakbym wyskok szmuglował, naraz dwadzieścia kilo proszku przez francuską granicę przytachałem. Od mąki nie do rozróżnienia, w sam raz był, bez zapachu i smaku. Pieczywo dla piętnastu tysięcy jeńców szykowała piekarnia przy norymberskiej Schleifweg Straße. Wysłaliśmy tam do pracy Lebke Distela, nie mniej kormelskiego blondyna niż Ratajzer. Zręczny i pojętny był chłopak, także już po niedługim czasie wypiekać smutniak potrafił. Niestety istniało ryzyko, że trucizna dodana do ciasta może w piecu swoje właściwości zatracić. Postanowiliśmy więc smarować nią spody upieczonych już bochenków. Uznaliśmy, że tyle powinno wystarczyć.

W wyznaczonym dniu, w sobotę, Distel kończył zmianę o szesnastej. W ciągu dnia zdążył jednak wprowadzić do piekarni i ukryć w olbrzymich wiklinowych koszach kilku spośród naszych. Musieliśmy uważać. Próby kradzieży chleba były w mieście na porządku dziennym, tak że piekarnie pod specjalnym nadzorem pozostawały. Po zamknięciu rozrobiliśmy przyniesiony arszenik w misach wypełnionych mąką i wodą. Smarowaliśmy potem pędzlami spody bartków, razem ze trzy tysiące ich było. Jeden bochen w obozie na czterech jeńców przypadł.

Następnego dnia powinni leżeć martwi, nikt jednak nie podniósł alarmu.

Pojawiły się ledwo bóle brzucha, znaczy stanowczo za mało. Czy to trucizki, czy nasza to wina, nigdy się tego nie dowiedziałem. Faktem było niestety, że w obozie dopiero po trzech dniach zakaz spożywania chleba wydano. Alianty myśleli pewnie, że bombs leżał na półkach posypanych środkiem przeciw karaczanom. Nie zginął nikt, zatruto się niewielu. Szkoda, im się należało. Zamiast wybić sześć milionów, pozbawiliśmy pracy kilku pracowników piekarni.

Czułem niedosyt, więcej powinniśmy byli zrobić. Namówiłem kilku spośród Nokmim^[611], by ze mną zostali. Wbrew pierwotnym założeniom zaczęliśmy polować na pojedynczych zbrodniarzy. Nad Pegnitz^[612] takich nie brakło, wszakże najciemniej jest pod latarnią. Tym razem bez zbędnych ceregieli jeździliśmy od domu do domu, dusząc, bijąc i wieszając. Ryzyko pomyłki było niewielkie, byliśmy przecież w Norymberdze.

Kiedy zaczęliśmy zwracać na siebie zbyt dużą uwagę aliantów, wróciłem wspierać Bricę i Szerit ha-Pleta w kraju. A co potem w Kielcach, to...

– Jesteśmy na miejscu – przerwałem Grajowi. – Delikatnie pokrąkę traktuj.

Cokół pod figurę ułożyliśmy z tego, co w pobliżu leżało. Nawet całkiem zgrabny stożek nam wyszedł, ścięty. Zlepioną naprędce gumowym klejem maskarę przymocowałem na nim bez trudu. O dziwo, nie wystąpił u mnie żaden odruch wymiotny, widać przez kilka minionych lat większych obrzydliwości się naoglądałem.

Zadowoleni z siebie wracaliśmy do Sztamacji. Zanim dotarliśmy pod drzwi kirzany, zauważyłem, że dzieje się w niej coś niepokojącego. Klienci opuszczali lokal w pośpiechu, jakby kto w nim ogień podłożył. Ponadto przed kawiarnią kręciło się jeszcze kilku, dokładnie trzech nietutejszych typków. Przedarliśmy się z Hugo przez ten chaotyczny rejwach i wpadliśmy do środka. Wewnątrz pozostała jedynie Halina, Ineczek siedzący przy tym stoliku co zawsze, a na wprost niego dwóch, zwiastujących problemy czerniaków. Większego z nich

rozpoznałem od razu, stał wsparty o kulach. Jego przestrzelone na [durch](#)^[613] kolana wciąż zbyt słabe były, ażeby taki kawał chama samotnie dźwigać. Odcięty czubek nosa tylko potwierdził moje przypuszczenia, znaliśmy się już na pewno. Drugi z gości, dużo niższy i bez wątpienia ważniejszy, był dla mnie zagadką, pierwszy raz go na oczy widziałem. Gdybyśmy mieli już wcześniej przyjemność, zapamiętałbym kogoś takiego. Z postury czy garderoby niczym szczególnym się nie wyróżniał, lecz jego twarz nosiła skazę, jakiej dotąd nie oglądałem. Toczyło ją zgorzelinowe zapalenie, postępująca martwica, która pozbawiła chorego warg oraz części lewego policzka. Próby tuszowania dolegliwości bujnym zarostem przynosiły efekt raczej marny, z daleka dało się zauważyć jego żółte, odsłonięte zęby. Wyglądał strasznie, jak czaszka z wąsami. Odsunął krzesło, po czym rozsiadł się wygodnie.

– Prosiłem cię? – Ineczek nie podniósł nawet wzroku. – To co, jak do swojego się przysiadasz?

Niższy ze Szlajów na obelgę nie odpowiedział, za to kulawy wielkolud ruszył do przodu, grożąc rychłym awantazem. Innocenty w ogóle się tym nie przejął.

– Waruj – pouczył go lekceważąco jak psa.

O dziwo, ten siedzący także uspokoił bisowatego^[614] dryblasa. Wyjął z kieszeni kamizelki dulca i ostentacyjnie podpalił, po raz kolejny o pozwolenie nie pytając.

– Mamy dużo wspólnego gadziu^[615] – zaczął z nie naszym akcentem.

Innocenty po raz pierwszy spojrział przed siebie. Zaśmiał się i rozłożył ręce.

– Kiedy ja mam niewiele – rozejrzał się cynicznie po Sztamacji, sugerując, że jest jedynie skromnym szynkarzem.

Mordobicie w powietrzu wisiało. Starym, sprawdzonym zwyczajem przekręciłem zamek w drzwiach kirzany, na tyle niedyskretnie, ażeby wszyscy w lokalu to usłyszeli. Nas było trzech, ich dwóch. Właściwie półtora. Łepków na

zewnątrz nie brałem pod uwagę. Na razie.

– Kharaw^[616] Boyko – nieproszony gość przedstawił się nic nieznaczącym podejrzywam imieniem. Dym uciekał mu przez dziurę z boku twarzy. – Do ciebie jak mam barłóżyć? Szkoc? Szajgec?

– Wyraźnie – odpowiedział Ineczek.

– Nasze relacje długo hryjne^[617] były. Chochano^[618] Zusman nie widział Romów na schodce, sap^[619] Nachasz z Kneblem na prowincję przepędzili, a Wewe ich słowa podtrzymał. Kiedy wasza Opieka każde foro^[620] patroszyła, nas w Bielczy jeno mereł^[621] czekał.

Inek nie zdradził żadnej emocji, lęku nie okazał. Powściągliwym skinieniem dłoni dał Cyganowi znak, że chętnie go dalej wysłucha.

– Było minęło – Szlaj pochylił się nad blatem i uśmiechnął w geście pojednania.

Innocenty wytrzymał przez chwilę, po czym bez słowa wstał od stołu, podszedł do nas i otworzył drzwi lokalu. Gdy je uchylił, kulturalnie wyprosił wszystkich na zewnątrz, nawet mnie, wszystkich oprócz wąsatej czaszki. W przeciwieństwie do Haliny nie chowałem ansów. Zresztą przez lata u boku Doktora powinna była do podobnych sytuacji się przyzwyczaić. Obrażona poszła nowo postawioną figurę naprzeciwko jej domu zobaczyć, my natomiast zostaliśmy z czerniakami. Proporcje przechyliły na naszą niekorzyść. Ich było trzech, nas krócej by liczyć.

Ledwo zdążyłem zadulić^[622], pojawił się Cieszek w obstawie. Wszyscy po cywilnemu przyszli, widać jakiś wierny klient zdążył nam kriuków w porę zawołać. Kiedy wielkolud ich zauważył, pokłonił się nisko, jak nie byle komu. Strach pomyśleć, jakie atrakcje przy ostatniej sposobności Peplak na posterunku mu zgotował. Nie zwracając większej uwagi na szlajów, opowiedziałem Cieszkowi, co zaszło i co prawdopodobnie dalej w kirzanie się dzieje. Nie musiał tym razem kabury odpinać, nikt się nie kwapił do zwady. Kiedy po kwadransie

drzwi się otwały, Ineczek puścił gościa przodem. Jako że nieobyty w świecie byłem, musiałem mu zadać jedno pytanie:

– Gdzie Bielcza leży?

– Nieopodal Borzęcina, to paśe[623] Krakowa – odpowiedział zaskoczony Cygan.

Nic więc dziwnego, że wszyscy mieli go w dupie – pomyślałem.

Sztamacji postanowiliśmy tego dnia już nie otwierać, tylko Peplakowych koleżków uraczyliśmy po browarze. Sami też niemałą żywiliśmy na nie ochotę. Ineczek od razu przeprosił za swoje wcześniejsze zachowanie, wytłumaczył, że w trosce o nasze bezpieczeństwo z niezapowiedzianym czerniakiem powinien był na osobności rajdać[624]. Spotkał się za to ze zrozumieniem. Opowiedział też, co w cztery oczy od niejakiego Boyki usłyszał. Jak się okazało, nasz gość nie był żadnym baronem, nie wywodził się też z arystokratycznego rodu Kwieków. Ni to Kotlarz, ni Koniarz[625], może Cyntur[626] jaki z pochodzenia. Czort go wiedział.

Chwalił się za to przywłaszczonym tytułem Šero Roma[627], który, jak śmiał twierdzić, zaufani mu nadali. Szlajnym bandytom, na których pobratymcy Dar[628] wołali, sprawował funkcję Opiekuna tylko po ichniejszymu nazwanego. Tę rolę pełnił już blisko ćwierć wieku. Z Łokciem znali się długo, lecz w obawie przed niezrozumieniem ze strony prostych chaładów[629], z zawartą znajomością nie obnosili się wcale. Tylko oni wiedzieli, ile korzyści ich bursom cicha zgoda przynosi. Boyko, którego władza wszystkie wioszczyzny zwieriała, zapewniał Łokciowi bezpieczeństwo transportu puszczanego między miastami. W zamian za to otrzymywał informacje o agrariuszach, którzy tracąc pieniądze w miejskich domach gier karcianych, gotowi byli spieniężyć posiadane hektary za mniej niż trzecią część ich rynkowej wartości. Zdarzyło się Cyganowi i kilka krakowskich czynszówek w ten sposób wykupić.

Z Łokciem widywali się często, towarzysko i niezmiennie w tajemnicy.

Miejszem ich spotkań był zawsze ten sam, skromny krakowski lokal pod jedyką przy Mostowej. Tam, przy placu Wolnica na Kazimierzu, czuli się swobodnie. Oprócz nich w drewnianych ławach kirzany zasiadali jeszcze bandyci z Krowodrzy, Rakowic czy Bronowic albo tacy, co właśnie mamer św. Michała opuścili. Raczej płocie same. Kiedy ucichła wojna z Tymczasowymi, której ofiarą padli i Szlaj, Śero postanowił sprawdzić, jak też się w Ścieku jego serdeczny gadzio miewa. Wysłał po temu z Bielczy kilku mocniejszych w łapie. Mało powiedzieć zawiedli.

– Na co ten Ściero kazał im burdę wszczynać? – zapytałem, oczekując wyjaśnień.

– Żeby zbadać, czyja to kirzana. Łokcia czy marymontów^[630] jakichś – Inek wytłumaczył, popijając piwo. – Nie mógł tak po prostu przyjechać, skryte skicie^[631] z Doktorem byli. Za wszystko przeprosił.

– Ja mu nie ufam – opowiedziałem się po swojemu.

– Nie znasz go – zaśmiał się Innocenty.

– Dlatego nie ufam – uzasadniłem. – A wy?

Hugo i Cieszek spojrzeli po sobie. Peplak zauważył błyskotliwie, że co Szlaj to Szlaj i mniej więcej na tym zakończył. Grajek dłużej kazał na siebie czekać.

– Czego chciał? – zapytał Inka o szczegóły. Nie zwykł zabierać głosu, nie bez wystarczającej wiedzy.

– Utrzymać zgodę w mocy i cichoszy. Uznał, że jesteśmy warci.

– A ty?

Ineczek zastanowił się przez chwilę.

– Amba^[632] – odpowiedział. – Żydowie mieli Shoah, Szlaj porajmos^[633] miały zamiast Montelupich^[634]. Żal ze sztamy rezygnować – na głośno rozważył.

– Emet^[635] – przytaknął mu Grajek.

Inek, choć na moje uprzedzenie reagował śmiechem, sam powątpiewał w czystość intencji Śero szlaja. Podkreślił jednak stanowczo, że na daną chwilę innego rozwiązania niżli zgoda nie widzi. Mógł co prawda zadusić podstarzałego Cygana, kiedy ze Sztamacji wyszliśmy, ale co za cholera Dar by po nim objęła, tylko Boyko wiedzieć to raczył. Niespieszno nam było do wyczerpującej walki z czerniakami, obydwie strony zbyt wiele do stracenia miały. Gdyby jednak szwindel jaki w Bielczy dla nas szykowali, Innocenty zobowiązał się osobiście, własnoręcznie w zaświaty ich odprawić.

Nie odbiegając daleko od tematu rozmowy, zapytaliśmy śledczego Peplaka, jak mu zlecone poszukiwania rokują.

– Lange był ciekawy, ale obroniłem sprawę – oznajmił z wyraźną satysfakcją.

Miał coś jeszcze do powiedzenia. Udało mu się ustalić, gdzie i w jakich okolicznościach zszedł z tego świata Tata Tasiemka. Podobno w rok po odejściu Łokcia, a dokładniej dziewiątego listopada czterdziestego drugiego, Łukasz Siemiątkowski osadzony został na siódmym oddziale Pawiaka, przypuszczalnie pod zarzutem działalności konspiracyjnej. Tej samej, której swego czasu Doktor tak gorliwie mu odradzał. Niecałe trzy miesiące później został przewieziony do obozu na Majdanku. Mieszkał tam na trzecim polu i otrzymał przydział do stosunkowo lekkiej pracy w kartoflarni. Może nawet końca wojny by doczekał, gdyby nie zaraza płamista, która go dopadła. W lutym czterdziestego czwartego dostał przeniesienie na barak tyfusowy, gdzie nago, okryty zaledwie kocem, zmagął się z zimnem i chorobą. Ponoć przeczuwał, że na blok ogólny nie dane będzie mu wrócić. Zmarł w wieku lat niespełna siedemdziesięciu, kolejny bez pożegnania. Była to dla nas dobra wiadomość. Żal swojaśniaka^[636], normalne, z drugiej strony przy życiu pozostając, rościłby sobie prawo sukcesji po Łokciu. Mimo podeszłego wieku. Tego byliśmy pewni. Nie żeby Tasiemka kiedykolwiek był do nas wrogo nastawiony, nic z tych rzeczy, to raczej ambicja ronić po nim łzy nam zabraniała.

Na resztę oby dobrych wieści zmuszeni byliśmy czekać dalej. Wierzyliśmy, że prędzej czy później powojenna zawierucha musi wreszcie przeminąć. Uzbrojeni w konieczną cierpliwość nie zamierzaliśmy jednak osiadać na laurach, wokół zbyt wiele się działo, by można to było przegapić.

[585] Pachniarz – nos.

[586] Wadrzycho – wiadro.

[587] Facka – uderzenie, zwłaszcza w nos.

[588] *Szerit ha-Pleta* hebr. – ocalałe ostatki. Termin biblijny (1Krn 4, 43) używany przez Żydów ocalonych z Zagłady na określenie siebie i społeczności, które tworzyli po wyzwoleniu.

[589] Klukaszczyk – nos.

[590] Klawisz – strażnik.

[591] Żałosny – słony, od żałość – sól.

[592] Forszus – zaliczka, zadatek.

[593] Przykro – szkody.

[594] Iepa – składka.

[595] Chaperzy – w getcie wrywali przechodniom noszone paczki i natychmiast pożerali ich zawartość.

[596] Skić – chłopak.

[597] Umschlag – Umschlagplatz potocznie.

[598] Słowo pod chajrem – słowo honoru.

[599] *Mytka* jid. – szmata, plotkara.

[600] Objugać – okraść, oszukać.

[601] Kulis – robotnik wykorzystywany do najniższych i najgorzej płatnych usług.

[602] Cheretyna – marynarka.

[603] Hora – wieś.

[604] *Bricha* hebr. – Ucieczka, organizacja zajmująca się przerzutem ocalałych z Holokaustu Żydów do Palestyny.

[605] Galanciak – elegancik, od galantny – elegancki.

[606] *Ima* hebr. – Matka.

- [607] *Dam Jehudi Nakam* hebr. – Żydowska krew zostanie pomszczona.
- [608] Kirejka – płaszczyk.
- [609] Wróżda – zwyczaj krwawej zemsty na zabójcy krewnego lub na kimś z jego rodu.
- [610] *Nakam* hebr. – Zemsta.
- [611] *Nokmim* hebr. – Mściciele.
- [612] Pegnitz – rzeka, nad którą leży Norymberga.
- [613] Na durch – na wylot.
- [614] Bisowaty – narwany.
- [615] Gadzio – obcy, nie-Rom.
- [616] *Kharaw* rom. – nazywam się.
- [617] *Hryja* rom. – zło.
- [618] *Chochano* rom. – kłamca.
- [619] *Sap* rom. – wąż.
- [620] *Foro* rom. – miasto.
- [621] *Mereł* rom. – śmierć.
- [622] Zadulić – zapalić.
- [623] *Paše* rom. – blisko.
- [624] Rajdać – długo rozmawiać.
- [625] Kotlarze, inaczej Kełderasze, Kalderasze; Koniarze, inaczej Lowarzy, Lovara – romskie grupy etniczne.
- [626] Cyntur – Rom należący do grupy Sanocka Roma.
- [627] Šero Roma – dosł. Głowa-Rom, Przywódca ludzi, zwany też królem Romów.
- [628] Dar – lęk, strach, trwoga.
- [629] *Chałada* rom. – żołnierze.
- [630] Marymontczyk z razowej mąki – ktoś delikatny, niestrudzony pracą.
- [631] Skiciu – kolega.
- [632] Amba – sytuacja bez wyjścia, pat.
- [633] *Porajmos* rom. – pochłonięcie, zniszczenie, eksterminacja Romów.
- [634] Krakowskie więzienie Montelupich.
- [635] *Emet* hebr. – prawda.
- [636] Swojaśny – swój.

WOLAN

Po wizycie Śero Boyki Halina stwierdziła, że na starość ma dosyć i podjęła się prowadzenia pralni za ścianą. Do obsługi w Sztamacji najęliśmy młodą gruzinkę, która nowego zajęcia szukała. Choć dzięki nam, dzięki szabrom, których w lujów przemieniliśmy, zawód nęty wreszcie pożądaną protekcję zyskał, panienska po uszy już miała sąsiedzkich przytyków typu: z kim masz ten płaszczyk kochana? Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, wydała mi się intrygująco znajoma. Dopiero później, zaglądając jej we flepy pozostawione w dolinie rzeczonoego płaszcza, zrozumiałem, czemu tak się stało.

Choćby kilkadziesiąt lat minęło, swoją pracę na pewno bym rozpoznał, niemal wszystkie nazwiska pamiętałem. Szwab, mała Wanda Szwab. Szoszanka, a raczej już Szoszana. Córa pana Epsteina cudem z zagłady ocalała. Jakoś nie zdziwiło mnie w ogóle, że przez nikogo niepytana otwarcie swojej godności nie ujawniała. Ni tej rodowej, ni tej z nadania. Jako Żydówka, potomkini kształconych salonów, jak każda jej podobna, po kieleckim pogromie na pewno się bała. Poza tym przyjmując klientów między nogi na kolejowym nasypie, nazwiska obojga rodziców szargać nie chciała. Co odkryłem, o tym milczałem. Nie miałem pojęcia, czy Wanda pamiętała nas z antykwariatu swoich rodziców, czy też nie pamiętała nas wcale. Czy chowała wstydliwą tajemnicę przed wszystkimi, czy tylko przed nami. Nie moja sprawa, takie czasy.

Zależało mi jednak na tym, by u nas czuła się doskonale. Wdzięczna za okazane jej zaufanie zakasała dziarsko rękawy i Sztamację nam rozhuściła.

Zrozumieliśmy wtedy z Inkiem, że personel inne niż przed wojną ma znaczenie. Miało być miło, a nie fachowo. Ruchliwa binia miast oberów^[637] zarozumiały, pełen podziwu nie szczędziłem jej grosza. Wszyscy byliśmy wdzięczni, a najbardziej Halinie, że się do pralni oddelegowała. Miałem w tym i prywatę, gdyż na widok Wandzi szarmancji nabierałem. Wyrosła śliczna, bez najmniejszej wady. Mimo tego nosiła się skromnie, zasłaniała zwłaszcza kolana i łokcie pokiereszowane od ostrych krawędzi gruzu, na którym do niedawna pracowała. Rany właściwie jej się nie zrastały. Biodra miała kobiece, kształtne, dawno już nie dziewczęce. Piersi tak samo. Wydatne, pełne, wyglądały na twarde. Odniosłem wrażenie, że ich też się wstydziła, jakby jej przeszkadzały takie dojrzałe. Nie potrafiłem zdjąć z niej wzroku, nie chciałem. Przyglądałem się jej nachalnie, wulgarny jednak nie byłem, raczej uważny.

– Kiedy ostatnio robiłeś coś po raz pierwszy? – zapytała, gdy przyłapała mnie raz na wpatrywaniu. Miała więcej odwagi ode mnie. Podobała mi się i wiedziała o tym. Coraz częściej przychodziła mi na myśl, o czym także wiedziała. Nie prowokowała niczego, samo się działo. Wiedziała. Patrzyła i wiedziała. I cieszyło ją to. I ja jej się spodobałem. Jako że nie była dodatnia, nabrałem wreszcie odwagi.

Powoli starałem się budować naszą relację. Pozwalałem sobie zabierać czasem Wandę na spacer, jak tylko uporała się była z kawiarnianymi obowiązkami. Jako że wzmożony ruch w lokalu wymusił na nas zakup ciężarówki, szybko nauczyłem się mechaniczne konie powozić i wtedy zabierałem ją na przejażdżki. Bywało, że aż nad Wisłę. Przyjemnie między nami się działo. Dopiero po kilku tygodniach znajomości zapytałem, jak wojnę przeżyła, umierałem z ciekawości, co też się z nią działo przez ostatnie lata. „Po Epsteinowej i jej córce słuch zaginął” – tylko tyle usłyszeliśmy od Peplaka, kiedy z Ineczkiem znad Wili wróciliśmy. Zaskakująco otwarcie opowiedziała mi, jak to jej matkę Tymczasowi podczas ulicznej egzekucji stracili, o ojcu ani słowem nie wspomniała. Samotna

włoczyła się ponoć po Ścieku, co też Tymczasowym starczyło, by w prewencyjnym obozie ją osadzić. Znajdował się taki ponoć w Łodzi, przy ulicy Przemysłowej. Trafiali tam nieletni z całego kraju, dzieci jak Wandzia osierocone i bezdomne, zatrzymane na ulicach czy dworcach kolejowych. Uznawane za bandytów, żebraków i złodziei, niby zły przykład kormelskim rówieśnikom dawały. Usunąć chwasty trzeba było, a to przecież Grosiki były, jak te nasze.

Straszne rzeczy Wanda w tym obozie widziała, długo nie mogła dać im wiary. Samą siebie o szaleństwo zaczęła posądzać, wśród kultury chowana nie wiedziała, że takie okrucieństwa dziać się mogą naprawdę. Każdy dzień rozpoczynała od kromki suchego chleba i blaszanego kubka czarnej, obrzydliwej kawy. W połowie dnia zupa, brukiew i ziemniaki w łupinach zalane wodą bez tłuszczu. Jedyнным w niej mięsem bywało robactwo. Szczęśliwcy dostawali dodatek obierków, nic więcej. Przed snem ta sama kawa, ten sam żalosny bartek. Szybko sprytnie dzieci nauczyły się podobno na ptactwo polować, mimo że bardziej niż na ulicy żyjąc, głodowały.

A syf tam panował, że aż słów Wandzi na jego opisanie brakło. Największy w budynku dla moczających się w nocy. Jako że uznawano to za akt nieposłuszeństwa, karą za zmoczenie materaca była chłosta, stosowano też budzenie dzieci co dwie godziny. Później nakazano im spać na gołych deskach, które przez warunki panujące w budynku nie wysychały nigdy, gniły. Przebywające w wilgoci dzieci puchły, aż przestawały się mieścić w mokre od moczu ubrania. Ze względu na odór, którym przesiąkły, pracowały jedynie na zewnątrz, ale i tak właśnie od nich zaczynały się wszelkie epidemie.

Głód i brud wywoływały owrzodzenia na skórze, w ustach i przełyku. Krwawe biegunki, szkorbut czy zakaźne porażenie dziecięce były w obozie przy Przemysłowej na porządku dziennym, nikogo nie dziwiły. Dur brzuszny, dur plamisty, zapalenia wszelakie, wszystkie choroby tam znali. O lekarstwach nikt

nawet nie myślał. Dzieci chore na tyfus, takie jeszcze żyjące, wynosili do trupiarni i nagie do papierowych worków wkładali, gdzie wśród zwłok umierały. Cierpiącym na jaglicę zalecano przemywać oczy szczynami.

Jak wszędzie, jedni mieli tam trudniej, inni łatwiej. Jako że Wandzia ładną była czternastolatką, to i opiekuna sobie znalazła, choć nie żeby takiego sama z siebie szukała. Upatrzył ją sobie i gwałcił regularnie wychowawca, Edward August niejaki. Robił z nią, co chciał i kiedy mu się tylko zebrało. Choćby jednej nocy Wandzia całej nie przespała, jak nie wykorzystywana była, to bita albo i na zmianę. Twierdziła, że z czasem to i płakać przestała, bo jej szkoda nielicznych chwil bez bicia na płkanie było. Nie ją jedną podobno ów August okładał, wręcz przeciwnie, z nikim innym tak łagodnie się nie obchodził. Wiecznie pijany smagał dzieci kablem po piętach, gasił im dulce na piersiach, podduszał w kanale wypełnionym zużytym smarem samochodowym. Nawet Tymczasowi porażeni byli jego zachowaniem, został usunięty ze stanowiska pod zarzutem niesubordynacji.

Zwolnienie dotychczasowego oprawcy oznaczało dla Wandzi trudniejsze czasy, nikt już jej nie chronił przed tak zwaną Frau Doktor, Sydomią Bayer. Nieznosząca młodych dziewcząt, najokrutniejsza wychowawczyni w obozie wraz z podległymi jej dozorczyńcami stanowiła istny koszmar na jawie. W wyniku jej metod wychowawczych wiele dzieci zmarło. Z czasem spotkało ją to samo co i Augusta.

Obóz posiadał folwarczną filię, której zadaniem było dostarczanie żywności na Przemysłową oraz przyuczenie starszych dziewcząt do pracy na kormelskiej roli. Kiedy Wandzia osiągnęła odpowiedni wiek, przeniesiono ją tam. Tam, mówiła, było spokojnie.

Po oswobodzeniu nie miała najmniejszych wątpliwości, czy do Ścieku wracać, nie spodziewała się jednak, co w rodzinnym mieście zastanie. Zobojętniała na dotyk, na podłość nieczuła, do cna upokorzona nie widziała

innego rozwiązania, niż gruzinką zostać. Nikt już nie potrafił jej większej krzywdy wyrządzić, cóż więcej mogła stracić. Nie ona pierwsza i nie ostatnia z dobrego domu pod latarnię wypadła.

Przyszła zima czterdziestego siódmego, sroga jak wszystkie poprzednie, dla mnie jednak jakaś taka piękniejsza. Bez względu na panujący ziąb i inne niedogodności razem z Wandzią kontynuowaliśmy nad rzekę wypady. Jedyna różnica była taka, że większość czasu, miast spacerować, pozostawaliśmy w ciężarówkowej kabinie. Spędzaliśmy tak wszystkie wolne wieczory, choć wiele ich nie było. Ten konkretny upływał nam podobnie do minionych. Trzymaliśmy się za ręce albo łuskaliśmy gorący bób, który to Wandzia w termosie naszykowała. Radio jak na złość trzeszczało, więc bez żalu zrezygnowaliśmy z jego towarzystwa. Nikogo poza nami nie było nam trzeba.

– To nie pan Ineczek? – Wanda zapytała, spoglądając w boczne lusterko.

Rzuciłem okiem, rzeczywiście, to był on. Mimo nisko opuszczonej kanioly i szalika obwiązanego wokół twarzy był dla mnie oczywisty do poznania. Akurat jego w każdej klipie bym wyhaczył. Nie szedł w naszą stronę, wręcz przeciwnie, z każdym krokiem się oddalał. Przechodził właśnie pod mostem Poniatowskiego, raz po raz ukazując się i znikając w świetle migoczącej latarni. Było zbyt wietrznie, żeby drzeć za nim ryja, na pewno zbyt intymnie, by opuszczać kabinę. Ciekawy odpowiedzi, gdzie pójdzie dalej, popatrzyłem w lusterko po stronie kierowcy. Wszedł do pierwszej ruiny na północ od mostu, po chwili pomarańczowe światło rozbłysło w oknie na ostatnim piętrze domu. Nigdy nie wspominał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z nadrzeczną okolicą, a jednak, bez zasadnej przyczyny o tak późnej porze nigdzie by się przecież nie fatygował. Próżno zgadywać. Ja ze swoim zainteresowaniem cudną Wandzią też zbyt nie obnosiłem, może i Inek miał podobne powody. Byliśmy w końcu dorośli.

Musieliśmy wracać, na więcej pocałunków zbyt siewierno się stało. Może nie nawróconej gruzince, ale mnie na pewno. Poza tym ze względu na wandziową

przeszłość, unikaliśmy pośpiechu. Chcieliśmy się wpierv polubić wystarczająco, jak to we właściwej kolejności powinno następować. Zaproponowałem, że zanim odwiozę ją do domu, możemy podjechać gdzieś na kolację, ewentualnie rozgrzewkę herbacianą. Ku mojemu niezadowoleniu padło banalnie na Sztamację. Wanda nalegała, czuła się tam bezpiecznie. Deklaracje deklaracjami, na miejscu usiadłem do kielicha. Jeden cyk, drugi cyk i już żadnej zliwy nie było mi trzeba. Niedługo potem do kirzany doczłapał przez zasy Innocenty, serdecznie przywitał nas oboje.

– Może gorącej herbaty? – zapytała go Wandzia. – Musiał się pan wyziębnąć, strasznie dziś wyło nad Wisłą.

Podziękował, nie wyraził ochoty. Gdyby Wanda wiedziała, jak od małego na mrozy był odporny, pewnie niczego by mu nie zaproponowała. Mnie co innego zdziwiło. Kiedy tylko Ineczek usłyszał jej słowa, zmieszał się był wyraźnie.

– Wyło – odwrócił kota ogonem.

Zbyt dobrze go znałem, by umkło to mojej uwadze, nie zamierzałem jednak cudzych spraw dociekać. Wszystko w swoim czasie – pomyślałem.

W postanowieniu wytrzymałem do następnego rana. Pół nocy nie mogłem zasnąć, zachodząc w głowę, czego lub kogo Innocenty nieopodal mostu kryje. Chowana tajemnica nie mogła spędzać mi więcej snu z powiek. Musiałem zaspokoić swoją ciekawość, to było silniejsze ode mnie.

– Pani tutejsza? – zapytałem baby wychodzącej z budynku, który zeszłego wieczora odwiedził Innocenty.

– Jak widać – odpowiedziała niechlujnie.

– Tam, z urwanym balkonem – wskazałem na wysokie okna znajdujące się tuż pod wyszczerbionym gzymsem – tam ktoś mieszka?

Mazepa^[638] nie odpowiedziała. Mimo że było już po wojnie, takie pytania nadal budziły niepokój.

– Pani się nie boi – uspokoilem raszplę, sugerując tym samym, że jestem

człowiekiem z miasta. – Cichodajka? – dopytałem z uśmiechem.

– Gorzej panie – nagle język jej rozwiązało. – Wdowa Wolanowa, po anarchiście. Ona jedna z całego domu nikomu nic dawać nie musi.

O więcej zapytać nie zdążyłem. Klepa, z którą przyjemność miałem do czynienia, splunęła pod wiatr i odeszła bez słowa pożegnania.

Nie należałem do biegłych w temacie politycznym, także nazwisko Wolan z nikiem mi się nie kojarzyło. Spróbowałem więc zasięgnąć wiedzy u Cieszka. On jeden z całej naszej bursy z komuną sympatyzował już od kiedy samodzielnie myśleć zaczął. Niestety i jemu żaden Wolan o uszy się nie obił. Musiał to być zatem działacz szeregowy, może i nawet z dawniejszych czasów. Nierozważnie było tak chodzić po Ścieku i o zmarłego proletariusza pytać. Zaraz by się jaki garbus trafił i nieszczęście na moją głowę sprowadził. Znajomość z Cieszkim czy panem Lange na niewiele by się wówczas zdała. Z braku innych możliwości pozostało mi tylko jedno rozwiązanie, mało prawdopodobne, ale warte próby. Nic oprócz czasu do stracenia nie miałem.

– Ten klaser, którym Doktora ratowałaś, Tymczasowi oddali? – zapytałem Halinę, przerywając jej pracę w pralni.

Pomyślałem, że tylko w ten sposób mogę wpaść na trop, którego poszukiwałem. Poza artykułami na swój temat Łokieć trzymał tam mnogość fotografii oraz donosów od życzliwych otrzymywanych. Jak na człowieka wykształconego przystało, całą dokumentację prowadził skrupulatnie opisaną. Jeśli w niej żaden Wolan nie figurował, znaczy, że w ogóle takiego wśród tutejszych anarchistów nie było i mnie wredne babsko oszukało.

– Oddali – odpowiedziała zdziwiona. – To nieliczne, co po nim zatrzymałam.

Pogrzebała dłonią w dolinie fartucha i wyciągnęła pęk kitoków do mieszkania. Nie pytała, ani po co mi to, ani dlaczego, poleciła jedynie, bym wszystko na miejsce odłożył, bo niebezpiecznie w zastanych czasach takie pamiątki na widoku trzymać. Obiecała też zachować dyskrecję, o którą żarliwie

zaapelowałem. Wybiegłem z pralni jak oparzony, przepelniała mnie ciekawość, jakiej dotąd nie znałem. Popędziłem na Żytnią ile sił w nogach, schody pokonałem zaledwie kilkoma susami i już po chwili trzymałem Łokciowe archiwum na kolanach.

Mimo iż starałem się być delikatny, nie mniej niż uważny, wertowałem karty, aż mi z rąk leciały. Na odwrocie każdej poźółkłej podobizny widniał przypuszczalny adres, godność lub zawód uwiecznionego. Niebawem, ileż to Łokieć poświęcił uwagi, żeby tak dokładnie wszystko posegregować. Jedno ze zdjęć podpisał na odwrocie: „Walerian Wolan. Przewoźnik. Były GRM”. GRM – Grupa Rewolucyjnych Mścicieli, anarchistyczni kacerze^[639] PPSu pod batutą Józefa Piątka. Łokieć mógł zdejmować jednego po drugim na polecenie najwyższych władz partii. Samo zdjęcie może i niezbyt wyraźne było, jednak na moją potrzebę w zupełności starczało. O widocznym podobieństwie nic więcej powiedzieć, jak uderzające. Patrząc na portret nieżywego towarzysza, widziałem twarz Inka, tyle że wąsem ozdobioną. Tak samo osadzone oczy, wydatne policzki, linia nosa, podobna wysokość czoła. Co do ich pokrewieństwa wątpliwości nie było. Innocenty Wolan. Pasowało.

Do zdjęcia dołączona była notatka, na pewno charakterem Doktora spisana. Wynikało z niej jasno, że Łokieć, choć bandyta był już nad bandytami, nadal w partyjnym interesie latał. Opisał, jak to pewnego zimowego wieczora jeden taki Nadwiślak^[640], anarchista Wolan, w porcie kolbę na skroń przyjął i siny ducha wyzionął. Brakowało niestety w zapiskach, kto dokładnie niepokornego przewoźnika uderzeniem powalił. Resztę dedukowałem, jak mi się na zdrowy rozsądek zdawało. Prawdopodobnie feralnego dnia denat Wolan zabrał ze sobą nad rzekę syna, coby maluch naoglądał się tam ciężkiej pracy. Dzieciak był świadkiem całego mordobicia, więc schowany za hałdą zaproszonego śniegiem żwiru beczeć zaczął. Zamiast dać dyla, kiedy szli po niego Łokciowi tragarze, sparaliżowany strachem za kołnierz dał się złapać. Biorąc pod uwagę, że gdy

poznałem go w bajzlu przy Pańskiej, nie pamiętał niczego, pewnie i on od bydlaków w beret dostał. Półprzytomnego rzucili go wprost pod nogi Łokietka. Doktor mógł oczywiście zostawić Inka w porcie i skazać na los ulicznej sieroty albo odesłać do księdza Franciszka Toporskiego na Barską, wolał jednak nie ryzykować, nie chciał dzielić losu oprawców ojca Ślepego Maksa. Skoro pobity malec przysięgał, że niczego nie pamięta, Łokieć postanowił go przygarnąć. Jak jego niegdyś bojowcy PPS-u ułożyli, tak i on Inkowi zaplanował. To nawet sens miało.

Do swojego odkrycia podszedłem, można by rzec, powściągliwie. Dowiedziałem się jedynie, czemu Ineczek tak swobodnie mrozy znosił. Jako syn przewoźnika obyty był z nimi od małego. W tym zawodzie ojcowie uczyli pracować wiosłem już kilkuletnich synów. Pływali po rzece w łódkach wystruganych z pnia topoli. Najczęściej używali wiosł wbitych w dulki^[641], o wiele rzadziej żagla. Kiedy rzeka zamarzała, przewoźnicy parali się wyrębem i zwózką lodu. Było to zajęcie tak dobrze płatne, jak i niebezpieczne. Niewielu Nadwiślaków w krze robiło, być może jednym z nich był anarchista Wolan.

Nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo się myliłem, zakładając naiwnie, iż poznanie prawdy zaspokoi moją ciekawość. Odkrycie to przyniosło więcej pytań, niżli odpowiedzi dało. Popadłem przez to w jeszcze większe zakłopotanie. Czy mały Inek, będący świadkiem śmierci ojca, rzeczywiście stracił pamięć? Może mając na względzie kondycję materialną rodziny, nie chciał być obciążeniem dla osamotnionej matki. W bajzlu na Pańskiej jakoś się uchował, choć łatwo mu nie było. Zrozumiałem na pewno, że nie dziakował^[642] partaczego zakłowku rodzicom Goudy Falkowej, lecz właśnie wdowej po ubitym przewoźniku nosił. Dlatego zazdrosne sąsiady życzyły Wolanowej przykrości, biorąc ją niesłusznie za uprzywilejowaną jaką. Czemu jednak służyła tajemnica? Mnie mógł przecież powiedzieć, nikomu bym jej nie wyjawiał. I tak do jego doli nigdy się nie wtrącałem. Nadal na Twardej byśmy mieszkali. Póki stała.

Nie zauważyłem nawet, ile czasu na rozmyślaniach spędziłem. Z chaotycznej galopady myśli wyrwała mnie dopiero Halina, która po zamknięciu pralni zdążyła wrócić do domu. Zapaliła światło w pokoju, czym zdradziła swoją obecność. Nad Ściekiem ciemno już panowało. Dochodziła pora kolacji. Pstryknąłem cukrem za lipko^[643] i Łokciowe papierzyska rach-ciach pozbierałem.

– Mało rodzinna taka pamiątka – pozwoliłem sobie zauważyć, odkładając klaser do szuflady.

– Ale pamiątka – Łokciowa wzruszyła ramionami. – Było jeszcze takie pudło po butach od Kielmana albo Hiszpańskiego. Ot, z różnymi szpargałami. Schował je gdzieś przed kormelskim złodziejstwem. Tyle je widziałam.

Nie chciałem rozdrapywać świeżych ran, urwałem wątek na tym, co padło. Oddałem klucze i wyszedłem na ziąb. Na resztę wieczora nie miałem planów. Zamierzałem co najwyżej usiąść z flasiutą^[644] przy radioodbiorniku i zaznać odrobiny odprężenia. Gdybym spotkał Inka, a w Sztamacji na pewno mogłem się go spodziewać, nie szykowałem hałaburdy wszczynać czy choćby z mordy halukać^[645]. Jego sekretność, jego prawo. Rozczarowanie dla siebie trzymałem.

– Gdzie byłeś? Wszędzie cię szukałem – zrugął mnie Innocenty, wychylając się z kabiny ciężarówki zaparkowanej przed kirzaną.

Zwróciłem uwagę, że choć w lokalu światła były zapalone, to nie gościł w nim już ani jeden klient. Dziwne, zważywszy na sprzyjającą spożyciu aurę i nie tak późną jeszcze godzinę.

– Wskakuj, przejedziemy się na chwilę – zaprosił do wozu.

Targały mną mieszane uczucia, stałem się czujny, a nawet podejrzliwy. Zbyt wiele słyszałem o wycieczkach, z których tylko kierowca o świcie wracał. A co jeśli Innocenty wiedział, za czym tak przez ostatnie dni skwapliwie węszyłem? Co jeśli nie po drodze mu z tym było? Niby znałem go jak nikt inny, a jednak po dokonanej odkrywce wątpliwości nabrałem.

– Dokąd jedziemy? – zadałem mu pytanie, jakie zadałby każdy w mojej sytuacji.

– Kiedy chowałem się kryśce na Miłej, niemal wszystko mi doskwierało – zaczął jakby nie w temacie. – Może gdybym deskę znalazł i pionów kilka, łatwiej przyszłoby mi oswojenie z ponurą pieczarą. Przeszperałem wszystkie zakamarki bunkra, wszystkie bez wyjątku. Pod jednym z posłań natknąłem się na niewielką skrzynkę wypełnioną po brzegi blachanami. Wiesz, co w nich było? Nasz wyskok. Kto by pomyślał, że Bazgroły wyskokiem były omotane. Długo się wzbraniałem, jednak nudność dni kolejnych niechybnie pchnęła mnie do próby. Co wtedy się czuje, z niczym innym nie może być zrównane. Wystarczyło mi zamknąć oczy, żeby przenieść się w dawny rejwach miasta. Snułem się wtedy po Twardej, Pańskiej i Miedzianej, a Kercelak to cały wszerz i wzdłuż nawiedzałem. Z przyjemnością oddawałem się kolejnym seansom.

Im dłużej trzymał mnie w niepewności, tym większe zaniepokojenie we mnie narastało. Sprawdziłem, nie miałem przy sobie niczego, czym mógłbym się przed nim obronić. Nawet klucz do zmiany koła wisiał na drzwiach po jego stronie. Zaczął sypać gęsty śnieg, nie było widać nic poza zamiecią bijącą w przednią szybę ciężarówki. Liczyłem, że Inek zwolni na tyle, abym mógł bezpiecznie wyskoczyć na hałdy zalegające przy drodze. Ani o tym myślał, pędził jak pogotowie.

– Korzystając z możliwości, jakie dały mi urojone wędrówki, postanowiłem w ich trakcie poświęcić się poszukiwaniom gudłajowego depozytu – Innocenty kontynuował prowadzoną opowieść.

– Ale jak? – spróbowałem opanować nerwy i udać zainteresowanie.

– Znajdując, w oparciu o pobraną u Epsteina naukę, miejsce należyte do ukrycia podobnego dobra. Wszystkie domy w naszej dzielnicy złąziłem, każdy bez wyjątku obejrzałem. Odwiedziłem budynki na Nalewkach, na Dzielnej, Gęsiej i Rynkowej. Nie pomiąłem żadnego z tych, co w pamięci miałem. Te,

w których dane mi było przynajmniej raz w życiu zagościć, ponownie mnie witały. Nieliczne, w których nigdy nie byłem, oceniałem po elewacji. Żaden się nie nadawał. Tu stęchlizna wilgoci, tam rupieci za dużo, gdzie indziej pomieszczenia zwyczajnie zbyt ciasne. Wiele razy wracałem w te strony wysokiem, niestety ze skutkiem niezmiennie marnym. Musiało być coś, co pominąłem w swoich rozważaniach, musiało istnieć miejsce mojej pamięci niewarte.

Ineczek nagle zatrzymał ciężarówkę.

– W mordę, ale wieje – przeklął pogodę, jakby dopiero zauważył, co się rozpętało.

Wyjął z kieszeni piersiówkę i poczęstował mnie, widząc, że dygocę. Odmówiłem, poczekałem, aż on pierwszy się napije, po czym zmieniłem zdanie:

– Albo...

Niewiele ponad dnem zostawiłem, dawno nic mi tak nie smakowało.

– Może jednak nie w tej dzielnicy szukałeś – zasugerowałem nieśmiało.

– Nic z tych rzeczy – rozczarowany ilością wypitego przeze mnie alkoholu Inek stanął w obronie swojej racji. – Z czasem pojąłem, że fifny^[646] Łokieć innymi względami się kierował. Musiał ulokować depozyt w miejscu, które Tymczasowi pominęliby bez zastanowienia, dokładnie jak i ja to robiłem stale. W miejscu, w którym nikt nigdy niczego by nie szukał. Zrozumiałem, że zamiast myśleć jak antykwariusz, który próbuje coś ukryć, powinienem myśleć jak świnia, która knuje raczej ukraść. Zacząłem wyskoki na nowo, tyle że w skórze szkopa przepelnionego barbarzyńskim pragnieniem grabieży. W mundurze Tymczasowego, wiecznie nienasycony kroczyłem przed siebie, siejąc strach, bijąc ludzi i plądrując, co tylko w łapy mi wpadło. Wchodziłem nieproszony do kolejnych lokali, katowałem mieszkańców, roztrzaskiwałem meble, zrywałem podłogi i drapałem ściany. Nic się przede mną nie ukryło. Srebrna łyżeczka, złoty kłyk, stara makata – wybredny nie byłem, zawsze coś dla siebie znalazłem. Nie

miałem dość, zatraciłem się bez reszty, nie wykazywałem ochoty wracać. Nie mogłem się opanować, nie chciałem. Kiedy wybrałem się na kolejny żer, nagle do mnie dotarło, że za każdym razem obojętnie mijam budynek, który nie wywołuje we mnie prymitywnej żądzы spustoszenia. Mijam miejsce, w które nie pofatygowalby się nikt szukający choćby złamanego grosza. Przystanąłem i spojrzałem na nie bez najmniejszej potrzeby wejścia do środka. Wyczekiwana odpowiedź przyszła znienacka. Niespodziewanie drastyczna metoda poskutkowała. To było jak objawienie, nareszcie tu dotarłem – Ineczek przetarł zaparowaną szybę, przez którą dostrzegłem remontowane mury kościoła pod wezwaniem św. Augustyna. Wyglądało, że przyjeżdżając pod dawną Centralę Chrztu, dotarliśmy do celu.

– Bajasz! – nie dałem temu wiary.

– Bynajmniej – odpowiedział pewny siebie Innocenty.

– Mówiłeś o miejscu, w które nie pofatygowalby się nikt szukający choćby złamanego grosza. Tam przecież był magazyn mebli chałaciarskich, stajnia, nawet lazaret.

– Ale nie w grudniu trzydziestego dziewiątego.

Tak oto otrzymałem lekcję historii niedawnej. Nie wiedzieć czemu, zupełnie o tym nie pomyślałem. Być może tragedia rewirów północnych przysłoniła mi wspomnienie początku okupacji.

– Galech Garncarek – wyszeptalem pod nosem jedyne sensowne, co przyszło mi do głowy.

Na te słowa Innocenty wyszczerzył zębiska i przytaknął radośnie:

– W rzeczy samej. Łokieć, szukając miejsca odpowiedniego do złożenia depozytu, wykazał się rozmysłem godnym pozazdroszczenia. Tymczasowi splądrowali stołeczne świątynie w celu wysłania hiszpańskim katolikom darów zachęcających ich do koalicji, tak? Nikt rozsądny nie pomyślałby, że w którymś kościele jakiegokolwiek kosztowności się ostały. Tym bardziej żydowskie,

w opustoszałej parafii pośrodku dzielnicy mojżeszowej. Pod szyldem picowatego Chewra Kedisza Doktor podjeżdżał karawanem pod domy starozakonnych bogaczy, wypełniał trumny eksponatem po samo wieko i przywoził tu, na Nowolipki. Widok trumien wnoszonych do kościoła w czasie wojny nie budził niczyich podejrzeń. Galech Garncarek odmawiał nad nimi formuły żałobne, pozostawiając wrażenie autentycznego namaszczenia. Idziemy?

Wysiadłem za nim bez lęku. Mojra prysła, jak często ustąpiła miejsca ciekawości. Zawieja zelżała, wietrzyisko ucichło. Zatrzymaliśmy się na dziedzińcu i przyduliliśmy ganca^[647] na pół. Jedno mi nie pasowało:

– Ja tu byłem i niczego nie znalazłem.

– Bo chleba, a nie trefnej jesionki^[648] szukałeś – Innocenty odpowiedział bez chwili zastanowienia. Widać i to miał przemyślane.

Weszliśmy do środka, drzwi z banalnym zamknięciem nie stanowiły dla nas przeszkody.

– Trumny trafiały do piwnicy – kontynuował szeptem. – Łokieć wiedział, że kościół jest podpiwniczony, lecz w odróżnieniu od innych tego typu budowli, nie ma tu dolnej świątyni. Podziemia wykonano wyłącznie dla głębszego posadowienia fundamentów, ich wygląd pozostał świecki.

– Dlatego stary Lejzo nie rozpoznał, że jest w kościele – doceniłem pomysłowość Łokcia.

– Winszuję – ucieszył się Ineczek.

Zeszliśmy po nieoświetlonych schodach poniżej poziomu posadzki, dopiero w piwnicy odważyliśmy się włączyć latarki. Snopy rzucanego przez nie światła nie zwracały tam niczyjej uwagi. Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, bez przesady można by nazwać komnatą. Poza nami dwoma nie znajdowało się w niej zupełnie nic. Absolutną ciszę zmaćciło stąpanie naszych zbłoconych buciorów. Choćby szmer odbijał się echem od szeroko rozstawionych ścian. Inek podszedł do mnie i pohurgotał w podłogę obcasem. Postukał jeszcze raz i raz

następny. Różny pogłos wskazał wyraźnie, pod którymi z desek kryje się coś więcej niż ubita ziemia. Nie czekając dłużej, podważyliśmy pierwszą z nich, a potem kolejną i całą resztę. Po krótkiej chwili staliśmy nad dołem wypełnionym poukładanymi na krzyż, podniszczonymi trumnami. Wyglądało to, jakbyśmy dopuścili się zbezczeszczenia masowego grobu. Zapomnianej mogiły bezimiennych. Na żadnej z jesionek nie widniała data pochówku czy choćby zgonu.

Widok mnie nie odrzucił, sprawując w dzieciństwie posługę na żalniku wiele nie piękniejszych poznałem. Zmuszony byłem natomiast zachwycić się znowuż przebiegłością Łokcia. Jeśli jakim cudem zszedłby tu kto inny niż ja z Inkiem, nie okazałby śmiałości zakłócić spokoju pogrzebanych. Któż to wiedział, czego się spodziewać. Może jacy powstańcy złożeni tak zalegali? Wiele można by pomyśleć. Nam wyobraźnia figli nie płatała, znaliśmy, co zastaniemy. Podnieśliśmy wieko jednej z trumien i zaświeciliśmy do środka. Spojrzałem na Inka, jego podniecenia na kilku takich samych spokojnie by starczyło. Spośród zawiniątek białym sznurkiem obwiązanych, wyjął takie w firmowy papier antykwariatu Epsteina powleczone. Zdmuchnął warstwę suchego kurzu i rozdarł eleganckie opakowanie. Naszym oczom ukazał się zbiór fotokopii kart traktatu szachowego autorstwa Jana Ostroroga, ten sam, którego posiadania tak bardzo panu Lejzo zazdrościł muzealnik Machon. Po co przyszliśmy, zostało znalezione. Jedną po drugiej jesionkę zaczęliśmy dźwigać ciemnymi schodami. Ciężkie były jak szyny, które cztery lata wcześniej w dywanie podarowanym nam niegdyś przez Łokcia do getta targaliśmy. Spieszyliśmy się powoli, nie pędziliśmy pochopnie. Rada Prymasowska Odbudowy Kościołów nie oddała jeszcze obiektu do użytku wiernym, jednak istniało ryzyko, że natkniemy się na strupla^[649] najętego do czuwania nad dobrami. Przez plagę nieszczęść, których to my byliśmy przyczyną, zarządcy wielu budów zaczęli dmuchać na zimne. Zwłaszcza nocami. Nikomu jednak nie życzyłem przyłapania nas przy pracy. Po

wyjęciu ostatniej z trumien ułożyliśmy deski tak, by na nietknięte wyglądały.

– Szkoda, że Garnarkowi kto baszkę rozwalił – Ineczek rzucił pod nosem.

– Poczciwy był, jak na galecha – od siebie dodałem.

Odjeżdżając ciężarówką z przykościelnego dziedzińca, czuliśmy się naprawdę wspaniale. Mogliśmy cieszyć się majątkiem, który właśnie wieźliśmy na pace.

– Nikt się raczej o to nie upomni – zauważyłem przytomnie, kiedy tylko emocje opadły.

Innocenty milczał, pewnie właśnie taką nadzieję posiadał.

– Moglibyśmy antykwariat otworzyć – zażartowałem nieśmiało.

– Mętlewicz otworzy – w zamian usłyszałem. Inek nie zgadywał, mówił na poważnie.

– Ten z Brülowskiego? – zapytałem zdziwiony.

– Ten sam.

Aż wierzyć mi się nie chciało, prowadzenie antykwariatu pośród ruin było co najmniej podejrzane. Zwłaszcza dla Ciekawych.

– Pan Mundek, proszę ja ciebie – Ineczek wydawał się mówić prawdę – sam się do tego zapalił. Brakło mu jedynie towaru, na pewno nie odwagi.

– Nie zrezygnuje?

– Z marzeń? – odpowiedział mi retorycznym zdaniem. – Już na Parterowej^[650] lokal szykuje, nazwie go Arkady.

Inek powiedział mi jeszcze, że Mętlewiczowi pomogą synowie, Tomasz i Witold. Ten starszy, Tomek, to nawet kształcony był w starociach i w podobnym salonie przy Brackiej zarabiał. Co więcej, jego bezpośredni przełożony piastował stanowisko rzeczoznawcy w państwowym komisie z antykami usytuowanym tuż obok przyszłych Arkad na Marszałkowskiej. Istniała zatem możliwość dyskretnego prehandlowania eksponatów bez potrzeby przetrzymywania ich na zapleczu naszej kierzany.

[637] Ober, oberkelner – starszy kelner.

[638] Mazepa – brzydka kobieta.

[639] Kacierz – odstępcza, schizmatyk.

[640] Nadwiślak – mieszkaniec Powiśla, pracujący na Powiślu.

[641] Dulki – brzegi łódeczki.

[642] Dziakować – dawać pieniądze.

[643] Lipko – okno.

[644] Flasiuta – flaszka.

[645] Halukać – krzyczeć.

[646] Fifny – sprytny.

[647] Przydulić ganca – zapalić papierosa.

[648] Jesionka – trumna.

[649] Strupel – stróż.

[650] Parterowa – Marszałkowska.

CZARNY CHARAKTER

Pod Sztamację dotarliśmy równie szybko, jak w przeciwną stronę nam zeszło, z tą przyjemną różnicą, że z nieba już nie sypało. Odechciało mi się też skakania w hałdy po drodze, ćmuliłem dulca tym wszystkim zadowolony. Innocenty zatrzymał wóz pod samą kirzaną, zauważyłem rzecz dziwną, znowu w niej goście witali.

– Dobry wieczór panom – od razu przywitał nas stupaj^[651] od Peplaka, jeden z tych, którym buliliśmy za niespanie i wieczorną opiekę nad lokalem.

Kriuk stał w świetle lampy, jaką przed wejściem specjalnie dla niego zamontować żeśmy kazali. Karmił kanapką owszałego skowyra. Ruszyłem przodem, Ineczek jeszcze coś przy jardułce^[652] gmerał. Obiecał, że zaraz mnie dogoni. Otworzyłem wrota Sztamacji, uderzyła mnie siwość. Jak żyłem, nie widziałem, żeby kto tak w jakiej spelunie dulcami nakadził. Bez większego trudu można było w niej chakał zawiesić albo i dwa chakale. Nalałem sobie piwa, usiadłem przy wolnym stoliku, po czym rozejrzałem się dookoła. Oprócz mnie nikt niczego nie kirzył, za to faktycznie wszyscy dulce jarzyli^[653], jakby nerwami poszargani. Nagle pojawił się Cieszek, wcześniej przeze mnie niezauważony. Trzymał w dłoni kopsnik nabity, w abstyntencką klientelę wycelowany. Skinął serdecznie i dodał na miłe powitanie:

– Tyle udało mi się ustalić.

Wyteżyłem wzrok, objąłem nim wszystkich zebranych. Pierwszego

rozpoznałem Mongoła, wyglądał tak, jak go pamiętałem. Mizerny był od zawsze, przypisywana mu wartość nigdy w krzepie nie leżała. Po jego lewej ręce przy osobnym stoliku siedział Kłopot. Jedyne człowiek, którego po wojnie utuczonego zobaczyłem. Spuchł był, gdzie tylko się dało. Prostackim zwyczajem przydeptywał kiepa upuszczonego na wiórową wyściółkę kirzany. Naprzeciw niego Józko Majcher sterczał na pewno, chyba że kto inny tak samo dał sobie mordę schlastać. Łabatego Walerka ani przy nim, ani w ogóle na sali nie widziałem. Rozpoznałbym go i tyłem siedzącego.

– Trafiłem za nim do Wrocławia – Cieszek wskazał lufą na baciara. – Z Bałakiem siedzieli tam już od lata czterdziestego piątego. Niezłe się miglance ustawili. Nieopodal Teatru Miejskiego, w piwnicy zwałonego domu, urządzili gralnię chuchrofkową dla wtajemniczonych. Kogo tam nie było; szabry, spekulanci, oficerowie nasi i Szułani. Nawet komendant lamorny z obstawą, co od stragi^[654] na niego czekała. Grzecznie popijam, a tu ni z tego, ni z owego trzech nieproszonych z drzwiami wpada. Wszyscy pod bronią. Biją kolbami, granatem straszą, nikogo się nie boją. Siedzący obok mnie trep dyskretnie do kabury sięga, wtem bichura, którą dotąd za dupę trzymał, w skroń mu strzela bez ostrzeżenia. Lepiłem się jego juchą cały. Kiedy bandycka koteria dała drapaką, wasze lwowiaki za nią wybiegły. Słysząc było, że karpaczyli. Wyszedłem na zewnątrz, kiedy ucichło wreszcie. Z szukanych przeze mnie baciarów tylko ten przy życiu pozostał.

Popatrzyłem na Majchra, on wzrok znad stołu podniósł. Nasze spojrzenia spotkały się pośrodku sali. Nie rozpoznał we mnie nikogo, myślał pewnie, że jak skieł Peplak do służby jakiej jestem przydzielony.

Onieśmielony konfrontacją z dumnym nożownikiem przeniósłem swoją uwagę na kolejnego z gości. Młodszy Motyka, Władek, tak jak Majcher samotnie w Sztamacji siedział. Mogłem tylko zgadywać, czemu starszego brata, znaczy Józka, z nim nie było. Kiwał opuszczoną głową i nadpalone wąsisko gładził.

– Ten szturpak^[655] chyba kalapitrę^[656] przekirał^[657] – Cieszek wychwycił, komu się przyjrzałem. – Myszygine^[658] – rzucił diagnozą i pokręcił wymownie fingielem^[659] w okolicy czoła. – Na lubelskim Czwartku^[660] nie było takiego, co by Motyki nie pamiętał. Mówili, że jeszcze przed wojną w baraku dla bezdomnych przy tamtejszej Krochmalnej zamieszkał. W rynsztoku parcha znalazłem.

– No to z Krochmalnej na Krochmalną się przejechał – pozwoliłem sobie zatycować. – A gdzie jego brat Józef?

– Podobno z dobroci serca gudłajom w potrzebie pomagał, za co przez Tymczasowych, jak Łokieć, na biało został zrobiony^[661]. Świadkowie zeznali, że został zabrany tam, skąd nikt nie wracał. Nie wiadomo gdzie dokładnie.

W porównaniu z gromadą pozostałych blatniaków, kolejny z nich, białostocki maciomnik Torbiel prezentował się niemal wytwornie. Skrojony na miarę, przedwojenny ancug podkreślał jego smukłą posturę. Choć cynkwajsów z imionami kurew krył pod manjata^[662] nie mniej niż umarłe Bazgroły, wyglądał schludnie, stanowczo gieltował^[663] nad wszystkimi.

Ostatniemu z oprychów przyglądałem się najdłużej, nędzną stanowił relikwię lat minionej świetności. Menachem Bornsztajn, Ślepym Maksem zwany, nijak nie przypominał zacnego bandyty, któremu inni w pas się kłaniali. Uwiędnęty, nikły, słaby, trudem pieszej rejterady doświadczony, bardziej dziada proszalnego niż następcę Opiekuna przypominał.

– Ten tam, dref^[664] – Cieszek kiwnął na Ślepego – chciał przeczekać wojnę na szułajskiej ziemi. Wyjardolił^[665] do Łucka na Wołyniu, a stamtąd posłali go w głąb dalekiego kraju. Jakimś cudem do Łodzi na przybość^[666] wrócił i zamieszkał przy Gdańskiej. Znalazłem go w Spółdzielni Odzieżowej zatrudnionego jako portiera.

– A Śmietana? – zapytałem.

– Nic nie poradzę – Cieszek rozpoczął tajemniczo. – Jako „oficer do zleceń”

robi. Nie dam takiemu rady.

– Gdzie? – zapytałem tak zniesmaczony, jak i ciekawy.

– W ubeckim cieniu – usłyszałem. – Mokre wyroki za magazynem odzieżowym wykonuje. Celuje tu – Peplak położył zimny palec na moim karku. Myślał, że jest zabawny, mnie ciarki przeszły.

– Zabieraj – na ten tychmiast go pouczyłem.

Potraktował zajście jak zabawę, znaczy niewłaściwie.

– Wyszedł do mnie ze swoim pomagierem, udawał przy nim, że mnie nie rozumie. Wyglądali na zapracowanych.

– Sprawdźcieś, co to za jeden?

– Z kamaszy go poznałem. Starszy sierżant Aleksander Drej, widywałem go po praskiej stronie.

– Siebie warci się dobrali – podsumowałem.

Peplak tylko wzruszył ramionami.

– Reszta z listy martwa albo nieżywa – żartem zwieńczył sprawozdanie.

Na co tu ta kohorta licha? – siebie samego w myślach zapytałem. – Do ubicia? Jesionek rzeczywiście mieliśmy na pace pod dostatkiem. Opróżnić wystarczyło.

Po chwili z zaplecza wynurzył się Grajek, a za nim Szlaj Boyko, Śero bandyckiego Daru. Następnie Innocenty przez drzwi frontowe wszedł do kirzany.

– Szkoc? – Bornsztajn wykrzyknął z niedowierzaniem. Poznał Inka mimo długiego niewidzenia. – Co tu się wyprawia? Skieł nas wszystkich wyłapał jak jakich jugaczy^[667] – oburzył się w imieniu siczy^[668] bezradnej.

Innocenty rozpromieniał zaraz na te słowa. Ciężko było rozpoznać, czy łechci się^[669] do Maksa, czy z niego łachuje^[670].

– Czuj się, proszę, jak w domu – fałszywą uprzejmością zbił zarzut.

Podszedł do baru i zrzucił kaniolę. Dopiero wtedy wypatrzyłem, że nie wszedł do Sztamacji z pustymi rękami. Przyniósł ze sobą pudełko, brązowe, takie głębokie jak po butach przynajmniej. Zauważyłem widniejący na nim blitny napis: „Kielman. Wyroby szewskie”. Zawartość pudła Innocenty wysypał na kontuar. Dojrzałem tam medalik maciomnika Sztokfica, bajner z lubelskiego bruku od tamtejszych braci, cudowną puncę Janielewa, sygnet luja Torbiela, bornsztajnowy rewolwer i majchrowy majcher. To jest mojkę raczej.

Nagle w tej jednej chwili wszystko stało się dla mnie jasne. Wydawało mi się, że wszystko w pełni rozumiałem. To był Ineczek, to od początku był on. Od pierwszego dnia naszej znajomości kłamał, cały ten czas udawał swoją niepamięć. Udawał w porcie, żeby go Łokieć oszczędził, udawał i później, chcąc zadośćuczynić gangusom za śmierć ojca. Gniew, który go prowadził, nie wiódł w ramiona żalobiącej matki. Wymagał od chłopca bezmiernego podporządkowania mściwej powinności.

Że niewiele sam wskóra, rozumiał, będąc świadkiem wycinki, jakiej Łokieć wraz z kriukami w Ścieku dokonał. Cóż przecież skiciok wśród nęt trzymany mógł wielkiemu Opiekunowi zaszkodzić. Podjął jeszcze co prawda naiwne próby, buchając zapalniczkę Kłopotą, a później chodak samemu Składkowskiemu, lecz jedynie tęgie namaszczenie^[671] nam za to zgotowali. Ineczek zrozumiał wtedy, że nikomu nie da jeszcze rady. Krew się nie starzeje, czas działał na jego korzyść. On rósł dopiero, inni przemijali.

Kiedy bracia Kania Goudę skrzywdzili, mógł wreszcie puścić wodze tłumionej złości. Nienawiść, co w nim dojrzewała, znalazła ujście w zbrodni, której dokonał na forum widowni przed kirzaną zebranej. Uszło mu to było na sucho. Otoczył się za to bandyckim uznaniem.

Organizacja chewry Partaczy stanowiła dla Inka nic innego, jak koncentrację środków przed zamierzonym starciem. Pojawienie się Tymczasowych natchnęło go jednak do zmiany planów. Słyszając o konfiskatach żydowskiego mienia,

uknuł spisek, skutkiem którego mógł wreszcie dopiąć celu, a jeszcze zarobić przy tym niemało. Liczył pewnie, że pozna jego lokalizację, co wartościowe przytuli do siebie, a resztą obciąży Łokietka przed Kormelami. Jednak nie w ciemną bitą Łokieć posiadaną wiedzą nie podzielił się z nikim, nawet z Epsteinem. Musiał tam schować coś wyjątkowo cennego, nie tylko cudze krocie po cichu zebrane.

Innocenty podejrzewał zapewne, że przechowalnia na terenie północnej dzielnicy leży, wszakże to nad żydowskimi rewirami Łokieć absolutną opiekę sprawował. Liczył, że po zamieszkaniu w getcie pan Lejzo z czasem odkryje tajemnicę i chętnie swemu wiernemu pomocnikowi wyjawí. Najpierw jednak musiał tam trafić. Osobiście Tymczasowych do kawiarni Kwiecińskiego Innocenty nie nasłał. Wykorzystał po temu kelnera od Leżańskiego, któremu zabulił nawet. Na pewno tak było, żaden Tymczasowy za informację o podstarzałych szachistach nie dałby życzliwemu złamanego grosza. Kiedy nas aresztowali, widziałem, że choć mógł, zdolny krawiec papierów panu Lejzo nie przekazał. Późno prawdę poznałem.

Pod naszą nieobecność Inek zdążył jeszcze przekupnego obera zamordować. Tym samym jedyne go świadka zaistniałego draństwa uciszył, a na dodatek reputację niewinnego sobie ugruntował. Niestety wbrew jego oczekiwaniom pan Epstein nigdy w getcie nie zamieszkał. Co gorsza, nawet tam nie dotarł. Czort jeden wie, gdzie został pogrzebany.

Ineczek nadal nie potrafił Opiece zaszkodzić, poszukał więc stosownej do tego sztamy^[672]. Zawarł taką z Lejkinem, byli sobie wari. Przepulił mu cynk o drogocennych flepach nadsyłanych do Ścieku przez Sternbucha Szwajcara, doklepał^[673] mu Leib Nayera jak na tacy. Za wartościową wiedzę były już najmimorda Lejkin zobowiązał się pograć Łokcia z kretelem, a na dodatek zapewnić bezpieczeństwo przebywającym w getcie Mordzie oraz Grajowi. Ponadto Innocenty mógł przebywać za ścianą do woli, co pod pozorem spotkań szachowych celem samodzielnego szukania depozytu nierzadko praktykował.

Dlatego też nasza obecność w getcie idącego na śmierć Lejkina wcale a wcale to wówczas nie zdziwiła. Że też wcześniej tego nie wyczytałem.

Kiedy odwiedziliśmy Halinę z nedorzecznym pomysłem na uwolnienie aresztowanego Doktora, grzebiąc po szufladach za klaserem, Innocenty zorientował się, iż brakuje w nich Kielmańskiego pudełka, tego w którym to wielki Opiekun dowody bandyckiej lojalności od szemranych hersztów na schodce otrzymane skrywał. W przeciwieństwie do mnie Ineczek zbyt częstym gościem był na Żytnej, by podobne zniknięcie uszło jego uwadze.

Ani on, ani ja nie liczyliśmy na poważnie, iż skrzętnie udokumentowana przeszłość przed krawatem Łokcia uchroni. Różnica między nami była jednak taka, że ja od zawsze do ludzi nikłej wiary należałem, natomiast Inkowi zwyczajnie to nie leżało.

Jedyne, czym się kierowałem, to pozory. Od samego początku je sprawiał. Wraz z Lejkinem, wyrachowani knuje na jeszcze jedno się umówili, ręka rękę bez końca myła. Po zatrzymaniu Łokietka przez Tymczasowych Innocenty, angażując po temu najbliższych przyjaciół, przypuścił mściwy atak na lejkinowych subalternów^[674]. Ich śmierć była konieczna. W razie nieoczekiwanego wyjścia Łokcia na wolność za lojalnego narwańca Ineczek zostałby przez Doktora uznany. Kuba mógł natomiast oskarżyć swoich zwierzchników o nieudolność i powoli szykować się na ich posady.

Niespodziewanie, a jednak, Łokcia wypuścili. Pierwsze, co zrobił, to posłał nas do Wilna. Inek na pewno zdążył Kubę zawczasu o wyjeździe powiadomić. Kiedy my czerpaliśmy z gościny Zelika Lewinsona, Lejkin wywiązał się wreszcie z zawartej umowy. Po naszym powrocie do Ścieku Opiekun wszystkich opiekunów był już zaledwie wspomnieniem. Tasiemka nie inaczej. Z ich krzywdą nikt Innocentego powiązać nie potrafił.

Niestety Kuba nie upilnował chciwego Szmerlinga, jak powinien. Wiadomość o losie Mordy oraz plotka o zejściu Graja oczywiste pragnienie zemsty

w nas wywołały. Co wreszcie zrozumiałem, poza nią, Inkowi jeszcze insza intencja świeciła. Kuby nienawidził nie mniej niż Łokcia, w ogóle do czynnych czompów żywił uczucie to samo. Pamiętliwy wszystkim im niechybnej krzywdy życzył, z jego rąk szerokim strumieniem płynącej rzecz jasna.

Kiedy Cieszek zaproponował sukurs zgrai samobójców, Innocenty tylko udawał oburzenie. Prawdopodobnie już w Wilnie, tamtejszymi wydarzeniami natchniony, mobilizację ściekowych sykariuszy rozplanował. Dlatego też dokument inspirującej odezwy do stolicy ze sobą przytaszczył. Wiedział, że do konfrontacji z grubiańskim Aplikantem potrzebny mu będzie orszak straceńców, takich byle mojrą nie szturkanych. Stało się, Anielewicz przystał do proponowanej spóły. Niczym mu to bynajmniej nie groziło, wszakże ze zbiorowej mogiły cudem jeszcze żywy wystawał. Nawiazaną zgodą Ineczek ucieszył się bardzo. Na rzecz bojowców zrzekł się nawet nimbu Lejkinowego gnębiciela. Choć pokroił Kubę z przyjemnością, nie jego imię dociekliwa straga ze zbrodnią połączyła. W żadnym ściekowym towarzystwie tym morderstwem wrogów sobie nie skojarzył.

Nigdy nie zamierzał pozwolić, aby Lejkin przejął schedę po Łokciu. Aby ktokolwiek szemrany ją sobie przytulił. Chcąc napsuć krwi możliwie większej rzeszy blatnych sukcesorów, przystąpił do ich kompetycji^[675] przez nikogo nie wołany. To był prawdziwy powód jego staraniny, tych nad wyraz hojnych dotacji. Dlatego topił partaczny majątek, drażąc szeol pod krychy nieswoje. Dlatego i mnie głupiego po prośbie wydoił. Mimo wszystko, jak depozytu nie widział, tak samo dalej nie zobaczył. Insygnia Łokciowej władzy nadal znalazzcy czekały.

Żal było patrzeć, jak na Miłej Żoby same do siebie strzelały, zdążyłem się z nimi polubić nawet. Jeszcze większym smutkiem odchorowałem zejście Bazgrołów i Tortora. Moja żaloba była szczerą, co do Inkowej wątpliwości nabrałem. Lujami pewnie gardził, jak i resztą szemranych, miał też powody, by

złorzeczyć pocziwemu Kaltowi. Jak dobrodusznym łożem Alfred by nie był, to jednak nie jednemu takiemu Wolanowi jeszcze na usługach skarbu państwa za marne chobnie krawat^[676] zakładał. Dla Inka parobem jonachów^[677] był i tyle. Na pewno nie darzył Tortora taką sympatią jak ja.

Różna była nauka, co ją spod osiemnastki wynieśliśmy. Ja zapragnąłem ciszy, spokoju, bezmiaru wytchnienia. Dosyć miałem krwi nie swojej, jej widoku, zapachu i smaku. Będąc świadkiem ohydy stadnego samobójstwa, nie potrafiłem słuchać o kolejnym szykowanym. Inek insze miał zapatrywanie. Chciał żyć, choć jednocześnie w ostrożnym bezruchu nie umiał się odnaleźć.

W to, że wyrok na Arii wykonali nieznani nikomu sprawcy, nie wierzyłem już wcale. W końcu Leib Nayer był jedynym żyjącym spośród blatnych proteuszy, ostatnim świadomym zgody Inka z Aplikantami, jego udawactwa, dwulicowej postawy. Pewnie Ineczek wszedł do lokalu, przywitał się serdecznie, po czym chwycił ostrzejszy sztuciec i zaorał nim krtań jedzącego. Prawdopodobnie zakrzyknął coś jeszcze, tak w stylu Armii Krajowej i spokojnie opuścił salę przez nikogo nie nękania. Taki był jego feblik^[678], jeden miał przepis na problematy.

W obawie przed święcącym się zrywem, na Twardą Innocenty już nie wrócił. Widać uznał, że gdy Tymczasowi wyjdą tłumić bunt przez dyletantów wzniecony, mury naszego domu żadnego schronienia mu nie dadzą. Wiele się nie omylił. Skrył się zatem sprytnie na Miłej. Tam, gdzie nikt nikogo już nie szukał. Tam, gdzie nikomu po drodze więcej nie było. W ten sam sposób, co o sobie, zaczął też myśleć o depozycie. Pod wpływem Bazgrołowego wyskoku doznał wreszcie do celu.

Jeszcze jedno mnie zaniepokoiło, zwróciło wyteżoną uwagę. W Augustynie, upojony znaleziskiem Ineczek wyraził żal rzekomy, że galechowi kto baszkę rozwalił. Skąd niby ta wiedza, skoro ja nic podobnego na gruzach antyka mu nie powiedziałem? Na pewno nie ze szczegółami. Oto beztroski sam siebie

zadenuncjował, tak właśnie się stało. Znając już, gdzie Łokieć majątki pochował, zrozumiał też pewno, że i Garncarek we wszystko był uwikłany. Wyszukał więc duchownego i w mundurze po Tymczasowym samobójcy, w eterycznym amoku zastrzelił go przed deusnym^[679] Florianem. Po śmierci kapłana tylko on, Wolan, wiedział, co pod podłogą parafii Augustyna kryło się zakopane.

Sam przeciw wszystkim w wielkiej symultanie, szereg figur poświęcił, by Łokcia obalić. Z zemsty to czy z pragnienia władzy takich okropności się dopuścił, nie mnie oceniać, kiedy sam korzyści przy tym czerpałem. Gdy wynurzyłem się spod gruzów, to przecież Ares, chroniąc depozytu, Tymczasowych ze śródmiejskich ruin gonił. Jak kierował szabrem, byle z dala od ocalałej świątyni, też nie mało blitu przy tym pozyskałem. Prawda, nie miałem powodu narzekać, jednak nic innego, jak kłamanie, tak mnie nie gniewało. Wkurwiony siedziałem na przysłowiowy amen.

– Miło was widzieć – Ineczek zwrócił się do zebranych w kirzanie.

Spojrzałem na siedzącego obok Cieszka, przeniosłem zaraz wzrok na Hugona. Wyglądało to, jakbym tylko ja nic nie wiedział o schodce w naszej mordowni zaplanowanej. Wszystkie niepokoje na ten tychmiast do mnie wróciły. Rozejrzałem się po Sztamacji, reakcja ujętych bandytów była nie mniej nerwowa niż moja. Ci spoza Ścieku zaczęli kaprysić, co też Łokciowi do głowy strzeliło, żeby to tak przyjaciół traktować. Tutejsi, Mongoł i Kłopot, ciszej siedzieli, prawdę podejrzewając. Ja także, rzecz jasna, rozsrożony milczałem.

– Żadnemu z nas nie dane było pożegnać Doktora. Z tego samego powodu Tasiemka przed wami nie stoi – Innocenty rozwiał wątpliwości zebranych. – Zaszczyt powitania was przypadł mnie, choć nie powinien – cynicznie im dowalił.

Szmery na sali się nasiliły. Peplak, chcąc zaprowadzić porządek, podniósł się nawet z krzesła, jednak Ineczek przykrócił mu cugli jednym spojrzeniem posłanym. Wyrozumiały odczekał, by kontynuować swoje zdanie:

– Niemniej jednak czuję się na siłach otoczyć opieką tylu przyjaciół, ilu jej ode mnie oczekuje.

Mimo iż żadne ze słów nie brzmiało jak groźba czy ostrzeżenie, doświadczeni apasze potrafili czytać między wierszami. Zebranych w Sztamacji, trzymanyh w Inkowym szachu zgoda lub śmierć czekała.

Pierwszy z krzesła dźwignął się Jurkowski. Wyjął z kieszeni grawerowaną zapalniczkę i jako najcenniejszą rzecz posiadaną odłożył tam, gdzie jej właściwe miejsce było. Między inne manele, z Kielmanowego pudła na kirzanowy kontuar wysypane, po latach tułaczki wróciła. Tym samym Kłopot wystąpił o opiekę i przykład rozsądnej postawy przedstawił pozostałym.

Po nim Jóźko Majcher przy Innocentym wyrósł. Mimo podeszłego wieku wyprostowany lwowiak wciąż wyglądał na groźnego. Odszukał wzrokiem swoją brzytwę nietypową, podniósł ją i otworzył ospale. Łypnąłem na Cieszka. Niepewny tego, co nastąpi, przezornie wycelował służbowy kopsnik wprost w plecy pochlastanego draba. Zamarstynowski baciar przyjrzał się znajomemu ostrzu, czy aby na pewno zadbane przez lata poczywało, i odłożył je z abarotem obok jurkowskiej dulaczki^[680]. Słowem się nie odezwał. Podając dłoń Innocentemu, złożył jednak wyrazy szacunku i wrócił na miejsce wcześniej zajmowane.

Kolejnym, który dostąpił uwłaczającego zaszczytu, był galantny Torbiel. Zgrabny białostocczanin prezentował się o niebo lepiej niż arogancki gospodarz, przed którym przyszło mu stanąć. Z typowym dla siebie fasonem maciornik uściskał samozwańczego władyka i oddał się do jego dyspozycji. Szukaniem sygnetu po matce, skrytego w stertce rozsypanego barachła^[681], nawet się nie zajął.

Menachem Bornsztajn do hołdu zbierał się powoli. Bynajmniej nie z braku chęci się ociągał, a z niedołęznego stanu zdrowia. Stawiając chwiejne kroki, wynajdywał oparcia w kolejnych meblach mijanych. Jego temperamentnej

niegdyś twarzy brakło choćby krztyny wigoru, całą werwę w gułagu zostawił. Po zmarszczkach widać było, jakie najczęściej nosił grymasy. Potoki słonych łez własne koryta wydrążyły, szpecąc jego suchą skórę głębokimi bruzdami. Zdrowe dotąd oko poszarzało, słynny blask straciło. Wypłukane, barwy pozbawione, coraz bardziej to ślepe przypominało. Maks był słaby, słabszy niż według metryki być powinien. Jeśli jednak rozum w kondycji miał przyzwoitej, wiedział na pewno, że nie ma co stawiać sprzeciwu. Pomału doszurał do baru. Nikogo, jak jego, Ineczek ukorzyć nie powinien. W końcu po latach bandyckiej kariery właśnie łodzianin zaraz po Bogu w kolejce stał zapisany.

Znieważyc, poniżyć, zbezcześcić bezkarnie taki autorytet, to absolutną dominację świeżej krwi dawało. Innocenty sięgnął po wiekowy pistolet, którym mały Menachem ukarał mordercę ojca swego i wręczył go właścicielowi. Widać było, że kopsnik wygodnie i z sentymentem Ślepemu w dłoni leży. Czekałem, nie tylko ja zresztą, co też nim Bornsztajn wywinie. Ze wszystkich obecnych na sali tylko Innocenty wiedział, czy jest on nabity, czy nie jest. Maks nie odważył się tego dowiedzieć, nie pociągnął za spust wycelowanej w Inka broni. Uśmiechnął się za to bezradny i oddał pistolet, lufą do siebie go odwracając. Zachował szczyptę zdrowego rozsądku i zrzekł się przewodnictwa w stadzie. Widział, że idzie nowe, a on sam młody już nie był, nie zdążyłby za nami.

– Nasze sprawy jak żadne inne spokoju pragną – tłumaczył podjętą decyzję, cytując siebie samego. Dla nikogo znaczenia to jednak nie miało.

Pozostał jeszcze Władek Motyka, któremu z pijackich oczu rzeczywiście obłędem patrzyło. Kiedy zorientował się, że jego kolej przyszła, rzucił byle przed siebie, wzroku nawet nie skupiając:

– Obyś miał sto pałaców. W każdym pałacu sto pięter. Na każdym piętrze sto pokojów. W każdym pokoju sto łóżek – mamrotał pod nosem niewinny początek starego przekleństwa. – I żeby cholera cię ciskała z jednego na drugie, żebyś zdechnąć nie mógł.

Polipiłem na Inka, ten na Graja skinął. Hugo chwycił zza baru flaszkę gorszej, cieplej ćmągi i do stolika opornego lubliniaka się z nią wyprawił.

– Chodź, kojnym – pomachał gościowi butelczyną przed nosem. Pokazał, by wyszli razem z lokalu.

Zauważyłem, że kiedy Ineczka mijali, ten za luźno uchylony parkan bajner brukowy Grajowi podał. Zapewne tę samą kostkę, co ją szemrani bracia Łokciowi przed laty podarowali. Ciekaw byłem, czy to po dobroci Władek tak potulnie wyszedł, czy też niczego nieświadomy wcale. Nikt oprócz mnie wzrokiem go nie odprowadził, znając, co się stanie, nazbyt wszyscy czuli się skrepowani.

Wydawać by się mogło, że część oficjalna była już za nami. Nawet Hugo z abarotem zdążył, w pojedynkę i bez batłachy wrócił do kirzany.

– Chazer fis^[682] – wymamrotał na Motykę po wyjątkowemu cichu, ale do mnie czujnego i tak doleciało.

Coraz bardziej wrażliwy byłem na wszelkie podejrzanę. Nie miałem pewności, jaką przyjąć postawę, jakie zachowanie. Na dnie doliny mantla^[683] starą puncę palcami odnalazłem, była bez wątpienia najcenniejszą z nielicznych rzeczy, jakie w ogóle posiadałem. Większą znaczyła dla mnie wartość niż choćby Sztamacja cała. Ścisnąłem ją mocno w dłoni, jak pod gruzami domu gnijąc, ścisnąłem, i podobnie cierpliwie co wtedy czekałem na rozwój wydarzeń. Patrzyłem po wszystkich, dobrze im się przyjrzałem. Mongoł to na pewno do uroczystości przez nikogo nie był szykowany. Nie bardzo rozumiał blatne obyczaje. Cieszek z Hugonem także niezbyt się kwapili, by nadskakiwać Innocentemu z byle chłamem. Albo tradycję Opieki mieli za nic, albo już dawno jej dochowali. Dumny Śero Roma tak samo, z niczym niezwykłym nie spieszył do baru. Przeciwnie, w ramach uczczenia zgody uniósł nad głowę pierwszy z toastów. Zaraz nutę za pomyslność podchwycili pozostali, tylko ja jeden nie bardzo chciałem.

Może nie w sztuk, ale koleżeństwo się bawiło. Może nie wystawne przyjęcie, ale wypitka wyszła jakich mało. Śledziłem jak Wolan, niczym Alechin wyrachowany, upragniony triumf znosił. Do szczętu powściągliwy plon skrajnego poświęcenia kosztował, ciesząc się jego wyrafinowanym smakiem. Zdolny do wszystkiego, a zdolny okrutnie, chciał tego czy nie, zmarłego poprzednika przypominał aż nadto. Cechował ich ten sam osobliwy czarny charakter. Opanowany i drapieżny zarazem. Doskonały.

Dłużej czekać nie mogłem. Wypiłem, co pod ręką stało, swoje i chyba Peplaka, po czym stanowczością przepełniony ruszyłem w poprzek lokalu. Podszedłem do Innocentego. Akurat z Mongołem barłoczył, do mnie stał zwrócony plecami. Czułem się zupełnie jak wtedy, gdy w bajzlu przy Pańskiej poznaliśmy się mali. Odwrócił się powoli, poświęcił mi pełnię uwagi. Staliśmy pośrodku gwaru kirzany, twarzą w twarz wycelowani. Uśmiechnął się, choć bez przesady. Sięgnął po papierosa. Drugą, wolną rękę położył mi na ramieniu, tym samym, którego kończyła cenną puncę w dolinie ścisła. Nie był ani srogi, ani zaskoczony. Z niczym się nie chował, niczym też nie chwalił. Dawno wziął sobie do serca Łokciową poradę: jeśli ktoś ma z tobą problemat, niech stanie się to jego problematem.

– Z kim ci będzie tak źle, jak ze mną? – zapytał z przekąsem, licząc, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

[651] Stupaj – głupi policjant.

[652] Jardułka – pojazd.

[653] Jarzyć – palić.

[654] Straga – ulica.

[655] Szturpak – niedorozwinięty.

[656] Kalapitra – głowa.

- [657] Przekirać – przepić.
- [658] *Myszygine* jid. –wariat.
- [659] Fingiel – tu: palec.
- [660] Czwartek – dzielnica Lublina.
- [661] Zrobić na biało, biała śmierć – śmierć bez zwłok, ciała nie odnaleziono.
- [662] Manjata – koszula.
- [663] Gieltować się – wynosić się ponad innych.
- [664] Dref – tchórz.
- [665] Wyjardolić – wyjechać.
- [666] Na przybość – na bosaka.
- [667] Jugacz – złodziej.
- [668] Sicz – sitwa, grupa.
- [669] Łechcić się – śmiać się.
- [670] Łachować – wyśmiewać kogoś.
- [671] Namaścić – zbić.
- [672] Sztama – układ.
- [673] Doklepać kogoś – wydać kogoś.
- [674] Subaltern – młodszy oficer, podwładny.
- [675] Kompetycja – rywalizacja.
- [676] Krawat – tu: stryczek.
- [677] Jonach – zły człowiek.
- [678] Feblik – skłonność.
- [679] Deuśny – święty.
- [680] Dulaczka – zapalniczka.
- [681] Barachło – byle co.
- [682] *Chazer fis* hebr. – świńska nóżka, ktoś trefny.
- [683] Mantel – płaszcz.

BIBLIOGRAFIA

- Bieleś M., *Lubelski Al Capone ze szramą na policzku, Wzbudzał strach*, Lublin.wyborcza.pl, marzec 2014.
- Bobryk K., *Nędza z baraków – bezdomni w przedwojennej Warszawie*, histmag.org, październik 2015.
- Bojarski P., *Śmierć arcymistrza*, Gazeta.pl/Ale historia, sierpień 2015.
- Bołdok S., *Antykwarjaty artystyczne, salony i domy aukcyjne. Historia warszawskiego rynku sztuki w latach 1800–1950*, Warszawa 2004.
- Bratny R., *Kolumbowie. Rocznik 20*, Warszawa 1987.
- Burnetko K., *Ratajzer i żydowscy mściciele*, „Newsweek Historia”, kwiecień 2013.
- Chlebowska E., Szmalenberg H., *Miła 18 – warszawska Masada*, Wyborcza.pl, maj 2008.
- Ciborowski A., *Warszawa, o zniszczeniu i odbudowie miasta*, Warszawa 1969.
- Edelman M., Bereś W., Burnetko K., *Życie do końca*, Kraków – Limanowa 2012, Warszawa 2013.
- Fizman-Sznajdman R., *Mój Lublin*, Lublin 1989.
- Gawkowski R., *Futbol dawnej Warszawy*, Warszawa 2013.
- Gopaniuk K., *Chanajki Białostok. Egzotyczna dzielnica bandytów, prostytutek, biznesmenów i biedaków*, Wspolczesna.pl, styczeń 2013.

- Gronkowski D., *Geniusz na miarę XXI wieku Paul Morphy*, Warszawa 2013.
- Jagielski J., *Przewodnik po cmentarzu żydowskim w Warszawie przy ul. Okopowej 49/51*, Warszawa 1996.
- Janicki K., *Smarkacze z rewolwerami. Nieletni przestępcy w przedwojennej Polsce*, Ciekawostkihistoryczne.pl, listopad 2013.
- Jarmolik W., *Chanajki: Zakazana dzielnica. Rządził nią król Chanajek*, Poranny.pl, lipiec 2011.
- Józef Pacholek: *kaliski gangster – poliglota*, oprac. A. Gierz, faktykaliskie.pl, maj 2015.
- Kalicki W., *Pierścionek został*, wyborcza.pl, listopad 2008.
- Kalicki W., *Świadek tylko czyta*, „Duży Format”, kwiecień 2008.
- Kowalski W., *Hitler w Warszawie – wizyta, która mogła odmienić losy wojny*, dzieje.pl, październik 2014.
- Kultura „ochweśnicka” – zajęcia, język i obyczaje mieszkańców Ślesina*, oprac. Grzegorz Piasecki, profesor.pl.
- Lada W., *Polscy terroryści*, Kraków 2014.
- Lange H., *Alarm w Cedegrenie*, Warszawa 1961.
- Lissowski T., *Szachiści w Palmirach*, Sztetl.pl.
- Lubetkin C., *Zagłada i powstanie*, Warszawa 1999.
- Majewski J.S., *Warszawa nieodbudowana. Żydowski Muranów i okolice*, Warszawa 2012.
- Majewski J.S., Zieliński J., *Spacerownik po żydowskiej Warszawie*, Warszawa 2014.
- Marat E., Wójcik M., *Made in Poland. Opowiada jeden z ostatnich żołnierzy Kedywu Stanisław Likiernik*, Warszawa 2014.
- Niepiękne dzielnice; reportaże o międzywojennej Warszawie*, wyb. i oprac. J. Dąbrowski, J. Koskowski, Warszawa 1964.

- Nowik M., *Gdy upadła Warszawa. O Polaku, który mógł zabić Hitlera*, m.newsweek.pl, wrzesień 2015.
- Piątkowska M., *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce. Grandesy, kasiarze, brylanty*, Warszawa 2012.
- Piotrowski R., *Ślepy Maks. Historia łódzkiego Ala Capone*, Warszawa 2014.
- Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie*, oprac. zbiorowe, Warszawa 2003
- Rawicz J., *Doktor Łokietek i Tata Tasiemka*, Warszawa 1968.
- Skrzyński M., *Opowieści wędrowca*, Poznań 2012.
- Słownik kminy ochweśnickiej – żargonu wędrownych handlarzy dewocjonaliów ze Skulska i gęsi ze Ślesina*, oprac. A. Budzińska, H. Łakomiak, gim3.miasto.zgierz.pl.
- Szarota T., *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Warszawa 2010.
- Teitelbaum A., *Warszewer hejff, Central-Farband fun Pojlisze Jidn in Argentine*, tłum. A. Ciałowicz, Buenos Aires 1947.
- Umiastowski A., Lissowski T., *Felietony, Andrzej Szulce opowiada*, Szachowavistula.pl, 2008.
- Warszawskie getto*, Warszawa 1988.
- Wilkoszewski F.D., *Kat Maciejowski usunięty z posady z powodu pijackich awantur*, „Goniec Częstochowski”, 29.09.1932.
- Wolsza T., *Arcymistrzowie, mistrzowie, amatorzy... Słownik biograficzny szachistów polskich*, tom V, Warszawa 2007.

SŁOWNIK

Acher hebr. – obcy.

Adachy – buty.

Agaciarz – gęsiarz.

Aganiok – malec.

Ajnbruch – włamanie, od niem. *Einbruch*.

Aksamitki – prostytutki.

Amba – sytuacja bez wyjścia, pat.

Amkuk hebr. – oględziny.

Ancug – garnitur, od niem. *Anzug*.

Andrus – łobuz, niegodziwiec, złoczyńca.

Andzia – amnestia.

Anse – pretensje.

Antek – małolat.

Apasz – bandyta, ulicznik.

Asior – zuch.

Atandzić – pukać, łomotać.

Awel hebr. – noszący żałobę.

Ażur – kasiarz, złodziej okradający kasy pancerne.

Baja – kurtka.

Bajnerek – kamień.
Bajstruk – bękart.
Bajtel – dziecko.
Bajtełe – woreczek.
Bajtlować – gadać głupstwa.
Bakałarz – nauczyciel.
Balijkę odprawiać – kłać.
Bałabuch – ciasto drożdżowe.
Bałağuła hebr. – furman najemny.
Bałağuły – wozy żydowskie.
Bałaj – lekarz.
Bałakać – mówić po lwowsku.
Bałuchy – oczy.
Bambaj – tramwaj.
Banditenstadt niem. – miasto bandytów.
Bandzioch – duży brzuch.
Bania – wódka.
Baniak – twardy kapelusz.
Bara – gotówka.
Barachło – byle co.
Barbelucha – tania wódka wątpliwego pochodzenia.
Barłoga – włóczęga.
Barłóżyć – mówić po warszawsku.
Barłóg – gwara warszawska.
Barówa – gotówka.
Bartek – chleb.
Baszka – głowa.

Batłach – butelka.

Bejc – pijak.

Belbas — grubas.

Belka – krata.

Bełtać – mącić, mieszać.

Benklarz – oszust grający w trzy karty i inne gry.

Besik – dobry, dobra.

Betisz – mieszanka słów polskich, rosyjskich, angielskich i hebrajskich.

Bez ochyby – bez wątpliwości.

Biber – brodacz.

Bichura – piękna dziewczyna.

Bić w dach – kłaniać się.

Biedołach – biedak.

Bikor – kij.

Binia – dziewczyna.

Bisowaty – narwany.

Blachana – wypukła puszka o wyprofilowanym kształcie.

Blaga – kłamstwo, zmyślenie.

Blatni – ludzie marginesu, kryminaliści.

Blit – złoto.

Bochniarz – paser, handlarz kradzionymi rzeczami.

Bogdanka – kochanka.

Boms – chleb.

Brany – skorumpowany, przekupny.

Brazyliana – kawa.

Brechnia – brednia.

Bricha hebr. – Ucieczka, organizacja zajmująca się przerzutem ocalałych

z Holokaustu Żydów do Palestyny.

Bródzieński – Cmentarz Bródnowski.

Brustasza – mała kieszonka zewnętrzna w marynarce, wykorzystywana do noszenia poszetki.

Bryftrygier – listonosz.

Buchacz – złodziej.

Buchnąć – ukraść.

Bujowka – huśtawka.

Bukfel, pluska, sznita, anielski włos – sprzęt do przecinania krat.

Bukiet – nieprzyjemność.

Burmyło – nieokrzesianiec.

Bursa – grupa.

Być blat – milczeć.

Centralniak – Areszt Centralny przy Daniłowiczowskiej.

Chabal – adorator.

Chabazie – kwiaty.

Chablina – flaczaste mięso.

Chakal – siekiera.

Chal pal – w pośpiechu.

Chałaciarz – określenie Żyda, od noszonego przez niego ciemnego stroju.

Chałada rom. – żołnierze.

Chałata – rodzaj płaszcza noszony przez Żydów na wschodzie Europy.

Chaperzy – w getcie wyrywali przechodniom noszone paczki i natychmiast pożerali ich zawartość.

Chatrana – patrol.

Chawernik – portfel.

Chawir – pałac.
Chawira – dom, mieszkanie.
Chawirek – pałacyk.
Chaworny – bogaty.
Chazer fis hebr. – świńska nóżka, ktoś trefny.
Cheretyna – marynarka.
Chewra – banda.
Chewra Kadisza – święte bractwo, towarzystwo ostatniej posługi.
Chinty – policja.
Chobnie – pieniądze.
Chochano rom. – kłamca.
Chodak – portfel.
Chodzący w porucie – człowiek poszukiwany przez wymiar sprawiedliwości.
Chomąciak – kołnierzyk.
Chrystera – bieda.
Chuchracz – gracz.
Chuchrofki – karty do gry.
Churośny – chudy.
Ciekawy – śledczy.
Cień – więzienie.
Ciuchrać – grać na instrumencie.
Cwajkiepełe – mądry człowiek, od *kiepełe* jid. – głowa.
Cwitniak – mądry.
Cybuchy – buty.
Cycesy – frędzle przymocowane do spodniej części odzieży.
Cynkwajs – tatuaż.
Cyntur – Rom należący do grupy Sanocka Roma.

Czefir – bardzo mocny więzienny napój przygotowywany na bazie herbaty. Pity w celu odurzenia. Dziś określane jako „czaj”.

Czerepacha – mętny typ.

Czerniak – cygan.

Czomp – bandyta.

Czulent – zapiekanka z białej fasoli, cebuli, ziemniaków z dodatkiem szpondra lub mostka wołowego.

Czwartek – dzielnica Lublina.

Ćmaga – wódka.

Ćmakać – mlaskać.

Ćmić – kłamać.

Ćwikać – dźwigać.

Dachówka – czapka.

Dajan hebr. – sędzia.

Dam Jehudi Nakam hebr. – Żydowska krew zostanie pomszczona.

Dar – lęk, strach, trwoga.

Debent – dłużnik.

Delator – tajny denuncjator.

Deuśny – święty.

Dintojra – sąd lub krwawa rozprawa w środowisku przestępczym bądź wobec dłużników.

Dmowczyk – zwolennik Romana Dmowskiego.

Doklepać kogoś – wydać kogoś.

Dolator – poszkodowany.

Dolina – kieszeń.

Drancie – stara odzież.

Dref – tchórz.

Drejdl jid. – bączek, gra hazardowa.

Dreptak – koń.

Drewniana jesionka – trumna.

Drypcia – stara kobieta.

Dryzda – kobieta.

Dulaczka – zapalniczka.

Dulec – papieros.

Dulki – brzegi łódeczki.

Dybuk – według Żydów zły duch wcielony w żywą osobę.

Dydochy – piersi.

Dyrki – nogi.

Dziadźki – pieniądze.

Dziakować – dawać pieniądze.

Dziaukać – pyskować.

Dziki Zachód – powojenna nazwa okolic Mirowa.

Eksy – akcje ekspropriacyjne, czyli wywłaszczeniowe celem pozyskania pieniędzy na działalność organizacyjną na przykład partii czy organizacji wyzwoléniczej.

Elochim hebr. – On jest stwórcą.

Emet hebr. – prawda.

Facka – uderzenie, zwłaszcza w nos.

Fafrać – bełkotać.

Fafulasty – podtuczony.

Fafuły – pełne policzki.

Falirczykłych – kartoflane babeczki z drobiowymi skwarkami i jajkami,

zapiékane w rondelkach.

Famuła – rodzina.

Feblik – skłonność.

Ferniak – nos.

Fifny – sprytny.

Filicha – chusteczka.

Filles de joie franc. – prostytutki.

Fingiel – palec lub pierścień.

Flasiuta – flaszka.

Flepy – dokumenty.

Folga – odwilż.

Forikować – atakować.

Foro rom. – miasto.

Forszus – zaliczka, zadatek.

Forteklapa – fortepian.

Franio – język francuski.

Fruwak – marynarka.

Frygać – jeść.

Funfel – kolega.

Furdygarnia – areszt, więzienie.

Fusy – kawa.

Futrować – leczyć.

Gablasztyk – widelec.

Gable – ręce.

Gadzio – obcy, nie-Rom.

Galanciak – elegancik, od galantny – elegancki.

Galantny – elegancki.

Galech jid. – pogardliwie książd.

Ganc – papieros.

Gandolić – mruzcć.

Garbus – zdrajca.

Garsonka – kelnerka.

Gawroszka – dziewczyna ulicznik, łobuz.

Gibalak – ulica Gibalskiego na Woli.

Gielajza – kufel.

Gieltnąć się – wznieść się.

Gieltować się – wynosić się ponad innych.

Gips – smród.

Gipsówa – pasztetowa.

Gnes – obcy.

Gnieciuch – ciasto drożdżowe.

Gnyp – nóż.

Grabiączka – ręka.

Grajbery – pieniądze.

Grasant – rabuś.

Greifer – szmalcownik.

Grumać w szory – grać w karty.

Gruzinki – prostytutki pracujące na gruzach miasta.

Gryfować – kłamać.

Guder – siedzenie.

Gudłaj, Gudłajka – Żyd, Żydówka.

Gudz – węzeł sznurowadła.

Gufrowane – marszczone.

Gwicht – ciężarek na łańcuchu wyjęty z zegara.

Hadra – kłótniwa baba.

Halukać – krzyczeć.

Hałaburda – awantura.

Haman hebr. – brutal.

Hamantasze – „uszy Hamana”, słodkie pierożki nadziewane makiem.

Hametapel hebr. – Opiekun.

Hamsa – amulet w kształcie dłoni, mający chronić przed złem.

Handełes – pogardliwie handlarz.

Haratać się – bić się.

Hardyga – stary dom.

Harmadla – szpilka do włosów.

Harynda – sklep.

Haryndziarz – sklepikarz.

Hatipul hebr. – Opieka.

Hebes jid. – głupiec.

Hepać – karcić.

Herz klekot – szybsze bicie serca.

Hołociarstwo – kradzież koni.

Hołodryga – oberwaniec.

Hora – wieś.

Horpyna – ogromna kobieta.

Hreczka ukr. – kasza gryczana.

Hryja rom. – zło.

Hrymać – mocno uderzać.

Hurgotać – stukać.

Iepa – składka.

Ima hebr. – Matka.

Ineksprymable – kalesony.

Inwalida – tatar.

Iść na duś – dokonać napadu rabunkowego.

Jak flaki w niedzielę – na pewno.

Jarcajt – rocznica śmierci.

Jardułka – pojazd.

Jarzyć – palić.

Jawrych – groch.

Jeremiada – nużące gadanie.

Jesionka – trumna.

Jojkać ros. – narzekać.

Jonach – zły człowiek.

Juchcić – kraść.

Jugacz – złodziej.

Jugany – brany, tzn. łapownik.

Jurgieltnik – człowiek zaprzędany, będący na pensji obcego rządu, na przykład podczas zaborów.

Kaban – wieprz.

Kacierz – odstępcza, schizmatyk.

Kalamacja – zamieszanie.

Kalapitra – głowa.

Kaniola – czapka.

Kapcan – człowiek do niczego.

Kapustos – najtańszy gatunek papierosów.

Karmenadel – kotlet.
Karpaczyć – strzelać.
Kartka – miesiąc.
Kasaory – kasiarze.
Katolik – śledź.
Kawod szabat – prawo szabatu.
Kharaw rom. – nazywam się.
Kiciarz – więzień.
Kicz – chłopak.
Kić – więzienie.
Kiepa – czapka.
Kimiza – koszula.
Kindrus niem. – łobuziak, urwis.
Kipisz – rewizja.
Kiraga – przyjaciel.
Kireja – marynarka.
Kirejka – płaszczyk.
Kirus – pijak.
Kirzana – knajpa.
Kirzyć – pić alkohol.
Kitok – klucz.
Klawisz – strażnik.
Klawo – dobrze.
Klawy motyl – banknot o dużym nominale.
Klipa – tłum.
Klipnie – tłumnie.
Kluba – nos.

Klukaszczyk – nos.

Kłyk – ząb.

Knepałe – guzik.

Koafiura – fryzura.

Kobzanka – awantura.

Kociamber – kot.

Kociurbaty – małego wzrostu.

Kojdym jid. – odważny.

Kojfować – kupować.

Kojma – czapka.

Kokota – dziwka.

Kolegówna – koleżanka.

Koliba – łóżko.

Koło – dożywocie.

Kołtunić się – żenić się.

Komeraż – złośliwa plotka.

Kometa – strażnik.

Kominy – buty.

Kompetycja – rywalizacja.

Kopciuch – garnek.

Kopsanka – powstanie.

Kopsnik – pistolet.

Kormel – Niemiec.

Koteria – banda, chewra.

Kotlarze, inaczej Kełderasze, Kalderasze; Koniarze, inaczej Lowarzy, Lovara –
romskie grupy etniczne.

Krawat – stryczek, wyrok śmierci.

Krawiec – kieszonkowiec.

Kriuk – policjant mający powiązania z przestępcami.

Kryśka – kryjówka.

Kryśnik – rzeźnik.

Krzyka – gardło.

Ksiuta – plotka.

Ksywy – dokumenty.

Kucza – mały, ciemny pokój.

Kudluchy – włosy.

Kulis – robotnik wykorzystywany do najniższych i najgorzej płatnych usług.

Kułak – mocno zaciśnięta pięść.

Kurwar – gadzinówka.

Kusz – interes.

Kwacz – areszt.

Kwargiel – serek wiejski.

Lamor – policjant.

Lamornia – policja, posterunek policji.

Lamorski – policyjny; od lamor – policjant.

Lejzo – zdrobnienie od Eliezer.

Lichtarnia – latarnia lub metaforycznie oczy.

Ligary – nogi.

Lipić – patrzeć.

Lipko – okno.

Lon – dochód, zapłata.

Lubelak – lublinianin.

Luft – powietrze.

Luj – sutener.

Lukusta – rzymska trucicielka i znawczyni trucizn z czasów cesarza Klaudiusza.

Łabaty – niezgrabny.

Łabudać się – krzątać się.

Łachować – wyśmiewać kogoś.

Łandyga – wysoka dziewczyna.

Łechcić się – śmiać się.

Łoks – las.

Łołówko – piwko.

Łoszka – chłopiec.

Maciornik – sutener.

Magulanka – bójka.

Makrela – kierowniczką domu publicznego.

Mamer – więzienie.

Mamzela – najtańsza prostytutka.

Manjata – koszula.

Manówka – koszula.

Mantel – płaszcz.

Many – dziewczyny.

Margać – narzekać.

Marmuzela – babsztyl.

Marymontczyk z razowej mąki – ktoś delikatny, niestrudzony pracą.

Mazepa – brzydka kobieta.

Meduza – galareta.

Mereł rom. – śmierć.

Meszty – półbuty damskie.

Meter – mistrz.

Mieziach – worek.

Migdał – łobuz.

Mikrus, mikry okręt – talerz.

Mikry okręt – talerz.

Mogiłki – cmentarz.

Mohel – wykonujący zabiegi rytualnego obrzezania noworodkom płci męskiej.

Mojka – ostrze, najczęściej brzytwy, przymocowane do długiej gumy. Służyło do zadawania ran na odległość.

Mojra – strach.

Most Trzeci – potocznie most Poniatowskiego.

Mowa waltarska – język złodziejski.

Murkarze – szmuglerzy przerzucający towary przez mur do getta.

Murmyło – ponury.

Murwa – prostytutka.

Mycata głowa – głowa w mycce, a więc żydowska.

Myszygine jid. –wariat.

Mytka jid. – szmata, plotkara.

Na blank – bez płaszcza, kurtki.

Na borg – na kredyt.

Na durch – na wylot.

Na Grzybowie – w więzieniu.

Na przybość – na bosaka.

Na sucho – przeciwieństwo „na mokro”, czyli z użyciem ostrzy upuszczających krwi.

Na zycher – na pewno.

Nachasz hebr. – wąż.

Nachy – spodnie.

Nadwiślak – mieszkaniec Powiśla, pracujący na Powiślu.

Najmimorda – adwokat.

Nakam hebr. – Zemsta.

Namaścić – zbić.

Napad z kindybałem w dłoni – gwałt.

Nawijać z kitem – kłamać.

Nęta – prostytutka.

Nielitosiernie – niemilosiernie.

Niepitrowaty – niegłupi.

Nokmim hebr. – Mściciele.

Nymknać – oszukać.

Ober, oberkelner – starszy kelner.

Oberchabka – łapówka.

Objorany – obdarty.

Objugać – okraść, oszukać.

Ochłap – wyrok.

Ochwes – obraz.

Ochweśnik – inaczej obraźnik, człowiek wytwarzający i sprzedający po domach obrazy, rysunki, odbitki, zwykle o tematyce religijnej.

Ogon – obserwacja prowadzona przez funkcjonariuszy policji.

Ohel – grobowiec w kształcie małego domku.

Okręt – naczynie kuchenne.

Olaboga – pałka metalowa owinięta w szmatę.

Oliwa – pijak.

Omłot – łomot.

Oneg szabat – radość soboty.

Opryszoki – potoczna nazwa hajdamaków, rozbójników ukraińskich działających na terenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Opuchy – buty.

Ośleпки – alkohole typu denaturat.

Otrześć panftofle na dyndówce – zostać powieszonym.

Pacałycha – zabawa.

Pachniarz – nos.

Paciuk – świnia.

Pampuchy – pączki.

Panowła – panowie.

Pantofelki Matki Boskiej – tojad.

Papendekiel – tektura.

Parantele – koligacje.

Parawan – poła marynarki z wewnętrzną kieszenią.

Parkan – kłapa marynarki lub płaszcz.

Parterowa – Marszałkowska.

Paskarstwo – nielegalny handel po zawyżonych cenach towarów, których brakuje na rynku.

Pasztetowa – skarpeta wypełniona piaskiem, kamieniami lub monetami.

Paše rom. – blisko.

Pegnitz – rzeka, nad którą leży Norymberga.

Pejsachówka – wysokoprocentowa wódka.

Pełechy – długie włosy.

Per pedes – na piechotę.
Perruquier franc. – fryzjer, perukarz.
Pęga – pieniądze.
Piąta ćwiartka wołu – flaki.
Picer – oszust.
Piernot – pierzyna.
Pikieriek – łobuz.
Pinkiel – problem.
Pitolko – ktoś mało poważny.
Plereza – fryzura.
Pociaszki – szelki.
Podkirzony – podpity.
Podroby – podróby.
Pojechać po rajtach – naubliżyć.
Pojorać – poskubać.
Polikier – policjant.
Ponim nefesz – „twarz zmarłego”, informacje o zmarłym oraz epitafium.
Porajmos rom. – pochłonięcie, zniszczenie, eksterminacja Romów.
Porcjarz – dzisiejszy diler.
Poruta – awantura.
Posówka, posy okręt – półmisek, miska.
Potok – wóz.
Prosiaków – Karczew, podwarszawska miejscowość.
Prystaw – policjant.
Przechodka – prostytutka.
Przechuchrać – przegrać.
Przekirać – przepić.

Przenicowany – przebrany.

Przepulić – sprzedać.

Przewalanka – bójka.

Przydulić ganca – zapalić papierosa.

Przykro – szkody.

Przylipka – kromka chleba.

Przywabliwy – atrakcyjny, przystojny.

Puder – forma ataku polegająca na sypnięciu ofierze czymś żrącym w oczy, twarz.

Ragóźka – wycieraczka.

Rajdać – długo rozmawiać.

Rajster – pęk.

Rakieta – grupka kieszonkowców, składała się zwykle z „rączki”, „konika” i „świec”.

Rapaty – szorstki.

Razura – fryzjer.

Rechtsanwalt niem. – adwokat.

Rekiet – okup.

Reszotka – krata.

Roztochać – rozebrać.

Rubach – koszula.

Rymunda – zła kobieta.

Rynwa – rynna.

Sacher – cukier.

Sałamacha – mieszanina.

Samara – brzuch.

Sap rom. – wąż.

Schodka – zgromadzenie.

Schuchrany – spracowany.

Schutzjuden – uprzywilejowani Żydzi.

Sekować – drażnić, nękać, prześladować.

Serbia – kobiece więzienie.

Šero Roma – dosł. Głowa-Rom, Przywódca ludzi, zwany też królem Romów.

Sicz – sitwa, grupa.

Siewierno – zimno.

Siup – areszt.

Siupryza – niespodzianka.

Skiciok – chłopiec.

Skiciu – kolega.

Skić – chłopak.

Skieł – policjant ze służby śledczej.

Skilnik – policjant.

Skoraj – wczoraj.

Skorupniak – jajko.

Skowyr – pies.

Skóra – dziewczyna.

Skraba – kobieta, baba, żona.

Skrycicha – żebraczka.

Skrytować – żebrać.

Skutro – jutro.

Słowo pod chajrem – słowo honoru.

Smutniak – chleb razowy.

Smytrać – kraść.

Soldat – pogardliwie żołnierz.

Spuchlak – grubas.

Starunek – oszczędności.

Stopkarz – bandyta.

Straga – ulica.

Strugać jura – udawać głupiego.

Strupel – stróż.

Stuchujnica – prostytutka o najniższym statusie.

Stupaj – głupi policjant.

Styrać na kim dziewczonę – okraść kogoś; od 209 paragrafu dawnego kodeksu prawa karnego.

Subaltern – młodszy oficer, podwładny.

Swojaśny – swój.

Syrek – stypa.

Szaber – włam.

Szac jid. – piękny.

Szafarz – gabaj, administrator synagogi.

Szalbierstwo – oszustwo.

Szalom zachar hebr. – witaj, mężczyzno.

Szaława – kobieta.

Szames – woźny w bożnicy lub synagodze, sługa świątyni, metaforycznie pomocnik.

Szamot – pysk.

Szapoklak – kapelusz.

Szejne Jidn – uczeni Żydzi.

Szemrany – doświadczony.

Szeol – w Starym Testamencie, a przede wszystkim we wczesnym judaizmie

miejsce pobytu zmarłych, pozbawionych wszelkiej radości istnienia i życia.
Szepetławy – sepleniący.
Szerit ha-Pleta hebr. – ocalałe ostatki. Termin biblijny (1Krn 4, 43) używany przez Żydów ocalonych z Zagłady na określenie siebie i społeczności, które tworzyli po wyzwoleniu.
Szikselba jid. – kurwa lub wulgarnie nieżydowska dziewczyna.
Szkut – malec.
Szlaban – ława do spania.
Szłaj, Szłaja – Cygan, Cyganka.
Szmonces – dowcip, żart.
Szmondak – dupek, kutas.
Szmondzia – kobieta niechlujna.
Szmuklerz – rzemieślnik zajmujący się wyrobem pasów, frędzli i taśm do obszywania ubrań.
Szmurny – podejrzany.
Sznit – otwór.
Szojchet – wykwalifikowany specjalista dokonujący uboju rytualnego.
Szpachłowa – wódka najgorszej jakości.
Szpana – spółka.
Szparować – oszczędzać, od niem. sparen.
Szpas – spokój.
Szperak – klucz.
Szpicyfinder – spryciarz.
Szpryng – kradzież w biały dzień z jakiegoś mieszkania. Szybka, najlepiej z przedpokoju.
Szrajbować – pisać, niem. schreiben.
Sztama – układ.

Sztamacy – doświadczeni bandyci.
Sztany – spodnie.
Szterker – silny.
Sztibl – miejsce modlitwy chasydów.
Sztrajmlach – hasydzki kapelusz obszyty futrem.
Szturkać – trącać.
Szturpak – niedorozwinięty.
Sztylać – kuleć.
Sztymować – zgadzać się.
Sztypura – słonina.
Szubraczka – przyjaciółka.
Szucher – okrzyk, krzyk.
Szucherny – awanturniczy.
Szuchrać – grać.
Szuchtować – stawiać zuchwały opór.
Szulaśnia – Rosja; Szulan – pogardliwie Rosjanin.
Szukłaper – inaczej szames.
Szwicować – ciężko pracować.
Szwydryga – szewc.
Szychciarz – włóczęga.

Ścigaje – spodnie.
Śpiczka – zapalka.
Śrut dawać – kłamać.
Świergol – ptak.

Tabela – twarz.

Tajster – portfel.

Tales – uroczysta szata wierzchnia, używana przez Żydów w czasie porannej modlitwy.

Tamowaty – małomówny.

Todres – przemyt, przemycany towar.

Tortor – kat.

Tragarz – belka stropowa.

Tremo – lustro.

Troić – jeść.

Trotuar – chodnik.

Trója – twarz.

Trybienie – myślenie.

Tryjatr – teatr.

Tryjatralnie – teatralnie.

Trymbulka – szczypior.

Trymudka – komoda.

Tryngeld – napiwek, od niem. *trinken* – pić i *geld* – pieniądze.

Tufta – prostytutka.

Tycować – żartować.

Uchać – słuchać.

Uciąć szlumerka – zasnąć.

Udziudziany – pijany.

Umschlag – Umschlagplatz potocznie.

Urka – recydywista, „zawodowy” przestępca.

Urning – homoseksualista.

Urząd Ciekawy – Urząd Śledczy.

Velnias – litewskie określenie diabła.

Wadrzycho – wiadro.

Wańtuch – brzuch.

Warszawa Szopy – Warszawa Południe, dziś Dworzec Południowy.

Wciagle – ciągle.

Weltszmerc – uczucie przygnębienia.

Werch – kieszeń.

Werycho – łobuz, chuligan.

Wielbno – mleko.

Wierchówka – niebo.

Wisło – masło.

Wknaić – wejść.

Wojtek – miesiąc.

Wróżda – zwyczaj krwawej zemsty na zabójcy krewnego lub na kimś z jego rodu.

Wsza wodna – cykuta.

Wygoda, Antoniuk – dzielnice Białegostoku.

Wyhuścić – powiesić.

Wyjardolić – wyjechać.

Wylęgnica – prostytutka.

Wyprawiać fundę – ufundować.

Wytysz – jawnie.

Z abarotem – z powrotem.

Za drągiem – za szlabanem, pod miastem.

Za pod kolki – pod rękę.

Zadulić – zapalić.

Zająć komuś szumowiskiem po ligarach – uderzyć kogoś pałą po nogach.

Zajumany – skradziony.

Zakłówek – zarobek.

Zamtuz – dom publiczny.

Zawałoka – przybłęda.

Zenut – prostytutka; od zona – prostytutka.

Zerki – oczy.

Zliwa – herbata.

Zona – prostytutka.

Zrobić komuś więchę – aresztować kogoś.

Zrobić na biało, biała śmierć – śmierć bez zwłok, ciała nie odnaleziono.

Żalnik – cmentarz.

Żaloszny – słony, od żalosz – sól.

Żłób – bazar.

Żużel – kaszanka.

Żywczykiem – szybko.

Projekt okładki
Łukasz Stachniak

Fotografia na okładce
Stephen Sheffield, www.stephensheffield.com

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Fotoedycja
Katarzyna Banasiak

Fotografie na stronach tytułowych
Część pierwsza – domena publiczna
Część druga i trzecia – Narodowe Archiwum Cyfrowe

Korekta
Agnieszka Kochanowska-Sabljak
Grażyna Rompel

Opracowanie ilustracji
Piotr Poniedziałek

Copyright © by Łukasz Stachniak
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4207-4

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com